



Twoim śladem



Meredith Walters



A. Meredith Walters

TWOIM ŚLADEM

Przetłoczyła Dorota Konowrocka-Sawa



Tytuł oryginału: *Lead Me Not*

Copyright © 2014 by A. Meredith Walters

Originally published by Gallery Books, a Division of Simon & Schuster, Inc.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Dorota Konowrocka-Sawa, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Dla wszystkich, którzy się zagubili wierzą, że ktoś ich odnajdzie...

„Tylko ten jeden raz” – przyrzekłem sobie, czując dotyk igły na skórze. Skrzywiłem się, kiedy ostry koniec wślizgnął się pod nią i przebił nabrzmiałą w oczekiwaniu żyłę. Ukłucie zabolalo, tak że aż mnie zemdliło.

Niczego nie pragnąłem równie mocno jak uczucia ulgi, lecz reagowałem niemal komicznie nadwrażliwie na metody, jakie sobie wybrałem, żeby zaspokoić głód narkotykowy.

Nie chciałem tego.

Gdyby to tylko była prawda. Szkoda, że chęć i potrzeba jakoś nie szły w parze.

Jasne, że tego nie chciałem. Ale moje ciało cholernie tego potrzebowało. Czułem, jak płonie, kiedy wstrzykiwałem w nie narkotyk. Czekaając na odjazd, zacząłem obgryzać skórki wokół paznokci.

Nigdy dotąd nie posunąłem się tak daleko. Zbliżałem się niebezpiecznie do granicy, ale nigdy jej nie przekroczyłem.

Tym razem było inaczej.

Bo ja byłem już inny.

Potrzeba uciszenia panującego w mojej głowie chaosu przeważyła nad wrodzonym strachem przed igłą zwisającą teraz w moich bezwładnych palcach.

Byłem zwykłym ścierwem. Siedziałem w kucki w kabinie najobrzydliwszej publicznej toalety, w jakiej kiedykolwiek dane mi było się znaleźć, a przecież mogłem być zupełnie gdzie indziej, robić cokolwiek innego – byle nie to.

Co, do kurwy nędzy, było ze mną nie tak?

Telefon zawibrował w kieszeni, ale nawet nie chciało mi się spojrzeć, kto dzwoni. Bo już wiedziałem, że to na pewno ona.

Aubrey.

W chwili słabości zadzwoniłem do niej. Pozwoliłem, by znów owładnęła mną obsesja na jej punkcie. A teraz się martwiła.

Wolałbym, żeby, do cholery, przestała się ciągle martwić.

Chryste Panie, teraz czułem się winny. I słusznie. Powinienem czuć się winny za to, co jej robiłem.

Zacisnąłem dłoń na piersi, czekając, aż ustąpi dręczący ból. Zerknąłem na zegarek. Pięć minut.

Pięć parszywych minut. A miałem wrażenie, jakby to było pięć zasranych lat.

Jeszcze chwila i o wszystkim zapomnę.

Telefon ponownie zawibrował. Tym razem wyciągnąłem go i wbiłem wzrok w ekran. W półmroku rozbłyskiwało imię Aubrey.

Jak latarnia morska.

Albo wybawienie.

I zanim błogosławiony haj rozwiązał wszystkie moje troski, poczułem strach.

Przenikający do szpiku kości lęk, z którego nie sposób się było otrząsnąć. To wszystko wiązało się z nią.

Z Aubrey.

Z wpływem moich egoistycznych wyborów na nas oboje.

W nagłym przypływie jasności umysłu pożałowałem z całej duszy, że nie mogę odwrócić biegu zdarzeń i cofnąć się do momentu, w którym pozwoliłem, żeby żalosne zamroczenie znaczyło więcej niż spokój odnaleziony w jej ramionach. Chciałem sobie wyssać truciznę z żył i powrócić do chwili, w której zrezygnowałem z życia za obietnicę narkotykowej nirwany.

Bo to ona była moją nirwaną. Moją ciszą wśród burz. I to, co do niej czułem, było o niebo bardziej realne niż jakiegokolwiek doświadczenie, jakie mogły mi sprezentować ostra końcówka igły albo tabletki drapiące w gardle kredowym posmakiem.

Ale było już za późno. Wkrótce to wszystko przestanie mnie obchodzić. Po raz pierwszy w życiu naprawdę tego nienawidziłem. Nienawidziłem narkotykowego tripu. Nienawidziłem ulgi, jaką dawał. Nienawidziłem siebie.

I wtedy wreszcie poczułem, że moje ręce i nogi stają się coraz cięższe, puls spowalnia, a myśli, które ledwie sekundę wcześniej krążyły wokół tego, czy mam pozwolić jej, by mnie ocaliła, spowija mgła.

Komu było potrzebne ocalenie, kiedy miałem... to?

Telefon zawibrował jeszcze raz, a ja w przypływie złości cisnąłem nim o ścianę kabiny i patrzyłem z rosnącą obojętnością, jak roztrzaskane kawałki spadają na podłogę.

Powieki mi opadły, kolana się pode mną ugięły. Osunąłem się po ścianie na zalaną szczykami podłogę, a powietrze wokół mnie zadrżało basami muzyki granej w klubie tuż za drzwiami.

Otworzyłem usta, czując już tylko przepęlniającą mnie euforię. Przewróciłem się na bok i przycisnąłem policzek do zasyfionej podłogi, czując, jak kawałki telefonu kaleczą mi twarz.

Wyrzuty sumienia. Strach. Przewróżnienie. Nawet miłość... Wszystko zniknęło.

Nie miałem nic oprócz... tego.

Na razie to zupełnie wystarczyło.

- To są daty i godziny odbywających się na terenie kampusu spotkań grupy wsparcia dla osób uzależnionych. Dwunastotygodniowy program prowadzimy we współpracy z miejscowym ośrodkiem terapii uzależnień. Warunkiem uzyskania licencjatu z psychologii na LU jest dobrowolne przepracowanie pięćdziesięciu godzin w ramach certyfikowanego programu.

Doktor Lowell podała mi listę, a ja wzięłam ją od niej z uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech. Była drobną, krótko obciętą brunetką spoglądającą poważnie zza okularów w metalowych oprawkach. Sprawiała wrażenie osoby bardzo rzeczowej i dlatego tak do niej lgnęłam już od pierwszych zajęć na Uniwersytecie Longwood. Chyba miałam nadzieję, że jej surowość zrównoważy panujący w mojej głowie chaos.

- Aubrey, wiem, może być ci ciężko, ale myślę, że to, jak korzystasz z własnych doświadczeń, by pomóc innym, dowodzi niezwykłej odwagi i zwyczajnie budzi podziw. Twoja obecność będzie dla tej grupy prawdziwym darem losu.

Zaczerwieniłam się i wcisnęłam kartkę do torby. Komplementy zawsze wprawiały mnie w zakłopotanie, bo nie miałam żadnych wątpliwości, że na nie nie zasłużyłam.

- Dziękuję, pani doktor. Spojrzę na godziny i sprawdzę swój rozkład zajęć. Dam znać, które dni mi pasują.

Wstałam i przerzuciłam torbę przez ramię. Doktor Lowell wyszła z biurka i odprowadziła mnie do drzwi gabinetu.

- Dałam już znać Kristie, że będziesz pomagać przy pracy z grupą. Wyślę ci e-mailem jej namiary, żebyś mogła się z nią kontaktować już bezpośrednio - powiedziała, przytrzymując mi otwarte drzwi. - Pamiętaj, że nie będziesz tak po prostu siedzieć sobie na spotkaniu grupy, przysłuchiwać się i robić notatek. Powinnaś brać aktywny udział w spotkaniach. Do kolejnych sesji przygotuje cię Kristie, która poprosi cię też o poprowadzenie dyskusji. Myślisz, że jesteś na to gotowa?

Wiedziałam, do czego pije. Chociaż miałam średnią pięć zero i harowałam jak wół, żeby zachować stypendium na LU, doktor Lowell była jedną z niewielu osób na uniwersytecie, które znały moją paskudną, ściskającą za serce historię.

Była również jedyną osobą, która nie dawała mi z tego powodu żadnej taryfy ulgowej. Nie miała pojęcia, jak nieskończenie byłam jej za to wdzięczna. Jej pytanie nie rozsierdziło mnie więc tak jak wówczas, gdyby zadał je ktokolwiek inny.

- Absolutnie jestem na to gotowa, pani doktor - odparłam, wlewając w swój głos tyle zdecydowania, na ile tylko potrafiłam się zdobyć.

Może jeśli doktor Lowell mi uwierzy, to i ja nabiorę wiary w siebie.

Doktor Lowell uśmiechnęła się nieco zbyt zdawkowo, co upewniło mnie nieomal, że ta drobna kobieta czyta w myślach. Jakimś cudem potrafiła zajrzeć mi do głowy i przekonać się o mojej nikłej ufności we własne siły.

Bo badanie psychologicznych skutków uzależnienia to jedno: treść podręczników mogłam

recytować obudzona w środku nocy, rozumiałam schematy i uwarunkowania, potrafiłam czytać ze zrozumieniem studia przypadków i udawać, że opisani w nich ludzie nigdy nie istnieli.

Czymś zupełnie innym było jednak siedzenie w kółku i słuchanie historii z czyichś ust. Słuchanie, jak wywnętrzają się zupełnie obcy mi ludzie, opisujący, jak bliscy byli utraty wszystkiego. Wiedziałam, że wszystko stanie się przez to bardzo, bardzo rzeczywiste.

A cała ta rzeczywistość była czymś przerażającym dla umysłu bardzo jeszcze rozchwianego po przeżytej trzy lata wcześniej traumie.

– Miłego wieczoru, Aubrey – rzuciła za mną doktor Lowell, gdy ruszyłam korytarzem budynku psychologii. Zmierzchało już, kiedy wyszłam na zewnątrz i ruszyłam przez dziedziniec uniwersytetu w kierunku studenckiego parkingu. Styczniowe powietrze było zimne i pachniało śniegiem.

Telefon w tylnej kieszeni zaczął dzwonić, więc sięgnęłam po niego i zobaczyłam wiadomość od koleżanki z pokoju, Renee Alston. Po przeczytaniu ogólnikowego esemesa poczułam nieprzyjemny ucisk w żołądku.

„Wychodzę. Widzimy się jutro”.

Myślałam przez chwilę, żeby jej odpisać, domagać się więcej szczegółów. Kiedyś nie było bardziej imprezowej dziewczyny od Renee. Zawsze pierwsza, żeby dać czadu i zalać się w pestkę.

Dawniej pod każdym możliwym względem była moim kompletnym przeciwieństwem. Dziką dziewczyną o złotym sercu. Totalną ekstrawertyczką będącą duszą każdej imprezy. Seksbombą, której faceci ścielili się u stóp. Te długie rude włosy spływające zabójczymi lokami... Potrafiła uwieść każdego i cieszyła się każdą chwilą.

Dopóki na horyzoncie nie pojawił się Devon Keeton.

Ścisnęłam telefon w garści i zmusiłam się, by wetknąć go z powrotem do kieszeni. Odpisując w jakikolwiek sposób, zraziłabym do siebie jeszcze bardziej ten cień człowieka noszący ubrania mojej przyjaciółki.

Kiedyś nasza przyjaźń była lekiem na moją splątaną, poranioną psychę. Otworzyłam się przed Renee tak, jak nie sądziłam, że będzie mi jeszcze kiedykolwiek dane.

Dlatego poczucie, że tracę kogoś, na kim przyzwyczaiłam się polegać, sprawiło, że zrobiłam się niespokojna i odrobinę zgorzkniała.

I bardziej niż odrobinę wściekła.

Jak na piątkowy wieczór, było zaskakująco gwarно. Zazwyczaj kampus wyludniał się już o czwartej. Uczelnia była niewielka, więc większość weekendowych rozrywek odbywała się z dala od wypielegnowanych trawników i nieskazitelnych ceglanych budynków.

Wsunęłam rękę głębiej do kieszeni i skuliłam ramiona, czując przeszywający mnie chłód. Snułam jakieś skandaliczne i ekstrawaganckie weekendowe plany odkopania reszty moich zimowych swetrów i skategoryzowania ich według tkanin i kolorów. Miejcie się na baczności, Aubrey Duncan bierze się do sprzątania!

Pod ceglany murem ciągnącym się wzdłuż północnego krańca kampusu zauważyłam grupę studentów. Pokazywali sobie coś i gapili się w podnieceniu, całkowicie tym pochłonięci.

Ciekawość wzięła górę i ruszyłam w kierunku grupy. Przepchnęłam się przez tłum i stanęłam zdumiona na widok tego, co zobaczyłam.

Przekrzywiłam głowę, próbując dostrzec szczegóły rysunku wymalowanego sprejem na ceglach. Potężna dłoń trzymała w uścisku jakieś postaci, które miały być ludźmi. Niektóre krzyczały, inne jakby się śmiały, a jeszcze inne, wyrwawszy się z uścisku nadludzkich palców, spadały na ziemię, beładnie młóćąc rękoma powietrze. Rysunek został wymalowany w jaskrawych czerwieniach i oranżach, ludzkie sylwetki nakreślono grubymi pociągnięciami czerni.

Poniżej imponującymi drukowanymi literami napisano słowo „Compulsion” i ciąg cyfr.

Graffiti zdecydowanie robiło wrażenie. Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego wszyscy wpatrują się w nie, jakby mieściło się w nim przesłanie całego parszywego wszechświata.

Odwróciłam się do dwóch stojących obok dziewczyn. Rozmawiały podekscytowanym szeptem, wskazując na rysunek.

– Nie łapię – powiedziałam bez ogródek, unosząc pytająco brwi.

Dziewczyna stojąca najbliżej wyglądała na wstrząśniętą.

– X to namalował – rzuciła, jakby to wszystko tłumaczyło.

– X? – zapytałam, czując się tak, jakbym przegapiła jakąś istotną lekcję uniwersyteckiej subkultury.

Wnosząc ze sposobu, w jaki dwie dziewczyny wybałuszyły na mnie oczy, równie dobrze mogłabym sobie wytatuować na czole: „Patrzcie na mnie! Jestem frajerką, która nie potrafi docenić street artu!”.

– No tak – powiedziała druga dziewczyna, wymawiając słowa tak wyraźnie, jakby mówiła do kompletnej kretynki. Najwyraźniej okazałam się kretynką. – Maluje te rysunki, żeby ludzie się dowiedzieli, no wiesz, żeby mogli się zorientować, gdzie w dany weekend znajdą Compulsion. Wiadomo, że to on. Widzisz tę linię malutkich iksów na rysunku? Na grzbiecie dłoni? – wyjaśniła mi dziewczyna numer jeden tonem tak zjadliwym, że miałam ochotę ją uderzyć.

Ciekawość wzięła jednak znów górę, więc zlekceważyłam ten wyraźny objaw suczości.

– A czym, do diabła, jest Compulsion? – zapytałam, podszywając to pytanie odrobiną własnej suczości.

– Żarty sobie robisz? Gdzie ty żyłaś przez ostatnie lata? W jaskini? – prychnął jakiś gość za mną.

Suka numer jeden i suka numer dwa wykrzywiły się drwiąco, a na widok mojego spojrzenia, które miało im zamknąć paszcze, jeszcze na dokładkę przewróciły oczami.

Spojrzałam przez ramię, próbując spiorunować wzrokiem mojego nowego prześmiewcę.

Miał na tyle przyzwoitości, by cofnąć się o krok i przestać się szczerzyć.

– No dobra, Compulsion jest po prostu największym undergroundowym klubem w tym stanie. Znalezienie po rysunku jego lokalizacji jest częścią zagadki. To coś w rodzaju autentycznej legendy miejskiej – wyjaśnił chłopak.

Spojrzałam jeszcze raz na rysunek, ale nie potrafiłam dostrzec tego, co miałam zobaczyć. Żałowałam, że nie umiem podzielać entuzjazmu całej reszty. Ich wyczekiwanie było wręcz namacalne.

Dziewczyny wyciągnęły telefony i zaczęły wpisywać cyfry do aplikacji nawigacyjnych. W miarę jak kolejni ludzie odkrywali supersekretną lokalizację, co i rusz słychać było piski i okrzyki podniecenia.

Zazwyczaj nie rozmyślałam zbyt często o tym, co tracę, koncentrując się bez reszty na

tym, by stać się Aubrey Duncan: superstudentką. Teraz jednak, otoczona ludźmi, których życie było najwyraźniej znacznie bardziej emocjonujące niż moje, miałam poczucie, jakbym w całym tym dorastaniu i doświadczaniu życia pominęła kilka istotnych kroków.

No nie, to było za głębokie jak na piątkowy wieczór. Wzywały mnie powtórki *Sędzi Judy* na TiVo.

– Powodzenia – rzuciłam mało przyjaznej grupie, po czym przepchnęłam się z powrotem przez tłum.

Opuściłam teren uniwersytetu i przeszłam dwie przecznice do swojego pustego mieszkania. Samotność, która mnie powitała, była dobitniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Po raz pierwszy od lat szczerze jej nienawidziłam.

Zwykle organizowanie, kategoryzowanie i odkładanie rzeczy na miejsce było wszystkim, czego potrzebowałam, żeby się pocieszyć. Zapomnijcie o stabilizatorach nastroju. Na okoliczność chandry wystarczały mi ścierka do kurzu i godzina na sprzątanie. Jasne, mój pokój wyglądał tak, jakbym cierpiała na nerwicę natręctw, ale ta namiastka kontroli pozwalała mi przetrwać dzień.

Renee – kiedy jeszcze rozmawialiśmy o czymś więcej niż o pogodzie – podśmiewała się z ustawionych w idealne rzędkie butów i natrzasała z mojej niemal obsesyjnej potrzeby układania rzeczy na biurku w idealnie symetryczne stosiki. Długopisy i zakreślacze stały na baczność w precyzyjnie odmierzonej liczbie w moim zielonym kubku Uniwersytetu Longwood. Mój laptop leżał dokładnie pomiędzy kalkulatorem graficznym Texas Instruments a oprawionym w skórę kalendarzykiem.

No dobra, może rzeczywiście byłam trochę zbyt porządnicka. Ale lubiłam wiedzieć, gdzie co mam. Lubiłam wiedzieć, czego się mogę spodziewać, gdy wchodzę do pokoju. Niespodzianki były do bani. Wzięta z zaskoczenia – w pozytywnym czy negatywnym sensie – wpadałam w panikę i nie trzeba było doktoratu, żeby zgadnąć dlaczego.

W zbyt dużym stopniu moją przeszłość wytyczyły zdarzenia znajdujące się całkowicie poza moją kontrolą. Jedno drobne zrzędzenie losu i zostałam katapultowana w przerażające zapomnienie, z którego wciąż jeszcze nie udało mi się wygrzebać.

Ale Aubrey Duncan przynajmniej jedna rzecz w życiu wychodziła naprawdę nieźle: przetrwanie. Choćby nie wiem ile mnie to kosztowało, mozolnie stawiałam krok za krokiem i szłam naprzód. Z mojej perspektywy nie było innego wyjścia.

– Naprawdę musisz się nauczyć zamykać drzwi wejściowe! A jakbym był złodziejem, który przyszedł zgarnąć wszystkie twoje płyty DVD z *Beverly Hills, 90210*? – zawołał jakiś głos, odrywając mnie od wymiatania kotów spod łóżka.

Wysunęłam się na brzuchu spod materaca i podniosłam wzrok na przystojnego chłopaka wypełniającego całą framugę.

– Akurat je trzymam zamknięte pod kluczem, Brooks, o czym doskonale wiesz – odpowiedziałam, zdmuchując sobie kosmyk z twarzy i przesuwając brudną ręką po czole. Byłam pewna, że wyglądam jak coś, co kot wyciągnął właśnie ze śmietnika. Na szczęście Brooks Hamlin nie był kimś, komu miałabym potrzebę imponować.

– O jasny gwint, a ty znowu sprzątasz pokój? Aubrey, masz świadomość, że to się już kwalifikuje do leczenia? – Brooks potrząsnął brązową czupryną, a zielone oczy rozbłysły mu rozbawieniem.

Uśmiechnęłam się krzywo, zbierając się z podłogi.

– Czy to jest twoja profesjonalna diagnoza? – zapytałam, wycierając ręce o przód jego idealnie wyprasowanej koszuli. Brooks zachnął się i żartobliwie mnie odepchnął.

Brooks, tak jak ja, kształcił się na terapeutę, ale ponieważ był o rok starszy, od uzyskania dyplomu dzieliło go już zaledwie kilka miesięcy. Na samym początku naszej znajomości

popęłiłam błąd i się z nim przespałam. Nieraz...

Brooks był słodki, inteligentny i generalnie nic mu nie brakowało. Miał dosłownie wszystkie cechy, jakich mogłabym szukać u chłopaka, więc kilka lat temu – po tym, jak poznaliśmy się na zajęciach z psychopatologii – zaczęliśmy się spotykać. Ja – przerażony pierwszorzecznik, dla którego wszystko było nowe, a on – bardziej już pewny siebie i uprzejmy aż do przesady student drugiego roku. Nasz związek był jednak w głównej mierze wynikiem mojej żalostnej potrzeby kontaktu. Nabrałam przekonania, że rozkładanie nóg jest idealnym rozwiązaniem problemu emocjonalnej izolacji. Byłam samotna.

Okazjonalne randki przerodziły się w końcu w regularny seks. Tylko że potem pojawiły się uczucia, konkretnie uczucia Brooksa, i wszystko to zrobiło się nieco zbyt zagmatwane. Lubiłam go, naprawdę, ale nie czułam tego co on. I nie miało to związku wyłącznie z Brooksem. Nigdy nie zakochałam się... w nikim. Tak jakby moje serce było organem trwale odseparowanym od reszty mojego ciała.

Zakończyłam to tak delikatnie, jak potrafiłam. Brooks przyjął to całkiem nieźle, co zapewne należy przypisać męskiej dumie. A po tym wszystkim, ku memu zaskoczeniu, zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi. Nadal łapałam go na zbyt częstym, jak na mój gust, gapieniu mi się na cycki, ale nauczyłam się nie zwracać na to uwagi.

Podał mi cienką papierową torbę. Zajrzałam do środka i uśmiechnęłam się szeroko.

– Ależ Brooks, planujesz mnie upić? – zażartowałam, wychodząc na korytarz i zamykając za sobą drzwi do sypialni.

Zachichotał.

– Nie, po prostu doszedłem do wniosku, że będziesz chciała przerwać swój szalony wieczór ustawiania w spiżarni puszek w kolejności alfabetycznej.

Wyciągnęłam z szafki dwie szklanki i otworzyłam butelkę wódki. Brooks znalazł w lodówce karton soku pomarańczowego i postawił go na blacie. Kiedy mieszałam drinki, znalazł jeszcze paczkę czipsów i wsypał je do miseczki.

– Do tego jeszcze nie doszłam – przyznałam, idąc za moim przyjacielem do maleńkiego saloniku. Był ciasny, ale przytulny. Stały w nim wysłużona kanapa, wyliniały fotel i okrągły stolik do kawy. Miejsca było tylko tyle, by móc precyzyjnie się między meblami do kuchni bez obijania sobie goleni.

Kanapa śmierdziała oczywiście jak psia buda, a stolik miał nogi nie do pary, ale we mnie wszystkie te meble razem i każdy z osobna budziły czułą tkliwość. Renee określała wystrój naszego mieszkania mianem „biedaszyku”. Ja go lubiłam, bo był mój. Po prostu mój.

– Renee wyszła? – zapytał Brooks, moszcząc się w fotelu i sięgając po drinka.

Usiadłam na kanapie, podwinęłam nogi pod siebie i wypiliśmy łyk koktajlu.

– No, na pewno nie chowa się w szafie – zażartowałam i skrzywiłam się, kiedy alkohol zaszczytał mnie w język. Zdecydowanie za dużo wódki, a za mało soku pomarańczowego. Kurczę, jakbym nie była ostrożna, zwałabym się na ziemię po trzech łykach.

– Jest z Kapitanem Kutafonem? – zapytał Brooks, a ja aż prychnęłam.

– A gdzie miałyby być? – odpowiedziałam, świadoma irytacji we własnym głosie.

– Co jest z tym kolesiem? Wygląda na kogoś, kto dla czystej radochy obrywa motylom skrzydła. Co ona w nim widzi? – zapytał Brooks z ustami pełnymi czipsów cebulowych.

Nie on jeden się nad tym zastanawiał. Chociaż cofając się myślami, chyba byłam w stanie zrozumieć, jak do tego wszystkiego doszło. Kiedy Renee zaczęła się spotykać z Devonem,

nawet mnie ujęły jego uroda chłopaka z sąsiedztwa i czar południowca. Chociaż wydawało mi się, że trochę za grubymi nićmi to wszystko szyte. Przeciągał samogłoski jak prawdziwy Teksańczyk, ale jakoś nie sprawiał wrażenia niewiniątka. Przeklinanie w ichniejszym dialekcie podniósł do rangi sztuki. Wtedy wydawało się to nawet seksowne. A jego rozczochrane rude włosy i brązowe oczy można było nawet uznać za atrakcyjne.

Ale jak mówi stare przysłowie: pozory mylą. A ja bez wątpienia dałam się zmylić.

– Może to miłość – powiedziałam ze sporą dżozą sarkazmu. Wzięłam kolejny łyk wódki z sokiem i się skrzywiłam. – O Jezuu, obrzydliwe to jest – powiedziałam i odstawiłam szklanke na stolik.

Brooks potrząsnął głową i przelał sobie mój drink.

– Jasne, jasne. Chłopak chciał po prostu zamoczyć – zauważył, a mnie aż skrećilo z obrzydzenia.

– Człowieku, nie każ mi myśleć o Devonie i o tym, co gdzie chciał zamoczyć. Fuj! – Aż się wzdrygnęłam.

Brooks wziął pilot i zaczął przerzucać kanały, aż w końcu znalazł transmisję z wyścigów samochodowych NASCAR.

– Przychodzisz do mnie z tym szajsowatym alkoholem i myślisz, że będę teraz do północy oglądać samochody jeżdżące w kółko? No to żeś się pomylił – obwieściłam mu, sięgając po pilot.

Brooks rzucił go w moją stronę.

– Dobra, ale protestuję przeciwko powtórce *Boskiego żigolo*, która wiem, że właśnie leci – ostrzegł i dobrodusznie wydał wargi.

– Nie doceniasz Roba Schneidera – zaoponowałam.

– Uważam po prostu za głęboko niepokojący fakt, że jesteś w stanie wyrecytować z pamięci całą listę dialogową – odparował Brooks.

Złorzeczając pod nosem, zgodziłam się w końcu na jakieś gotowanie na ekranie prowadzone przez szurniętego Brytola. Brooks zdecydował, że wolno nam się odzywać tylko z koszmarnym angielskim akcentem, czym skłonił mnie do zaprezentowania naprawdę marnej imitacji Judi Dench.

Zaczynałam się właśnie dobrze bawić, kiedy zadzwonił mój telefon. Chwyciłam go i spojrzałam na nic mi niemówiący numer.

– Halo? – powiedziałam, odbierając połączenie. Hałas po drugiej stronie niemal mnie ogłuszył. – Halo? – powtórzyłam.

– Aubrey! – krzyknął ktoś do telefonu.

Podniosłam wzrok na Brooksa, który patrzył na mnie pytająco.

– Tak, z kim rozmawiam? Nie słyszę.

– Mówi Renee. Musisz po mnie przyjechać... – Głos Renee się załamał, a ja w całym tym zgiełku prawie jej nie słyszałam.

– Gdzie jesteś? Co się stało?

– Musisz po mnie przyjechać! Proszę! – wyjąkała błagalnie i poczułam, że traci nad sobą panowanie.

– Gdzie jest Devon? – zapytałam, próbując zrozumieć, co się dzieje.

– Aubrey, proszę. Devon mnie tu, kurwa, zostawił, a ja tu nikogo nie znam! – Renee histerycznie podniosła głos.

– Dobra, dobra. Tylko powiedz mi, gdzie jesteś! – zakomenderowałam, prezentując opanowanie będące znakiem rozpoznawczym Aubrey Duncan.

– Jestem w Compulsion. Znasz ten klub? – krzyknęła, a ja miałam ochotę jęknąć z irytacji.

– Tak, wiem, czym jest Compulsion – odpowiedziałam, nie dodając, że zyskałam tę wiedzę zaledwie kilka godzin wcześniej.

– Znajduje się w magazynach nad rzeką. Nie znam dokładnego adresu. Jak tu przyjechaliśmy, było już ciemno. Proszę, przyjeźdź i zabierz mnie stąd – jęknęła Renee, a ja domyśliłam się, że płacze.

– Dobra, jadę. Jakby co, to mogę zadzwonić do ciebie pod ten numer? Gdzie jest twój telefon? – zapytałam, zrywając się na nogi i chwytając klucze.

– Nie, jakiś koleś pożyczył mi telefon. Nie znam go ani nic. Będę na ciebie czekać przy drzwiach. Tylko się pospiesz.

Po czym połączenie zostało przerwane.

– Cholerna Renee – warknęłam ze złością.

Brooks poszedł za mną do drzwi.

– Jadę z tobą – powiedział, chwytając mnie za ramię.

Strząsnęłam jego dłoń.

– Nie, zostajesz... – zaczęłam, ale Brooks mi przerwał.

– Nie ma mowy, Aubrey. Compulsion to rzeźnia. Nie przeżyjesz dziesięciu minut. Równie dobrze mógłbym ci przyczepić na tyłku znaczek: „Świeże mięso”. Mowy nie ma, żebym pozwolił ci iść tam samej. Co Renee tam właściwie robi? – zapytał.

Ze złością wzruszyłam ramionami.

– Wątpię, żeby sama na to wpadła. Śmierdzi na kilometr tym sukinsynem Devonem. Chryste, on ją tam zostawił, Brooks! Co za skurwiel! – pieniałam się.

Łatwiej było się wściekać niż przyznać, że spanikowałam. Wystarczył jeden telefon, żeby przywołać wspomnienie, które zepchnęłam na samo dno podświadomości.

Mój umysł groził mi powtórką z tej szczególnej nocy. Gorączkowy telefon późnym wieczorem. Skręcający żołądek strach. Chwila, w której zmieniło się całe moje życie.

Tyle że teraz byłam już mądrzejsza i tym razem nie zamierzałam zlekceważyć kogoś, kto mnie potrzebował.

Dopiero kiedy wyszliśmy na ulicę, Brooks zauważył coś w sumie oczywistego.

– A w ogóle wiemy, dokąd idziemy? – zapytał i wszystko to wydało mi się tak groteskowe, że prawie się roześmiałam.

I naprawdę się roześmiałam, niemal histerycznie. To wszystko było tak cholernie absurdalne. Oto proszę, pędzę odegrać scenę wyratowania Renee z opresji, w którą sama się wpakowała swoimi gównianymi wyborami, a nawet nie wiem, gdzie właściwie, do licha, mam jej szukać.

– Nie za bardzo – przyznałam, kiedy się już uspokoiłam.

– No dobra. – Brooks wolno wypuścił powietrze z płuc i spojrzał na mnie jak na kompletną wariatkę. Miałam nadzieję, że żaden z jego przyszłych pacjentów nigdy nie zostanie obrzucony tym akurat spojrzeniem. Pod takim spojrzeniem nie sposób było nie nabrać podejrzeń co do stanu własnego zdrowia psychicznego.

– Powiedziała, że jest w magazynie nad rzeką. Biorąc pod uwagę, że jeszcze kilka godzin

temu nie miałam pojęcia o istnieniu Compulsion, raczej nie na wiele się przydam – powiedziałam, nie starając się nawet ukryć swojej irytacji.

– Hm, no to wygląda na to, że to jest na Trzeciej Ulicy – podsunął Brooks, a ja mogłam tylko spojrzeć na niego ze zdumieniem.

– Nie wiedziałam, że jesteś tak doskonale obznajmiony z tą częścią miasta, gdzie najłatwiej dostać kosę pod zebra. Zaczynam się zastanawiać, czym się właściwie zajmujesz w wolnym czasie – zauważyłam sucho.

Brooks przewrócił oczami.

– Nie mam alergii na życie towarzyskie jak ty, Aubrey.

I to było jego całe wyjaśnienie. Hm. Zaczęłam się zastanawiać, czego jeszcze nie wiem o moim serdecznym kumplu Brooksie.

Im głębiej wjeżdżaliśmy w miasto, tym bardziej stawało się oczywiste, że „nie jesteśmy już w Kansas”. To była paskudna dzielnica. Taka, w której nie należało w ogóle wychodzić z domu, jeśli nie chciało się zarobić w łeb. Uniwersytet Longwood był zaledwie dziesięć przecznic dalej, ale równie dobrze mógłby się znajdować na innej planecie.

Po obu stronach ulicy chyliły się ku ziemi zaniedbane budynki. Samochody stały na cegłach, a co druga latarnia miała przepaloną żarówkę. Na rogach ulic przystawały grupki nastolatków, a ciemności wydawały się skrywać mnóstwo nieciekawych spraw, których wcale nie chciałam oglądać z bliska. Miałam wrażenie, że wszystko się do mnie klei.

Wjechałam na parking i zgasiałam silnik. Brooks otworzył drzwi i wysiadł, ale ja siedziałam, gapiąc się przed okno, niepewna, czy mam ochotę opuścić ciepłą, bezpieczną przystań własnego samochodu. Kurczę blade, zastrzelą nas tutaj. Byłam pewna! Dlaczego nie pomyślałam chociaż o tym, żeby wziąć ze sobą puszkę gazu łzawiącego, która stała nieużywana na mojej komodzie? Idiotka!

Byłam prawie pewna, że jak już dostanę Renee w swoje ręce, to złapię ją za tę chudziutką szyjkę i ścisnę. Bardzo, bardzo mocno.

Brooks pochylił się i oparł o otwarte drzwi.

– Idziesz czy nie? – zapytał z rozbawieniem.

Pokazałam mu środkowy palec, ale w końcu, bardzo powoli, stanęłam obok niego. Naciągnęłam na głowę wełnianą, robioną na drutach czapkę i wcisnęłam ręce do kieszeni, kuląc się z zimna.

– Ktoś mi tu ukradnie samochód, jestem tego pewna. Uduszę Renee i tego jej zafajdanego chłopaka – powiedziałam ostrym szeptem, zerkając na opuszczone magazyny i walące się budynki. Chodnikiem szła grupa jakichś zbirowato wyglądających koleśków i zaczęłam poważnie rozważać wskoczenie z powrotem do samochodu, pojechanie do domu i pozostawienie Renee skutkom wszystkich jej beznadziejnych decyzji.

Ale niech to szlag trafi, mojemu instynktowi samozachowawczemu weszły w paradę lojalność i irytujące poczucie, że przyjaźń zobowiązuje.

– Jakież wskazówki, gdzie to może być? – zapytałam Brooksa, kuląc się i trzęsąc z zimna.

Brooks wzruszył ramionami i wskazał ulicę schodzącą do rzeki.

– Powiedziałbym, że w tę stronę. Renee mówiła coś o rzece, tak? – zapytał, a ja mogłam tylko skinąć głową. Nie było potrzeby zwracania uwagi na oczywisty fakt, że bezcelowe płatanie się po tym Mordorze nie sprawia wrażenia najinteligentniejszego planu działania.

Ruszyliśmy szybkim krokiem w stronę wody. Zmarszczyłam nos, poczuwszy smród

ścieków i ryb. Ziemię zaścięłały śmieci i jakieś niewyobrażalne obrzydliwości, od których zbierało mi się na wymioty.

– Słyszysz? – zapytał Brooks, przerywając upiorną ciszę.

– Słyszę co? – wymamrotałam przez zaciśnięte zęby. Jezu, jak mi było zimno.

Brooks przytknął dłoń do ucha i złapał mnie za rękę, ruszając nagle w dół ulicy.

– Słyszę muzykę. Z tamtej strony – powiedział, najwyraźniej bardziej niż ja podniecony tą pokręconą grą w chowanego. – No i proszę! – zawołał, pociągając mnie za sobą. Za przewodnika służyły nam basy tak donośne, że wibrowało mi od nich w brzuchu. Kierując się muzyką, przeszliśmy przez ulicę i stanęliśmy w kolejce zakręcającej za rogiem starego magazynu. Najwyraźniej Compulsion było miejscem, w którym w piątkowy wieczór należało po prostu być.

– To kultowy klub. Działa od lat dziewięćdziesiątych i co miesiąc zmienia lokalizację. Rozmawiałem z kilkoma osobami, które w nim były, ale jakoś miałem cykora, żeby pójść sam. Ale zawsze chciałem – powiedział Brooks na tyle cicho, by nie usłyszeli nas stojący w pobliżu ludzie.

Cała moja wiedza o undergroundowej scenie muzycznej pochodziła z wiadomości i oglądanych od czasu do czasu badziwiastych reality show. Wszystko to wydawało się strasznie przejawione: od narkotykowych dealerów przez ćpunów dających sobie w żyłę w kiblach po ludzi bitych do nieprzytomności pod klubem. Lecz chociaż wszystkie te historie wydawały się okropnie wyolbrzymione, wiedziałam, że takie rzeczy się zdarzają. W żadnym razie nie można było powiedzieć, że bym była głupia albo nieświadoma. Byłam nawet bardziej niż świadoma mrocznych, przerażających stron życia, tyle tylko, że mnie to po prostu nie pociągało. To rzekome życie na krawędzi nie dawało mi żadnego chorego, adrenalinowego kopa.

Do szczęścia całkowicie wystarczały mi filiżanka herbaty i kilka nowych odcinków *Pamiętników wampirów*.

Ale kiedy tak czekaliśmy z Brooksem w kolejce, aż wpuszczą nas do środka, nagle ku własnemu zdumieniu zrozumiałam czar takiego życia. Powietrze wypełniała odurzająca woń oczekiwania na to, co się wydarzy, i wszystkich roznosiła jakaś dziwaczna energia. Jakby czekali na to, aż zostaną zaprowadzeni do raj. Albo do piekła.

Prześlizgnęłam wzrokiem po stojących przed nami dziewczynach, które nie mogły mieć więcej niż szesnaście lat. Nawet ja wiedziałam, że trzeba być pełnoletnim, żeby wejść do środka, a cała ta grupka wyglądała zdecydowanie zbyt młodo jak na takie miejsce. Chichotały i podskakiwały. Jedna z nastolatek pomagała koleżance nałożyć grubą warstwę czarnej szminki, a reszta poprawiała na sobie gotyckie ubrania.

Było w nich coś, co przypomniało mi Jayme. Moja młodsza siostra zawsze była pierwsza do pakowania się w sytuacje, w których w ogóle nie powinna się znaleźć. Te dziewczyny były od niej niewiele starsze.

Otrząsnęłam się z tych myśli i podniosłam wzrok na stojącego obok mnie Brooksa. Sprawiał wrażenie, jakby sycił się podnieceniem tłumu. Ścisnęłam go za ramię.

– Pamiętasz, że przyszliśmy tutaj tylko po Renee, prawda? Nie zamierzam zostawać tu dłużej czy coś. – Chciałam mieć pewność, że dobrze się zrozumieliśmy.

Brooks pokiwał głową.

– Nie, no jasne, spoko. Po prostu zawsze miałem ochotę zobaczyć to miejsce. Super tu

jest, nie? – podniecał się, uśmiechając się szeroko.

Nie opisałam tego słowem „super”... Zdecydowanie nie.

Nie zadałam sobie trudu odpowiadania mu i czekałam już tylko niecierpliwie, kiedy powoli przesuwaliśmy się w kierunku drzwi wejściowych. Kiedy w końcu stanęliśmy przy wejściu, uzmysłowiłam sobie nagle, jak mizerne albo wręcz żadne są szanse na to, że wpuszczą nas do środka. Niektórych wpuszczano, reszta odchodziła z kwitkiem. Próbowałam się zorientować, jak bramkarze o wyglądzie aniołów piekieł decydowali, kogo wpuścić, a kogo nie. Zorientowałam się bardzo szybko, kiedy przed nimi stanęliśmy i zostaliśmy obrzuceni pogardliwym spojrzeniem.

Brooks i ja wyróżnialiśmy się jak dziewice podczas orgii. Nie trzeba było geniuszu, żeby zrozumieć, że oboje tak daleko wyszliśmy ze swojej strefy komfortu, że z powrotem chyba będziemy musieli złapać stopa.

– Zjeżdżać – powiedział bramkarz, ledwie na nas spojrzawszy. Ogoloną na łyso głowę pokrywał mu jakiś skomplikowany tatuaż, a płatki uszu miał rozciągnięte dwucentymetrowymi tunelami. Grzbiet nosa przebijał mu dziko wyglądający szpikulec. Kozią bródkę ufryzowaną miał w szpic i ufarbowaną na jaskrawą czerwień. Kolejny szpikulec wystawał mu spod dolnej wargi. Był wyraźnie poirytowany. Nie miałam cienia wątpliwości, że moje džinsy i bawełniana koszulka z długim rękawem oraz koszula w kratę Brooksa wyraźnie sygnalizują, że zdecydowanie nie mamy czego tutaj szukać.

– Proszę posłuchać, przyszliśmy tylko po to, żeby zabrać stąd naszą przyjaciółkę. Jest w środku – powiedziałam, w podenerwowaniu głupio próbując przepchnąć się obok niego. Jasna cholera! Co właściwie miałam zrobić w tej sytuacji?

Domniemamy członek motocyklowego gangu odepchnął mnie i spojrzał na mnie spode łba.

– Powiedziałem. – Pochylił się i teraz od mojej twarzy dzielił go może centymetr. – Macie zjeżdżać! – ryknął i musiałam naprawdę zebrać się w sobie, żeby nie czmychnąć pod ciężarem jego spojrzenia.

– Człowieku, daj spokój. Zostawimy kaucję. Podwójną, jeśli chcesz. Potrzebujemy dosłownie minuty. Musimy tylko znaleźć koleżankę. Zadzwoiła do nas, że potrzebuje, żeby ją odwieźć. – Brooks próbował przemówić facetowi do rozsądku.

Ale bramkarza najwyraźniej głównie obchodziło, po kogo przyjechaliśmy, choćby to była królowa angielska. Nie wchodziliśmy, i koniec.

Ludzie za nami zaczęli się niecierpliwić.

– Słyszeliście go, zjeżdżajcie stąd – powiedział jakiś chudy, wystrojony w czarną skórę facet, który wyglądał jak uciekinier z podłego klubu SM.

Zacisnęłam usta, czując, jak krew uderza mi do głowy. W razie konieczności gotowa byłam walczyć. Nie zamierałam się stąd ruszyć bez Renee.

Brooks najwyraźniej dostrzegł zajadłość w moich oczach, bo położył mi dłoń na ramieniu i ścisnął mocno, próbując zwrócić moją uwagę. Strząsnęłam jego rękę i zmierzyłam przerażającego bramkarza swoim najbardziej nieustępliwym spojrzeniem.

– Posłuchaj, kolego, ja wchodzę, a ty mnie nie zatrzymasz – warknęłam, a w moim głosie było znacznie więcej pewności siebie, niż faktycznie czułam. Tak naprawdę w swoich trampkach trzęsłam się ze strachu. Bramkarz nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo by obchodziła moja płęć. Był gotów usunąć mnie stąd siłą.

– Wpuść ją, Randy – powiedział jakiś głos z cienia za drzwiami.

Randy poczerwieniał z irytacji i obejrzał się przez ramię na mówiącego.

Wbiłam wzrok w ciemność, próbując dostrzec, kim jest mój wybawiciel. Udało mi się rozróżnić jedynie niewyraźny zarys sylwetki.

Chwyciłam Brooksa za rękę i czekałam, żeby zobaczyć, czy ten anonimowy mężczyzna ma wystarczającą władzę, by nas wypuścić. Po kilku sekundach bramkarz Randy odwrócił się i wziął ode mnie pieniądze. Przyłożył mi pieczętkę na rękę i bez słowa wypuścił mnie do środka.

Odwróciłam się, żeby poczekać na Brooksa, ale bramkarz zagroził mu drogę potężnym ramieniem.

– E-e! Ona może wejść. Ty czekasz tutaj – powiedział stanowczo.

– Ale przecież ona nie może wejść sama! – zaprotestował Brooks, próbując się przepchnąć, ale równie dobrze mógłby podjąć próbę sforsowania stalowej kraty. Randy nawet nie drgnął.

– Jeśli sam nie wyjdiesz z tej cholernej kolejki, to ja cię z niej wyniosę. Dotarło? – wycedził Randy, a w jego niskim głosie zagrała ledwie powstrzymywana agresja.

– Nic mi się nie stanie, Brooks, po prostu poczekaj tu na mnie, dobra? – rzuciłam pospiesznie z nadzieją, że nie będzie nastawał. Podobały mi się zęby Brooksa w jego ustach, a nie na ziemi.

Brooks spochmurniał. Nie był szczęśliwy. Tak naprawdę chyba nigdy nie widziałam go tak zaniepokojonego. Obejrzałam się przez ramię na ciemne wejście do klubu. W głowie zadudniły mi pulsujące basy.

Nieszczerólnie podobała mi się myśl o wchodzeniu tam samej, ale nie warto było ryzykować, że Brooks dostanie w skroń, chcąc mi towarzyszyć.

– Nic mi nie będzie. Renee powiedziała, że będzie czekać tuż przy wejściu – zapewniłam.

Brooks już miał pokręcić głową, kiedy Randy, którego cierpliwość najwyraźniej się wyczerpała, bez ceregieli odsunął go na bok.

– Będę stał tam. Daję ci piętnaście minut, Aubrey, potem idę po ciebie – ostrzegł Brooks, rzucając mi niezadowolone spojrzenie.

Nerwowo naciągnęłam sobie rękawy bluzki na dłonie i powoli weszłam do środka. Rozejrzałam się za facetem, który wypuścił mnie do środka, ale w koszmarным oświetleniu z trudem udawało mi się skupić wzrok na czymkolwiek.

Kimkolwiek był ten, który zapobiegł wykopaniu mnie sprzed klubu, nigdzie nie mogłam go dostrzec.

Ściągnęłam czapkę i wcisnęłam ją do kieszeni, zawahawszy się w pół kroku. I wtedy, jakby niewidzialny sznurek pociągnął mnie naprzód, bezwolnie ruszyłam przed siebie, by po chwili znaleźć się w samym środku piekła.

A w każdym razie wyglądało na to, że taki jest właśnie motyw przewodni. Czerwone reflektory rzucały na wszystko upiorną poświatę, a rozpięty w oknach drut kolczasty sprawiał, że człowiek się czuł jak w pułapce.

Ale wypełniająca to miejsce energia momentalnie mną owładnęła, grożąc pochłonięciem bez reszty. Gigantyczne głośniki wiszące pod sufitem dudniły muzyką, a na parkiecie w jednym rytmie wiła się masa spoconych ciał. Na określenie panującego w klubie nastroju nie wystarczyło słowo „gorączkowy”. To było coś nieopisanego.

Rozgrzane powietrze przesiąknięte było czymś słodkim, czego nie potrafiłam nazwać. Serce zaczęło mi walić jak młotem, a ręce drżeć. Nigdy wcześniej nie widziałam tak żywiołowego zapamiętania. Wydawało się, że muzyka trzyma w uścisku wszystko i wszystkich, zupełnie wobec niej bezradnych.

I chociaż próbowałam się opierać, roztaczająca się przed mną scena mnie zahipnotyzowała. Compulsion mnie przeraził, był przytłaczający, na granicy psychozy, a jednocześnie zawładnął mną do tego stopnia, że zwątpiłam we własny zdrowy rozsądek.

Bo nagle nasza mnie ochota.

Chęć.

Przeszywające aż do bólu pragnienie całkowitego zapomnienia.

Właśnie to obiecywało to miejsce. Słodką i całkowitą anarchię. Jak łatwo byłoby oddać moją ostrożną, zachowawczą kontrolę za rozciągający się przed moimi oczami przerażający, upojny świat.

Łup, łup, łup – muzyka dudniła mi w piersiach. Czułam buzujące mi w uszach wibracje głośników. Ciemność była przytłaczająca i jednocześnie kojąca.

Zamknęłam oczy i zaczęłam się kołysać.

Po czym nastrój prysł. Ktoś, kto próbował przepchnąć się do środka, potracił mnie z tyłu. Wróciłam do rzeczywistości.

Co się ze mną działo? Miałam zabrać stąd Renee, a nie odgrywać nieodpowiedzialną klubowiczkę.

Wielka, otwarta hala była pełna ludzi i przepchnięcie się przez ten tłum okazało się w zasadzie niemożliwe. Wspięłam się na palce, próbując gdzieś dostrzec Renee. Rozpychając się łokciami, zaczęłam się przedzierać w stronę przeciwległej ściany.

Potknęłam się o coś i runęłam na twarz, wyciągając przed siebie ręce w obronnym geście. Boleśnie walnęłam kolanami o betonową podłogę i wyłożyłam się jak długi. Po czym oniemiałam na widok całkowitej obojętności wszystkich na żalostną dziewczynę rozciągniętą u ich stóp.

Nikt nie wyciągnął ręki, żeby pomóc mi wstać – po prostu mnie obchodzili, a niektórzy nawet przeszli nade mną. Próbowałam wstać, ale kostka wykręciła mi się w proteście. Opadłam z powrotem na kolana i nagle poczułam, że zaraz się rozplącę.

Ktoś rozlał mi piwo na plecy, ktoś mnie szturchnął w bok. Jasna cholera, zadcpczą mnie tutaj! Poczułam wzbierającą histerię, która przyćmiła nawet gniew na moją krnąbrną współlokatorkę.

Nagle ktoś chwycił mnie pod pachy i poderwał do góry. Kostka zabolęła tak, że aż jęknęłam, próbując stanąć na nogach. Ktoś położył mi dłoń na plecach, dokładnie między łopatkami, i pchnął lekko naprzód.

– W porządku? – wyszeptał mi do ucha cichy męski głos.

Próbowałam się odwrócić, żeby zobaczyć, kto mną kieruje w tym tłumie, ale było tak ciemno, że nie mogłam nic dostrzec.

Skinęłam głową, choć nie była to prawda. Nie było w porządku.

Przez koszulkę czułam ciepło męskiej dłoni odciskającej się na mojej skórze. Szedł tuż za mną, ocierając się piersią o moje plecy. Ta bliskość była okropnie niezręczna i gdybym tylko mogła, uciekłabym bardzo, bardzo daleko.

– Odetchnij głęboko. Nic ci nie będzie – powiedział głos kojąco, znajdując właśnie te

słowa, których potrzebowałam.

Posłuchałam bezwolnie. Głos dopływający do moich uszu z ciemności miał nade mną dziwną władzę, której trudno było się oprzeć.

Dłoń spoczywająca na moich plecach zaczęła wykonywać kojące, koliste ruchy, a ja, ku własnemu zdumieniu i pomimo obaw, zaczęłam się odprężyć. Zupełnie jakby z opuszków palców tego kolesia płynęło valium. Oto Club-Man i jego nadludzkie moce uspokajania przerażonych dziewczyn samym głosem i dotykiem dłoni! Próbowałam się odwrócić i chociaż na niego zerknąć, ale nadal nie byłam w stanie rozróżnić nic poza sylwetką.

– „Widzę cię lepiej w ciemnościach, nie potrzebuję światła”¹. – zamruczał mężczyzna, a jego oddech poruszył włosy na mojej skroni.

Nieznany mi facet cytował Emily Dickinson? Co, do jasnej? Czyżbym nieświadomie wpadła do króliczej nory i nawet się nie zorientowała?

Mój ledwie co odzyskany spokój prysł jak bańka mydlana. Świadomość, gdzie się znajduję, aż mnie przygniotła do ziemi.

Byłam w undergroundowym klubie nocnym, próbując znaleźć moją przyjaciółkę. I na tym musiałam się skupić.

Nie znałam tego kolesia i w takim miejscu nie powinnam tracić czujności. Co się ze mną działo, do cholery?

Próbowałam przepchnąć się naprzód – cokolwiek, byle tylko choć odrobinę się oddalić od idącego za mną potencjalnego seryjnego mordercy. Ale przez tę ścianę ludzi trudno było przejść bardzo szybko. Dłoń na moich plecach wślizgnęła się na kark, palce wsunęły we włosy.

Serce waliło mi jak młotem, byłam przerażona. Oczyma duszy widziałam nagłówek: „Dziewczyna zabita podczas próby znalezienia swojej bezmyślnej, samolubnej współlokatorki”.

Ale wtedy dłoń odkleiła się do mojej skóry i pokierowała mną w stronę baru. Ledwie mogłam oddychać. Byłam na krawędzi wybuchu paniki.

– Twoja przyjaciółka jest tam – napłynął znów cichy szept.

Co?

Wyciągnęłam szyję i prawie zemdlałam z ulgi na widok Renee, roztrzęsionej, niezgrabnie przycupniętej na stołku barowym i rzucającej wokół nerwowe spojrzenia.

– Dziękuję! – powiedziałam głośno, dostrzegając wreszcie w odrobinę jaśniejszym świetle człowieka, który mi pomógł. Był wysoki i barczysty, daszek wciśniętej głęboko na oczy czapeczki bejsbolowej nie pozwalał dostrzec jego twarzy. W czerwonym klubowym świetle nie byłam w stanie dostrzec ani jednego szczegółu. Nic, co pozwoliłoby go zapamiętać. Było to jeszcze bardziej niepokojące niż cokolwiek, co wydarzyło się do tej pory.

Znów odczułam niewytłumaczalną władzę, jaką ten mężczyzna nade mną sprawował. Przypominałam rybę złapaną na haczyk i rzucającą się na próżno z nadzieją, że zostanie wypuszczona. Przy czym w idiotyczny sposób czerpałam z tego przyjemność.

Chciałam go zobaczyć. Musiałam.

Mężczyzna się nachylił, a gdy mówił, jego usta ocierały się o mój policzek. Uchwyciłam delikatny zapach dymu i mięty.

– Ty i twoja przyjaciółka musicie stąd wyjść. To nie jest miejsce dla was.

Zsunął mi kucyk z ramienia.

– Co? – zapytałam tępo.

Nie potrafiłam zrozumieć niespodziewanego zwrotu wydarzeń, który dokonał się dzisiejszego wieczoru. Dlaczego mi pomagał? Miałam wypisane na czole, że jestem łatwym łupem? A on należał do rzadkiego gatunku dobrych samarytan?

Poklepałam się po przednich kieszeniach dzinsów, żeby się upewnić, czy nie padłam ofiarą kieszonkowca, ale wyglądało na to, że pieniądze i telefon nadal były na swoich miejscach. Przynajmniej tyle dobrego. Ale kiedy podniosłam wzrok, już go nie było.

Zniknął. Wytwór mojej wybujałej i roztrzęsionej wyobraźni.

Stałam jak wrośnięta w ziemię, kostka mi pulsowała bólem, kręciło mi się w głowie i dzwoniło w uszach. Byłam roztrzęsiona.

A wszystko przez tego człowieka. I wcale nie miałam pewności, czy żyły pulsują mi strachem, czy podnieceniem.

Miał rację. Musiałam się stąd wydostać. Wyciągnęłam telefon z kieszeni i zobaczyłam, że minęło już dziesięć minut. Jeśli wkrótce nie wyciągnę Renee na zewnątrz, Brooks przypuści samobójczy atak na bramkarza.

– Renee! – wrzasnęłam, starając się przekrzyczeć muzykę. Moja współlokatorka i wątpliwa najlepsza przyjaciółka odwróciła się w moją stronę i wyraźnie odetchnęła z ulgą. Zeskoczyła ze stołka i zarzuciła mi ręce na szyję.

– Aubrey, strasznie ci dziękuję, że po mnie przyjechałaś! – wyszłochała mi w szyję.

Uściskałam ją i zaczęłam wyprowadzać w stronę drzwi.

Renee miała przekrwione oczy, tusz ściekał jej czarnymi wstążkami po policzkach, a skołtunione włosy zwisały w strąkach. Ze zdenerwowania wyłamywała sobie palce. Włączył się mój instynkt opiekuńczy.

Wyglądała na przestraszona i smutna. Miałam ochotę chwycić Devona Keetona za jaja i naprawdę boleśnie ścisnąć. Nie zasługiwał na Renee. Dlaczego nie potrafiła tego dostrzec?

– Chodźmy do domu – powiedziałam, otaczając ramieniem jej drobną, roztrzęsioną postać.

Nie pozwalając jej się oddalić, wyciągnęłam rękę i po omacku zaczęłam torować nam drogę do drzwi.

Muzyka jeszcze przybrała na sile i powietrze zawibrowało gorączkową energią, która pociągnęła mnie za sobą i nie chciała puścić. Jakaś część mnie pragnęła zostać i zatopić się w niej. Moje stopy zamarły i poczułam się w niewytłumaczalny sposób rozdarta. Musiałam wyjść, ale chciałam zostać.

Renee szarpnęła mnie za ramię, wytrącając z odrętwienia. Chwilowa utrata zdolności racjonalnego myślenia ustąpiła pilniejszej potrzebie upewnienia się, że Brooks nie zaznajamia się właśnie z potężną pięścią bramkarza Randy'ego.

Kiedy już zbliżyliśmy się do drzwi, poczułam nagle mrowienie karku. Zmysłową świadomość, od której włosy zjeżyły mi się na głowie. Mój tajemniczy wybawca z ukrytą w cieniu twarzą stał tuż obok wyjścia. Poczułam, jak śledzi nas wzrokiem, i nie potrafiłam opanować drżenia, uświadomiwszy sobie, że było to dziwnie pociągające.

Próbowałam spotkać się z nim wzrokiem, niemal rozpaczliwie pragnąc go zobaczyć, ale odwrócił się, odmawiając mi tego. Zawiedziona patrzyłam, jak rozplywa się w mroku.

– Aubrey! – usłyszałam dobiegający z zewnątrz krzyk.

Brooks wyglądał na zdenerwowanego i wiedziałam, że tylko sekundy dzielią go od wdarcia się do środka siłą.

Ściskając mocno Renee za rękę, na wpół wyciągnęłam ją, na wpół wyniosłam z klubu. Minęliśmy Randy'ego, pod którego chmurnym spojrzeniem ktoś bardziej lękliwy posikałby się ze strachu. Na drodze stanął mi niebezpiecznie bliski utraty panowania nad sobą Brooks.

– Osiwiałem przez ciebie, Aubrey! Osiwiałem! – krzyknął Brooks, łapiąc mnie za ramię i potrząsając mną lekko.

– Przepraszam. Chwilę mi zabrało znalezienie Renee – wyjaśniłam, patrząc na niego łagodnie i uspokajająco.

Brooks odwrócił się do Renee i obrzucił ją swoim najsurowszym spojrzeniem godnym wzburzonego starszego brata.

– Co ty sobie myślałaś? Że to świetny pomysł spędzić wieczór w miejscu, w którym najłatwiej się zarazić zapaleniem wątroby? Ktoś powinien cię nieźle kopnąć w ten twój głupi, damski tyłek – perorował, choć wiedziałam, że nie byłby tak opryskliwy, gdyby się nie niepokoił.

Zmieszana Renee spuściła głowę i chociaż ja też zamierzałam wygłosić pogadankę, to widziałam już, że to nic nie da. Była wyraźnie zmęczona i zupełnie zamknięta emocjonalnie.

Nie potrzebowała, by ją osądzano. Potrzebowała się wyspać. Może później będę mogła palnąć jej mowę pod tytułem: „A nie mówiłam, że ten twój chłopak to kompletny ćwok?”.

– Przepraszam, Brooks – powiedziała Renee cicho.

Spiorunowałam go wzrokiem, a on uniósł dłonie w uspokajającym geście.

– Dobra, w porządku. Tylko zabierajmy się stąd wreszcie, do cholery. Naprawdę mam nadzieję, że twój samochód nadal ma opony – mruknął, kiedy zaczęliśmy oddalać się od Compulsion.

Kiedy już szliśmy ulicą, mimowolnie po raz ostatni obejrzałam się przez ramię.

Nie potrafiłam się zdecydować, czy to, że wypatrywanej przeze mnie osoby nigdzie w pobliżu nie było, przyniosło mi ulgę, czy rozczarowanie.

Ssałam czerwoną, rozpaloną skórę kciuka, bezgłośnie przeklinając metalowe krzesło porzucone u moich stóp. Kopnęłam je ze złością, po czym pochyliłam się, żeby je podnieść.

– Oj, uszczypnęłaś się? – zapytał miły głos.

Rozłożyłam krzesło i postawiłam je w kółku, które stworzyłam. Prowadząca naszą grupę wsparcia Kristie Hinkle uśmiechnęła się do mnie i zaczęła zsuwać plastikowy rękaw z wieży styropianowych kubeczków.

Minęły dwa tygodnie, odkąd razem z Brooksem odegraliśmy rolę Batmana i Robina w naszej misji ratunkowej do klubu Compulsion. Niepokój, który się we mnie załęgł po tym doświadczeniu, sprawił, że zrobiłam się drażliwa. Właściwie nie potrafiłam sobie uzmysłwić, dlaczego tak się czuję, ale nie miałam wątpliwości, kto zasiał we mnie ten niepokój, choć nie było mi dane zobaczyć nawet jego twarzy.

Po tym jak Brooks odprowadził nas do mieszkania, Renee poszła prosto do łóżka. Kiedy następnego ranka wstałam, wyszła już do pracy. Moje plany dowiedzenia się, co właściwie wydarzyło się w klubie, spęłzyły na niczym wobec oczywistych uników mojej przyjaciółki.

Wiedziałam, że jest zażenowana – Renee nietrudno było rozgryźć: wszystko miała wypisane na twarzy, a kiedy czuła się niezręcznie, zwyczajowo przyczajała się w oczekiwaniu na to, aż kurz opadnie.

Miałam nadzieję, że zostawienie jej w klubie przez Devona podziąła jak dzwonek alarmowy i skłoni ją do ostatecznego zakończenia tego związku. Że będzie to gwóźdź do trumny tej gównianej relacji.

Poczułam więc niemal morderczą frustrację, kiedy następnego wieczoru zobaczyłam tego osła Devona siedzącego jakby nigdy nic w naszym saloniku.

Nogi oparł na stoliku do kawy i wcinał kanapkę, krusząc wszędzie niemiłosiernie. Przez moment miałam wrażenie, że mnie krew zaleje. Ścisnęłam klucze w garści i pomyślałam o rzuceniu nimi w ten jego arogancki, przerośnięty łeb. Zanim go kopnę w jaja, oczywiście.

Czy to się działo naprawdę? Czy Renee naprawdę zamierzała wpuścić tego chłopaka z powrotem do naszego domu po tym, jak ledwie poprzedniego wieczoru zostawił ją kompletnie samą w Compulsion?

Chciałam mu powiedzieć, żeby zabierał te swoje cholerne nogi z naszych mebli. Chciałam wrzasnąć na Renee, żeby wreszcie oprzytomniała i zobaczyła, jakiego sobie wzięła popaprańca.

Ale nie zrobiłam tego. Bolesne doświadczenie życiowe nauczyło mnie, że cokolwiek powiem, tylko pogorszę sytuację.

Nic nie zbliża dwójki ludzi bardziej niż syndrom Romea i Julii przekonanych, że cały świat sprzysiągł się przeciwko nim.

W takich chwilach podobieństwo łączące Renee i moją siostrę było tak boleśnie uderzające, że aż dławiło mnie w piersiach.

Pozwoliłam sobie kiedyś na zgryźliwą krytykę, która drogo mnie kosztowała.

Okazywanie wyniosłego rozczarowania zaprowadziło mnie donikąd.

Powściągnęłam zatem gniew i uśmiechnęłam się do przyjaciółki, która po chwili wahania odwzajemniła mój uśmiech, po czym udałam się do własnego pokoju, żeby odrobić pracę domową.

Mijały kolejne dni. Renee i ja utknęłyśmy w krępującej, patowej sytuacji. Ona była nadal z tym swoim dupkiem, a ja nadal niewiele mogłam w tej sprawie zrobić.

Tymczasem musiałam się skupić na czymś innym.

Tego wieczoru odbywało się pierwsze spotkanie działającej na terenie uniwersytetu grupy wsparcia dla osób uzależnionych od narkotyków. Wczytywałam się w programy zajęć i metodologie, próbując się zorientować, jakie byłoby najlepsze podejście do moderowania sesji. Kiedy nie potrafiłam sobie z czymś poradzić na poziomie emocjonalnym, starałam się obwarować twardymi faktami, co przychodziło mi znacznie łatwiej.

Bo przecież wiedziałam, że to doświadczenie będzie trudne i może wyzwolić we mnie bolesne wspomnienia, których wolałabym nie odgrzebywać. Podjęłam jednak zobowiązanie i postanowiłam się z niego wywiązać. Ostatecznie byłam przecież odpowiedzialna za to, dokąd zmierza moje życie, i właśnie taki zamierzałam mu nadać kierunek.

Skrzywiłam się na pytanie Kristie.

– Podstępne sukinkoty – powiedziałam, przesuwając krzesła tak długo, aż ich ustawienie wreszcie mnie usatysfakcjonowało. Kiedy skończyłam, przysiadłam obok siedzącej przy stole Kristie i zaczęłam wypakowywać ciastka i babeczki ze stojącej na podłodze torby z zakupami.

Kristie uniosła dłoń i pokazała trzy owinięte plastrami palce.

– Mnie dopadły w zeszłym tygodniu. Te krzesła są bezlitosne – zażartowała.

Kristie zbliżała się do czterdziestki i prowadziła program terapii dla pacjentów ambulatoryjnych w miejskim ośrodku leczenia uzależnień. Roztaczała wokół siebie aurę skromności, która była jednocześnie odprężająca i zapraszająca. Ze swoimi ciemnymi kręconymi włosami i zielonymi oczami wyzierającymi zza ciemnych oprawek okularów była wcieleniem wspierającego terapeuty. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego ludzie z chęcią opowiadali jej o swoich problemach. W jej zachowaniu nie dawało się wyczuć surowości, a jej głos działał kojąco. Natychmiast ją polubiłam. I dobrze, biorąc pod uwagę, że to wspólnie z nią miałam prowadzić tę grupę przez kolejnych dwanaście tygodni.

– Przyjrzyjmy się materiałom na dzisiejsze zajęcia grupy. Tak jak ci już powiedziałam przez telefon, kiedy rozmawiałyśmy w zeszłym tygodniu, niczego szczególnego dziś od ciebie nie oczekuję. Po prostu poobserwuj, poznaj członków grupy, zorientuj się, jak to wszystko działa. Dzisiejsza sesja będzie przede wszystkim wprowadzeniem, możliwością poznania się uczestników. Nie zdziw się, jeśli niektórzy będą stawać okoniem. Nie wszyscy są tutaj z własnej woli i nie ma siły, zawsze jedna czy dwie osoby cwaniakują – powiedziała Kristie, wyciągając notatnik z torby.

Usiadłam obok niej, kiedy zaczęła przerzucać kartki.

– Naprawdę? Sądziłam, że to jest grupa, do której ludzie się zgłaszają, bo chcą otrzymać pomoc – powiedziałam skonsternowana.

Kristie dobrodusznie zachichotała.

– Bardzo bym tego chciała. Moja praca stałaby się o niebo łatwiejsza. Ale nie, część osób dostała nakaz sądowy, bo złapano je na posiadaniu narkotyków, co zwykle uznawane jest

za wykroczenie. Niektórzy złamali prawo po raz pierwszy, inni przechodzą tę procedurę po raz kolejny. Zawsze masz nadzieję, że przyswoją coś z tego, co próbujesz im przekazać, ale nie, nie jestem tak naiwna – powiedziała, wręczając mi stosik plakietek z imionami.

– No nie, wyczuwam cynizm, Kristie – powiedziałam zaczepnie.

Znów zachichotała.

– Pracuję z grupą uniwersytecką od prawie pięciu lat. Pielęgnuję w sobie nadzieję, że coś to zmienia, ale jestem tylko człowiekiem. I widziałam zbyt wielu ludzi, którzy skończyli na dnie, żeby myśleć inaczej. Ale się nie poddajemy. Nie mamy wyboru – zauważyła mądrze.

Cóż mogłam na to powiedzieć? Rozumiałam jej znużenie, lecz mimo to nie zamierzałam porzucać nadziei.

– Czy wszyscy uczą się na LU? – zapytałam.

Kristie skinęła głową.

– To grupa dla studentów. Opiekuję się też kilkoma innymi grupami w mieście, ale tę prowadzimy oddzielnie i przeznaczona jest wyłącznie dla społeczności studenckiej. Te dzieciaki stają wobec zupełnie innych problemów niż uzależnieni, z którymi stykam się na pozostałych spotkaniach. Ich nałogom towarzyszą presja, oczekiwania i niepowodzenia uniwersyteckiego życia.

Przytaknęłam.

Kristie wypisała swoje imię na jednej z etykietek, po czym przykleiła ją sobie na sukience. Zrobiłam to samo, po czym położyłam etykietkę i długopis na każdym krześle. Miałam mętne wyobrażenie o tym, czego się spodziewać po tej grupie. Mając narkomankę w rodzinie, widziałam z bliska, jak wygląda ten konkretny rodzaj popieprzenia.

Lecz mimo to... byłam pełna obaw.

Wszystko to miało związek z pewnym porankiem trzy lata wcześniej, kiedy to obudziłam się i usłyszałam policjantów stojących przed drzwiami naszego domu. Mnie i rodzicom powiedziano, że moją piętnastoletnią siostrę Jayme znaleziono martwą w jakimś zaszczanym zaułku. Właśnie wtedy wszystko, co znałam – cały mój świat – zawirowało wokół własnej osi.

Początkowo zupełnie sobie nie radziłam ze stratą. Zadręczałam się pretensjami, a wyrzuty sumienia zjadały mnie żywcem. Rodzice obwiniali mnie o to, że nie zaopiekowałam się młodszą siostrą, a ja winiłam się za to, że tyle czasu spędzałam w swoim świętoszkowatym, wyniosłym odosobnieniu, nie widząc, co się naprawdę dzieje. W rezultacie moje stosunki z rodzicami pogorszyły się tak bardzo, że prawie przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Postawiłam sobie za cel naprawienie potrzaskanego ja i nadanie życiu sensu. W głębi duszy byłam przekonana, że pomaganie innym w jakiś sposób pomoże i mnie pójść naprzód i zostawić za sobą zrujnowaną przeszłość.

Tak więc przyjechałam na Uniwersytet Longwood, chcąc uciec z domu i skoncentrować się na uzyskaniu dyplomu terapeuty osób uzależnionych od narkotyków. Wybrałam miejsce na tyle odległe od mojego rodzinnego miasta w Karolinie Północnej, by mieć poczucie, że znalazłam się w innym świecie, a jednocześnie na tyle bliskie, by uniemożliwić sobie prawdziwą ucieczkę od tego, co się zdarzyło. Bo przecież codziennie musiałam sobie o tym przypominać. To była moja motywacja. Dzięki niej każdego cholernego ranka udawało mi się zwlec z łóżka.

To ona zrobiła ze mnie wojowniczkę.

Mimo to byłam przerażona. Bałam się jak diabli, że nigdy nie będę w stanie zrobić wystarczająco dużo dla ludzi potrzebujących mojej pomocy. Nigdy nie będę w stanie powstrzymać ich przed osunięciem się na dno, kiedy ten proces już się zacznie. Obawa przed porażką była dotkliwa i wycieńczająca.

Kristie sprawiała, że wszystko wydawało się takie proste. Emanowała budzącą podziw aurą kompetencji. Musiała wyczuć mój niepokój, bo łagodnie poklepała mnie po ramieniu.

– Każdy niesie własny krzyż, Aubrey. Twój doprowadził cię tutaj. I wiem, że to dobrze. Dla ciebie i dla ludzi, których życie będziesz mogła zmienić – powiedziała z przekonaniem.

Zmusiłam się do uśmiechu, żałując, że nie potrafię jej uwierzyć. Brak wiary w siebie nie opuszczał mnie niczym komar bzycający koło ucha. Im bardziej starałam się go odgonić, tym bardziej uporczywie mnie dręczył.

Wkrótce jeden po drugim zaczęli się pojawiać członkowie grupy. Była stosunkowo nieliczna, spodziewaliśmy się zaledwie dwunastu osób. Nie wiedziałam wiele o przeszłości uczestników, ale Kristie szybko streściła mi historie tych, którzy byli w grupie już wcześniej. Większość stanowili jednak nowicjusze. Trójka dostała nakaz sądowy po tym, jak wysunięto przeciw nim zarzuty wykroczeń związanych z narkotykami. Reszta przychodziła tu dobrowolnie, co przyniosło mi pewną ulgę. Miałam nadzieję, że to oznacza, iż będą mniej wojowniczy, a bardziej zgodni i otwarci.

Sala zaczęła się zapełniać. W dwóch dziewczynach rozpoznałam członkinie jednego z działających na uniwersytecie stowarzyszeń studenckich. Czy byłam wstrząśnięta, spotykając je w grupie wsparcia dla osób uzależnionych od narkotyków? Mało powiedziane! Choć jeśli czegokolwiek się w życiu nauczyłam, to była to świadomość, że nałóg nie wybiera.

Za nimi weszli chłopak i dziewczyna, najwyraźniej para. Sprawiali wrażenie niepewnych i mocno zdenerwowanych. Jakaś egoistyczna część mnie poczuła ulgę, że nie jestem jedyną, która panikuje.

Musiałam zdobyć się na coś więcej niż tylko stanie pod ścianą i usilne się w nią wtapianie. Jeśli chciałam, żeby Kristie zaliczyła mi godziny pracy ochotniczej, to musiałam od razu rzucić się na głęboką wodę. Kogo obchodziło, czy mi przemokną buty?

Podeszłam do pary z uśmiechem, który – miałam nadzieję – można było uznać za zachęcający. Chłopak wydawał się bardzo opiekuńczy w stosunku do swojej dziewczyny. Otoczył ją ramieniem, a ona tak się w niego wtuliła, jakby mógł ją osłonić przed całym światem. Miał krótko ostrzyżone ciemne włosy i kolczyki w kształcie kółek na zewnętrznej krawędzi małżowiny, w dżinsach dziury na kolanach, a na sobie stary T-shirt *Black Sabbath*.

Jego drobna dziewczyna miała jaskraworóżowe włosy sięgające prawie do ramion. W przegrodzie nosowej nosiła okrągły kolczyk, a do tego dwa kolce w lewej brwi. Na boku jej szyi dostrzegłam kawałek tatuażu. Wyglądem robiła wrażenie, a mimo to wydawała się bardzo płochliwa.

– Cześć, mam na imię Aubrey – przedstawiłam się.

Dziewczyna zerknęła na mnie z ukosa i szybko odwróciła wzrok. Zobaczyłam, jak chłopak ściska ją za ramię, po czym zwraca się do mnie. Nie uśmiechał się. Miał ciemnobrązowe, chłodne oczy.

– Cześć – odpowiedział krótko, nie przedstawiając się.

Spojrzałam znów na dziewczynę, ale ona tylko wtuliła twarz w pierś swojego chłopaka,

a ja zaczęłam się zastanawiać, co ich właściwie spotkało. Byli zdecydowanie nieprzyjaźni i żałowałam, że w ogóle do nich podeszłam. Ale przecież po to tutaj byłam. W końcu będą się musieli do mnie przyzwyczaić.

– Cieszę się, że przyszliście. Siadajcie. Na stole z tyłu są napoje i coś do przegryzienia. Zaczynamy za dziesięć minut – powiedziałam, zmuszając się do uśmiechu.

Chłopak przyjrzał mi się uważnie i podejrzliwie, mrużąc oczy. Dziewczyna otoczona jego opiekuńczym ramieniem nawet nie drgnęła. Było w nim coś, co przywiodło mi na myśl Devona, a to wzbudziło we mnie natychmiastową niechęć. No dobra, to do niczego nie prowadziło. Nie starając się już przedłużać rozmowy, wróciłam na swoje krzesło.

Kristie rozdawała pakiety informacyjne osobom, które zajęły już swoje miejsca. Kiedy podeszłam, żeby usiąść obok niej, podniosła głowę, po czym powiodła spojrzeniem za parą, która w końcu ruszyła się w stronę krzesel. Chłopak nie obejmował już dziewczyny, ale ścisnął ją za rękę tak mocno, że to musiało boleć.

– Widziałam ich w przychodni w mieście. Wiem, że to dwoje z tych, co dostali nakaz sądowy. Nie bierz do siebie ich opryskliwości. Myślę, że to dość nieokrzesa parka – powiedziała Kristie cicho, obserwując ich uważnie.

– Nie, no jasne, po prostu dość chałowe miałam wejście – wymamrotałam, przerzucając kartki broszury wprowadzającej.

Kristie zachichotała.

– Jakby od początku szło świetnie, to zaczęłabym się obawiać, że grupa będzie nudna – zażartowała.

Starłam się nie gapić na pozostałe osoby wchodzące do sali, ale nie było to łatwe. Zwłaszcza gdy zdałam sobie sprawę, że całkiem sporo uczestników rozpoznaję, co dotyczyło zwłaszcza jednego chłopaka z bractwa studenckiego, który trzymał się z Brooksem.

Nie byli szczególnie gadatliwi. W sali panowała cisza, jeśli nie liczyć odgłosu krzesel przesuwanych po podłodze, kiedy po kolei zajmowali wybrane przez siebie miejsca.

Chwilę przed rozpoczęciem spotkania drzwi otworzyły się na oścież, a ja podniosłam wzrok na osobę, która w nich stanęła.

Nastrój w sali momentalnie się zmienił, a powietrze zatrzęszczało elektryczną energią. Uderzyła mnie nieuchwytna myśl. Chłopak, który wszedł do sali, był... śliczny. Było to jedyne słowo, jakie mój otumaniony mózg zdołał z siebie wyrzucić, by go opisać.

Szerokie barki rozpięły koszulkę, która wyglądała, jakby została skrojona idealnie na niego. Blond włosy spadały rozczochranymi kędziorami za uszy. Niemal przeraźliwie niebieskie oczy okalały najgęściejsze i najczarniejsze rzęsy, jakie kiedykolwiek widziałam. Takie rzęsy u chłopaków powinny być karalne.

Miał szczupłą twarz i dołek w brodzie. Rozglądając się po zebranych, rozciągnął usta w pogardliwym uśmieszku. Wchodząc do sali, ściągnął na siebie spojrzenia dosłownie wszystkich: kobiet i mężczyzn. Wyglądał na kogoś, kto rozkoszuje się robionym przez siebie wrażeniem.

Zmarszczyłam brwi. W jego ruchach było coś, co sprawiało, że wydawał mi się znajomy.

– Witamy! Chodź, siadaj. Właśnie mieliśmy zaczynać – zawołała Kristie do nowo przybyłego, przerywając mi rozmyślenia.

Pan Seksownie Niebezpieczny powoli podszedł do ostatniego niezajętego krzesła, które, tak się składa, stało dokładnie naprzeciw mnie.

Opadł na zimne, metalowe siedzenie i wyciągnął nogi przed siebie, jakby rozpierał się na kanapie, a nie przyszedł na spotkanie grupy wsparcia. Błysnął w uśmiechu zębami w kierunku siedzących obok niego dziewczyn, które wyglądały na dość oszołomione. Trudno się dziwić.

Jego sposób noszenia się wydawał się kompletnie nie na miejscu. Jak na uczestnika grupy wsparcia dla osób uzależnionych, był trochę zbyt pewny siebie. Wciąż patrzyłam w jego stronę ze zmarszczonymi brwiami, starając się go przejrzeć. Było w nim coś niezaprzeczalnie hipnotyzującego, ale jednocześnie coś, czego nie potrafiłam do końca uchwycić. Doprowadzało mnie to do szaleństwa.

Odwrócił głowę, spojrzał na mnie i zamrugnął, jakby zaskoczony. Nastroszył brwi, przyglądając mi się tak uważnie, jak ja przyglądałam się jemu.

– No dobrze. Nazywam się Kristie Hinkle, jestem terapeutką, pracuję w miejscowym ośrodku leczenia uzależnień. A to jest Aubrey Duncan. Studiuje tutaj, w Longwood, i będzie razem ze mną prowadzić spotkania grupy przez kolejnych dwanaście tygodni.

Uniosłam dłoń w niezręcznym geście pozdrowienia.

Napotkałam spojrzenie dwunastu par oczu, które wydawały się pochłaniać mnie wzrokiem i oceniać, a wszystko w przeciągu trzydziestu sekund. Och, kurczę, to nie będzie łatwe. Błękitne oczy po drugiej stronie nie odrywały się od mojej twarzy i czułam się z tym zdecydowanie niekomfortowo.

Kristie uśmiechnęła się i skinęła lekko głową w moją stronę, sygnalizując mi, że teraz ja powinnam coś powiedzieć. Wzięłam głęboki wdech i rozejrzałam się po twarzach.

– Cześć. Naprawdę bardzo się cieszę z możliwości uczestnictwa w spotkaniach grupy. Studiuje poradnictwo terapeutyczne i mam nadzieję, że moje doświadczenie może... no nie wiem... w jakiś sposób wam pomóc – powiedziałam. Wszystko to zabrzmiało tak pretensjonalnie, że miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Byłam pewna, że mnie nienawidzą.

Kilka dziewczyn przewróciło oczami, a mowa ich ciała natychmiast uświadomiła mi, że miałam rację. Absolutnie mnie nienawidzili. Może rzeczywiście nie byłam do tego stworzona.

Kristie zorientowała się, że się zaplątałam, i przejęła pałeczkę.

– Część z was znam, reszta to nowe osoby. Chciałabym, żebyśmy poświęcili chwilę na przedstawienie się po kolei pozostałym. Opowiedzcie coś o sobie. Dlaczego tutaj jesteście? Co macie nadzieję zyskać w ciągu kolejnych dwunastu tygodni? Pamiętajcie, że w tym miejscu możecie mówić bez obaw. Cokolwiek powiecie w tej sali, w tej sali zostanie. Wszyscy jesteśmy zobowiązani do zachowania poufności. Ważne, byście mogli zaufać dosłownie każdej spośród zgromadzonych tu osób, inaczej to nie zadziała.

Kristie skinęła głową w stronę dziewczyny, którą kojarzyłam z recepcji biblioteki uniwersyteckiej. Dziewczyna spuściła wzrok na etykietkę ze swoim imieniem i wskazała na nią z nieśmiałym uśmiechem.

– Nazywam się Marissa. Jestem na drugim roku i od prawie dwóch lat walczę z uzależnieniem od ritalinu – powiedziała szybko, jakby chciała to już mieć na sobą.

Kristie się uśmiechnęła.

– Cieszymy się, że tutaj jesteś, Marisso – powiedziała szczerze.

Po kolei zabierały głos pozostałe osoby siedzące w kółku. Był Kyle, chłopak z bractwa

studenckiego. Z zaskoczeniem dowiedziałam się, że dwukrotnie złapano go na posiadaniu kokainy i teraz się bał, że straci stypendium futbolowe. Patrząc na niego, widziało się wysportowanego mięśniaka, który żył, by dobrze się bawić. Nigdy bym nie podejrzewała, że zмага się z czymś takim.

Potem były Lisa i Twyla, dziewczyny ze stowarzyszenia studentek i najlepsze przyjaciółki, ale również, jak się okazało, osoby uzależnione od metamfetaminy, dzięki której mogły nie spać i zdążyć ze wszystkimi pracami zaliczeniowymi. Był Josh, palący trawę tak często, że zawałał większość zajęć. Gigi, która lubiła w weekend łyknąć sobie ekstazy. Grant i Vince z upodobaniem do środków przeciwbólowych. I Lynette, która po zesłorocznej operacji kolana uzależniła się od percocetu.

A potem Kristie zwróciła się do wrogiej pary, która w miarę przedstawiania się pozostałych stawiała się coraz bardziej podenerwowana.

– A co z waszą dwójką? Co wy dwoje macie nadzieję uzyskać dzięki uczestnictwie w grupie? – zapytała Kristie ciepło.

Dziewczyna spojrzała na swoją rękę, wciąż stłamszoną w uścisku większej dłoni chłopaka. Nie podniosła wzroku, jaskraworóżowe włosy opadały jej na oczy.

Chłopak zacisnął wargi i milczał tak długo, że prawie straciłam nadzieję, że się w ogóle odezwie. W końcu z zaciętym wyrazem twarzy wyszeptał:

– Ja jestem Evan, a to jest April. Chcemy po prostu odbębnić swoje i mieć to gównem z głowy.

Zerknęłam na Kristie. Nie umknęło mojej uwadze, że ledwie dostrzegalnie zmrużyła oczy. Przeniosła wzrok na April, która jakby zapadła się w sobie. To będzie twardy orzech do zgryzienia. Funkcjonowanie tej pary było zwyczajnie niepokojące.

– Zgadzasz się z tym, April? Jesteś tutaj tylko po to, żeby odbębnić wymagane godziny? A może jest coś, czego masz nadzieję się nauczyć?

Dziewczyna z różowymi włosami pokręciła głową. Kilka chwil później Kristie zdała sobie sprawę, że z najwyraźniej niemej April nic więcej nie wydobędzie.

Pozostał blondyn o niebieskich oczach, który na przyklepionej do koszulki plakietce napisał: Maxx. Kristie sprawiała wrażenie, jakby możliwość skupienia się na nim sprawiała jej ulgę. Przesiedział w milczeniu prezentacje kolejnych osób, sprawiając wrażenie wzorowego członka grupy. Gdy pozostali zabierali głos, pilnował się, by wyglądać na zainteresowanego, ale miałam nieodparte przekonanie, że w gruncie rzeczy gównem go to obchodzi. Jakby to wszystko było przedstawieniem, a on doskonale wiedział, jak ma odegrać swoją rolę.

– No i wreszcie ostatni członek grupy. Może powiesz nam w kilku słowach, dlaczego tutaj jesteś? – powiedziała Kristie.

Szeroki uśmiech Maxxa był zwodniczo łagodny, ale ta łagodność nie odbijała się w jego oczach. Żałowałam, że nie wiem, jaką kryją w sobie tajemnicę.

Pozostałe dziewczyny z grupy nie odrywały od niego wzroku. Czytałam kiedyś książkę o przywódcach sekt religijnych, którzy byli w stanie jednym gestem czy uśmiechem kontrolować wszystkich zgromadzonych w pokoju. Mieli charyzmę, dzięki której inni gotowi byli oddać za nich życie. Zawsze sądziłam, że to bzdury. Przecież nie mogły istnieć postaci tak magnetyczne, by ludzie z radością skakali za nimi w przepaść, gdy tylko zostaną o to poproszeni.

Patrząc na Maxxa i na to, jak wszyscy do niego lgnęli, w końcu pojęłam. Przeróżające było to, że ten tajemniczy chłopak w oczywisty sposób zdawał sobie sprawę z posiadanej władzy. I czerpał z niej przyjemność.

Chociaż zdecydowanie nie darzyłam go przyjaznymi uczuciami, nie potrafiłam powstrzymać odruchowej reakcji na jego obecność. Przez głowę przemknęły mi fantazje o naszych ocierających się ciałach. Wyglądał na kogoś, kto pragnie sprawować kontrolę, i aż zadrżałam na wyobrażenie o tym, by mu ją oddać.

Moje sprzeczne emocje były nieetyczne i kompletnie nieprofesjonalne. Miałam pełnić funkcję moderatora i opiekuna grupy. Odgrywałam tutaj rolę autorytetu – choć wątego – i nie powinnam pożądać chłopaka, który przyszedł do mnie na terapię.

Co się ze mną działo? Było to tak całkowicie sprzeczne z moim charakterem, że aż mną wstrząsnęło.

Maxx leniwie rozejrzał się po pokoju, spokojnie przesuwając spojrzenie po twarzach siedzących w kółku ludzi, aż w końcu jego wzrok spoczął na mnie. Wysunął język, by oblizać dolną wargę, a ja mimowolnie ześliznęłam się spojrzeniem na jego usta. Jasna cholera...

Po jego twarzy przemknął jakiś nieokreślony grymas, lecz zniknął równie nagle, jak się pojawił. Jakby go nigdy nie było. Język ukrył się za zębami i chłopak uśmiechnął się do mnie szeroko, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy potrafi odczytać nieprzyzwoite myśli kłębiące się w mojej głowie.

I to mnie wkurzyło. On mnie wkurzał. Co było nieracjonalne, bo przecież go nawet nie znałam.

Poczerwieniałam gwałtownie pod jego badawczym spojrzeniem. Im dłużej na mnie patrzył, tym bardziej wydawał mi się znajomy. To dziwne uczucie towarzyszyło mi od jego wejścia do sali. Kiedy w końcu odwrócił wzrok, odetchnęłam głośno, co wprowadziło mnie w jeszcze większe zakłopotanie.

Kristie obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem, po czym zwróciła się do Maxxa. Kąciki ust mu drgnęły, jakby dostrzegał w tym wszystkim coś zabawnego. A potem, jak za naciśnięciem przycisku, rysy wygładziły się, a oczy przybrały poważny wyraz. Jakbym obserwowała kogoś nakładającego maskę. Jednolitą i całkowicie skrywającą prawdziwą twarz.

– Nazywam się Maxx Demelo – zaczął cichym, niskim głosem.

Przełknęłam gulę w gardle.

Ten głos. Znałam go. Ale skąd?

Maxx rozłożył ręce i wzruszył szerokimi ramionami, jakby miał zamiar wyjawic głęboko skrywane sekrety swojej duszy. Spojrzeniem prześlizgnął się znów na mnie i powiedział z absolutną szczerością:

– I przyszedłem tu, by mnie ocalono.

Chyba nie mówił poważnie?

Rozejrzałam się po twarzach pozostałych członków grupy i szybko zdałam sobie sprawę, że wszyscy to lękali. Kristie pochyliła się do przodu i oparła łokcie na kolanach, sprawiając wrażenie, jakby poważnie rozważała jego słowa.

– Dość trudne zadanie, nie sądzisz? – zapytała i widziałam, że była równie zafascynowana Maxxem jak cała reszta. Wszyscy, łącznie z Evanem i April, skupili wzrok

na tym blondwłosym, niebieskookim chłopaku obnoszącym swoją wrażliwość niczym medale za zasługi. Było to całkowicie sprzeczne z wizerunkiem zadufanego w sobie, ironicznego koleśka, który wszedł do sali zaledwie piętnaście minut wcześniej. Zupełnie jakby bawił się w przebieranki, próbując wybrać najlepszą rolę do odegrania.

Skrzyżował nogi w kostkach i oparł dłonie na kolanach.

– Nie sądzę – powiedział. Jego oczy znów powędrowały w moim kierunku i poczułam się jak mysz w pułapce. Naprawdę wolałabym, żeby już przestał się we mnie wpatrywać. – Odnalazłem drogę do piekła i pragnienie zbawienia to jedyne, co trzyma mnie przy życiu – ciągnął cicho i bez pośpiechu, a ja nie potrafiłam powiedzieć, czy karmi nas przygotowaną zawczasu kwestią, czy mówi serio. – Jestem gotów dostąpić zbawienia. Potrzebuję go, Kristie. Zrobię wszystko, co trzeba, żeby zostać zbawionym. – Jego głos zabrzmiał niemal gniewnie. Wszyscy przez kilka minut milczeli, jakby jego słowa poruszyły jakieś głęboko ukryte w nas struny.

W końcu Kristie zamrugła i uśmiechnęła się do grupy, jakby otrząsając się z rzuconego przez Maxxa czararu.

– No cóż... – zaczęła i odchrząknęła. – Miejmy nadzieję, że ci się uda – powiedziała nieco zbyt pogodnie.

Nie spuszczałam wzroku z Maxxa i nie miałam już żadnych wątpliwości, że jest niebezpieczny. Było w nim coś pierwotnego i nieskrępowanego. Był siłą gotową pociągnąć za sobą w przepaść wszystko i wszystkich, by spalić ich w szalejących płomieniach. A po wszystkim zatańczyłby na zgliszcach.

Był przerażający.

Ta grupa to był jakiś żart, ale jeśli nie chciałem skończyć w pudle, musiałem to przełknąć i spędzić kolejne dwanaście tygodni na gadaniu o moich pieprzonych uczuciach. Wystarczająco dużą część swojego dwudziestojednoletniego życia spędziłem na terapiach, by się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi. I doskonale wiedziałem, jak odegrać swoją rolę, by przejść przez to możliwie bezboleśnie.

Opowiedz jakąś łzawą historyjkę. Zachowuj się tak, jakbyś wierzył w te bzdury, którymi cię karmią. A potem zabieraj swój tyłek na tyle daleko, żebyś nigdy więcej nie musiał do tego wracać.

Ależ byłem głupi. Zgubiła mnie nadmierna pewność siebie. O tyle miałem szczęście, że chwilę wcześniej sprzedałem większość towaru, który miałem przy sobie tego wieczoru, i zostało mi tylko kilka tabletek. Posiadanie dragów bez zamiaru sprzedaży było wykroczeniem, za które czekały mnie albo praca społeczna i obowiązkowe uczestnictwo w terapii, albo siedzenie w więziennej celi i zadreczanie się, że jak tylko upuszczę mydło pod prysznicem, ktoś mnie zerżnie w tyłek.

Zamierzałem więc przeobrazić się w Maxxa dręczonego wstydem i wyrzutami sumienia. Kolesia, który żałuje podjętych decyzji, choć jednocześnie planuje, jak ponownie wcielić je w życie.

Tak się bowiem składało, że możliwość dokonywania wyborów odebrano mi już dawno temu, a w moim świecie nie było miejsca na skrupuły.

W środowy wieczór wszedłem do sali, spodziewając się jednej wielkiej cholernej farsy.

Czego się jednak nie spodziewałem, był widok dziewczyny z długimi blond włosami i ze wzrokiem, który przewiercał mnie na wylot. Kompletnie mnie zaskoczyła i zupełnie wytrąciła z równowagi.

Nic nie mogłem poradzić na to, że mnie do niej ciągnęło. Niektóre rzeczy trudno zignorować. Jedną z nich było to, jak mi stawał, kiedy patrzyłem na jej długie nogi.

Walnąłem z grubej rury. Wiedziałem, co zrobić i co powiedzieć, żeby dostać to, czego chciałem.

Miałem jednak niejasne poczucie, że ona wcale nie kupuje tego, co próbuję jej sprzedać. I wcale nie miałem pewności, co mam z tym, do diabła, zrobić. Wszystko mi się pomieszało, co wkurzało mnie do szaleństwa.

A jednocześnie utwierdziło w postanowieniu.

Czy sobie to uzmysławiała, czy nie, jej lekceważenie wystarczyło mi za całą motywację.

Patrzyłem więc, jak mnie obserwuje, i stopniowo dochodziłem do wniosku, że może ta cała grupa wsparcia nie będzie taka zła.

– Może byś wreszcie odebrała? – zapytał Brooks ze swojego miejsca na mojej kanapie, gdzie znakomicie odgrywał rolę zgnuśnialego piwosza.

Mój telefon wibrował w kółko, przesuwając się po blacie stolika do kawy. Kuliśmy od trzech godzin, jak mieliśmy w zwyczaju co tydzień. Próbowałam przygotowywać się do egzaminu z psychologii rozwojowej, a Brooks nieźle markował pisanie pracy na genetykę behawioralną.

Oboje z Brooksem naprawdę się przykładaliśmy do prac zaliczeniowych. Choć niekiedy to chyba ja wkładałam więcej energii w naukę niż on.

Właściwie nie zarejestrowałam, że mój telefon od dziesięciu minut wariuje. Brooks przechylił się przez stół i pstryknął mi palcami przed nosem.

Spojrzałam na niego wilkiem i pacnęłam go w rękę.

– Przestań! – burknęłam, przerzucając kartki podręcznika, całkowicie pochłonięta zagadnieniem przyswajania języka przez dzieci. Pasjonująca dziedzina.

– Odbierz to albo wyłącz, Aubrey, zanim wyrzucę ci telefon przez okno – ostrzegł Brooks.

Uśmiechnęłam się z rozbawieniem, aż za dobrze znając to powarkiwanie. Brooks wyglądał już na nieźle nawalonego. Włosy sterczały mu na wszystkie strony i patrzył na mnie udręczonym wzrokiem.

– Dobra, dobra. Wyluzuj, stary – zakpiłam, w ostatniej chwili ratując swój telefon przed upadkiem na podłogę. – Halo? – powiedziałam, nie zwracając sobie głowy sprawdzaniem, kto dzwoni. Głupia Aubrey! Powinnam była się już nauczyć, że zawsze należy sprawdzać numer dzwoniącego.

– Bre. Wreszcie! Od godziny próbuję się do ciebie dodzwonić! – skarciła mnie matka przez telefon.

Momentalnie zapadłam się w siebie. Nie tylko z powodu karcącego głosu mojej rodzicielki, lecz także uporą, z jakim używała tego przezwiska.

A przecież należało je pogrzebać wraz z osobą, która mi je nadała. Ale mama nie przestawała go używać, a ja wiedziałam, że robi to tylko po to, by sprawić mi ból.

– Przepraszam, mamó. Wyciszyłam telefon. Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytałam, porzucając wszelkie pozory cywilizowanej pogawędki i natychmiast przechodząc do rzeczy.

Nie rozmawiałam z rodzicami od ponad czterech miesięcy. Zawarliśmy milczący układ, by pozostawić się wzajemnie w spokoju, komunikując się tylko w razie konieczności.

Od dwóch lat nie byłam w domu w Karolinie Północnej. Od śmierci Jayme przestał być dla mnie domem.

– To niepoważne. A gdyby coś się stało? Nikt by się nie mógł do ciebie dodzwonić! – powiedziała z naganą mama, wbijając nóż jeszcze głębiej. Sprawiała wrażenie zatroskanej, ale pozory mylą.

– Przepraszam, mamó – powtórzyłam.

Szkoda, że żadne przeprosiny nie mogły odwrócić szkód wyrządzonych w ciągu ostatnich

trzech lat.

Matka fuknęła, najwyraźniej przekonana, że jej oburzenie jest usprawiedliwione. Znakomicie odnajdywała się w roli męczennicy. Matrony poświęcającej się dla niewdzięcznej rodziny.

Mdliło mnie od tego wszystkiego.

– Musisz wrócić do domu – powiedziała bez dalszych wstępów.

Serce stanęło mi w piersiach i tak mocno ścisnęłam telefon, że aż krew przestała mi krążyć w palcach.

Milczałam, bojąc się odezwać. Głęboko wciągnęłam powietrze przez nos. Nie śmiałam spojrzeć na Brooksa, który – wiedziałam to doskonale – patrzył na mnie z zaciekawieniem. Nie miał pojęcia, na jaką emocjonalną minę właśnie weszłam, odbierając ten telefon. Nie znał tego fragmentu mojego życia, który z dużym zaangażowaniem starałam się przed nim ukryć.

– Bre! Usłyszałaś mnie? To ważne. Inaczej bym nie dzwoniła – powiedziała bezceremonialnie, raniąc mnie do głębi prawdą tych słów.

– Dlaczego? – zapytałam wreszcie i odchrząknęłam, próbując pozbyć się z gardła wielkiej guli, która w nim urosła.

Matka z irytacją prychnęła mi donośnie prosto do ucha.

– Chyba sobie żartujesz? Czy ja naprawdę muszę ci przypominać, co przypada za tydzień? – wypaliła z nienawiścią.

Gula w gardle przerodziła się w falę gniewu. Nie zapomniałam, do jasnej cholery! Nigdy nie zapomnę. Nie ona jedna straciła Jayme. Ale moi rodzice zachowywali się tak, jakby wyłącznie oni opłakiwali utratę piętnastoletniej dziewczynki, która zbyt szybko zniknęła z naszego życia.

– Nie, mamó, nie zapomniałam – odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby.

Tak jawne zlekceważenie moich uczuć sprawiło, że chciałam krzyczeć i miotać się ze złości. Ale Aubrey Duncan była mistrzynią nieokazywania emocji. Musiałam się nią stać. Tylko tak mogłam przetrwać.

– Miejscowa świetlica młodzieżowa przygotowuje memoriał ku pamięci Jayme Belle i chcą, żebyśmy na niego przyszli. Twój ojciec powie kilka słów, będą prasa i ekipa lokalnej telewizji. Cała rodzina powinna być obecna. – Słowa mojej matki brzmiały jak wyrok. Nie było od nich odwołania.

Oczekiwano ode mnie, że dostosuję się bez słowa.

Ale nie zamierzałam.

Nie mogłam.

I chociaż w głębi duszy chciałam zasypać tę przepaść ziejącą w mojej rodzinie, nie mogłam powrócić do Marshall Creek. Nie zdołałabym wejść do dwupiętrowego ceglanego domu, w którym się wychowałam. Nie potrafiłabym przejść obok zamkniętych drzwi, które nigdy więcej się nie otworzą.

Mowy nie ma.

– Nie dam rady – powiedziałam cicho, przygotowując się już na nieunikniony cios.

– Nie dasz rady? – powtórzyła moja matka wściekle, a ja pokręciłam głową, chociaż nie mogła mnie zobaczyć. – Chcesz mi powiedzieć, że nie przyjedziesz do domu na memoriał ku pamięci twojej młodszej siostry? Nie możesz na kilka dni zostawić swojego życia, by ją

uhonorować? Właśnie ty w pierwszej kolejności powinnaś rozumieć, jakie to ważne! Jesteś jej to winna! – Głos mojej matki załamał się, przechodząc w ostry pisk.

Zamknęłam oczy, pilnując się, by nie zawładnęła mną nienawiść. Nienawiść do matki, która nigdy nie pozwoli mi zapomnieć, jak zawiodłam Jayme. Nienawiść do narkotyków, które odebrały mi siostrę. Nienawiść do cholernego dupka, które jej je dał.

A przede wszystkim nienawiść do samej siebie.

Ta nienawiść zawzięcie tliła mi się w brzuchu, nigdy całkiem nie wygasając, a moja matka doskonale wiedziała, jak rozdmuchać ją w szalejący pożar lasu.

– Muszę już kończyć, mamó. – Nie starałam się nawet nic wyjaśniać. Nie powiedziałam jej, że powrót do Marshall Creek byłby dla mnie zrywaniem plastra z rany, która dopiero zaczęła się goić. To nie miało sensu. Ona przecież nie zamierzała tego słuchać.

A może to ja byłam samolubna? Może powinnam się zmusić do powrotu do domu? Ale po prostu wiedziałam, że w ten sposób nigdy nie osiągnę tego, do czego dążę. Nie potrafiłabym wrócić tam i uczcić Jayme w sposób, na jaki zasługiwała. W całym tym memoriale chodziło wyłącznie o moich rodziców i ich odmowę pogodzenia się z tym, co się stało, a nie o osobę, którą była moja siostra.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś taką egoistką, Bre – wypaliła moja matka.

Mechaniczne kliknięcie zasygnalizowało, że tym zdaniem postanowiła zakończyć rozmowę ze mną.

Szurnęłam telefon z powrotem na stół, pozbierałam zeszyty i podręczniki i wrzuciłam je do plecaka.

– O co chodziło, Aubrey? – zapytał zaniepokojony Brooks.

– O nic – zbyłam go krótko, chwytając garść ołówków i markerów i wrzucając je do torby.

Brooks chwycił mnie za nadgarstek i przytrzymał.

– To wcale nie wyglądało jak nic, Aubrey. Wyglądasz, jakbyś miała zamiar pójść rzucić się z mostu. O co tu, do cholery, chodzi? – zapytał twardo.

Zaśmiałam się ponuro.

– Kurczę, Brooks, miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał przekonywać mnie do zejścia z parapetu. Masz wyjątkowo chałowe metody zniechęcania do samobójstwa.

Przerzuciłam sobie plecak przez ramię i chwyciłam klucze.

– A ty po prostu robisz uniki. Kiedyś będziesz terapeutką, Aubrey. Wiesz, jakie to ważne, żeby nie dusić w sobie, tylko rozmawiać. Tacy przyblokowani wyciągają później uzi w McDonald's. Od tego są przyjaciele, żeby zawczasu stłumić w tobie masowego mordercę – zauważył Brooks pociesznie.

Przewróciłam oczami.

– Może byś tak zafundował darmową psychoterapię komuś, kto jej potrzebuje – warknęłam, bardzo się pilnując, by nie wylądować na nim swojego rozgoryczenia. Ale był pod ręką, a moja wrogość groziła wybuchem termojądrowym.

– No dobra, znaczy się szczerza rozmowa nie wchodzi w grę. To powiedz mi chociaż, gdzie się, do cholery, wybierasz. Bo patrzę na to wszystko z niepokojem – powiedział Brooks.

Pochyliłam się i cmoknęłam go w policzek.

– Przestań się czepiać, nerwusie. Nic mi nie jest. Po prostu zapomniałam, że muszę wziąć z biblioteki książkę do mojej pracy z psychologii społecznej, którą mam oddać za kilka

tygodni. Najdalej za godzinę będę z powrotem. Jak chcesz, możesz zostać. Renee wraca dziś później. – Staralam się, by zabrzmiało to możliwie lekko.

Musiałam się stąd wydostać, przejść się, przewietrzyć myśli. Po głowie tłukły mi się oskarżenia matki grożące otwarciem puszek, w której bardzo starannie ukryłam swoje wspomnienia.

Musiałam się ruszyć. Zająć się czymś. Dla samej równowagi. Nie oderwałabym się od tego wszystkiego, siedząc tu i dalej ucząc się z Brooksem. Musiałam zmienić otoczenie. W ciągu kilku ostatnich lat wypracowałam sobie precyzyjne mechanizmy radzenia sobie z paskudnymi myślami kłębiącymi mi się w głowie.

– Dobra, jak sobie chcesz – powiedział Brooks, zgarniając swoje rzeczy.

Wiedziałam, że się na mnie wkurzył. Nie pierwszy raz próbował się do mnie przebić, co, swoją drogą, było częstym powodem naszych kłótni, kiedy się jeszcze spotykaliśmy. Nie docierało do niego, że potężny mur, którym się otoczyłam, jest nie do pokonania. Musiał przestać próbować.

– Zadzwoń do ciebie później. Może moglibyśmy pójść na jakiś obiad czy coś? – zaproponowałam, wyciągając w jego stronę jedyną gałązkę oliwną, jaką w tym momencie mogłam mu dać. Nie chciałam, żeby się na mnie gniewał. Był jednym z moich najlepszych, a przy tym bardzo nielicznych przyjaciół, i chociaż nie potrafiłam się przed nim całkowicie otworzyć, to i tak był dla mnie ważny. I zależało mi na tym, żeby o tym wiedział.

Brooks zeszywniał i odwrócił się ode mnie.

– Będę raczej zajęty – odpowiedział szorstko, ruszając do drzwi.

Złapałam go za rękę, zanim zdążył wyjść.

– Brooks, jestem, jaka jestem, i świetnie o tym wiesz. Nie złość się na mnie tylko dlatego, że nie potrafię być osobą, jaką chciałbyś, żebym była – poprosiłam zmęczonym głosem.

Opuścił ramiona, nakrył moją dłoń swoją, uściśnął, po czym wyszedł.

Emocjonalne wyczerpanie groziło mi zapaścią, więc nie poświęcając już ani jednej myśli Brooksi czy matce, pospiesznie wyszłam z budynku i ruszyłam chodnikiem. Rutynowy marsz znajomą trasą prowadzącą na kampus dał mi to, czego po nim oczekiwałam. Poczułam, jak rozluźniają się zaciśnięte supły, a ból w sercu staje się mniej dotkliwy.

Poszłam do biblioteki i znalazłam potrzebne mi książki. Skrupulatnie wynotowałam brakujące fragmenty bibliografii. Poszłam do łazienki, przyglądałam włosy i poprawiłam makijaż.

Po wyjściu z biblioteki ruszyłam na drugą stronę kampusu, gdzie mieściła się studencka stołówka. Pod pokrytą graffiti ścianą zauważyłam kilka osób z wiadrami białej farby. Zwolniłam kroku i patrzyłam, jak wyjmują ogromne wałki i zaczynają zamalowywać jaskrawe kolory. Topić je w niemej neutralności.

Podeszłam bliżej, czując nieokreślony smutek na widok znikającego rysunku reklamującego Compulsion. Zatrzymałam się i zagapiłam na mężczyzn powoli i systematycznie wymazujących wszystkie ślady świadczące o tym, że kiedykolwiek widniał tam jakiś obraz.

– Hej, Maxx! Gdzie te fartuchy? Wszędzie mi tu pryska farba! – zawołał jeden z nich.

Zmartwiałam. Maxx? Czy to możliwe?

Jeden z malujących odwrócił się do mówiącego i zobaczyłam wyraźnie, że faktycznie był to Maxx Demelo. A ponieważ mój dzień już naprawdę nie mógł potoczyć się gorzej,

zobaczyłam leżącą u mych stóp stertę ubrań.

Poważnie rozważyłam ucieczkę. Nic nie mogło mnie wpędzić w większe zakłopotanie niż zostanie przyłapaną na gapieniu się na niego jak kretynka.

No dalej, nogi, ruszać się!

Tylko że jakaś masochistyczna część mnie wydawała się czerpać przyjemność ze zbliżającego się nieuchronnie upokorzenia.

Maxx odwrócił się i ruszył w moją stronę. Było jasne, że jeszcze mnie nie zauważył. Nadal miałam szansę zwać. Gdybym tylko chciała.

Ale nie chciałam. Taka byłam właśnie popieprzona.

Miał na sobie znoszone dzinsy i starą, szarą bluzę Uniwersytetu Longwood. Wilgotne blond włosy przyklepiły mu się do policzków. Na czole miał smugę białej farby.

Wyglądał cudownie i poruszał się tak, jakby świetnie o tym wiedział.

Jego arogancja zaznaczała się w każdym jego kroku, co strasznie mnie irytowało. Nienawidziłam jego pewności siebie. Nienawidziłam tego, że najwyraźniej miał w nosie, co inni o nim myślą. Nienawidziłam tego, że wydawał się posiadać wszystkie przymioty, których mi brakowało.

I wtedy podniósł wzrok i napotkał moje spojrzenie. Skrzywił usta w wyrazie samozadowolenia, jakby moja obecność należała do jakiegoś jego wielkiego planu.

– Cześć, Aubrey – powiedział, schylając się, by podnieść stos fartuchów.

Pomyślałam, żeby go zignorować, ale to nie byłoby grzeczne. A poza tym należał do grupy wsparcia, którą współprowadziłam. Powinnam dążyć do porozumienia z nim. Co było o tyle trudne, że wydawał się budzić we mnie najpierwotniejsze odruchy kładące mi na niego nawrzeszczeć.

– Cześć – odpowiedziałam krótko.

Wiatr zarzucił mi włosy na twarz, zmuszając do wyplucia kosmyków z ust. Super. Znakomity sposób, by sprawiać wrażenie chłodnej i opanowanej, Aubrey!

Maxx uniósł brwi i spokojnie mnie otaksował. Nie odezwał się. Ja też nie. Pod ciężarem jego spojrzenia zaczęłam się czuć niezręcznie. Znów zaczęło mnie dręczyć dojmujące poczucie déjà vu. Czułam, że skądś go znam. Tylko nie miałam pojęcia skąd.

Usta Maxxa wykrzywił drażniący uśmiech, jakby moje zażenowanie go bawiło. Wciąż milczał. Zachowywał się tak, jakby miał nieskończenie dużo czasu, by stać tam i napawać się moim zakłopotaniem.

Nie mogłam tego dłużej znieść.

– Co tam, odmalowujecie mur? – zapytałam. Mówcie mi Kapitan Oczywisty.

Maxx obejrzał się przez ramię.

– Taa... to jedna z prac społecznych – powiedział lekceważąco.

– Prac społecznych? – powtórzyłam tępo.

Maxx zrobił krok i stanął obok mnie. Wyciągnął papierosa i wetknął go sobie do ust. Staralam się nie patrzeć, kiedy się zaciągnął i wydmuchał kłęb dymu.

Nienawidziłam papierosów. Uważałam, że to odrażający nałóg. Więc dlaczego wydawało mi się, że sposób, w jaki Maxx zamyka usta na papierosie, jest seksowny? Uch!

Maxx strzepnął popiół na ziemię i sięgnął po broń, której większości kobiet trudno byłoby się oprzeć.

Uśmiechnął się.

W szerokim, szczerym uśmiechu twarz mu zajaśniała, a oczy rozbłysły. A mnie z wrażenia zaparło dech w piersiach.

A niech mnie, śliczny był.

– No wiesz, nakazane przez sąd sprzątanie bajzlu po innych, malowanie ścian i generalnie zmienianie świata na lepsze – odpowiedział bezbarwnym głosem i mrugnął do mnie.

– No cóż, dobrze wiedzieć, że traktujesz to tak poważnie – zauważyłam, patrząc, jak zaciąga się po raz kolejny, po czym rzuca niedopałek na ziemię i go przydeptuje.

Maxx wzruszył ramionami.

– Po prostu przychodzi mi do głowy całkiem sporo rzeczy, które mógłbym w tym czasie robić.

Czy to pozornie niewinne zdanie kryło w sobie jakieś podteksty? Dlaczego analizowałam po trzy razy każdy niuans naszej rozmowy? Taka niepewność była do mnie całkiem niepodobna.

– Poważnie? – wymamrotałam sucho.

Maxx zachichotał, po czym spochmurniał, a oczy mu się rozplómiły i przygasły.

– Zdecydowanie – powiedział cicho, unosząc brwi, a na wargach zaigrał mu tajemniczy uśmieszek.

Spojrzał na mnie ciepło i jednocześnie zarliwie. Spojrzał na mnie tak, jakby rozebrał mnie do naga i zostawił, całą drżącą.

Przeszywał mnie wzrokiem na wylot i wiedziałam już, że nie zwiodły go moje próby prezentowania sarkazmu i nonszalancji. Krępująca słabość do niego, którą poczułam zaledwie kilka dni wcześniej, aż ze mnie biła. Upokarzające.

Wiedziałam, że muszę to przerwać. Ze względu na nas oboje. To nie było właściwe. A przez niego czułam się... rozbita.

– No cóż, myślę, że ta grupa okaże się dla ciebie naprawdę bardzo pomocna. Jestem pewna, że dużo z niej wyniesiesz – powiedziałam bez przekonania, licząc na zrozumienie z jego strony. Wydawało się bardzo istotne przypomnienie nam obojgu, jaka była moja rola w jego życiu. Musiałam ją podkreślić. Szkoliłam się na terapeutkę. Kogoś, kto miał być jego przewodnikiem w tej trudnej podróży.

Nikim więcej.

Maxx obrzucił mnie nieodgadnionym spojrzeniem.

– Chciałbym wierzyć, że masz rację – powiedział, przesuwając brudną dłoń po twarzy i pozostawiając smugę na grzbiecie nosa.

Aby opanować chęć starcia jej, musiałam zacisnąć dłoń w pięść. I wiedziałam, że nie chodziło tu tylko o moje natręctwa.

Jego słowa wytrąciły mnie z równowagi. Czy odczytywałam podteksty, których nie było? A może on celowo przekazywał mi coś, co miałam dopiero rozszyfrować?

Podejrzewałam, że to drugie.

Nagle spuścił wzrok. Zaskoczyło mnie, jak bardzo wydał mi się bezbronny.

– Naprawdę mam nadzieję, że masz rację – powiedział cicho, a ja nie wiedziałam, czy skierował ten komentarz do siebie, czy do mnie.

Przekrzywiłam głowę i przyjrzałam mu się uważnie. Wydawał się zatopiony w myślach, a ja zaczęłam się zastanawiać, co go tak gryzie.

Nie potrafiłam nic poradzić na to, że mnie zaciekał. Był kimś, kim nie sposób było się nie zainteresować: skomplikowaną mężczyzną o skomplikowanej przeszłości. Czułam się zaintrygowana i jednocześnie poirytowana swoim zaintrygowaniem.

Ponieważ zdecydowanie istniała granica, której nie powinnam przekraczać. Więc dlaczego po zaledwie jednym spotkaniu tego mężczyzny tak trudno mi było o niej pamiętać?

Maxx zmarszczył brwi, otworzył usta, zamknął je, po czym spojrzał na mnie i zobaczyłam, jak rysy jego twarzy wygładzają się i znikają z niej wszelkie ślady otwartości.

– Przynajmniej widoki mam niezłe. – Zlustrował mnie wzrokiem od stóp do głów, kpiąco unosząc brwi.

Jego uśmiech, fałszywie uwodzicielski, był twardy i wymuszony.

Moja łagodność prysła. Opanowała mnie przemożna chęć wrzaśnięcia mu prosto w twarz.

Jego potrzeba podsycania mojego niepokoju wydawała się nieautentyczna. Jakby za wszelką cenę próbował wciągnąć mnie z powrotem na grunt, na którym sam czuł się pewniej.

– To nie jest właściwe – wydusiłam, poirytowana rozczarowaniem słyszalnym w moim głosie. Zateśkniłam za nieuchwytnym Maxxem, który tak nieopatrznie odsłonił się zaledwie kilka sekund wcześniej.

Tamten Maxx wydawał się szczery.

Ten był kimś zupełnie innym.

Któż mógł jednak wiedzieć, która z tych osób była prawdziwa?

Niech to szlag, może żadna. Może prawdziwy Maxx to ktoś, kogo jeszcze nie spotkałam?

Jedno było pewne: nie mogłam sobie pozwolić na pragnienie poznania go od którejkolwiek strony. Maxx należał do współprowadzonej przeze mnie grupy. Obowiązywał mnie kodeks postępowania równie istotny, jak i wymagany. Nasze relacje musiały mieć charakter ściśle zawodowy. Tu nie było miejsca na żadne szare strefy. Wszystko było czarne albo białe. Właściwe albo niewłaściwe.

Stany pośrednie nie miały racji bytu. Zwłaszcza w stosunkach z tym mężczyzną, co do którego miałam intuicyjną pewność, że zwiastuje same kłopoty. Mężczyzną, który ciągnął za sobą całą masę problemów.

Mężczyzną, którego potrafiłam sobie wyobrazić wyłącznie jako najgorszy możliwy kataklizm.

Poprawiłam na ramieniu torbę z książkami i przestąpiłam z nogi na nogę.

– Będzie lepiej, jak dam ci wrócić do malowania. Miło było cię spotkać – wykrztusiłam, łącząc w żywe oczy. Bo naszego spotkania z pewnością nie można było określić jako „miłe”.

Już bardziej jako „dezorientujące”.

Maxx uśmiechnął się jeszcze raz, ale teraz jego uśmiech wypadł bardziej naturalnie, rozjaśniając całą jego twarz. Przykucnął i zerwał z uczelnianego trawnika liliowy kwiatek astra. Wyprostował się i wręczył mi go. Wzięłam go z wahaniem, napotykając jego wzrok i próbując pospiesznie zrozumieć kierujące nim pobudki.

– To tylko kwiatek, Aubrey. Nie dopatruj się w tym niczego więcej – zakpił, a w jego oczach zamigotało rozbawienie moją nieufnością.

Uniosłam brodę, prostując się sztywno i po raz ostatni spotykając się z nim spojrzeniem.

– Dziękuję. – Odchrząknęłam przez nagle ściśnięte gardło. – Do zobaczenia.

Serce waliło mi mocno, kiedy tak staliśmy, gapiąc się znów na siebie. Miałam wrażenie, jakby przekazywał mi wzrokiem tysiące znaczeń. Gdybym tylko biegle posługiwała się maxxowskim.

– Do zobaczenia na grupie w przyszłym tygodniu – powiedział, zbierając fartuchy.

Uniosłam dłoń w pożegnalnym geście i odeszłam w przeciwną stronę, niż wcześniej zamierzałam, zapominając, że chciałam iść do stołówki. Teraz marzyłam już tylko o tym, by zaszyć się w swoim mieszkaniu.

Dopiero kiedy wyszłam z terenu uczelni, spuściłam wzrok i zobaczyłam, że w mocno zaciśniętej pięści kompletnie zgmiotłam otrzymany kwiatek. Powoli rozprostowałam palce i pozwoliłam stłamszonemu astrowi spaść na ziemię.

– Devon chciałby dziś wieczorem znów pójść do Compulsion – powiedziała Renee, wchodząc do mojej sypialni. Nie zdecydowała się wejść w głąb pomieszczenia i stanęła skrepowana, jakby niepewna, czy ma prawo tu być.

Kiedyś nie zastanawiałaby się nawet chwili, tylko władowałaby się po prostu do środka i usiadła na łóżku. A gdyby przyszło mi do głowy narzekać, że mam do odrobienia pracę domową, rzuciłaby we mnie poduszką, a potem dalej przekonywała mnie, żebym poszła się z nią upić.

Wyszłybyśmy razem i Renee zalałaby się w pestkę, a ja robiłabym za kierowcę, co wcale by mi nie przeszkadzało, bo dobrze bym się bawiła. Bo tak się właśnie dzieliłyśmy z Renee rolami. Tak działał nasz zespół.

Teraz stała w moim pokoju tak, jakby nigdy wcześniej w nim nie była. Nie patrzyła mi w oczy i chociaż jej płomiennorude włosy były idealnie ułożone, makijaż ocierał się o przesadę, a kreacja została najwyraźniej pod każdym względem przemyślana, nie stała przede mną ta sama dziewczyna, która kiedyś zapraszała do naszego mieszkania całą drużynę piłki nożnej na rozbieranego pokera.

Oczy miała matowe, usta wykrzywione w podkówkę, w nietypowy dla siebie sposób była... pozbawiona wyrazu.

– Co? – zapytałam, mrużąc oczy.

– Devon chce iść dziś wieczorem do Compulsion. Pomyślałam, że może masz ochotę pójść z nami? No wiesz, wyjść z domu na wieczór... – podsunęła z udawaną obojętnością.

Niezależnie od tego, jak bardzo starała się sprawiać wrażenie nieporuszonej, widziałam, że jest zdenerwowana. Nie chciała iść z powrotem do klubu, inaczej nigdy nie poprosiłaby mnie, żebym się do nich przyłączyła. Nie postawiłaby mnie w sytuacji, w której musiałabym znosić towarzystwo Devona, gdyby nie była totalnie, absolutnie przerażona.

– Dlaczego miałabyś chcieć tam wracać? – zapytałam ostro, choć próbowałam powściągnąć podszyty zdumieniem gniew. Nienawidziłam powodów, dla których mnie zapraszała, lecz mimowolnie poczułam odrobinę nadziei na to, że skoro w ogóle się do mnie zwraca, to może naszą przyjaźń da się jeszcze ocalić.

Tęskniłam za Renee Alston. Bardzo.

Renee zacisnęła zęby i jej spojrzenie stwardniało.

– Słuchaj, wiedziałam, że to przegrana sprawa. Boże broń, żebyś znalazła podczas weekendu czas na coś więcej niż oglądanie po raz tysięczny *Pamiętników wampirów*, podczas których Brooks będzie wygłaszał swoje błyskotliwe komentarze niebawiające nikogo poza nim – warknęła.

Ogarnęła mnie wściekłość.

– Słuchaj, skarbie, jeśli chcesz, żebym poszła gdziekolwiek z tobą i z tym palantem, którego określasz mianem swojego chłopaka, to źle się do tego zabierasz – odparowałam sarkastycznie, pozwalając sobie wyładować na niej przynajmniej część złości.

Renee zatchnęło.

– Odpieprz się, Aubrey – odgryzła się.

– Rozumiem, że tak to teraz właśnie będzie wyglądać. Prawie nie będziemy ze sobą rozmawiać, a ja będę zagryzać wargi zamiast ci mówić, co naprawdę myślę o tym twoim popieprzonym facecie. I obie będziemy ignorować to, że się zmieniłaś. I to bardzo! – rzuciłam wyzywająco, a im bardziej byłam wkurzona, tym bardziej podnosiłam głos.

Renee oczy zaszczyły łzami, a ja aż nadto wyraźnie dostrzegłam drżenie jej dolnej wargi. Poczulałam się naprawdę podle, widząc, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Zapomnij o tym – wyszeptała Renee i zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wyszła z pokoju. Przycisnęłam dłoń do oczu i zdławiłam chęć wydarcia się na całe gardło. Wzięłam głęboki wdech. No dobra, Renee zachowywała się jak suka, ale mogłam to wszystko lepiej załatwić. Próbowала wyciągnąć do mnie rękę w jedyny sposób, na który w tym momencie było ją stać, a ja tę wyciągniętą dłoń odtrąciłam. I chociaż prowadzenie się z Devonem i jego debilowatymi koleżkami nie mieściło się w moim wyobrażeniu o udanym wieczorze, przebywanie z Renee w jakimkolwiek możliwym wymiarze wydawało się dla nas obu krokiem we właściwym kierunku.

Wyszłam na korytarz z mocnym postanowieniem zawarcia pokoju.

Ale właśnie w chwili, w której zamierzałam ją zawołać, by przyjąć jej – choćby najbardziej wymuszone – zaproszenie, usłyszałam, jak drzwi wejściowe otwierają się i zatrząskują z hukiem.

Nie minęły nawet dwie minuty, kiedy drzwi otworzyły się ponownie. Pospiesznie ruszyłam do salonu, by podjąć próbę naprawienia niefortunnie nadszarpniętych stosunków z Renee.

– Mówiłem ci tysiąc razy, żebyś zamykała drzwi – skarcił mnie Brooks, wchodząc do kuchni. Naprawdę nie rozumiał koncepcji strefy osobistej.

Niepostrzeżenie mój dom stał się jego domem.

Moje czipsy stały się jego czipsami.

Moja czekolada stała się jego czekoladą? O, na pewno nie!

Wyrwałam mu z ręki torebkę Hershey's Kisses.

– Są granice, których nie możesz przekraczać, Brooks. Rączki przy sobie – ostrzegłam, wkładając torebkę z powrotem do szafki.

Brooks sprawiał wrażenie zakłopotanego. Sięgnął po paczkę krakersów i poszedł z nimi do salonu.

– Na klatce schodowej minąłem Renee. Wyglądała, jakby ziemia paliła jej się pod nogami. Swoją drogą, ubrała się jak dziwka. Niech zgadnę, rozbierana randka z tym jej chłopakiem znanym z upodobania do kopania szczeniaków podkutymi butami? – zapytał Brooks, przewracając oczami, kiedy zaczęłam strzepywać okruchy krakersów z poduszek kanapy.

Wręczyłam mu papierowy talerzyk. Sięgnął po niego umyślnie powoli tylko po to, by mnie zirytować.

Klapnęłam obok niego.

– Poszła z powrotem do Compulsion, uwierzyłybyś? Sorry, ale jakoś nie potrafię dostrzec uroku zadreżania się, czy ktoś cię nie zadżga w łazience tylko po to, by zabrać sobie twój błyszczący – wymamrotałam.

– O jasny gwint! Poważnie? A ty chcesz iść? – zapytał Brooks, podrywając się z kanapy.

Zmierzyłam go moją własną wersją jego opatentowanego spojrzenia, które mówiło wyraźnie: „Chyba oszalałeś”.

– Żeby ten barbarzyński bramkarz mógł nas jeszcze raz upokorzyć, odprowadzając z kwitkiem?

Brooks rzucił paczkę krakersów na stolik i wytarł ręce o spodnie, od czego aż się wzdrygnęłam.

– Aubrey, poważnie, powinniśmy pójść! Od tego poprzedniego razu naprawdę nabrałem chęci, żeby się tam wybrać, a ty wiesz doskonale, że wolałabyś mieć Renee na oku! – wypalił.

Zaczęłam protestować, ale Brooks bezceremonialnie zakrył mi usta dłonią.

– Nawet się nie waż ze mną spierać! Wiesz doskonale, że dziś w nocy oka nie zmrużysz, zamartwiając się o tę swoją stukniętą współlokatorkę. No, rusz się, idź się wystroić i wbijamy do klubu!

Odrzuciłam rękę Brooksa, na próżno starając się podtrzymać gasnącą irytację, co było cholernie trudne, bo Brooks zaczął kołysać ramionami w kiepskiej imitacji tańca.

– Nie sądzę, żebym miała w szafie cokolwiek, w czym choćby z daleka mogłabym przypominać dominę. Nie ma szans, żebyśmy weszli do środka – perswadowałam, nie mogąc się zdecydować, czy wolałabym, żeby porzucił ten temat, czy żeby mnie przekonał.

Bo w gruncie miał rację, do diabła. Chciałam iść, chociaż w życiu bym się nie przyznała, że miałam inne powody niż tylko pilnowanie przyjaciółki. Tak naprawdę byłam odrobinę ciekawa świata, do którego wchodziło się przez Compulsion.

No dobra, bardziej niż odrobinę.

Bo chociaż podczas ostatniej wizyty w klubie kompletnie spanikowałam, to w tej muzyce, w tej atmosferze, w tym podniecającym smaku zagrożenia na samym końcu języka było coś, co mnie urzekało.

Pragnienie ucieczki wytrąciło mnie z równowagi. Odkąd zadzwoniła moja matka, znów stałam się zakładnikiem wspomnień z takim wysiłkiem pogrzebanych w podświadomości.

Wystarczył jej głos, by drzwi, które stanowczo za sobą zamknęłam, otworzyły się z hukiem.

Tak więc koncepcja zapomnienia, zanurzenia się w świecie tak całkowicie różnym od mojej codzienności, okazała się w tym momencie znacznie bardziej kusząca niż kiedykolwiek wcześniej.

No i był ten tajemniczy mężczyzna...

Podjęłam decyzję.

– Dobra, zróbmy to – powiedziałam nagle, wstając z kanapy, i roześmiałam się na widok wybałuszonych oczu Brooksa. Oparłam dłonie na biodrach i przewróciłam oczami. – Myślałam, że chcesz iść. Chodź, pomożesz mi znaleźć coś wystarczająco wyuzdanego, żeby mnie wpuścili – zadrwiłam, rozbawiona wstrząsem malującym się na twarzy mojego przyjaciela.

Nieczęsto zaskakiwałam ludzi, ale jak już, to z przytupem.

– Och... No, dobra – wyjąkał Brooks, idąc za mną do sypialni.

Dwadzieścia minut później stałam nad bezładnie spiętym stosem ciuchów, co groziło iście morderczym nawrotem mojej nerwicy natręctw.

– Kiedy to mój penis przekształcił się w cholerną waginę? Jestem facetem, Aubrey! Facetem! Nie mam bladego pojęcia, w co powinnaś się ubrać! Jestem od zdejmowania ciuchów, a nie ich wkładania! – oznajmił ze swojego punktu obserwacyjnego znajdującego się na moim łóżku, na którym się rozciągnął, obserwując wirującego derwisza w moim jednoosobowym wykonaniu.

Jęknęłam i w końcu chwyciłam dzinsową mini, której nigdy nie noszę – głównie dlatego że lubię mieć zakryty tyłek w miejscach publicznych – i czarny, zsuwający się z ramienia, ozdobiony cekinami top.

Kiedy już się ubrałam i zasunęłam czarne, skórzane kozaki do kolan, spojrzałam na siebie w lustrze i momentalnie zapragnęłam przebrać się z powrotem w dzinsy i bluzę. I nawet nie chodziło o to, że moja kreacja była jakoś szczególnie wyzywająca – jak na standardy tego klubu, była raczej dość mdła – ale o to, że nie byłam w niej sobą.

Zakręciłam sobie długie blond włosy i zrobiłam nieco ostrzejszy niż zwykle makijaż. Miałam nadzieję, że to wystarczy, bo nie miałam zamiaru poświęcać temu więcej energii.

Kiedy skończyłam, Brooks gwizdnął przeciągle i zlustrował mnie spojrzeniem od stóp do głów, trochę zbyt uważnie przypatrując się moim nogom. Twarz mu nienaturalnie poczerwieniała i zaczęłam się zastanawiać, że był to może jednak nie najlepszy pomysł.

Odchrząknęłam, a Brooks zamrugnął i odwrócił wzrok, najwyraźniej zażenowany.

– Ładnie wyglądasz – powiedział z uśmiechem i prześliznął się znów oczami po moim ciele.

W takich chwilach ciężko było nie pamiętać, że kiedyś widywał mnie nago... nieraz. Zaskakujące, ale nasza relacja nigdy nie stała się niezręczna. Niepostrzeżenie przeszliśmy do niewymuszonego koleżeństwa. Teraz jednak poczułam emanujące z niego dziwne napięcie, którego nie można było przypisać niczemu innemu niż jego nadaktywnym hormonom.

– Dzięki – wymamrotałam, pospiesznie chwytając czarną, skórzaną kurtkę Renee. Włożywszy ją na siebie, obrzuciłam go szybkim spojrzeniem i dopiero wtedy dostrzegłam, że podczas mojego szykowania się skoczył do domu, żeby się przebrać.

Bojówki i koszulę zamienił na dopasowane dzinsy i obcisłą szarą koszulkę z nazwą jakiegoś zespołu. Przy okazji postawił sobie włosy na żel.

Pochyliłam się nad nim i zajrzałam mu w twarz.

– Eyeliner? Poważnie? – prychnęłam.

Brooks zeszywniał.

– Chodzi o to, żeby wtopić się w tłum, Aubrey. Zamknij się – odparował rzeczowo.

Pomijając kreskę na powiece, Brooks prezentował się nieźle. Naprawdę nieźle. Miałam nadzieję, że „naprawdę nieźle” wystarczy, żeby dostać się do klubu.

Złapałam torebkę i wyszłam za Brooksem na klatkę schodową.

– Tym razem wiemy, dokąd idziemy? – zapytałam, kiedy wsiedaliśmy do hondy Brooksa.

Mój przyjaciel uśmiechnął się szeroko.

– No cóż, musimy do tego dojść – odpowiedział tajemniczo.

Uniosłam pytająco brwi.

– A trochę jaśniej? – Nie miałam ochoty na zgadywanki.

– Musimy pojechać zobaczyć rysunek. Wtedy będziemy mogli wykombinować, gdzie jest Compulsion – rzucił lekko. Widziałam, że jest podekscytowany, a jego entuzjazm był

zaraźliwy. Kiedy jechaliśmy w stronę centrum miasta, poczułam mimowolne łaskotanie w żołądku.

– No dobra, a skąd wiesz, gdzie jest rysunek? – zapytałam.

Czy wejście do klubu musiało być tak upiornie kłopotliwe? O co chodziło z tą tajemnicą? Dlaczego nie można było po prostu rozdać ulotek?

– Trochę popytałem i dowiedziałem się, że jest za pralniąautomatem obok sklepu monopolowego – wyjaśnił Brooks.

– Nie możemy po prostu zapytać, gdzie to jest? Dlaczego musimy zawracać sobie głowę szukaniem wskazówek na jakimś szajsowatym graffiti? – zapytałam ze świadomością, że strasznie zrzędzę.

Jasne, to był mój pomysł, ale wszystkie te przeszkody, które trzeba było pokonać, żeby w ogóle odnaleźć klub, podkopywały moją i tak już nikłą chęć wychodzenia gdziekolwiek.

Brooks cmoknął z dezaprobatą.

– Aubrey, to część całej zabawy. Najpierw musisz znaleźć obrazek, a potem będziesz się mogła dowiedzieć, gdzie to jest. To nie jest żadne szajsowate graffiti. X jest artystą, dziewczyno. Robi niewiarygodne rzeczy. Słyszałem, jak ludzie sobie opowiadali, że galerie sztuki od roku próbują go zlokalizować, bo chcą sprzedawać jego prace, ale nikt nie wie, kim on jest. Ani jak go znaleźć. Co tylko dodaje temu wszystkiemu tajemniczości. Rozumiesz?

Prychnęłam pod nosem.

– Dlaczego, do diabła, jakaś galeria sztuki miałaby chcieć sprzedawać bazgroły wymazane sprayem na ścianie? Nie mówimy tu o Monecie, chyba się zgodzisz?

Brooks pokręcił głową.

– Tyle musisz się jeszcze nauczyć, młody świerszczyku. Sztuka w przestrzeni miejskiej zyskuje coraz większe uznanie, a X zapracował sobie na reputację jednego z najlepszych. Robi to dopiero od trzech lat, ale jak sobie wygooglujesz „street art”, to jego prace wyskoczą ci obok Banksy’ego. Jest niesamowity! – powiedział, jakby było to zrozumiałe samo przez się.

– Skąd wiesz, że to facet? Przecież to mogłaby być kobieta, nie? – zwróciłam mu uwagę tonem niemal wojowniczym.

Brooks wzruszył ramionami.

– Kto wie. Jakie to ma znaczenie?

– I co to za imię: X? – zakpiłam.

Brooks spojrzał na mnie z ukosa i już nawet nie silił się na odpowiedź. Najwyraźniej mój brak uznania dla tajemniczego „X” ujął mi całkiem sporo punktów na skali fajności.

Toczyliśmy się wąskim zaułkiem między dwoma budynkami, który kończył się niewielkim parkingiem. Pod śmietnikiem stała grupka ludzi.

Brooks zaparkował samochód i wyskoczył.

– Chodź! – zawołał do mnie, pospiesznie podchodząc do ściany budynku. Pokrywało ją mnóstwo graffiti. Typowe tagi i ksywy autorów.

Ale to nie dla nich ludzie ścigali w to miejsce.

Ich uwagę przyciągał portret płonącej kobiety. Miał co najmniej trzy metry wysokości i cztery i pół metra szerokości. Był ogromny.

– Wyjaśnij mi, proszę, co to ma wspólnego z klubem tanecznym? – wyszeptałam do

Brooksa, który wyciągnął swój telefon i wklepywał właśnie cyfry do nawigacji. Zerknął na mnie i uśmiechnął się z roztargnieniem.

– Nic a nic, Aubrey – odpowiedział.

Zmarszczyłam brwi i odwróciłam się z powrotem ku rysunkowi. Wiatr przybrał na sile, przynosząc kwaśny zapach starych śmieci. Ten mały parking był obrzydliwy, ale zgromadzony tłumek kompletnie nie zwracał uwagi na otoczenie. Wszystkich nas przywiodło tu jedno... Chęć znalezienia namiarów na klub obiecujący nam rzeczy, których nawet w zarysach nie potrafiliśmy sobie wyobrazić.

Musiałam przyznać, że poziom artyzmu tego graffiti był imponujący. Przypomniałam sobie rysunek sprzed kilku tygodni: potworną dłoń i spadających spod nieba ludzi.

Tamten obraz wydawał się mroczny i niemal groźny. Ten przekazywał chyba coś zupełnie innego.

Tęsknotę.

Pragnienie czegoś, co widziało się z daleka.

Pożądanie.

Bezwstydna, nieposkromiona żądze.

Jakimś cudem farba rozchlapaną na brudnej ścianie przekazywała to wszystko. Wiedziałam, że Brooks ma rację. Kimkolwiek był X, miał ogromny talent.

Rysunek przedstawiał kobietę z profilu. Jaskrawoczerwone płomienie lizały jej złote włosy i pełzły w kierunku twarzy. Widać było tylko zarys jej nosa i szczęki, bo odwrócona kobieta patrzyła gdzieś w dal.

Resztę sylwetki odmalowano czarnymi, grubymi pociągnięciami pędzla, surowymi i niedookreślonymi, dopóki artysta nie doszedł do jej dłoni, która została odmalowana bardzo precyzyjnie i niemal czule. Z wyprostowanych palców wypadały urocze, fioletowe kwiatuszki, które przypomniały mi rosnące na terenie uniwersytetu astry.

Ogień u stóp dziewczyny piął się w górę i wydawał się obejmować spadające na ziemię kwiaty. To było tak wewnętrznie sprzeczne: potęga płomieni i łagodna delikatność kwiatów. Sposób, w jaki żywioł wydawały się pożerać płatki kwiatów wypadających z dłoni kobiety, niemal dotykając jej skóry, przywodził na myśl jakieś okrutne zawłaszczanie. Jakby wyciągał po nią swoje płonące macki, nie mogąc jej dosięgnąć. Zauważyłam charakterystyczny znak „X” wymalowany czerwienią i oranżem.

Poczułam, jak po plecach przebiega mi zimny dreszcz niemający nic wspólnego z chłodem wieczoru.

– Mam! – zawołał Brooks odrobinę zbyt głośno. Wzdrygnęłam się, odrywając wzrok od rysunku. – Chodź! – krzyknął mi do ucha, a ja spojrzałam na niego z irytacją. Widziałam, że reszta też szybko zaczęła się zbierać, uzyskawszy to, po co przyszła. Obejrzałam się na rysunek. Myśl o odejściu napawała mnie dziwnym smutkiem.

– Aubrey, robi się późno. Musimy się pospieszyć, kolejka będzie gigantyczna! – ponaglił mnie Brooks, pociągając mnie z powrotem do samochodu.

Zapięłam pasy i jeszcze raz spojrzałam na rysunek, żałując, że nie potrafię zrozumieć tej dziwnej mieszaniny emocji, które mnie ogarniają, kiedy na niego patrzę. Patrzyłam dopóty, dopóki oczy nie zasły mi łzami.

Zamrugałam i spojrzałam na Brooksa. Ustawił trasę wiodącą pod odkryty właśnie adres, po czym zamocował telefon na desce rozdzielczej. Potarłam skronie, czując nagłe ukłucie

nadchodzącej migreny.

Czułam się dziwnie rozstrojona. W skrytości ducha chciałam już wrócić do domu i zapomnieć o wielkiej przygodzie dzisiejszej nocy. Ogarnęły mnie złe przecucia, z których nie potrafiłam się otrząsnąć – głównie dlatego, że były splątane z niemal histeryczną potrzebą wrzucenia na luz.

Byłam kompletnie popieprzona.

Odchrząknęłam i spróbowałam zebrać myśli, koncentrując się na moim przyjacielu, który był w kompletnym amoku.

– Jak się domyśliłeś adresu? – zapytałam ze świadomością, że w trakcie swojego swobodnego spadku w kłębowisko emocji przegapiłam główny powód, dla którego w ogóle tutaj przyjechaliśmy.

Brooks wskazał na rysunek.

– Widzisz te cyfry wymalowane w ogniu na samym dole? – zapytał, a ja wyteżyłam wzrok, żeby dostrzec, o czym mówi. I wtedy je zobaczyłam. Cyfra jeden i cztery, a potem pięć innych cyfr splecionych ze sobą blisko dolnej krawędzi rysunku.

– No i? – zapytałam.

– Dwie pierwsze to numer ulicy. Pięć ostatnich to kod pocztowy. Łodygi kwiatu to tak naprawdę nazwa ulicy. Wpisujesz w nawigację i masz, proszę bardzo, aktualny adres Compulsion – odpowiedział, puszczając się jak dzieciak, który ujawnia sekret magicznej sztuczki.

– Jestem pod wrażeniem, co za kreatywność – zadrwiłam, próbując ukryć narastający niepokój coraz mocniej ściskający mi żołądek.

– Po prostu się odpręż, Aubrey. Zabaw się chociaż tej jednej nocy – odparował Brooks.

Nie chciało mi się już brnąć w tę słowną przepychankę, więc rzuciłam tylko:

– Potrafię się bawić równie dobrze jak inne dziewczyny.

Postanowiłam zignorować krótki wybuch śmiechu niedowierzającego Brooksa.

Pozostałą drogę pokonaliśmy w milczeniu. Próbowałam opanować podenerwowanie i deprymującą ekscytację, od której serce waliło mi jak młotem.

Nawigacja wyprowadziła nas na przedmieścia, z dala od zgiełku i świateł zwykłego sobotniego nocnego życia. Kiedy Brooks zjechał na pobocze, dostrzegłam ludzi idących w kierunku kępy drzew.

– Chodźmy! – zawołał, wyskoczywszy z samochodu. Wsiadłam i ruszyliśmy przez wysoką trawę w kierunku polany.

Otoczającą nas ciemność przebijały płomyki zapalniczek i światełka setek telefonów komórkowych. Słyszałam dobiegające z niezbyt dużej odległości dudnienie muzyki. Potknęłam się o jakiś korzeń i Brooks chwycił mnie za ramię, żebym nie upadła. W Compulsion było najwyraźniej coś, co dosłownie zwałało mnie z nóg.

– Tam jest! – krzyknął mi Brooks prosto do ucha, wskazując na zrujnowane gospodarstwo, które wyglądało tak, jakby już kilkadziesiąt lat temu przeznaczono je do rozbiórki.

Ogromny budynek był kiedyś prawdopodobnie uroczym domem jakiejś miłej rodziny. W tym momencie wyglądał jak plan filmowy horroru.

Szyby w oknach były wybite albo nie było ich w ogóle. Z frontowej werandy została już tylko spróchniała, rozpadająca się sarta drewna. Długa kolejka ludzi zakręcała wzdłuż

ściany budynku i zniknęła z tyłu.

– Wygląda na to, że dzisiejszym motywem przewodnim jest *Teksańska masakra piłą mechaniczną* – mruknęłam, zasuwając skórzaną kurtkę pod szyję, żeby nie zamarznąć.

Po raz drugi ustawiliśmy się w kolejce, oczekując swojej szansy wejścia do środka. Zastanawiałam się, czy Renee już tam jest. Rozpoznałam kilku studentów z uczelni, ale poza tym był to jeden wielki tłum całkowicie mi obcych ludzi.

Jęknęłam cicho, kiedy dotarłszy na czoło kolejki, dostrzegłam starego dobrego Randy'ego, mojego ukochanego bramkarza, z którym tak uroczo zawarłam znajomość podczas naszego ostatniego pobytu w *Compulsion*. Wyglądał na równie wściekłego i nieprzejednanego jak zawsze, a ja modliłam się ze wszystkich sił, by nie przejrzał naszych żalonych prób wmieszania się w tłum i nie rozpoznał w nas oszustów, którymi w istocie byliśmy.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy z obowiązku obrzucił nas szybkim spojrzeniem, burkliwie zażądał pieniędzy, po czym przybił nam na grzbietach dłoni rozmazane pieczętiki. Zostaliśmy wpuszczeni. Tak po prostu.

Brooks wydał krótki, triumfalny okrzyk i potargał mi włosy.

– Weszliśmy! Super! – trajkotał w podnieceniu, a ja próbowałam odwzajemnić jego uśmiech, ale zawładnęło mną już ogłuszające dudnienie basów, a po trzewiach rozpełzło się znajome uczucie oczekiwania i strachu.

Znalazłam swoje zapomnienie.

Przesunąłem językiem po dolnej wardze, rozkoszując się odrętwieniem ogarniającym mi usta. W gardle czułem jeszcze gorycz tabletek. Powieki mi opadły, a ręce i nogi zrobiły się nagle ciężkie.

Jak ja to, kurwa, uwielbiałem.

Muzyka rozsadzała mi uszy, kiedy przeciskałem się przez tłum. Nasunąłem sobie bejsbolówkę na oczy i rozkoszowałem się dotykiem setek napierających na mnie ciał. Nozdrza wypełnił mi zapach potu. Miałem ochotę położyć się na podłodze i pozwolić, żeby mnie wessała.

Dziewczyna z jaskrawoniebieskimi włosami ubrana w krótką, obcisłą sukienkę otarła się o mnie i zarzuciła mi ręce na szyję. Jej wargi rozciągnęły się w karykaturze uśmiechu, a kiedy bezceremonialnie przywarła cyckami do mojej klatki piersiowej, pomyślałem, że tak musiałyby wyglądać skurwiona smerfetka.

Jezu, ale mnie sparło. Byłem gotów się z nią zabawić. Zjechałem rękami na jej tyłek, a kiedy ją ścisnąłem, pisnęła cicho.

No dobra, obmacywałem przypadkową dziewczynę, ale czułem się z tym bajecznie. Miałem wrażenie, że czas nagle zwolnił, powietrze zapulsowało, a ja pożałowałem, że nie mogę jak cała reszta tych popierdoleńców po prostu cieszyć się chwilą.

Ale miałem robotę do odwalenia.

Smerfetka zaczęła się ocierać o moje krocze, a ja chwyciłem ją mocno, z uczuciem, że mógłbym zatopić palce w jej skórze i zniknąć. W głowie miałem mętlik, w ustach suchość, ale nie chciałem odejść. Już nigdy.

– Masz coś? – wyszeptła mi dziewczyna do ucha i wysunęła szybko język, by zlizać pot perlący mi się wzdłuż linii szczęki.

Uśmiechnąłem się szelmowsko i przyciągnąłem ją do siebie, przywierając do niej rytmicznie.

– Mam dokładnie to, czego ci trzeba – obiecałem, napawając się podnieceniem, które rozjaśniło jej bladą twarz.

– Ile? – wyszeptła, a jej ruchy z podniecenia stały się niemal gorączkowe.

– Chodź ze mną – powiedziałem, biorąc ją za rękę i pociągając przez tłum w kierunku klatki schodowej. Praktycznie już biegliśmy, kiedy w końcu znalazłem ciemny pokój na tyłach domu.

To do mnie należało znajdowanie co miesiąc nowego miejsca na siedzibę Compulsion. Można by mnie było określić mianem zwiadowcy albo Mistrza Imprezy. Zresztą wszystko jedno. Tylko że piekielnie trudno było znaleźć lokal wystarczająco duży, a przy tym do tego stopnia nierzucający się w oczy, żeby uszło nam na sucho granie muzyki zdecydowanie zbyt głośno i sprzedawanie narkotyków zdecydowanie zbyt bezceremonialnie.

To miejsce było prawdziwą wygraną na loterii. Zostało przeznaczone do rozbiórki kilka miesięcy temu i niedługo miało zostać zrównane z ziemią. Gash, organizator klubu, miał

wątpliwości co do bezpieczeństwa starego budynku, ale nie mógł zaprzeczyć, że stał on na uboczu i był niemal idealnym lokum na jedną noc ledwie kontrolowanego chaosu.

Przed dzisiejszą imprezą kilkakrotnie przeszedłem się po domu, więc całkiem nieźle znałem rozkład pomieszczeń. Wiedziałem też, że miejsce, do którego prowadzę smerfetkę, jest wystarczająco ustronne na to, o co mi chodziło.

Nie było tu żadnych świateł. Wyciągnąłem więc z kieszeni telefon, który miał mi służyć za latarkę, i szukałem jednocześnie w kieszeni plastikowej torebeczki. Wytrząsałem z niej dwie małe, niebieskie tabletki i podałem je na dłoni dziewczynie.

Na ich widok prawie ślina pociekła jej z ust. Próbowwała mi je odebrać, ale zacisnąłem dłoń w pięść i zabrałem jej sprzed nosa, zanim zdążyła je złapać.

– E-e! – Wykrzywiłem się drwiąco i pogroziłem jej palcem.

Dziewczyna pospiesznie wyciągnęła zwitek banknotów z kieszeni i wetknęła mi dwie dwudziestki do kieszeni spodni, ściskając mi udo przez džins. Przyglądając się jej z bliska, rozpoznałem tak dobrze mi znany typ dziewczyny. Żałosna małolata z bogatego domu szukająca ekspresowego transportu na ciemną stronę mocy.

Miała szczęście, bo byłem gotów z rozkoszą spełnić jej życzenie.

Otworzyła usta, a ja położyłem jej prochy na języku. Objęła wargami moje palce i ssała je, przelękając i przewracając oczami w ekstazie.

– Mmm... – jęknęła, masując sobie ciało dłońmi i wsuwając sobie moje palce coraz głębiej do gardła.

Stał mi momentalnie. Czując błogie odurzenie, nie pragnąłem już w tym momencie niczego poza tym, żeby wreszcie, do cholery, uklęknęła. Koniec tych wstępów, przejdźmy do rzeczy.

Nacisnąłem jej na ramiona, zmuszając, żeby klęknęła, i wyraźnie dając do zrozumienia, czego od niej chcę. Walnęła kolanami o brudną podłogę, ale nawet tego nie zauważyła. Była za bardzo nawalona, żeby się tym w ogóle przejmować, a ja byłem zbyt dużym skurwielem, żeby się przejąć, że ona się nie przejmuje. Sposób, w jaki ochoczo zabrała się do rozpinania mi klamry paska, powinien budzić we mnie obrzydzenie. Odpięła guzik i rozsunęła mi rozporek jak profesjonalistka.

Kurde, powinienem czuć obrzydzenie do samego siebie za to, czego od niej oczekuję. Ale już dawno, piekielnie dawno temu przestałem mieć jakiegokolwiek skrupuły.

To był mój świat. I w tym świecie brałem sobie, co chciałem i kiedy chciałem.

Rzeczywistość, z którą zderzałem się na zewnątrz, była czymś kompletnie odmiennym. Nie miałem swobody decydowania o sobie. Wszystko musiałem sobie w życiu wyszarpać.

Ale póki co, byłem pieprzonym bogiem.

Dziewczyna podniosła na mnie szkliste spojrzenie i uśmiechnęła się zza zasłony niebieskich włosów. Nie odwzajemniłem uśmiechu. Zanim zdążyła się do mnie zabrać, wyciągnąłem kondom. Nie było mowy, żeby ta suka obciągała mi bez zabezpieczenia.

Naciągnąłem i zepchnąłem jej głowę w dół, a ona dała mi dokładnie to, czego chciałem.

Nie dotknąłem jej. Nie wsunąłem dłoni w jej włosy, nie masowałem jej ramion. Tu nie chodziło o uczucie. Tu nawet nie chodziło o pożądanie. Tu chodziło wyłącznie o to, żebym dostał to, czego chciałem. Miałem w dupie, kim ona właściwie była. Nie zamierzałem jej pytać o imię ani, kurwa, ulubiony kolor.

Kompletnie mnie to nie obchodziło. Sporo czasu minęło, odkąd pozwalałem sobie na to,

by się o kogokolwiek czy cokolwiek troszczyć. Chciałem po prostu dojść jej w ustach i wyjść. Bo dzięki temu czułem się lepiej. I tylko to miało znaczenie.

Więc stałem tam, a ta suka obciągała mi tak, jakby robiła to zawodowo. Prawie zapomniałem, że mojego kutasa trzyma w ustach jakaś rzeczywista osoba.

Kiedy skończyła, podniosła się na nogi i wytarła wargi grzbietem dłoni. Wspięła się na palce i próbowała pocałować w usta, podciągając przy tym spódnicę i wspinając się jak na jakieś cholerne drzewo. Tak jakby ssanie mojego chuja dawało jej jakieś pieprzone prawo do tego, żeby ode mnie oczekiwać, że go jej wsadzę. Tylko że ja miałem swoje zasady.

Odsunąłem ją od siebie i zdjąłem gumkę. Zawiązałem ją na końcu i rzuciłem jej pod nogi.

– Zrób z tym coś – rozkazałem, zapinając rozporek.

Bez słowa, bez jednego spojrzenia w jej stronę, wyszedłem z pokoju i ruszyłem z powrotem na parkiet.

Czułem się lekki jak piórko, narkotyki zrobiły swoje. Zacząłem się zastanawiać, czy gdybym zamknął oczy, uniósłbym się pod sufit. Założę się, że mógłbym odlecieć i nigdy nie wrócić. I byłoby to dokładnie to, czego chciałem.

Znaleźć się daleko, bardzo daleko stąd.

– Ej, X, sprzedałeś cały towar?

Poirytowany otworzyłem oczy, wkurwiony na tego kogoś, kto przerwał mi ulotną chwilę obłąkanego eskapizmu.

– Czego, kurwa, chcesz? – warknąłem na wychudzonego kolesia, który stał przede mną, wyglądającego jak kaczką w swoich tandetnych podróbach martensów.

Gówniarz zdecydowanie złapał mnie w niewłaściwym momencie.

Chłopak skrzywił się przepaszająco i wiedziałem, że zastanawia się, co teraz zrobić. Jego czujność sprawiła mi perwersyjną przyjemność. Cieszyłem się opinią wybuchowego i nieobliczalnego, mającego w głębokim poważaniu te nieznośne bzdury, które określano mianem konsekwencji.

To był mój świat, do cholery. Obecność w nim całej reszty zaledwie tolerowałem.

Powinienem prawdopodobnie zauważyć, że narkotyki weszły w moje życie razem z solidną dawką narcyzmu.

– Eee... Marco powiedział, że masz trochę... no wiesz... Po prostu chciałem kupić, co masz – wyjąkał chłopak.

Nie znałem go, ale byłem pewny jak diabli, że on zna mnie. Wszyscy mnie znali.

Trudno było mnie nie znać.

W nagłym przypiływie wielkoduszności wyciągnąłem ostatnie tabletki i wręczyłem mu je.

– Jak dla ciebie, podwójna cena – powiedziałem z naciskiem, rozbawiony przebłyskiem wściekłości na jego brzydkiej twarzy.

No i co mi, kurwa, robi? Będzie się ze mną bił? Ukradnie mi te dragi? Nie sądzę. Wyraźnie był na to za cienki.

Uśmiechnąłem się pogardliwie, kiedy wręczył mi osiemdziesiąt dolarów i wyjął mi z ręki dwie tabletki. Zwinąłem banknoty i włożyłem je sobie do kieszeni.

– Miło się z tobą robi interesy – powiedziałem sucho, przepchnąłem się koło niego i ruszyłem do baru.

Byłem na szczycie piramidy wszechświata i nic nie mogło mnie ściągnąć w dół. Byłem królem tego pieprzonego zamku.

I wtedy ją zobaczyłem.

W świetle stroboskopów błysnęły jej blond włosy, natychmiast przyciągając moją uwagę. Syciłem oczy jej widokiem. Była światłem w moich osobistych ciemnościach.

Ubrała się inaczej niż ostatnio. Dzinsy i T-shirt poszły w odstawkę, dziś królowała krótka spódniczka i przejrzysty top dający niejasne, lecz hipnotyzujące wyobrażenie o tym, co kryło się pod nim.

Ale nie wyglądało to dobrze. Bardziej, jakby próbowała być kimś, kim w oczywisty sposób nie była, choć nie twierdzę, że nie podobały mi się jej długie nogi.

Jakbym widział gazelę wśród lwów. Zjedzą ją tutaj żywcem. Chociaż patrząc, jak tańczy, zrozumiałem, że jakaś jej część pragnie zostać zjedzona.

Tańczyła tak, jakby nie czuła się do końca swobodnie we własnym ciele. W jej ruchach było jakieś wahanie, które wydawało się walczyć z zapamiętaniem malującym się na jej twarzy.

A była to, kurwa, piękna twarz.

Wydawało się, że jest sama. Zupełnie jak poprzednio. Zupełnie jakby czekała na to, aż ją porwę i uprowadzę.

– To co zwykle? – zapytał mnie barman Eric.

Ledwie skinąłem głową, nie chcąc, by cokolwiek odwracało moją uwagę.

Kołysała się w rytm muzyki, jakby chciała się odprężyć i zapomnieć. Miałem wrażenie, jakby błagała, żebym jej pomógł w tym zapomnieniu.

Uśmiechnąłem się sam do siebie, wiedząc, że bez problemu mógłbym ją zaprowadzić do miejsca, w którym chciała się znaleźć.

Mógłbym zostać jej białym królikiem. Wystarczyłoby, żeby podążyła za mną tam, gdzie chciałem ją porwać.

Może i nie było to rozsądne. No dobra, zakrawało na szaleństwo. Ale sama myśl dała mi odurzające poczucie władzy.

Pragnąłem jej.

I wiedziałem, że będę ją miał.

Zawsze brałem sobie to, czego chciałem.

Ale nagle okazało się, że nie jest sama. Podszedł do niej jakiś chłopak, a ona uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy. Widziałem, jak chichotała z czegoś, co powiedział.

Zacisnąłem pięści, próbując pohamować gniew ogarniający mnie na widok jej w czyimś towarzystwie. Poczuję się, jakby ktoś dybał na moją własność. Poczzerwieniało mi przed oczyma.

Skierowali się do baru i stanęli dosłownie trzy metry ode mnie. Podobała mu się, to było widać. Chełpiłem się tym, że potrafię czytać w ludziach jak w jakiejś, kurwa, otwartej księdze, a książeczyna tego kolesia była rozpisany krok po kroku poradnikiem przekreślania swoich szans u dziewczyny plasującej się w zupełnie innej lidze.

Przysunął się do niej bliżej, ona zrobiła krok w tył. Położył jej dłoń na ramieniu, ona strząsnęła jego rękę. Uśmiechnęłam się, widząc, jak raz za razem torpeduje jego próby.

Koleś zamówił dla nich jakieś szoty i zaimponowało mi, jak je wychyliła, chociaż było oczywiste, że nieczęsto pije. Poznałem po tym, jak się skrzywiła po przełknięciu. Oblizwała szybko wargi, a mnie zaczęły uwierać spodnie.

Zaopiekowałem się własnym drinkiem, nadal z upodobaniem ją podglądając. Koleś,

kimkolwiek był, wyszeptał jej coś do ucha, po czym zostawił ją, ruszając w stronę toalet. Gdy tylko została sama, poziom jej dyskomfortu wyraźnie skoczył z górę.

Bezbronność miała wypisaną na twarzy.

Łyknałem jeszcze nieco whisky i zwróciłem uwagę na siedzącego przy końcu baru gościa, który miał całą twarz nabitą metalem i kompletnie martwe spojrzenie. Znałem ten typ. Wiedziałem, o czym myśli. I wiedziałem, co zrobi, jeśli tylko trafi mu się sposobność.

Jej przyjaciel jeszcze nie wrócił, więc zamówiła jeszcze coś do picia. Barman postawił jej piwo na blacie, a ona odwróciła się, żeby popatrzeć na tańczących. Miłośnik piercingu uznał to za otwarte zaproszenie do odegrania roli gwałciciela. Niepostrzeżenie wrzucił aż za dobrze mi znaną pastylkę do otwartej butelki dziewczyny i na powrót rozplynął się w tłumie.

Nic nie zauważyła. Jej nieświadomość była jednocześnie irytująca i zrozumiała, biorąc pod uwagę rozmiary tłumy przewalającego się przez klub. Nie odnajdywała się w tym zupełnie jej obcym i przytłaczającym świecie. Nie znała życia na tyle, by przesiadywać w takich miejscach.

Kilka szybkich kroków i byłem już obok niej. Sprawdziłem, czy czapkę mam nadal głęboko nasuniętą na oczy.

Moja anonimowość miała kluczowe znaczenie.

Dziewczyna sięgnęła po swoje piwo, ale szybko usunąłem butelkę z jej zasięgu. Zamrugła w zdumieniu oczami o żywej, brązowej barwie i poirytowana zmarszczyła brwi.

– Oddaj mi moje piwo – zażądała, starając się, by jej głos zabrzmiał twardo i złowieszczo. Była równie groźna jak ślepy kotek.

Nie mogąc sobie odmówić, wyciągnąłem rękę i przesunąłem palcem po jej policzku. Odtrąciła moją dłoń, a ja roześmiałem się na widok jej oburzenia.

– „Co cień i światło w sobie kras jednoczy, to w jej obliczu i w jej oczach taje”². – zacytowałem, rozbawiony osłupieniem malującym się na jej twarzy.

Tak, miałem słabość do Byrona. Napisał kilka mrocznych kawałków, które wysoko ceniłem.

Sytuacja byłaby nieznośnie sztuczna, gdyby cały ten bajer nie robił na niej wrażenia – ale wiedziałem, że robi, chociaż jej własne reakcje na mnie doprowadzały ją do furii. Nie znała mnie. Byłem obcy. Wytrąciłem ją z równowagi. A mimo to rozpierała ją żądza.

Władza, którą nad nią miałem, uderzała do głowy.

– Oddaj mi moje cholerne piwo – wycedziła powoli i gniewnie.

Przechyliłem się przez bar i wyrzuciłem pełną butelkę do śmieci.

– Nie wypijesz tego – oznajmiłem jej krótko.

Była wściekła, a ja zaśmiałem się jej wściekłości w twarz, napawając się nią. Krew mi zagrała w żyłach, a głowa wydała się nagle zbyt ciężka. Powieki mi opadły, a stopy jakby wrosły mi w ziemię, lecz nic nie mogło mnie zmusić, żebym ją porzucił.

Jeszcze nie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała i wiedziałem, że im większy ogarnia ją gniew, tym bardziej zaciskają się jej szczęki.

Chciałem, żeby się wkurzyła. Chciałem, żeby z trudem nad sobą panowała. Bo wiedziałem, że tego właśnie pragnie.

Stracić kontrolę.

A ja czułem, że moim zadaniem jest jej to ułatwić.

Nachyliłem się, umyślnie zbyt blisko, naruszając jej strefę osobistą. Było to ewidentne, brutalne wtargnięcie na jej teren, ale chciałem zobaczyć, jak daleko mogę się posunąć. Opuściłem dłoń na jej talię. Na odsłonięty skrawek ciała powyżej paska jej spódniczki. Przycisnąłem palce do jej skóry, przywarłem do niej całą dłonią, by poczuć bijące od niej ciepło.

– Tutaj nigdy nie wolno ci spuścić swojego drinka z oka – wyszeptałem jej do ucha niskim głosem.

Jej oczy, te niewiarygodnie czekoladowobrązowe oczy, otworzyły się szeroko.

Podniosła na mnie wzrok, starając się rozróżnić rysy mojej twarzy. Pochyliłem głowę, unikając jej badawczego spojrzenia. Wiedziałem, że w tym świetle trudno jej będzie dostrzec to, co skrywał daszek mojej czapki, ale musiałem zachować ostrożność.

Wyciągnąłem rękę i palcami obróciłem jej brodę w kierunku przeciwległego końca baru.

– Widzisz tego chłopaka tam? Z przekłutym nosem i kiepsko ufarbowanymi włosami? – zapytałem, wskazując gościa, który niecałe dziesięć minut wcześniej wrzucił jej pigułkę gwałtu.

Obserwował nas uważnie z nachmurzoną twarzą, najwyraźniej niezbyt mi wdzięczny za to, że zrujnowałem mu plany na wieczór.

– T... tak – wyjąkała, a ja wyczuwałem kciukiem, jak mocno bije jej serce.

Zdenerwowała się. I chyba nieźle wystraszyła.

I dobrze.

– Wrzucił ci coś do piwa. Teraz już musiał tylko czekać – wyszeptałem jej do ucha. Widziałem, jak z trudem przełyka ślinę.

– Poczekałby, aż pójdziesz do łazienki albo wyjdiesz zaczerpnąć powietrza, i poszedłby za tobą. Za mocno by cię ten narkotyk trzepnął, żebyś mogła mu stawiać jakikolwiek opór, jak ciągnąłby cię gdzieś za budynek – powiedziałem. Wyglądała na solidnie wystraszoną i poczułem się nie najlepiej. Ale taka dziewczyna nie rozumiała zagrożeń, jakie czyhały na nią w ciemnościach. – Straciłabyś przytomność, a on zrobiłby z tobą, co by chciał – dokończyłem, po czym zdjąłem dłoń z jej talii i się odsunąłem. Poprawiłem sobie czapkę i dokończyłem swojego drinka, po czym pchnąłem szklanekę w stronę Erica. – Faceci tego pokroju całą noc czekają na taką łatwą zdobycz jak ty. Więc jeśli planujesz tu przychodzić, to lepiej szybko zmądrzej. Bo tu nie brakuje drapieźców – powiedziałem jej, nagle zirytowany.

Nie do końca sobie uświadamiałem, dlaczego tak mnie to zezłościło. Nieoczekiwanie wszystkie myśli o posiadaniu i pożądaniu przytłumił nieznany mi instynkt opiekuńczy.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie tak uważnie, jak tylko była w stanie w tym mdłym świetle.

– Pamiętam cię. To ty pomogłeś mi znaleźć ostatnim razem przyjaciółkę.

Po czym to ona wkroczyła w moją strefę osobistą, to ona naruszyła moje granice, wtargnęła w nie bez ostrzeżenia, a ja zrobiłem krok w tył.

– Jak masz na imię? – zapytała cicho, sięgając ręką do mojej czapki, jakby chciała mi ją zdjąć.

Chwyciłem ją za nadgarstek, przytrzymałem i zmusiłem, by opuściła rękę.

– Powinnaś wrócić do domu. Powiedziałem ci to ostatnio. Nie pasujesz do tego miejsca,

czego chyba właśnie miałaś dowód. Mysz czeka krótkie życie w pokoju pełnym kotów.

Zaczynało mną telepać. Potrzebowałem kolejnej działki, i to szybko. Dragi zaczynały schodzić i czułem, jak cały organizm błaga, by je zatrzymać. Krew i kości reagowały na ich odejście histerią.

Myślałem zbyt jasno, spojrzenie miałem zbyt skupione. To ona sprawiała, że chciałem zachować przytomność umysłu.

Nie rozumiałem dlaczego. Nie podobał mi się wpływ, jaki na mnie wywierała.

Irytował mnie.

Ta dziewczyna zajmowała mi cenne nocne godziny, w trakcie których miałem zajmować się czymś zupełnie innym.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, a ja pomyślałem o tym, by wsunąć język między jej czerwone wargi.

Posmakować i zdobyć.

Zawładnąć jej ustami.

Tylko że jej słowa i moje pragnienia zostały krótko ucięte.

Wrócił jej przyjaciel, a jego pojawienie się na moment odwróciło jej uwagę.

– W łazience była cholernie długa kolejka, przepraszam, że tak długo mnie nie było – powiedział.

Skorzystałem z okazji i zniknąłem w tłumie.

Zostawiłem ją.

Próbowałem zapomnieć.

Wrócić do swoich nocnych spraw, jakby nic się nie wydarzyło.

Ale nie było zapomnienia. Niektórzy ludzie potrafią tak ci się wryć w pamięć, że nawet się nie zorientujesz, co się dzieje.

Kiedy później tłukłem na miazgę chłopaka, który wrzucił jej narkotyk, uświadomiłem sobie, że wryła się bardzo głęboko.

Nie zdecydowałem tylko jeszcze, co zrobię, jeśli tam zostanie.

Za chwilę miało rozpocząć się kolejne spotkanie grupy wsparcia, a ja czułam się fatalnie. Przez większą część tygodnia próbowałam się wyleczyć z przeziębienia i sala pełna ludzi, którzy wcale nie mieli ochoty tu siedzieć, była ostatnim miejscem, w którym chciałam się znaleźć.

Kristie wyszła odbić kserówki z zadaniami do wykonania, a ja na środku sali ustawiałam krzesła w równym kółku. Wyciągnęłam chusteczkę z kieszeni i kichnęłam cztery razy z rzędu.

– Uch! – jęknęłam.

– Czy powinienem zacząć planować pogrzeb?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam wchodzącego do sali Brooksa.

– Co ty tu robisz? Czyżbyś w końcu zdecydował się przyznać, że uzależnienie od żelkowych robali rujnuje ci życie? – zadrwiłam.

Brooks wziął ciasteczko z tacy, którą Kristie wystawiła wcześniej, i wrzucił je sobie do ust. Każde jedzenie znajdujące się w zasięgu ręki kończyło nieuchronnie w żołądku Brooksa. Cud, że nie dobił jeszcze do czterystu kilogramów wagi. Wziąwszy pod uwagę tempo, w jakim pochłaniał słodczyce i węglowodany, jego szczupła sylwetka pozostawała dla mnie tajemnicą. Wyczuwałam czarną magię.

– Nie, pomyślałem po prostu, że wpadnę i się przywitam. Umówiłem się kilka pomieszczeń dalej na wspólne kucie z kilkoma osobami z zajęć o metodach badawczych w psychologii. Zaczynamy za kilka minut. Jak ci idzie w grupie? – zapytał, biorąc kolejne ciasteczko.

Znów kichnęłam w chusteczkę, żałując, że nie mogę wrócić do domu i wczołgać się pod kołdrę. Nie potrafiłam sobie wyobrazić nic rozkoszniejszego niż poduszka elektryczna i dziesięć godzin nieprzerwanego snu.

– Jakoś idzie. Niewiele na razie zrobiłam. Kristie trzyma tu wszystko pod kontrolą, więc nie ma potrzeby, żebym jej tu siała zamęt – wyrzęziłam.

Miałam wrażenie, że mój pogarszający się stan zdrowia budzi w Brooksie obrzydzenie. Pozostawało się cieszyć, że nie zdecydował się pójść na medycynę. Nie nadawał się do opieki nad chorymi. Wcisnął mi w rękę paczkę chusteczek i ostentacyjnie się ode mnie odsunął.

Zakaszlałam w jego stronę, nie zakrywając ust. Ot tak, żeby go wkurzyć.

Skrzywił się z bezbrzeżnym wstrętem, wyciągnął z kieszeni kurtki buteleczkę z płynem dezynfekującym do rąk, wycisnął sobie odrobinę na dłoń i wściekle wtarł w skórę.

Ewidentnie nie ja jedna miałam skłonności do natręctw. Przysięgłam sobie pamiętać o tym następnym razem, gdy najdzie go chętka ponaigrawania się z mojego zamiłowania do porządków.

Wiedziałam, że wyglądam koszmarnie. Tego ranka celowo unikałam patrzenia w lustro podczas szykowania się do wyjścia, bo wiedziałam, co w nim zobaczę. Długie blond włosy

oklapłe i bez życia. Mętne i zmęczone brązowe oczy. Głębokie cienie i ziemistą skórę. Złapałam jakiegoś wirusa, prosta sprawa, choć na podstawie tego opisu można by sądzić, że zamieniam się w zombie. Sama się sobą brzydziłam.

Obserwując, jak członkowie grupy zaczynają powoli wlewać się do sali, przy czym żaden z nich nie wyglądał na podnieconego perspektywą zbliżającego się spotkania, uzmysłowiłam sobie, że uczestnictwo w tej grupie staje się coraz mniej zabawne. Pierwsze spotkanie było bardzo obiecujące. Kristie nabrała optymistycznego przekonania, że grupa okaże się otwarta i gotowa do współpracy, lecz teraz widziałam, jak z każdym tygodniem jej nadzieje się rozwiewają.

Niektórzy członkowie przyjęli postawę obronną lub wojowniczą. Inni kompletnie się zamknęli. Evan i April – para, której ewidentnie brakowało podstawowych umiejętności społecznych – byli po prostu wredni.

No i był Maxx Demelo. Kristie uważała, że jest cudowny. Znacie tę obiegową mądrość: jak chcesz ładnie wyglądać, to dołącz do towarzystwa brzydule. A Maxx stał na głowie, by zostać królową tego balu ćpunów.

Jako jedyny starał się odpowiadać na każde zadane mu pytanie. Ochoczo dzielił się osobistymi informacjami – inna sprawa, ile miały wspólnego z prawdą – i nieodmiennie sprawiał wrażenie niezwykle zaangażowanego.

I podczas gdy wypowiedzi moje czy Kristie były przez grupę ledwie tolerowane, Maxx Demelo sprawował niepodzielne rządy. Kiedy otwierał swoją śliczną buzię, ludzie słuchali – niezależnie od tego, jakie bzdury wygłaszał.

A wygłaszał ich mnóstwo.

Był pozerem do imentu i doprowadzało mnie do furii, jak to rozgrywał. Kilka tygodni temu próbowałam podzielić się swoimi wątpliwościami co do szczerości Maxxa z Kristie, ale mnie zbyła.

– Aubrey, ja naprawdę widzę, że Maxx jest stuprocentowo zaangażowany w swój proces leczenia. Mógłby być przykładem dla dosłownie każdej osoby z tej grupy. Jestem ogromnie wdzięczna losowi za kogoś takiego jak on, kto potrafi pokazać innym, że na końcu tego tunelu naprawdę jest światło. Właściwie zastanawiam się nad tym, czy nie porozmawiać z nim, żeby zaczął wspierać tych członków grupy, którzy zmagają się z największymi trudnościami. Po prostu wiem, że mógłby ogromnie im pomóc – wyrzuciła z siebie Kristie, a ja nie próbowałam jej już przekonać. To nie miało żadnego sensu.

Ale chociaż regularnie dławiałam w sobie chęć zdemaskowania go, mimowolnie mnie fascynował. Przypominało to obserwowanie aktora wcielającego się na scenie w swoją rolę. Szczerze mówiąc, utwierdzałam się w postanowieniu, by sprawdzić, co kryje ta chłodna i arogancka powierzchowność.

Bo przecież widziałam, jak w stołówce odnosił się do swojego brata. Widziałam go wściekłego i zażenowanego. Jakaś sadystyczna część mnie znów chciała zobaczyć go od tej strony.

Próbowałam go obserwować jak przypadek kliniczny i prawie udało mi się przekonać samą siebie, że cierpi na jakiś rodzaj zaburzeń osobowości.

A może miałam urojenia i w grupie, którą miałam prowadzić, projektowałam na tego nieszczęśnika własne problemy?

– Boże, na bardziej nieszczęśliwych już nie mogli wyglądać? – wyszeptał Brooks,

wytrzeszczając oczy na członków grupy, którzy wchodzili do sali, brali sobie darmowy kubek kawy i zajmowali swoje miejsca. Co tydzień zachowywali się identycznie. Zjadali ciasteczko. Wypijali trochę kawy. I mamrotali jakieś monosylaby, kiedy zadało się im pytanie.

To miała być grupa ochotników – wyjąwszy Evana, April i Maxxa, którzy dostali sądowy nakaz uczestnictwa – ale udział ich wszystkich wydawał się wymuszony. W grupach uczestniczących w programach leczenia uzależnień pojawiały się zazwyczaj jedna czy dwie osoby wracające do trzeźwości z gorliwością konwertyty.

Ale nie w tej grupie. I miałam do siebie pretensje o to, że nie potrafię znaleźć żadnego sposobu, by wytrącić ich z tego stanu. Jeszcze bardziej wkurzało mnie to, że tylko Maxx był w stanie skłonić tych ludzi do jakiegokolwiek reakcji. Często miałam wrażenie, że zawładnął grupą i teraz to on ją prowadzi. A Kristie mu na to pozwala.

Ale w Maxxie było coś, przez co trudno mu było odmówić i zorientowałam się już, że w niektórych momentach nawet ja nie chciałam tego robić. Niepokoiło mnie to. I to bardzo. Odwróciłam się do Brooksa i przytaknęłam.

– Nie jestem pewna, co tu się właściwie dzieje, ale prowadzenie tej grupy to droga przez mękę. Sądziłam, że to będzie...

– Łatwe? – Brooks się roześmiał, a ja palnęłam go w ramię.

– Łatwe nie, ale nie aż tak trudne.

Jęknęłam, uzmysławiając sobie, jak głupio to brzmi. Terapia nie miała być łatwa. Udział w grupie miał być walką dla wszystkich zaangażowanych. Czytałam studia przypadków, pożerałam kolejne podręczniki, powinnam była to wszystko wiedzieć. A mimo to marzyło mi się nadal, że wejdę i z miejsca zbawię cały świat. Naiwna idiotka.

Kristie zaczęła rozdawać kserówki osobom zmierzającym na swoje miejsca. Posłała mi znaczące spojrzenie i wiedziałam, że to sygnał dla mnie.

– Dobra, musisz już iść. – Obróciłam Brooksa i popchnęłam go w stronę drzwi. Przed salą Brooks zaryzykował szybki uścisk.

– Zwał ich z nóg, tygrysie. Wpadnę później z zupką i filmem – obiecał, wywołując mój uśmiech. Był naprawdę wspaniałym kumplem.

– *Zmierzch?* – zażartowałam, z góry znając odpowiedź.

Brooks postukał mnie palcem w nos.

– Musiałabyś stać nad grobem, żebyśmy się na to zgodził – obwieścił.

Zaśmiałam się i on też się roześmiał. Znaczący kaszel uciszył nas oboje.

– Spotkanie grupy zostało odwołane czy co?

Spojrzałam Brooksovi przez ramię i zobaczyłam stojącego za nim Maxxa, z rękoma wsuniętymi do kieszeni, potarganymi blond lokami spadającymi mu na czoło i zimnym, kamiennym wyrazem twarzy.

– No, nie. Wchodź do środka i znajdź sobie miejsce. – Pokazałam mu, żeby mnie obszedł, ale on nawet nie drgnął, nie zrobił jednego kroku w stronę krzesel. Brooks spojrzał na mnie pytająco. Trudno było nie wyczuć zwierzęcego testosteronu, którym buzował Maxx, kiedy stał tam i patrzył z wściekłością na naszą dwójkę.

O co mu chodziło?

Trwaliśmy tak przez dłuższą chwilę w niezręcznym milczeniu. Nie potrafiłam nazwać emocji malujących się w spojrzeniu Maxxa. Nic z tego, co przychodziło mi do głowy, nie

miało absolutnie żadnego sensu. Posiadanie. Pożądanie. Tęsknota. A co najdziwniejsze: smutek. Maxx patrzył na mnie jak człowiek, który coś stracił.

Och, daj spokój, Aubrey. Od tego przeziębienia chyba pomieszało ci się w głowie.

– Zadzwoń do mnie, jak będziesz chciała, żebym wpadł. Zdrowiej – powiedział wreszcie Brooks, a spojrzenie jego nagle zwięzonych oczu przeskakiwało pomiędzy Maxxem a mną, jakby próbował rozeznaczyć się w tej żenującej sytuacji, w której nagle się znaleźliśmy.

– Dobra, dzięki, Brooks – powiedziałam z nadzieją, że mój przyjaciel zrozumie aluzję.

Brooks wpatrywał się w Maxxa jeszcze przez chwilę, a kiedy spojrzał znów na mnie, jego twarz odbijała cały wachlarz emocji. Ogarnął mnie niepokój.

Zanim jednak zdążyłam powiedzieć cokolwiek, co ukołoby moje obawy i wyraźne wzburzenie Brooksa, ten wymamrotał szybkie pożegnanie i odszedł korytarzem.

Próbowałam rozsupłać węzeł, który zacisnął mi się w żołądku podczas tej kłopotliwej wymiany zdań, ale pod ciężkim spojrzeniem Maxxa okazało się to niełatwe.

Zerknęłam na niego niepewnie.

– Chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś wszedł do środka? – wymamrotałam, nie próbując ukryć irytacji.

Maxx przecesał palcami loki i potarł twarz. Przyoblekł ją w neutralny wyraz i posłał mi swój firmowy, beztroski uśmiech.

– Panie przodem – powiedział, gestem zapraszając mnie do środka.

Zmarszczyłam brwi, ale już nic nie odpowiedziałam, po prostu weszłam. Usiadłam i rozejrzałam się po twarzach pozostałych członków grupy. Próbowałam nawiązać kontakt wzrokowy i uśmiechnąć się na powitanie do kilkorga z nich, ale za każdym razem natrafiałam na mur obojętności.

W końcu odnalazłam spojrzeniem Maxxa i nie poczułam wcale zaskoczenia na widok jego olśniewającego uśmiechu. Nie odwzajemniłam go, a zamiast tego skierowałam uwagę na Kristie wyjaśniającą temat dzisiejszej dyskusji.

Dwadzieścia minut później wszyscy pracowali w swoich dziennikach, tworząc mapę życia. Dostali za zadanie określenie zarówno pozytywnych, jak i negatywnych doświadczeń, które wywarły na nich jakikolwiek wpływ. Miało to doprowadzić do szerszej dyskusji na temat tego, co skłoniło ich do zażywania narkotyków. To było świetne ćwiczenie, które niewątpliwie w każdej innej grupie doprowadziłoby do jakiejś głębokiej terapeutycznej interakcji. Ale nie w tej. Nie mogłam sobie wyobrazić, by ktokolwiek w tej grupie potraktował je poważnie.

Kristie zachęciła do udziału również mnie. Powiedziała mi przed spotkaniem, że pewne osobiste informacje udzielone przez prowadzącego mogą mieć potężny wpływ na grupę. Ostrzegła mnie, bym zachowała ostrożność, odsłaniając się, ale powiedziała, że oszczędne dzielenie się informacjami na swój temat może być znakomitą metodą wytworzenia więzi pomiędzy mną a nimi.

Koncepcja jakiegokolwiek otwarcia się zawsze wydawała mi się bardzo trudna, a w tej konkretnej grupie ludzi było wręcz niewyobrażalna.

Kiedy czas minął, Kristie zaczęła prosić wszystkich po kolei o to, by się czymś podzielili. Większość opowiadała jakieś głupstwa: Marissa o tym, jak dostała swój wymarzony samochód, Twyla o tym, jak się nie dostała na swój wymarzony uniwersytet. Kiedy Kyle, koleś z bractwa, stwierdził, że jego negatywnym doświadczeniem życiowym było

zamknięcie przed nim przez kolegów drzwi do dormitorium, nie wytrzymałam.

– Chyba sobie żartujesz? – wypaliłam, ściągając na siebie spojrzenia trzynastu par oczu.

Kristie zmarszczyła brwi. Ewidentnie mój wybuch był jej nie w smak. Bezgłośnie skarciła mnie wzrokiem za brak życzliwego wsparcia dla uczestników, ale mało mnie to obchodziło. Miałam dość siedzenia tydzień po tygodniu w grupie ludzi nietraktujących poważnie szansy, którą dostali od życia.

Ile bym dała za to, żeby moja siostra miała okazję usiąść i nauczyć się czegoś w grupie takiej jak ta. Do białej gorączki doprowadzała mnie ich kompletna nieprzemakalność na cokolwiek z tego, co Kristie tak cierpliwie próbowała im przekazać. A na widok drwiących uśmiezków Evana i April normalnie krew mnie zalewała.

Kyle sprawiał wrażenie zaskoczonego. Zamrugał zmieszany.

– No tak... To był wyjątkowo chałowy dzień. Musiałem pójść do ochroniarzy uczelni, a potem dwie godziny czekać na zapasowy klucz. Spóźniłem się na ćwiczenia z chemii...

Podniosłam rękę i przerwałam mu:

– Wystarczy. Wiesz doskonale, że to kompletne brednie – powiedziałam sucho.

Kyle fuknął z oburzeniem, co było o niebo lepsze niż jego mdła obojętność.

– Pierdol się. Co ty wiesz o trudnym życiu, panienko z dobrego domu? – wtrącił się Evan, który tak mocno przyciskał ramię swojej dziewczyny do boku, jakby się obawiał, że może mu uciec. Nie winiłabym jej, gdyby spróbowała.

Kristie pstryknęła palcami, próbując zwrócić na siebie uwagę.

– Zastosujmy techniki głębokiego oddychania – powiedziała z niezłomną pewnością siebie, maskującą irytację z powodu mojego wybuchu.

– Nie, Kristie. Pozwól, że odpowiem Evanowi – podniosłam głos, utkwivszy spojrzenie w jego paciorkowatych oczach.

Ten koleś był przyzwyczajony do onieśmiania innych. Teraz ja miałam ochotę mu dopieprzyć.

– Nie uważam tego za właściwe, Aubrey – zaprotestowała zdecydowanie Kristie.

Pakowałam się w kłopoty, ale coś należało z tym zrobić. Ci ludzie nie szanowali żadnej z nas. Siedzieli tutaj, skoncentrowani wyłącznie na sobie i opowiadanych przez siebie bredniach, przekonani, że tylko ich boli. I nie mieli zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Czas na cholerną wiwisekcję. Miałam dość wciskania kitu.

– Trzy lata temu straciłam piętnastoletnią siostrę. Zmarła z powodu przedawkowania. Dostała złoty strzał od kolesia, który w jej przekonaniu ją kochał. I właśnie ten koleś zostawił ją w jakimś zaułku, żeby się zadławiła własnymi rzygowinami. Jej ciało znaleziono dopiero dwa dni później, kiedy śmieciarze przyjechali opróżnić kontener, o który ją ktoś oparł – wypaliłam.

Evan wybałuszył oczy, a ja z niepomierną rozkoszą obserwowałam, jak zapada się w sobie w zderzeniu z moją szczerością. I wtedy zdałam sobie sprawę z tego, co powiedziałam. Chryste, w ogóle nie zamierzałam tego mówić.

Rozejrzałam się po pozostałych twarzach i wszystkie wyrażały to samo. Szok. I litość. To ostatnie sprawiło, że miałam ochotę uderzyć pięścią w ścianę.

Ale kiedy ośmieliłam się spojrzeć na Maxxa, nie zobaczyłam na jego twarzy żadnej z tych emocji. Zobaczyłam w niej coś, czego interpretacji wcale nie byłam pewna. Czy to mogła

być... ulga?

Kristie odchrząknęła, próbując odzyskać kontrolę nad grupą. Z trudem powstrzymywanej złości malującej się na jej twarzy wywnioskowałam, że potężnie skrewiłam.

– Chciałabym, żeby wszyscy poświęcili kilka minut na opisanie jednego zdarzenia ze swojej mapy życia oraz powodów, dla których mają poczucie, że wpłynęło ono na ich uzależnienie – poleciła, wstając.

Utkwiła we mnie spojrzenie i kiwnęła głową w stronę korytarza. Westchnęłam i poszłam za nią. Zamknęła starannie drzwi do sali, po czym najechała na mnie.

– To było absolutnie niedopuszczalne, Aubrey. Jestem zszokowana, że w ogóle mogłaś zrobić coś takiego. Nie tylko upokorzyłaś członka grupy, uznając jego uczucia za nieważne, ale skierowałaś uwagę wszystkich na siebie i swoje własne uczucia. Pewna otwartość może być korzystna dla grupy, ale w tym kontekście zdecydowanie nie jest. Otwartość powinna umacniać więź łączącą pacjenta z terapeutą. To nie jest zdrowe, kiedy wszystko nagle zaczyna się kręcić wokół ciebie – perorowała, a ja w zawstydzeniu zwiesiłam głowę.

Miała rację. Przeholowałam.

– Bardzo mi przykro. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam – wybąkałam.

Kristie pokręciła głową.

– Myślę, że wiem, dlaczego to zrobiłaś, ale to nie jest ani czas, ani miejsce, żeby o tym dyskutować. Sądzę, że byłoby najlepiej, żebyś już dziś nie wracała na spotkanie grupy. Dokończę sama. A potem musimy usiąść z doktor Lowell i porozmawiać o tym, czy twoje dalsze uczestnictwo w spotkaniach tej grupy jako współprowadzącej będzie właściwe – oznajmiła. W tonie jej głosu nie odnajdywałam znanej mi, opiekuńczej i przepełnionej współczuciem terapeutki. Była niezadowolona i rozczarowana.

No to tym razem naprawdę zabagniałam sprawę.

– Rozumiem.

Tylko tyle zdołałam z siebie wyksztusić. Czułam się koszmarnie, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Powinnam wrócić do domu, położyć się do łóżka i zająć się martwieniem o bałagan, który zrobiłam rano przed wyjściem. Ale myśl o tym, że mogę się natknąć na Renee, była zdecydowanie mało pociągająca. Kiepsko radziłam sobie z ukrywaniem emocji i chociaż moja współlokatorka przez większość czasu nadal zajęta była głównie sobą, to nadal czytała mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

Powlekłam się bez celu alejkami uniwersyteckiego kampusu. Wszystko mnie bolało i najprawdopodobniej miałam gorączkę, ale po prostu nie mogłam się zmusić, żeby wrócić do domu. Było późno i między budynkami uczelni kręciło się już niewiele osób. W końcu usiadłam na ławce pod biblioteką i wbiłam wzrok w ścianę wymalowaną w jaskrawe zielenie i fiolety. Rysunek przedstawiał postać kobiety schodzącej z drewnianego pomostu ku morzu czarnego szlamu. Długie blond włosy powiewały za nią, gdy upadała. Jej twarz byłaby zupełnie nijaka, gdyby nie jej uśmiech. Jakby czuła się szczęśliwa, wychodząc śmierci na spotkanie.

Nic, tylko sobie w łeb strzelić.

Przyjrzałam się rysunkowi uważniej, mając dziwne wrażenie, że patrzę na coś znajomego. Błądząc wzrokiem po pełnej wdzięku i jednocześnie niepokoju sylwetce, poczułam, że powinnam ją rozpoznawać.

Coraz bardziej wytrącona z równowagi wstałam i podeszłam bliżej. To nie był typowy

dla miasteczek uniwersyteckich malunek przedstawiający żonkile i roześmianych studentów. Ten konkretny rodzaj sztuki widziałam kilkakrotnie już wcześniej. Pochyliłam się, by w kiepskim oświetleniu przyjrzeć się detalom. I znalazłam: złożony z iksów drobny wzorek na sukience kobiety.

Nie zauważyłam na tym rysunku żadnych cyfr ani słów, więc nie pojmowałam, z jaką intencją został namalowany. Rozumiałam dotychczas, że rysunki tajemniczego X zawierały wskazówki pozwalające odnaleźć klub. Wydawało się jednak, że ten rysunek nie ma nic wspólnego z Compulsion.

A zatem to malowidło zostało stworzone w jakimś innym celu.

– No i co o tym myślisz?

Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam stojącego za mną Maxxa. Odwróciłam się z powrotem w stronę rysunku, nie zadając sobie trudu udzielania odpowiedzi. Byłam zażenowana swoim wybuchem na sesji grupy i spotykając go tuż po tym, jak zrobiłam z siebie piramidalną idiotkę, poczułam się słaba i bezbronna.

Stał obok mnie i rękawy naszych kurtek otarły się o siebie. Kiwnął głową w stronę rysunku i zapytał mnie ponownie:

– Co o tym myślisz?

Wzruszyłam ramionami, zupełnie nie będąc w nastroju na pogawędkę. Walące mi serce nie zniosłoby towarzystwa Romea naszej grupy. Zrobiłam krok, zamierzając odejść, kiedy złapał mnie za ramię.

– Poczekaj, Aubrey. Proszę.

Wystarczyło to jedno słowo. Proszę. Wypowiedziane cicho i szczerze. Zatrzymał mnie nim równie pewnie i szybko, jakby wziął mnie w ramiona.

– Dziękuję, że powiedziałaś dziś wieczorem o swojej siostrze – powiedział cicho, pociągając mnie lekko za ramię tak, bym stanęła przed nim.

Odwróciłam się z ociąganiem i podniosłam wzrok na jego twarz. Zniknął z niej uwodzicielski uśmiech i teraz malowała się na niej już tylko niekłamana wdzięczność.

– Nie musisz mi dziękować. To, co zrobiłam, było złe. Nie powinnam tam wylewać swoich żalów. Macie własne powody, żeby tu być, i one nie mają nic wspólnego ze mną ani z moją przeszłością – odpowiedziałam szybko.

Dłoń Maxxa ześlizgnęła mi się po ramieniu i objęła moją zaciśniętą pięść, a jego długie palce zamknęły się wokół niej opiekuńczo.

– Nie mów tak. To, co powiedziałaś... Pokazałaś mi... nam... że naprawdę wiesz, o co chodzi. Poczuję, nie wiem... jakąś więź – powiedział.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Byłam koszmarnie zmęczona – chorobą i powstrzymywaniem się ze wszystkich sił od utraty kontroli nad sobą. Coś we mnie pękło. Targające mną tornado znalazło ujście w najgorszych możliwych okolicznościach.

Ale może to komuś pomogło? Wobec tej myśli moja porażka wydała się nagle mniej... destruktywna.

Na dźwięk jego kolejnych słów moje kielkujące nadzieje poczerniały jak ścięte mrozem pąki.

– Czujesz się odpowiedzialna za to, co przydarzyło się twojej siostrze, prawda? – zapytał i w pierwszej chwili chciałam coś krzyknąć, zaprotestować, zaprzeczyć, przecież go wcale nie znałam, nie ufałam mu! Nie miał prawa do informacji, które próbował ze mnie

wydobyć.

Kiedy jednak otworzyłam usta, wypłynęła z nich sama prawda.

– Tak, czuję się odpowiedzialna.

Szerokie ramiona Maxxa uniosły się i opadły, kiedy odetchnął głęboko. Wydawało się, że znalazł w moich słowach coś niosącego otuchę.

Jego błękitne oczy pociemniały, kiedy spojrzał ponad moim ramieniem w dal.

– Rozumiem to, wiesz? To uczucie, kiedy czujesz się za kogoś odpowiedzialny, ale nie potrafisz temu sprostać – powiedział, a ból w jego głosie przeniknął mnie do szpiku kości.

Nie puszczał mojej dłoni, trzymając ją mocno i pewnie, kreśląc kciukiem kółka na jej grzbiecie. Milczałam, wiedząc instynktownie, że Maxx chce mi coś powiedzieć, ale ponaglanie go nie ma sensu.

Powiało chłodem, ale nawet nie drgnęłam.

– Mój brat wiele się po mnie spodziewa. Wiesz, Callum, poznałaś go – powiedział Maxx, a usta mu drgnęły w lekkim uśmiechu.

Odwzajemniłam go.

– Wygląda na miłego dzieciaka – zauważyłam.

– I jest miły. To świetny gość. Na pewno lepszy ode mnie – powiedział Maxx zmęczonym głosem.

Nie skomentowałam tego. Co mogłam powiedzieć? To nieprawda, jesteś fantastyczny? Przecież to byłoby kłamstwo. Nie wiedziałam, czy Maxx zasługuje na taką pochwałę.

– Traktuje mnie jak autorytet – kontynuował. – Myśli, że będę kimś wielkim i wpływowym. Że poprawię nasz los. A ja po prostu nie potrafię tego zrobić. Przerasta mnie bycie takim facetem, jakim on potrzebuje, żebym był – wyznał Maxx i głos mu się załamał.

Byłam absolutnie zaskoczona spowiedzią tego mężczyzny, który stał przede mną w chłodnym zimowym powietrzu, otulając moje palce dłonią. Zaoferował mi szczerość, a ja mogłam odpowiedzieć jedynie tym samym. Wymagała tego zwykła uczciwość. I ta chwila na to zasługiwała.

– Jayme próbowała mi opowiedzieć o swoim chłopaku, Blake’u. Nie chciałam słuchać. Chciała, żebym wiedziała, co się dzieje. A ja ją zignorowałam – wyszeptałam ledwie dosłyszalnie.

Maxx ścisnął mnie za rękę.

– Jayme była twoją siostrą? – zapytał, a ja skinęłam głową, czując, jak dławi mnie w gardle od powstrzymywanych z trudem emocji, na których wyrażenie nie pozwalałam sobie od bardzo dawna.

Urywanie wciągnęłam powietrze.

– Wcielony diabeł. Blake. Wciągnął ją w narkotyki, wykorzystał ją na wszystkie możliwe sposoby, a potem pozwolił jej umrzeć. Ale może ja jestem jeszcze gorsza. Miałam szansę ją ocalić i nie zrobiłam tego. Byłam tak skupiona na własnym życiu, że nie widziałam, jak bardzo mnie potrzebowała.

Mój głos przeszedł w zduszony szloch.

Maxx przyciągnął mnie do piersi i otoczył ramionami, jakbym mogła bezpiecznie się w nim ukryć. Skuliłam się, próbując uspokoić oddech. Nie płakałam. Nigdy nie płakałam. Moje łzy wyschły bardzo dawno temu.

Czułam, jak w uścisku Maxxa mój świat pęka w szwach. Coś w materii mojej

rzeczywistości uległo zmianie, a ja nie wiedziałam jeszcze, co to oznacza dla mnie i dla człowieka, który trzymał mnie w ramionach.

Poczułam, jak Maxx pochyła głowę, a jego oddech owiewa moją twarz. Nadal milczał. Trzymał mnie mocno przyciśniętą do siebie, a lekkie pocałunki, którymi pokrywał czubek mojej głowy, musiały być już chyba owocem mojej wyobraźni.

Nie uroiłam sobie jednak tego, że w przeciągu zaledwie kilku minut zupełnie się uspokoiłam. Oddychało mi się łatwiej i byłam w stanie rozewrzeć pięści.

Po nieskończeniu długiej chwili wypuścił mnie z objęć.

– Powinnaś wrócić do domu.

I to była wszystko. Włożył ręce w kieszenie kurtki, a ja poczułam się zupełnie wytrącona z równowagi raptownością naszej fizycznej rozłąki.

– Chyba masz rację – przytaknęłam, niezdolna zdobyć się na uśmiech, choć bardzo chciałam. Musiałam odpocząć. Byłam chora i zmęczona, ale w tamtej chwili poczułam się... dobrze.

Maxx przełknął ślinę, aż wyraźnie przesunęła mu się grdyka. Nie patrzył na mnie. Nagle stał się czujny i niespokojny, gotów się mnie pozbyć.

– Dobranoc, Aubrey – powiedział, po czym odwrócił się i ruszył na parking.

Pozbierałam swoją dumę z ziemi i odwróciłam się do odejścia. Nagły przypływ emocji spowił moje myśli grubym kocem niepokoju.

Przesypywałem między palcami tabletki w plastikowej torebce, unosiłem je z dna i pozwalałem im opaść. Chciałem wziąć jedną. Tylko jedną.

Jedna by wystarczyła.

Potrzebowałem tylko jednej, żeby poczuć się dobrze.

Przynajmniej tak sobie wmawiałem.

Nie uważałem się za narkomana. Chociaż taką właśnie etykietkę chciał mi przykleić wymiar sprawiedliwości.

Powiedzieli, że potrzebuję pomocy. Interwencji.

A tymczasem potrzebowałem nowego cholernego życia.

Wyjąłem dwie tabletki i położyłem je na dłoni.

Wbiłem w nie wzrok. Jakbym czekał na rozwiązanie zagadki pieprzonego wszechświata.

„No dalej. Wiesz, że nas pragniesz. Świetnie będziemy się razem bawić” – wyszeptaly.

– Wiecie, jak poprawić mi samopoczucie – wymamrotałem, gładząc ich gładką powierzchnię kciukiem.

Trzeba przyznać, że byłem kompletnym świrem. Rozmawianie z dragami niechybnie oznaczało poważną zapaść umysłową.

Miałem do odrobienia pracę domową. Ze wszystkich sił starałem się nie dać plamy. Tak niewiele dzieliło mnie od zdobycia dyplomu. Do tej pory mi się udawało. Pilnowałem, żeby radzić sobie na tyle dobrze, żeby nie wylecieć.

To Callumowi zawdzięczałem to, że w ogóle podjąłem próbę wyjścia na ludzi. I moim nieżyjącym rodzicom, bo chyba tylko oni uważali, że ich chłopak był cokolwiek wart.

Problem polegał na tym, że straciłem jakikolwiek apetyt na życie, które zdaniem ich wszystkich powinienem wieść.

Miałem apetyt już tylko na dwie maleńkie tabletki spoczywające w mojej dłoni.

Nigdy nie miałem skłonności do odwlekania nieuniknionego. Wrzuciłem dwa kawałki szczęścia do ust i rozgryzłem je, po czym połknąłem.

Uwielbiałem ten moment, kiedy ramiona mi wiotczały, a stopy jakby znikwały. Otwarłem bezwiednie usta i spuściłem wzrok. W głowie przestało mi szumieć. Zapatrzyłem się w telewizor, który nie był nawet włączony.

Nie mam pojęcia, jak długo siedziałem już w swoim zabałaganionym mieszkaniu, gapiąc się w czarny ekran, kiedy rozdzwonił się mój telefon.

Dryń, dryń.

Dryń, dryń.

Poklepałem leżącą obok mnie poduszkę, ale telefonu tam nie było. Głowa opadła mi na bok. Próbowaliśmy otworzyć oczy, ale nie chciały słuchać. Usta rozciągnęły mi się w uśmiechu. Czułem się zajebiście.

Dryń, dryń.

Tam był. Leżał na stoliku do kawy, tuż przy moich opartych na nim stopach. Może uda

mi się wyciągnąć ręce wystarczająco daleko, żeby go dosięgnąć. Bo w tym momencie wydawały mi się nienaturalnie długie.

Chciałem, żeby już przestał dzwonić. Uszy mnie od tego bolały. Chciałem po prostu leżeć i o niczym nie myśleć. Nic nie robić. Być nikim.

Ale nie przestał. Nadal, kurwa, dzwonił.

Czy osoba po drugiej stronie nie uzmysłowiła sobie jeszcze, że mam ciekawsze rzeczy do robienia niż odbieranie pierdolonych telefonów?

Dźwignąłem się z kanapy i bardzo, bardzo powoli sięgnąłem po telefon, który nie chciał umilknąć.

Gmerałem chwilę przy przyciskach, jakby moje palce zapomniały, jak działa. Zaśmiałem się na myśl o groteskowości tego wszystkiego.

W końcu odebrałem i podniosłem telefon do ucha.

– Halo?

Mój głos zabrzmiał obco. Nie, zabrzmiał tak, jakbym starał się dobrze bawić. Pierdolić tego skurwysyna, który mi przerwał.

– Stary, ja pierdziele, próbuję się do ciebie dodzwonić od godziny. Zapomniałeś, kurwa, jak się odbiera? – wrzasnął mi jakiś głos prosto do ucha.

Zmarszczyłem brwi.

– Czego? – warknąłem.

– Czego? Czy ty sobie, kurwa, żarty robisz? Miałeś tu być dwie godziny temu! Gash jest wnerwiony na maksa. A wiesz, jaki on, kurwa, jest, jak jest wnerwiony. Bierz dupę w troki i przyjeżdżaj! – ryknął głos.

– Czy to Marco Polo? – zapytałem zmienionym głosem.

– Czy ty się, kurwa, znowu najebałeś? Bo nie widzę innego powodu, dla którego miałbyś ryzykować, że ci skopię dupę za takie odzywki. Masz sprzedawać tu gówno, a nie je zapodawać. Gash wepchnie ci je w dupę, jeśli przyjdiesz na haju. Miałeś mieć gotową nową lokalizację. Jest czwartek, człowieku! Proszę, powiedz mi, że znalazłeś już odpowiednie miejsce. – W głosie Marca zabrzmiała panika.

Wiedziałem, że prawdopodobnie też powinienem panikować. Z Gashem nie było żartów. Marco był jednym z bramkarzy w Compulsion, od dawna się kumplowaliśmy. Był również facetem co sobotę przytulającym sobie dodatkową premię za wjazd. Premię znakomicie uzupełniającą nasz budżet. Dzięki moim dragom i jego lepki palcom kręciliśmy na boku całkiem smakowite lody, które okazywały się zyskowne dla nas obu.

Prawda była taka, że nie znalazłem jeszcze kolejnego miejsca dla klubu. Rysowało się kilka obiecujących możliwości: stara fabryka w sąsiednim miasteczku, pole na przedmieściach. Ale byłem zajęty. W ciągłej gonitwie między szkołą i pracami społecznymi a pilnowaniem, żeby Callum był odpowiednio zaopiekowany, zaczynało mi brakować czasu.

Compulsion było jednak podstawą mojego bytu. Dzięki niemu zarabiałem pieniądze na chesne. Miejsce, w którym sprzedawałem narkotyki, pozwalało mi zachować wypłacalność i napełniało żołądek mojego młodszego brata. Nie zamierzałem podcinać gałęzi, na której siedziałem.

Tyle tylko, że w tym momencie to wszystko mi wisało. Czułem się zajebiście i reszta nie miała znaczenia.

– Nic się nie dzieje, stary. Wyluzuj – wybełkotałem, pocierając dolną wargę. Usta mi zdrętwiały. Prawie nie czułem języka. Wysunąłem go i popukałem w niego palcem.

Roześmiałem się. To było przezabawne!

– Jasna cholera! Masz tu natychmiast przyjść! Musisz powiedzieć Gashowi, gdzie się rozstawiamy w sobotę. Jeśli tego nie zrobisz, to ci jaja urwie – ostrzegł Marco, a ja wiedziałem, że wcale nie dramatyzuje. Mówił pieprzoną prawdę.

Gash był dość przerażającym kolesiem.

Oxy naprawdę zaczął działać. Upuściłem telefon na podłogę, bo nie byłem już w stanie utrzymać go w dłoni. Pochyliłem się i spróbowałem skłonić palce do uchwycenia aparatu.

W końcu udało mi się znów podnieść go do ucha.

– Jadę do ciebie – powiedział Marco, a ja prychnąłem w odpowiedzi.

– Jasne, przyjedź po mnie. Sam na pewno, kurwa, nie pojedę – wybełkotałem, przerywając połączenie.

Zamknąłem oczy z nadzieją, że resztką swojego odlotu będę mógł się cieszyć w spokoju. Potrzebowałem jeszcze kilku minut. Naprawdę nic więcej.

Wystarczy mi kilka minut i poczuję się naprawdę dobrze. Wręcz idealnie.

Pieprzyć konsekwencje.

Mój telefon znów zaczął dzwonić, a mnie przemknęło przez myśl, żeby go zlekceważyć. Pewnie znów Marco z jakąś żalostną pogroźką. Ależ on był upierdliwy.

I znów ten głupi dzwonek.

– Czego? – warknąłem do telefonu, wytrącony ze stanu zamglonej szczęśliwości.

– Maxx?

Usiadłem nieco prościej i potarłem twarz dłonią, starając się odzyskać jasność umysłu.

– Callum. Co tam? – zapytałem, próbując nie brzmieć na tak najebanego, jak faktycznie byłem.

Mój młodszy brat nie miał pojęcia, że jego bohater jest takim zebem. Do tej pory udało mi się utrzymać moje aresztowanie i wyrok w zawiasach w sekrecie, ale utrzymywanie Calluma w nieświadomości stawało się coraz trudniejsze.

– Dlaczego tak dziwnie brzmisz? Obudziłem cię? – zapytał.

Chociaż za kilka miesięcy kończył szesnaście lat, zachowywał się jak dziesięciolatek. Może z mojej winy. Ciągle traktowałem go jak dziecko.

Dzięki temu łatwiej mi było udawać, że nie widzi we mnie człowieka, którym naprawdę byłem.

– Ta... Ale spoko – skłamałem bez wysiłku.

Moja łatwość wchodzenia w role i wychodzenia z nich zasługiwała na miano talentu. W razie potrzeby potrafiłem znakomicie odegrać dobrego starszego brata. Miałem tyle ról do odegrania. Nie miałem tylko całkowitej pewności, która z nich była prawdziwa.

– Mogę zadzwonić później – powiedział przeprasząco Callum.

Potarłem oczy, próbując się obudzić. Dragi ciągnęły mnie jednak w dół i trudno się było czymkolwiek przejąć.

W gruncie rzeczy nie chciałem się już niczym przejmować. Za dobrze się czułem, gdy tego nie robiłem.

– Ale co chciałeś? – zapytałem. Zabrzmiałem jak dupek.

– Pomyślałem po prostu, że mógłbyś wpaść jakoś w tym tygodniu i pomóc mi naprawić

samochód – powiedział Callum.

Miałem mu pomóc wyszykować starego mustanga ojca, zanim dostanie prawko, ale nie byłem u wuja od ponad miesiąca.

Miał taką cholerną nadzieję w głosie. Pieprzyć nadzieję. Bezwartościowa dziwka.

– Nie wiem – odpowiedziałem wymijająco.

Prawda była taka, że miałem czas, tylko nie miałem ochoty. Nie miałem ochoty znów przylepić sobie na twarz sztucznego uśmiechu. Nienawidziłem tej pieprzonej twarzy.

Nie miałem siły być tym innym Maxxem.

Tym obarczonym zdecydowanie zbyt dużą odpowiedzialnością i zupełnie niepotrafiącym jej sprostać.

Ten Maxx, którym próbowałem się stać, nigdy niczego nie schrzanił. Był na samym szczycie i nic nie mogło go z niego strącić. Ludzie go pragnęli. Był pępkiem całego pieprzonego wszechświata.

I nigdy nie był sam.

– Tak myślałem, że pewnie jesteś zajęty i w ogóle. Nie można być wziętym lekarzem, w ogóle się nie przykładając. Hej, może Aubrey by ci pomogła w nauce czy coś? – zakpił Callum, próbując się ze mnie dobrodusznie, po bratersku ponaigrawać.

Jego niezachwiana wiara we mnie przyprawiała mnie o mdłości. A wspomnienie Aubrey ostatecznie wprowadziło mnie z równowagi.

W co ja z nią, do cholery, pogrywałem? A co ważniejsze: czy w ogóle pogrywałem? Po zajęciach grupy na początku tego tygodnia wcale nie miałem wrażenia, że odgrywam jakieś przedstawienie.

Opowiedziała mi o swojej siostrze i dzięki jej opowieści coś... poczułem.

Cierpiałem. Z jej powodu. Z powodu jej bólu.

I opowiedziałem jej o własnym. O własnym cierpieniu. O rzeczach, którym tak długo próbowałem zaprzeczać.

Przez krótką chwilę wszystko było takie rzeczywiste.

Pocieszające.

Bezpieczne.

Ale w moim życiu nie było czasu na rzeczywistość.

Wkurzało mnie to.

Im bardziej robiłem się wściekły, tym bardziej rozplątywał się mój słodki haj.

– Słuchaj, muszę kończyć, Callum. Spróbuję wpaść pod koniec tygodnia – powiedziałem szybko i nie czekając, aż się pożegna, przerwałem połączenie. Nie chciałem usłyszeć w jego głosie rozczarowania.

Nie byłem w stanie unieść jego oczekiwań. Ciężar jego zależności ode mnie zaciskał mi się na szyi jak stryczek.

Ścisnąłem telefon w rękę i cisnąłem go przez cały pokój. Zadziwiające, ale po upadku na drewnianą podłogę wcale się nie roztrzaskał.

Miałem poczucie, że się duszę.

Potrzebowałem otępienia.

Potrzebowałem ucieczki od tej gównianej rzeczywistości, w której żyłem.

Potrzebowałem... nicości.

Podniosłem plastikową torebkę z tabletkami ze stolika i wytrząsałem na dłoń trzy

trzydziestomiligramowe tabletki oxy.

Usłyszałem walenie do drzwi, a potem krzyki Marca.

Olałem je.

Rozkruszyłem tabletki grzbietem podręcznika do statystyki, zgarnąłem proszek na dłoń i wrzuciłem go do ust. Gorzki pył załaskotał mnie w gardle i wywołał donośny napad kaszlu.

Marco usłyszał mnie, więc dalej walił w drzwi.

Tym gorzej dla niego. Nie zamierzałem zwracać na to uwagi.

Gdy tylko dragi zaczynały działać, wszystko stawało się lepsze... spokojniejsze.

Nigdy nie zawodziły.

Odlot był jedynym stałym elementem mojego życia.

Był zawsze, gdy go potrzebowałem. Bezwarunkowo. Nie potrzebował mnie. Nie obciążał mnie jakimiś nierealnymi oczekiwaniami. Był najidealniejszym związkiem mojego życia.

Dawał, nie oczekując niczego w zamian.

Był najlepszym przyjacielem, jakiego miałem.

Czułam się jak dzieciak przyłapany przez dyrektorkę na paleniu w łazience. Doktor Lowell zadzwoniła do mnie wczoraj i poprosiła, żebym przyszła do jej gabinetu po zajęciach. Wiedziałam, o co chodzi. Kristie ostrzegła mnie, że skontaktuje się z moim opiekunem naukowym. Ale wskutek mojego dziwnego spotkania z Maxxem i nieprzytomnej liczby zajęć jakoś zapomniałam o tym, jak potwornie sobie nagrabiłam w grupie wsparcia.

Wyparcie było wspaniałą sprawą.

No cóż, czas było ponieść konsekwencje. Zjeść tę zabę. Wypić piwo, którego nawarzyłam.

– Aubrey, wejdz – powiedziała doktor Lowell, stając w drzwiach swojego gabinetu.

Podniosłam swoją torbę i weszłam do środka. Kiedy moja opiekun zamknęła drzwi, usiadłam na krześle stojącym przed jej potężnym biurkiem.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś – powiedziała bez wstępów, przechodząc od razu do rzeczy.

Skinęłam głową. Nagle zaschło mi w ustach.

– Czy byłabyś tak miła i wyjaśniła mi, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu w grupie wsparcia? – zapytała moja pani profesor, siadając za swoim biurkiem i krzyżując przed sobą ręce.

Była atrakcyjną kobietą, jedną z tych, które starzeją się z wdziękiem. Jej siwiejące włosy były krótko obcięte i przypięte spinką, a na jej twarzy w ogóle nie było widać zmarszczek.

Doceniałam to, że zamiast pochopnie wyciągnąć wnioski, patrzyła na mnie z namysłem, oczekując uczciwego wyjaśnienia.

– Zabagniałam sprawę, pani doktor. Opowiedziałam na spotkaniu grupy o rzeczach, o których nie powinnam była opowiadać. Rozzłościłam się. Ci ludzie są tam po to, by poznać metody zmiany swojego życia, a zachowują się tak, jakby im się kompletnie nie chciało. Chyba miałam tego dość. Ale to, co zrobiłam, było niewłaściwe, i zrozumieć, jeśli uzna pani, że powinnam opuścić grupę – powiedziałam cicho, gotowa przyjąć cios.

Doktor Lowell przyjrzała mi się w skupieniu. Przez długą chwilę milczała. Jedyńm dźwiękiem słyszalnym w cichym gabinecie było tykanie ściennego zegara.

Powoli odsunęła krzesło od biurka i wstała. Niespiesznie przemierzyła pokój i naląła sobie kubek kawy z luksusowego ekspresu Keuriga, który stał w rogu.

Dlaczego nic nie mówiła?

Może była ukrytą sadystką i bawiło ją obserwowanie, jak jej biedni studenci skręcają się ze strachu?

– Masz ochotę na kubek kawy, Aubrey? – zapytała, wyciągając go w moją stronę.

Skinęłam głową. Nigdy nie odrzucałam takiej propozycji. Pociągnęłam łyk wykwintnego naparu, odmawiając sobie rozkoszowania się smakiem, kiedy najprawdopodobniej czekała mnie surowa reprymenda. Ale trzeba przyznać, że smakowite to było, kurczę blade.

– Nie chcę, żebyś opuściła grupę – powiedziała w końcu doktor Lowell, kiedy już wypiałam swój kubek do połowy.

Zaskoczona zamrugałam oczami.

– Naprawdę? Bo kiedy rozmawiałam z Kristie, to wydawało mi się, że uważa moje dalsze uczestnictwo w spotkaniach grupy za niewłaściwe.

Przewróciła oczami. Tak, moja twarda jak skała profesor naprawdę przewróciła oczami.

– Kristie jest znakomitym doradcą, ale czasem bywa nieco zbyt zasadnicza. Wszyscy jesteśmy ludźmi, Aubrey. Dla ciebie częścią tego procesu jest nauka rozpoznawania własnych granic. Zrozumienie ograniczeń dynamiki grupy i działających w niej mechanizmów. Takich rzeczy możesz się nauczyć jedynie dzięki doświadczeniu. Byłoby to z ogromną szkodą dla ciebie, gdybym usunęła cię teraz z grupy. Wszyscy popełniamy błędy. Nie chcę powiedzieć przez to, że nie postąpiłaś niewłaściwie. Postąpiłaś. – Popatrzyła na mnie bez emocji. – Po prostu nie sądzę, że trzeba koniecznie zmyć ci za to głowę. – Doktor Lowell wróciła na swoje miejsce za biurkiem. – Tuż po otrzymaniu dyplomu i licencji terapeuty prowadziłam grupę zarządzania gniewem, której członkowie byli zobligowani do uczestnictwa nakazem sądu. Wszyscy zostali skazani pod zarzutem stosowania przemocy, zwykle w stosunku do członków własnej rodziny. Wstrętna grupa ludzi. Traktowali mnie kompletnie niepoważnie. Stwierdzić, że nie przyjąłam tego dobrze, szczególnie że jako młoda osoba byłam zdecydowanie bardziej porywcza, byłoby grubym niedopowiedzeniem.

Zaśmiała się i ja również mimowolnie się uśmiechnęłam.

Może jednak uda mi się wyjść z tego cało! Alleluja!

– Wylałam szklankę wody na głowę jednego z członków grupy – dokończyła. – Najwyraźniej nie spodobało mu się to, co miałam do powiedzenia, i nazwał mnie słowem na k.

Rozdziawiłam usta. Ja bym nie poprzestała na wylaniu mu wody na głowę.

– Stwierdzenie, że mój przełożony potraktował mnie surowo, byłoby łagodnym ujęciem sprawy. Musisz pamiętać, że to były inne czasy, kobiety dopiero zaczynały wchodzić do takich zawodów. To były lata siedemdziesiąte i mimo wszystkich postępów w dziedzinie równouprawnienia nadal miało się poczucie, jakbyśmy tkwili jeszcze w epoce kamienia łupanego. Na trzy miesiące zawieszono mnie w prawach wykonywania zawodu i nie pozwolono prowadzić żadnej grupy, dopóki nie ukończyłam własnej terapii z zakresu zarządzania gniewem. – Zachichotała. – Więc widzisz, nie ty jedna musiałaś się nauczyć kontrolowania własnych emocji i pamiętania o tym, by zachowywać się profesjonalnie. – Spoważniała nagle. – Obie wiedziałyśmy, że wchodzenie w to będzie dla ciebie trudne. Jest trudne nawet w zwykłych okolicznościach, a biorąc pod uwagę twoje osobiste doświadczenia, wiedziałam, że będzie trudne podwójnie. Czy pomogłoby ci, gdybyśmy spotykały się co tydzień, żeby omówić to, co się dzieje w grupie, i ocenić twój udział w niej? – zapytała.

Starłam się nie czuć urażona. W końcu wylądowałam tutaj przez swoje zachowanie. Ale nie potrafiłam opanować urazy. Poczulałam się tak, jakby mi powiedziała, że jestem zbyt zaburzona, by funkcjonować normalnie.

– Nie. Jestem pewna, że dam sobie radę – odpowiedziałam sztywno, zmuszając się do uśmiechu.

Doktor Lowell skinęła głową.

– No cóż, jeśli w jakimkolwiek momencie poczujesz się zagubiona, po prostu do mnie wpadnij. Wiesz, że moje drzwi są zawsze otwarte. Ale teraz zastanówmy się, co dalej. Kiedy rozmawiałam z Kristie, zdecydowanie nie sprawiała wrażenia szczęśliwej. A ja nie mogę

sobie pozwolić na to, by podważała pracę tego wydziału. Ośrodek terapii uzależnień blisko współpracuje z uniwersytetem, oferuje szkolenia i bezpłatne staże dla naszych studentów. Kristie będzie oczekiwać od nas podjęcia jakichś działań.

Doktor Lowell znów przewróciła oczami i tym razem po prostu musiałam się roześmiać.

Jej opinia na temat Kristie Hinkle była dość oczywista.

– Proponuję, żebyś przez kilka następnych tygodni tylko obserwowała pracę grupy. Pozwól Kristie samodzielnie ją prowadzić. Nie odzywaj się, o ile nie zostaniesz o to poproszona. Wyjaśnię Kristie, że rozmawiałyśmy, i poproszę ją, by po każdym spotkaniu przygotowała dla mnie notatkę z postępów. Nie mam wątpliwości, że jeśli wyjdą jakieś kolejne sprawy, szybko się o tym dowiesz. Podobnie jak ja – skończyła doktor Lowell.

– Na pewno – zgodziłam się.

– No dobrze. Myślę, że na tym zakończymy. Miłego popołudnia – powiedziała, wracając do oceniania prac.

Podniosłam swoją torbę z książkami i przerzuciłam ją sobie przez ramię, czując ulgę, że już po wszystkim i że ocalałam skórę. Ucierpiała jedynie moja godność.

Miałam resztę dnia na skończenie referatu na psychologię społeczną. Ruszyłam w stronę doprawdy imponującej biblioteki Uniwersytetu Longwood krokiem lżejszym niż wtedy, gdy tego ranka wyszłam z mieszkania.

Skierowałam się wprost ku swojemu zwykłemu miejscu: stojącemu w zacisznym kącie czteroosobowemu stolikowi na drugim piętrze. Był ukryty za działem ogrodnictwa, który nie cieszył się szczególnym wzięciem wśród studentów, więc rzadko ktoś mi przeszkadzał. Wypakowałam książki i wyciągnęłam torebkę z przekąskami, szykując się na całe popołudnie ślęczenia nad książkami.

Dobrze się już rozpędziłam ze swoim referatem, kiedy nagle wyczułam czyjąś obecność. Urwałam w połowie zdania, długopis zastygł mi w dłoni, a kiedy podniosłam wzrok, z trudem zdławiłam jęknięcie.

– Czy to miejsce jest wolne? – zapytał Maxx, odsuwając krzesło naprzeciw mnie.

– Prawdę mówiąc, zazwyczaj pracuję tutaj... sama – powiedziałam powoli i wyraźnie, mając nadzieję, że pojmie.

Maxx albo celowo pozorował tępotę, albo nie zrozumiał aluzji. Byłam prawie pewna, że to pierwsze. Obdarzył mnie szerokim uśmiechem i rzucił torbę na stół, potrącając moje starannie poukładane zeszyty i zakreślacze.

Zacisnęłam zęby i przesunęłam swoje rzeczy, robiąc mu miejsce.

– Nad czym pracujesz? – zapytał.

– Cii... nie tak głośno, bo nas przez ciebie wyrzucą – skarciłam go, nie kryjąc, jak mnie irytuje całe to zamieszanie.

Maxx obronnym gestem uniósł dłonie.

– Dobra, już nie przeszkadzam.

Skinęłam głową i pochyliłam się znów nad książkami. Próbowaliśmy się skoncentrować na lekturze, ale z Maxxem siedzącym tak blisko, że zapach jego wody po goleniu wiercił mi w nosie, okazało się to w zasadzie niemożliwe.

Kiedy trzeci raz z rzędu napisałam to samo zdanie, odłożyłam długopis i potarłam skronie.

– Boli cię głowa? – zapytał Maxx.

– Nie, po prostu trudno mi się skoncentrować – mruknęłam.

– Rozpraszam cię? – powiedział zaczepnie Maxx.

Z łoskotem opuściłam ręce na blat i aż się skuliłam. Rozejrzałam się z nadzieją, że bibliotekarz nie wywali mnie na zbity pysk.

– Siadam właśnie tutaj, żeby ludzie mi nie przeszkadzali. Mam mnóstwo pracy – powiedziałam błagalnie, naprawdę mając nadzieję, że teraz wreszcie wstanie i sobie pójdzie.

Maxx przekrzywił głowę na bok.

– Odkąd cię poznałem, próbuję jakoś umiejscowić ten twój akcent. Południowo-zachodnia Wirginia? – zapytał, ignorując moją sugestię.

Najwyraźniej postanowił tu nieco zabawić, a ja musiałam jakoś się z tym pogodzić.

– Karolina Północna – sprostowałam bez zastanowienia.

Cholera!

Nie daj się wciągnąć, Aubrey! Nie daj się wciągnąć!

– Aaa... dziewczyna z Południa – powiedział, popukując ołówkiem o okładkę książki.

– Hm – wymamrotałam niezrozumiale, mając nadzieję, że na tym się skończy.

Naiwniaczka...

– Gdzie jest Karolina Północna? – zapytał sekundę później.

– Czy ty się uparłeś, żeby mnie wyprowadzić milionem pytań z równowagi? – warknęłam.

– Strasznie jesteś drażliwa, jak się uczysz – powiedział Maxx, przygryzając dolną wargę i próbując powstrzymać się od śmiechu.

Mimowolnie spuściłam wzrok na jego usta i zanim zdążyłam się opanować, zapatrzyłam się w linię jego warg.

Dość tego!

Odchrząknęłam i zaczęłam się pakować. Nie ma szans, żebym zdołała cokolwiek zrobić, mając Maxxa na karku. Równie dobrze mogłam spróbować pouczyć się w mieszkaniu, zakładając, że nie zastanę w nim Devona.

– Nie wychodź, przepraszam, już będę cicho – obiecał Maxx. Wyciągnął rękę i przykrył moją dłoń swoją, zatrzymując mnie. – Proszę. – Dzierżył to słowo jak broń. Odbierało siłę wszelkim argumentom.

To było naprawdę irytujące.

Usiadłam z powrotem na krześle i otworzyłam na powrót swoją książkę.

– Dobrze, ale Maxx, naprawdę, mam mnóstwo pracy – powiedziałam, wstrząśnięta tym, jak szybko się poddałam.

Maxx skinął głową i pospiesznie otworzył własne książki.

Próbowałam wrócić do swojego referatu, ale znów nie mogłam się skoncentrować. Zerknęłam na to, nad czym pracował Maxx, i zobaczyłam, że przegląda podręcznik zaawansowanej rachunkowości przedsiębiorstw.

– Sądziłam, że masz zostać odkrywcą remedium na raka? W jaki sposób rachunkowość ma ci pomóc w uzyskaniu dyplomu lekarza? – zapytałam mimowolnie.

Maxx podniósł na mnie wzrok, a ja nie mogłam odwrócić oczu. Spojrzał na mnie w taki sposób, że poczułam się, jakby prócz mnie na świecie nie było nikogo. Jakbym tylko ja się

liczyła. Jak mu się to udawało? Był tak cholernie pociągający. Jakby coś wysysało mnie w jego pole siłowe. Jakby był jedną wielką, gigantyczną czarną dziurą i wchłaniał mnie w siebie.

– Nie widzę siebie w przyszłości w roli doktora Demelo – odpowiedział, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Czy zdawał sobie sprawę z wpływu, jaki miał na ludzi? Byłam prawie pewna, że tak, i wiedziałam też, że posiadanie tak ogromnej władzy było niebezpieczne.

Nie potrafiłam go rozszyfrować, a przecież zawsze szczyliłam się swoją intuicją. W przypadku Maxxa niepokojąco jednak zawodziła.

– Dlaczego nie? – zapytałam, zamykając książkę.

Nie miało sensu udawanie, że zamierzam tu dokończyć jakąkolwiek pracę. Jedyne, co studiowałam, to wstęp do psychologii Maxxa.

Odkasznął, zasłaniając usta dłonią, i odwrócił wzrok, przerywając łączącą nas nić.

– To po prostu nie dla mnie – odpowiedział.

Byłam gotowa drążyć. W razie potrzeby choćby do Chin.

– A co jest zatem dla ciebie? – zapytałam, opierając podbródek na dłoni i zatapiając w nim spojrzenie. Nisza, w której siedzieliśmy, wydała mi się nagle duszna i gorąca, niemal klaustrofobiczna. Miałam na sobie bluzkę z golfem i żałowałam, że nie włożyłam czegoś lżejszego. Byłam nadnaturalnie świadoma tego, jak bardzo się pocę.

I gotowa byłam bronić tezy, że nagłą falę gorąca spowodowała wyłącznie panująca w bibliotece temperatura, a nie miała ona nic wspólnego z siedzącym naprzeciw mnie chłopakiem.

Maxx uśmiechnął się lekko i tajemniczo i zamiast odpowiedzieć, odbił piłeczkę w moją stronę.

– A co jest dla ciebie? Terapia, tak? Chodzi o twoje własne problemy czy po prostu masz syndrom zbawcy?

Odchyliłam się na oparcie, zastanawiając się, czy powinnam poczuć się urażona. Nie potrafiłam powiedzieć, czy celowo próbował być nieuprzejmy, czy po prostu tak mu wyszło. Zadawał pytania z tak precyzyjnie odmierzoną dawką protekcyjności, że zmuszał mnie do samoobrony.

– Oczywiście, że chcę pomagać ludziom. Po co miałabym się tak zaharowywać, gdybym nie chciała? – zapytałam, myśląc z nienawiścią, że dałam mu dokładnie to, czego chciał: informację.

– Nie wiem. Sądziłem, że to ma coś wspólnego z twoją siostrą – podsunął z prawdziwie zatroskaną miną.

Jak śmiał rzucać mi to w twarz! Zwierzyłam mu się w chwili słabości i powinnam była wiedzieć, że jeszcze tego pożałuję. Poczzerwieniałam i poczułam, jak ogarnia mnie wściekłość. Maxx wyzwał we mnie nieokiełznane namiętności. Niezależnie od tego, czy była to wściekłość, czy pożądanie, ogarniały mnie z przemożną siłą.

Czułam, że się za chwilę rozsypię.

– Rozmowa między nami na ten temat jest czymś niewłaściwym – powiedziałam chłodno, żałując, że nie wyszłam wtedy, kiedy chciałam.

– Nie próbuję zachowywać się niewłaściwie. To, że zdecydowałaś się opowiedzieć o swojej siostrze, było aktem niezwykłej odwagi. Szanuję to. I szanuję ciebie – powiedział

Maxx szczerze. – Po prostu myślę, że to, co się z nią stało, mogło wzbudzić w tobie chęć pomagania innym, podobnym do niej ludziom. To zrozumiałe. Tylko to chciałem powiedzieć. Przepraszam, jeśli zdenerwowało cię, że o tym wspomniałem. To było nietaktowne – powiedział ze skruchą.

No dobrze, może byłam nazbyt drażliwa. Ale rozmawiając z kimkolwiek o Jayme, natychmiast zaczynałam się denerwować, a sposób, w jaki rzekomo mimochodem wspomniał o niej w naszej rozmowie, naprawdę mnie rozżłościł.

Rozmowa z Maxxem była dziwnie intymnym doświadczeniem. Równie dobrze moglibyśmy tutaj siedzieć nago.

No i teraz myślałam już tylko o tym, jak on wygląda bez ubrania.

Jasna cholera!

– W porządku – powiedziałam, zaskoczona, że właściwie miał rację. Nie mogłam wziąć mu za złe jego spostrzeżeń, bo przecież taka była prawda. – I owszem, myślę, że robię to wszystko z powodu Jayme – przyznałam, żałując, że nie potrafię się po prostu zamknąć.

Gdzie był ten guzik wyłączający mój mózg, kiedy go potrzebowałam? Dlaczego to właśnie Maxxowi się zwierzałam?

Jestem pewna, że nie miało to nic wspólnego z tymi niesamowitymi oczami, które zdawały się błagać, bym zdradziła im swoje sekrety.

– To wspaniale, że wiesz, co chcesz zrobić ze swoim życiem. I to coś rzeczywiście ma sens. Nie wiem, czy znalazłbym w swoim życiu coś, co budzi we mnie tak silne uczucia – powiedział Maxx.

– Chyba jednak jest coś takiego, a to już niezły punkt wyjścia – podesunęłam.

Oczy Maxxa pociemniały. Zawsze sądziłam, że to taki oklepany frazes zarezerwowany na potrzeby ckliwych romansideł. Ale nie, Maxxowi znakomicie udawała się ta sztuczka.

– Masz rację, to znakomity punkt wyjścia – mruknął, a moje serce zatrzepotało szaleńczo. Znów te frustrujące niedopowiedzenia! Rozstrajały mnie i wytrącały z równowagi.

Podniosłam się raptownie, przewracając krzesło na ziemię. Głuchy szcęk rozniósł się echem w cichej bibliotece.

– Naprawdę muszę już iść – powiedziałam pospiesznie, zbierając rzeczy.

Maxx zmarszczył brwi.

– Powiedziałem coś nie tak? – zapytał.

Wyglądał na zranionego.

– Nie, nie, zupełnie. Po prostu muszę coś zrobić – zaczęłam się nieudolnie wykręcać. Po spotkaniu z doktor Lowell, kiedy ledwie co uniknęłam nagany, zwierzenie się członkowi grupy wsparcia sprawiało wrażenie stuprocentowo skutecznej metody napytania siebie biedy. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – powiedziałam, przyciskając torbę z książkami do piersi i z trudem powstrzymując się, by nie wybiec.

– Na razie, Aubrey – powiedział Maxx, cicho i miękko wymawiając moje imię.

Czy tego chciałam, czy nie, Maxx wdarł się w moje myśli. Wciąż od nowa przepowiadałam sobie w głowie przebieg naszej rozmowy. Wymyślałam sobie za nonszalancję, z jaką z nim rozmawiałam. Wściekałam się na siebie, że z taką ochotą dałam mu wgląd w te zakamarki duszy, które przecież celowo ukryłam przed światem.

A nade wszystko byłam zupełnie zbita z tropu swoją całkowicie nietypową reakcją na kogoś, kogo w ogóle nie znałam. Komu nie ufałam. Komu nie chciałam powierzać swoich sekretów.

Dlaczego więc nie byłam silniejsza? Dlaczego odsłoniłam tę wrażliwą część siebie, dawno już – jak sądziłam – pogrzebaną?

Jedno było pewne: musiałam się uczyć na błędach i zapamiętać sobie dokładnie, kim jest Maxx. I kim miałam być ja.

Zamierzałam zlekceważyć jego przepiękne niebieskie oczy, seksowny uśmiech oraz nielogiczne pragnienie ujżenia go ponownie.

Nawet jeśli faktycznie oczarował mnie człowiek, który przemycił młodszego brata do uczelnianej stołówki, żeby go nakarmić. Nawet jeśli faktycznie przedziwnie fascynował mnie mężczyzna, który wyrwał kwiatek ze skutej styczniowym mrozem ziemi i dał mi go z uśmiechem na twarzy. Nawet jeśli zbyt mocno zainteresował mnie chłopak, który wyznał, jak przeraża go perspektywa poddania się uzależnieniu i całkowitej utraty kontroli nad własnym życiem.

Niepostrzeżenie pojawiło się nieznośne pragnienie naprawienia go. Czulałam je wyraźnie. Czaiło się tuż pod powierzchnią mojego solidnego postanowienia i czekało, aż dopuszczę do siebie myśl, że to ja chcę być kobietą, która go utuli i się nim zaopiekuje.

Maxx miał rację. Zdecydowanie dręczył mnie potężny syndrom zbawcy.

Był sobotni wieczór i zgodziłam się znów pójść do Compulsion razem z Brooksem. Od dnia spotkania grupy nie widywałam go zbyt często. Zgodnie z obietnicą przyniósł mi zupełny film, ale pierwszy raz poczułam między nami jakąś dziwną, fałszywą nutę.

Oddalił się. Trudno było inaczej to ująć. Kiedy go zapytałam, co się dzieje, odpowiedział: „Nic”. Można się było domyślać, że oznacza to: „Coś mnie gnębi, ale będę się złośliwie wykręcał od odpowiedzi tylko po to, żeby cię zirytować”.

Nie naciskałam, zupełnie nie będąc w nastroju na dociekanie, co gryzie Brooksa Hamlina. Gdyby chciał o tym pogadać, to by to zrobił.

Wiedziałam, że jest zajęty przygotowaniem do egzaminów końcowych i stresuje się oczekiwaniem na informację z uczelni prowadzących studia magisterskie, na które składał papiery. Ciągłe mi powtarzał, że ma przeładowany program studiów. Musiałam uwierzyć, że właśnie to jest powód jego dziwnego zachowania.

Więc skąd ta paranoja, że przyczyn należałoby szukać zupełnie gdzie indziej?

Wszystko to w połączeniu z moimi niewyjaśnionymi uczuciami do Maxxa sprawiało, że byłam bliska załamania nerwowego. Poczulałam więc gigantyczną ulgę, kiedy Brooks

zadzwoił pod koniec tygodnia i zasugerował, żebyśmy znów wybrali się do Compulsion. Zachowywał się prawie normalnie i zdołałam przekonać samą siebie, że nic się między nami nie zmieniło.

Między mną a Renee utrzymywał się stan ostrożnego zawieszenia broni. Któregoś wieczoru przed snem obejrzałyśmy nawet jakiś pretensjonalny film SF. Zawarłyśmy milczącą umowę, by unikać tematu Devona, dzięki czemu zniknęła większość napięć pojawiających się między nami w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Było dopiero wpół do siódmej, Brooks miał przyjechać nie wcześniej niż o dziesiątej, więc miałam mnóstwo czasu do zabicia. Renee siedziała w saloniku na kanapie i zakuwała do egzaminów końcowych, a ja przynajmniej kilka razy na zmianę to porządkowałam, to przeorganizowywałam swój pokój. Skończyłam wszystkie prace domowe i zaczęłam się nudzić, co było raczej rzadkie. Zupełnie do mnie niepodobne. Byłam tak zajęta, że nie miałam czasu na nudę.

Wybrałam już strój na wieczór i stwierdziłam, że do przyścia Brooksa mam jeszcze sporo czasu. Pomyślałam o tym, by jeszcze raz posprzątać pokój. Albo zrobić jakąś pracę domową. Zaskakujące, ale ani na jedno, ani na drugie nie miałam ochoty. Poszłam więc do saloniku, by potowarzyszyć Renee.

Na ekranie migotał bezgłośnie kanał Shopping Network, a z głośników sączył się Led Zeppelin. Klapnęłam na kanapę i wzięłam do ręki pilot.

Renee podniosła wzrok, obdarzyła mnie roztargnionym uśmiechem i wróciła do nauki. Miło było widzieć, że zdołała się skupić na czymś poza Tym, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać.

I w tym momencie, jakby sama myśl o nim zdołała go przywołać, odezwał się dzwonek u drzwi.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytałam Renee, która tylko pokręciła głową.

Podniosłam się i ruszyłam w stronę drzwi, gdy te otworzyły się nagle na oścież.

Do pokoju wtoczył się Devon, trzymając w rękach plastikowe siatki wypełnione piwem i ciągnąc za sobą swoich dwóch paskudnych koleżków. Przeszedł przez moje mieszkanie i rzucił siatki na mój stolik do kawy, nie siląc się na to, by w jakikolwiek sposób dostrzec moją obecność. Za nim weszli do pokoju jego znajomi, wdeptując błoto w dywan.

Devon wyrwał Renee podręcznik z rąk i rzucił go za kanapę.

– Czas na naukę dawno się skończył, skarbie – obwieścił, klapnął na kanapę obok niej i oparł nogi na stole, nie zadając sobie trudu zdjęcia butów.

Jego koleżkowie, z których żaden nie wyglądał tak, jakby brał tego dnia prysznic, wzięli sobie taborety spod kuchennej wyspy i przynieśli je do saloniku. Obaj wyciągnęli sobie po butelce piwa i otworzyli je, rzucając kapsle na stół.

Renee sprawiała wrażenie podenerwowanej i zdecydowanie mało uradowanej widokiem swojego chłopaka, ale oczywiście nic nie powiedziała. Pozwoliła mu zagarnąć swoją przestrzeń, rozporządzić swoim czasem i podyktować jej, co ma zrobić ze swoim sobotnim wieczorem.

Stałam tam z lekko rozdziawioną buzią, nie mogąc uwierzyć w tupet tego kolesia. Miałam ochotę urznąć mu jaja nożem do masła.

– Zdejmij nogi ze stołu – powiedziałam cicho.

Devon ledwie spojrział w moją stronę. Kiedyś rozumiałam, dlaczego z jego powodu Renee

wywróciła całe swoje życie do góry nogami. Był przystojny na sposób kogoś, kto bardzo się stara wyglądać jak niezły kawał skurwysyna. Ale wiedziałam już, że ten wizerunek, ta poza są równie sztuczne jak skóra jego kurtki.

I byłam coraz bardziej świadoma, jaki rodzaj człowieka kryje powierzchowność, którą próbował epatować.

Devon Keeton był typem odczuwającym potrzebę pomiatania swoją dziewczyną, bo miał kilka razy za małego. Poszczałby się w spodnie, skonfrontowany z kimś silniejszym od siebie, ale z rozkoszą skopałby psa, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

Patrzyłam, jak wkracza i przejmuje kontrolę, jak jego koleżkowie otwierają opakowania czipsów, rozrzucając okruchy po podłodze. Miałam wrażenie, że Renee jakby zapada się w sobie. W ciągu kilku minut jej spojrzenie przygasło i zmatowiało.

Może to widok przyjaciółki zatracającej jakąś część siebie sprawił, że poczułam się tak, jakbym miała zaraz eksplodować? Może obserwowanie, jak Devon i jego przyjaciele lekceważą nasz dom? A może rosnąca góra śmieci gromadzących się na mojej nieskazitelnej podłodze?

Cokolwiek to było, przepełniło czarę i wiedziałam, że jeśli natychmiast się nie wycofam, nie zmilczę tego wszystkiego. Nie będę w stanie patrzeć bez słowa, jak moja najlepsza przyjaciółka jest rozjeżdżana na miazgę przez tego skurwiela, który określa siebie jej chłopakiem.

Spojrzałam na Renee, która martwo patrzyła w przestrzeń, i poczułam wściekłość, smutek i głębokie, skręcające żołądek rozżalenie, że nie potrafi stanąć w obronie samej siebie.

Nie mogłam znieść tego ani chwili dłużej. Chwyciłam płaszcz i torebkę i trzaskając drzwiami, wypadłam z naszego mieszkania, a w uszach zadźwięczał mi śmiech Devona i jego kumpli.

Wyszłam na chłodne, zimowe powietrze i uświadomiłam sobie, że rzucając się do wyjścia, zapomniałam o rękawiczkach. Wsunęłam więc ręce do kieszeni i skuliłam ramiona, próbując osłonić się od wiatru.

Było już ciemno i pożałowałam, że nie mogę wrócić do domu i skulić się pod kołdrą zamiast włóczyć się, wkurzona, na przenikliwym zimnie. Taka pogoda idealnie nadawała się do hibernacji, co w tym momencie naprawdę nie wydawało się złym pomysłem. Wobec moich zupełnie nieprofesjonalnych uczuć do Maxxa i popieprzonych stosunków łączących mnie z moją najlepszą przyjaciółką myśl o przespaniu kilku najbliższych miesięcy wydawała się niezwykle kusząca.

Mimowolnie ruszyłam z powrotem w kierunku kampusu – żaden inny kierunek nie przyszedł mi do głowy. Żadni przyjaciele, do których mogłabym zadzwonić.

Swoją powściągliwość w nawiązywaniu kontaktów i zawieraniu przyjaźni – jeśli nie liczyć Brooksa i Renee – mogłam chyba przypisać śmierci Jayme. Jej strata była prawdziwą traumą i wywarła najgorszy możliwy wpływ na moje życie. W gruncie rzeczy jednak nigdy nie zależało mi na towarzystwie. W szkole średniej miałam kilka kumpelek, ale po moim wyjeździe nasze znajomości szybko się rozluźniły.

Chryste, ileż można snuć takie autorefleksje? Aż mnie głowa rozboleła.

– Ktokolwiek nadepnął ci na odcisk, powinien na siebie uważać! – zawołał jakiś głos za mną i dopiero wtedy zorientowałam się, że doszłam już na teren kampusu. Byłam na

chodniku tuż za biblioteką.

Kiedy z cienia wyłoniła się jakaś postać, dopadło mnie nagłe uczucie déjà vu – tak silne, że aż cofnęłam się o krok. Szerokie bary, nierozpoznawalne rysy twarzy... Natychmiast stanął mi przed oczami chłopak z Compulsion.

Ale to nie był obcy.

Chód Maxxa był równie nonszalancki, a przyklejony do twarzy uśmiezek równie pogardliwy jak zawsze. Ubrany był w szarą, znoszoną, pochłapaną farbą bluzę z kapturem. Poruszał się ociężale i zaczęłam się zastanawiać, czy coś brał. Miałam nadzieję, że nie. Złamałby w ten sposób warunki zawieszenia.

– Wpadłeś do wiadra z farbą? – zapytałam ostro, niezdolna ukryć zgryźliwej nuty w moim głosie.

Maxx spojrzął po sobie i wzruszył ramionami.

– Prace społeczne – wyjaśnił, a ja poczułam się jak suka. – Co się tak złościysz, Aubrey? Wyglądasz, jakbyś była gotowa kogoś zabić. – Oparł się o latarnię, wsunął ręce do kieszeni i przybrał wyjątkowo zblazowany wygląd.

– Jak zamierzasz mi dalej wstawiać te głodne kawałki, to proponuję, żebyś znalazł sobie jakąś inną dziewczynę, której zaimponuje twoja błyskotliwość. Naprawdę nie jestem w nastroju na zaczepki – odpowiedziałam opryskliwie.

Wyglądał na zaskoczonego. Zamrugał kilkakrotnie, otworzył i zamknął usta, jakby próbował naprędce wymyślić, co by tu odpowiedzieć.

Staralam się powstrzymać szeroki uśmiech, który mógłby mnie zdradzić.

– No i co? Mowę ci odjęło? – zadrwiłam.

Maxx zachichotał i potarł kark. Pogardliwy grymas przeobraził się w prawdziwy uśmiech, który rozjaśnił mu całą twarz i zaparł mi dech w piersiach.

– Dotrzymać ci towarzystwa? – zapytał.

Było jasne, że nie planował zadania mi tego pytania, i spontaniczność tej propozycji jakimś cudem sprawiła, iż stała się ona niezwykle kusząca.

– Nie wiem, czy byłoby to właściwe – oznajmiłam, próbując odzyskać zdrowy rozsądek.

W relacji z Maxxem Demelo rozpaczliwie mi go brakowało.

Maxx prychnął.

– A co w tym niewłaściwego? W tym momencie nie jesteśmy przecież na spotkaniu grupy. Ty jesteś studentką, ja jestem studentem: jesteśmy dwójką studentów, którzy mają ochotę razem się powłóczyć. Komu to szkodzi? – zapytał niewinnie.

Niewinnie, akurat.

Uniosłam brwi i zmierzyłam go swoim opatentowanym spojrzeniem mówiącym: „Do kogo ta mowa?”

Maxx przygryzł dolną wargę, powstrzymując się od śmiechu. Jego niebieskie oczy, choć zmęczone i zaczerwienione, rozbłysły podnieceniem.

Nie mogłam zaprzeczyć, że miałam ochotę spędzić z nim trochę czasu. Intrygował mnie. Z jakichś nieodgadnionych powodów mój wewnętrzny dzwonek ostrzegawczy nie dzwonił tak głośno jak zazwyczaj.

– No chodź. – Maxx kiwnął głową w kierunku chodnika i ruszył, zapalając po drodze papierosa.

Zmęczona już wymyślaniem wymówek ruszyłam w ślad za nim, odpędzając dłonią dym

sprzed twarzy.

– Musisz palić? Niektórzy tutaj lubią swoje płuca – rzuciłam.

Maxx zaciągnął się po raz ostatni i rzucił niedopałek na ziemię.

– Zakaz palenia. Zrozumiałem – powiedział, zaskakująco poważnie. – A więc nie powiesz mi, dlaczego jesteś w takim kiepskim nastroju? – zapytał, kiedy ruszyliśmy dalej.

– Konflikt ze współlokatorką.

– Znow ci ukradła karmazynowy lakier do paznokci? – zażartował, a ja aż prychnęłam.

– Czy ja wyglądam na dziewczynę, która toczy wojny o kosmetyki? – zapytałam ironicznie, chociaż chyba nie chciałam wiedzieć, na jaką właściwie dziewczynę wyglądam.

– Wyglądasz mi na dziewczynę, która nie daje sobie wciskać kitu – powiedział Maxx, obdarzając mnie nieoczekiwanym komplementem.

Uniosłam brwi.

– Ty to potrafisz przejrzeć człowieka, co?

Maxx zachichotał.

– Przeciwnie – mruknął po nosie, na tyle jednak głośno, że usłyszałam.

Mimowolnie się uśmiechnęłam. Przebywanie w jego towarzystwie było kojące, a jednocześnie niosło ze sobą niespodzianki. Zmuszał mnie do zachowania czujności, ale od czasu do czasu rozmowa z nim była łatwa i naturalna jak oddychanie.

W relacji między nami gniew i nieufność walczyły o lepsze z tęsknotą i pożądaniem. Frustracja ścierała się z zadowoleniem. Czujność i irytacja walczyły ze szczerością i z wrażliwością.

Wszystko to sprawiało, że przebywanie w jego towarzystwie było wyczerpujące, a jednocześnie niezwykle radosne. Chyba właśnie dlatego przyciągał do siebie innych.

Kiedy się śmiał albo mówił, ludzie patrzyli. Lgnęli do niego. Chciwie wyciągali ku niemu ręce.

Gdyby zechciał, mógłby zniszczyć wszystko i wszystkich wokół siebie.

Włącznie ze mną.

Przystanęliśmy przed lokalnym kinem mieszczącym się w starym budynku pochodzącym jeszcze z lat czterdziestych. Byłam w środku zaledwie kilka razy i zyskałam graniczące z pewnością przekonanie, że w łazience są całe kolonie pleśni. Unosił się w niej zapach stęchlizny, którego żadna ilość popcornu i odświeżaczy powietrza nie była w stanie usunąć.

Podniosłam wzrok na afisz i poczułam jednocześnie zachwyt i zdumienie. Reklamowali „Kultowe soboty”. Wyglądało na to, że grają mniej znane filmy, na które sprzedają bilety po znacznie obniżonych cenach. A na widok tytułu jednego z nich serce zabiło mi mocniej.

– Miałbyś ochotę to zobaczyć? – zapytałam, wskazując palcem plakat jednego z moich ukochanych filmów.

– Tylko czekałam, żebyś mógł cię zaciągnąć w jakiś ciemny kąt – zadrwił Maxx, umyślnie podchodząc bliżej. Mimowolnie cofnęłam się o krok, zapewniając sobie konieczną przestrzeń.

– „Gdyby kiepski bajer był muzyką, dyrygowałbyś pieprzoną orkiestrą dętą” – zacytowałam, a Maxx się zaśmiał.

– Powiniennem być wiedzieć, że okażesz się wielbicielką – stwierdził, patrząc na mnie z uznaniem.

– Uwielbiam takie mało popularne kino. Moja siostra i ja miałyśmy kiedyś taką fazę, że

oglądałyśmy *Stracone pokolenie* co weekend – odpowiedziałam, uśmiechając się na wspomnienie dwóch sióstr rozwalonych na kanapie i przerzucających się cytatami tak długo, dopóki ze śmiechu nie rozboleły ich brzuchy.

Maxx uśmiechnął się do mnie szeroko, a ja mimowolnie odwzajemniłam uśmiech. I wtedy zrobił coś bardzo dziwnego. Niby to bezwiednie uniósł dłoń i pogłaskał mnie po policzku. Prześlizgnął się kciukiem po owalu mojej twarzy, a spojrzenie jego niebieskich oczu było poważne i przenikliwe.

– Jesteś piękna, Aubrey. A kiedy się uśmiechasz, twoja uroda aż zapiera dech w piersiach – powiedział cicho.

Jasny gwint. Jego słowa miały mnie rozmiękczyć i odniosły zamierzony efekt, chociaż bardzo starałam się im oprzeć. Kogo ja tu chciałam oszukać? Która dziewczyna nie rozpląnęłaby się z zachwyty po takiej uwadze?

Patrzył na mnie z tak czułym i uroczystym wyrazem twarzy, jakby chciał mi zaproponować wspólną studniówkę lub małżeństwo. Motyle w moim brzuchu zatrzepotały skrzydłami.

I wtedy opuścił dłoń i cofnął się o krok. Tak po prostu. Zostałam na chodniku, zupełnie zdezorientowana, z bijącym sercem i szumem krwi w uszach.

Osobowość Maxxa zmieniała się tak szybko, że trudno było za nim nadążyć, lecz czasem, tak jak teraz, zdobywał się na taką szczerość, że gotowa byłam wybaczyć mu całe jego kabotyństwo.

Maxx wyciągnął do mnie rękę, ale ja tylko wpatrzyłam się w nią tępo.

– Jak nie chcemy przegapić początku, to musimy już wchodzić do środka – powiedział i poruszył zachęcająco palcami.

– No dobrze – zgodziłam się wreszcie i niepewnie ujęłam wyciągniętą do mnie dłoń. Nasze palce splotły się ze sobą i Maxx uściśnął lekko moją rękę.

Kupił bilety i popcorn, ignorując moje zapewnienia, że chętnie za siebie zapłacę. Zdecydowanie za bardzo zaczynało to przypominać randkę.

Lecz przecież gdzieś w najgłębszych zakamarkach serca miałam nadzieję, że tak właśnie jest. Głupia, głupia Aubrey!

Umościliśmy się w fotelach na sali kinowej. Do rozpoczęcia filmu zostało jeszcze dziesięć minut. Siedzieliśmy w przyjaznej ciszy i ku własnemu zdumieniu stwierdziłam, że mogę siedzieć obok niego i wcale nie czuć się niezręcznie.

W gruncie rzeczy było całkiem... miło.

Maxx zajadał żelkowe misie, co jakiś czas błyskając w moją stronę uśmiechem. Obserwowałam go kątem oka, jak odgryzł głowę czerwonemu misiowi, po czym wrzucił go sobie do ust. Wyjadając słodkości z pudełka, raz po raz powtarzał ten akt dekapitacji.

– Co ci te misie zrobiły? – zażartowałam z ustami pełnymi popcornu.

Maxx uśmiechnął się szeroko, po czym urwał głowę ostatniemu.

– Same sobie winne, skoro są tak cholernie pyszne – odpowiedział, oblizując wargi i przełykając.

Zarumieniłam się mimowolnie na jego słowa.

– Nic o tobie nie wiem – ogłosiłam bez wstępów, znów zszokowana tym, z jaką łatwością przestaję się w jego obecności pilnować. I jak szybko zapragnęłam lepiej go poznać.

Maxx uniósł brwi.

– Nie wiedziałem, że chcesz wiedzieć.

– Dlaczego jesteś taki tajemniczy, Maxx? Masz coś do ukrycia? – zapytałam odrobinę gwałtowniej, niż chciałam, kładąc kres naszej przyjaznej zażyłości.

Oczy Maxxa pociemniały.

– Powiem ci, cokolwiek będziesz chciała wiedzieć, Aubrey. Wystarczy, że zapytasz – powiedział zdecydowanie.

Sala była prawie pusta, garstka ludzi zajęła ledwie kilka foteli. Obawiałam się jednak, że ktoś nas podsłucha.

Odchrząknęłam, próbując odzyskać kontrolę nad sytuacją.

– No to... co ty właściwie studiujesz? Najwyraźniej nie medycynę i ma to coś wspólnego z rachunkowością przedsiębiorstw – brnęłam jak idiotka.

Maxx wybuchnął śmiechem.

– I o to właśnie chciałaś mnie zapytać? Co studiuję? Może chcesz też poznać mój znak zodiaku? – zadrwił, a ja palnęłam go w ramię, wykorzystując pretekst, by go dotknąć.

– Zaczniemy od drobnych spraw, a gdzie skończymy, to się zobaczy – odparowałam.

Maxx sięgnął po garść mojego popcornu, po czym wrzucił sobie kilka ziaren do ust, a kiedy już przeżuł, wytarł zatłuszczone palce o dzinsy. Słumiłam jęk obrzydzenia.

– Studiuję zarządzanie ze specjalizacją w dziedzinie ekonomii.

– Zarządzanie? Poważnie? – zapytałam z niedowierzaniem.

Maxx zmarszczył brwi, najwyraźniej zirytowany moim niedowierzaniem.

– Tak, zarządzanie. Dlaczego tak trudno w to uwierzyć? Nie jestem jakimś kretynem usiłującym prześlizgnąć się przez szkołę jak najmniejszym kosztem – zaczął się bronić, a jego nastrój po raz kolejny uległ gwałtownej zmianie.

– Chodzi po prostu o to, że... ty... no, ty...

– Zostałem złapany na posiadaniu narkotyków? Czy o to, że mam kuratora sądowego i muszę co tydzień siedzieć w tym pieprzonym pokoju i mówić o swoich cholernych uczuciach? – zapytał z wściekłością.

No świetnie, wkurzyłam go. I to potężnie, sądząc po tym, jak chodziła mu szczęka.

– Nie oceniam cię... – zaczęłam, ale Maxx mi przerwał.

– Jasne, kurwa – warknął.

– Słuchaj, przepraszam. Wiem, że próbujesz się z powrotem poskładać. Jesteś w grupie. Odpracowujesz te prace społeczne. Nie staram się tego umniejszać. – Próbowałam się pospieszenie wycofać, ale moje słowa tylko jeszcze bardziej go zirytowały.

– Nic nie wiesz o mnie ani o moich decyzjach. Ani o tym, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem. Nie znasz mnie, Aubrey – syknął, przeszywając mnie ostrym spojrzeniem.

Jakby opętana czymś, czego do końca nie rozumiałam, wyciągnęłam rękę i objęłam palcami zaciśniętą pięść spoczywającą na oparciu jego krzesła. Przysunęłam się i moja twarz znalazła się w odległości zaledwie centymetrów od jego.

– Ale chcę się dowiedzieć, Maxx – powiedziałam cicho.

I dotarło do mnie, ile prawdy było w tej deklaracji. W Maxxie Demelo było coś, co kazało mi drążyć temat. Poznać całe dobro i zło. Przypomniałam sobie jednak, że tym sondowaniem przekraczałam wszelkie granice.

Nozdrza Maxxa zadrgały, gdy wciągał głęboko powietrze, jakby sam dźwięk moich słów sprawił mu ból. Zamknął oczy i nastroszył brwi.

– Aubrey, proszę – mruknął.

Nie byłam pewno, o co mnie prosi.

Aubrey, proszę, zostaw to?

Aubrey, proszę, chcę, żebyś mnie poznała?

Aubrey, proszę, to najgłupsza rozmowa w całym moim życiu, więc może byś się już zamknęła?

Zanim zdążyłam pociągnąć temat, światła zgasły, a Maxx obrócił swoją dłoń i w ciemności zamknął moją w uścisku.

Poczułam ciepło bijące od jego skóry i nie potrafiłam się zdecydować, czy chcę cofnąć swoją rękę, czy nie.

Nie cofnęłam. Rozwarłam pięść, którą zacisnęłam mocno, gdy mnie dotknął, i splotłam swoje palce z jego. Trzymaliśmy się za ręce jak licealiści na pierwszej randce. To było niewinne i zaskakująco słodkie.

Wkrótce napięcie ustąpiło miejsca czemuś jeszcze bardziej wprawiającemu w konsternację. Zadowoleniu. Ukojeniu. Zdumiało mnie, z jaką łatwością i naturalnością odnalazłam się w tej sytuacji. Byłam przecież dziewczyną, która z trudem zbliżała się do ludzi, a jednak weszłam w ten układ bez wahania, choć niby to bezwiednie.

Śmialiśmy się i powtarzaliśmy najlepsze dialogi. Maxx wciąż podkładał mi popcorn, a ja żartem raz po raz odtrącałam jego rękę. Co jakiś czas zaciskał palce, jakby przypominając mi, że nadal się dotykamy.

Jakbym mogła o tym zapomnieć.

Chociaż nie odrywałam wzroku od ekranu, nie potrafiłam myśleć o niczym innym, nie potrafiłam poczuć nic innego poza jego ocierającą się o mnie skórą.

W trakcie jednej ze szczególnie brutalnych scen odwróciłam głowę – nigdy nie zdołałam się zmusić, żeby ją obejrzeć w całości. Utkwiłam wzrok w ramieniu Maxxa i czekałam, aż się skończy. Poczułam na sobie jego spojrzenie i zerknęłam spod rzęs. Uniósł kąciki ust w lekkim uśmiechu.

– Taki z ciebie delikatny kwiatusek? – zakpił, a jego oddech poruszył włosami nad moim uchem. Prychnęłam i pokręciłam głową, nasze policzki otarły się o siebie.

Maxx odsunął delikatnie włosy z mojej twarzy, pochylił się i potarł nosem o mój nos, a jego usta nieledwie dotknęły moich. W bijącej z ekranu poświacie utkwiał spojrzenie w moich oczach, ześlizgnął się dłonią po mojej szyi i mocno ujął mnie za tył głowy. Drugą rękę dotknął mojego policzka, kciukiem gładząc mnie po brodzie.

Nagle kompletnie zaschło mi w ustach. Obliziałam wargi. Powinnam to przerwać. Powinnam coś powiedzieć. Powinnam się, do cholery, cofnąć i stworzyć jakiś niezbędny dystans między mną a tym czymś, co zdecydowanie zmierzało do punktu kulminacyjnego.

Nie było jednak miejsca na grę i myślenie. Było miejsce wyłącznie na oczekiwanie.

– Chcę cię pocałować, Aubrey – wyszeptał w moje wargi. Przełknęłam gulę, która urosła mi w gardle.

I się nie odsunęłam.

Nie potrafiłam się od niego odsunąć.

Gdy dotknął ustami moich warg, zeszywniałam. Jakby ostatnie pozory racjonalności walczyły o prymat z moimi wzburzonymi hormonami. Mózg rozpaczliwie próbował powstrzymać pozostałą część mnie od zrobienia czegoś, czego nie będą już mogła cofnąć.

Lecz wtedy język Maxxa musnął krzywizną moich ust, a ja rozchyliłam wargi, pozwalając mu wślizgnąć się do środka.

Zatonełam.

Smakował jak popcorn, żelkowe misie o smaku wiśniowym i wszystkie inne rozpuszne, zakazane rzeczy. Smakował jak złe wybory.

Nie zdołałam powstrzymać jęku, który wyrwał mi się z gardła, gdy Maxx zawładnął moimi ustami, jakby zawsze należały tylko do niego. Wziął mnie w posiadanie i uczynił swoją własnością. Wzdrygnęłam się mimowolnie w nagłym ataku paniki. Potrzeba odcięcia się i wycofania próbowała wziąć górę, lecz moje ciało pragnęło go niemal boleśnie. Pragnęło go, chociaż wzdragało się przed bliskością. Pod naciskiem jego ust moje wargi powoli zaczęły odpowiadać, a myśli ucichły, wyparte przez uczucie bycia całowaną przez Maxxa.

To było dla mnie coś nowego. Pragnienie. Wprawne zabiegi dłoni i języka Maxxa odzierały mnie z resztek wahania. To było przerażające. I radosne. Przemieniające.

Uniosłam ramiona i zatopiłam palce w gąszczu jego poskręcanych włosów. Nadal mocno trzymał moją twarz w dłoniach, a nasze usta raz za razem skłaniały się ku sobie.

Nasze języki splątały się, zęby zderzyły, a ja niemal straciłam oddech. Czułam, jak jego jednodniowy zarost drapie mnie w brodę i policzki. Jak to wszystko się skończy, będę nieźle poobcierana.

Maxx jęknął nisko i głęboko, a jego jęk zawibrował w moim brzuchu, aż drgnęłam.

Nachyliłam się ku niemu i przywarliśmy do siebie ponad przeszkadzającym oparciem. Maxx oderwał się ode mnie i spojrzał z wściekłością na zawadzający kawałek plastiku, który nas od siebie oddzielał, po czym bez słowa przeciągnął mnie ponad nim. Otarłam się boleśnie nogami o wystający element, lecz w tym momencie było mi już wszystko jedno. O siniakach gotowa byłam pomyśleć później.

Wylądowałam w dość przypadkowej pozycji na jego kolanach, a drugi podłokietnik boleśnie wbił mi się w plecy. Nogi miałam nieelegancko rozłożone na kolejnych siedzeniach w rzędzie.

„No, to nie było specjalnie seksowne” – pomyślałam, starając się nie odczuwać zażenowania na myśl o majtkach z nazwami dni tygodnia wystających mi właśnie spod potarganej spódniczki. Zaczęłam odczuwać niezręczne napięcie, którego pojawienie się groziło tym, że cały nastrój pryśnie. Cichutki, nerwowy głosik z tyłu głowy zapytał z powątpiewaniem, czy dokładnie wiem, co robię.

Poprawiłam się i wyprostowałam, absolutnie zdecydowana wyzwolić się z tego namiętnego uścisku, ale kiedy poczułam pod tyłkiem twardniejącą męskość Maxxa, przestałam się zastanawiać.

Maxx znów jęknął, tym razem odrobinę głośniejsze. Rozejrzałam się niespokojnie, myśląc w popłochu, czy nie robimy z siebie przedstawienia. Póki co, najwyraźniej nie, bo nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi.

Czując, jak erekcja napina mu dżinsy, momentalnie zwilgotniałam. Maxx otoczył mnie ramieniem i przesadził tak, że klęczałam teraz na kolanach, siedząc na nim okrakiem na wąskim fotelu, ze spódnicą zadartą na biodra. Przycisnął mi dłonią lędźwie, dociskając mnie do siebie. Całował mnie po szyi, a jego język drażnił moją skórę.

– Jesteś zajebista. Bezbłędna – wymamrotał, kiedy jego usta znów zawładnęły moimi

wargami.

Przywarłam do twardej grani wybrzuszącej jego spodnie, chcąc rozładować napięcie, które poczułam między nogami. Całowaliśmy się namiętnie i obmacywaliśmy do końca filmu, ale trzymaliśmy się z dala od programu zarezerwowanego dla widzów dorosłych. Rozbudziło mnie to, a jednocześnie sfrustrowało.

Prawie nie zauważyliśmy, kiedy film się skończył i światła się zapaliły.

– Wynajmijcie sobie pokój – wymamrotał jakiś głos i ktoś rzucił w naszą stronę garścią popcornu.

Oderwaliśmy się od siebie i wybuchliśmy nerwowym śmiechem. Miał spuchnięte wargi, a ja – byłam tego pewna – czerwoną i poobcieraną od jego zarostu twarz, ale warto było. To był najbardziej namiętny petting, jaki kiedykolwiek uprawiałam.

Ześlizgnęłam się z jego kolan i stanęłam na bardzo chwiejnych nogach, wygładzając sobie spódniczkę. Maxx wziął mnie za rękę i wyprowadził z kina. Nie patrzyliśmy na siebie i nie byłam pewna, czy to ze wstydu, czy z nadmiaru pożądania.

Wyszliśmy na zimne, nocne powietrze i pożałowałam, że nie przychodzi mi do głowy żadna celna uwaga, dzięki której mogłabym przedłużyć tę chwilę albo ją przerwać. Maxx wprowadził mnie w zakłopotanie. Podważał absolutnie wszystko, w co wierzyłam.

Zatrzymał się gwałtownie i obrócił się, by na mnie spojrzeć. Chwycił mnie za ramiona i nachylił usta ku moim wargom. Całował mnie długo i gorliwie, zanim pozwolił mi zaczerpnąć tchu.

– Dziękuję ci – powiedział, nie odrywając niemal ust od mojej twarzy.

– Za co? – zapytałam niepewnie.

Maxx uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. A potem cofnął się, nie puszczając moich dłoni, aż nasze ręce rozpięły się między nami jak most. I wtedy powoli puścił moje palce.

– Dobranoc, Aubrey – wymamrotał, po czym naciągnął sobie na głowę poplamiony farbą kaptur bluzy i się odwrócił.

– „Nadzieja jest tym upierzonym stworzeniem na gałązce duszy, co śpiewa melodie bez słów i niemilkące...”³. – Jego słowa popłynęły ku mnie w zimnym, nocnym powietrzu.

Dlaczego ciągle cytował Emily Dickinson?

Stałam tam, kompletnie zbита z tropu, i patrzyłam, jak odchodzi chodnikiem.

Dobre dziesięć minut stałam przed kinem, zastanawiając się nad tym, co się właściwie stało. Dziecinna, niepewna część mnie czuła się całkowicie, totalnie odrzucona.

W jednej chwili całował mnie bez pamięci, a w następnej zostawiał mnie samą.

Co. Do. Cholery?

Jeśli dziś wieczorem miałam nadzieję przynajmniej częściowo rozwiązać zagadkę Maxxa Demelo, to czekało mnie smutne rozczarowanie.

Delikatnie dotknęłam warg palcami – były obolałe i podrażnione, a zimne powietrze szczypało mnie w policzki obtarte do żywego zarostem Maxxa. Ciało miałam napięte, serce zranione i odrzucone, a w głowie wrzeszczała opętańczo myśl, że okazałam się konkursową idiotką.

Wyciągnęłam telefon z torebki i sprawdziłam godzinę. Była dopiero dziesiąta. Jaki facet zostawiał bez słowa dziewczynę, którą przez ostatnią godzinę obściskiwał? Tak bez żadnych wyjaśnień? Nie proponując, że odprowadzi ją do domu?

Kiedy szok zelżał, jego miejsce szybko zajęły irytacja i coś zbliżonego do wściekłości sprawiającej, że miałam ochotę urwać delikwentowi jaja.

Nie lubiłam, jak się mną bawiono. Nie byłam zachwycona, kiedy wystawiano mnie do wiatru. Do diabła z Maxxem i jego oszałamiającymi pocałunkami.

Zadzwoił telefon. Zerknęłam na ekran i zobaczyłam imię Brooksa.

Jasna cholera, kompletnie zapomniałam o naszych planach.

– Brooks, cześć! – powiedziałam, idąc z powrotem w kierunku swojego mieszkania.

– Gdzie jesteś? – zapytał z irytacją z głośno.

– Uhm... No więc... – zająknęłam się.

– Uhm... no więc? To niewiele wyjaśnia, Aubrey. Jestem pod twoim mieszkaniem, ale zgadnij, kogo tam nie ma? Hm, chyba ciebie. Jesteśmy umówieni czy coś się zmieniło? – zapytał krótko.

– Już idę. Musiałam na moment wybiec. Czy Renee jeszcze jest? – zapytałam, nie chcąc się przyznać, gdzie byłam. Byłam zażenowana i czułam się wykorzystana.

– Stoję na klatce schodowej jak kretyn, a twoja sąsiadka, ta zwariowana kociara, ciągle popatruje na mnie przez wizjer. To jakaś wariatka! – powiedział, zniżając głos do teatralnego szeptu.

Zachichotałam, chociaż była to bardzo kiepska wersja mojego normalnego śmiechu.

– Nigdzie się nie ruszaj, będę za kilka minut – obiecałam i się rozłączyłam.

Kiedy wróciłam do swojego mieszkania, Brooks siedział na podłodze pod moimi drzwiami i pisał do kogoś esemesa. Patrząc na niego, nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nie umawia się na randki. Był całkiem przystojnym facetem i w sobotni wieczór mógłby robić masę rzeczy ciekawszych niż prowadzenie się z dziewczyną, która nigdy więcej nie zamierzała rozkładać dla niego nóg.

Zastanawiałam się nie po raz pierwszy, dlaczego ograniczył swoje życie towarzyskie do

spotkań ze mną? Naprawdę miałam nadzieję, że nie miało to żadnego związku z resztkami uczuć, które nie zostaną nigdy odwzajemnione.

– Jesteś wreszcie! Tyłek mi zdrętwiał od tego czekania – gderał Brooks i podniósł się, kiedy zaczęłam otwierać drzwi. Zapaliłam światło i zakląłam głucho.

– O rany... Co tu się stało? To nie wydaje się kompatybilne z twoją porządkową obsesją – powiedział Brooks, podnosząc z ziemi pustą paczkę krakersów. Na stoliku do kawy stały opróżnione butelki po piwie, a na podłodze pod kanapą brudne talerze. Cały blat kuchenny zarzucony był jakimś śmieciem i resztkami jedzenia.

– Nie było mnie przez trzy godziny! Oni chyba sobie żarty robią! – wrzasnęłam, trzaskając za sobą drzwiami.

Miałam już dość tego szajsu! Proszę bardzo, oto Devon w swojej najlepszej formie. Zwyczajny gnój.

– Ja posprzątam, a ty się ubierz – zaproponował Brooks. – Jeśli ci to zostawię, to do rana stąd nie wyjdziemy – przerwał mi, kiedy zaczęłam protestować.

Wiedziałam, że ma rację. Zdławiłam w sobie potrzebę posprzątania wszystkiego na błysk i poszłam się przebrać. Spojrzałam w lustro i aż się skuliłam. Twarz miałam zaczerwienioną i całą w plamach, usta opuchnięte, mój nieporządkny wygląd aż bił po oczach. Zakrawało na cud, że Brooks nie zafundował mi prawdziwego przesłuchania.

Przebrałam się w małą czarną i sięgające do kolan atramentowe kozaki, ściągnęłam włosy w wysoki kucyk i umalowałam oczy grafitowym cieniem, żeby dodać im wyrazu. Całkiem nieźle jak na piętnastominutowe przygotowania.

Brooks posprzątał najlepiej, jak pozwolił mu na to jego męski chromosom. Powieka drgnęła mi nerwowo, kiedy zobaczyłam, jak poukładał poduszki na kanapie, ale doceniłam włożony wysiłek.

Kiedy weszłam do pokoju, podniósł wzrok i chyba z ulgą porzucił sprzątanie.

– Świetnie, idziemy! – zakomenderował, wypychając mnie przez drzwi.

– A wiesz dokąd? – zapytałam, zastanawiając się, czy będziemy musieli zwiedzić całe miasto, by znaleźć tajemniczy rysunek określający cel naszego dzisiejszego wieczoru.

– Tak, zapytałam koleśków z mojego budynku i podali mi adres – powiedział Brooks w roztargnieniu, włączając swój telefon i wpisując namiary w nawigację. Byłam trochę rozczarowana. Może spóźniłam się trochę na przyjęcie miłośników street artu, ale zdecydowanie byłam teraz fanką X.

Przejechaliśmy przez miasto i wjechaliśmy na drogę międzystanową.

– Gdzie, do licha, jedziemy? – zapytałam.

– Wygląda na to, że klub jest w starej fabryce włókienniczej, dwadzieścia minut stąd – wyjaśnił Brooks, włączając się do ruchu na nieoświetlonej szosie.

Rzadko się odzywałam podczas tej jazdy. Myśli miałam zaprzątnięte czym innym: cholernym Maxxem Demelo. Dlaczego tak nagle odszedł?

Miałam wrażenie, że to pytanie za chwilę wypali mi dziurę w czaszce. Niepewność doprowadzała mnie do szaleństwa. Moja ambicja dostała nieźle po głowie i wcale mi się to nie podobało.

Prawie trzydzieści minut później wjeżdżaliśmy na wielki parking, na którym roilo się od samochodów. Wokół przewalał się zwykły tłum miłośników rave'u i dzieci emo torujących sobie drogę do ciemnego, stojącego w oddali budynku.

I tak jak za każdym razem, kiedy tu przychodziłam, poczułam natychmiastowy przypływ podniecenia i radosnego oczekiwania. Coraz bardziej się od tego uzależniałam, co było uskrzydlające, a jednocześnie przerażające. Nie był to jednak ten typ przerażenia, który skłaniałby do ucieczki w przeciwnym kierunku. Już nie. To przerażenie chciałam poznać i zgłębić.

Brooks pociągnął mnie w kierunku wielkiej kolejki, w której zajęliśmy miejsca. Częścią zabawy było obserwowanie ludzi. Compulsion przyciągał wszelkiego rodzaju bywalców. Od majętnych chłopaczków, przebierających się mniej lub bardziej udatnie za twardych kolesiów, do naprawdę przerażających indywiduów. Weźmy kobietę ubraną w czarne, skórzane spodnie i naklejki zasłaniające sutki. Królowa sadomasochistycznych zabaw trzymała w ręku stalowy łańcuch, na którego końcu znajdował się mężczyzna przebrany za niewolnika seksualnego; w jego przebraniu znalazło się miejsce nawet na knebel z kulą.

Brooks ukradkiem wskazał mi grupkę kobiet, mniej więcej trzydziestoletnich, wyglądających jakby na kilka godzin urwały się z sabatu czarownic. Długie, powłóczyście suknie, wieńce kwiatów, jaskrawo wymalowane paznokcie przypominające szpony i naszyjniki zrobione z czegoś, co sprawiało wrażenie ludzkich zębów.

Tym razem po zamówieniu drinka nie spuszczałam go już z oka. Dostałam nauczkę. Brooks poszedł potańczyć, a ja uprzejmie się wymówiłam, chcąc ponapawać się atmosferą. Chciałam również sprawdzić, czy pojawi się mój tajemniczy nieznajomy.

Zmęczona w końcu podpieraniem ścian, weszłam w tłum i zaczęłam tańczyć. Nigdy nie byłam rewelacyjną tancerką, ale i tak to lubiłam. Szczęśliwie dla mnie, Compulsion nie wymagał szczególnych umiejętności. Ludzie kołysali się i podrygiwali, trzymając w zębach neonowe preciki.

Poruszałam głową z boku na bok, zarzucając sobie włosy na twarz. Uniosłam wysoko ramiona i zaczęłam kołysać się w rytm dudniących basów.

Tańczenie w Compulsion było doświadczeniem wspólnotowym. Kompletnie obcy mi ludzie ocierali się o mnie i przywierali do mnie. Poruszaliśmy się wszyscy razem jak wielka, pierwotna, spocona i rozgrzana bestia. Moje obsesje na punkcie czystości ustąpiły wobec wszechogarniającej energii. To było nierealne.

Dziewczyna o jaskrawofioletowych włosach chwyciła mnie za rękę i otoczyła się moim ramieniem w pasie. Wspólnie, rytmicznie kołysaliśmy biodrami. Dwoje ludzi czerpiących przyjemność z muzyki. Nic więcej. Nic mniej. Było coś niezwykle wyzwalającego w tej fizycznej bliskości z taką liczbą ludzi, którzy przyszli tu w jednym celu.

Aby uciec.

Poczułam na biodrach czyjeś ręce i nie zadając sobie trudu oglądania się za siebie, przyciągnęłam dziewczynę o fioletowych włosach i tańczyłam w tym szalonym, rozpustnym sandwiche.

To było zupełnie do mnie niepodobne, ale chociaż raz po prostu pozwoliłam się unieść biegowi zdarzeń. Na tym polegał prawdziwy urok Compulsion. Tutaj niemożliwe wydawało się możliwe.

Uwielbiałam to. Marzyłam o tym, by nigdy już stąd nie wychodzić.

Jeden utwór przechodził w kolejny bez chwili przerwy. Zmieniali się też moi partnerzy do tańca. Prawie nie zwracałam uwagi na ich twarze. Z żadnym nie rozmawiałam. Słowa nie były potrzebne. Nie przyszliśmy tutaj, by nawiązywać znajomości.

Przyszliśmy tu, żeby po prostu – być.

Minęło może kilka minut. A może kilka godzin. Uzmysłowiłam sobie w końcu, że jestem zmęczona i spocona. Od całego tego podskakiwania nogi się pode mną uginały. Włosy kleiły mi się do policzków i byłam rozgrzana jak piec.

Oderwałam się od swojego aktualnego partnera, którym był koleś mający więcej tatuaży niż niepokrytej nimi skóry. Nie protestował, po prostu odwrócił się i zaczął tańczyć z kimś innym.

Przepchnęłam się przez tłum i oparłam o ścianę, próbując uspokoić oddech. Nigdzie nie dostrzegałam Brooksa. Miałam tylko nadzieję, że wciąż gdzieś tu jest. Nie mogłam sobie wyobrazić, by mnie zostawił, ale kiedy wyciągnęłam telefon z kieszeni, wstrząśnięta zobaczyłam, że jest już wpół do drugiej.

To miejsce wydawało się zasysać cię w próżnię. Zanim zdążyłeś się zorientować, traciłeś wszelkie poczucie upływającego czasu.

Podeszła do mnie dziewczyna, która była niemal zupełnie naga.

– Szukasz czegoś? – wrzasnęła mi do ucha.

– Co? – odwrzasnęłam, nie rozumiejąc, o co pyta.

Dziewczyna przewróciła oczami i wcisnęła mi do ręki malutką, plastikową torebkę. Uniosłam ją przed twarzą i zobaczyłam, że znajduje się w niej malutka tabletką. Dziewczyna pociągnęła moją rękę w dół.

– Nie afiszuj się tak z tym – powiedziała poirytowana.

Próbowałam wcisnąć jej pakuneczek z powrotem, kręcąc głową.

– Nie interesują mnie te rzeczy.

Dziewczyna odsunęła moją dłoń z powrotem.

– To darmowa próbka. Jak będziesz chciała więcej, to będziesz musiała sama sobie znaleźć. Nie bądź już taka święta, po prostu dobrze się baw – powiedziała, podrzucając rytmicznie głową. Rzuciła mi ostatnie znaczące spojrzenie i zniknęła w tłumie.

Nie miałam ochoty na narkotyki. Ale też nie wiedziałam, co z nimi zrobić.

Potrząsnęłam małą, plastikową torebką, zastanawiając się, co właściwie dała mi ta dziewczyna. Byłam zaintrygowana, chociaż rozum podpowiadał mi zupełnie co innego.

Wytrząsnęłam tabletkę na dłoń i wbiłam w nią wzrok, jakby mogła mi udzielić jakiejś odpowiedzi. Wiedziałam jedno: dragi to zło. Wiedziałam, że właśnie takie gówno zabiło moją siostrę.

A jednak byłam ciekawa.

Co w tym miejscu sprawiało, że nabierałam ochoty, by zafundować sobie przerażającą i nieznaną przejażdżkę? To jakiś obłęd. Coś kompletnie nielogicznego.

Nie byłam aż taka głupia.

Nie mogłam być.

Pospiesznie wrzuciłam tabletkę z powrotem do plastikowej torebki, rzuciłam ją na podłogę i rozdeptałam obcasem.

Zadrżałam. Otarcie się o nie do końca zrozumiałą pokusę wytrąciło mnie z równowagi, byłam jednak dumna, że jej nie uległam.

I wtedy go zobaczyłam.

Chłopaka w bejsbolówce. Tego, który nie pozwolił mi stać się zabawką w rękach gwałciciela. Tego, który nie dał mi zdeptać na śmierć podczas mojego pierwszego

wieczoru w klubie.

Mężczyznę, którego twarz pozostawała dla mnie tajemnicą.

Rozmawiał z gościem stojącym niecałe cztery metry ode mnie. Prowadzili jakąś ząartą dyskusję, częściowo ukryci w ciemnym kącie, ale zdecydowanie był to właśnie mój człowiek bez twarzy. Rozpoznałam jego szerokie ramiona i charakterystyczną czapkę naciągniętą nisko na oczy.

Ruszyłam powoli w jego stronę, jakby coś mnie ku niemu pociągnęło.

Obserwowałam, jak mój tajemniczy mężczyzna bierze od tego drugiego zwitek banknotów i wciska go do tylnej kieszeni spodni, po czym kładzie mu coś na wyciągniętej dłoni. Wymiana została przeprowadzona niepostrzeżenie w ciągu niecałych trzydziestu sekund, ale było jasne, co tu jest grane.

Mój tajemniczy mężczyzna był dilerem.

Przypomniałam sobie torebeczkę, którą rzuciłam na podłogę, i mimowolnie zastanowiłam się, czy to on rozprawdzał to gównu w tłumie. Obserwując stały napływ „klientów”, łatwo było te dwie rzeczy ze sobą powiązać.

Miły facet, akurat. Jak każdy drapieźnik polował na łatwą zdobycz. Przytłoczyło mnie to nieanalizowane wcześniej przypuszczenie, że prawdopodobnie nasze spotkanie nie było dla niego niczym więcej niż okazją poszerzenia bazy klientów. A ja sobie myślałam, że zostałam potraktowana wyjątkowo.

Po tym jak kolejny facet wypakował sobie kieszenie czymś, co najwyraźniej ogromnie go uszczęśliwiło, jego miejsce zajęła jakaś dziewczyna, która przywarła do tajemniczego koleśia, ocierając się piersiami o jego ramię. Otworzyła usta, a on upuścił jej coś na język. Odchyliła głowę do tyłu, a ledwie zakryte cycki prawie wyskoczyły jej z dekoltu bluzki.

Dziewczyna objęła tajemniczego dileram ramieniem za kark i prowokacyjnie się o niego otarła. Nie widziałam jego oczu, ale uśmiechnął się szeroko, po czym włożył sobie coś do ust. Nie odepchnął dziewczyny od siebie.

Wyciągnęła rękę i zdjęła mu z głowy czapkę, a ja wreszcie mogłam zobaczyć jego włosy. Były w kolorze blond i przy uszach kręciły mu się w bardzo znajomy sposób.

Przepchnęłam się przez tłum i podeszłam bliżej. Po czym stanęłam jak wryta.

Chłopak się obrócił, opierając dłonie na biodrach dziewczyny, która wila się i ocierała o niego nieprzerwanie. Jego czapka wylądowała na podłodze, a ja w czerwonym świetle wiszącej nad nim lampy zobaczyłam wreszcie jego twarz.

To był Maxx.

W moim brzuchu poruszyło się coś mrocznego i paskudnego, coś władczego i zachłannego, co ukłuło mnie żądłem zazdrości.

To do mnie przyciskał się namiętnie zaledwie kilka godzin wcześniej. Sądziłam wówczas, że między nami powstała jakaś więź. Że coś dla niego znacę.

Teraz, kiedy obserwowałam go pośród rozedrganych cieni, obnoszącego ten znajomy wyraz twarzy, którego nigdy do końca nie zrozumiałam, poczułam się jak kompletna, bezdena idiotka. Jak mogłam nie rozpoznać sylwetki Maxxa w szerokich barkach tajemniczego mężczyzny? Jak mogłam przeoczyć miękkie loki, których dotykałam własnymi palcami zaledwie kilka godzin wcześniej?

Patrzyłam, jak wrzuca do ust kolejną tabletkę, po czym odsuwa się od dziewczyny próbującej go przytrzymać. Szorstko strząsnął z siebie jej dłonie, a ona zachwiała się

i cofnęła, niemal tracąc równowagę. Pochylił się, żeby podnieść czapkę, i nasadził ją sobie z powrotem na głowę. Nacisnął ją nisko na oczy, znów ukrywając twarz.

Ale nie mógł już ukrywać tego, kim był. Przestał być zagadką. Nie był tajemniczym zbawcą.

Był kimś kompletnie innym.

Rozpaczliwie próbowałam zignorować wewnętrzny głos wrzeszczący opętańczo: „Poczekaj, w nim przecież musi być coś więcej!”.

Cofnęłam się, kryjąc się za masą ciał jak za tarczą odgradzającą mnie od chłopaka, któremu na chwilę pozwoliłam przeniknąć poza swoje troskliwie wzniesione mury.

Maxx zaczął się przepychać przez tłum, ramionami torując sobie drogę. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale zaczęłam iść za nim. Trzymałam się wystarczająco daleko w tyle, by nie mógł się zorientować, że ktoś go śledzi.

W żołądku miałam wielki supeł.

Maxx często się zatrzymywał i wyprowadzał ludzi na obrzeża parkietu, gdzie prowadził swoje „interesy”. Nietrudno było dostrzec, że rozkoszuje się swoją rolą w tym świecie. Drażnił dziewczyny błagające go o to, co miał poutykane po kieszeniach. Agresywnie mierzył wzrokiem facetów równie zdeterminowanych, by kupić to, co miał do sprzedania.

Chodził po sali jak po swoich włościach. Odurzał się nie tylko tabletkami ciągle wkładanymi pod język, lecz także własną mocą.

Miejsce, w którym widziałam azyl, wydało mi się nagle więzieniem. Schwytały mnie ujawnione przez nie tajemnice. Tajemnice Maxxa.

Od chwili, w której wszedł na spotkanie grupy wsparcia, wiedziałam, że zwiastuje kłopoty. Że niesie ze sobą bagaż. Że targają nim demony. Sądziłam po prostu, że czynnie z nimi walczy. Że przynajmniej próbuje.

Jednak w miarę jak podążałam za nim przez cały klub, stawało się dla mnie jasne, że z niczym nie walczy. Czerpał rozkosz z bycia taką a nie inną osobą.

Popieprzoną, autodestrukcyjną i narcystyczną.

Coś mnie ścisnęło w sercu. Wydawało mi się, że głowa mi pęknie, ale nie potrafiłam się zmusić, żeby odrzucić człowieka, którym naprawdę był.

Zawsze chepiałam się swoją umiejętnością właściwego odczytywania ludzi i sytuacji. I przecież od pierwszego wejrzenia Maxx sprawiał wrażenie gigantycznego neonu krzyczącego: „O nie!”. Więc dlaczego nie usłuchałam? Dlaczego zignorowałam instynkt i pozwoliłam, by porwała mnie ta odurzająca, stworzona przez niego iluzja?

Kiedy go zobaczyłam w jego żywiole, stało się dla mnie jasne jak słońce, że mężczyzna, który całował mnie tak, jakbym była niezbędnym mu do życia powietrzem, nie był niczym więcej jak fantazją wykreowaną na moje potrzeby. Teraz mogłam już tylko go obserwować, napawając się masochistycznie przeszywającym mnie bólem.

Wkrótce stało się jasne, że Maxx jest nieźle naćpany. Jego ruchy stały się ociężałe i przerysowane, ale z ust nie schodził mu leniwy uśmieszek samozadowolenia.

Kolejna tabletki. Chryste, ile on już wziął? Zaczynałam się obawiać, czy nie przedawkuje.

Ale tylko nadal zataczał się arogancko, wpadając po drodze na ludzi. I dalej sprzedawał. Budził we mnie już tylko obrzydzenie. Nie chciałam mieć z nim nic wspólnego.

Twarda rzeczywistość – ucieleśniona w osobie przepychającego się w tłumie,

sprzedającego drągi i roztaczającego wokół siebie aurę wyższości i protekcjonalności Maxxa – zdławiła poczucie więzi z jego wymyśloną wersją. Naiwne rojenia pensjonarki. Ich jedynym przeznaczeniem było gwałtowne, brutalne unicestwienie.

W tym Maxxie nie było nic, co potrafiłabym zrozumieć – nawet gdyby wewnętrzny głos nadal podszeptował mi coś życzliwie z tyłu głowy.

Kiedy odwrócił twarz w moją stronę, a światła wściekle zamigotały mu nad głową, stanęłam jak wryta w otoczeniu tańczących wokół mnie ludzi. Chciałam, żeby mnie zobaczył. Chciałam krzyknąć mu prosto w tę głupią, śliczną buzię: „Kłamca!”. Chciałam na niego wrzeszczeć. Chciałam zapytać, dlaczego to robi. Dlaczego sprawił, że uwierzyłam w kłamstwo? Dlaczego potrafił sprawić, bym poczuła milion różnych rzeczy, których nie czułam nigdy wcześniej – tylko po to, by wymazać to wszystko prawdą, której poznania tak rozpaczliwie żałowałam?

Prześlizgnął się po mnie wzrokiem, nie rejestrując mojej obecności. Nie spodziewał się mnie tutaj zobaczyć, więc jego oszołomiony narkotykiem mózg po prostu mnie nie dostrzegł. A kiedy się odwrócił, poczułam jednocześnie rozczarowanie i ulgę.

– Tutaj jesteś! Wszędzie cię szukałem! Gotowa do wyjścia? Zrobiło się naprawdę późno, a ja muszę wcześniej wstać na kolejną porcję wkuwania! – krzyknął mi Brooks do ucha, chwytając za łokieć. Odwróciłam wzrok od Maxxa, by spojrzeć na mojego przyjaciela, i skinęłam głową.

– Jasne – odpowiedziałam, szybko wracając spojrzeniem w miejsce, w którym przed chwilą stał Maxx.

Ale Maxxa już nie było.

Zniknął.

A ja nie próbowałam go odnaleźć.

Byłem pokryty farbą. Miałem ją we włosach, na twarzy, jej rozbryzgi ochlapały mi spodnie. Zanurzyłem pędzel w czerwonej emulsji i rozmazałem ją po ceglanej ścianie. Balansowałem chwiejnie na trzymetrowej drabinie, rozstawiwszy sobie puszki na kawałku deski.

Świtało i powinienem leżeć we własnym łóżku, a nie odmrażać sobie tyłek pod gołym niebem. Zajęcia rozpoczynały się za niecałe cztery godziny, a na wieczór miałem furę roboty, ale stałem tu od pierwszej w nocy. Nie mogłem zasnąć. Nie potrafiłem myśleć o niczym poza nią.

Aubrey.

Spędziliśmy razem zaledwie kilka godzin, a ja już czułem, że coś się we mnie zmieniło. Pragnąłem jej. Byłem pijany jej smakiem. Nie wymyśliłem sobie pożądanego, które między nami wybuchło.

Ale chodziło o coś więcej niż pożądanie. Siedzenie z nią kinie, śmiech i rozmowa nie sprawiały mi żadnych trudności. W towarzystwie Aubrey mimowolnie się odprężałem. Miała w sobie coś kojącego.

A potem zaczęła mi zadawać pytania. Dała mi jasno do zrozumienia, że chciałyby mnie poznać. Minęło mnóstwo czasu, odkąd ktokolwiek choćby przelotnie zainteresował się, kim ja właściwie jestem. Kim jest człowiek ukryty za maską, którą sobie stworzyłem.

W towarzystwie Aubrey poczułem przez krótką, idealną chwilę, że może... mógłbym być kimś innym. Kimś prostszym. I może takiego by mnie właśnie polubiła. Gdzieś w głębi duszy gotów byłem przyznać, że zawsze pragnąłem akceptacji, a Aubrey wydawała się oferować ją bezwarunkowo.

Więc ją pocałowałem. Nie potrafiłem się powstrzymać od dotknięcia jej. Nie potrafiłem sobie odmówić nawiązania z nią fizycznego kontaktu.

Ale to było za dużo i za wcześnie. To wszystko mnie przytłoczyło. No dobra, spanikowałem.

Zostawiłem ją.

Uciekłem jak tchórz.

Nie powstrzymało mnie to jednak od rozmyślania o niej. Od pragnienia tego, na co udało mi się zerknąć przelotnie podczas tych wspólnych chwil. Jakkolwiek byłoby to nierealne.

Teraz, przepełniony sprzecznymi uczuciami, musiałem je jakoś uzewnętrznić. A jedynym sposobem, w jaki mogłem to zrobić, było namalowanie ich.

Ostatnio wszystkie moje rysunki robiłem dla klubu. Jasne, udawało mi się kreatywnie opakować przekaz, ale nie był on już organicznie mój. Należał do kogoś innego. Robiłem to dla nich, nie dla siebie.

Ten rysunek, te wizerunki... to wszystko było dla mnie. Mówiły o wszystkim, co czułem, a czego nie potrafiłem inaczej wyrazić.

Zatoczyłem pędzlem ogromny łuk czerwieni, a po nim oranżu i fioletem. Wspaniały zachód słońca. Ale nie takie śliczne i cipkowate. O, nie, kurwa. Nie malowałem takiego gówna.

Pod wybuchającym niebem stała dwójka trzymających się za ręce ludzi, a ze wspaniałego, kolorowego firmamentu padała krew. Wszystko tonęło w powodzi. Tych dwoje, takich zadowolonych, takich razem szczęśliwych, zostanie zmiecionych przez żywioł i poniesionych wzbierającym nurtem.

Tak, to było dość makabryczne. Ale jeszcze mi nikt nie zarzucił, że robię z siebie Polly Sunshine.

Skończyłem niebo i powoli zacząłem przenosić się z pracą na coraz niższe stopnie drabiny. Ledwie trzymałem się na nogach. Byłem za bardzo naćpany, żeby włączyć się poza domem. Przy takiej ilości oxy, jaką sobie dziś zapodałem, powinienem leżeć twarzą do dołu w kałuży własnej śliny. Ale kiedy opanowywała mnie wena, nie potrafiłem się jej oprzeć.

Zebrałem farby i wrzuciłem je do kubła na śmieci. Tazszenie ich z powrotem do mieszkania było bez sensu. Nie miałem już na to siły. Nie teraz, kiedy wreszcie skończyłem i opadła fala adrenaliny, która mnie tutaj przywiodła.

Złożyłem drabinę i zaciągnąłem ją z powrotem w zaułek, w którym ją znalazłem. W dziedzinie sztuki okazywałem się mistrzem improwizacji, pożyczając lub biorąc sobie wszystko, co udało mi się znaleźć, a co mogło się przydać do urzeczywistnienia rysunku kiełkującego mi w głowie.

Zrobiłem krok w tył i w świetle latarni ogarnąłem spojrzeniem swoje dzieło. Było ogromne. I kompletnie pojebane. Ale, do cholery, byłem w nim ja. Każdy gram mojej tęsknoty został uwieczniony na tej pieprzonej ścianie.

Świtało. Skinąłem z aprobatą głową i powieki zaczęły mi opadać. Powinienem wrócić do mieszkania, zanim zemdleję na chodniku.

Niewiele zapamiętałem z drogi do domu.

* * *

Obudziłem się kilka godzin później z fatalnym samopoczuciem. Leżałem skulony na łóżku i trząsałem się z zimna. Musiałem zapomnieć o włączeniu ogrzewania, zanim kompletnie odpłynąłem. Bolały mnie wszystkie mięśnie razem i każdy staw z osobna.

Wyciągnąłem rękę w kierunku stojącego obok łóżka stolika i zacząłem macać po blacie w poszukiwaniu torebki, która gdzieś tam musiała być. Uderzyłem ręką w lampę, która spadła po chwili na podłogę. Tak mną trzęsło, że ledwie zdołałem uchwycić drżącymi palcami małą tabletkę.

Przycisnąłem ją do ust, lecz wypadła mi z ręki. Zacząłem poklepywać leżące wokół poduszki, próbując znaleźć swoją drobinę zbawienia.

Kiedy już ją znalazłem, umieściłem ją sobie między zębami i zgryzłem, po czym połknąłem proszek pokrywający mój język. Odchyliłem się, zamknąłem oczy i czekałem.

I czekałem.

To wszystko trwało zbyt długo. Zgryzłem kolejną tabletkę i przełknąłem.

Znów czekałem.

Nadal zbyt długo.

Wziąłem kolejną.

W końcu poczułem, jak stopniowo osuwam się w otepienie. Puls spowolnił i znów mogłem oddychać.

Dopiero wówczas zdołałem wygrzebać się z łóżka. Była druga po południu. Przespałem i jedne, i drugie zajęcia, które miałem przed południem. Kolejne zaczynały się za czterdzieści minut, ale za mało mnie to wszystko obchodziło, żebym mógł zmusić się do wyjścia. Powinienem wziąć prysznic, bo cuchnąłem na odległość. Pewnie powinienem też coś zjeść. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni zatroszczyłem się o jakieś jedzenie, ale nie czułem pustki w żołądku. Byłem za bardzo zjebany, żeby cokolwiek czuć.

Zadzwoił telefon. Oospale podniosłem go i odebrałem, nie zwracając sobie głowy sprawdzaniem, kto dzwoni.

– Maxx! Wyszedłem dziś wcześniej ze szkoły, chcesz wpaść i pomóc mi z samochodem? – zapytał mój brat podnieconym głosem.

Powinienem się poczuć fatalnie, fundując mu takie rozczarowanie, ale jakoś się nie czułem. W ogóle niewiele czułem.

– Nie mogę, mam sprawy do załatwienia – odpowiedziałem.

Powłócząc nogami, wszedłem do swojego zagraconego pokoju dziennego i włączyłem badziewiasty odbiornik stojący w rogu. Super, leciały powtórki *Drużyny A*. No to miałem plan na popołudnie.

– Ale powiedziałeś, że wpadniesz w tym tygodniu – powiedział Callum piskliwym głosem.

– Taa...? Kiedy tak powiedziałem? – zapytałem, nie zwracając szczególnej uwagi na to, o czym w ogóle rozmawiamy. Obiecywałem i nie dotrzymywałem. Wielkie mi co.

– Proszę, Maxx. David pytał, kiedy będziesz. Myślę, że potrzebuje pieniędzy – powiedział Callum, zniżając głos do szeptu.

Normalnie na samo wspomnienie mojego pieprzonego wujka dostawałem piany na ustach. Nienawidziłem popaprańca. Nienawidziłem tego, że wykorzystywał sprawowanie opieki prawnej nad moim bratem jako stryczek na moją szyję. Wbił sobie do głowy, że będę finansował jego uzależnienie do hazardu tylko dlatego, że dał Callumowi dach nad głową. Miałem dość własnych uzależnień, o które musiałem się zatroszczyć w pierwszej kolejności. Pokerki wujka plasowały się niezbyt wysoko na mojej liście priorytetów.

Ale wiedziałem, że jeśli nie dam mu tego, czego chce, to najbardziej oberwie Callum. Czasem miałem wrażenie, że wyrzuty sumienia z powodu tego, jak żyję, pożrą mnie żywcem. Nie czułem ich tylko wtedy, gdy spałem albo byłem naćpany.

Wtedy życie było w porządku.

– Powiedz mi, żeby poszedł się jebać – odpowiedziałem, koncentrując się znów na telewizorze.

– Co się z tobą dzieje, Maxx? W ogóle przestałeś przychodzić. Nie sposób się do ciebie dodzwonić. Już nie zabierasz mnie w piątki na kolacje. W zeszłym tygodniu miałem megaklasówkę z biologii, a ty nawet nie zapytałeś, jak mi poszło. A David jest jeszcze większym kutasem niż zwykle. Ciągłe krzyczy, że już dwa tygodnie temu miałeś przynieść pieniądze za ten miesiąc. Obiecałeś mi, Maxx, że to wszystko wyprostujesz. Obiecałeś mi, do cholery!

Callum podniósł głos i wiedziałem, że jest zdenerwowany. Mój mózg zarejestrował, że powinno mnie to obchodzić. Że kocham swojego brata i jestem za niego odpowiedzialny.

Cholera. Byłem za niego odpowiedzialny. Miałem zobowiązania.

Poczułem ucisk w piersiach i panikę próbującą pobudzić do życia otępiony narkotykami organizm.

Zwinąłem dłoń w pięść i przycisnąłem ją sobie do oka. Nie mogłem złapać tchu.

Co się ze mną działo, do diabła? Dlaczego brnąłem w to gówno?

Potrzebowałem go. Cholernie go potrzebowałem. Byłem zmęczony. Wyczerpany. Nie chciałem, by ktokolwiek na mnie polegał, bo nie potrafiłem być kimś, kto potrafiłby zaspokoić czyjekolwiek potrzeby. A już na pewno nie mojego szesnastoletniego brata.

– Maxx – dobiegł mnie ze słuchawki głos Calluma. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego. I słusznie. Wszystko wymykało mi się spod kontroli. – Maxx? – powtórzył.

– Wpadnę jutro. Powiedz Davidowi, że przywiozę mu pieniądze. I zabiorę cię na zakupy po jakieś nowe ciuchy, okej? – powiedziałem wreszcie, kiedy udało mi się znów skoncentrować.

Usłyszałem, jak Callum oddycha z ulgą.

– Super. Powiem mu. To do zobaczenia – powiedział, a ja rozłączyłem się i zamknąłem oczy.

Poświata z telewizora zamigotała mi na powiekach. Nie odjechałem choćby w połowie na tyle, by móc sobie poradzić z tym gównem.

Wyciągnąłem torebeczkę z kieszeni.

Jeszcze tylko jedna i już będzie naprawdę lepiej.

To zawsze wystarczało.

Jeszcze. Tylko. Jedna.

* * *

Znów odpłynąłem i przespałem większą część swojego tripu. Kiedy się obudziłem, było już ciemno i wreszcie poczułem głód. Zwlokłem się z kanapy i poszedłem do kuchni. Otworzyłem lodówkę, ale w środku nie było nic z wyjątkiem butelki mleka, któremu tydzień temu minął termin przydatności do spożycia. Kurde, kiedy ostatnio byłem w spożywczym?

W brzuchu mi zaburczało i zacząłem przeszukiwać szafki. Znalazłem w końcu pudełko starych krakersów. Zjadłem garść i powlokłem się do łazienki. Odrobina jedzenia w żołądku poprawiła mi samopoczucie, ale nadal czułem się chory i otępiały.

Pomyślałem o torebeczce tabletek leżącej na stoliku do kawy. O narkotykach, które miałem sprzedawać, o ile nie chciałem za to beknąć.

Musiałem wziąć się w garść. Powinienem być zupełnie gdzie indziej.

Musiałem wziąć prysznic, zabrać dupę w troki i pójść na spotkanie grupy wsparcia na uczelni. Czas było stać się tym innym Maxxem. Maxxem pewnym siebie. Maxxem, którego inni słuchali.

Lubiłem tamtego Maxxa. Takim właśnie Maxxem chciałbym być cały czas: nietykalnym. Upajałem się tym, że jestem szanowany i pożądanym. Wiedziałem, jak ludzie na mnie patrzą i po prostu to, kurwa, uwielbiałem. W grupie, w klubie, wszędzie byłem kolesiem, który się liczył. Kolesiem, który miał władzę i wpływ na bieg zdarzeń. Kolesiem, który wiedział, czego chce, i potrafił to sobie wziąć.

Człowiek, którym się stawałem, siedząc samotnie tym mieszkaniu, budził we mnie obrzydzenie. Jego brak pewności siebie i brak wiary we własne możliwości, jego wstyd i poczucie winy, wszystko to było obrzydliwe. Nienawidziłem go. Marzyłem o tym, by już nigdy go nie spotkać. Ale nieodmiennie tam na mnie czekał, by przy pierwszej okazji

pociągnąć mnie w dół.

W bezlitosnym blasku trzeźwości ten ktoś wydawał się żalonym facetem patrzącym na mnie z lustra. Kumulował w sobie wszystko, czym nie chciałem być. Był sumą wszystkich moich porażek. To właśnie go określało.

Nie takiego siebie chciałbym pokazać światu. Nie mówiąc o kobiecie zaczynającej mnie niebezpiecznie absorbować.

Aubrey.

Przy niej z łatwością udawałem, że wszyscy ci pozostali Maxxowie w ogóle nie istnieją. Że jestem jedną osobą, żyjącą jednym życiem. Że nie skrywam miliona sekretów. Byłem po prostu chłopakiem, któremu podoba się dziewczyna być może odwzajemniająca jego uczucia.

Przebywanie z nią, dotykanie jej, całowanie miało moc odwracania biegu zdarzeń. Czułem, jak przy każdym naszym spotkaniu rozsypuje mnie, rozplątuje, rozwikłuje. Potrafiła sprawić, bym zapomniał. Była ucieczką bardziej niebezpieczną niż jakiekolwiek pieprzone prochy.

Miałem skłonność do uzależnień i pożądałem, pragnąłem, potrzebowałem.

Jej.

Wiedząc, że spotkam ją dziś wieczorem, zacząłem się ruszać nieco zwawiej. Przestałem obsesyjnie myśleć o tabletkach leżących na stoliku do kawy i teraz oczyma duszy widziałem już tylko jej długie blond włosy, myślałem tylko o smaku jej ust.

Wtedy w kinie nie miałem ochoty wychodzić. Chciałem rozpląnąć się w niej na zawsze.

Nie mogłem jednak znieść tego, że ją rozczaruję. Już teraz w każdym innym aspekcie własnego życia byłem jedną wielką porażką. Zawód sprawiony Aubrey wydawał się najgorszym, co mógłbym zrobić. Mimo że tak bardzo mnie do niej ciągnęło i tak łatwo byłoby razem z nią pograć się w normalności, nie mogłem sobie na to pozwolić.

Nie takim życiem żyłem.

Na takie życie nie zasługiwałem.

Więc ją zostawiłem.

Poszedłem prosto do tej drugiej miłości mojego życia. Tej, która nigdy nie pozwoli mi odejść. Była zazdrosną suką i w towarzystwie Aubrey nie obdarzałem jej taką uwagą, jakiej się domagała.

Uzależnienie było skomplikowane. Absorbujące.

Uzależnienie szeptało ci do ucha, że jest jedyne i wyjątkowe. Że niczego więcej nie potrzebujesz. Na haju łatwo było nie myśleć o Aubrey.

Uzależnienie było absorbujące, lecz podobnie absorbująca była żądza.

Bycie z Aubrey mogło całkowicie unicestwić tego drugiego Maxxa.

Ale nie mogłem pozwolić mu odejść. Potrzebowałem go.

I bałem się, że przyjdzie dzień, gdy będę potrzebował Aubrey równie rozpaczliwie.

To byłaby walka na śmierć i życie.

I miałem pewność, że nie byłoby w niej zwycięzców.

Maxx spóźnił się na spotkanie grupy wsparcia. Kiedy zajmował miejsce, poczułam na sobie jego spojrzenie, ale rozmyślnie nie popatrzyłam w jego stronę. Za każdym razem gdy o nim pomyślałam, stawał mi przed oczami ostatni weekend w Compulsion. Jak sprzedawał. Jak brał. Jak pozwolił jakiejś kurewce ocierać się o siebie. Dlaczego właśnie to wydawało mi się większą zdradą? Jaka ja byłam głupia.

On nie zwiastuje niczego dobrego. Powtarzałam to sobie tysiąc razy dziennie od chwili dokonania tego niefortunnego odkrycia. Naprawdę starałam się nie rozmyślać obsesyjnie o tym, z jaką łatwością uwierzyłam w kłamstwa, które mi sprzedał. Przysięgałam sobie, że nie dam się nabrać na jego przedstawienie, a jednak to właśnie zrobiłam.

Nie wiedziałam, co bardziej mnie zawiodło: Maxx i jego nieuczciwość czy moja własna naiwność każąca mi myśleć, że jakimś cudem to ja właśnie jestem tą szczęściarą, która pod twardą skorupą dostrzeże wrażliwego chłopca. Byłam wściekła, zraniona i niepewna, jak sobie z tym poradzić. Kogoś, kto od dłuższego czasu tłumił i skrywał wszystkie emocje, koktajl tak intensywnych uczuć był obezwładniający.

Wspomnienie Maxxa handlującego towaram w zawiły sposób spletało się ze wspomnieniem jego pocałunków. Jego dotyku. Dzielenia się z nim tajemnicami, które rozmyślnie pogrzebałam w głębi serca.

Niech go szlag!

Nieczęsto odzywałam się w trakcie spotkania, trzymając się umowy zawartej z doktor Lowell, co nie powstrzymało pozostałych członków grupy od obserwowania mnie, jakbym w każdym momencie mogła znów eksplodować. Większość wydawała się niemal podniecona tą perspektywą.

Robiłam notatki i ze wszystkich sił starałam się nie zmieniać profesjonalnego, rzeczowego wyrazu twarzy. Słuchałam, gdy ktoś się wypowiadał, i kiwałam głową, jakby ich zdawkowe odpowiedzi były najgłębszymi mądrościami, jakie zdarzyło mi się usłyszeć.

Tylko Maxxa nie zaszczyciłam uwagą, chociaż wiedziałam, że jej pragnie. Był zwykłym, charyzmatycznym, wysysającym energię sobą, ale nie dałam sobie przyzwolenia, by w jakikolwiek sposób na niego zareagować. Nawet wówczas, gdy wygłosił dość uszczypliwą uwagę przeznaczoną wyłącznie dla mnie.

– Czy ktoś chciałby opowiedzieć o jakimś pozytywnym zdarzeniu ze swojego tygodnia? – zapytała Kristie, chcąc zainicjować wymianę zdań w grupie. Oczywiście nikt nie palił się do odpowiedzi. Co za niespodzianka.

I oczywiście to Maxx zgłosił się jako pierwszy.

– Chciałbym o czymś opowiedzieć.

Jego niski głos zawibrował mi w uszach. Nie odrywałam wzroku od zeszytu, maniakalnie gryzmołąc jakieś bazgroły w daremnej próbie odcięcia się od niego.

– Świetnie, Maxx – powiedziała zachęcająco Kristie, która wydawała się podekscytowana jak zawsze, gdy Maxx przejmował pałeczkę.

A to właśnie robił. Sterował przebiegiem dyskusji. Manewrował tak, żeby osiągnąć swoje cele.

Bagatelizowałam ten jego rażący egotyzm, do czasu kiedy poczułam, że być może jego narcystyczna powierzchowność kryje coś więcej. Ale to było przed tym, zanim dowiedziałam się, kim właściwie jest.

– W zeszły weekend miałem randkę. Z najpiękniejszą i najbardziej niesamowitą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem – zaczął Maxx, a ja poczułam, że oblewam się rumieńcem. No to kaplica! Gdyby ktokolwiek się dowiedział, o kim mówi, nie wywinęłabym się marnym ostrzeżeniem. Wykopaliby mnie z programu terapeutycznego szybciej, niż zdążyłabym powiedzieć: „Słabo określone granice”.

– Naprawdę? Brzmi rewelacyjnie – zachwyciła się Kristie.

Siedząca obok mnie Twyla, dziewczyna ze stowarzyszenia studenckiego, burknęła coś wściekle pod nosem.

Jej przyjaciółka, Lisa, pochyliła się do niej i wyszeptała drwiąco:

– Za długo czekałaś, T.

Zerknęłam na nie. Żadna z nich nie wyglądała na podekscytowaną nowiną o fantastycznej randce Maxxa.

– Jeszcze zobaczymy – odszepnęła Twyla, uśmiechając się pogardliwie.

Z trudem powstrzymałam chęć skopania tego jej suchego tyłka. Na wargach niemal wykwitły mi słowa: „On jest mój”, aż musiałam się hamować, by nie warknąć na nią w jakimś zwierzęcym odruchu obrony swojej zdobyczy.

Zdobyczy, której ani nie miałam, ani nie chciałam.

Wierzyłam, że jeśli będę to sobie bez ustanku powtarzać, w końcu może sama w to uwierzę.

– Tak, poszliśmy zobaczyć film. Wiem, to trywialne, ale w tej dziewczynie jest coś... Jest między nami jakaś więź, której nigdy wcześniej nie czułem – powiedział cicho.

Uporczywie nie podnosiłam na niego wzroku, choć wiedziałam, że tego właśnie chce. Serce ścisnęło mi się w piersi i chociaż coś zatańczyło we mnie radośnie, w gruncie rzeczy miałam ochotę na niego nawrzeszczyć.

To były tylko ładne słówka. Dziewczęcą, rozchichotaną częścią mnie ogarnął wyniosły gniew.

Zacisnęłam zęby i jeszcze wścieklej zaczęłam gryzmolić w swoim zeszycie.

– Brzmi to bardzo obiecująco, Maxx. Cieszę się, że miałeś takie pozytywne przeżycie – powiedziała Kristie z entuzjazmem.

Zdecydowałam się zaryzykować rzut oka w jego stronę. Tym razem wcale na mnie nie patrzył. Całą uwagę skupił na Kristie, a wszyscy pozostali na nim. Przyglądałam mu się uważnie przez chwilę. Szukałam w jego twarzy fałszu, który przecież musiał tam być.

Wydawał się jednak równie szczery i prostolinijny jak zawsze. Poczułam w gardle potężną kulę i zapiekły mnie oczy. Skąd on miał wiedzieć, co znaczyły te słowa? I jak bardzo pragnęłam, by były prawdziwe?

Odwróciłam wzrok, zanim zdążył mnie złapać na gapieniu się na niego. W trakcie pozostałej części spotkania nie zauważałam już nikogo i niczego. Nie dałam się sprowokować, kiedy Evan wygłosił jakąś wstrętą uwagę o „wtrącających się, zadufanych w siebie ludziach”. I okiem nawet nie mrugnęłam, kiedy Maxx zaoponował.

Za bardzo pochłoneła mnie moja wewnętrzna walka, której przedmiotem był cholerny Maxx Demelo. Czy to facet patrzący na mnie z nadzieją w oczach? A może gość panujący niepodzielnie w nocnym klubie i rozdający truciznę na prawo i lewo? Oba warianty przerażały mnie w równym stopniu.

Po zakończeniu spotkania pomagałam Kristie posprzątać i odstawiać krzesła na miejsce. Najwyraźniej mój brak zaangażowania w trakcie spotkania nie uszedł jej uwagi. Gdy tylko zostałyśmy same, Kristie uznała za stosowne o nim wspomnieć.

– Aubrey, nie chciałabym, żebyś miała poczucie, że nie możesz się już wypowiadać na spotkaniach grupy. Jesteś współprowadzącą. Oczekuję od ciebie zaangażowania w dyskusję. Musisz po prostu zachować pewien dystans do nich. Musisz się nauczyć, co możesz powiedzieć, a co lepiej jest przemilczeć. To pewien proces. Dlatego właśnie tutaj jesteś – powiedziała Kristie, kiedy pakowałyśmy kubki i wkładałyśmy je z powrotem do plastikowych rękawów. Właściwie powtórzyła słowa doktor Lowell.

– Chyba po prostu muszę znaleźć równowagę – przyznałam, niepewna, jakiej właściwie deklaracji ode mnie oczekuje.

– Wiesz, to nie jest praca dla każdego – powiedziała Kristie po chwili.

Spojrzałam na nią wstrząśnięta. Jej słowa dotknęły mnie do żywego. Stawało się boleśnie oczywiste, że miała o mnie coraz gorsze zdanie. Wiedziałam, że podważa pobudki skłaniające mnie do zostania terapeutką. Wiedziałam, że nabiera przekonania, iż brak mi wrodzonego talentu zarządzania osobistymi uczuciami, dzięki któremu potrafiłabym odkładać je na bok.

A ja z biegiem czasu, po kolejnych spotkaniach z Maxxem, gdzieś w głębi ducha musiałam przyznać, że obawy Kristie nie są nieuzasadnione. Przekraczałam granicę. Zachowywałam się niewłaściwie. Moje uczucia do Maxxa zaczynały mi wszystko przesłaniać.

Nie znaczyło to jednak, że zamierzałam się poddać. Gotowa byłam ze wszystkich sił walczyć o życie, którego pragnęłam. Nawet gdyby oznaczało to solidną dawkę wyparcia.

– Co masz na myśli? – zapytałam ochryple, starając się zapanować nad głosem, chociaż emocje brały już górę i broda zaczęła mi drżeć od z trudem powstrzymywanych łez.

Kristie położyła mi dłoń na ramieniu gestem, który wydał mi się protekcyjny.

– Chodziło mi po prostu o to, że to trudna dziedzina. Nie wszyscy potrafią się w niej odnaleźć – wyjaśniła i obdarzyła mnie uśmiechem zbyt kojącym, by mógł być szczery.

Sądziłam, że Kristie jest miłą i kompetentną terapeutką. Może i była kompetentna, ale miała skłonność do pochopnego ferowania wyroków. Było dla mnie jasne, że mnie zaszufładowała.

Nie siliłam się na odpowiedź. Pozbierałam swoje rzeczy, narzuciłam płaszcz i wymamrotawszy jakieś pożegnanie, wyszłam.

– Cześć.

Wzdrygnęłam się na dźwięk niskiego głosu. Z rękami w kieszeniach i szarą wełnianą czapczką naciągniętą na głowę opierał się o ścianę Maxx. Na jego widok żołądek podjechał mi do gardła, ale nie dałam się tak łatwo wytrącić z równowagi.

Skinęłam głową i szłam dalej korytarzem, głośno stukając obcasami na kafelkach.

– Aubrey, poczekaj! – zawołał Maxx.

Nie zwolniłam. Był jak bomba grożąca wybuchem. Zniszczył już część mnie, która

myślała przez krótką chwilę o tym, by odrzucić wszelkie środki ostrożności. Był kłamcą. Pozerem. Jedyną osobą zdolną zniszczyć mi życie.

– Muszę iść, porozmawiamy później – rzuciłam przez ramię, przyspieszając kroku. Usłyszałam jego kroki, a potem poczułam, jak chwyta mnie za ramię i zatrzymuje.

Pociągnął w ciemny korytarzyk, zastawiając mi drogę ucieczki własnym ciałem. Widząc go w półmroku, znów poczułam się jak idiotka, że nie rozpoznałam go wcześniej.

– Dlaczego ze mną nie rozmawiasz? – zapytał wyzywająco.

Sądząc po głosie, czuł się zraniony moim lekceważeniem. Ten facet był zawodowcem. Potrafił odgrywać emocje, jakby były absolutnie prawdziwe. Szkoda, że nie miałam pojęcia, czy to, co mi prezentuje, jest szczere.

– O czym tu gadać? – zapytałam zmęczonym głosem, próbując się precyzyjnie obok niego.

Maxx przesunął się w bok, nadal ściskając mnie za ramiona. Otarliśmy się o siebie. Maxx był znacznie wyższy ode mnie. Tak łatwo byłoby zarzucić mu ręce na szyję i przytulić się do niego, ukrywając głowę w zagłębieniu jego szyi.

Moje ciało pamiętało aż za dobrze, jakie to uczucie – dotykać go. Wrzeszczało na mnie, żebym przestała być taka uparta i się wreszcie poddała. Ale nie chciałam. Nie teraz, kiedy znałam prawdę.

– Myślę, że mamy sobie mnóstwo do powiedzenia. Chciałbym spędzić z tobą więcej czasu, Aubrey. Proszę... – powiedział błagalnie niskim, łagodnym głosem, który działał jak środek uspokajający.

Tak łatwo byłoby uwierzyć we wszystko, co chciałby mi wcisnąć.

Pokręciłam głową i próbowałam się cofnąć, ale Maxx trzymał mnie mocno, nie pozwalając mi się ruszyć.

– Puść mnie, Maxx – powiedziałam zdecydowanie, próbując się uwolnić z jego uścisku.

– Dlaczego tak się zachowujesz? Sądziłem, że poprzednia sobota coś znaczyła. Dla mnie znaczyła – wymamrotał, rozluźniając uścisk i opuszczając ramiona. Opuścił głowę i, niech mnie diabli, trudno było sobie wyobrazić bardziej wiarygodną scenę rozpacz.

Prychnęłam, a on ze zdumieniem podniósł na mnie wzrok. Przewróciłam oczami i uśmiechnęłam się pogardliwie, chociaż serce waliło mi mocno.

– Dobry jesteś, to ci trzeba przyznać – wypaliłam zimno.

Coś w oczach Maxxa rozwiało się i zgasło. Odwrócił się, jakby nie mógł znieść mojego spojrzenia.

– Ha! To zabolalo – powiedział cicho, zdejmując czapkę i przeczesując włosy dłonią.

– Może bym ci uwierzyła, gdybym sądziła, że cokolwiek z tego, co mówisz, jest prawdą – odparowałam.

Maxx uniósł głowę i zmarszczył brwi.

– O co ci chodzi? – zapytał, a w jego głosie zabrzmiała frustracja.

Przewróciłam znów oczami i próbowałam się cofnąć, ale Maxx nie był gotów tak łatwo odpuścić. Chwycił mnie znów za ramiona.

– Przestań ode mnie uciekać. Sądziłem, że między tobą i mną coś się zaczęło. Co się zmieniło? Czy to dlatego, że cię zostawiłem przed kinem? Rozumiem, że to było chujowe zagranie. Po prostu musiałem gdzieś pójść...

– Do Compulsion? – zapytałam, przerywając mu.

Twarz Maxxa natychmiast przybrała neutralny wyraz.

Tak neutralny, że gdybym nie widziała go w klubie na własne oczy, uwierzyłabym, że jest niewinny, kiedy zapytał:

– O czym ty mówisz?

Zbliżyłam się ku niemu i zniżyłam głos do szeptu, chociaż w tym mrocznym korytarzu byliśmy zupełnie sami.

– Widziałam cię tam. Po tym, jak zostawiłeś mnie samą przed kinem. Byłeś w Compulsion i nie sprzedawałeś tam pierniczków – powiedziałam, unosząc brwi i czując kipiący we mnie gniew.

Tym razem to Maxx się cofnął. Puścił mnie, jakbym nagle zaczęła parzyć. Wcisnął czapkę do kieszeni i zatopił palce we włosach, jakby chwycił się za głowę.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – brnął, choć było jasne, że tym, co powiedziałam, wzbudziłam w nim panikę.

Ależ była z nas parka. Zaprzeczaliśmy wszystkiemu, nawet jeśli prawda aż kłuła w oczy. Zaśmiałam się sarkastycznie.

– Byłam tam, Maxx. Widziałam, jak sprzedajesz te małe tabletki, których ludzie nigdy nie mają dość. Widziałam, jak sam je bierzesz, i wiem, że to nie był tylenol – powiedziałam oskarżycielsko, zakładając ręce na piersiach. – Przez jakiś czas cię śledziłam. Widziałam wszystko – wyznałam.

Po twarzy Maxxa przemknęły kolejno wszystkie uczucia. Zaskoczenie. Wściekłość. Oburzenie. I nagle jakby coś w nim pękło. Zakrył twarz dłońmi i osunął się na ziemię.

Rozdziawiłam usta, nie wiedząc, co zrobić. Nie spodziewałam się takiej reakcji. Sądziłam, że będzie szedł w zaparte. Że wymyśli jakąś błyskotliwą ripostę, jak to niby ja sobie coś wyobraziłam albo wręcz arogancko przyzna się do wszystkiego. Może nawet oczekiwałam przeprosin? Z pewnością jednak nie liczyłam się z tym, że Maxx się załamie.

Byłam przerażona myślą o tym, że to ja doprowadziłam go do tego stanu. Co się stało z moją wrażliwością? Gdzie się podziała kobieta, która chciała pomagać innym? Czy Maxx, siedzący tutaj i sprawiający wrażenie kompletnie zagubionego, nie potrzebował mojego wsparcia?

Zachowywałam się jak wzgardzona dziewczyna, a nie jak terapeutka, którą chciałam zostać. Maxx był bardzo silnie uzależniony, to oczywiste, ale to nie nadużywanie narkotyków mnie niepokoiło.

Chodziło o sprzedaż. O wciskanie tego świństwa innym. No pewnie, że nie stał na rogu ulicy, sprzedając uczniom dragi owinięte w papierki po gumie do żucia, ale w moim rozumieniu wykorzystywał najsłabszych. Takich jak moja siostra.

Właśnie to przyprawiało mnie o mdłości.

Ale najbardziej wkurzyłam się dlatego, że zaczęłam dostrzegać jego prawdziwą naturę. Człowieka znacznie lepszego, znacznie bardziej wartościowego niż koleś, który sprzedaje prochy bandzie naćpanych dzieciaków z college'u. Zrobiłam krok w jego stronę. A potem kolejny, aż stanęłam nad nim. Nie podniósł na mnie wzroku. Nie wiedziałam, czy to z powodu wstydu, czy wyrzutów sumienia. A może po prostu nie chciał, żebym zobaczyła, kim naprawdę jest? Ale ja już to widziałam.

Kucnęłam przed nim.

– Co tydzień przychodzisz na spotkanie grupy i serwujesz tę samą łzawą historyjkę. Potrzebujesz ocalenia – powiedziałam ostro, dając upust emocjom i nie zastanawiając się

nad tym, co mówię. – Kogo ty próbujesz oszukać? Kristie? Pozostałych członków grupy? Mnie? – zapytałam. – A może siebie? Bo to niemożliwe, żebyś lubił osobę, którą oglądasz w lustrze. Niemożliwe, żeby cieszyło cię sprzedawanie narkotyków i podtrzymywanie uzależnienia, które cię w końcu zabije. Obudź się, Maxx! – powiedziałam, podnosząc głos.

Maxx poderwał głowę.

– Nie wiesz, kim jestem, Aubrey. Nie masz bladego pojęcia!

Twarz mu poczerwieniała, a oczy rozbłyły. Nigdy nie widziałam go tak rozgniewanego. To było przerażające.

Ale się nie cofnęłam.

– Och, daj spokój. Myślisz, że jak masz pod górkę, to zyskujesz prawo do sprzedawania tego gówna? Do ściągania wszystkich za sobą w dół? Kłamiesz za każdym razem, kiedy tu przychodzisz! Nie próbujesz się poprawić! Nie starasz się przestać brać! Po prostu bądź uczciwy względem siebie i wszystkich pozostałych! – krzyknęłam.

Maxx pochylił się ku mnie, od mojej twarzy dzieliło go już zaledwie kilka centymetrów.

– Jeśli naprawdę tak myślisz, jeśli taki właśnie według ciebie jestem, to co tutaj jeszcze robisz? – zapytał wyzywająco, a twarz mu pociemniała.

Przełknęłam ślinę i podniosłam się, odsuwając się od niego. Lecz teraz to Maxx przeszedł do ataku.

– Jesteś tak cholernie naiwna, Aubrey. Taka egocentryczna. Myślisz, że możesz tak sobie stać i ferować te swoje pieprzone wyroki? Nic z tego nie rozumiesz. Czujesz się po prostu zdradzona – wypalił. – Nie rozumiesz tego, że przynajmniej wtedy, kiedy jestem kimś innym, kiedy jestem tym popapranym kolesiem z klubu, nie muszę być sobą! – warknął.

– A co jest takiego koszmarnego w byciu Maxxem Demelo? – zapytałam, marząc o tym, żeby w końcu zdobył się na szczerłość. Czekałam na przełom, który pozwoli mi dostrzec, co leży u podstaw tego wszystkiego.

– To, że jestem cholernym nieudacznikiem! – wrzasnął.

Przetarł twarz dłonią, po czym zwinął ją w pięść i huknął w ścianę z taką siłą, że aż krzyknęłam.

Łzy płynęły mu po twarzy i walnął jeszcze raz. Zakrył twarz ramieniem i zaczął krzyczeć, tłumiąc szloch rękawem bluzy. Czułam, jak mięknę, jak gniew ustępuje temu dziwnemu ukłuciu, które tylko on potrafił wywołać. Rozejrzałam się i poczułam ulgę, gdy upewniłam się, że nadal jesteśmy sami.

Maxx opuścił ręce i patrzył na mnie udreńczonym spojrzeniem zagubionych oczu.

– Do niczego się nie nadaję – wyszeptał. – A wszystkich, którzy czegokolwiek po mnie oczekują, czeka wyłącznie rozczarowanie.

Spojrzał na mnie wymownie. Jego przekaz był aż nadto czytelny.

„Nie oczekuj po mnie niczego więcej”.

– Dobrze jest czuć się potrzebnym. Móc dać ludziom coś, czego rzeczywiście potrzebują. Lubię tę świadomość, że mogę wziąć tabletkę i wszystko przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie mam wyrzutów sumienia. I nie czuję ciężaru całego tego gówna – warknął Maxx, szarpiąc nerwowo bluzę na piersiach. Spojrzał na mnie, zmrużywszy oczy. – Więc nie mów mi, co twoim zdaniem powinienem robić albo czego nie robić. Bo, do cholery, nic o mnie nie wiesz.

Nie miałam pojęcia, co mu powiedzieć. Nie stałam tam już jako Aubrey, przyszła

terapeutka. Byłam Aubrey, młodą dziewczyną próbującą ocalić smutnego chłopaka, który wbrew rozsądkowi naprawdę zaczął ją obchodzić.

– Nie zdołam się z tego wykaraskać. Wiem o tym. Jestem, kurwa, przegrany.

Był naprawdę wściekły. Podszedł do mnie sztywno, chwycił mnie za twarz i spiorunował wzrokiem. Nie potrafiłam powiedzieć, czy był wkurzony na mnie, czy na samego siebie. Zapewne po trosze na jedno i drugie.

Ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu przywarł ustami do moich warg z taką siłą, że poczułam smak krwi. Oderwał się ode mnie równie raptownie, jak mnie pocałował. Całkowicie stracił nad sobą kontrolę, zachowywał się impulsywnie i nieprzewidywalnie. Nie wiedziałam, co za chwilę zrobi.

Nie wypuszczał mojej twarzy z silnego uścisku.

– Pragnę cię, Aubrey – powiedział krótko czystym głosem. Jego palce zagłębiły się w moją skórę, a ja starałam się nie skrzywić z bólu.

Maxx trzymał mnie mocno, jakby się obawiał, że ucieknę. Jakaś buntownicza, racjonalna część mnie właśnie się nad tym zastanawiała. Nie byłam taka głupia, żeby dać się wmanewrować w Maxxa – kimkolwiek był. Z wielu powodów należało się trzymać od niego z daleka. Ani na jotę nie zmieniało to jednak tego, jak się przy nim czułam. Lub też jak ten destruktywny, złamany człowiek działał na kobiety, które niczego nie pragnęły bardziej, niż go naprawić. Zbawić go. Wyprostować jego świat.

– Nie opuszczaj mnie – wyszeptał, a mnie przeszedł dreszcz.

Nakryłam trzymające moją twarz dłonie własnymi rękami i zapatrzyłam się w oczy błagające mnie o to, żebym została.

– Przerażasz mnie – powiedziałam uczciwie.

Pochylił się i oparł swoje czoło o moje. Oddychał głęboko i urywanie.

– Sam siebie przerażam – powiedział. Uniosłam ramiona i objęłam go za szyję, a on opuścił mi ręce na biodra, wbijając mi palce w skórę. Z zamkniętymi oczami wdychaliśmy wzajemny zapach, pozwalając, by zawisła między nami prawda naszych słów.

– Musisz przestać, Maxx. Dostałeś wyrok w zawieszeniu. Jeśli cię złapią, wyładujesz w więzieniu – perswadowałam.

Maxx skinął głową, jego nos otarł się o mój.

– Wiem. Nie mogę już być tym facetem. Ale trudno się od niego uwolnić. Nie jestem pewien, czy zdołam zrobić to sam.

– Niszczysz sam siebie. To gówno zabiło moją siostrę. I ciebie też mogło zabić – ciągnęłam.

Nie zaprzeczał niczemu. Nie bronił się. Nie kazał mi pilnować własnych spraw.

Tylko kiwał głową.

– Potrzebuję cię – powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszałam.

I tym jednym zdaniem mnie ustrzelił. To było aż za proste. Potrzebował mnie, a ja żyłam po to, by być potrzebną. Moje uzależnienie było równie silne jak jego. I miało równie destrukcyjny potencjał. Nie wiedziałam jeszcze wówczas jak bardzo.

– Muszę cię znów pocałować. Proszę – błagał.

Byłam zaskoczona, że prosi mnie o pozwolenie, biorąc pod uwagę sposób, w jaki rzucił się na mnie zaledwie kilka minut wcześniej. Wydawało się jednak, że zależy mu na tym, by uzyskać moją zgodę. Że stara się mi przekazać, że jeśli jej udzieli, to tym razem będzie

inaczej. Wszystko się bezpowrotnie zmieni.

Otworzył te swoje niebieskie oczy, niemo prosząc, bym się poddała. Byłam wobec niego bezsilna. Próbowałam sobie przypomnieć powody, dla których miałam go trzymać na dystans, ale gdy był tak blisko, gdy błagał mnie na ten swój rozpaczliwie smutny sposób, nie potrafiłam zrobić nic innego, jak tylko się poddać.

Szarpnięciem przyciągnęłam go bliżej i wspierałam się na palce, by dosięgnąć jego ust. Maxx objął mnie i mocno przycisnął do siebie, po czym popchnął mnie na ścianę i wpił się wargami w moje usta. Nasze języki się splotły, a ja chwyciłam go za włosy i pociągnęłam na tyle mocno, by sprawić mu ból.

Maxx jęknął i zupełnie straciliśmy głowy. Uniósł mnie, obejmując dłońmi od dołu moje pośladki, a ja otoczyłam go nogami w pasie. Przycisnął mnie biodrami i pod warstwami ubrania wyczułam jego sztywniejącą męskość.

Oderwał ode mnie usta i zaczął się zsuwać wargami po mojej szyi. Pod jego dotykiem wygięłam się w łuk, pragnąc wszystkiego, co mi dawał. Przesunął dłoń z mojego tyłka na przód mojej kurtki, szarpnął zamek i rozsunął go, a potem pociągnął mi sweter w dół, rozciągając mi dekolt w poszukiwaniu choćby skrawka nagiej skóry.

I tak jak wcześniej przestałam się kontrolować i pozwoliłam sobie doświadczać szaleńczych uczuć, które Maxx we mnie wyzwalał. Uczuć, które tylko on potrafił we mnie wzbudzić.

Objął moją pierś palcami, głaskał ją i ugniatał. Jęknęłam głośno w pustkę korytarza, a mój jęk odbił się echem od ścian i jakby podniecił go do działania. Zsunął stanik z mojej stęsknionej skóry i dotknął jej, jakby z wahaniem. Wydawał się niepewny, ale im bardziej wiałam się w jego objęciach, tym bardziej zdecydowane stawały się jego ruchy. Uchwycił stwardniałą brodawkę między kciuk i palec wskazujący, pocierając ją wystarczająco mocno, by wzniecić płomień gdzieś w głębi moich trzewi. Poczułam pulsowanie między nogami i zaczęłam rytmicznie się o niego ocierać, próbując znaleźć ulgę.

– Jesteś taka piękna – wymamrotał, po czym pochylił głowę i objął ustami mój sutek.

– O Chryste! – jęknęłam i odrzuciłam głowę do tyłu, uderzając nią w betonową ścianę. Drażnił zębami moją rozgrzaną skórę, przygryzał ją lekko i smakował. Okrążając językiem brodawkę, drugą rękę przesunął na przód moich dzinsów. Straciwszy oparcie jego dłoni, uderzyłam stopami w podłogę i odkryłam, że ledwo stoję. Kolana się pode mną ugięły.

W ogóle się nie zastanawiałam nad tym, gdzie jesteśmy i kto nas może zobaczyć. Mój zalany pożądaniem mózg rejestrował już tylko to, w jaki sposób jego dłoń wślizgnęła się w moje rozpięte dzinsy i przesunęła po szwie zwilgotniałych majtek.

Maxx pocałował jeszcze raz moją pierś i odsunął się lekko, żeby spojrzeć na mnie z góry. Nasze oczy się spotkały. Powoli odsunął na bok moją bieliznę i dotknął pulsującego środka. Byłam kompletnie rozedrgana. Moje odsłonięte piersi na przemian wznosiły się i opadały, gdy próbowałam odzyskać miarowość oddechu.

Usta miałam obolałe i opuchnięte. Chciałam, by mnie znów pocałował, ale nie robił tego. Masując mnie, powoli i zdecydowanie, nie przestawał mnie obserwować. Koniuszek jego palca zawibrował u wejścia, od niechcienia przesunął się w górę i przycisnął łechtaczkę.

– O Boże! – jęknęłam, kiedy w końcu wsunął we mnie palec tak powoli, jakby delectował się dotykiem mojego ciała. Zamknęłam oczy, opanowana uczuciem tak silnym, że aż nieznośnym. Maxx wsunął drugą dłoń w moje włosy, chwycił mnie za kark i zaczął

rytmicznie wsuwać i wysuwać palec, najpierw powoli i leniwie, ale potem rytm się zmienił, a Maxx wsuwał swój palec tak głęboko, jak byłam w stanie go przyjąć.

– Spójrz na mnie, Aubrey – zażądał, a jego chrapliwy głos załamał się, gdy wsunął we mnie drugi palec.

Otworzyłam oczy, by na niego spojrzeć, i prawie na powrót je zamknęłam, gdy zobaczyłam malujące się na jego twarzy nagie pragnienie. Było tak intensywne, że samo patrzenie na nie sprawiało ból.

Masując mi kciukiem łechtaczkę, zakrzywił zatopione we mnie palce i dotknął punktu wyzwalającego natychmiastowy orgazm. Zdławiłam okrzyk, który niemal wyrwał mi się z ust.

I wtedy na końcu korytarza trzasnęły jakieś drzwi i wydawało mi się, że serce przestało mi bić. Odepchnęłam od siebie Maxxa tak silnie, że zupełnie zdezorientowany zatoczył się w tył.

– Aubrey... – zaczął ochryplym głosem, ale uniosłam dłoń, by mu przerwać, gorączkowo potrząsając głową z nadzieją, że się zamknie. Próbowałam zapiąć z powrotem dżinsy, ale suwak jak na złość się zaciął. Pospiesznie zapięłam kurtkę i obciągnęłam ją w dół, zacierając ślady tego, co właśnie robiliśmy.

Włosy Maxxa wyglądały dokładnie tak, jakbym ledwie przed chwilą przeczesła je palcami. Usta miał czerwone i opuchnięte, niebieskie oczy niemal czarne z pożądania. Wyglądał seksownie jak diabli i moje oszołomione hormonami ciało pragnęło go tak boleśnie, że kusilo mnie niemal, by odłożyć zdrowy rozsądek na bok, przewrócić go na ziemię i dokończyć to, co zaczęliśmy.

Na szczęście zdrowy rozsądek wziął górę i odwróciłam się do niego plecami, próbując uzyskać jakiś fizyczny i emocjonalny dystans. Ale dopiero wówczas, gdy zobaczyłam na jego twarzy przeszywający ból z powodu tego, co uznał za odrzucenie.

Wiedziałam, jak odbierze moje działania. Nie rozumiał jednak konsekwencji nakrycia nas w takiej sytuacji. Nie rozumiał, co to będzie oznaczać dla niego i jego zawieszenia. Dla mnie i dla mojej przyszłej kariery. Jedno i drugie weźmie w łeb. Pozwoliłam, by pożądanie przesłoniło mi jasność myślenia... znowu. Ale nawet teraz, z nerwami napiętymi jak postronki i wiszącą w powietrzu obawą, że zostaniemy nakryci, nie potrafiłam przestać go pragnąć.

Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek przestanę.

Otarłam usta grzbietem dłoni i schyliłam się, by podnieść torbę, marząc, by serce przestało mi tak walić, i właśnie w tym momencie z głębi korytarza wyłoniła się Kristie.

Nie zdawała sobie sprawy z mojej i Maxxa obecności, dopóki prawie na nas nie wpadła. Wzdrygnęła się, zaskoczona spotkaniem nas w ciemnym załomie korytarza. Zatrzymała się i zmarszczyła brwi, przenosząc wzrok z Maxxa na mnie. Dłonie mi spotniały i mogłam mieć już tylko cholerną nadzieję, że nie wyglądam na równie winną, jak się czuję.

– Wszystko w porządku? – zapytała Maxxa, nie odrywając ode mnie wzroku.

Czy w jej oczach malowała się podejrzliwość? Czy wyczuła w powietrzu seksualne napięcie, które wydawało się niemal namacalne?

Maxx odchrząknął.

– Miałem trudny moment po zakończeniu spotkania, Kristie. Aubrey starała się to ze mną przerobić przed moim powrotem do domu – skłamał gładko. Ależ był przekonujący.

Kristie się odprężyła.

– Świetnie. Cieszę się, że wykorzystujesz właściwe strategie radzenia sobie z problemami,

Maxx – trąkotała z entuzjazmem, klepiąc go po ramieniu.

Chciałam przytaknąć, ale słowa uwięzły mi w gardle. Chyba niektórzy z nas nie byli równie predysponowani do zwodzenia bliźnich jak inni. Napotkałam spojrzenie Maxxa. W jego oczach nie ostał się choćby ślad wcześniejszej wrażliwości i podatności na zranienie. Nie pozostała w nich nawet iskra namiętności. Jakby jej tam nigdy nie było.

I znów zaczęłam się zastanawiać, co było prawdziwe.

– Lepiej już pójdę, zrobiło się późno – powiedziałam, kiedy w końcu udało mi się wydobyć z siebie słowa. Kristie wykladała coś dalej Maxxowi o zasobach społeczności, które może wykorzystać, gdy będzie ich potrzebował. Była kompletnie nieświadoma napięcia elektryzującego powietrze między nami.

Twarz Maxxa miała nieodgadniony wyraz, jego ciemne oczy osłaniał kaptur. Moje serce i moje ciało krzyczały, by go nie zostawiać. Ale umysł kazał mi uciekać.

Póki jeszcze mogłam.

Można by napisać całe tomy o tym, jak zapewnić sobie zajęcie. Jeśli tylko człowiek odpowiednio skoncentrował się na sprawach błahych, kwestie bardziej istotne zaczynały się wydawać mniej ważne.

W moim życiu znakomicie spełniały tę funkcję szkoła i nauka. Ustawiały wszystko na właściwym miejscu i popychały mnie naprzód. W moim życiu nie było miejsca na seksowne niebieskie oczy i namiętne błagania, które kazały mi o wszystkim zapomnieć.

Niedające mi spokoju myśli sprawiły, że rozpaczliwie pożałowałam, iż nie mam kogoś, z kim mogłabym o tym wszystkim porozmawiać. Kogoś, komu mogłabym wyznać te wszystkie sprzeczne, miotające mną uczucia. W tej emocjonalnej zawierusze jeszcze bardziej niż zwykle tęskniłam za Renee. Tęskniłam za czasami, kiedy mogłam powiedzieć jej wszystko.

Czułam się samotna. Nawet w towarzystwie innych. Bo nikt nie mógł się dowiedzieć, co kryje się w moim sercu ani tego, że powoli i nieuchronnie oddaję je komuś, kto – jak się obawiałam – je zniszczy.

– Zastanawiam się, czy nie zaprosić Charlotty na randkę – obwieścił Brooks zniecka w samym środku wielogodzinnej sesji kucia.

Zaskoczona podniosłam wzrok znad notatek. Brooks nigdy nie opowiadał mi o żadnych dziewczynach. Nie to, żeby sprawiało mi jakikolwiek problem słuchanie o tym. Byliśmy przyjaciółmi. A przyjaciele rozmawiali o takich rzeczach. Ale nie należeliśmy do tych, którzy wspólnie zaśmiewali się ze swoich podrywek.

– Kim jest Charlotta? – zapytałam, sięgając po opakowanie precelków leżące na stoliku do kawy.

Tymczasowo zniosłam własne zarządzenie zabraniające jedzenia w salonie. Studiowanie wymagało paliwa. A nie chciałam czytać swoich notatek skulona na krześle przy kuchennym stole.

Brooks wyciągnął nogi, ocierając się swoimi stopami o moje. Nigdy nie unikałam jego dotyku. Był moim przyjacielem. Więc dlaczego to wszystko zaczęło się wydawać takie... dziwne... tak nagle? Od momentu gdy Maxx zaznaczył swoje terytorialne roszczenia przed spotkaniem grupy wsparcia, poczułam zmianę w mojej relacji z Brooksem. Zmianę zupełnie dla mnie niezrozumiałą, o której jednak mój przyjaciel wydawał się nie mieć ochoty rozmawiać.

– Jest na moim sympozjum dla studentów ostatniego roku. Szatynka i ma czym oddychać – wyjaśnił, patrząc na mnie i pociągając łyk piwa.

Obserwował mnie uważnie. Zbyt uważnie. O co mu, do diabła, chodziło?

Uśmiechnęłam się do niego możliwie najbardziej zachęcająco.

– Brzmi rewelacyjnie. Nie wahaj się, stary – powiedziałam, rzucając mu paczkę oreo.

Brooks chwycił ją w powietrzu.

– Serio? Może mogłabyś ją poznać. Powiedziałybyś mi, co sądzisz – zasugerował, nie

spuszczając ze mnie oka.

Wprawiało mnie to w zakłopotanie i ani odrobinę mi się nie podobało.

– Nie potrzebujesz mojej aprobaty, Brooks. Jak ci się podoba, to zaproś ją gdzieś, i tyle. Proste jak drut – oznajmiłam rzeczowo, mając nadzieję, że ta rozmowa przestanie być taka sztywna.

Brooks powoli otworzył paczkę ciasteczek i wyciągnął jedno.

– No cóż, po prostu chciałbym wiedzieć, co o niej sądzisz. Nie ma w tym nic złego, prawda? – zapytał wyzywająco.

Co on chciał ode mnie usłyszeć? Dlaczego miałam wrażenie, że nie mówię tego, czego ode mnie oczekuje?

Wzruszyłam ramionami i poprawiłam sobie kucyk, który się rozluźnił.

– Jasne. Jeśli chcesz. W weekend nigdzie się nie wybieram.

Brooks zaczął żuć ciasteczko i wydawało się, że nad czymś się zastanawia.

– Dlaczego ty nigdy nigdzie nie wychodzisz, Aubrey? Mam nadzieję, że nie przekreśliłem w twoich oczach wszystkich chłopaków raz na zawsze? – zakpił, a ja ucieszyłam się na dźwięk mniej poważnych tonów w jego głosie.

Prychnęłam.

– Taa... trzeba przyznać, że po tobie zaczęłam ponownie rozważać opcję lesbijską – zażartowałam.

Spojrzenie Brooksa pociemniało, ale wargi wygięły mu się w uśmiechu.

– Jakaż by to była strata – odpowiedział, a ja zachichotałam, odrobinę nerwowo.

– A co się dzieje z tym Maxxem z twojej grupy? Sprawiał dość dziwne wrażenie.

No i proszę. Temat, którego oboje unikaliśmy.

Odchrząknęłam i na powrót utkwiałam spojrzenie w zeszyte.

– Zwykły koleś. Tak naprawdę go nie znam – skłamałam.

W mgnieniu oka wróciłam myślami do naszego zeszłotygodniowego spotkania w korytarzu. Do jego dłoni masującej i dotykającej najintymniejsze części mnie. Do widoku dzikiego pożądania na jego twarzy.

Założyłam nogę na nogę, próbując powstrzymać nagłą falę ciepła rozpełzającą się między moimi udami na samo wspomnienie tych głupich, skrajnie niemądrych, ale zupełnie odjazdowych rzeczy, które razem robiliśmy. Wystarczyło zamknąć oczy i skoncentrować się, by poczuć jego poruszające się we mnie palce. Jego oddech na mojej szyi, kiedy szczytowałam.

Kurwa.

– Poważnie? No normalnie patrzył na ciebie jak... właściciel – powiedział Brooks lekko, chociaż w jego głosie czaiły się niewypowiedziany zarzut i potężna zazdrość.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałam defensywnie, udając, że nie rozumiem jego insynuacji, choć były tak bliskie prawdy.

Brooks odwrócił wzrok, sprawiając wrażenie zażenowanego.

– Nic, Aubrey. Zapomnij, że w ogóle o tym wspomniałem.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy go nie przycisnąć. Chciałam usłyszeć jego podejrzenia... bo może mogłabym podzielić się z nim tym, co się ostatnio zdarzyło. Nienawidziłam sekretów. Nienawidziłam poczucia winy. A przede wszystkim nienawidziłam

miażdżącego pożądanego osłabiającego moją wolę. Musiałam porozmawiać z kimś o tym niebezpiecznym miejscu, w którym znalazłam się razem z Maxxem. Martwiłam się tym, że jestem zdecydowanie zbyt bliska popełnienia najgorszego błędu w całym swoim życiu.

Choć musiałam mieć chyba początki demencji, sądząc choć przez sekundę, że Brooks to osoba, której mogłabym się zwierzyć. Niezależnie od tego, że łączyła nas przyjaźń, wyraz jego ściągniętej, nieszczęśliwej twarzy jasno mi uświadomił, że wyznanie moich grzechów związanych z Maxxem Demelo nie byłoby mądrym pomysłem.

W pokoju zapadła niemal ogłuszająca cisza. Żadne z nas się nie odzywało. Nasze zakłopotanie było niemal wyczuwalne. I miało gorzki posmak.

Brooks westchnął głośno.

– Aubrey... – zaczął, ale zanim zdążył skończyć myśl, drzwi wejściowe otworzyły się na oścież i do środka wpadła Renee.

Brooks pochwycił moje zdumione spojrzenie i oboje utkwiliśmy wzrok w mojej współlokatorce. Była opatulona swoim czarnym skórzanym płaszczem, a rude włosy spadały jej w strąkach na policzki. Z pochyloną nisko głową wślizgnęła się do salonu.

Ramiona jej drżały i wiedziałam, że płacze. Bez słowa upuściła torebkę na podłogę i niemal pobiegła do swojego pokoju. Drzwi zamknęły się cicho, kiedy za nimi zniknęła.

– Co się stało? – zapytał Brooks.

Towarzyszące nam jeszcze przed chwilą zakłopotanie prysło. Zerknęłam na korytarz, przekonana, że coś jest zdecydowanie nie tak.

– Nie mam pojęcia, ale chyba będzie lepiej, jak pójdę i sprawdzę. – Podniosłam się, czując egoistyczną wdzięczność za pojawienie się Renee w idealnym momencie, niezależnie od powodów.

Sfrustrowany Brooks jęknął.

– Może nie ruszaj tak do razu z odsieczą? To pewnie tylko kolejny odcinek kiepskiego serialu z Devonem Keetonem. Nie musisz się nurzać w tym bagnie – powiedział ostrzegawczo i po raz pierwszy jego lekceważenie dla Renee naprawdę mnie rozzłościło.

– No cóż, nadal jest moją przyjaciółką i powinnam sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Więc myślę, że będzie lepiej, jak już sobie pójdiesz – powiedziałam krótko, dając mu do zrozumienia, jak bardzo nie podobała mi się jego uwaga.

Brooks pojął, że mnie wkurzył, i zmarszczył brwi.

– Słuchaj, Aubrey, tak sobie rzuciłem, ale ty w kółko to samo. Żebyś tylko nie nabrała przekonania, że coś tu możesz zmienić dla niej na lepsze, bo niektórzy ludzie po prostu nie chcą, żeby im pomagać. Im szybciej przyjmiesz to do wiadomości, tym lepiej dla ciebie – powiedział ze złością, a ja zastanowiłam się mimowolnie, czy na pewno dalej rozmawiamy o Renee.

– O rany, Brooks, ależ to empatyczne z twojej strony. Cieszę się, widząc, że wybrałeś właściwy zawód – wypaliłam.

Brooks zacisnął szczęki.

– No dobra, cóż, odezwę się później – powiedział, zbierając swoje rzeczy.

Natychmiast poczułam się beznadziejnie. Cokolwiek się kiedyś wydarzyło między nami, nie zmieniało faktu, że naprawdę zależało mu na tym, żebym była szczęśliwa. Zawsze.

– Poczekaj, Brooks... – zaczęłam, ale tylko pokręcił głową.

– Idź, sprawdź, co się dzieje. Pogadamy później – powiedział, nie dając mi sposobności

naprawienia tego, co się między nami popsło. Czułam się koszmarnie.

Nie próbowałam go zatrzymywać. Pozwoliłam mu wyjść i ruszyłam do drzwi sypialni Renee, żeby się nią zająć.

Zapukałam. Kiedy nie odpowiedziała, weszłam do środka. Leżała zwinięta w kłębek na środku łóżka. Nie zdjęła butów ani płaszcz. Wyglądała tak, jakby próbowała zapaść się w sobie.

Natychmiast stanęły mi przed oczami inny czas i inna osoba kuląca się tak, jakby miała się rozpaść na kawałeczki, jeśli się tylko poruszy.

Przypomniało mi się, jak weszłam do pokoju Jayme dwa miesiące przed jej śmiercią. Nasze pokoje ze sobą sąsiadowały i słyszałam, jak wróciła do domu – kilka godzin po wyznaczonej godzinie. Mama i tata od jedenastej, wyznaczonej na porę jej powrotu, odchodzili ze zdenerwowania od zmysłów. Nalegali, żebym poszła jej szukać, ale miałam do przygotowania ogromny referat na poniedziałek i przekonałam ich, że jej zachowanie jest typowe dla zbuntowanej nastolatki. Byłam grzeczną dziewczynką, a Jayme, odkąd zaczęła miesiączkować, stała się po prostu czarną owcą.

Jak łatwo było zlekceważyć jej zachowanie, uznać za typowe.

Planowałam wparować do jej pokoju i ochrzanić ją za to, że niepokoi rodziców. Nadełam się wyniosłym poczuciem moralnej wyższości. Przeze mnie mama i tata się nie martwili. Robiłam to, czego ode mnie oczekiwano. Byłam osobą, którą Jayme powinna sobie stawiać za wzór. Mogłaby się niejednego nauczyć od swojej poukładanej starszej siostry.

Na widok tego, co zastałam po wejściu do pokoju, oklepane frazesy zamarły mi na ustach. Moja mała, piętnastoletnia siostra leżała skulona na łóżku, mniej więcej tak jak teraz Renee. Jej drobnym ciałem wstrząsało urywane łkanie.

Kiedy usiadłam obok, przysunęła się do mnie i położyła mi głowę na kolanach, a jej długie blond włosy, tak podobne do moich, splątały się na jej twarzy. Drżała niepowstrzymanie, policzki miała blade, a oczy przekrwione od płaczu i – czego dowiedziałam się później – narkotyków, które wzięła tej nocy.

Zapytałam ją, co się stało, ale nie odpowiedziała. Przywarła tylko do mnie i płakała, płakała bez końca. Nie zadawałam pytań. Nie żądałam odpowiedzi. Trzymałam ją tylko, aż wreszcie zasnęła. Wtedy ostrożnie zdjęłam jej buty i otuliłam ją kołdrą, kciukiem ścierając jej tusz z twarzy.

Następnego ranka Jayme zachowywała się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Nie wspomniała, dlaczego płakała, a ja nigdy o to nie zapytałam. Zająłam się kończeniem swojego referatu, a rodzice, chociaż znów zagrozili jej szlabanem, nigdy nie zrealizowali swojej groźby. Była ich ukochanym dzieciątkiem. Za każdym razem jej wybacжали, szukali dla niej nowych usprawiedliwień.

Dwa miesiące później Jayme już nie żyła, a ja nigdy nie zadałam jej pytania, dlaczego tamtej nocy się załamała. Dlaczego tak bardzo potrzebowała, żebym ją przytuliła. Każdego dnia nienawidziłam siebie za to, że nigdy o to nie zapytałam. Bo może mogłabym jej pomóc.

Przysięgam sobie, że nigdy więcej nie popełnię tego błędu.

Natychmiast podeszłam do łóżka Renee, usiadłam obok niej i mocno ją objęłam. Początkowo się opierała, starając się ode mnie odsunąć, ale nie puszczałam.

W końcu się poddała i zatonąła w moich objęciach, kładąc mi głowę na kolanach

zupełnie jak Jayme tych kilka lat wcześniej. Automatycznie powtarzałam tak dobrze mi znane gesty: odsuwałam jej włosy z twarzy i pozwalałam się wypłakać.

Tym razem jednak nie milczałam. Nie zamierzałam udawać, że moja przyjaciółka nie rozpada się właśnie na moich oczach.

– Co się stało, Renee? – zapytałam cicho, kiedy się już uspokoiła. Renee odwróciła głowę i zasłoniła twarz swoimi gęstymi, rudymi włosami. – Proszę, powiedz mi, co się dzieje – poprosiłam łagodnie.

Renee powoli usiadła, ze spuszczoną głową i z włosami spadającymi na oczy.

– Byłam taka głupia – wyszeptła, a głos jej się załamał, przechodząc w szloch.

Uniosła głowę i spojrzała na mnie niemal wyzywająco.

Zerknęłam i zdławiłam okrzyk.

To nie na widok jej poczerwieniałej od płaczu, płamistej twarzy wzdrygnęłam się z przerażenia, lecz fioletowego siniaka pod okiem. Górną wargę miała opuchniętą, a w miejscu przecięcia utworzył się strup.

Zakryłam usta dłonią, by nie zacząć wrzeszczeć z wściekłości na widok jej ślicznej, potwornie pokiereszowanej twarzy. Nie musiałam pytać, kto jej to zrobił. Wyraz zacieklego rozżalenia malujący się w jej oczach był wystarczającym potwierdzeniem.

Byłam gotowa zabić Devona Keetona.

– Co się stało? – wypaliłam.

Renee pokręciła głową, a włosy na powrót opadły jej na twarz, skrywając ją przed moim wzrokiem.

– Strasznie się rozżłościł. Nigdy nie widziałam go tak wściekłego. Nic nie zrobiłam! – Podniosła histerycznie głos, a ja wyciągnęłam rękę, żeby ją przytulić.

Tym razem poddała się bez oporu, nie walcząc z moimi próbami pocieszenia jej.

Powoli i delikatnie pogładziłam ją po plecach.

– Wiem, że nie zrobiłaś – wymruczałam, wymyślając tysiąc sposobów na uczynienie tego gnojka kaleką.

– Dlaczego ja mu na to pozwalałam? – wyszłochała mi w ramię, a ja odsunęłam się mimowolnie.

– Czy on to robił już wcześniej, Renee? – zapytałam ostro.

Renee, słysząc groźbę w moim głosie, w panice odwróciła wzrok.

– Tylko raz – powiedziała pospiesznie, a ja ze złości aż zamknęłam oczy.

Boże, zatłukę skurwysyna!

Przytuliłam ją znów, pozwalając jej się wypłakać. Kiedy w końcu się uspokoiła, położyłyśmy się na jej łóżku tak jak kiedyś, gapiąc się w sufit i rozmawiając o rzeczach, o których najtrudniej było nam opowiadać.

Pozwoliłam Renee mówić i głównie słuchałam. A przede wszystkim byłam tam. Mimowolnie myślałam o Jayme i o tym, ile razy odwróciłam się do niej plecami, bo miałam inne sprawy. Własne życie. Szkołę, nowych przyjaciół, pracę domową, przygotowania do egzaminów do college'u. Miałam własny świat. I byłam ślepa na moją młodszą siostrę, która ledwo co poszła do liceum i miotała się, próbując nie wpłynąć na rafy ostracyzmu rówieśników.

Renee opowiedziała mi o złości i zazdrości Devona. O tym, jak w barze stracił nad sobą panowanie, kiedy zaczęła rozmawiać z jakimś kolegą z wykładów na temat ekonomii, jak

uderzył ją w twarz i wywłókł za ramię na zewnątrz.

Zaciągnął ją na drugą stronę budynku, gdzie było ciemno, i nawrzeszczał na nią, oskarżając ją o zdradę. Uderzył ją jeszcze raz w twarz i wymierzył jej cios w klatkę piersiową. Powiedział jej, że jest brzydka i głupia. Że jest szczęściarą, iż w ogóle zwrócił na nią uwagę. Że nikt poza nim na pewno by jej nie zechciał. A potem zagroził, że urządzi ją znacznie gorzej, jeśli jeszcze kiedykolwiek spojrzy na tego kolesia. Nie zwracał zupełnie uwagi na jej gorączkowe zaprzeczenia. Śmiał się, kiedy błagała go, żeby przestał. Jej łzy doprowadziły go do furii.

– Nigdy więcej się już z nim nie spotkam, Aubrey. Nigdy! – krzyczała, zakrywając dłońmi posiniaczoną twarz.

Przytuliłam ją, kiedy znów zaczęła płakać, a gniew, który we mnie zapłonął, znów zwrócił moje myśli ku wspomnieniom o mojej młodszej siostrze.

– *On mnie kocha, Bre. Nie chce, żebym nawet patrzyła na jakichś innych kolesiów. Mówi, że umrze beze mnie – powiedziała Jayme, rozpaczliwie starając się, żebym zrozumiała.*

Wróciłam wcześniej do domu i nadziałam się na moją siostrę i jej chłopaka, Blake'a Fieldsa, kłócących się w jej pokoju. Przyparł ją do ściany, unieruchomił ręce i wrzeszczał jej w twarz. Kiedy Jayme się rozplakała, Blake zaczął krzyczeć jeszcze głośniejsze. Ten kretyn miał szczęście, że to ja, a nie mój ojciec weszłam do pokoju, kiedy doszło do rękoczynów.

Przerwałam to natychmiast i kazałam Blake'owi wyjść. Jak tylko na mnie spojrzał, zorientowałam się, że coś brał. Miał przekrwione oczy i szkliste spojrzenie. Ledwie zarejestrowałam, że spojrzenie mojej siostry było równie nieostre. Jak mogłam być tak ślepa?

Nie stawiał oporu. Nie zadał sobie trudu, by przed wyjściem choćby słowem odezwać się do Jayme.

Moja siostra była wściekła, kompletnie straciła panowanie nad sobą. Z furią kazała mi pilnować własnego nosa. A ja już zaczęłam bagatelizować scenę, która się przed chwilą rozegrała, i uznałam to za typowy nastoletni dramat. Coś, z czego z ulgą się wypisałam, kiedy dorosłam.

Lekceważąco machnęłam ręką na jej melodramatyczne wywody i przewróciłam oczami.

– *To śmieszne, Jay. Trzeba być kompletnie popieprzonym, żeby gadać takie bzdury – stwierdziłam, a mój głos aż ociekał protekcyjnością. Co Jayme mogła wiedzieć o miłości? Ledwie co skończyła piętnaście lat. Była w pierwszej klasie liceum. Nie miała pojęcia o prawdziwych związkach.*

Chłopak, z którym się spotykała, Blake, był studentem pierwszego roku i właśnie przeniósł się z innej uczelni. Nie zwróciłam na niego szczególnej uwagi. Tak bardzo chciał wydawać się wyjątkowy, że aż wtapiał się w tłum, więc de facto nie wyróżniał się niczym. Trochę zbyt ortodoksyjnie próbował się wpisać w subkulturę emo. Czarne, zaczesane na bok włosy spadały mu na oczy, dżinsy opinały nogi, oczy podkreślał kredką. Wyglądał tak, jakby dosłownie zszedł ze stron jakiegoś magazynu dla zbuntowanych nastolatków.

Widziałam ludzi, z którymi się zadawał. Nie ulegało wątpliwości, że była to zwykła banda ćpunów, ale wydawali się bardziej zainteresowani odgrywaniem roli twardych gości z marginesu społecznego niż faktycznym wcielaniem tej koncepcji w życie. Nie traktował ich poważnie.

Nikt nie traktował ich poważnie.

Jayme skrzyżowała ramiona na pączkujących piersiach i spiorunowała mnie wzrokiem. Biust dopiero zaczynał się jej zaznaczać. Od lat narzekała, że jest płaska jak deska i z przodu, i z tyłu.

Moja siostra późno dojrzewała i miała na tym punkcie prawdziwą obsesję. Brak krągłości wydawał się potężnie podkopywać jej poczucie pewności siebie. Ciągłe powtarzała, że jest paskudna i że żaden chłopak nigdy na nią nie spojrzy. Kiedy więc Blake okazał jej zainteresowanie, dała się zupełnie oszołomić jego komplementami i poświęcaną jej uwagą.

Nie widziała w nim człowieka, którym naprawdę był. Żalostnego damskiego boksera żerującego na dziewczynach takich jak Jayme. Nie widziała tego, co dostrzegaliśmy ja i rodzice: pięknej, młodej dziewczyny mającej przed sobą całe życie.

Widziała tylko to, co Blake chciał, żeby zobaczyła. Stała się dziewczyną, której pragnął. Gorliwie ruszyła w jego mroczne ślady.

– Kocham go, Aubrey. Nigdy się nie rozstaniemy! – powiedziała z pasją, jaką rodzi tylko brak doświadczenia.

Znów przewróciłam oczami, nie dając jej ani odrobiny wiary.

– Po co ten pośpiech, Jay? Dlaczego nie możesz po prostu poumawiać się z różnymi ludźmi i zobaczyć, kto ci odpowiada? Dlaczego musisz się tak angażować? – zapytałam, marząc o tym, żeby się wreszcie zamknęła i pozwoliła mi wrócić do lektury. Miałam górę pracy domowej, przez którą musiałam się przekopać, i im dłużej tam stałam, rozmawiając z nią o jej głupim chłopaku, tym mniej miałam czasu, żeby to wszystko skończyć.

– Tylko on mnie rozumie. Nie masz pojęcia, o czym mówię! – zawyła, wypadła z pokoju i trzasnęła drzwiami. Trzeba przyznać, że faktycznie nie pojmowałam jej ciągłego pędu do przyspieszania biegu spraw. Dlaczego musiała skakać na główkę, zanim w ogóle nauczyła się pływać? Ale Jayme zawsze spieszyło się do życia. I do miłości.

Do śmierci.

Nie dostrzegłam, w jaki sposób zaczęła się kompletnie zmieniać, aż w końcu zupełnie przestała ze mną rozmawiać. Stałyśmy się obcymi sobie osobami mieszkającymi w tym samym domu. Coraz bardziej odsuwała się od własnej rodziny i coraz mocniej wchodziła w świat Blake'a Fieldsa i jego przyjaciół.

A ja zauważyłam, że w ogóle gdzieś wyszła, dopiero wówczas, gdy było już za późno.

Kiedy Jayme Marie Duncan nie wróciła na noc do domu.

Kiedy znaleziono ją zadławioną własnymi wymiocinami w zaułku w pobliżu ulubionej knajpy miejscowych ćpunów. Przedawkowała narkotyki, których istnienia w jej życiu tak bardzo nie chciałam dopuścić do świadomości.

Wtedy zauważyłam. Kiedy nie miało to już żadnego znaczenia.

– Jutro też jest dzień – wyszeptałam do Renee, kiedy zaczęła zapadać w sen, wyczerpana płaczem.

Skinęła głową, oczy zaczęły się jej zamykać.

– Dzięki, Aubrey – wymamrotała przed zaśnięciem.

Leżałam obok niej jeszcze bardzo długo, gapiąc się w sufit i rozmyślając o wszystkim, co w moim życiu poszło nie tak, i o tym, jak teraz, kiedy już sądziłam, że mam wszystko poukładane, gotowa byłam znów to wszystko spieprzyć.

Zaczęłam się zastanawiać, co porabia Maxx. Czy finalizuje właśnie jakieś podejrzane, nikczemne interesy? A może leży bez przytomności w jakimś rynsztoku, kompletnie naćpany?

Pomyślałam o tym, jak sprzedawał narkotyki tym ludziom w klubie. Jaki wydawał się

zadowolony z siebie i wyniosły. Nienawidziłam tego człowieka.

Ale wtedy moje myśli wskoczyły na inne tory i przypomniałam sobie, jak Maxx opowiadał mi o swoim bracie i o tym, jak się obawia, że go zawiódł. Nie potrafiłam zignorować siły jego przyciągania i tego, jak pragnął, żebym mu pomogła. Jak łatwo byłoby spaść w tę przepaść razem z nim.

Przewróciłam się na bok i wbiłam spojrzenie w posiniaczoną twarz mojej przyjaciółki. W mojej głowie ona i Jayme zlały się ze sobą i splotły ze wspomnieniem Maxxa, kiedy rzuciłam mu w twarz, że widziałam go w Compulsion. Jak się przede mną otworzył, kiedy zdał sobie sprawę, że naprawdę go widziałam. Był zdruzgotany.

Zupełnie się rozpadł.

A ja, do cholery jasnej, chciałam pozbierać te kawałki i włożyć je sobie do kieszeni. Chciałam dopilnować, żeby się znów pozbierał.

Nigdy nie zdobyłabym się na to, by odwrócić się od Renee.

I nie potrafiłam odwrócić się od Maxxa.

Nie spałam przez większą część nocy, podczas której Renee na zmianę płakała i krzyczała w poduszkę. Jej telefon zaczął dzwonić około północy. Najpierw ignorowałyśmy uporczywe dzwonienie Devona, ale gdy telefon odezwał się po raz piąty, wyłączyłam go, a Renee nie protestowała. Jej czerwona, opuchnięta twarz zastygła w wyrazie ponurego przyzwolenia.

Kiedy następnego dnia rano wstałam na wykład, zajrzałam do Renee i z ulgą stwierdziłam, że ciągle jeszcze śpi. Przekonałam ją, żeby opuściła dzisiejsze zajęcia i odpoczęła. Bała się przypadkowego spotkania z Devonem i czuła zażenowanie na samą myśl o pokazaniu się ludziom z podbitym okiem.

Pocieszyłam ją, że siniaki da się zamaskować, a opuchlizna na wardze do rana zniknie. Sprawiała wrażenie uspokojonej, bo w końcu przestała się tym zadrećcać.

Po tym jak przyznała, że Devon stosuje wobec niej przemoc, zupełnie przestała o nim mówić. Stwierdziła, że nie jest jeszcze gotowa na rozpracowanie tego problemu. Wycofałam się niechętnie.

Wyszłam na zewnątrz, wzięłam głęboki wdech i poczułam, jak rześkie powietrze wypełnia mi płuca. Nieco ciaśniej otuliłam się płaszczem i ruszyłam ulicą. Dostrzegłam grupkę malarzy wychodzących zza kamienicy, w której mieszkałam.

Podśluchałam, jak kilku z nich burczy coś o „pieprzonych dzieciakach i ich głupim graffiti”. Zaintrygowana poszłam za nimi i stanęłam jak wryta. Odchyliłam głowę do tyłu i chłonełam wzrokiem gigantyczny rysunek ciągnący się wzdłuż tylnej ściany budynku, w którym mieszkałam.

– Co u diabła? – wymamrotałam do siebie.

To było niesamowite. Absolutnie oszałamiające. A jednocześnie głęboko niepokojące.

Bo ktoś wymalował przepiękne niebo, z którego padała... krew? Pod niebem stała dwójka ludzi, kobieta i mężczyzna, każde o jasnobłond włosach, trzymali się za ręce i szli przed siebie prosto we wzburzone morze czymś, co wyglądało jak makabryczna wersja drogi wybrukowanej żółtą kostką, a z mieniących się tysiącem barw chmur nad ich głowami lały się potoki krwi.

Ziemia była jednym wielkim kłębowiskiem splecionych ze sobą iksów, ujawniając tożsamość artysty. Powinnam była wiedzieć. Miał styl jedyny w swoim rodzaju.

Dlaczego jednak tajemniczy twórca street artu wymalował na tylnej ścianie mojej kamienicy właśnie to? Bo to znów zdecydowanie nie miało nic wspólnego z Compulsion. Ten rysunek miał komunikować coś zupełnie innego.

Malarze rozstawiali już drabiny i otwierali puszki z białą farbą. Przygotowywali się do tego, by zamalować cały rysunek. Na myśl o tym, że za chwilę to zniszczą, wpadłam w panikę.

– Poczekajcie! – zawołałam, kiedy łysiejący, brzuchaty mężczyzna w średnim wieku machnął pędzlem ponad błogo uszczęśliwioną parą na rysunku. Poirytowany obejrzał się na mnie przez ramię. – Czy musicie to zamalowywać? – zapytałam, uzmysławiając sobie, że

moje pytanie jest śmieszne.

– Słuchaj, panienko, właściciel budynku wynajął nas do tego, żeby zamalować to gówno. To nie my tu decydujemy. Więc może pozwoliłabyś nam wrócić do pracy? – powiedział drugi robotnik, po czym zanurzył pędzel w puszcze, zbliżył go do ściany i zaczął pokrywać żywe kolory bielą.

Nic już nie powiedziałam. Cofnęłam się i obserwowałam, jak malarze powoli unicestwiają piękno, którego stworzeniu X musiał poświęcić mnóstwo czasu. Czułam się tak, jakbym była świadkiem morderstwa. Zniszczenie czegoś tak pięknego, jakby nigdy nie istniało, wydawało się zbrodnią.

Czując dziwny smutek, zmusiłam się, aby odejść, niezdolna obserwować choćby chwilę dłużej, jak mężczyźni bezdusznie zamalowują rysunek.

Normalnie w piątkowy poranek spotkałabym się z Brooksem na kawie przed rozpoczęciem pierwszego wykładu, ale że nie odpowiedział na żaden z moich rozlicznych esemesów, udałam się samotnie do kawiarni znajdującej się tuż poza terenem kampusu.

Zazwyczaj nie przeszkadzała mi samotność, ale nie tego ranka. Ze smutkiem myślałam o tym, co popsulo się w moich relacjach z Brooksem, który najwyraźniej umyślnie trzymał się ode mnie z daleka. Wiedziałam, że w końcu będę musiała się z tym zmierzyć, ale mając tyle na głowie, z czysto egoistycznych pobudek nie paliłam się, by akurat teraz tracić energię na wyjaśnianie sytuacji.

Zamówiłam karmelowe latte i muffinkę i usiadłam po oknem, przy tym samym stoliku co zwykle. Wyciągnęłam notatki, z których przygotowywałam się do testu, i pociągnęłam łyżek gorącego napoju. Przez chwilę obserwowałam przechodzących.

I wtedy właśnie dostrzegłam znajomy zarys szerokich barków i głowę z naciągniętą szarą czapczką, której posiadacz wszedł do kawiarni.

Przez chwilę zastanawiałam się gorączkowo, czy nie zapaść się w fotel i nie udawać, że mnie tu wcale nie ma, ale zmieniłam zdanie. Dlaczego miałabym się ukrywać? Nic przecież złego w tym, że mnie zobaczy. Nawet jeśli na jego widok cała się czerwieniłam na wspomnienie naszego ostatniego spotkania.

Jakby wyczuwając moją obecność, Maxx odszukał mnie spojrzeniem. Uniosłam dłoń w niepewnym geście pozdrowienia i poruszyłam palcami.

Uśmiechnął się tym szczególnym uśmiechem, który rozjaśniał mu całą twarz.

„On tutaj podejdzie” – pomyślałam, czekając jak na szpilkach, żeby wziął swoją kawę i przyszedł do mojego stolika.

– Czy to miejsce jest wolne? – zapytał, a oczy mu zaigrały na ten zrozumiały tylko dla nas żarcik.

Zupełnie jednak inaczej niż ostatnim razem, gdy zadał to pytanie w bibliotece, ze znacznie mniejszym wahaniem wskazałam mu krzesło. Nie potrafiłam nic poradzić na to, że nadal miałam wątpliwości, czy powinniśmy być widywani razem. Biorąc pod uwagę, jak mrowiły mnie wargi i jak mi serce waliło, moja ostrożność wydawała się zrozumiała.

Maxx ściągnął czapkę i rzucił ją na stół. Podniósł swój kubek i zdmuchnął unoszącą się nad nim parę, po czym wziął łyk. Siedziałam tam i gapiłam się na niego, niezdolna wykrztusić słowo.

– Tak przy okazji, dzięki za pozostawienie mnie na pastwę Kristie – zażartował, biorąc kolejny łyk.

Zaśmiałam się nerwowo, drobiąc muffinkę na kawałeczki.

– No tak, przepraszam – wymamrotałam.

– Przepraszasz? Zostawię cię na godzinę, żebyś sobie pogadała o „umacnianiu swojej sieci wsparcia”, i zobaczymy, jak się będziesz czuła.

Był odprężony, drażnił się ze mną z łobuzerską iskierką w oczach.

Wyglądał na szczęśliwego.

Przez chwilę byłam zaskoczona. Rzadko miałam okazję widzieć go takim. Przyzwyczaiałam się do znękaney rozpaczey ukrytej pod pozorami nadmiernej pewności siebie.

Ale dziś Maxx był zrelaksowany. Jakby zachowując się zwyczajnie, próbował sprawić, żebym zapomniała, jak rozpadł się na moich oczach. Jak pokazał mi siebie od tej strony, która była przerażona i bezbronna.

Tym razem zaśmiałam się całkiem szczerze.

– To rzeczywiście słabo. Ona faktycznie ma gadane – zgodziłam się.

– Nie mów? – zadrwił Maxx, sięgając przez stół i kradnąc mi spory kawałek pokruszonej muffinki.

– Dlaczego ty mi ciągle podkradasz jedzenie? – zapytałam, kiedy przeżuwał.

– Twoje lepiej smakuje.

No i proszę. Seksualna aluzja, na którą czekałam. Ale nie zirytowała mnie tak, jak stałoby się jeszcze niedawno, ale rozpałiła.

Koło naszego stolika przeszły dwie dziewczyny i nie uszło mojej uwagi, jak spojrzały na Maxxa i jakie zrobiły do niego słodkie oczka. On jednak nie odrywał wzroku od mojej twarzy.

Zapadłam się pod intensywnością jego skupionego spojrzenia.

– No więc, w sprawie wtorku... – zaczął.

Uniosłam dłoń, przerywając mu.

– Naprawdę musimy o tym mówić? – zapytałam, co najmniej zażenowana myślą o prowadzeniu rozmowy na temat naszego spotkania w samym środku kawiarni, gdzie każdy mógł nas podsłuchać.

Twarz Maxxa spochmurniała, po czym się rozpogodziła.

– Zastanawiałem się po prostu, kiedy możemy to zrobić jeszcze raz? – zapytał, a ja podskoczyłam pod dotykiem jego dłoni, która pod stołem spoczęła na moim udzie.

– Um... – zająknęłam się.

Jego palce zataczały leniwe koła na moich dzinsach, centymetr po centymetrze pełząc w górę. Zakryłam jego rękę dłonią, przyszpilając ją do mojego uda.

Maxx zachichotał i cofnął dłoń.

– W każdym razie jestem chętny, powiedz tylko słowo – rzucił lekko, jakby mówił o wycieczce rowerowej.

Odniosłam wrażenie, że mój brak reakcji go zranił. A Maxx, jak to Maxx, potrafił pokryć to nonszalanckim flirtem.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, podniósł się i naciągnął czapkę na głowę. Lekko dotknął mojego ramienia, uśmiechnął się i wyszedł. Cała wymiana zdań trwała może pięć minut. Zostałam w kawiarni, zdezorientowana i irytująco podniecona.

Ten chłopak źle mi robił na serce.

Chciałam go znów zobaczyć. I nie zignorowałam tej chęci, chociaż wiedziałam, że powinnam. Kim była dziewczyna do tego stopnia niepotrafiąca kontrolować swoich impulsów?

Zajechałam na parking opuszczonego domu towarowego obranego tej nocy na siedzibę Compulsion. Moje nogi miały ochotę pobiec w kierunku dudniącej muzyki, ale udało mi się je powstrzymać.

Teraz, kiedy tu dotarłam, nie miałam całkowitej pewności, co właściwie sobie myślałam. Maxx Demelo pasujący do tego miejsca niekoniecznie był mężczyzną pasującym do mnie. Bałam się go. Przerazał mnie. I fascynował.

Wcisnęłam telefon do torebki i owinęłam sobie jej pasek wokół ramienia, przyciskając opiekuńczo do ciała. Serce waliło mi w rytm basów rozrywających nocne powietrze.

Ruszyłam w stronę kolejki ludzi jak za każdym razem czekających na zewnątrz, pragnących dostać swoją szansę i pielęgnujących nadzieję, że zostaną uznani za wystarczająco dobrych, by im ją dać.

Podeszłam do przodu i patrzyłam, jak kolejne osoby odchodzą z kwitkiem. Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego niektórych wpuszcza się do środka, a innym każe się spadać. Miałam wrażenie, że nie ma żadnej reguły. Randy, budzący lęk cerber, wydawał się czerpać przyjemność z tej odrobiny władzy, którą posiadał jako bramkarz.

Jednak od czasu tej pierwszej nocy, kiedy Brooksowi i mnie odmówiono wstępu, nie miałam już podobnych problemów. Wiedziałam, że nigdy nie będę wyglądać jak jedna z nich. Nadal odstawałam od ludzi, którzy tu przychodzili, ale z jakiegoś powodu miałam coś w rodzaju nieświadomionego magicznego glejtu.

I znów stanęłam przed Randym i jakimś drugim bramkarzem. Obrzucił mnie pobieżnym spojrzeniem i wyciągnął rękę po pieniądze, które położyłam mu na otwartej dłoni. Chwycił mnie za nadgarstek i brutalnie go odwrócił, przybijając mi pieczętkę na skórze.

W chwili, w której ruszyłam do drzwi, zauważyłam grupkę, która została właśnie odesłana do domu. Dziewczyny, odstawione i wypindrzone znacznie bardziej niż ja, dostały szału.

Jedna z nich, ubrana w sukienkę wyciętą tak głęboko, że jej cyckom groziło wypadnięcie na zewnątrz, wskazała na mnie palcem i wydeła wargi.

– Dlaczego ta suka może wejść, a my nie? Przecież to kompletna sierota!

Zaczerwieniłam się z zażenowania, ściągawszy na siebie niechcianą uwagę stojących w kolejce. Wszyscy wydawali się mnie oceniać. I najwyraźniej wypadłam kiepsko. Och, bardzo przepraszam, jeśli moja reakcja nie przypadła do gustu wszystkim zgromadzonym tu gotom i metalom.

Randy spiorunował wzrokiem dziewczynę i jej koleżanki.

– Zjeżdżajcie stąd. Niektórzy tu pasują, a inni nie pasują. Wy nie pasujecie! – ryknął.

Znałam to jego spojrzenie. Takim samym spojrzeniem zostaliśmy obrzuceni ja i Brooks tej pierwszej nocy. Zadrżałam, czując niemal współczucie dla tych dziewczyn.

Cycata dziewczyna zagotowała się z oburzenia, wypięła swój najwyraźniej poprawiony chirurgicznie biust dla lepszego efektu, po czym odmaszerowała, ciągnąc za sobą całą świtę.

Drugi bramkarz, którego do tej pory nawet nie zauważyłam, obrócił się, żeby na mnie

spojrzeć. Ponieważ ociągałam się z wejściem do środka, spojrział znacząco na drzwi.

– Zabawa jest tam, skarbie. Chociaż jestem pewien, że i tu znalazłbym ci coś do roboty, gdybyś była zainteresowana. – Uśmiechnął się szeroko i oblizał wargi. Był słodki na swój brutalny sposób ze swoją ogoloną na łyso czachą i kolczykami we wszystkich możliwych miejscach. Nie miałam cienia wątpliwości, że nie sprosttałabym jego wyobrażeniu o zabawie.

Pospiesznie weszłam do środka, ścigana śmiechem bramkarza. Klub wyglądał jak zwykle. Był ciemny i opresyjny, ale tętnił energią, której nie sposób było opisać.

Miałam ochotę tańczyć. Miałam ochotę zaszaleć. Po to właśnie tutaj przychodzono. Jak łatwo było zapomnieć, kim i dlaczego tutaj byłam. Ten czar nigdy nie przestał na mnie działać. Ale chciałam znaleźć Maxxa. Musiałam porozmawiać z nim tutaj, na jego terenie.

Zaczęłam przepychać się przez tłum, szukając wzrokiem pośród okrytych cieniem twarzy tej, którą potrafiłam rozpoznać. Zadanie na miarę szukania igły w stogu siana. Przypomniałam sobie, jak trudno było mi znaleźć Renee, co udało mi się w końcu dopiero z pomocą Maxxa.

Może jeśli stanę przy barze, on sam mnie znajdzie? Wcześniej zawsze mu się udawało. Zamówiłam sobie piwo i oparłam się o ścianę, przeczesując wzrokiem tłum. Denerwowałam się. W gruncie rzeczy byłam kłębkim nerwów. Nie przemyślałam do końca tej akcji poszukiwawczo-ratunkowej.

Co miałam nadzieję osiągnąć, odszukując Maxxa w klubie? Kierowałam się jakimiś nierealistycznymi, oderwanymi od życia wyobrażeniami. Zaczynałam śnić na jawie, imaginując sobie, że jestem dziewczyną, dla której Maxx się zmieni.

Ale to jego obarczałam winą za to, że tak się czuję. Bo to on wzbudził we mnie przekonanie, że jestem tą właśnie dziewczyną. I to on liczył na to, że wyciągnę go z chaosu, w którym się znalazł.

Nie zbliżyłam się ani na krok do zrozumienia, z jakimi demonami się mierzy. Z czym się zмага na co dzień. Miałam dostęp ledwie do przebłysków umęczonej duszy, która utknęła w martwym punkcie.

A może to mój nadmiernie skłonny do dramatyzowania umysł szukał osoby, która potrzebowała, bym ją ocaliła?

Kto to mógł, do cholery, wiedzieć? Maxx potężnie namieszał mi w głowie.

Nie siląc się nawet na zachowanie pozorów, przeczesywałam salę wzrokiem, próbując go odszukać. Nieopatrznie ściągnęłam na siebie uwagę kilku zupełnie nieapetycznych indywiduów, ale wyprostowałam się i szybko odwróciłam wzrok, mając nadzieję, że ta oczywista odmowa wystarczy, by ich zniechęcić.

I wtedy dostrzegłam osobę, której zdecydowanie nie chciałam tu znaleźć.

Na parkiecie podrygiwał Brooks w towarzystwie dziewczyny, którą mgliście kojarzyłam. Był naprawdę kiepskim tancerzem. Z taką choreografią w ogóle nie powinien występować publicznie, ale w tym miejscu styl i technika nie miały żadnego znaczenia. Szczęśliwie dla niego, bo wyglądał, jakby cierpiał na płasawicę.

Dziewczyna, z którą przyszedł, była w zupełnie bezpretensjonalny sposób urocza. Miała blond włosy w odcieniu bardzo podobnym do moich i nawet podobną fryzurę. Najwyraźniej poszukała w sieci informacji na temat charakteru klubu i zdecydowała się przystosować do swoich potrzeb najbardziej skrajną wersję ubioru, jaką udało jej się znaleźć. Od stóp do

głów ubrana była w czarną skórę. W zębach trzymała migoczący, neonowy patyczek. Niezdarnie i chaotycznie rzucała głową. Pasowała tutaj mniej więcej tak jak ja.

Skuliłam się za jakąś symulującą stosunek parą, mając nadzieję ukryć się w ten sposób przed wzrokiem Brooksa. Spotkanie z nim było absolutnie ostatnią rzeczą, jakiej w tym momencie potrzebowałam.

Byłam tak zajęta pilnowaniem, żeby Brooks i Kobieta Kot mnie nie dostrzegli, że nie zorientowałam się, kto za mną stoi, dopóki nie poczułam obejmującej mnie w talii dłoni.

– Co tutaj robisz? – zapytał Maxx, owiewając oddechem mój policzek.

Serce załomotało mi w piersi i ogarnęła mnie nagła chęć wtulenia się w niego. Bijący od niego żar palił mi plecy. Każdy nerw, każda synapsa zadrzały wyczekująco.

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć, i natychmiast dotarło do mnie, jakim fatalnym pomysłem było wybranie się do Compulsion.

Maxx był naćpany do nieprzytomności. Nie widziałam jego oczu, skrytych pod daszkiem czapki, ale chwiał się na nogach, a usta miał rozciągnięte w przesadnym uśmiechu, który zdecydowanie nie mógł uchodzić za normalny.

– Czy Czerwony Kapturek szuka swojego wilka? – Uśmiechnął się pogardliwie, chociaż mowę miał niewyraźną i bełkotliwą. Barman przyniósł mu drinka, chociaż nie widziałam, żeby Maxx go zamawiał. Podniósł teraz swój koktajl i pociągnął potężny haust.

Pokręciłam głową, wściekła na siebie, że okazałam się tak naiwna. I wkurzona na niego jak diabli, że doprowadził się do takiego stanu. Nie wyglądał jak człowiek szukający ratunku. Wyglądał jak ktoś czerpiący dziką przyjemność ze swojej podróży do piekła.

Palce Maxxa wpiły się w odsłoniętą skórę przy brzegu mojej bluzki. Poczułam, jak przyszcypał mnie paznokciami, zaciskając palce. Nachylił się do mnie tak blisko, że nasze oddechy stopiły się ze sobą.

– Pożrę cię, dziewczynko. Spodobałoby ci się to?

Głos miał szorstki i ochryply jak od krzyku. Zachowywał się dziwnie. Nie spotkałam jeszcze tego konkretnego wcielenia osobowości Maxxa: naćpanego egomaniaka. I dość szybko zdołałam stwierdzić, że ani odrobinę mi się ono nie podoba.

Wyrwałam się z jego uścisku i cofnęłam o krok, wpadając na stojącą za mną dziewczynę.

– Uważaj! – krzyknęła, wbijając mi łokieć w plecy. Zatoczyłam się w przód i Maxx mnie złapał. Zderzyliśmy się piersiami i przez moment poczułam, jak Maxx się rozluźnia. Objął mnie i przyciągnął do siebie. Mijały kolejne sekundy, a Maxx nie wypuszczał mnie z objęć.

Pochylił się, by przytulić policzek do moich włosów, i poczułam, jak coś z niego uchodzi. Ramiona mu opadły, kolana się pod nim ugięły, ale ręce tylko zacieśniły uścisk.

– Aubrey... – wymamrotał mi do ucha i poczułam, jak zimny koniuszek jego nosa osuwa się po mojej szyi.

Oparł się o mnie tak mocno, że aż zachwiałam się pod jego ciężarem.

– Maxx! – wrzasnęłam mu do ucha, próbując się odsunąć. Zatoczył się na ścianę i oparł o nią ciężko. Wyciągnęłam rękę i strąciłam mu czapkę z głowy. Źrenice miał tak rozszerzone, że jego oczy sprawiały wrażenie czarnych. Nawet w tym koszmarnym świetle widziałam, że dzieje się z nim coś bardzo, bardzo niedobrego. – Co brałeś? – podniosłam głos, przekrzykując dudniące basy. Maxx przekręcił głowę z boku na bok, ale nie odpowiedział.

Chwyliłam go za koszulkę i potrząsnęłam nim.

– Maxx, do jasnej cholery, co ty brałeś? – wrzasnęłam mu w twarz.

Niezgrabnie odepchnąłem moje ręce.

– Odepnij się, Aubrey. Idź sobie – warknął. Po kilku minutach oderwał się od ściany i potykając się, zaczął przeciskać się w tłumie. Ruszyłam za nim, potrącając i rozsuwając tańczących. Ludzie próbowali go zatrzymać, ale odtrącał ich w sposób zdecydowanie mało uprzejmy.

Byłam przerażona. Ruchy Maxxa były ociężałe i niepewne. Sprawiał wrażenie, jakby miał trudności z utrzymaniem się w pionie. Żadną miarą nie mogłam go spuścić z oka.

Ruszył na tyły domu towarowego i dotarł już prawie do wyjścia, kiedy złapał go jakiś koleś, równie przerażający jak stojący na bramce Randy. Miał zielonego irokeza i tatuaż pod prawym okiem. Był wielki i umięśniony, wyglądał, jakby na śniadanie pożerał małe kotki. I był najwyraźniej maksymalnie wkurwiony. Na Maxxa.

O jasna cholera. Co tu się, do diabła, dzieje?

Pan Irokez wypchnął Maxxa przez drzwi na tyłach sali. Pobiegnęłam za nim, nie myśląc o niczym poza tym, że jakiś mały sympatyczny świr właśnie go zabrał. Wszelkie myśli o własnym bezpieczeństwie kompletnie uleciały mi z głowy.

Otworzyłam drzwi, które okazały się prowadzić na słabo oświetlony korytarz. Koło drzwi, które właśnie zaczynały się zamykać, dostrzegłam napis: „Wejście tylko dla personelu”.

Rzuciłam się biegiem, żeby je złapać, zanim się zamkną. Pchnęłam je ramieniem i wślizgnęłam się do środka. Słyszałam krzyki. Kierując się odgłosami, doszłam do wyjścia ewakuacyjnego. Muzyka była tak ogłuszająca, że nie słyszałam krzyczanych słów. Ktokolwiek wrzeszczał, był w fatalnym nastroju. Zgoła morderczym.

Uchyliłam drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Było tak ciemno, że ledwie co mogłam dostrzec, ale gdy zza rogu budynku wyjechał samochód, zobaczyłam w jego światłach scenę, którą później wielokrotnie próbowałam wymazać z pamięci.

Maxx leżał na ziemi, a dwóch kolesiów, włączając w to przypuszczalnego seryjnego mordercę z irokezem na głowie, prało go bez litości. Wcisnęłam sobie pięść do ust, by stłumić narastający mi w gardle krzyk.

Maxx się nie bronił. Nie próbował się opierać. Po prostu tam leżał, a oni raz za razem wymierzali mu kolejne kopniaki. Irokez poderwał Maxxa z ziemi i wrzasnął mu coś prosto w twarz. Przez tę muzykę nic kompletnie nie słyszałam.

Irokez wymierzył Maxxowi cios w szczękę, zwalając go z nóg. Maxx stęknął w piach i mimo ciemności dostrzegłam rozlewającą się kałużę krwi. Zrobiło mi się niedobrze. Miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Nie wiedziałam, co robić. Byłam przerażona.

Ale nie mogłam tak po prostu stać i czekać, aż zatłuką Maxxa na śmierć. Otworzyłam drzwi na oścież, silniej, niż zamierzałam. Odgłos skrzydła uderzającego o ścianę rozległ się w ciemności jak wystrzał.

Dwóch gości katujących Maxxa odwróciło się do mnie jednocześnie i krew zakrzepła mi w żyłach. To nie były wymocзки. Jasna cholera, oni mnie zabiją. Byłam świadkiem napadu, będą musieli się mnie pozbyć!

Spojrzałam na leżącego na ziemi Maxxa. Nie ruszał się i widziałam, że ma zamknięte oczy. Musiałam sprawdzić, czy wciąż oddycha.

Ostrożnie zeszałam po metalowych schodach prowadzących od wyjścia ewakuacyjnego na zewnątrz i uniosłam rękę.

– Chcę tylko sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku – powiedziałam łagodnie. Mówiłam wolno i wyraźnie, starałam się poruszać pewnie.

Facet stojący obok gościa z irokezem uniósł głowę i obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy. Był starszy, miał może czterdzieści kilka lat. Miał gęste ciemne włosy, które musiały być farbowane. Były zbyt gęste i zbyt czarne, by mogły być prawdziwe. Nie miał w sobie nic atrakcyjnego. Tak naprawdę nigdy nie widziałam nikogo, kto budziłby taki lęk.

– Znasz go? – zapytał, machnąwszy głową w stronę leżącego twarzą w dół Maxxa.

Głos miał schrypnięty jak ktoś, kto od dwunastego roku życia wypala paczkę marlboro dziennie. Takim głosem mogłyby mówić potwory z nocnych koszmarów. Dlaczego, do cholery, uparł się zrobić Maxxowi krzywdę?

W jakie ciemne interesy wpakował się Maxx?

– Jest moim przyjacielem – powiedziałam, starając się wyraźnie wymawiać słowa.

Jaką ja byłam kretynką... Dlaczego nie wręczyłam mu po prostu swojego życia opakowanego w śliczne pudełeczko, żeby mógł je sobie podeptać do woli? Oczyma duszy widziałam, jak rozmyśla, w jaki by tu sposób najlepiej pozbyć się mojego ciała. Nie byłam specjalnie masywna, więc zapewne nie okazałoby się to szczególnie trudne.

Przerażający miłośnik marlboro prychnął.

– Powinnaś staranniej wybierać sobie przyjaciół, skarbie – zaśmiał się, jakby Maxx nie wykrwawiał się właśnie u jego stóp.

– Nic mu nie będzie? – zapytałam mimo woli.

Stałam, nie chcąc zbliżyć się zanadto do żadnego z mężczyzn.

Irokez wzruszył ramionami.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? – wymamrotał, zapalając papierosa i opierając się o samochód.

Miłośnik marlboro wsadził ręce do kieszeni i zlustrował mnie od góry do dołu. Poczułam się zgwałcona jego spojrzeniem. Jakby penetrował mnie oczami. Było to skrajnie nieprzyjemne doświadczenie.

– Jeśli jesteś jego przyjaciółką, to zabieraj go sobie stąd. I powiedz temu gówniarzowi, żeby sobie uporządkował priorytety. To było ostatnie ostrzeżenie.

Wsiadł do samochodu razem z Irokezem, wycofał na ulicę i odjechał.

W zaległych nagle atramentowych ciemnościach ledwie mogłam dostrzec Maxxa, który nadal się nie poruszał. Opadłam na kolana obok jego ciała i potrząsnęłam nim lekko.

– Maxx! Nic ci nie jest? – krzyknęłam, jakby był głuchy. Maxx jęknął i przekręcił głowę. Potrząsnęłam nim jeszcze raz. – Maxx! Oprzytomniej!

Zaczynałam lekko histeryzować. Nie tak wyobrażałam sobie ten wieczór.

Scenariusz, który sobie wykoncypowałam, zakładał, że znajduję Maxxa i przekonuję go, żeby wyszedł razem ze mną. Wracamy do mojego mieszkania, a tam następuje cudowne zjednoczenie serc. Maxx załamuje się i wyznaje mi wszystkie swoje głęboko skrywane, mroczne sekrety. Mówi mi, że jestem jedyną osobą, która może mu pomóc, a ja przysięgam, że zawsze będę stać u jego boku. A potem uprawiamy najfantastyczniejszy seks w życiu.

Chyba kompletnie mi odbiło.

Maxx w końcu odzyskał przytomność. Coś powiedział, ale nie rozumiałam niewyraźnych słów. Po chwili udało mi się go trochę otrzeźwić. Był nie tylko naćpany, lecz także

poważnie ranny, samo chodzenie wymagało od niego ogromnego wysiłku. Zastanawiałam się, czy nie czeka nas wycieczka na oddział ratunkowy pobliskiego szpitala.

Zarzuciłam sobie jego rękę na szyję i podparłam go, kiedy próbował wstać.

– Nie mogę cię nieść. Musisz przejść do mojego samochodu – powiedziałam zdecydowanie.

– Dobra. – Tylko tyle od niego usłyszałam. Nie byłam pewna, czy zdaje sobie sprawę, kim jestem i co się wydarzyło, ledwie kojarzył, co się wokół niego działo. Nie próbowałam wracać przez klub. Zamiast tego powoli ruszyliśmy wokół starego domu towarowego na znajdujący się przed nim parking.

Miałam wrażenie, że dotarcie tam zajęło nam godzinę. Często musiałam się zatrzymywać, żeby odpocząć. Z Maxxa był kawał chłopca i do tego niespecjalnie mi pomagał. Raz za razem, gdy tylko zaczynało mi się wydawać, że zaraz odpłynie, musiałam na niego wrzeszczeć.

Kiedy już znaleźliśmy się w zasięgu ulicznych latarni, mogłam mu się wreszcie przyjrzeć. Połowę twarzy miał posiniaczoną i opuchniętą. Lewo oko było całkowicie zamknięte, z rozciętej górnej wargi leciała krew. Biały T-shirt miał ubrudzony ziemią i krwią. Wyglądał potwornie.

– Maxx! – krzyknął jakiś głos. Nie zatrzymałam się z obawy, że kimkolwiek jest ten, który krzyczy, będzie chciał dokończyć to, co zaczęło tamtych dwóch siepaczy. – Zatrzymaj się! – krzyknął jeszcze raz.

Usłyszałam zbliżające się szybko kroki, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam jednego z bramkarzy. Nie Anioła Piekieł Randy’ego, tylko tego drugiego. Tego, który ze mną flirtował, kiedy wchodziłam do klubu.

– Kurwa, co mu się stało? – zapytał, natychmiast biorąc Maxxa pod drugie ramię, żeby mi pomóc.

– Dzięki – powiedziałam z ulgą.

Teraz, kiedy miałam pomocnika, poruszaliśmy się znacznie szybciej. Bramkarz nie był specjalnie duży, ale naprawdę silny. Z łatwością radził sobie z Maxxem.

– Pobito go – wyjaśniłam, niepewna, dlaczego w ogóle zdradzam temu koleśowi cokolwiek, ale przecież pomagał mi i póki co wydawało się to zupełnie wystarczającym uzasadnieniem.

– Gash... – powiedział bramkarz pod nosem.

– Co? – zapytałam i potknęłam się na kamieniu. Maxx jęknął, kiedy na niego wpadłam.

– Trzymam go, możesz go już puścić – powiedział bramkarz. Posłuchałam, z ulgą uwalniając się od ciężaru ramienia Maxxa. Wyglądał koszmarnie. Próbował otworzyć oczy, ale bez sukcesu. Lewe było tak opuchnięte, że nie dało się go otworzyć, a prawe patrzyło szklanym, nieobecny wzrokiem.

– Możesz go zawieźć do domu? – zapytał mnie bramkarz.

Skinęłam głową, obejmując się ciasno ramionami. Drżałam niepowstrzymanie, a serce waliło mi jak młotem. Czułam, że za chwilę się rozkleję.

– Gdzie zaparkowałaś? – zapytał mnie bramkarz, wyglądając na sfrustrowanego i niezłe zdyszanego od dźwigania Maxxa, który drobny nie był.

Wskazałam w kierunku odległego rogu parkingu. Bramkarz poprawił sobie Maxxa na ramieniu i niecierpliwie pokręcił głową.

– No to prowadź. Nasz kolega lekki nie jest – poskarżył się przez zaciśnięte zęby.

– Jak masz na imię? – zapytałam go, zmęczona tytułowaniem go w myślach mianem „bramkarza”.

– Marco – odpowiedział zwięźle.

– A ja Aubrey – powiedziałam, chociaż wcale mnie o to nie pytał. Miałam poczucie, że wzięwszy pod uwagę okoliczności, powinniśmy być ze sobą po imieniu.

Marco nie odpowiedział i odniosłam wrażenie, że w gruncie rzeczy miał w nosie, kim jestem.

Pospiesznie ruszyłam przed nim do samochodu i otworzyłam drzwi po stronie pasażera. Marco wciągnął Maxxa na siedzenie i oparł mu głowę na zagłówek. Maxx na miarę swoich możliwości uchylił powieki. Nie byłam pewna, czy nas rozpoznaje. Wymamrotał coś niezrozumiale pod nosem i znów zamknął oczy.

Marco zmełł w ustach przekleństwo, po czym zaczął macać Maxxa po kieszeniach.

– Co robisz? – zapytałam.

Nie podobała mi się jego obcesowość. Maxx tracił resztki przytomności. Marco zignorował mnie i wyciągnął plastikową torebkę z kieszeni dżinsów Maxxa.

Uniósł ją pod światło, zacisnął wargi i zmrużył oczy. Była pusta. Upuścił torebkę na podłogę mojego samochodu, a ja z trudem powstrzymałam się od tego, by nie zażądać, żeby ją podniósł i wyrzucił do odpowiedniego kosza. Moje natręctwa nie odpuszczały nawet w tak idiotycznej sytuacji, w której się znalazłam. Śmieć leżący w nieodpowiednim miejscu pozostawał śmieciem.

Marco wyciągnął z tej samej kieszeni zwitek banknotów i zaczął je liczyć.

– Momencik! Czy to nie należy do Maxxa? – zapytałam z niedowierzaniem.

Czy Marco zamierzał na moich oczach obrabować Maxxa? W jakim ja popieprzonym świecie się znalazłam?

Marco uniósł pogardliwie wargę i nawet na mnie nie spojrzał, mówiąc:

– Pilnuj swojego nosa, ślicznotko.

Skończył liczyć pieniądze i prychnął z obrzydzeniem, po czym wsunął je z powrotem do kieszeni Maxxa. Chwycił go pod brodę, po czym wymierzył mu policzek. Pisnęłam żałościwie z nerwów.

– Przestań! On jest przecież ranny! – zaprotestowałam, z przerażenia zdobywając się na sprzeciw, kiedy zapewne powinnam siedzieć cicho.

Marco zignorował mnie i jeszcze raz spoliczkował Maxxa. Ten spróbował otworzyć oczy i niezdarnie odepchnąć rękę Marca od swojej twarzy.

– Zostaw mnie, do cholery, w spokoju – wybełkotał, przynajmniej tak mi się wydawało. Słowa zlały się ze sobą i nie mogłam mieć pewności. Ale biorąc pod uwagę, że jednocześnie próbował wyzwolić się z uścisku Marca, mogłam założyć, że takie było ogólne przesłanie.

Marco potrząsnął Maxxem zdecydowanie.

– Gdzie reszta pieniędzy? – warknął.

Maxx wcisnął się w oparcie fotela i bezwładnie pokręcił głową.

– Nie mam więcej, stary – oświadczył.

Marco puścił brodę Maxxa i spojrzał na niego z odrazą.

– Pieprzony ćpun – wycedził i splunął na ziemię obok mojego samochodu.

Powoli wsunęłam się na siedzenie kierowcy, nie wykonując żadnych gwałtownych

ruchów. Maxx oddychał płytko i wydawało się, że resztką sił stara się nie stracić przytomności. Jęknął i uniósł dłoń do posiniaczonej twarzy.

– Auć – powiedział cicho.

– Czy powinnam go zabrać do szpitala? – zapytałam tępo.

Nie miałam pojęcia, co właściwie, do cholery, powinnam zrobić.

Marco znów wydał wargę.

– Nie trudź się. Przeżyje. Chociaż może tego pożałować, jeśli Gash postanowi skończyć, co zaczął.

Nie miałam pojęcia, kim jest Gash. Nie miałam pojęcia, o czym mówił Marco. Chciałam po prostu wydostać stamtąd Maxxa. Poczułam pierwsze zwiastuny kiełkującej paniki.

Marco trzasnął drzwiami od strony pasażera, a ja opuściłam szybę.

– Po prostu zawieź go do domu. I powiedz mu, że wpadnę za kilka dni i lepiej, żeby miał dla mnie naprawdę przekonujące wyjaśnienia – powiedział Marco, a jego słowa były oczywistą groźbą.

Nie skomentowałam ich. Nie miałam pojęcia, co się tutaj dzieje, ale w tym momencie nie to było najważniejsze. Najważniejsze było wywiezienie stąd Maxxa w jednym kawałku.

– Nawet nie wiem, gdzie on mieszka – powiedziałam.

– Ma mieszkanie nad Quikki Martem w centrum. A teraz zabieraj go stąd. Już! – warknęła Marco, aż podskoczyłam.

– Dobra, dobra, wyluzuj – wymamrotałam na tyle głośno, by Marco mnie usłyszał.

Uniósł brwi i usta mu drgnęły. Gdybym była trochę głupsza, to pomyślałabym, że uznał to za zabawne. Zanim odszedł, walnął w dach mojego samochodu.

– Aubrey! Wszystko w porządku?

O Chryste, niech mnie ktoś zabije!

Brooks stał razem z Kobieta Kotem przy drzwiach po stronie kierowcy. Zerknął na mnie i zmarszczył brwi. Przemknął wzrokiem po twarzy Maxxa, którego jasność umysłu była bardzo wątpliwa.

Brooks zacisnął wargi i zmrużył oczy.

– Co tutaj robisz? Z nim? – wypalił, najwyraźniej niezadowolony ze znalezienia mnie w towarzystwie Maxxa.

Pechowo dla mojego przyjaciela nie miałam czasu na rozwlekłe wyjaśnienia.

– Podwożę go po prostu – powiedziałam, wzruszając ramieniem i mając nadzieję, że moja wymówka okaże się wystarczająca.

Właśnie ten moment wybrał Maxx, żeby się ocknąć. Zatoczył głową i spojrzał na mnie. Przez chwilę wydawał się zakłopotany moją obecnością, lecz potem jego zmaltretowana twarz rozjaśniła się, a szklane spojrzenie skupiło się na mnie.

– Audrey, skarbie – wybełkotał i położył mi rękę na udzie.

– Co jest grane, Aubrey? Czy to nie jest ten koleś z twojej grupy? – zapytał Brooks, patrząc znacząco na palce Maxxa wpełzające pod moją spódnicę. Kurde.

Odrzuciłam dłoń Maxxa, a on zaśmiał się cicho, po czym znów zamknął swoje jedyne nieopuchnięte oko.

– Nic się nie dzieje... – zaczęłam, ale Brooks uniósł dłoń.

– Czy ty rozumiesz, co się tutaj mogło wydarzyć? On jest, kurwa, naćpany, Aubrey! A ty się z nim prowadzasz w takim stanie? „Niewłaściwe” nie jest słowem, które choćby w części

opisywałyby tę sytuację – perorował Brooks, z upodobaniem przybierając kaznodziejskie tony, w których ostatnio tak się rozsmakował.

Nie byłam w nastroju na kazanie. A już na pewno nie w wykonaniu Brooksa. Maxx wydał jakiś bulgotliwy dźwięk i zaniepokoiłam się, czy mi nie zwymiotuje w samochodzie.

– Porozmawiamy później. Muszę jechać – powiedziałam pośpiesznie. Brooks pochylił się ku mojemu otwartemu oknu i zniżył głos do szeptu. Naruszał moją strefę osobistą tak, jak tego nigdy wcześniej nie robił. Odchyliłam się, czując się niezręcznie. Spojrzałam mu przez ramię na dziewczynę, która wydawała się dość poirytowana ostentacyjnym okazywaniem przez Brooksa męskich praw do mnie. Nie winiłam jej i w gruncie rzeczy jej współczułam.

– Nie rób tego, Aubrey. To jest nielogiczne, nieracjonalne i uwłacza twojej godności. Nie bądź głupia – powiedział zdecydowanie, jakby nazwanie mnie głupią mogło w magiczny sposób zmusić mnie do posłuchu.

Najwyraźniej zupełnie mnie nie znał.

– Odsuń się od mojego samochodu, jeśli nie chcesz, żebym ci przejechała po nogach – ostrzegłam i wcisnęłam pedał gazu, żeby dać mu do zrozumienia, że nie żartuję.

Brooks spiorunował mnie wzrokiem, a ja odpowiedziałam takim samym spojrzeniem. Przez chwilę prowadziliśmy tę milczącą walkę, po czym Maxxa chwyciły takie torsje, że Brooks aż odskoczył od mojego samochodu. Przechyliłam się przez Maxxa, otworzyłam drzwi od strony pasażera i wypchnęłam mu głowę na zewnątrz dokładnie w chwili, w której puścił pawia.

– Fuj, Brooks, chodźmy już – jęknęła dziewczyna w kocim kostiumie. Nawet za nimi nie spojrzałam, zajęta masowaniem pleców Maxxa, który rzygał jak kot.

Brooks zawahał się, wyczułam to, ale w końcu oboje się zabrali. Maxx wreszcie skończył wymiotować i z jękiem opadł na fotel. Wysiadłam z samochodu i obeszłam go pośpiesznie, by zamknąć drzwi po jego stronie, starannie omijając kałużę wymiocin na żwirze. Poczułam, jak żołądek podjeżdża mi do gardła, ale zdołałam go zatrzymać.

Obserwowałam Maxxa przez kilka minut, upewniając się, że nie będzie znów wymiotował. Kiedy się upewniłam, że już po wszystkim, wsiadłam z powrotem do samochodu i wyjechałam z parkingu.

Dowiozłam Maxxa do jego mieszkania we względnej ciszy, jeśli nie liczyć jego sporadycznych jęków. Podjechałam pod wejście do Quikki Martu i obiegłam samochód, żeby wydobyć Maxxa. Trochę oprzytomniał i był w stanie wyjść o własnych siłach.

– No dalej, Maxx, idziemy do środka – perswadowałam, próbując go skłonić do marszu, ale był tak nawalony, że mógł się najwyżej tam zatoczyć.

– Chciałbym tylko przez moment posiedzieć na zewnątrz – powiedział, po czym potykając się, ruszył wzdłuż witryny sklepu całodobowego i usiadł ciężko na drewnianych schodkach. Oparł głowę o ścianę i podniósł dłoń do twarzy. Nie sprawiał wrażenia szczególnie obolałego – i dobrze, bo miałam pewność, że rano się to zmieni.

– Co się stało z moją twarzą? Jakoś dziwnie ją czuję – zapytał, nadal bełkocząc. Odsunęłam jego rękę od ran, ujmując ją w obie dłonie.

– Musisz po prostu wejść do środka i trochę się przespać – powiedziałam uspokajająco, mając nadzieję przekonać go, żeby wstał.

Maxx potrząsnął głową.

– Chcę tutaj zostać. Tylko na moment – powiedział i ścisnął moją dłoń. – Nie mów

Callumowi. Matka i ojciec byliby na mnie potwornie wkurzeni. Ciągłe wszystko zawalam. Nie mów Callumowi... – wymamrotał, a broda mu opadła na piersi.

Potrząsnęłam nim, zaniepokojona, że znów odpłynie. Było potwornie zimno i dostałam niekontrolowanych dreszczy. Skóra Maxxa – tam, gdzie nie była pokryta krwią ani nie zmieniła koloru – była śmiertelnie blada. Musiałam zaciągnąć go do środka.

– No dalej, wstawaj – ponagliłam go, ciągnąc go za ramię. Maxx opierał się, ale po kilku minutach udało mi się skłonić go do tego, żeby wszedł po schodach prowadzących do jego mieszkania.

– Gdzie masz klucze? – zapytałam. Maxx uśmiechnął się lubieżnie, choć była to ledwie żałosna karykatura jego zwykłego aroganckiego uśmiechu. Rozcięta warga niweczyła jego uwodzicielskie zabiegi.

– Będiesz musiała sama je sobie wziąć – wystękał.

Dobrze wiedzieć, że nawet napruty jak szpadel dalej potrafił być takim kutasem.

Przewróciłam oczami i wcisnęłam rękę do jego kieszeni, szukając po omacku kluczy. Maxx zachichotał i zachwiał się na nogach, zmuszony w końcu oprzeć się o ścianę, żeby się nie przewrócić. Wyciągnęłam kółko z kluczami z tylnej kieszeni, po czym metodą prób i błędów dopasowałam ten właściwy.

Po kilku nieudanych podejściach otworzyłam wreszcie drzwi i wepchnęłam Maxxa do środka. Śmiał się i paplał coś bez ładu i składu. Pstryknęłam światło i usadziłam go na sfatygowanej sofie, która stała w salonie.

Przewrócił się na bok i tak już został. Rana na jego czole otworzyła się i na tkaninę pod jego policzkiem popłynęła krew.

– Masz tu gdzieś apteczkę? – zapytałam, ale nic do niego nie docierało, zaczęłam więc szukać czegoś, czym mogłabym oczyścić rozcięcie.

Mieszkanie Maxxa było bardzo skromne, a nieliczne stojące w nim meble stare i mocno zużyte. Rzucił się w oczy kompletny brak jakichkolwiek osobistych akcentów, co wydało mi się raczej smutne. Ta przestrzeń należała do człowieka, który kompletnie nie dbał o swoje otoczenie. Nieład i zaniedbanie emanowały cichą desperacją.

Łazienka znajdowała się na końcu korytarza i ucieszyłam się, widząc, że przynajmniej ona jest w miarę czysta. W apteczce na ścianie znalazłam jakieś plastry i maść odkażającą.

A potem, nie potrafiąc się powstrzymać, otworzyłam jedyne niezbadane jeszcze drzwi. Pstryknęłam światło i natychmiast zrozumiałam, że to pokój Maxxa. Niepościelone łóżko, rozrzucone na podłodze ubrania, kilka podręczników, a na stole pod oknem stary, stacjonarny komputer.

Znalazłam w jego komodzie czystą koszulkę, a potem, po prostu dlatego, że miałam ochotę trochę pomyszkować, zaczęłam przetrząsać stertę jego ubrań. Znalazłam dwie puste buteleczki po lekach na receptę i nieprzytomną liczbę plastikowych torebek.

A później, na dnie najniższej szuflady, znalazłam złożoną na pół fotografię. Po jej rozłożeniu zobaczyłam, że zdjęcie przedstawia rodzinę. Było to jedno z niczym niewyróżniających się ujęć portretowych ze sztucznym niebieskim tłem i z niezgrabnym upozowaniem bohaterów. Kobieta o jasnych falujących włosach siedziała na taborecie przed wysokim mężczyzną, który oparł jej rękę na ramieniu. Młody chłopak z burzą blond loków stał u boku kobiety, a na jej kolanach siedziało najwyżej sześciomiesięczne dziecko.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że to rodzice Maxxa. Przyglądałam się fotografii,

sądząc, że może zdradzi mi coś na temat nieprzytomnego człowieka leżącego w pokoju obok. Może pozwoli mi odkryć, kim jest i dlaczego robi to, co robi?

Usłyszałam gwałtowny stuk dobiegający z salonu i pospiesznie wsunęłam fotografię z powrotem do szuflady. Pozbierałam rzeczy, po które przyszłam, i zamknęłam drzwi do sypialni za sobą.

Maxx siedział i masował sobie goleń.

– Nic ci nie jest? – zapytałam, siadając obok niego.

– Pieprzony stolik do kawy – wymamrotał, obracając się w moją stronę z nerwowym uśmiechem.

Wyciągnęłam plastry.

– Daj mi to oczyścić – powiedziałam.

Maxx nie odpowiedział, tylko zamknął oczy i pozwolił mi zrobić, co trzeba. Zmyłam krew i zakleiałam rozcięcie. Oczyściłam mu też zadrapania na dłoniach, które powstały pewnie wtedy, kiedy go przewrócili na ziemię.

– Kim byli ci mężczyźni, którzy cię pobili? – zapytałam, nie mając pewności, czy w tym stanie będzie w ogóle zdolny do udzielenia mi jakiegokolwiek odpowiedzi.

Byłam więc zaskoczona, kiedy odpowiedział:

– To Gash. To on prowadzi klub. Chyba jest na mnie wkurzony – prychnął, jakby to był jakiś żart.

– No chyba... – wyszeptałam w zamyśleniu. Kiedy jednak nie doczekałam się kolejnych informacji, spróbowałam jeszcze co nieco go podpytać: – Dlaczego jest na ciebie wkurzony?

Maxx z przesadą wzruszył ramionami, a głowa zaczęła mu opadać.

– Nie mów Callumowi – wymamrotał jeszcze raz.

– Czego mam mu nie mówić? – zapytałam, kończąc opatrywanie mu ran.

Maxx otworzył zdrowe oko i odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Chwycił mnie za rękę i ścisnął tak mocno, że aż się skrzywiłam.

– O mnie. Nic mu nie mów – wyszeptał. Pokręcił głową i zaszlochał. – Oni byliby mną tak koszmarne rozczarowani! – krzyknął i chwycił się za włosy, coraz bardziej roztrzęsiony.

Położyłam mu rękę na ramieniu.

– Kto byłby rozczarowany?

Pierś Maxxa falowała spazmatycznie, oczy miał mocno zaciśnięte.

– Chcieli, żebym był znakomitym lekarzem. Kimś zupełnie wyjątkowym. – Gwałtownie pokręcił głową. – Spójrz na mnie! – Chwycił się za przód koszulki i zaczął ją ciągnąć, rozrywając materiał. Tracił nad sobą kontrolę. Wsunął rękę najpierw do jednej, potem do drugiej kieszeni. – Gdzie one są? – zapytał, stając chwiejnie na nogach i jeszcze raz przetrząsając kieszenie.

– Gdzie jest co? – zapytałam, zaskoczona nieoczekiwaną zmianą jego nastroju.

– Potrzebuję ich! – krzyknął, przepychając się koło mnie i tarabaniąc do kuchni, gdzie zaczął wyciągać rzeczy z szafek i zrzucać je na podłogę. Kiedy nie znalazł tego, czego szukał, zawył i dosłownie pobiegł korytarzem do swojej sypialni.

Szłam za nim w pewnej odległości. Przez chwilę się zastanawiałam, czy go nie zatrzymać, ale powstrzymał mnie instynkt samozachowawczy.

Wywrócił pokój do góry nogami, wyrzucając ubrania na podłogę. Pozbierał puste torebki i zaczął je po kolei rozrywać.

– Gdzie one są? – krzyknął rozpaczliwie. Potknął się o stojący przy łóżku stoliczek i padł na kolana, przetrząsając rzeczy, które spadły na podłogę. Podniósł buteleczkę i potrząsnął nią. Coś zagrzechotało w środku i widok euforii, która zastąpiła na jego twarzy beznadzieję, przeszył mnie zimnym dreszczem. Wiedziałam dokładnie, czego szuka.

– Nie, Maxx! Nie potrzebujesz tego! – krzyknęłam, padłam na kolana obok niego i próbowałam mu wyrwać buteleczkę z dłoni. Maxx wyszarpnął mi ją i szybko się cofnął, nie wstając z kolan. Odkręcił ją jednym ruchem i zanim zdążyłam zareagować, wrzucił sobie białą tabletkę do ust.

Zgryzł ją w zębach. Dolna warga mu opadła, oparł się o ścianę.

– Maxx... – westchnęłam z rozżaleniem.

Spojrzał na mnie, a leniwy uśmiech, który rozciągnął jego tak zwykle piękne wargi, był mi aż nadto znajomy. Kiedyś ten uśmiech wydawał mi się seksowny i tajemniczy. Teraz był już tylko smutny i żaloszny. Dokładnie wiedziałam, dlaczego się w ten sposób uśmiechał.

Nienawidziłam tego uśmiechu.

Nienawidziłam tego, że wydawał się taki szczęśliwy.

Nienawidziłam tego, jak łatwo się poddawał. Nawet nie próbował walczyć.

Właśnie w taki sposób żył. Od jednego haju do następnego. Kolejne złe wybory pociągały za sobą katastrofalne następstwa, którymi się w ogóle nie przejmował. W każdym razie nie teraz.

Może rano, kiedy nie będzie już tak naćpany i zdoła pomyśleć bardziej racjonalnie, choć odrobinę się tym wszystkim przejmie.

Przyciągnęłam kolana do piersi i oparłam policzek na nodze, wyczerpana i wściekła. I zdecydowana.

Maxx oblizwał wargi, powieki mu opadły. Przeczesał dłonią swoje blond loki i pozwolił ręce opaść bezwładnie na podłogę. Przetoczył głową z boku na bok, jakby się upewniał, że nadal może nią poruszać.

Mimowolnie zaczęłam obserwować, jak jego pierś unosi się i opada, zaniepokojona, że jeśli choć na chwilę przestanie patrzeć, pierś przestanie się poruszać, po czym Maxx odejdzie cicho, a ja nawet się nie zorientuję.

I stracę szansę, by o niego zawalczyć. Bo najwyraźniej on nie miał wystarczającej siły woli, by samemu zawalczyć o siebie.

Ten człowiek nie brał prochów okazjonalnie. Nałóg powoli zjadał go żywcem. Przypominało to obserwowanie samochodu jadącego z maksymalną prędkością w stronę ceglanego muru. Poczucie bezradności, które pamiętałam aż zbyt dobrze, przesączyło się powoli do mojego mózgu i momentalnie odebrało mi zdolność ruchu.

Zawiodę go.

Stracę go tak samo, jak straciłam Jayme.

Byłam idiotką, sądząc, że mogę komukolwiek pomóc.

Rozejrzałam się po zaśmieconym pokoju i westchnęłam. Powinnam go pozostawić jego nędznemu cyklowi wzlotów i upadków, w którym żył. Nie musiałam się w to mieszać. Brooks miał rację. Moja obecność w tym mieszkaniu była niewłaściwa. Granice uległy zatarciu.

A poza tym: jakie to mogło mieć znaczenie?

Maxx wyciągnął rękę i ujął moją dłoń.

– Zostań – wyszeptał.

Pokręciłam głową. Nie mogłam zostać. Nie po tym, co widziałam. W jego świetle nie było dla mnie miejsca.

– Proszę, Aubrey, zostań ze mną – powiedział błagalnie.

Odwrociłam się do niego plecami. Źrenice miał rozszerzone i nie byłam pewna, czy to tylko z powodu dragów, czy to efekt wstrząśnienia mózgu. Powinnam go zabrać do szpitala. Mógł mieć połamane kości. Pozwoliłam jednak, by mój zdrowy rozsądek ustąpił przed potrzebą zaopiekowania się nim. Zrobienia wszystkiego samodzielnie.

Jakbym miała czegoś dowieść, zupełnie sama to wszystko naprawiając.

Bałam się go zostawić w takim stanie. Ale bałam się również zostać. Wiedząc, że jeśli to zrobię, kłamka zapadnie. Przekroczę niewidzialną granicę. A kiedy już to zrobię, nie będzie powrotu. Będzie za późno.

Patrzyłam na Maxxa, który wydawał się taki niewinny i bezbronny. Na jego twarzy nie malował się charakterystyczny wyraz wyrachowania i uwodzicielski czar.

Nie potrafiłabym go zostawić. Nie mogłabym wyjść tymi drzwiami i udawać, że ten chłopak nic dla mnie nie znaczy.

Już teraz stał się dla mnie kimś istotnym. Kimś, kim nigdy nie powinnam była pozwolić mu się stać. Nie zmieniało to jednak faktu, że nim był.

Otworzyłam usta, by się zgodzić, ale Maxx zamknął oczy, a broda mu opadła. Znalazłam jakiś koc i owinęłam go nim.

A potem położyłam się na jego gołym materacu, owinęłam płaszczem i obserwowałam, jak śpi.

Każdy oddech unoszący jego pierś wiązał mnie z nim coraz mocniej. Przerazało mnie to.

Nie mogłam go zostawić.

Dokonałam wyboru.

Miałam tylko nadzieję, że jest to wybór właściwy.

Coś ścisnęło mnie w piersiach, głowa wrzasnęła z udręki. Każdy staw, każdą kończynę miałem rozpaloną i obolałą, cierpienie sprawiało mi poruszanie się i oddychanie. Targnęły mną torsje i poczułem podchodzącą mi do gardła żółć.

Zrobiło mi się niedobrze.

Próbowałem unieść głowę, lecz nawet najlżejszy ruch wyzwał falę mdłości, przyspieszającą przesuwanie się treści żołądka do gardła.

Przekręciłem się na bok i zwymiotowałem. I jeszcze raz. A potem na wszelki wypadek jeszcze trochę.

Jęknąłem, zawisając na krawędzi własnego łóżka. Coś mi podpowiadało, że jestem we własnej sypialni. Ale jak się tu dostałem? Dobrze pytanie. Wszystko, co zaszło po tym, jak zeszłej nocy dotarłem do Compulsion, stanowiło jedną wielką niewiadomą.

Tu i tam miałem jakieś przebłyski zdarzeń, o których chyba wolałbym zapomnieć.

Próbowałem się podciągnąć na łóżko, ale znów chwyciły mnie torsje, choć już nie miałem czym wymiotować. Twarz i kark miałem śliskie od potu, w nozdrzach zakreślił mnie ostry zapach wymiocin. Zadygotałem, czując, że znów chce mi się rzygać.

– O Jezu... – usłyszałem czyjeś mamrotanie, a potem dwie chłodne dłonie chwyciły mnie za ramiona i wciągnęły z powrotem na łóżko. Rozpoznałem ten głos, choć mój zaćmiony umysł nie potrafił powiązać faktów.

Próbowałem otworzyć oczy, ale okazało się, że tylko jedno się do czegoś nadaje. Jasna cholera, dlaczego nie mogłem otworzyć tego pieprzonego oka?

Trochę spanikowałem. Powoli przesunąłem palcami po twarzy i syknąłem z bólu, gdy natrafiłem na żywe mięso.

Chryste, znowu mi się zebrało na mdłości.

– Poczekaj – powiedział głos nagle.

Ale tu nie było na co czekać. Otworzyłem usta, żeby zwymiotować, ale bez efektu. Nie miałem już czym rzygać. Nie powstrzymało to jednak mojego ciała od podejmowania kolejnych prób wywrócenia mi żołądka na lewą stronę.

Trząsałem się niepowstrzymanie, a te chłodne, miękkie dłonie dotykały mojej twarzy. Dotyk był tak cudowny, że chyba jęknąłem: „Błagam, nie przestawaj”.

– Nigdzie nie idę – uspokoił głos.

Przez krótką chwilę, zanim znów odpłynąłem, poczułem otuchę. Sprawiała, że upadek w ciemność stał się jeszcze słodszy.

* * *

– Kurwa – jęknąłem.

Próbowałem usiąść, ale ciało stawiało opór. Kończyny miałem jak z ołowiu, koniuszki palców paliły mnie żywym ogniem. Czułem się tak, jakbym jednocześnie gotował się

żywcem i zamarzał na śmierć.

Zęby mi szczękały, w głowie huczało, żołądek miałem ściśnięty i obolały, gotowy zwrócić na podłogę sypialni wszystko, cokolwiek w nim pozostało.

Wydawało mi się, że umieram.

Nie – ja wiedziałem, że umieram.

Aż za dobrze znałem to koszmarne uczucie.

Nie chciałem umrzeć.

Chciałem żyć.

Chciałem znów poczuć się dobrze.

– Proszę... – zacząłem błagalnie, niepewny, czy w pobliżu jest ktoś, kto mógłby usłyszeć moje żalosne wezwania. Mgliście pamiętałem dłonie i słowa szeptane mi do ucha, zanim straciłem przytomność. Tyle że kompletnie mnie to nie obchodziło. – Daj mi moje cholerne prochy! – warknąłem, próbując znów usiąść, tym razem bardziej zdecydowanie. Zgiąłem palce w szpony i sięgnąłem do stolika przy łóżku po butelkę. Wiedziałem, że tam jest.

– Maxx, połóż się. Musisz odpocząć – powiedział cichy głos.

Oczy miałem otwarte, ale w pokoju panowała ciemność. Nie widziałem, do kogo należy głos. I nie obchodziło mnie to.

– Daj mi moje cholerne prochy! Natychmiast! – krzyknąłem. Albo ten ktoś da mi to, czego, do cholery, chciałem, albo go, kurwa, zajebię!

Rzuciłem się w stronę komody, ale ciało nie funkcjonowało prawidłowo. Ramiona były kompletnie bezużyteczne, ręce słabe i niezgrabne. Walnąłem w blat stołu, strąciłem lampę i nawet nie drgnąłem, kiedy szkło roztrzaskało się na podłodze.

– Maxx, już dobrze – usłyszałem.

Miałem ochotę zabić tego kogoś! Nienawidziłem go! Stał mi na drodze do jedynej rzeczy, dzięki której mogłem poczuć się lepiej!

– Gardło ci poderżnę, jeśli nie dasz mi moich pieprzonych prochów! – zakląłem, rzucając się na oślep.

– Maxx!

Ciało paliło mnie żywym ogniem, każdy ruch przyprawiał o mdłości. Oparłem się o brzeg łóżka, a żółć podeszła mi do gardła, wypełniła usta i wypłynęła strużką na brodę.

– Proszę! – załkałem pomiędzy kolejnymi atakami torsji.

Głos nic nie powiedział, ale ręce trzymały mnie, kiedy dygotałem, wstrząsany dreszczami.

Odepchnąłem je od siebie.

– Proszę, po prostu mi je daj! – błagałem, przewracając się na bok. Próbowałem podciągnąć sobie kolana do piersi, ale miałem wrażenie, że złamię się w pół. Czułem się tak, jakby obdzierano mnie żywcem ze skóry. – Proszę! – krzyknąłem.

I głos zaczął mi mrużyć coś do ucha, a dłonie masowały mnie po plecach. A ja mogłem tylko krzyczeć, krzyczeć bez końca. Krzyczałem, bo strasznie potrzebowałem tego, czego nie chciano mi dać.

I wtedy wszystko spowiła miłosierna ciemność.

* * *

– Musisz się czegoś napić.

Wzdrygnąłem się, kiedy znów usłyszałem znajomy szept. Silna dłoń chwyciła mnie za kark i uniosła mi głowę do góry. Moje chciwe wargi dotknęły brzegu szklanki i język zanurzył się w chłodnym płynie.

W pierwszym momencie gardło zareagowało odruchem wymiotnym. Groziło mi, że wszystko zwrócę. Szklanka zniknęła, a ja próbowałem odzyskać oddech i zapanować nad buntem własnego udręczonego ciała.

Kiedy już byłem w stanie powstrzymać się od rzygania, szklanę znów przysunięto do moich warg i tym razem wypłem więcej wody. Usta miałem boleśnie wysuszone, a język kleił mi się do podniebienia.

– Na razie wystarczy – zamruczał głos i szklanka została mi odebrana. Otworzyłem usta jak ryba, rozpaczliwie pragnąc więcej.

Ręce popchnęły mnie z powrotem na łóżko, miękkie palce pogłaskały moją twarz. Chwyciłem dłoń i przytrzymałem zdecydowanym ruchem, miażdżąc drobne palce.

– Przestań, to boli! – zachłysnął się głos i momentalnie otworzyłem oko, nadal tylko jedno, gapiąc się z przerażeniem na prześliczną twarz, która unosiła się nade mną z bolesnym wyrazem.

Puściłem rękę Aubrey i spróbowałem usiąść, ale okazało się, że ta prosta czynność mnie przerasta. Wymagała zbyt dużo wysiłku. Znalazłem w sobie tylko tyle energii, żeby poruszyć głową. Właściwie już samo mruganie sprawiało, że nabierałem ochoty na drzemkę.

Wszystko mnie bolało, jakbym wpadł pod ciężarówkę. W głowie pulsowało mi nieprzerwanie, jakby dziesięć tysięcy maleńkich igiełek wbijało mi się w czaszkę. A jeśli chodzi o żołądek, to miałem wrażenie, jakby ktoś mi go wyjął, wyżał i niechlujnie wrzucił z powrotem do środka.

Ogólnie rzecz biorąc, czułem się jak dupa trupa.

A ostatnią osobą, której chciałbym pokazywać się w tym stanie, była Aubrey Duncan.

– Co ty tu robisz, do cholery? – zapytałem szorstko, nie starając się nawet być miły.

Czas na grzeczności minął. Pewny siebie koleś, którego przywykła oglądać, należał do przeszłości. Facet zginął gwałtowną i najwyraźniej bardzo bolesną śmiercią.

Nie byłem pewien, co Aubrey tutaj właściwie robi. A już kompletnie nie wiedziałem, jak znalazła moje mieszkanie. Wiedziałem natomiast, że chcę, żeby mnie zostawiła samego z moim cierpieniem.

Jeśli nawet poczuła się urażona moim grubiaństwem, nie dała tego po sobie poznać. Zabrała się do wygładzania moich koców i opatulania mnie, jakbym był jakimś pięciolatkiem, którego wystarczy ucałować i utulić, żeby poczuł się lepiej.

– Powinieneś spróbować coś zjeść – powiedziała, wstając.

Zauważyłam, że ma pogniecione ubranie, które wyglądało tak, jakby go od dłuższego czasu nie zdejmowała.

Psiamać, co tu się wydarzyło?

Po głowie kołatały mi się jakieś mgliste obrazy. Nic nie pamiętałem.

Zanim Aubrey zdążyła się odsunąć, chwyciłem ją za nadgarstek i przyciągnąłem do siebie.

– Co ty tu robisz? – zapytałem bezceremonialnie, marząc o tym, żeby nie brzmiało to tak obcesowo.

– Nie mogłam cię zostawić w takim stanie – odpowiedziała, patrząc na mnie beznamietnie.

Pokręciłem głową i natychmiast pożałowałem, bo szpilki znów poprzebijały mi czaszkę.

– Co się stało? – zapytałem, decydując się obrać inną strategię.

Aubrey westchnęła i pociągnęła się za blond kucyk, który spływał jej na ramię. Wyglądała na zmęczoną. I smutną? Czy to możliwe?

Ale wyglądała, kurwa, ślicznie. Zawsze tak wyglądała.

A teraz powinna się stąd zabierać.

– Lepiej, żebyś już wyszła – powiedziałem, zmuszając swoje osłabione ciało, żeby usiadło. Aubrey sprawiała wrażenie, jakby chciała mnie popchnąć z powrotem, ale nawet nie drgnęła. Zmierzyła mnie spokojnym spojrzeniem.

– Nigdzie nie idę – powiedziała krótko.

Po raz pierwszy, odkąd odzyskałem przytomność, rozejrzałem się po swoim pokoju i jego widok mnie zdumiał.

– Co się tu, do diabła, stało?

I znów to samo pytanie.

Aubrey prychnęła.

– Ty się stałeś. Nic nie pamiętasz, co? – zapytała cicho, a na jej twarzy odmalował się wyraz, którego serdecznie nienawidziłem. Politowania. A poza tym współczucia i wszystkich pozostałych pieprzonych emocji, które były dla mnie całkowicie i absolutnie bezużyteczne.

Nie potrzebowałem jej litości ani jej kazań.

– Poważnie, Aubrey, zjeżdżaj stąd. Nie chcę cię tutaj.

Zgrzytnąłem zębami i spuściłem nogi na podłogę. Chłodne powietrze owiało moje gołe łydki i zdałem sobie sprawę, że mam na sobie tylko bokserki.

O jasna cholera, Aubrey mnie rozebrała? Normalnie sama myśl o Aubrey zdejmującej ze mnie ubranie postawiłaby mnie w stan pełnej gotowości. Ale nie teraz.

Teraz czułem się skrępowany.

– Oddaj mi moje pieprzone spodnie! – warknąłem, chwiejąc się i z trudem zachowując pozycję pionową.

I owszem, czułem się jak dupek, że się tak na nią wydzieram. Zauważyłem, jak się wzdrygnęła. To było jak nóż w serce. Przy tej dziewczynie czułem rzeczy, których wolałbym nie czuć.

Wyrzuty sumienia. Wstyd. Cholerną, rozpaczliwą potrzebę przebywania z nią od rana do wieczora.

Ale nie wszystkie z tych nowych uczuć były złe. Za każdym razem gdy wiedziałem, że ją zobaczę, czułem się jak mały dzieciak w bożonarodzeniowy poranek. Wypełniała mnie oczekiwaniami i czymś jeszcze. Czymś zupełnie innym. Pragnieniem bycia lepszym.

Co sprawiało, że miałem ochotę jednocześnie trzymać się jej ze wszystkich sił i uciekać możliwie szybko w przeciwną stronę.

Aubrey powoli przeszła przez sypialnię, pochyliła się i podniosła moje dzinsy. Podeszła do mnie, a ja poczułem ucisk w piersiach. Byłem słaby i zdenerwowany. Obserwowałem ją jednym okiem, mając wrażenie, że zaczyna mi wariować błędnik. Chciałem się cofnąć i skulić w kącie ze wstydu. Z wściekłością myślałem o tym, że ogląda mnie w najgorszej

możliwej formie, a przecież przy niej chciałem być zawsze najlepszą wersją samego siebie.

Lecz oto byliśmy tutaj – oboje. I doskonale wiedziałem, że nie mam szansy na ucieczkę od rzeczywistości, którą Aubrey zobaczyła.

Wyciągnęła spodnie w moją stronę, nie odrywając ode mnie wzroku. W innych warunkach odpowiedziałbym jej równie śmiałym spojrzeniem. Podjąłbym rzucone przez nią wyzwanie i upajałbym się nim.

Tym razem odwróciłem oczy i moje spojrzenie zderzyło się z podłogą, umykając przed wzrokiem Aubrey.

Złapałem dzinsy i włożyłem je na siebie tak szybko, jak pozwalało mi na to rozdygotane ciało.

– Prawdopodobnie będziesz potrzebował pomocy – powiedziała Aubrey rzeczowo, wyciągając ku mnie koszulę. Dlaczego, do cholery, miałbym potrzebować pomocy przy ubieraniu się?

Wyszarpnąłem jej koszulę z ręki, nie siląc się na odpowiedź, ale kiedy uniosłem ramię, by wsunąć je w rękaw, ostry ból w żebrach prawie zwałił mnie z nóg. To nie był ból powodujący lekkie skrzywienie warg, tylko prawdziwa eksplozja cierpienia.

Moja ręka powędrowała mimowolnie ku prawym żebróm. Najłżejszy dotyk wywoływał mdłości i wykrzywił twarz bólem. Spuściłem wzrok i zobaczyłem, że całą klatkę piersiową pokrywa mi mozaika żółtych i zielonych siniaków.

– Myślę, że część żeber masz połamanych. A skoro już się obudziłeś, to prawdopodobnie powinieneś pojechać do szpitala. Dać się zbadać – powiedziała Aubrey.

Zerknąłem na nią i spostrzegłem, że nie podeszła bliżej. Nie wyszła, ale zostawiła mi przestrzeń.

Ogarnęły mnie jednocześnie wdzięczność i masochistyczna nienawiść.

Ostrożnie przesunąłem palcami po swoim zmaltretowanym ciele. Z głębi podświadomości wypełzły niejasne wspomnienia Gasha i Vina. Miałem uczucie, że wpakowałem się w poważne tarapaty.

I chociaż marzyłem o tym, żeby Aubrey wyszła i oszczędziła mi niezręcznego przyznania, że potrzebuję pomocy, byłem w kropce. W tym momencie nie poradziłbym sobie sam.

Potrzebowałem jej.

Mój Boże, naprawdę jej, kurwa, potrzebowałem.

Ciężar tego stwierdzenia kompletnie mnie przygniótł.

– Czy możesz mi pomóc? – zapytałem z irytacją.

Przyznałem się do porażki, ale nie podniosłem na nią wzroku. To mnie przerastało.

Aubrey nie odpowiedziała, ale poczułem jej dotyk, jej zapach, czułem niemal jej smak na języku, kiedy stała przede mną i ostrożnie zapinała mi koszulę. Kiedy opuściła głowę, jej włosy opadły mi na twarz. Mimowiednie pochyliłem się ku niej i ocierając się nosem o czubek jej głowy, wciągnąłem w nozdrza jej zapach.

Zapinała mi pospiesznie guziki, pilnując się, by nie dotknąć mojej odsłoniętej skóry. Skończywszy, chwyciła mnie za ramiona i popchnęła z powrotem na łóżko.

– Pozwól, że przyniosę ci coś do jedzenia – powiedziała zdecydowanie, poprawiając pode mną poduszki. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio ktoś się mną opiekował. Zdecydowanie od śmierci rodziców nic takiego nie miało miejsca.

Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy odeszła moja matka. Po jej śmierci ojciec przestał o siebie

dbać, więc co tu mówić o troszczeniu się jeszcze o dwóch małych synów. A potem on również zmarł, a wraz z jego śmiercią odeszła ostatnia osoba zobowiązana do opieki nade mną.

Zapomniałem już, jak to jest, kiedy ktoś się tobą zajmuje. Kiedy traktuje cię delikatnie.

Minęło mnóstwo czasu, odkąd ktokolwiek cokolwiek dla mnie zrobił. Nie wiedziałem, co począć z nieoczekiwanymi uczuciami, które wzbudziła we mnie niewinna propozycja przyniesienia mi czegoś do jedzenia, złożona przez Aubrey. Dzięki niej poczułem, że ktoś się o mnie troszczy. Że ktoś mnie chce. Kiełkujące uczucia zaparły mi dech gwałtowną świadomością, że ta kobieta może wszystko zmienić.

– Nie jestem głodny – skłamałem, czując rosnącą w gardle gulę.

Aubrey zignorowała mnie i zostawiła samego, razem z moim niepokojem i obolałym ciałem, zagubionego na polu minowym uczuć gotowych w każdej chwili eksplodować.

Miałem zbyt wiele pytań, na które nie dostałem żadnej odpowiedzi. Jeśli stan mojego pokoju był jakakolwiek wskazówką, to sprawy miały się coraz gorzej. Pozostawała nadzieja, że wszystko to zdarzyło się, zanim jeszcze Aubrey tu weszła.

Ale właściwie, co ona tu, do cholery, robiła? Tej kwestii w ogóle nie obejmowałem umysłem.

Sięgnąłem na stojący obok łóżka stoliczek, szukając sprawdzonego rozwiązania każdego problemu. Wyciągnąłem szufladę i zdałem sobie sprawę, że jest pusta.

– Kurwa... – jęknąłem, zwlokłem się z łóżka i ignorując sprzeciw mięśni, opadłem na kolana, szukając buteleczki, która zawsze tam była.

– Szukasz czegoś?

Usiadłem tak szybko, że aż zakręciło mi się w głowie. Aubrey postawiła miskę zupy na tym samym stoliczku, który przed chwilą przeszukiwałem, po czym kucnęła obok. Też przysiadłem w kucki i przeczesalem włosy rękoma.

– Nie, po prostu... – Nie miałem żadnego wyjaśnienia i, kurwa, wcale nie musiałem go jej przedstawiać. To był mój dom. Mój pokój. I moje sprawy.

Aubrey wyciągnęła coś w kieszeni i uniosła do góry.

– Co jest, do diabła? – warknąłem, sięgając drżącą dłonią po buteleczkę, którą trzymała w ręku.

Aubrey wstała, wciąż trzymając w palcach moje zbawienie i nie troszcząc się zupełnie o to, co ta mała, brązowa butelka dla mnie znaczyła. W tym momencie była wszystkim. A na pewno czymś ważniejszym niż dziewczyna, która majtała mi nią przed nosem jak cholerną marchewką.

Czy ona się ze mną drażniła? Krew mnie zalała.

– Oddaj mi to, i to natychmiast! – zażądałem, ruszając w jej stronę.

Zapomniałem o swoim beznadziejnym samopoczuciu. Pobudzony przyływem adrenaliny skoncentrowałem się na tym, by odebrać jej fiolkę.

Aubrey wyglądała tak, jakby straciła pewność siebie. W istocie sprawiała wrażenie przerażonej. Nie winiłem jej. Mogłem sobie wyobrazić, jak wyglądam, skradając się w jej stronę, gotów wyrwać jej butelkę z dłoni – przemocą, jeśli będzie to konieczne. Miałem w dupie, czy będę musiał złamać któryś z tych ślicznych małych paluszków – zamierzałem dostać to, czego potrzebowało moje ciało.

– Natychmiast, Aubrey – wyszeptałem, a głos trząśł mi się z gniewu. Usta Aubrey

zadrżały i widziałem, że powstrzymywała łzy. Nie obchodziło mnie to. W tym momencie obchodziło mnie tylko jedno.

Rzuciła mi butelkę i pospiesznie przeszła przez pokój do drzwi. Złapałem ciśnięty przedmiot i potrząsałem nim. Zaległa ogłuszająca cisza. Odkręciłem nakrętkę i odwróciłem butelkę do góry dnem.

Była pusta.

– Gdzie one są? – ryknąłem.

Płonałem gniewem, a Aubrey drżała na całym ciele. Ale nie wyszła z pokoju. Nie uciekła ode mnie. Na chwiejnych nogach stanęła naprzeciw mnie.

– Już ich nie ma, Maxx – powiedziała cicho.

No nie, ja chyba się przesłyszałem.

– To niemożliwe – wycodziłem, rzucając butelkę na drugi koniec pokoju.

Aubrey pokręciła głową, a włosy rozsypały jej się wokół twarzy.

– Skończyły się, przysięgam. Nic nie zostało.

Zacisnąłem pięści, bliski utraty panowania nad sobą.

I wtedy Aubrey zrobiła coś bardzo dziwnego. Podeszła z powrotem do mnie i ujęła moją twarz w dłoń.

Próbowałem się wyrwać z jej ograniczającego uścisku. Chwyciłem ją za nadgarstki i ścisnąłem na tyle mocno, że mógłbym pogruchotać jej kości. W tym momencie jej nienawidziłem. Chciałem, żeby ją bolało. Tak jak bolało mnie.

A jednocześnie... pragnąłem jej...

– Maxx, nie potrzebujesz tych prochów – powiedziała mi z taką pewnością w głosie, że gdybym kontaktował, to chyba bym jej uwierzył.

Oderwałem jej rękę od mojej twarzy, nadal ściskając ją za nadgarstki.

– Nie mów mi, kurwa, czego potrzebuję! – krzyknąłem.

I wtedy mnie pocałowała. Ta zwariowana, obłąkana dziewczyna mnie pocałowała.

Jakbym mógł dzięki temu zapomnieć, czego tak naprawdę chciałem.

Jakby mogła mi zastąpić to, czego pragnęło moje ciało.

Oderwałem usta od jej warg, wściekły, rozzłoszczony do szaleństwa. Oddychała ciężko, oczy jej się zaszklily.

– Proszę, Maxx, nie rób tego. Bądź tutaj. Ze mną – błagała. I znów mnie całowała i mówiła: – Nie zostawię cię. Nigdy cię nie zostawię.

I w tych słowach, w dotyku jej warg na moich ustach było coś, co przebiło się przez czerwoną mgłę mojego gniewu, przez niezaspokojoną, nękającą mnie potrzebę.

Nie zostawi mnie.

Skąd mogła wiedzieć, jak rozpaczliwie chciałem to od niej usłyszeć? Od kogokolwiek?

Zacząłem odwzajemniać jej pocałunki. Rozsmakowywać się w niej jak w narkotyku, którego tak potrzebowałem. I przez tę krótką chwilę była czymś jeszcze lepszym.

– Nie zostawiaj mnie – wyszłochałem w jej wargi, znacząc jej usta zębami i karząc ją językiem.

I naprawdę tego chciałem. Każdym włóknom mojego jestestwa. Miałem pewność, że bez niej nie przetrwam. Co za przerażająca myśl! Ale Bóg mi świadkiem, tak myślałem. W ułamku sekundy stała się najistotniejszym elementem mojego świata. Była tym, co trzymało mnie przy zdrowych zmysłach. Co trzymało mnie tutaj. Co powstrzymało mnie

przed skokiem w przepaść za narkotykami, których moje ciało tak bardzo pragnęło.

Była linką, która nie pozwalała mi się rozpaść. Była jedyną osobą gotową stanąć u mego boku, choć wcale jej o to nie prosiłem. Niczego od niej nie żądałem, a jednak dała mi wszystko. Jak mógłbym się tego nie uczepić niczym jakiś pasożyt? Jak mógłbym nie próbować wyssać z niej wszystkiego do ostatniej kropli, by samemu utrzymać się przy życiu?

Jak mogłem nie zacząć żyć w fantastycznym złudzeniu, że Aubrey jest wszystkim, czego potrzebuję? Że wszystko się samo ułoży?

Nie zostawi mnie. Te słowa niosły obietnicę, której się uczepiłem.

Ten pocałunek rozpoczął się jako kulminacja nienawistnych emocji i negatywnych, wstrętnych myśli. Nie było żadnych kwiatków, serduszek i przemykania w promieniach słońca. Była za to cała masa gównianych niepokojów egzystencjalnych, których nikt nigdy nie powinien pragnąć – a przecież zawsze pożądaliśmy ich do utraty tchu.

Tylko gdzieś po drodze przeobraził się w coś zupełnie innego. Aubrey przejęła stery i sprawiła, że stał się delikatny. Jej usta zmiękły, język pieścił zachęcająco moje wargi. Wplotła palce w moje tłuste, brudne włosy, jakby do końca życia nie pragnęła dotykać niczego więcej.

A ja już nie atakowałem jej ust, lecz wielbiłem je. Kochałem. Smakowałem i cieszyłem się nimi.

Wiedziałem, że potrzebuję Aubrey. Potrzebowałem jej w najgorszy możliwy sposób. Byłem samolubny, rozgorączkowany i szczerze mówiąc, wcale mnie nie obeszło, że zabieram ją ze sobą do piekła tylko dlatego, że dzięki niej podróż tam będzie najśłodszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem.

Była moja.

I nie zamierzałem pozwolić jej odejść.

Dwa dni.

Tyle czasu spędziłam z Maxxem w jego mieszkaniu.

Dwa dni, odkąd przywiozłam go do domu po tym, jak prawie zatłuczono go na śmierć w Compulsion.

Dwa dni, odkąd niemal odszedł od zmysłów, przechodząc przez fazę najintensywniejszego i najboleśniejszego głodu narkotykowego, jaki tylko mogłam sobie wyobrazić.

Wystarczyły dwa dni, by moje życie całkowicie się zmieniło.

Z prysznicą płynęła woda. Minęło trzydzieści minut, odkąd Maxx wszedł do łazienki, żeby się umyć po tym, jak zmusiłam go, żeby zjadł trochę zupy z chlebem. Po przełknięciu mało apetycznej brei mojego autorstwa co prawda pozieleniał na twarzy, ale udało mu się powstrzymać odruch wymiotny.

Po tym jak go pocałowałam, niewiele rozmawialiśmy. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Zachowałam się głupio. Moim jedynym usprawiedliwieniem było to, że po prostu nie wiedziałam, co zrobić, przerażona błyskiem szaleństwa w jego oczach, kiedy zażądał, żebym oddała mu jego narkotyki.

Źle znosił głód narkotykowy. Zrozumiałam to, zanim jeszcze zyskałam sposobność przekonania się o tym na własne oczy. Czytałam wystarczająco dużo studiów przypadku, żeby wiedzieć, że głód narkotykowy wiąże się z wręcz niewyobrażalnym bólem fizycznym i psychicznym. Chęć sięgnięcia po prochy musiała być obezwładniająca.

Chwilami nie miałam żadnych wątpliwości, że skrzywdziłby mnie, żeby tylko dostać to, czego tak bardzo pożądał jego organizm.

Mimo wszystko zostałam. Za bardzo mnie obchodził ten pogubiony chłopak i jego popieprzone życie, żebym mogła odejść.

Więc kiedy pomstował na mnie, miotając groźby, których – byłam tego pewna! – nie wahałby się zrealizować, korzystałam z jedynej broni w moim arsenale: moich ust i dłoni.

I to działało.

No, prawie.

Daleka byłam od proklamowania cudownego uleczenia. Nie graliśmy w jakimś ckliwym romansie, w którym miłość prawej kobiety wyzwala mężczyznę z władzy jego demonów.

Gdyby to mogło być takie proste.

Ale to, co zrobiłam, wstrząsnęło nim. Powstrzymało przepełniającą go dziką frustrację. Tego się po mnie nie spodziewał.

Chociaż nie rzuciliśmy się też sobie w ramiona i nie zatonęliśmy w swoich objęciach, podczas gdy ja szeptałam mu do ucha, że wszystko będzie dobrze.

Nic z tego. Maxx wziął miskę zupy i zacząć jeść. Nie patrzył na mnie. Żadne z nas nie próbowało nawiązać kontaktu wzrokowego. Żadne nie wspomniało o uczuciach albo przyszłości. Ale, cholera jasna, przynajmniej jadł.

Ten mały sukces mi wystarczał.

– Chryste! – wrzasnął Maxx z łazienki.

Zeskoczyłam z kanapy, gdzie warowałam w oczekiwaniu, aż się wyłoni spod prysznic. Zapukałam do drzwi.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

Drzwi otworzyły się na oścież i do saloniku buchnęła para. Staralam się ignorować fakt, że Maxx ma na sobie jedynie ręcznik, którym owinał wąskie biodra. Jego klatka piersiowa, choć nienadmiernie umięśniona, była ładnie zarysowana. Był wysoki, znacznie wyższy ode mnie. Miałam więc idealną perspektywę, by móc wszechstronnie i właściwie ocenić stojące przede mną apetyczne ciało.

Moje spojrzenie powędrowało ku zmasakrowanej twarzy Maxxa. Blond loki zaczesał sobie gładko do tyłu i wściekle lypał na mnie zdrowym okiem.

– Co, do kurwy nędzy, stało się z moją twarzą? – zapytał ostro.

Dotknął palcami czerwonej, podrażnionej skóry. Skrzywił się i ze świstem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Poszłam za tobą na zaplecze klubu. Znalazłam cię w chwili, w której dwóch koleśków właśnie spuszczało ci łomot.

Maxx zeszywniał.

– Jak wyglądali? – zapytał.

Nie potrafiłam powiedzieć, czy jest wściekły, czy przestraszony. Może jedno i drugie.

Próbowałam sobie przypomnieć wygląd napastników, ale po czterdziestu ośmiu godzinach i minimalnej dawce snu wspomnienia się zatarły. Moim pierwszym odruchem było udzielenie pomocy Maxxowi, a nie identyfikowanie gości, którzy go sprali.

– Niewiele pamiętam. Było ciemno. Przykro mi. Wziąwszy pod uwagę to, jak bryzgałeś krwią, skupiłam się na tobie – wymamrotałam.

– Jak, u diabła, zdołałaś przywieźć mnie do domu? Nie wierzę, że zdołałaś mnie samodzielnie dowlec do samochodu – indagował.

Dlaczego czułam się jak na przesłuchaniu? Nie zamierzał mi podziękować?

– Jakiś facet mi pomógł. Kojarzę go z pracy na bramce – odpowiedziałam krótko, wkurzona jego obcesowością.

– Marco – podsunął.

No tak, Marco. Imię chyba się zgadzało, więc skinęłam głową.

Maxx przepchnął się obok mnie i poszedł do swojej sypialni. Nadal był słaby, a jego kroki powolne i niezdarne. Poszłam za nim i zamarłam w progu.

Maxx stał kompletnie goły na środku pokoju, ręcznik spadł mu na podłogę, a on sam przetrząsał szuflady w poszukiwaniu ubrania.

Z trudem przełknęłam ślinę i odwróciłam wzrok, kiedy się ubierał. Miałam przeogromną chęć chociaż zerknąć, ale jej nie uległam. Nie powinnam gapić się na tego koleśka po tym wszystkim, przez co przeszedł. Oczywiście w naszej relacji przekroczyłam już wszelkie granice, ale mimo wszystko kołatały się jeszcze we mnie jakieś resztki przyzwoitości.

– Widziałaś gdzieś mój telefon? – zapytał kilka minut później.

Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Widząc, że zdążył się już całkowicie ubrać, rozczarowana wskazałam na biurko.

– Położyłam go tam. Miałeś go w kieszeni dzinsów.

Maxx chwycił go i przyłożył do ucha. Podniósł na mnie wzrok i zrozumiałam, że nie jestem już tu mile widziana. Czas się zbierać.

Odwrócił się do mnie plecami, odcinając się ode mnie zupełnie tak, jakby zamknął mi drzwi przed nosem.

Aż zjeżyłam się w środku na tak wyraźny sygnał odrzucenia i lekceważenia.

Jeszcze bardziej upokarzające było to, jak zapiekły mnie oczy. Nigdy nie płakałam. Nienawidziłam łez.

Stałam tam jeszcze przez chwilę, słuchając, jak Maxx zostawia gorączkową wiadomość na sekretarce Marca. Cicho i szybko wyrzucał z siebie zdania, które ledwo słyszałam. Jedno nie ulegało wątpliwości: był wzburzony.

Bezgłośnie zamknęłam drzwi do sypialni i wróciłam do nędznego saloniku. Starłam się trochę posprzątać, kiedy Maxx brał prysznic, ale niewiele dało się zrobić dla uprzyjemnienia tej przestrzeni.

Myślałam przez chwilę, czy nie zostawić karteczki, ale uznałam, że jednak nie. Po co?

Chwyciłam torebkę i wyciągnęłam z niej klucze do samochodu, gotowa się ulotnić.

– A ty dokąd?

Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam Maxxa idącego w moją stronę. Wyglądał na wymizerowanego i zmęczonego, ale w jego oczach pojawił się odblask dawnego ognia.

– Pomyślałam po prostu, że powinnam już wrócić do domu. No wiesz, zejść ci z drogi – powiedziałam, wyzywająco unosząc brodę.

Maxx położył płasko dłoń na skrzydle drzwiowym, blokując mi wyjście. Na jego twarzy, wściekłej i zaciętej jeszcze kilka chwil wcześniej, malował się teraz wyraz niepokoju i bezbronności.

Pochylił się ku mnie. Jego twarz dzieliło od mojej zaledwie kilka centymetrów. W jego oddechu wyczuwałam zapach miętowej pasty do zębów. Wbił we mnie spojrzenie, przeszywając mnie na wylot.

– To, co zrobiłaś... Jak mi pomogłaś... Jak ze mną zostałaś... Nie wiem, dlaczego to zrobiłaś. Ale dziękuję – powiedział cicho.

No i proszę: podziękowanie, którego oczekiwałam. Ale teraz, kiedy już je otrzymałam, nie byłam pewna, czego ode mnie chciał. Ani czego ja chciałam od niego.

Oparłam się o drzwi. Jego bliskość była przytłaczająca.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedziałam, kręcąc głową.

Maxx oparł drugą dłoń o drewno obok mojej głowy. Zostałam uwięziona między jego ramionami. Nie miałam dokąd uciec.

– Ależ jest – zaoponował. – Dlaczego przyszłaś do klubu? – nie ustępował.

– Nie wiem... – zaczęłam, ale przerwał mi.

– Ależ wiesz, Aubrey. Dlaczego tam przyszłaś?

– Dla ciebie, Maxx. Szukałam ciebie – przyznałam bez tchu, a serce waliło mi jak młotem. – Niepokoiłam się o ciebie.

– Ty mnie nawet nie znasz, Aubrey. Dlaczego w ogóle miałabyś się mną przejmować? – pytał uparcie.

Zamknęłam oczy. Potrzebowałam ucieczki od intensywności jego spojrzenia.

– Ja po prostu... chciałam ci pomóc. – Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego bez lęku.

– Przejmuję się tym, co się z tobą stanie. Wydaje się, że potrzebujesz kogoś, komu by

zależało. A mnie zależy, Maxx. Bardzo – powiedziałam niemal szeptem.

Maxx przełknął ślinę, a wargi mu zadrżały. Jego posiniaczoną twarz wykrzywił grymas, którego nie potrafiłam nazwać. Opuścił głowę i przycisnął swoje czoło do mojego. Nasze nosy otarły się o siebie.

– Nie powinno. Nie jestem tego wart, Aubrey – powiedział błagalnym głosem, który przypominał zduszone jęknięcie.

Powoli uniosłam rękę, by ostrożnie dotknąć jego twarzy, pogładziłam palcami jego policzek. Przycisnął twarz do mojej dłoni, najwyraźniej walcząc ze sobą.

– Jesteś tego wart, Maxx. Musisz to zrozumieć i uwierzyć w to.

Maxx chwycił mnie za rękę, otworzył oczy i wbił we mnie rozplómięte spojrzenie.

– Musisz wiedzieć, że jeśli postanowisz zrobić to razem ze mną, to nigdy nie zdołam pozwolić ci odejść. Nigdy – powiedział drżącym głosem i jakaś drobna część mnie przeraziła się jego obietnicą.

Ale większa część miała nadzieję, że będzie trzymał mnie mocno... już zawsze.

Wysunęłam dłoń z jego ręki i znów dotknęłam jego twarzy. Przesunęłam kciukiem po krzywiznie jego ust. Rozchylił wargi, pocałował opuszek palca i niepewnie dotknął go językiem.

Zadrżałam, ogarnięta falą emocji wyzwolonych tym zwykłym dotykiem.

– Maxx, pozwól mi sobie pomóc – poprosiłam, wiedząc, że powoli pokonuję mur, który wokół siebie zbudował.

Raptownie otoczył mnie ramionami i przyciągnął do siebie. Przycisnęłam ucho do jego piersi i usłyszałam, jak wali mu serce.

– Już mi pomagasz – powiedział, a jego głos zawibrował mi w głowie.

Cofnęłam się lekko, żeby na niego spojrzeć. Miał otwarte oczy i wyraz cierpienia na twarzy. Jakby nienawidził się za to, co robi, ale nie potrafił przestać.

– Dlaczego wyrządzasz sobie taką krzywdę? – zapytałam, delikatnie dotykając jego posiniaczonej twarzy.

Maxx nie odpowiedział. Chwycił mnie za rękę i wycisnął na niej pocałunek, po czym położył ją sobie na sercu. A potem objęliśmy się mocno i żadne z nas nie chciało puścić. Żadne nie chciało zakłócić ulotnej urody tej chwili brzydota rzeczywistości, w której żyliśmy.

Teraz mieliśmy przynajmniej to.

* * *

– Matka zmarła, kiedy ja miałem dziesięć lat, a Callum pięć. Rak. Niewiele pamiętam z okresu jej choroby. Mam jakieś mgliste wspomnienia, jak przez długie okresy leżała w łóżku i jak jeździliśmy do szpitala, żeby ją odwiedzić. Ale poza tym... Mam wrażenie, jakby mój umysł to wszystko po prostu wyparł. Myślę, że żyłem dalej, jakby nic się nie stało. Jakby żaden kataklizm nie nastąpił. – Maxx prychnął z obrzydzeniem, mocniej obejmując mnie ramionami.

Siedzieliśmy na kanapie, na której spędziliśmy ostatnie dwie godziny. Niedużo rozmawialiśmy, Maxx rzadko się odzywał, a ja niechętnie przerywałam ciszę, nie wiedząc, co się za chwilę wydarzy.

Sprawiał wrażenie, jakby czuł przymus tulenia mnie. Przesuwał palcami po moich włosach i miękko całował mnie w skroń. I to wszystko. Ale w tym momencie wydawało się, że nie potrzebuje nic więcej.

Mimowolnie wciąż zauważałam lekkie drgawki wstrząsające jego ciałem, nierówne bicie serca pod moją dłoń, cienką warstewkę potu na jego twarzy. Cały czas próbował się wygrzebać z koszmarnej głodu narkotykowego. Był chorobliwie blady i miał podkrążone oczy. Zwykle przejmująco niebieskie, teraz były matowe i apatyczne.

Przyzwyczałam się do ciszy, więc aż się wzdrygnęłam, kiedy się odezwał. W tym nagłym przerwaniu milczenia było coś obscenicznego.

– Jaki człowiek nie pamiętania konania własnej matki? – zapytał.

Nie wiedziałam, czy oczekiwał odpowiedzi, ale udzieliłam jej mimo wszystko:

– Byłeś dzieckiem, Maxx. Prawdopodobnie w ogóle nic nie rozumiałeś z tego, co się dzieje.

Maxx znów zamilkł. Czy w ogóle usłyszał, co powiedziałam? Jego uścisk nie zelżał ani na moment. Wbił mi palce w skórę, jakby próbował stopić nas ze sobą.

– Po tym wszystkim ojciec jakby zniknął z naszego życia. Był, ale go nie było. Dużo pracował, a opiekę nad Callumem przejąłem ja. Robiłem mu śniadania i kolacje. Pomagałem mu z pracami domowymi. Pilnowałem, żeby miał czyste ubranie i kładł się do łóżka o właściwej porze. Stałem się za niego odpowiedzialny. W wieku pięciu lat stałem się matką i ojcem jednocześnie.

Nie miałam pewności, co właściwie spodziewałam się od niego usłyszeć. Wymyśliłam tysiące powodów, dla których mógł się stać tym, kim był. Co go pchnęło ku temu mrocznemu światu, w którym żył? Nie przypuszczałam jednak, że usłyszę historię o chłopcu, który stracił rodziców i zmuszony był zbyt szybko wydorosnąć.

Choć oczywiście się domyślałam, że jego przeszłość nie była szczególnie różowa. Maxx za wiele ukrywał, by jego dzieciństwo mogło być sielankowe.

Widziałam, jak był opiekuńczy w stosunku do Calluma. Ewidentnie czuł się za tego chłopca odpowiedzialny. Historia Maxxa, mimo że niezwykle smutna, dawała też pewną nadzieję na przemianę.

– A później, dwa tygodnie po tym, jak zacząłem chodzić do liceum, na atak serca zmarł ojciec. Nie wiem, czy kiedykolwiek go naprawdę znałem. W każdym razie nie znałem osoby, którą był przed śmiercią mamy, kiedy jeszcze nie pogrążył się w żałobie i depresji. Chryste, nie wiem, o czym ja w ogóle mówię – wymamrotał, przeczesując dłońmi włosy, a drugą ręką nadal mocno przytulając mnie do siebie. Widziałam, że próbuje uporządkować sobie wszystko w głowie, próbuje znaleźć słowa, którymi chce się ze mną podzielić. – Po tym zdałem sobie sprawę, że można wylądować jeszcze gorzej. Szambo, w którym tkwiliśmy przed śmiercią taty, było niczym w porównaniu z tym, w które wladowaliśmy się po tym, jak zmarł – powiedział Maxx lekko załamującym się głosem. – Mój wuj, David, nigdy nie uczestniczył w życiu rodziny. Ledwie sobie uświadamiałem, że w ogóle istnieje. Był młodszym bratem mojej mamy. Kiedy z nim zamieszkaliśmy, stało się raczej jasne, dlaczego nigdy go nie poznaliśmy. To wyjątkowy dupek. Gorzej: to samolubny, sadystyczny dupek. Facet, który czerpie przyjemność z traktowania innych jak śmieci, jeśli tylko może sobie ułatwić w ten sposób życie. Przyznano mu opiekę nad Callumem i mną, bo nie było nikogo innego. Wszyscy nasi dziadkowie nie żyją, a mój ojciec był jedynakiem. Pozostawał więc

tylko David. Najpierw odmówił wzięcia nas do siebie, ale potem się zorientował, że jak nas weźmie, to aż do skończenia przez nas osiemnastu lat będzie kasował co miesiąc naszą sumkę zapomogi socjalnej i cholernie szybko zmienił zdanie. Pieprzony kutas zabrał nasze pieniądze i dopilnował, żebyśmy nigdy nie ujrzeli ani centa. Powiedział, że jesteśmy mu to winni – warknął Maxx.

Ujęłam go za rękę i się splotły nasze palce.

– Przykro mi, Maxx – powiedziałam szczerze, mając nadzieję, że nie brzmi to protekcyjnie. W słowach „przykro mi” było coś groteskowego. Jakbym mogła w jakikolwiek sposób odczuć, przez co przeszedł. Mimo całego bagna, w którym tkwiłam wraz z rodzicami od śmierci Jayme, nie rozumiałam, co to znaczy być niechcianym i niekochanym.

Do śmierci Jayme moje dzieciństwo było niemal sielankowe. Miałam rodziców, którzy dawali mi wszystko. Nie potrafiłam sobie wyobrazić uczucia opuszczenia i izolacji, które musiało towarzyszyć Maxxowi. Ani konieczności wzięcia na siebie roli rodzica, kiedy samemu było się jeszcze dzieckiem.

W ciągu ostatnich kilku lat relacja, jaka kiedyś łączyła mnie z rodzicami, została poważnie nadwątlona. Ale teraz zaczęłam się zastanawiać, kto był temu winien. Czy odpowiedzialność leżała całkowicie po stronie moich rodziców, jak zdołałam to sobie wmówić? A może byłam zbyt zatopiona w swoim egoistycznym żalu, by dostrzec, że odpycham od siebie dwoje ludzi, którzy mnie najbardziej kochali?

Uzmysłowienie sobie mechanizmów działania własnej psychiki przeraziło mnie. Wstrząsało do głębi podstawami jestestwa. Jakie to dziwne, że to właśnie ten popieprzony koleś, któremu życie tak dokopało, skłonił mnie do zrewidowania wiedzy na temat samej siebie.

I mógł mnie skłonić do podważenia całego mojego dotychczasowego wyobrażenia o świecie.

– Po prostu chcę się zatroszczyć o własnego brata. Nigdy nie zależało mi na niczym więcej. Ale David jest jego opiekunem prawnym i szantażuje mnie tym przy każdej sposobności. Próbuje pilnować, żeby Callum miał pieniądze na życie, ale kończy się na tym, że David mu je zabiera. Jakbym mógł, zabiłbym drania. Rozważałem już tyle sposobów usunięcia tego kutasa z naszego życia... Czasem ogarnia mnie bezsilny gniew. – Maxx szarpnął materiał swojej koszulki na piersi. – To boli. To tak cholernie boli. Nie potrafię myśleć o niczym innym. Nienawiść zjada mnie żywcem. Nienawidzę Davida za to, że wykorzystuje mnie i mojego brata. Nienawidzę rodziców za to, że mnie zostawili. Czasem nienawidzę nawet Calluma za to, że tak bardzo na mnie liczy. A przede wszystkim nienawidzę samego siebie. Bo jestem słaby i egoistyczny. Bo nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za troszczenie się o kogokolwiek z wyjątkiem siebie. Chcę po prostu przeżyć swoje życie dla siebie i dla nikogo innego. Nienawidzę poczucia, że w głębi serca tak właśnie myślę. Nienawidzę tego, że mam żal do Calluma i moich rodziców za to, że obarczyli mnie tak cholerną odpowiedzialnością, niezależnie od tego, czy taki mieli zamiar, czy nie. Czuję się, jakbym tonął. Jakby nie było już dla mnie ratunku.

Twarz Maxxa wykrzywiła się w wyrazie głębokiego smutku i pogardy, a mnie prawie pękło serce. Boże, zrobiłabym wszystko, by oszczędzić mu tego bólu.

– Jak trafiłeś do Compulsion... robiąc... to, co robisz? – zapytałam ostrożnie, niepewna,

w jaki sposób sformułować pytanie, które chciałam mu zadać.

Chciałam się dowiedzieć, w jaki sposób dostał się w tryby tego mrocznego i przerażającego miejsca. W jaki sposób poczuł się tak swobodnie w miejscu, które wydawało się wysysać z człowieka ostatnie siły, nie pozostawiając mu nic z wyjątkiem goryczy.

– Znam Marca od bardzo dawna. Poznaliśmy się już w szkole, chociaż jest ode mnie kilka lat starszy. Po śmierci ojca, kiedy razem z Callumem zamieszkaliśmy u Davida, byłem w dość popieprzonym momencie życia. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Wpadłem w depresję. I wtedy Marco dał mi ulotkę Compulsion. Wprowadził mnie i przedstawił Gashowi, który zarządza klubem. Chciałem gdzieś przynależeć, robić coś, dzięki czemu poczuję się lepiej. Zaczęło się raczej zwyczajnie. Co miesiąc pomagałem Vinowi wynajdywać kolejne miejsca na klub. Płacono mi całkiem przyzwoite pieniądze, ale to nie wystarczało na zaspokojenie potrzeb Calluma. I wtedy przyjęto mnie na Uniwersytet Longwood. Złożyłem podanie pod wpływem impulsu, przekonany, że nie ma siły, żebym faktycznie zaczął chodzić na studia, nawet gdyby mnie przyjęli. Ale potem przyszedł list i pomyślałem sobie, że, kurczę, to mogłaby być moja szansa wydostania się stąd, stworzenia jakiegoś życia dla Calluma. Ale studiowanie kosztuje. I to sporo. Nie byłem w stanie opłacić czesnego i wynajmu mieszkania, a do tego jeszcze troszczyć się o potrzeby Calluma, z tych niewielkich pieniędzy, jakie zapewniało mi wyszukiwanie nowych lokalizacji. I wtedy sobie uzmysłowiłem, że mógłbym zarobić dużo więcej dzięki sprzedaży klubowych narkotyków. No wiesz, trochę ekstazy, trochę oxy, odrobina kokainy, może nieco cranku. Zanim się zorientowałem, spałem już na pieniądzach. Gash dawał mi narkotyki, a ja je odsprzedawałem, zabierając swoją dolę. Dzięki temu zacząłem prowadzić takie życie, jakiego zawsze chciałem. Żyłem na własnych warunkach, nikt mi nic nie narzucał. Byłem panem świata. – Spojrzenie Maxxa się zamgliło. Pokazywał mi szerszą perspektywę i poczułam, że wreszcie dostałam szansę zobaczenia, kim tak naprawdę był. Żadnych pozorów. Żadnych złudzeń. To był Maxx. Prawdziwy Maxx. – Pierwszy raz w życiu doświadczyłem tego, że ludzie szukali ze mną kontaktu. Chcieli ze mną przebywać. Podobało im się to, co im oferowałem. I tylko ja mogłem im to dać. Po raz pierwszy od lat byłem kimś znanym. Potrzebnym. Poszukiwanym. – Twarz Maxxa rozświetliła się fanatycznym blaskiem i zrozumiałam, że jakaś część jego osobowości karmiła się tą władzą, niezależnie od tego, jak była zła. Stawiała przed nim cel, chociaż dość nieciekawym. – Lubię to poczucie, Aubrey. Nie będę za to przeproszał i nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia. Dzięki temu mogę się zatroszczyć o brata i mam dach nad głową, mogę zostać w szkole i spróbować coś zrobić z tym gównianym życiem, jakie zostało mi dane – powiedział obronnym tonem.

– Naprawdę sprawiało ci przyjemność to, jak się czułeś przez ostatnie dwa dni? Robisz sobie krzywdę, Maxx – próbowałam perswadować. Podniosłam jego rękę do ust i pocałowałam kostki jego dłoni, układając się tak, żeby się o niego oprzeć. – Nie potrzebujesz tego, żeby się dobrze ze sobą poczuć. Masz znacznie większy potencjał, niż sądzisz.

Maxx zaśmiał się ponuro, lekko się ode mnie odsuwając. Choć zrobił to bardzo dyskretnie, poczułam się tak, jakby nagle zaczęły nas dzielić lata świetlne.

– Wiem, co myślisz. Widzę, jak na mnie patrzysz. Jak zawsze na mnie patrzysz. Wiem, że

uważasz mnie za jednego z wielu popieprzonych ćpunów. Sądzisz, że nie mogę funkcjonować bez narkotyków. Że gdybym musiał, to za działkę bez wahania bym komuś obciągnął. – Staralam się nie skulić na ten wybuch gniewu. Maxx był naprawdę wkurzony. – Ale ja taki nie jestem, Aubrey. Nie jestem jakimś nagrzanym crankiem potworem, który budzi się z rana, myśląc wyłącznie o tym, gdzie i kiedy złapać jakiś odlot. Mogę funkcjonować bez tego. Większość życia zdołałem przeżyć bez tego. Mogę przestać, kiedy tylko zechcę. Ale dlaczego miałbym chcieć, jeśli może mi to dać coś, czego nie jest mi w stanie dać nic innego?

Zdezorientowana zmarszczyłam brwi. O czym on mówił? Nie rozumiałam. Nie mogłam nawet udawać, że rozumiem. W ogóle nie pojmowałam toku jego myślenia. Ale widziałam, że w jego przekonaniu wszystko to było absolutnie logiczne.

– Dzięki temu mogę nie myśleć, Aubrey! A dla takiego gościa jak ja myślenie jest przekleństwem! Potrzebuję spokoju – tłumaczył jak najbardziej oczywistą rzecz na świecie.

Chciałam nim potrząsnąć. Chciałam palnąć go w łeb i powiedzieć mu, żeby się obudził i zobaczył, w jakim stanie jest świat, w którym żyje. Pokazać mu, że za kilka chwil spokoju płaci ogromną cenę. Mógł nie pamiętać potwornie chorej, półprzytomnej osoby, którą był dwie noce temu, ale ja pamiętałam! Miałam okazję się przekonać, że te prochy nie dawały mu spokoju, lecz popychały go coraz bardziej ku całkowitemu samounicestwieniu.

Naprawdę sądził, że nie ma żadnego problemu. Miał jasną wizję tego, co oznaczało bycie ćpunem, i w jego pojmowaniu zupełnie się nie kwalifikował. A ja wiedziałam, że jego złudzenia go zniszczą.

Przypomniałam sobie człowieka, który leżał zwinięty w kłębek na jego łóżku, rzygając na podłogę, trzęsąc się i pocąc, kiedy organizm wydalal pozostałości narkotyków. I to, jak mnie później przeklinał i groził, kiedy nie mógł dostać działki, której w swoim mniemaniu potrzebował. To nie był człowiek, który mógł przestać brać, gdyby tylko naszła go chęć.

Jego psychika nie pozwoliłaby mu odstawić dragów. Nie miałam cienia wątpliwości, że nie pozwoliłoby mu na to również ciało. Był uwięziony w swoim uzależnieniu, czy sobie zdawał z tego sprawę, czy nie. A wypierając to, tym bardziej się w nim zatrząskiwał.

Ale nie kłóciłam się z nim. To nie miałoby sensu. Nie można pomóc komuś, kto nie chce pomóc sam sobie. Mogłam tylko trwać przy nim, mając nadzieję, że powstrzymam go od zaprzepaszczenia całego życia. Że będę tam, kiedy się przewróci, i podniosę go, kiedy upadnie na samo dno.

Musiałam to zrobić. Dla niego. I dla siebie.

Słuchając wywodów Maxxa, widziałam moją siostrę wołającą o pomoc, której nigdy jej nie udzieliłam. Nie tym razem. Będę trzymać Maxxa ze wszystkich sił i przetrwam tę burzę razem z nim.

– Chcę być facetem, który potrafi zatroszczyć się o swojego brata. Facetem, który potrafi iść naprzód i ocalić pieprzony świat, jak wierzyła w to moja matka. Ale lubię też być tym drugim, tym, który nie pozwala, by cokolwiek go dotknęło. Którego nie można wpędzić w przygnębienie. Facetem, który może być, kim zechce. Dla ciebie – powiedział Maxx z takim przekonaniem, że nietrudno było uwierzyć w to, że mógłby stać się każdą z tych postaci, gdyby tylko zapragnął. Ale za jaką cenę?

– A dlaczego nie możesz być po prostu Maxxem Demelo? Całkiem podoba mi się ten gość – powiedziałam, kładąc mu dłoń na karku.

Maxx uśmiechnął się pogardliwie cieniem tak dobrze mi znanego grymasu.

– Ale przecież mogę stać się dla ciebie kimś o wiele bardziej znaczącym. Chcę być wszystkim, czego kiedykolwiek mogłabyś pragnąć.

Pokręciłam głową, nie pojmując, skąd wytrzasnął tę koncepcję. Dlaczego miał poczucie, że musi się okazać nadczłowiekiem? Dlaczego nie potrafił być szczęśliwy we własnej skórze?

– Chcę po prostu ciebie – powiedziałam, mając nadzieję, że mnie usłyszy.

– A ja chcę ciebie, Aubrey. Całej ciebie. Każdej najmniejszej, idealnej części. Chcę, żebyś należała do mnie, tylko do mnie, żebyś nigdy nie mogła odejść. Proszę, nie odchodź – wyszeptał, a błaganie uwięzło mu w gardle.

Boże, jak mogłam mu czegokolwiek odmówić? Praktycznie wciskał mi swoje serce, upierając się, bym je wzięła. Nie pozostawiał mi wyboru. A nawet gdybym dostała taki wybór... Wiedziałam, jaką podjęłabym decyzję. Trzymałabym go ze wszystkich sił razem z jego sercem i duszą.

Oto miałam przed sobą mężczyznę, który rozpaczliwie próbował uciszyć zagubionego chłopca siedzącego w jego wnętrzu, przerażonego, że zostanie porzucony lub okaże się niewystarczająco dobry.

Żałowałam, że nie potrafię mu pokazać cudownej osoby, którą był, bez wszystkich tych naddatków, które tylko wykrzywiały obraz.

Nachyliłam się i pocałowałam go w opuchnięte oko, po czym powoli zsunęłam się wargami po jego policzku. Maxx wciągnął mnie w swoją orbitę i nie było już ucieczki.

Miałam tylko nadzieję, że nie pożałuję kiedyś decyzji, że przy nim zostałam.

Serce mnie zdradziło.

Uczyliło mnie więzieniem cyklonu gwałtownych emocji, których wcześniej nie znałam.

Troszczenie się o Maxxa, obserwowanie jego brutalnych zmagania z nałogiem, coś we mnie zmieniło. Przestałam patrzeć na niego jak na człowieka, którego wizerunek chciał mi zaprezentować, a zaczęłam patrzeć jak na osobę, którą naprawdę był. Dostrzegłam smutnego, samotnego, przestraszonego chłopca, który tak wiele stracił, a teraz próbował zachować resztki kontroli, które mu jeszcze zostały.

Obserwowanie go w najgorszym możliwym stanie z niewyjaśnionych przyczyn sprawiło, że spojrzałam na niego z większą łagodnością. Runął ostatni fragment otaczającego mnie, dotychczas nieprzebitego muru. Zmiana się dokonała. Nie myślałam już tylko o naprawieniu go. Moje uczucia stały się znacznie bardziej skomplikowane. Bardziej pogmatwane.

I znacznie, znacznie głębsze.

I chociaż nadal truchlałam, gdy granice naszej relacji poszerzały się niebezpiecznie, by zrobić miejsce na tę nową rzeczywistość, to byłam jej ciekawa. Pragnęłam jej. Pragnęłam jego.

Powinam być czujna i ostrożna, a tu proszę, rzucałam się w ten odurzający i absorbujący związek z chłopakiem, którego spotkałam w najbardziej skandalicznych okolicznościach.

Gdzie była ta dziewczyna, która obawiała kompromitacji? Najwyraźniej ustąpiła miejsca tej, która po raz pierwszy w życiu odkrywała prawdziwą, emocjonalną więź.

Wiedziałam, że postępuję źle. Łapałam już paranoję, że zostanę nakryta. Że znajomi z zajęć przyłapią mnie na robieniu czegoś, czym zdecydowanie nie miałam się zajmować.

Nie mogłam się jednak powstrzymać.

Wyjście z mieszkania Maxxa oznaczało nagłe zderzenie z rzeczywistością. Przez dwa dni żyłam w zamkniętej bańce, zapominając o istnieniu kogokolwiek i czegokolwiek na zewnątrz. Łatwo było zapomnieć o tak trywialnych sprawach jak zajęcia uniwersyteckie czy przyjaźnie, kiedy było się w świecie Maxxa. Tak szybko mnie pochłonął.

Rzeczywistość wymierzyła mi jednak brutalny policzek, kiedy wychodząc, zdałam sobie sprawę, że tego wieczoru będę musiała zmierzyć się z Maxxem w zupełnie innym otoczeniu. Takim, które najprawdopodobniej będzie męczące i trudne. I zdecydowanie niezręczne.

W grupie wsparcia.

Kiedy wróciłam z mieszkania Maxxa, zastałam w domu Renee. Przez ostatnie dwa dni pisałam do niej esemesy, usprawiedliwiając swoją nieobecność na zajęciach. Nie kwestionowałam tych wyjaśnień. I wcale tego od niej nie oczekiwałam. Zbyt była zajęta próbą skierowania własnego rozchwianego życia na właściwe tory po tym, jak Devon wreszcie zniknął z pola widzenia.

Ucieszyła się na mój widok, a mnie potwornie kusiło, żeby jej opowiedzieć o Maxxie.

O tym, co się z nim stało w klubie i dlaczego nie było mnie w domu przez ostatnie dwa dni.

Dawno, dawno temu prawdopodobnie tak właśnie bym postąpiła. Ale biorąc pod uwagę chwiejność fundamentu, na którym opierała się nasza przyjaźń, fatalnie się czułam z myślą o opowiedzeniu jej o Maxxie.

Równie fatalnie czułam się, kłamiąc – patrząc jej w twarz i opowiadając stuprocentowo nieprawdziwą historię. W gruncie rzeczy nie miałam jednak wyboru.

Renee wspomniała, że kilkakrotnie wpadł Brooks, który sprawiał wrażenie zdecydowanie mało uradowanego. Wyglądała, jakby chciała mnie o to zapytać, ale na szczęście tego nie zrobiła.

Kolejna część mojej historii, której nie chciałam opowiadać. I tak lada chwila musiałam się zmierzyć z Brooksem i jego pełną urazy dezaprobatą.

Telefon zadzwonił w chwili, w której szłam właśnie przez teren uniwersytetu w kierunku budynku psychologii na zajęcia grupy, które miały się odbyć tego wieczoru. Byłam zaskoczona, widząc na ekranie numer Kristie Hinkle.

– Halo? – powiedziałam, odebrawszy połączenie.

– Aubrey. Cieszę się, że cię złapałam. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale dziś wieczorem będziesz musiała zostać główną prowadzącą.

O cholera!

– Dlaczego? – zapytałam bez ogródek, wzdygając się z powodu własnego grubiaństwa, ale ta wiadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

Kristie zakaszłała z głębi płuc.

– Jestem chora – odpowiedziała krótko, choć za odpowiedź wystarczył mi już jej kaszel.

– Nie możemy odwołać? – zapytałam, mając nadzieję, że ma wystarczająco wysoką gorączkę, żeby się na to zgodzić. Oglądanie Maxxa tak szybko po tym wszystkim, co się wydarzyło, do tego w tak wymagającym otoczeniu, sprawiało wrażenie przepisu na katastrofę.

Do niedawna mogłabym jeszcze polegać na mojej umiejętności zachowania beznamietnego profesjonalizmu, ale w chwili, w której dopuściłam do głosu uczucia i wpuściłam Maxxa do swojego życia, wszelkie elegancko skonstruowane ograniczenia samobójczo wyskoczyły oknem.

Nie ufałam sobie... Ani trochę.

Obawiałam się, że nie będę potrafiła spojrzeć na Maxxa podczas zajęć grupy i nie zobaczyć chłopaka, który wdarł się w moje życie i zawładnął moim sercem. Nie otrząsnęłam się jeszcze po tym, jak uzmysłowiłam sobie, jak bardzo zmieniły się moje uczucia do niego.

Czy jeszcze kiedykolwiek zdołam potraktować go jak każdego innego członka grupy? Przecież z całą pewnością różnił się od pozostałych.

Pogrążyłam się w jednym wielkim chaosie, a moje życie kompletnie wymknęło się spod kontroli.

– Nie, nie ma takiej możliwości. Nie możemy zaburzyć przebiegu pracy w grupie, zwłaszcza w tym momencie. Musisz dzisiaj przejąć dowodzenie, Aubrey. Wierzę, że zapoznałaś się z planem dzisiejszych zajęć – powiedziała Kristie pomiędzy kolejnymi napadami kaszlu. Fuj!

– Tak, tak. Przejrzałam to w zeszłym tygodniu – odpowiedziałam, odchrząkując.

Nie było wyjścia, należało zjeść tę żabę. No, Aubrey, jesteś dużą dziewczynką.

– Naprawdę sędzę, że to może być dla ciebie ogromna szansa zdobycia cennego doświadczenia w zakresie prowadzenia grupy. Począwszy od dzisiejszego wieczoru, prace grupy będzie obserwował również inny student psychoterapii. W razie potrzeby włączy się – nadawała Kristie. Bla, bla, bla.

I wtedy uzmysłowiłam sobie, co powiedziała.

– Inny student? – zapytałam.

No pięknie, ktoś jeszcze będzie świadkiem mojego upokorzenia.

– Doktor Lowell zadzwoniła do mnie jakiś czas temu, żeby powiedzieć, że jeden z uczestników jej sympozjum dla studentów ostatniego roku potrzebuje kilku dodatkowych godzin obserwacji do uzyskania dyplomu i poprosił o możliwość przyglądania się pracom grupy przez resztę semestru. Nie miałam jeszcze okazji go poznać i zapisałam jego imię na kartce, ale zostawiłam ją w biurze.

Najwyraźniej świat lubił ze mną pogrywać. Jakimś sposobem stałam się przedmiotem wielkiego kosmicznego żartu. A zatem powinnam doskonale wiedzieć, kim okaże się ten student.

Kiedy kilka minut później weszłam do klasy i natknęłam się na Brooksa rozstawiającego krzesła, mogłam już tylko roześmiać się z groteskowości własnego życia.

– Co robisz? – zapytałam, próbując stłumić wybuch niemal histerycznego śmiechu.

Brooks podniósł wzrok i obrzucił mnie swoim ulubionym ostatnio spojrzeniem, które wyraźnie mówiło: jesteś kompletnie popieprzona.

– Kristie do ciebie nie dzwoniła? – zapytał chłodno.

Jego chłód sprawił, że uśmiech zamarł mi na ustach.

– To ty jesteś tym studentem ostatniego roku? – zapytałam głupkowato.

– Najwyraźniej – wymamrotał, odwracając ode mnie twarz. Dystans pomiędzy nami stawał się niezręcznie znajomy. Nienawidziłam tego, że przyzwyczajałam się do jego chłodnej obojętności. Że coraz częściej doświadczałam jego nieprzejednanej niechęci i rozczarowania.

– No cóż, to świetnie – skłamałam.

Brooks z głośnym stukotem postawił ostatnie krzesło na podłodze i odwrócił się do mnie.

– Gdzie byłeś przez ostatnie dwa dni, Aubrey? Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Kilka razy wpadłem do twojego mieszkania, ale Renee powiedziała, że masz do zrobienia jakieś prace na zajęcia – powiedział z przekąsem. Był naprawdę wściekły. – Jasne, jeśli prace na zajęcia to w języku Aubrey ten ćpun, z którym cię widziałem w sobotnią noc. Może byś wyjaśniła, o co, do diabła, w tym wszystkim chodzi? – Brooks przeszedł przez salę, po czym stanął dokładnie na wprost mnie. Nigdy nie budził we mnie onieśmielenia. Agresja nie leżała w jego naturze. Teraz jednak miałam ochotę wymierzyć mu kolanem cios w podbrzusze i wybiec z sali. Nie podobało mi się, jak na mnie patrzył. Jakbym właśnie nadawała z planety Podejmuję Głupie Decyzje.

– Um... – zająknęłam się.

Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa. Ostatnio nie wygłaszałam nic innego.

Brooks wziął mnie za rękę, a twarz mu złagodniała.

– Aubrey, zawsze możesz ze mną porozmawiać – perswadował, masując kciukiem grzbiet mojej dłoni. Otworzyłam usta, niepewna, jakie wypłyną z nich słowa.

Być może wyznałabym mu całą brudną prawdę. A może trzymałabym się uparcie

historyjki z pracami na zaliczenie?

A może zaczęłabym mówić językami, obracając głowę o trzysta sześćdziesiąt stopni?

Zanim zdążyłam się przekonać, ktoś odchrząknął.

Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam Maxxa z rękami skrzyżowanymi na piersiach, opierającego się o framugę. Spotkaliśmy się wzrokiem i powietrze między nami zadrgało z gorąca. Wyglądał lepiej. Ciemne kręgi pod oczami nie były już tak wyraźne, a skóra straciła niezdrowy, ziemisty odcień.

Maxx strzelił wzrokiem w kierunku mojej dłoni, nadal spoczywającej w uścisku Brooksa, a ja natychmiast ją cofnęłam. Spojrzałam szybko na Brooksa, który zmrużył oczy.

Maxx wszedł do sali i zajął to samo krzesło co zwykle, nie spuszczając ze mnie wzroku. Nerwowo oblizałam wargi, nagle zaschło mi w gardle. Gorąca fala oblała mi policzki i szyję, i nie miałam już żadnych wątpliwości, że dzisiejszy wieczór będzie lekcją stosowania uników.

Brooks podszedł do Maxxa i wyciągnął rękę.

– Nazywam się Brooks, będę obserwatorem na dzisiejszych zajęciach. Jak masz na imię?

Phi, jakby nie wiedział.

Maxx spojrzał na wyciągniętą rękę Brooksa i z powrotem przeniósł wzrok na mnie, całkowicie go lekceważąc.

Kiedy stało się jasne, że Maxx nie zamierza odpowiedzieć, cisza stała się niemal ogłuszająca.

– To jest Maxx Demelo – odpowiedziałam pośpiesznie za niego.

Brooks wygiął wargi w wyrazie szyderstwa, po czym odwrócił się plecami do Maxxa. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał złudzeń. Zamierzał dopilnować, by sytuacja zrobiła się tak trudna i niezręczna, jak to tylko możliwe.

No to rewelacja.

Na szczęście chwilę później pojawiła się reszta członków grupy. Brooks przechodził od jednej osoby do drugiej i przedstawiał się, a ja mogłam tylko podziwiać, z jaką łatwością nawiązywał z nimi kontakt. Nawet z Evanem i April. Zagajał rozmowę, a oni odpowiadali znacznie mniej zjadliwie, niż miałam to okazję zwykle obserwować. No jasne. Brooks był urodzonym psychoterapeutą.

Urodzonym wrzodem na moim tyłku.

Po tym jak wszyscy zajęli miejsca, poinformowałam ich, że Kristie jest chora i tego wieczoru to ja poprowadzę zajęcia grupy. Twyla prychnęła i przewróciła oczami, ale reszta powstrzymała się od jakiegokolwiek reakcji. Poczułam ulgę. Nie spodziewałam się ulicznych zamieszek, ale mimo wszystko liczyłam się z szykanami, z którymi zwykle spotykają się nauczyciele przychodzący na zastępstwo.

Rozpoczęłam dyskusję na temat faz procesu wychodzenia z nałogu. Znałam ten temat na wrywki.

Poruszałam ustami, słowa płynęły wartko, a mózg toczył desperacką bitwę.

Moja siła woli słabła i załamywała się pod intensywnością spojrzenia Maxxa.

„Nie patrz na Maxxa!” – strofowałam się raz za razem.

Próbowałam zignorować uczucie mrowienia, które ogarnęło mnie, kiedy rozdając arkusze zadań przeznaczonych na dzisiejszy wieczór, przypadkowo otarłam się palcami o jego dłoń.

Ponosłam rozpaczliwą porażkę.

– Dziś wieczorem napiszecie list do samego siebie. Pomyślcie o tym, gdzie chcielibyście się znaleźć za sześć tygodni, sześć miesięcy, sześć lat. Opiszcie wyzwania, które przed sobą widzicie, ale również sukcesy, jakie udało się wam odnieść. Powinniście również zamieścić jakieś pozytywne przesłanie do samego siebie. Wiadomość, którą wasze przyszłe ja chciałoby usłyszeć. Bądźcie uczciwi. I realistyczni – powiedziałam.

– Czy mogę dostać jeszcze jedną kartkę? – zapytał Maxx.

Odchrząknęłam i odpowiedziałam ledwie dosłyszalnym:

– Jasne...

Wręczyłam mu kartkę, a kiedy ją brał, umyślnie pogładził palcami skórę we wnętrzu mojej dłoni. Przedłużał dotyk, wpijając się we mnie wzrokiem. Otaczające nas ściany jakby się cofnęły, byliśmy tylko my.

– Aubrey! – zawołał Brooks, przywołując mnie z powrotem do rzeczywistości. Natychmiast cofnęłam rękę, jakby dotyk Maxxa mnie napiętnował.

Twarz Maxxa pociemniała. Spojrzał na Brooksa, który obserwował nas jak jastrząb. Spojrzenie Maxxa było mordercze.

– Czy mogę dostać papier i ołówek? – zapytał Brooks oschle, unosząc brwi.

Maxx otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale uprzedziłam go, zanim zdążył się odezwać.

– Proszę – powiedziałam, wciskając mojemu przyjacielowi kartkę do ręki. Brooks przyjrzał mi się z błyskiem w oku.

– Dzięki – mruknął.

Wróciłam na swoje krzesło i zaczęłam robić jakieś absurdalne notatki w notesie, próbując uspokoić walące serce. Nikt się nie odzywał. Słysząc było jedynie zgrzytanie grafitów po papierze.

Obserwowałam Maxxa możliwie ukradkowo, ale wydawał się kompletnie pochłonięty pisaniem swojego listu.

Kiedy czas minął, rozdałam koperty i poinstruowałam wszystkich, by włożyli swoje listy do środka i napisali na kopertach swoje adresy. Kristie wyjaśniła mi, że na koniec zajęć wyśle im te listy do przeczytania.

– Co za pieprzony idiotyzm – oznajmił Evan, kiedy zbierałam od nich listy.

No i proszę. Powinna być wiedzieć, że nie uda mi się dobrać do końca zajęć, zanim Pan Przyjemniaczek nie postanowi podzielić się ze wszystkimi swoją opinią.

Starałam się powstrzymać od przewrócenia oczami. I szczerze mówiąc, nawet mi się udało. Ale opanowanie się przyszło mi z najwyższym trudem.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytałam go bezceremonialnie i widziałam, że go to wkurzyło.

– Jakby jakiś pieprzony list mógł zmienić to, co robimy z naszym życiem. Ten psychobelkot nic tu nie zmieni. A wy, pruderyjne cizie prawiące nam kazania o tym, co powinniśmy, a czego nie powinniśmy robić, mogłybyście się wreszcie odpieprzyć i zająć sobą – wypalił.

Pozostali zamruczeli z aprobatą, a ja poczułam, jak twarz zaczyna mi płonąć.

Wyciągnęłam rękę, żeby wziąć od niego list, odmawiając wdawania się z nim w dyskusję. Oddychaj głęboko, Aubrey. Nerwy na wodzy. Zignoruj go. Powtarzałam to sobie w głowie jak mantrę.

Wiedziałam, że Evan oczekuje ode mnie jakiejś reakcji. Czekał na tę kłótnię. A ja byłam

zdecydowana nie dać się sprowokować, nawet jeśli przychodziło mi do głowy kilka ostrych, barwnych uwag, które chętnie bym wygłosiła.

Evan patrzył na mnie uporczywie, postukując kolczykiem, który miał w języku, o dolne zęby.

– Nie dam ci tego – powiedział gniewnie.

April popatrywała nerwowo to na mnie, to na swojego chłopaka.

Cofnęłam dłoń.

– Twój wybór – powiedziałam łagodnie, podchodząc po list kolejnej osoby.

– Nie weźmiesz żadnego z naszych listów – ogłosił Evan, wstając.

Wyprostował się na pełną wysokość, najwyraźniej starając się mnie onieśmielić.

No dobrze, może mu się to nawet w pewnej mierze udało. Zwłaszcza że wyglądało na to, że nikomu się nie spieszy, żeby zainterweniować. Wielkie dzięki, kochani.

– Ta decyzja nie należy do ciebie, Evan – odpowiedziałam, wyraźnie wymawiając słowa i patrząc mu w oczy.

Było istotne, by nie okazywać słabości, nie dać mu poznać, że mnie dotknął. Chociaż tak było. Wzbudzał we mnie niepokój. Zdecydowanie nie zachowywał się w sposób zrównoważony.

Evan wytrącił mi plik listów z ręki i kopnął je nogą tak, że znalazły się poza moim zasięgiem.

– Pieprzyć to bzdety! – warknął.

Brooks momentalnie zerwał się na nogi i stanął u mego boku. Uniósł rękę uspokajającym gestem.

– Może dajmy sobie, Evan, chwilę na uspokojenie – powiedział kojącym głosem, angażując w to wszystkie terapeutyczne supermoce, które rozwinął w sobie w ciągu ostatnich czterech lat.

No cóż, najwyraźniej słowo „uspokojenie” wywarło na Evana wpływ zgoła przeciwny. Kopnął w krzesło, które z trzaskiem poleciało na podłogę. Był coraz bardziej pobudzony, a oczy niemal wyskakiwały mu z orbit. Kiedy przyjrzałam mu się uważniej, stało się jasne, że i on, i April coś brali przed spotkaniem.

A zatem odwoływanie się do logiki i zdrowego rozsądku nie miało prawa przynieść oczekiwanych rezultatów.

– Evan, myślę, że pora, żebyś stąd wyszedł – powiedział Brooks zdecydowanie, przesuając się nieznacznie w stronę krańcowo pobudzonego Evana.

April próbowała położyć dłoń na ramieniu swojego chłopaka, ale strząsnął ją z taką siłą, że dziewczyna aż się zachwiała. Reszta członków grupy zaczęła się powoli odsuwać. Tchórze.

– Wyjdę, jak będzie mi się, kurwa, chciało! – wrzasnął Evan, a ślina trysnęła mu z ust. Wyglądał na kompletnie obłąkanego. Gotowego wyrządzić poważną krzywdę... twarzy Brooksa i mojej.

Zrobił jeden przerażający krok w moją stronę, a ja mimowolnie się cofnęłam. Nie obchodziło mnie, że okazuję w ten sposób słabość i obwieszczęm właśnie wszem wobec, że boję się tego kolesia jak cholera. Instykt samozachowawczy wziął górę i moja potrzeba odsunięcia się od niego przeważyła nad wszystkim innym.

Zanim Evan zdążył zrobić następny krok, Maxx chwycił go za przód koszulki i cisnął nim

o ścianę. Przycisnął mu szyję ramieniem i naparł, a wyraz twarzy miał tak przerażający, że Evan natychmiast przestał stawiać opór.

– Nigdy! Nigdy, kurwa, tak do niej nie mów! – Maxx jeszcze raz naparł ramieniem na gardło Evana, aż ten zaczął się krztusić. – Słyszysz mnie, gnoju? Jeśli kiedykolwiek ją tkniesz, zabiję cię! – ryknął.

Evan wzdrygnął się i zapał do walki opuścił go całkowicie. April łkała na krześle, a reszta członków grupy obserwowała z rozdziawionymi ustami rozwój wydarzeń.

Brooks chwycił Maxxa za ramię i zaczął go odciągać.

– Zostaw go, Maxx! Natychmiast! – wrzasnął, ale Maxx nawet nie drgnął, nie odrywając uporczywego spojrzenia od Evana i w ogóle nie zwracając uwagi na Brooksa.

– Masz przeprosić Aubrey. Teraz. Jeśli tego nie zrobisz, przez tydzień będziesz wysrywał własne zęby – powiedział niskim, zimnym głosem. Mocniej przycisnął szyję Evana ramieniem, a twarz tamtego zaczęła przybierać nienaturalny odcień błękitu.

Brooks ponownie szarpnął Maxxa za ramię i ten w końcu dał się odciągnąć. Evan ze świstem wciągnął powietrze i spojrzał na mnie.

– Przepraszam – wychrypiał, masując sobie szyję.

Mogłam tylko skinąć głową, równie jak on wstrząśnięta nagłą transformacją Maxxa w obrońcę uciśnionych. Evan chwycił April za rękę i dosłownie wybiegli z sali.

Brooks mówił coś do Maxxa, ale ten minął go i ruszył prosto w moją stronę. Wziął mnie za rękę i podniósł je do ust. Nie pocałował ich, lecz jedynie przytulił do warg i zamknąwszy oczy, próbował się pozbiierać.

W sali zapadła martwa cisza. Wszyscy się na nas gapili. Wyglądało to naprawdę niedobrze i powinnam położyć temu kres, ale nie mogłam się poruszyć. Znalazłam się w potrzasku, ogarnięta nagłym, rozedrganym pragnieniem, które dotknięcie Maxxa wyzwoliło w moim brzuchu.

W końcu otworzył oczy i opuścił moje ręce.

– Wszystko w porządku? – zapytał mnie cicho.

Skinęłam tylko głową, z trudem łapiąc oddech. Intensywność jego spojrzenia obezwładniała mnie, ale Bóg mi świadkiem, że chciałam zarzucić mu rękę na szyję i przytulić go.

Powoli rozprostował palce i puścił mnie. Moje ręce bezwładnie zwisły po bokach. Staliśmy tak blisko siebie, że ocierał się o moje piersi. Uniósł rękę, by pogłodzić mnie po policzku, ale zatrzymał ją w pół gestu.

A potem bez słowa cofnął się i wyszedł z sali.

Przez nieskończenie długą chwilę nikt się nie poruszył, a potem jakby wszyscy jednocześnie skierowali się do drzwi. Próbowałam zakończyć spotkanie informacją na temat przyszłotygodniowej sesji, ale głos odmówił mi posłuszeństwa. Brooks musiał mnie zastąpić.

Stałam, chwiejąc się w oszołomieniu po tym, co się wydarzyło. Po tym, co Maxx tak jednoznacznie dał do zrozumienia wszystkim obecnym.

Że coś nas łączyło. Coś, co mogło nas oboje wpakować w niezłą kabałę.

Kiedy sala opustoszała, Brooks zatrzasnął drzwi, obrócił się na pięcie i spojrzał na mnie.

– Nie mogę w to uwierzyć, Aubrey! Czy ty jesteś nienormalna? – wypalił z nienawiścią.

Wzdrygnęłam się, ale nie odpowiedziałam. Nie mogłam się bronić, a nie potrafiłam się przyznać. Poczucie winy odebrało mi mowę.

Brooks gwałtownymi ruchami zdradzającymi wściekłość poskładał metalowe krzesła i oparł je wszystkie o ścianę. Wzięłam się w garść i pozgarniałam papiery, które Evan rozsypał po podłodze.

– Przekreślasz swoją szansę na licencję terapeuty! To są podstawy, Aubrey! Nie angażujesz się w relacje ze swoimi klientami! Nie mogę uwierzyć, że okazałeś się tak bezmyślna! I to dla tego koleś? Poważnie?! – krzyczał Brooks.

Ale wtedy i we mnie wezbrał gniew dorównujący jego wściekłości. Nie byłam już w stanie ani sekundy dłużej znosić jego świętoszkowatych reprimend.

– Nie sądzisz, że ja o tym wszystkim wiem? – Oddychałam szybko i głęboko. Brooks stał z rękami wciśniętymi w kieszenie, jakby chciał się powstrzymać od skręcenia mi karku. – Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego do tego doszło. Nie chciałam tego! – powiedziałam przepraszająco.

– A zatem przyznajesz, że do czegoś doszło? – zapytał Brooks.

Na jego twarzy odmalował się ból i wiedziałam, że nie mam prawa się wściekać. Brooks troszczył się o mnie tak, jak zrobiłby to każdy prawdziwy przyjaciel.

– W sumie nie. Jeszcze nie – powiedziałam cicho.

– A więc masz jeszcze czas, żeby to skończyć, zanim nie będziesz mogła się cofnąć. Zostaniesz wyrzucona z programu szkoleń terapeutycznych, Aubrey. To poważne pogwałcenie zasad etycznych – perswadował Brooks.

Jego gniew zelżał, ramiona mu opadły.

– Nie mogę, Brooks – wyznałam zdławionym szeptem.

Brooks zacisnął usta z frustracji.

– Dlaczego nie? Dlaczego właśnie on? – zapytał.

Pokręciłam głową i przycisnęłam palce do skroni, próbując odpędzić ból, który zaczynał rozsadać mi czaszkę.

Jak miałam wyjaśnić Brooksowi, dlaczego nie mogę odejść od Maxxa? Jak miałam mu powiedzieć, że w tym zdesperowanym człowieku zobaczyłam coś, co sprawiło, że chciałam mu pomóc? Byłam pewna, że pod tą powierzchownością kryje się ktoś wspaniały, ktoś piękny, kogo nie potrafi dostrzec nikt oprócz mnie. Moje serce i dusza pragnęły go w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

To wszystko brzmiało niepoważnie. Nielogicznie. Hormonalnie. Przez taką postawę wychodziłam na idiotkę i prawdopodobnie w pewnej mierze nawet nią byłam.

Wiedziałam jednak tylko tyle, że mnie potrzebował. A ja jego. Mogliśmy się wzajemnie uzdrowić.

Jak mogłam go odrzucić?

Milczałam, pozwalając Brooksowi wydedukować to, czego nie powiedziałam. Kiedy panujące między nami milczenie zaczęło się przedłużać, mój przyjaciel westchnął smutno.

– Nie mogę spokojnie stać i patrzeć, jak ze wszystkiego rezygnujesz – powiedział, podejmując ostatnią próbę zaapelowania do mojego rozsądku.

Zrozumiałam już jednak, że moje uczucia do Maxxa nie miały nic wspólnego z rozsądkiem.

– To nie patrz – mruknęłam i pozbierawszy swoje rzeczy, zostawiłam Brooksa razem z jego rozczarowaniem na zgliszczach naszej przyjaźni.

Pospiesznie, ze spuszczoną głową, szłam w stronę do samochodu, ocierając łzy

spływające mi po policzkach.

– Aubrey.

Podniosłam głowę. Wiatr zarzucił mi włosy na twarz, zasłaniając widok. Maxx stał w cieniu. Dawało się go rozpoznać tylko dzięki charakterystycznej linii barków i czuprynie blond loków, których mimo zimna nie schował pod czapkę.

Teraz rozpoznałabym go już wszędzie.

Ruszyłam w jego stronę, jakby pociągnięta niewidzialnym sznurem. Wyszedł mi naprzeciw, wyciągając ku mnie ręce. Zmartwiałam i rozejrzałam się wokół, obawiając się, że ktoś nas zobaczy.

Maxx dostrzegł moje wahanie.

– Co się dzieje? – zapytał.

Położyłam mu rękę na ramieniu, powstrzymując chęć rzucenia mu się w objęcia.

– Po prostu musimy być ostrożni, Maxx. Nie możesz dotykać mnie publicznie. Doceniam to, co zrobiłeś dziś podczas spotkania grupy, ale to było za dużo. Ludzie pomyślą, że między nami coś jest – upomniałam go delikatnie.

Maxx spochmurniał i zacisnął wargi.

– No cóż, między nami coś jest, tak czy nie? – burknął, cofając się o krok i unikając mojego wzroku.

Wyczułam, jak go zabolęła moja rezerwa. Odsuwał się ode mnie, przygotowując się na cios. Odkładając na bok zdrowy rozsądek, chwyciłam go, przyciągnęłam do siebie i ujęłam jego twarz w dłonie.

– Między nami jest tyle, że aż mnie to przeraża, Maxx. To – wskazałam dzielącą nas przestrzeń – może narobić nam obojgu masę kłopotów. Jesteś członkiem grupy, którą pomagam prowadzić. Mogliby mnie wyrzucić z programu szkoleń dla przyszłych terapeutów. I potraktowano by to jako złamanie zasad twojego zawieszenia. Musisz brać pod uwagę wszystkie konsekwencje – perswadowałam.

Jakby rozzłoszczony moim apelem, Maxx chwycił moją twarz i brutalnie przycisnął usta do moich warg. Językiem wślizgnął się, wtargnął w najgłębsze zakamarki moich ust. Wdarł się do środka, nie czekając na moją zgodę. Nie troszczył się o mnie. Ten pocałunek był wyłącznie dla niego. Odsunął się, zanim zdążyłam zareagować.

– Nie obchodzą mnie konsekwencje, Aubrey – ostrzegł, a jego oczy błysnęły ku mnie w ciemnościach.

Moje serce wściekle łomotało. Maxx był kompletnie nieobliczalny. Nie kontrolowałam go i miałam możliwości narzucenia mu, w jaki sposób ma rozegrać sytuację, w której się znaleźliśmy.

Zachowywał się jak chciał.

Działał bez namysłu.

Jak mogłam się nie spodziewać, że to wszystko wybuchnie mi prosto w twarz?

Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że jakaś część mnie kompletnie się tym nie przejęła. Dlaczego mnie tak podniecała niezważająca na następstwa namiętność, którą zobaczyłam w jego spojrzeniu? Dlaczego mimowolnie wygięłam ciało w łuk, by zbliżyć się do niego, gdy staliśmy w ciemnym zakątku kampusu, gdzie dosłownie każdy mógł nas nakryć?

– Chodź ze mną do domu – wymamrotał Maxx, pochylając głowę i ocierając się o moje

ucho. Zadrżałam. Nie z zimna. – Proszę – wyszeptał mi w szyję.

– Musimy być ostrożni – ostrzegłam, zanim kompletnie straciłam nad sobą kontrolę.

Maxx nie zwrócił uwagi na moje słowa. Nie rozwiązał moich obaw. Nie pocieszył mnie ani nie uspokoił. Zamiast tego wciągnął mnie w ciemność i pożarł. A ja radośnie poszłam za nim.

Kiedy później powoli, z niemal nabożną czcią rozbierał mnie w swoim mieszkaniu, zdołałam przekonać samą siebie, że decyzja o byciu z nim była jedyną wartą podjęcia.

Maxx całował moje ciało centymetr po centymetrze, rozkładając mi uda silnymi dłońmi i pieszcząc ustami i językiem najtajniejsze zakamarki.

Oddałam mu się całkowicie. Obnażyłam serce i duszę.

Patrzyłam, jak zdejmuje ubranie i przykrywa mnie swoim ciałem, moszcząc się między moimi nogami.

W głowie kołatały mi jakieś resztki obaw. Że nie powinnam robić tego kroku. Że seks z Maxxem jest wiążący i nieodwołalnie przypieczętuje nasz związek. Że stanę się jego własnością.

Nie miałam pewności, czy wyjdę z tego cało.

Lecz wtedy Maxx pocałował mnie, głęboko i do końca, i w tym momencie wszystkie moje wątpliwości prysły.

Otoczyłam go ramionami, oparłam nogi na jego biodrach. Wszedł we mnie powoli, łącząc nas ze sobą.

Westchnęłam gwałtownie, Maxx cicho krzyknął. Poruszyłam się, a on podążył za moim ruchem. Wszedł we mnie tak głęboko, jak głęboko potrafiłam go przyjąć. Każdy centymetr naszych ciał dopasował się do siebie w idealnej harmonii.

Maxx mruczał mi do ucha jakieś romantyczne bzdury, wysuwając się ze mnie i na powrót wsuwając.

– Całe życie na ciebie czekałem – wyszeptał, całując wrażliwą skórę za moim uchem. Nie zdobyłam się na to, by mu odpowiedzieć. Nie chciałam składać obietnic i deklaracji, których, jak się obawiałam, żadne z nas nie mogło dotrzymać.

Maxx zatopił palce w moim udzie, uniósł je i oplótł sobie wokół biodra. Objął moją twarz dłonią i spojrzał na mnie z góry, a w pociemniałych oczach miał taką czułość, że aż zabrakło mi tchu.

– Chcę, żeby to się nigdy nie skończyło – wyszeptał załamującym się głosem, wygiął biodra i wszedł jeszcze głębiej. Dostosowałam się do jego rytmu. Jego rozpaczliwe słowa dźwięczały mi w uszach, gdy szczytowaliśmy.

Nie sądziłam, że będzie zdolny do takich uczuć. Jeszcze nie teraz. Nie byłam pewna, czy jestem gotowa na jego błagania o wieczność.

A jednak za nimi tęskniłam.

I w tych ciemnościach nie potrafiłam zaprzeczyć, że czuję to samo.

Obudziłam się następnego ranka w stanie szybko narastającej paniki. Zamrugałam w mroku, próbując zrozumieć, gdzie się właściwie znajduję. Mój mózg nie przetwarzał, dlaczego nie jestem we własnym domu, we własnym łóżku, otoczona własnymi rzeczami.

A potem jakieś ramiona zacisnęły się wokół mnie, jakieś usta otarły się o mój kark i zastygłam w bezruchu. No cóż, cholera jasna, przypominałam sobie.

Przespałam się z Maxxem Demelo.

W moim nierozbudzonym jeszcze umyśle pojawiły się na powrót jego wczorajsze słowa. Czy naprawdę pragnął zostać ze mną na zawsze? A może tylko bredził w ekstazie?

Coś mnie ścisnęło w piersiach, kiedy przypominałam sobie wyraz jego twarzy, kiedy leżąc na mnie, palił mnie spojrzeniem, miękkim i nabrzmiałym potrzebą, którą odczuwałam równie intensywnie jak on.

Ale teraz naprawdę potrzebowałam pójść do łazienki.

Spróbowałam się wydostać z jego objęć. Miałam wrażenie, że pęcherz zaraz mi pęknie, ale nie wyglądało na to, żeby Maxx zamierzał mnie puścić.

Obróciłam się na bok, sądząc, że zdołam się wyslizgnąć z jego ramion. Ale teraz, kiedy leżałam twarzą do niego, patrząc na jego zamknięte oczy i śpiącą twarz wyglądającą zaskakująco młodo, nie chciałam się już ruszać.

Uwielbiałam obserwować go właśnie takiego, bez tej aroganckiej pewności siebie czy bolesnej bezbronności. I w jednym, i w drugim przypadku miałam wrażenie, że zaraz mi serce pęknie. Ale kiedy tak leżał w bezruchu, pogrążony we śnie, wydawał się szczęśliwy.

Jego wargi wygięły się w uśmiechu.

– Wiem, że na mnie patrzysz – mruknął.

Przewróciłam oczami.

– Naprawdę muszę skorzystać z łazienki, ale aktualnie jestem przyszpilona do materaca – zauważyłam sucho, próbując się wysunąć spod jego ramienia.

Jednym płynnym ruchem Maxx otworzył oczy i przetoczył mnie na plecy, wsuwając biodra między moje nogi i idealnie się do mnie dopasowując. Byliśmy nadzy, nie zwracając sobie głowy ubieraniem się poprzedniej nocy. Moje ciało natychmiast odpowiedziało na jego bliskość.

– Lubię się tutaj budzić przy tobie. – Maxx uśmiechnął się, wsuwając się na milimetr w moje mokre wejście.

Oddech mi się spłycił i poczułam pożądanie rozpalające się płomieniem w moim brzuchu.

– O Chryste... – jęknęłam, kiedy Maxx wszedł we mnie głębiej.

Wygięłam plecy w łuk i wysunęłam piersi do przodu, a Maxx wziął jedną z moich brodawek do ust i szybkim ruchem zaczął okręcać językiem gorący, nabrzmiały sutek.

Nadal nie wszedł we mnie do końca i wiłam się teraz pod nim i skręcałam zapamiętałe. Wbiłam mu pięty w pośladki, próbując skłonić do ruchu naprzód, ale opierał się, chichocząc mi w biust.

A kiedy już myślałam, że wreszcie wejdzie we mnie do końca, wysunął się i sturlał ze mnie. Usiadłam zdumiona, z sercem wściekle trzepoczącym się w piersiach i zawrotami głowy od tej niespełnionej obietnicy orgazmu.

– Co, do diabła? – Spiorunowałam go wzrokiem.

Maxx odchylił się do tyłu, skrzyżował ręce za głową i wyszczerzył jak obłąkany.

– Idź do łazienki, zrób, co tam potrzebujesz, mogę cię zapewnić, że nigdzie się nie wybieram – zakpił, mrugając do mnie szelmowsko.

Wstałam z fuknięciem i poszłam do łazienki. Rosnący dystans od ciała Maxxa rozjaśnił mi w głowie i byłam w stanie już racjonalnie rozważyć sytuację, w której się znalazłam.

Pomyślałam o tym, co się zdarzyło w grupie wsparcia zeszłego wieczoru, i zmartwiałam. Byliśmy nieostrożni i karygodnie beztroscy. Było już tylko kwestią czasu, zanim Kristie się o wszystkim dowie. A po niej doktor Lowell i reszta wykładowców wydziału psychologii.

Nie znajdę wytłumaczenia dla jego zachowania lub własnej irracjonalnej reakcji na jego obecność. Było bardziej niż oczywiste, co do siebie czujemy. Spełnił się mój najgorszy koszmar.

Tak szybko uzależniałam się od Maxxa.

I nie pragnęłam niczego więcej.

Zanim wróciłam do sypialni, kilka razy odetchnęłam głęboko. Na zewnątrz było jeszcze ciemno i nie miałam pojęcia, która może być godzina. Zbyt wcześnie na pobudkę. Ale nie chciało mi się już spać.

Widok Maxxa leżącego na łóżku i czekającego na mnie wypełnił mnie rozżarzoną ciepłem, które nie dawało się już pomylić ze zwykłym pożądaniem. Płonęło znacznie jaśniej.

Wpełzłam do łóżka, umościłam się pod kołdrą, założyłam mu nogę na biodro i oparłam ramię na jego piersi. Wsunęłam mu głowę pod brodę, a on przycisnął mnie do swojego boku.

To niewyobrażalne, jak Maxx potrafił doprowadzić mnie do obłędu z pożądania, a potem ukołysać, zadowoloną i odprężoną, na swoim ramieniu. Targały mną sprzeczne emocje, a każda z nich przenikała mnie do głębi. Czułam się obezwładniona, stale zagrożona utratą kontroli.

Przypominało to urok przebywania w Compulsion. Możliwość poddania się i przekazania inicjatywy tej części mnie, która przez większą część mego życia pozostawała uśpiona.

Palce Maxxa przesuwają się leniwie po moim ramieniu uspokajającym gestem, od którego zaczynały mi opadać powieki. Ale wtedy się odezwał i senność prysła.

– Dziękuję – wyszeptał, całując mnie w czubek głowy.

– Za co? – zapytałam, odwracając głowę, by oprzeć brodę na jego piersi. Jego twarz tonęła w ciemnościach, ponuro przypominając o osobie, którą bywał. O moim tajemniczym mężczyźnie. O kimś, z kim nie do końca wiedziałam, jak się pojednać.

– Za to, że jesteś tutaj ze mną. Za to, że nie zostawiłaś mnie tamtej nocy w klubie. Za to, że stałaś u mego boku, kiedy zrobiło się paskudnie. – Głos mu się załamał i Maxx odchrząknął, uśmiechając się z zażenowaniem. Szybko się pochylił, by ucałować mnie w czubek nosa. – Za to, że jesteś, kim jesteś – skończył, wplatając mi dłoń we włosy i przyciągając moją twarz do swojej. Wycisnął na moich wargach palący pocałunek, a ja bezwolnie roztopiłam się w nim.

Taką właśnie miał nade mną władzę. Całkowitą i absolutną. Byłam bezradna. Nie potrafiłam mu się oprzeć.

Wyczuwałam pod własną dłonią bicie jego serca, silne i miarowe. Na razie nie było żadnych symptomów narkotykowego głodu. Miałam tylko nadzieję, iż nie oznacza to, że tego ranka zdążył się już natrzepać, zanim się obudziłam. Chciałam wiedzieć, ale obawiałam się zepsuć tę cudowną chwilę pytaniami, które mogły go tylko rozwścieczyć.

Pozwoliłam mu się całować, aż obojgu zabrakło nam tchu. Wciągnął mnie na siebie tak, że usiadłam na nim okrakiem. Moja żądza była już w pełni rozbudzona. Niemal bezwiednie zaczęłam ocierać się o niego. Uśmiechnęłam się szeroko, kiedy wydał z siebie niski, gardłowy jęk.

– Spędź ze mną cały dzień – zażądał Maxx z uśmiechem, który szybko przerodził się w jęknięcie, kiedy znów się o niego otarłam.

Uniosłam się lekko na kolanach i celowo powoli opuściłam na niego, aż całkowicie mnie wypełnił. Jęknęliśmy oboje, głośno i nisko.

– Mam zajęcia. Mam pracę do napisania. A ty nie masz nic do zrobienia na zajęcia? – zapytałam pomiędzy kolejnymi westchnieniami. Maxx chwycił mnie za biodra i kołysał mną, kierował moimi ruchami, raz za razem zanurzając się we mnie.

Obrócił mnie tak, że znalazłam się pod nim, uniósł ręce, by pogłodzić mnie po twarzy, i spowolnił rytm.

– Tylko dzisiaj – powiedział błagalnie. Zaczęłam kręcić głową, ale wtedy mnie pocałował, długo i głęboko. – Żadnych zajęć. Żadnej pracy. Tylko ty i ja. Tylko my dwoje – prosił w rytm bicia naszych serc.

– Dobrze. – Tylko tyle zdołałam wykrztusić, wbijając mu paznokcie w skórę na łopatkach i wyginając plecy w łuk.

Szczytowałam z gwałtownością, która mnie zszokowała. Maxx doszedł przy ostatnich skurczach mojego orgazmu. Leżeliśmy potem, próbując uspokoić oddechy i czekając, aż serca wrócą do zwykłego, powolnego rytmu.

Nasze ciała były śliskie od potu. Normalnie czułabym wstręt do tego, jak kleiliśmy się do siebie, ale jakoś dziwnie zupełnie mi to nie przeszkadzało. Czułam, że leżę na wilgotnych śladach naszej namiętności, ale potrafiłam myśleć tylko o tym, jak cudownie się czuję, rozciągnięta na nim i nadal intymnie z nim złączona.

Maxx przesunął dłonią w dół po moim kręgosłupie i wymierzył mi klapsa.

– Pozwól mi zrobić śniadanie, umieram z głodu!

Żałowałam, że jego energia nie jest zaraźliwa, ale czułam się ospała i rozleniwiona, a do tego zupełnie niegłodna.

Pozwoliłam mu jednak wyciągnąć się z łóżka i poprowadzić korytarzykiem, podczas gdy po kolei zapalał wszystkie światła w swoim malutkim mieszkanku.

– Siadaj, sam wszystko zrobię – uparł się Maxx, krzątając się z ożywieniem po kuchni. Był taki szczęśliwy. I bardzo mi schlebiała myśl, że mogę mieć coś wspólnego z uśmiechem na jego twarzy.

Oboje nadal byliśmy nadzy i zaczynałam się czuć odrobinę niezręcznie. Nie byłam kimś, kto zwykł kręcić się po domu na golasa. Nagość była zarezerwowana na okoliczność przebierania się i brania prysznic. Sięgnęłam po jedną z leżących na kanapie poduszek, chcąc zasłonić sobie nią piersi, ale Maxx wyrwał mi ją i rzucił na podłogę.

Kłęknął i objął mnie ramionami w talii, po czym uniósł twarz, by na mnie spojrzeć.

– Nigdy się przede mną nie zakrywaj. Muszę cię widzieć – wymruczał, rozsuwając moje nogi. Byłam kompletnie obnażona. To było żenujące, ale jednocześnie niesłychanie erotyczne. – Całą – skończył, przesuwając nosem po wewnętrznej stronie moich ud i owiewając ciepłym oddechem moje najwrażliwsze miejsce. Zadrzałam, zbyt już podniecona, by odczuwać zażenowanie bezceremonialną reakcją mojego ciała na jego obecność.

Kucnął na piętach, nadal wbijając się palcami w moje uda, i objął mnie spojrzeniem, objął mnie całą, jakbym była najpiękniejszym zjawiskiem we wszechświecie. Naprawdę znakomicie mi podnosił poczucie własnej wartości.

– Zostań tak, jak teraz – rozkazał, wstając.

I na chwilę zostałam, rozparta niezręcznie na jego kanapie, zanim wbrew jego życzeniu podwinęłam nogi pod siebie, ale nie zakryłam się, choć instynkt podpowiadał mi zupełnie co innego. Nie byłam pewna, czy zdołam się do tego przyzwyczaić. To było zbyt dziwaczne.

Maxx wrócił do mnie zaledwie kilka minut później z dwoma talerzami. Podał mi jeden i usiadł obok, tak blisko, jak się dało.

Spuściłam wzrok na talerz i się roześmiałam.

Maxx uśmiechnął się nieśmiało.

– Niewiele miałem w lodówce, przepraszam – wymamrotał.

Wzięłam z talerza patyczek lukrecji i włożyłam go sobie do ust, po czym zgarnęłam garść chipsów. Nie było to szczególnie odżywcze śniadanie, ale z pewnością jedno z najbardziej interesujących.

Pochłaniałam swoją porcję śmieciowego jedzenia, rozmyślając o tym, że to najprawdopodobniej najlepszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadłam.

Kiedy skończyłam, miałam pełny żołądek i lekkie mdłości od nadmiaru zjedzonych na czczo węglowodanów, ale byłam absolutnie usatysfakcjonowana.

Maxx podniósł pilot.

– Chcesz oglądać? – zapytał, włączając telewizję. Spojrzałam na niego tępo. – Możemy pooglądać, jak Bob Ross maluje jakieś drzewa albo... – Przerzucił kilka kolejnych kanałów, po czym zatrzymał się dłużej na pokazie mody, który kilkakrotnie oglądałam już wcześniej. – Co to za szajs? – zapytał, marszcząc brwi.

Wyrwałam mu pilot i zrobiłam głośniej.

– To oczywiście, że musisz nawiązać relację ze swoją wewnętrzną divą, Maxx – zakpiłam, moszcząc się z powrotem na kanapie.

Oglądaliśmy przez kilka minut, dopóki Maxx nie stracił cierpliwości. Odwrócił się do mnie i odebrał mi pilot, po czym wyłączył dźwięk. Wciągnął mnie sobie na kolana.

– Pieprzyć telewizję, opowiedz mi o sobie – powiedział, gładząc mnie po długich włosach spływających mi na plecy. – Kocham twoje włosy. Są takie miękkie – powiedział cicho, przeczesując pasma palcami. – „Ten, kto poznał jej uśmiech, poznał doskonałość. Ona w najmniejszy drobiazg zaklina wspaniałość”⁴. – wymruczał.

Jego palce przesuwały się kojąco po mojej skórze.

Spojrzałam na niego spod ciężkich powiek.

– Skąd te cytaty? Często je przywołujesz – zapytałam, poddając się jego pieszczocie.

Maxx uśmiechnął się, a jego twarz przybrała łagodny wyraz.

– Czasami słowa, które mam w sercu, zostały już napisane przez kogoś innego, kto potrafi powiedzieć to o niebo lepiej, niż mnie by się kiedykolwiek udało.

Przesunęłam palcem po jego dolnej wardze. Otworzył usta i przygryzł lekko opuszek mojego palca.

– W każdym razie ta aura wrażliwego chłopaka jest bardzo podniecająca, bez dwóch zdań. – Uśmiechnęłam się.

Maxx przewrócił oczami i ścisnął mnie za biodra, aż się skręciłam.

– Przestań zmieniać temat, ja tu prowadzę prace badawcze. – Maxx mrugnął okiem i wrócił do gładzenia moich włosów. – Ulubione danie? – zapytał.

– Fettuccine Alfredo i grzanki czosnkowe – odpowiedziałam.

Maxx skinął głową.

– Odnutowane. Ulubiony kolor?

– Pomarańczowy – odpowiedziałam.

Maxx uniósł brwi.

– Pomarańczowy? A nie jakiś dziewczynski połyskliwy róż?

Wystawiłam język, aż Maxx się roześmiał.

– Nie. Nie sposób złapać doła, kiedy ma się na sobie coś pomarańczowego – odparowałam.

Maxx popukał się w skroń.

– Odnutowane. No dobra, ulubiony kwiat.

– Skąd te wszystkie pytania? – zapytałam, ciekawa, do czego zmierza.

– Chcę wiedzieć wszystko. A poza tym dobrze wiedzieć, jak będę mógł cię później rozpieszczać – zażartował, pociągając mnie za biodra tak, że przywarłam do niego.

Przewróciłam oczami, ale mimowolnie się uśmiechnęłam.

– Szczerze mówiąc, nie przepadam za kwiatami. – Nachyliłam się i dotknęłam ustami jego ucha, po czym wyszeptałam: – Ale jeśli naprawdę chcesz mnie rozgrzać, to kup mi czekoladki. Za czekoladki zrobię wszystko.

Maxx zachichotał, ale poczułam, jak pode mną twardnieje.

– Czekolada jako sposób na zdjęcie ci majtek. Dobrze wiedzieć.

Otarłam się o niego i pocałowałam go w szyję tuż poniżej ucha.

– Jakbyś się nie zorientował, to ja już nie mam majtek.

Maxx chwycił mnie za tyłek i zaczął rytmicznie mną poruszać, ocierając moje ciało o swoje.

– Zorientowałem się – powiedział chrypnącym głosem, poruszając mną coraz szybciej.

A potem na jakiś czas przestaliśmy rozmawiać.

* * *

Kilka godzin później, kiedy wreszcie wynurzyliśmy się na powierzchnię, by zaczerpnąć tchu, Maxx zaproponował, żebyśmy wzięła prysznic i się ubrała.

– Nie spiesz się – powiedział, całując mnie, kiedy ruszałam w stronę łazienki.

Zmarszczyłam brwi.

– Dobra, nie będę – powiedziałam zmieszana.

Pół godziny później wyłoniłam się z łazienki, ubrana i czująca się nieco bardziej jak

człowiek. Maxx też się ubrał i stał teraz w saloniku z uśmiechem od ucha do ucha.

Podeszłam do niego i zatrzymałam się gwałtownie. Na stoliku do kawy leżało kilka opakowań czekolady. Kupił pralinki wszystkich możliwych rodzajów. Obok nich stał w wazie bukiet pomarańczowych lilii. W rękę trzymał siatkę z zakupami.

– Co to jest? – zapytałam, absurdalnie wzruszona jego troską.

Kto mógł przypuszczać, że Maxx Demelo potrafi być taki romantyczny?

Był w upojnym nastroju.

– Nigdy wcześniej nie odgrywałem roli niczyjego chłopaka, ale chcę to zrobić dobrze, Aubrey. – Wyciągnął torbę z zakupami. Wzięłam ją i zajrzałam do środka. – Zrobię ci na obiad fettuccine Alfredo. Żaden ze mnie kucharz, ale chyba nawet ja jestem w stanie ugotować coś według tego przepisu. – Wycisnął mi pocałunek na ustach, a oczy mu błyszczały.

Resztę poranka spędziliśmy spleceni ze sobą. Maxx kontynuował uzupełnianie mojego kwestionariusza osobowego, a kiedy miał dość przesłuchiwania mnie, znów brał mnie w posiadanie. Nie mogliśmy się sobą nasycić.

Nigdy wcześniej nikt mnie tak fizycznie i emocjonalnie nie pociągał. W przeszłości próbowałam już monogamii, ale jakoś nigdy nie kończyło się to dobrze. Gdy tylko relacja się zacieśniała, wycofywałam się instynktownie, niezdolna pójść dalej.

Z Maxxem mi się udawało. Może była to kwestia świadomości, że potrzebuje tego związku równie mocno jak ja? Patrząc na niego, widziałam mroczniejszą, bardziej zaburzoną wersję samej siebie. Był zamknięty i wyizolowany. Tak jak ja przez ostatnie trzy lata. Dawałam mu maleńkie fragmenty samej siebie, mając nadzieję, że dzięki temu oboje pocujemy się mniej samotni.

Co jakiś czas do głosu dochodził mój zdrowy rozsądek, wołając, bym się zastanowiła, co będzie dla mnie oznaczać całkowite otwarcie się przed nim. A potem pojawiała się myśl o tym, co na mnie czeka, kiedy już opuszczę bezpieczną przystań jego mieszkania. I wtedy paraliżowała mnie niepewność.

– O czym myślisz? – zapytał Maxx, kiedy rozmyślałam może nieco zbyt intensywnie o możliwym zawieszeniu, zrujnowanej karierze, zaprzepaszczonej przyszłości naukowej i śmiertelnie obrażonych na mnie przyjaciołach.

Przylepiłam sobie uśmiech do twarzy.

– O niczym – skłamałam.

Maxx spochmurniał, najwyraźniej nie dowierzając. Uniosłam się na kolanach i ucałowałam go mocno, a on natychmiast przylgnął do mnie wargami.

Odsunęłam się i splotłam nasze palce razem.

– Wszystko już o mnie wiesz. Teraz ja chciałabym dowiedzieć się czegoś o tobie.

Maxx zeszytniał lekko, ale potem błysnął w uśmiechu zębami.

– Masz mnie jak na tacy, Aubrey – powiedział i szarpnął mnie lekko ku sobie.

Chwycił mnie dość agresywnie za kark i przechylił mi głowę na bok, przygryzając lekko skórę na szyi.

– Nie wierzę w to – zaoponowałam, odsuwając się. Wiedziałam, że pod powierzchnią Maxxa skrywało się istne kłębowisko uczuć. Znacznie bardziej pogmatwanych niż te, które dotychczas ujawnił.

– Przrzekam ci, że nie ma nic więcej ponad to, co już wiesz. Opowiedziałem ci o moich

rodzicach, o Callumie i moim wuju. Nigdy wcześniej nie wyznałem nikomu tak wiele. Szczerze, tu już nie ma nic do dodania – powiedział, całując mnie w czubek nosa.

Otworzyłam usta, gotowa nie odpuszczać, kiedy zadzwonił jego telefon.

Maxx rzucił okiem na ekran i zmarszczył brwi, ale natychmiast odebrał.

– Wszystko w porządku, Callum? – zapytał.

Przemiana Maxxa, gdy rozmawiał ze swoim bratem, była fascynująca. Stawał się kimś całkiem innym. Mówił cichym, spokojnym, ciepłym głosem.

Zerknął na mnie.

– Raczej nie, kolego. Nie dziś. Mam inne plany. Tak, Callum, chodzi o dziewczynę. Może byś się zamknął, co?

Zachichotałam. Chociaż nie docierały do mnie słowa Calluma, było oczywiste, że nie przepuścił okazji, żeby sobie poużywać na starszym bracie. Nie znałam Calluma, ale już go lubiłam.

Maxx się skrzywił.

– To raczej nie jest najlepszy pomysł. Mogę wpaść w tygodniu.

Położyłam dłoń na jego ramieniu, przerywając mu. Spojrzał na moje palce obejmujące jego nadgarstek, a potem podniósł wzrok na mnie.

– Pójdę z tobą – zaproponowałam, mając nadzieję, że podchwyci moją propozycję.

Maxx odsunął mikrofon od ust.

– Może lepiej sobie darujmy. – Zmarszczył brwi, najwyraźniej mało uradowany moją sugestią.

Zacisnęłam dłoń.

– Proszę. Chciałabym znów zobaczyć Calluma.

Maxx zamknął oczy, jakby toczył jakąś wewnętrzną walkę. Otworzył je i przez dłuższą chwilę na mnie patrzył, po czym przysunął z powrotem mikrofon do ust.

– No dobra, wpadniemy. Będziemy za godzinę. Davida nie ma, prawda? Dobra, to do zobaczenia. – Maxx rozłączył się, wstał i wyciągnął rękę. – No to chodź, pójdziemy się spotkać z moim młodszym bratem – powiedział, a ja wiedziałam, że się cieszy na to spotkanie. Ja też byłam bardzo podekscytowana sposobnością ponownego ujrzenia ich obu razem. Zobaczenia znów Maxxa z tej strony, która mnie tak bardzo pociągała.

Z tej strony, którą miałam nadzieję oglądać częściej.

Zajechaliśmy pod dom wuja Maxxa chwilę po pierwszej. Zastanowiłam się, dlaczego Calluma nie ma w szkole i zapytałam Maxxa o to.

– Nauczyciele mają dziś szkolenia. Od dłuższego czasu mnie cisnął, żebym wpadł do niego i pomógł mu z samochodem, ale ciągle byłem zajęty – odpowiedział Maxx, jakby się usprawiedliwiał.

Coś mi mówiło, że to nie z powodu napiętego grafiku nie przyjeżdżał do swojego brata, ale nie drażyłam tematu.

Maxx obszedł samochód i otworzył mi drzwi po stronie pasażera. Wzruszył mnie ten gest. Nigdy nie wyobrażałam sobie Maxxa jako mężczyzny, który potrafi zachować się szarmancko względem kobiet. Ucieszyłam się, że byłam w błędzie.

Wspięłam się na palce i pocałowałam go miękko. Pocałunek był ciepły i czuły, i zdecydowanie zbyt krótki.

Maxx odsunął się lekko i uśmiechnął do mnie czule.

– A to za co? – zapytał.

Ucałowałam go w brodę i rozluźniłam uścisk rąk na jego szyi.

– Za to, że mnie zaskoczyłeś – odpowiedziałam.

Uśmiech Maxxa przybrał pytający wyraz, po czym jego właściciel zaśmiał się pod nosem i objął mnie mocniej.

– Przypomnij mi, żebym częściej cię zaskakiwał – mruknął i teraz na mnie przyszła kolej się zaśmiać.

– Pokój sobie wynajmijcie! – zawołał jakiś głos.

Maxx i ja oderwaliśmy się od siebie i Maxx uśmiechnął się szeroko ponad moim ramieniem do stojącego na ganku chłopca.

– Zamknij się, Callum! – odkrzyknął, przewracając oczami.

Wziął mnie za rękę i pociągnął w stronę nowoczesnego, parterowego domu. Budynek był trochę zaniedbany i przydałoby się go odmalować, ale poza tym wydawał się zupełnie nieźle utrzymany.

Maxx wszedł po stopniach na werandę i poczochnął cienkie blond włosy swojego brata.

– Jak leci, kolego? – zapytał Calluma, który uchylił się przed jego dłonią.

Callum uśmiechnął się na mój widok.

– Pamiętam cię! Ty jesteś tą laską ze szkoły Maxxa!

Maxx palnął go w potylicę i otoczył mnie ramieniem w talii.

– Ona zdecydowanie nie jest laską, Callum. Mógłbyś okazać nieco szacunku – skarcił go, a ja mogłam się tylko zaśmiać.

– No dobra, jest świetną laską. Tak lepiej? – zapytał Callum, uśmiechając się kpiąco, niemal identycznie jak jego brat.

– Wystarczy, chyba dawno nikt ci nie skopał tyłka – zadrwił Maxx, udając, że rzuca się na swojego młodszego brata.

Callum zeskoczył z werandy i puścił się biegiem, a Maxx za nim. Runęli na ziemię, okładając się dobrodusznie pięściami. Nie mogłam się przestać śmiać, patrząc, jak się tarmoszą.

W końcu Callum uwolnił się od swojej koszulki i walnął Maxxa w plecy. Ciągnęli swoje błazeństwa, dopóki nie weszliśmy do domu.

Maxx otoczył mnie ramieniem i uśmiechnął się szeroko. Był swobodny i odprężony. Ewidentnie przebywanie z bratem sprawiało mu radość. Pocałował mnie w czubek głowy i przycisnął do siebie, a ja położyłam dłoń na jego piersi.

Maxx odwrócił się do swojego brata, który właśnie wyjmował sobie z włosów źdźbła trawy.

– Callum, chciałbym przedstawić ci moją dziewczynę, Aubrey Duncan. Aubrey, to mój młodszy brat, Callum – powiedział Maxx, rozpromienionym wzrokiem patrząc na nas oboje.

Callum wybałuszył oczy.

– Dziewczynę? Poważnie? Wydawało mi się, że nigdy wcześniej żadnej nie miałeś – zażartował.

Poczułam, że się rumienię. Naprawdę nazwał mnie swoją dziewczyną?

O jasna cholera, byłam dziewczyną Maxxa Demelo!

Nie mogąc się opanować, wyszczerzyłam się jak idiotka.

Maxx sięgnął przeze mnie i palnął Calluma w tył głowy.

– Ty naprawdę musisz przestać pleść, co ci ślina na język przyniesie, zanim znów skopię ci tyłek – ostrzegł, chociaż w tonie jego głosu nie było groźby. Nigdy wcześniej nie miałam okazji zobaczyć takiego Maxxa Demelo. Uśmiechał się i śmiał się w głos. Całe jego zachowanie zupełnie się zmieniło. Zniknął udręczony człowiek, do którego już przywykłam. Ten tutaj był całkiem zadowolony ze swojego życia.

Callum kopnięciem zrzucił buty z nóg i wprowadził mnie i Maxxa do domu. Natychmiast rzucało się w oczy, że mieszkają tutaj faceci. Nie było tu jakoś szczególnie brudno czy niechlujnie, ale w środku stało mnóstwo niepotrzebnych gratów i niepasujących do siebie mebli. Aż przykro było patrzeć.

– Dzięki, że wpadłeś. David powinien wrócić do domu raczej późno, więc pomyślałem, że możemy popracować przy samochodzie. – Callum zerknął na mnie pospiesznie. – Ale nie musimy. Możemy po prostu posiedzieć razem czy coś.

Uniosłam dłonie.

– O, nie, chcę zobaczyć wasze majsterkowiczowskie supermoce w działaniu. Pokażcie, co potraficie.

Maxx, nie wypuszczając mnie z objęć, pogłaskał mnie po ramieniu.

– Po prostu chcesz mnie zobaczyć brudnego i spoconego, przyznaj się – mruknął mi do ucha. Spłoniłam się i odchrząknęłam, zerkając na Calluma, który na szczęście w tym momencie nie zwracał na nas uwagi.

Żartobliwie palnęłam Maxxa w pierś, a on zachichotał mi w szyję, po czym lekko mnie w nią pocałował. Dotyk był niewinny, ale ledwie opanowałam drżenie.

Poszliśmy do kuchni. Była mała i zagracona, a w zlewie piętrzyły się niepozmywane naczynia. Stłumiłam chęć ich natychmiastowego pozmywania.

Maxx podszedł do lodówki.

– Masz coś do picia?

– Eee... może po prostu nalej sobie wody? – odpowiedział pospiesznie Callum, próbując zamknąć drzwi lodówki.

Maxx zmarszczył brwi i delikatnie odsunął brata na bok. Otworzył drzwi i warknął.

– Kiedy ostatnio byłeś w sklepie? – zapytał, najwyraźniej niezadowolony. Jego nastrój zmienił się w ułamku chwili.

Callum zwiesił głowę i opuścił ramiona.

– Nie wiem – powiedział niewyraźnie.

Zerknęłam Maxxowi pod ramieniem do otwartej lodówki i zobaczyłam, że była kompletnie pusta, jeśli nie liczyć kilku kartonów piwa.

Maxx zatrzasnął drzwiczki i mocno uderzył w nie pięścią. Podskoczyłam, zaskoczona jego gwałtownością. Jeszcze chwilę wcześniej był taki szczęśliwy, a teraz gotował się ze złości. Callum natomiast nawet okiem nie mrugnął. Najwyraźniej jego bratu takie wybuchy zdarzały się częściej.

Maxx wyciągnął kluczyki z kieszeni i pomaszerował do drzwi wejściowych.

– Bierz kurtkę, jedziemy do sklepu – obwieścił.

Callum i ja poszliśmy za nim.

– Nie musisz tego robić, Maxx. Mogę pójść po zakupy w tygodniu – zaproponował Callum.

Maxx odwrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz ze swoim młodszym bratem.

– Co ty mi tu wciskasz, Callum! Pieniądze, które dostajesz co miesiąc, są dla ciebie! A nie po to, żeby David mógł je przepieprzyć na dziwki i pokera! – Maxx zacisnął dłonie w pięści. – Będę przychodził raz w tygodniu i zabierał cię do sklepu. W ten sposób będę przynajmniej wiedział, że masz co jeść. – Wziął głęboki oddech i zmierzył brata spojrzeniem, które nie pozostawiało miejsca na sprzeciw.

Callum zerknął na mnie i widziałam, że jest zażenowany.

– Jasne – wymamrotał, mijając starszego brata i wychodząc z powrotem na werandę.

Maxx zamknął oczy, potarł sobie skronie i westchnął z irytacją. Kiedy się pozbierał, spojrzał na mnie i uśmiechnął się niepewnie.

– Przepraszam za tę całą sytuację – powiedział.

Potrząsnęłam głową.

– Nie przepraszaj. Jest twoim bratem. Rozumiem, że chcesz się nim zająć. Chodźmy do sklepu – powiedziałam, wsuwając swoją dłoń w jego.

Objął moją dłoń palcami, przyciągnął mnie i delikatnie pocałował w usta.

Poszliśmy we trójkę do sklepu i nakupowaliśmy Callumowi tyle żarcia, że starczyłoby dla pułku wojska. Callum protestował za każdym razem, gdy wkładaliśmy coś do koszyka, ale Maxx nie zwracał na niego uwagi.

Po powrocie do domu pół godziny zajęło nam wniesienie toreb i rozpakowanie wszystkiego. Maxx kazał Callumowi schować w pokoju kilka opakowań grzanek Pop Tarts, krakersów i batonów zbożowych.

– Żeby nie mógł wszystkiego zabrać – powiedział Maxx, wciskając pudełka do szafy swojego brata.

Stopniowo gniew Maxxa zelżał, ustępując swobodzie, którą dostrzegłam u niego wcześniej. Kiedy tak patrzyłam na tych dwóch braci, poczułam ciężący mi na sercu kamień. Mimowolnie zateęskniłam za Jayme.

Moja historia skończyła się źle. Mogłam mieć tylko nadzieję, że ta zakończy się lepiej.

– Chodźcie do garażu! Chciałbym wam pokazać, nad czym pracowałem w tym tygodniu – zaczął podniecać się Callum, kiedy rozpakowaliśmy już wszystkie zakupy.

Maxx uśmiechnął się szeroko do brata i otoczył ramieniem jego szczupłe barki.

Patrząc na Maxxa towarzyszącego Callumowi, nie potrafiłam zignorować rodzących się we mnie dla niego uczuć. Troskliwy opiekun, którym stawał się przy swoim bracie, z łatwością przesłaniał obraz tego Maxxa, który budził we mnie przerażenie.

Poszłam za chłopakami do garażu. Powietrze było ciężkie od oparów lakieru i Maxx natychmiast wszedł i nacisnął przycisk podnoszący drzwi.

– Mam nadzieję, że je często otwierasz, skoro tu malujesz. Wyzre ci mózg, jak nie będziesz ostrożny. A ty niewiele już masz szarych komórek do stracenia – zadrwił Maxx, dobrodusznie szturchając Calluma w bok.

Callum uśmiechnął się szeroko do brata. Najwyraźniej uwielbiał być w centrum uwagi Maxxa. Spijał słowa z jego ust i łykał wszystko jak gęś. Miałam przed sobą zaprzysięgłego wyznawcę, który swojego bohatera postawił na piedestale.

– Robiłem tylko niewielkie poprawki, nie martw się – wyjaśnił Callum, ściągając brezentową płachtę, spod której wyłonił się stary mustang.

Niedawno został na nowo polakierowany na jaskrawy, wiśniowy kolor, z tyłu wzdłuż burt ciągnęły się długie płomienie.

Maxx z szerokim uśmiechem zaczął obchodzić samochód dookoła.

– A kto ci to polakierował? – zapytał, przesuwając palcem po lśniącej karoserii.

Callum uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc, z jakim uznaniem Maxx ogląda samochód.

– Mój kolega Tate ma kuzyna, który ma własny warsztat blacharski. Przyjechał i odholował go tam na początku tygodnia. Polakierował mi go w zamian za rozmaite prace zlecone, które dla niego zrobiłem. Super wygląda, co? – zapytał, z podniecenia nie mogąc ustać w miejscu.

Maxx skinął głową, podszedł do Calluma i poklepał go po plecach.

– Wygląda świetnie. Sam wymalowałeś płomienie? – zapytał.

– No! Nigdy wcześniej nie używałem rozpylacza i myślałem, że wszystko schrzanię. Ale chyba wyszło naprawdę nieźle! Sam narysowałem sobie wcześniej płomienie i sam je namalowałem – powiedział skromnie.

Talent Calluma zwał z nóg. Płomienie zostały wymalowane w różnych odcieniach czerwieni, oranżu i żółci i wycieniowane czernią i szarością. Miały głębię i fakturę, i wyglądały tak, jakby ogień dosłownie lizał boki samochodu.

– To jest niesamowite, Callum. Wygląda bardzo profesjonalnie – odezwałam się, podchodząc bliżej do samochodu, żeby się przyjrzeć.

Przyklękłam i przesunęłam palcami po malowidło.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytał Callum, podchodząc i stając obok mnie.

Wyprostowałam się i obdarzyłam go szczerym, szerokim uśmiechem.

– Zdecydowanie! Maxx mówił, że jesteś artystą, po prostu nie wiedziałam, że aż tak dobrym – zauważyłam.

Callum zarumienił się z dumy i wypiął pierś.

– Dzięki, Aubrey! Mam nadzieję po zakończeniu szkoły pójść na studia artystyczne. Na projektowanie graficzne czy coś takiego. – Callum zerknął na Maxxa, na którego twarzy nadal malował się uśmiech, ale teraz już zdecydowanie wymuszony. Callum odwrócił się do

mnie i wzruszył ramionami. – Ale zobaczymy, jak się sprawy potoczą – powiedział, dostrzegając znaczące milczenie Maxxa.

Zmarszczyłam lekko brwi na Maxxa, ale nie patrzył na mnie. Ze smutnym wyrazem twarzy utkwiał wzrok w bracie.

Odchrząknęłam, wyczuwając nagłe napięcie.

– No to czego jeszcze brakuje, żeby to cudo mogło wyjechać na drogę? – zapytałam, poklepując dłonią maskę.

Twarz Calluma się rozjaśniła.

– Musimy tylko jeszcze wymienić alternator i przewód paliwowy. I założyć nowe okładziny hamulcowe.

Odwróciłam się do Maxxa, który grzebał w skrzynce narzędziowej.

– Sami to robicie? – zapytałam.

Maxx skinął głową.

– Gdzie się tego nauczyliście? – zapytałam.

Callum przygryzł dolną wargę, zanim odpowiedział.

– Tak naprawdę od wuja Davida. Pasjonuje się samochodami i kiedy z nim zamieszkaliśmy, pracował tutaj całymi dniami. Chcąc spędzać z nim czas, musieliśmy się nauczyć mu pomagać. W dłuższej perspektywie to całkiem przydatna umiejętność. Inaczej zostawilibyśmy fortunę w najbliższym warsztacie samochodowym – powiedział Callum, otwierając maskę samochodu i zaglądając do środka.

– Mogę sobie wyobrazić. Zawsze chciałam wiedzieć więcej o samochodach. Trudno jest być dziewczyną i negocjować z mechanikami. Na widok klienta w spódnicy nabierają przekonania, że mogą zaśpiewać podwójną cenę – powiedziałam, zaglądając pod maskę. Jak dla mnie, wyglądało to na stertę metalu oblanego smarem.

Maxx podszedł do mnie i wyciągnął palec.

– No więc to jest silnik – zakpił.

Dźgnęłam go łokciem w spłot słoneczny, aż stęknął.

– Co ty powiesz – mruknęłam.

– Przysuń sobie krzesło, Aubrey, i patrz. Chwila moment, a z ciebie też zrobimy fana motoryzacji – obiecał Callum, uśmiechając się w ten szczególny sposób, który czynił go tak podobnym do brata. Ta dwójka razem wzięta siała spustoszenie w moim sercu.

Callum włączył małe radyjko i obaj zgodnie zajrzeli pod maskę mustanga. Obserwowałam ich, zdumiona, jak sprawnie manewrowali w samochodowych bebechach.

Śmiali się i żartowali, atmosfera w garażu była lekka i beztraska.

Dopóki na podjazd nie zajechała dieslowska ciężarówka i nie zawyła ostrzegawczo silnikiem.

Na ten dźwięk Callum poderwał głowę i zaczął pospiesznie odkładać narzędzia na miejsce. Barki Maxxa zeszywniały, a zęby się zacisnęły. Zaczął pomagać Callumowi sprzątać, celowo nie patrząc w stronę postaci, która zmierzała w ich stronę.

– Najwyższa, kurwa, pora, żebyś się wreszcie pojawił! – krzyknął głos.

Przeniosłam wzrok z Maxxa na zbliżającego się mężczyznę. Kiedy podszedł bliżej, ku własnemu zaskoczeniu zobaczyłam starszą wersję Maxxa i Calluma.

Ich wuj David był przystojnym mężczyzną, chociaż wyhodował sobie trochę za duży brzuch. Sprawiał wrażenie, jakby nie miał jeszcze czterdziestu lat, i szedł zawiadującym

krokiem, w czym bardzo przypominał Maxxa.

Było jednak jasne, że między Davidem a jego najstarszym siostrzeńcem nie ma miłości.

Kiedy David wszedł do garażu, Maxx obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. David uśmiechnął się kpiąco na widok mustanga i kopnął oponę czubkiem buta.

– Pojęcia nie mam, dlaczego zawracacie sobie głowę tym złomem. Nigdy wam się nie uda doprowadzić go do stanu używalności – zadrwił złośliwie.

Callum stracił rezon, a mnie naszła ochota, żeby spoliczkować Davida i zetrzeć ten nienawistny uśmiezek z jego twarzy.

Callum dalej sprzątał, ale sprawiał wrażenie, jakby się w sobie zapadł.

– Kazałem ci utrzymywać tu czystość i porządek, w innym wypadku odholuję ci stąd ten cholerny samochód – ostrzegł David, przewracając stertę pudełek.

– Przepraszam, wujku Davidzie. Posprzątam to – odpowiedział Callum gorliwie.

Maxx wyciągnął rękę, żeby powstrzymać swojego brata, chcącego pospiesznie podnieść pudełka.

– Callum nie zrobił tego bałaganu, David. Może byś ruszył swój tłusty tyłek i sam posprzątał? – warknął.

David poczerwieniał na twarzy i przeniósł uwagę na mnie. Zlustrował mnie swoimi wyblakłymi niebieskimi oczkami i wykrzywił wargi w lubieżnym uśmiešku.

– Czy ta śliczna cipka jest przedwczesnym prezentem urodzinowym? – zapytał David.

Jego obleśne zainteresowanie wzbudziło we mnie chęć wejścia pod prysznic.

– Nie mów tak o mojej dziewczynie – burknął Maxx, chwytając mnie za ramię i pociągając za siebie.

David się roześmiał.

– Nie ma siły, żebyś zdołał zatrzymać przy sobie taką dupeczkę, Maxxy. – David machnął głową w moim kierunku. – Dam ci dobrą radę, skarbie. Rzuć tego zwisa i znajdź sobie prawdziwego mężczyznę.

David oblizał wargi, a ja aż wzdrygnęłam się z obrzydzenia.

Maxxowi zabalgotało w gardle i przez krótką chwilę sądziłam, że rzuci się na Davida. Wpatrywali się w siebie uporczywie, żaden nie cofnął się nawet o milimetr.

Chwyciłam Maxxa za ramię i wbiłam mu paznokcie w skórę, próbując go powstrzymać od tego, czego wydawał się bardzo bliski. W końcu spojrzał na mnie.

– Chodźmy stąd, zanim rozwalę mu ten jego tępy łeb – warknął Maxx przez zaciśnięte zęby.

Odwrócił się do swojego brata, który zbierał pudełka przewrócone przed Davida.

– Muszę iść, Callum. Zadzwońię za kilka dni – obiecał Maxx z żalem.

Callum skinął głową, ale nie uniósł jej, kiedy wychodziliśmy. Maxx przepchnął się obok swojego wujka, który wyciągnął rękę, żeby go chwycić za ramię.

Maxx wywinął się z uścisku.

– Trzymaj, kurwa, łapy przy sobie – warknął.

David uniósł dłonie w geście poddania i zachichotał nieco nerwowo.

– Mam nadzieję, że zostawisz mi trochę gotówki. Zrobiło się dość kuso z forszą.

Słowa Davida były łagodne, ale zdecydowanie kryły w sobie groźbę. Pomknął spojrzeniem w kierunku Calluma, który nadal sprzątał zrobiony przez wujka bałagan.

Aż nazbyt jasna była sytuacja, w której znalazł się Maxx w wyniku manewrów swojego

wuja. David wykorzystywał Calluma, by dostać od Maxxa to, czego chciał. A Maxx za bardzo kochał swojego brata, żeby odmówić. Jak łatwo było mi potępić jego życie w Compulsion tylko dlatego, że nie rozumiałam jego pobudek.

Oto, co nim kierowało.

Maxx wyciągnął portfel i rzucił dwustudolarowy banknot na chodnik, po czym chwycił mnie za ramię i pociągnął za sobą.

– Dzięki, Maxxy! – zawołał David, a ja po raz ostatni obejrzałam się przez ramię, żeby zobaczyć, jak mężczyzna kuca i podnosi pieniądze z ziemi. Callum stał tuż przy wyjeździe z garażu, odprowadzając nas wzrokiem.

Uniosłam dłoń w geście pożegnania, a Callum mi odmachał. Ścisnęło mnie w żołądku na myśl o tym, że zostawiamy tego chłopca samego z jego wujkiem. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak czuje się Maxx za każdym razem, gdy musi wrócić do domu.

– Wsiadaj! – powiedział Maxx szorstko, przytrzymując mi drzwi. Trząśnięcie na całym ciele i miał obłąk w oczach.

Wgramoliłam się do środka. Maxx zatrzasnął za mną drzwi, po czym sam wsiadł do samochodu. Bębnił pięściami w kierownicę i krzyczał – głęboko, boleśnie. Miałam ochotę przytulić go i pocieszyć. Coś mi jednak podpowiadało, że w tym momencie nie zostałyby to dobrze odebrane.

Szybkimi, gwałtownymi ruchami uruchomił silnik i wyjechał z zatoczki, nie rozejrzawszy się wcześniej, czy nic nie jedzie.

– Nienawidzę tego kutasa! – ryczał Maxx, skręcając raptownie w prawo, w później w lewo, kierując się z powrotem do swojego mieszkania. – Zajebię kiedyś tego skurwysyna! Jak Callum nie będzie już musiał tam mieszkać, to chuj wyląduje na dnie dwumetrowej dziury! – wściekał się, gwałtownie wymijając jadące samochody.

Serce dziko waliło mi w piersi. Bałam się, że nie wrócimy do mieszkania w jednym kawałku, ale nic nie powiedziałam. Nie chciałam go prowokować.

Coś mi podpowiadało, że i tak nie zwróciłby uwagi na to, co chciałam mu powiedzieć.

Kiedy już dojechaliśmy z powrotem do mieszkania, pospiesznie ruszyłam za nim po schodach. Nie zachekał na mnie.

Pomaszerował prosto do sypialni, nie zatrzymując się, żeby zapalić światła czy choćby zdjąć kurtkę. Maxx, którym był dziś rano, zniknął.

Wyciągnął szufladę stojącego przy łóżku stoliczka, pozwalając jej spaść z łoskotem na podłogę. Opadł na kolana i sięgnął po brązową buteleczkę, którą zawsze tam trzymał, a której, miałam nadzieję, że nigdy więcej nie będzie potrzebował.

Wszystkie ciepłe, kojące, otulające mnie wcześniej uczucia zniknęły, zamieniając się w mieszaninę zgryzoty i odrazy, z jaką obserwowałam Maxxa wytrząsającego sobie na dłoń kilka tabletek i wkładającego je sobie do ust. Wydały nieprzyjemny chrupot, kiedy rozgryzł je zębami.

A potem wytrząsnął jeszcze kilka, które podzieliły los poprzedniczek, znikając w jego gardle.

Dopiero wtedy podniósł wzrok i uzmysłowił sobie, że wciąż tam jestem.

– Idź do domu, Aubrey – powiedział zmęczonym głosem, podnosząc się na nogi, żeby móc runąć na łóżko.

– Dlaczego? – zapytałam mimowolnie.

Nie byłam pewna, o co właściwie pytam. Dlaczego pozwalał na to, by jego wujek wpędzał go w taki dół? Dlaczego jego pierwszym odruchem był powrót do domu i nagrzanie się do nieprzytomności? Dlaczego w chwilach zdenerwowania nie mógł zwrócić się do mnie? Dlaczego zawsze musiałam konkurować z tą suką na dnie butelki? Powiedział, że mnie potrzebuje, że mnie pragnie! A ku czemu się zwracał, kiedy sprawy zaczynały się komplikować?

Dlaczego mu nie wystarczałam?

Maxx pokręcił głową, zakrywając oczy ramieniem.

– Po prostu idź do domu – powtórzył niewyraźnie.

I ze smutną rezygnacją zostawiłam go, nie będąc w stanie patrzeć, jak spada w czarną studnię, do której najwyraźniej był zdecydowany się rzucić.

Żałowałem, że Aubrey mi nie wystarcza.

I chociaż nie potrafiłem trzymać się od niej z dala, chociaż chciałem być wciąż obok niej, nie mogłem sobie pozwolić na to, by całkowicie się od niej uzależnić.

Dlaczego nie potrafiłem zwrócić się do niej, kiedy byłem w najgorszym stanie? Kiedy upadałem i roztrzaskiwałem się na kawałki?

Czułem się rozdarty. Ta część mnie, która pragnęła Aubrey, walczyła z tą częścią, która pragnęła czegoś zupełnie innego.

Kiedy byłem z nią, nie słyszałem głosów odzywających się w mojej głowie, a mojego ciała nie rozpałały tak dobrze mi znane pragnienia. Myślałem tylko o tym, by się w niej zagubić.

Działała na mnie jak balsam. Kiedy miałem ją obok siebie, jej dłonie, jej usta, jej uśmiech, jej szczioty były jedynymi narkotykami, jakich pragnąłem.

Dopóki gniew nie wziął góry. Bo wtedy potrzebowałem czegoś więcej niż spokoju Aubrey, by uśmierzyć narastającą we mnie wściekłość.

A kiedy Aubrey wychodziła, jej miejsce zajmowała ona.

Nie lubiła być lekceważona. Rozgniewana wyła w moim mózgu i wykręcała mi ciało. Musiałem ją udobruchać, zanim zjadła mnie żywcem.

W tych momentach wypełnionych desperacją byłem aż nadto szczęśliwy, mogąc się poddać. To było tak, jakby godziny spędzone z Aubrey były tamą – kiedy tama znikwała, wody zostawały uwolnione, a ich nurt porywał mnie bez litości. Opór sprawiał ból. Więc się nie opierałem.

Kiedyś potrzebowałem tylko jednej tabletki, żeby wejść na obroty. Potem dwóch. Potem trzech.

Teraz potrzebowałem czterech tabletek, żeby doświadczyć tego rodzaju błogości, który z łatwością zastępował wszystkich i wszystko.

A przez jakiś czas nawet Aubrey.

Toczyły ze sobą wojnę: Aubrey i tabletki. Obie rościły sobie do mnie prawa. Obu potrzebowałem. Nie mogły jednak ze sobą współistnieć.

Musiałem ukrywać narkotyki przed Aubrey. Musiałem być ostrożny. Rozumiałem, jak ich nienawidziła po tym, co stało się z jej siostrą. W tej kwestii nie uznawała żadnych kompromisów.

Nie rozumiała, że brałem z wyboru. Że to ja decydowałem o tym, kiedy i ile wezmę. Że odlot był najwyższą formą kontroli, jaką miałem nad własnym życiem.

Chciałbym, żeby to wszystko było takie proste. Żeby wystarczyło chwycić Aubrey za rękę i w podskokach pobiec ku zachodzącemu słońcu z zamiarem życia długo i szczęśliwie. Naprawdę tego chciałem.

Ale miałem zobowiązania. Callum na mnie liczył. Mój wuj mnie wykorzystywał. Gash i klub trzymali mnie za jaja, gotowi mi je ukreść, gdybym się nie wywiązał z roboty, którą na siebie wziąłem. A narkotyki... mnie posiadały. Były kluczami, pozwalającymi mi uciec

z więzienia. I nawet lojalność Aubrey nie wystarczała, bym je odrzucił. Moje serce tego pragnęło, ale umysł mi na to nie pozwalał.

Więc je zatrzymałem.

Wszyscy mieliśmy nasze małe sekrety. Prochy były moim.

A ja byłem sekretem Aubrey.

Potwornie się bała, że nas nakryją. Zadręczała się konsekwencjami naszego związku. Mimowiednie zaczęła mnie traktować jak wstrętą, wstydliwą tajemnicę. I nawet nie mogłem jej za to winić. Bo ja już teraz właśnie tak się czułem.

Ale kiedy Aubrey mnie całowała, kiedy byłem w niej, mogłem udawać, że to wystarczy.

Powiedziała mi, że jestem idealny. Że jestem inteligentny i wartościowy. Niezmordowanie pracowała nad tym, żeby mnie podbudować, aby już nigdy mnie nie kusiło, żeby upaść.

W jej obecności potrafiłem w to wszystko uwierzyć. Kiedy odchodziła, zaczynałem wątpić. Przynajmniej dopóki znów się nie pojawiła.

Wrzuciłem tabletki do ust i uśmiechnąłem się, przetykając własną autodestrukcją.

Czy istnieje uczucie lepsze od świadomości, że każdy ból, każdą krzywdę, każdą wstrętą, naznaczoną wyrzutami sumienia myśl można wymazać? Tak po prostu?

Nie spodziewałem się, by Aubrey wróciła wcześniej niż po zakończeniu jej wieczornych zajęć. Miałem do zabicia jakieś pięć godzin, po upływie których powinienem odzyskać trzeźwość. Postanowiłem mądrze wykorzystać ten czas. W komodzie znalazłem torebeczkę oxy i wytrząsałem na dłoń cztery tabletki.

Dokonałem szybkiej inwentaryzacji zapasów. Będę musiał podwoić cenę za pozostałe tabletki, żeby wyrównać różnicę. Powinienem oszczędniej korzystać z narkotyków przeznaczonych do sprzedaży.

Łomot, który dostałem od Gasha i Vina, był ostrzeżeniem. Następnym razem nie będę miał tyle szczęścia, żeby ująć z tego z życiem. Kilka dni po tym jak wydobrałem, Marco urządził mi prawdziwe piekło. Był wkurzony jak diabli i złapał paranoję, że przez moje niedbalstwo nasz interes na boku zostanie odkryty.

Moje narkotyki pogrążyłyby nie tylko mnie, lecz także Marca. Od prawie trzech miesięcy brał sobie do kieszeni procent od wejściówek. Na tyle niedużo, żeby nie rzucało się w oczy, ale z czasem robiła się z tego całkiem niezła sumka.

Nie byłem osamotniony w swojej głupocie. Marco też miał przerąbane. Chciwość uzależniała równie mocno jak narkotyki. Adrenalina towarzysząca wsuwaniu pieniędzy do kieszeni dawała prawie taki sam odlot jak prochy.

Miałem Gasha na karku, odkąd pieniądze ze sprzedaży przestały odpowiadać ilości towaru, który dostawałem. Powinienem być sprytniejszy, lepiej zacierać za sobą ślady. Zachowałem się jak kretyn, to ostatecznie musiało mnie słono kosztować.

Teraz jednak nie mogłem się wychylać, nie mogłem dać Gashowi i jego goryłom żadnego powodu do powątpiewania, czy właściwie wykonuję swoją pracę. Dzięki temu Marco pozostanie czysty i w bezpiecznej odległości od pięści Gasha.

Głowa opadła mi na oparcie kanapy, ramiona zwisły, myśli zmętniały. Sprzedażą pozostałej części tabletek z torebki pomartwię się w weekend.

Zastanowiłem się, czy Aubrey będzie oczekiwać ode mnie jakichś dyrdymałów, jakich zwykle dziewczyny oczekują od swoich chłopaków. Wziąłem ją, złożyłem swoje serce u jej

stóp, ale nigdy nie wiedziałem, jak mam się przy niej zachować. Miała w sobie coś, co sprawiało, że traciłem pewność siebie.

Boże, od kiedy to zrobiłem się taki przewrażliwiony?

Nadal miałem mnóstwo do zrobienia i chociaż naprawdę chciałem spędzać cały czas z Aubrey, było to niemożliwe.

Kiedy już zacząłem o niej myśleć, nie mogłem przestać. Chociaż byłem nagrzany prawie do nieprzytomności, ociężały i niezdolny kiwnąć nawet palcem, serce waliło mi dziko na samo wspomnienie jej twarzy. Głupkowaty uśmiech rozciągnął mi wargi, kiedy pomyślałem o tym, jak łatwo było mi w jej obecności być po prostu sobą. Choć już prawie zapomniałem, co to znaczy.

– Ej, Maxx, wpuść mnie do środka! – krzyknął jakiś głos po drugiej stronie drzwi, a walenie, które rozległo się chwilę po tym, aż zadudniło mi w czaszce.

O nie, nie zwlokę się z kanapy. Ktokolwiek chciał tu wejść, mógł spokojnie spierdalać. Niech sobie weźmie numerka.

Zamknąłem oczy, próbując zignorować uporczywe pukanie.

– Wyłamię drzwi, jak nie otworzysz! – zagroził głos.

Jezu, mógłby się już odpieprzyć.

Powoli się zwlokłem i ociężałe ruszyłem do drzwi.

Gdy tylko je uchyliłem, do środka wparował Marco.

– Co jest, do cholery, człowieku? Nie wiem który dzień próbuję cię złapać! – Marco skrzywił się z niezadowoleniem, wchodząc do mojego mieszkania. Ruszył prosto do mojej sypialni.

Ten gnojek miał poważny problem z respektowaniem czyichś granic.

A ja miałem poważny problem z tym, żeby utrzymać równowagę. Wiedziałem, że powinienem się zaniepokoić agresywnym najściem Marka, ale jak za każdym razem, kiedy się naćpałem, po prostu nie byłem w stanie zebrać się na tyle, żeby mnie to w ogóle obeszło.

Oparłem się o framugę i patrzyłem, jak Marco wyciąga szufladę stolika stojącego obok mojego łóżka, przetrząsa ją i znajduje w końcu torebkę tabletek, którą tam wsadziłem. Podniósł ją pod światło i zaczął liczyć.

– Rozgość się – wybełkotałem, zamasyżując machnąwszy przed sobą ręką.

Marco rzucił torebkę na łóżko i ruszył w moją stronę. Usta zastygły mi w leniwym uśmiechu i widziałem, że to jeszcze bardziej rozwścieczyło Marka.

Chwycił mnie za przód koszulki i potrząsnął mną. Próbowałem go odtrącić, ale bez sukcesu.

– Co jest, kurwa? – wymamrotałem, próbując się od niego uwolnić.

– Brałeś je, prawda? Masz je sprzedawać, a nie żreć na śniadanie! – wrzasnął mi prosto w twarz.

Marco w większości ludzi budził strach, ale ja pamiętałem go jeszcze z czasów, kiedy nosił spodnie z krokiem w kolanach i miał całą masę pryszczycy, za to w ogóle nie miał brania. Był pośmiewiskiem. Teraz z upodobaniem myślał o sobie jako o niezłym skurwielu, ale kilka lat podnoszenia ciężarów i przekłucie sobie połowy twarzy nie zmieniło faktu, że kiedyś na tej planecie nie było większego lamusa.

– Nie wyskakuj mi tu ze swoimi pieprzonymi kazaniami. Jakbym chciał porady, to nie

prosiłbym o nią faceta, który pozwala jakiejś zjebanej lasce przekłuć sobie wora igłą. – Uśmiechnąłem się pogardliwie, uderzając Marca tak mocno w klatkę piersiową, że aż się zatoczył w tył.

Nawet tak naprany jak teraz nadal miałem nad nim przewagę. Wulgarnie chwyciłem się za krocze i pokazałem mu środkowy palec. Podszedłem do łóżka, podniosłem torebkę i wrzuciłem ją z powrotem do szuflady.

– Łapy, kurwa, z dala od moich rzeczy – ostrzegłem, wycelowując w niego drżący palec.

Marco uśmiechnął się kpiąco, rozciągając usta w paskudnym grymasie.

– No to na czym polega twój wspianiały plan, Maxx? Jak, do kurwy nędzy, zamierzasz odzyskać te pieniądze, żeby Gash nie zrobił ci z dupy jesieni średniowiecza? No dalej, podziel się ze mną swoim ostatnim przebłyskiem geniuszu! Umieram z ciekawości. – Marco rozwalił się na moim łóżku, opierając ubłocone glany na pościeli. Nie to, żeby była jakaś specjalnie czysta czy coś, ale nie podobało mi się, że brudzi mi kołdrę.

– Zabieraj swoje buty z mojego łóżka, człowieku – zakomenderowałem, chociaż mój głos zabrzmiał jakoś słabo. Naćpany człowiek, który marzy głównie o tym, żeby się zdrzemnąć, nie jest szczególnie groźnym przeciwnikiem. Ledwie udawało mi się utrzymać otwarte oczy. Marco mi kompletnie spieprzył odłot. Kiedyś skopię mu za to dupę.

Marco zignorował moje uwagi i nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Spójrz na siebie, Maxx. Jesteś naprany. Gdyby Gash cię zobaczył w takim stanie, nosiłbyś naszyjnik z własnych kiszek. Co się, do cholery, z tobą dzieje? – zapytał, a w jego głosie wściekłość mieszała się z niepokojem.

A więc jednak... Chociaż zachował się jak skin ładujący komuś w ciemnym zaułku kosę pod żebra, w gruncie rzeczy po prostu się o mnie troszczył. Przyjaźniliśmy się od lat, przeszliśmy razem długą drogę i zawsze się kryliśmy. Zaczynając od tego, że to właśnie dzięki Marcowi zdobyłem tę swoją niesłychanie dobrze płatną pracę. Pracę, która pozwalała mi zatroszczyć się o brata, zapewnić sobie dach nad głową i płacić czesne.

– Będę brał podwójną stawkę – rzuciłem, wzruszając ramionami, jakby była to najbardziej oczywista odpowiedź na świecie.

Marco wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem.

– Chyba sobie, kurwa, żarty robisz? – zapytał z niedowierzaniem.

Zmarszczyłem brwi. Sądziłem, że to dobry pomysł.

– A co w tym takiego śmiesznego?

Marco prychnął.

– Człowieku, nie ty jeden dilujesz w tym mieście. Jak krzykniesz podwójnie za swoje całkiem średnie prochy, to pies z kulawą nogą się nimi nie zainteresuje. Nie zarobisz w ten sposób dla Gasha pieniędzy, na które czeka. Jesteś, mój przyjacielu, pieprzonym kretynem.

– Gównu się znasz, Marco. Siedzisz sobie na wejściu i tylko mówisz laskom, czy wystarczająco dobrze wyglądają, a mnie zostawiasz całą brudną robotę – zakpiłem.

Twarz Marca pociemniała. Z łomotem postawił stopy na podłodze.

– Przestań pierdolić. Nagrabiłeś nie tylko sobie, lecz także mnie przy okazji. Jak myślisz, co się stanie, jak Gash się zorientuje, że więcej bierzesz, niż sprzedajesz? I że nie masz dla niego pieniędzy? – Marco wstał i zaczął krążyć po pokoju, co robił zwykle, gdy był bliski utraty panowania nad sobą.

Czemu, do diabła, nagle zaczął tak panikować? To ja powinienem się martwić. W głowie

zaczęło mi dudnić, myślałem tylko o tym, by dobrać się do prochów leżących na łóżku.

– Zacznie się przyglądać nam wszystkim, człowieku. Inteligentnie rozegrałem kwestię pieniędzy za wejściówki, ale Gash i to może rozkminić! Kazałby wykończyć nas obu! – Marco walnął ręką w ścianę za moim biurkiem.

– Przestań się mazać. Nikt ci nie przystawił lufy do głowy i nie kazał podkradać kasy z wejściówek. Więc już sobie daruj – stwierdziłem rzeczowo. Marcowi zadrżały mięśnie zuchwy.

– Znalazłeś już nową lokalizację? – zapytał, zmieniając temat.

Wzruszyłem ramionami.

– Jeszcze nie – powiedziałem beznamiętnie. Naprawdę powinienem mieć więcej instynktu samozachowawczego. Stąpałem po cienkim lodzie.

Marco objął rękami głowę pokrytą kiepsko wykonanym tatuażem plemiennym. W kwestii body artu ten koleś miał naprawdę fatalny gust.

– Czy ty mnie próbujesz zabić? Poważnie. No dobra, bierz dupę w troki, idziemy coś znaleźć. Gash oczekuje, że dostanie informacje na temat nowej lokalizacji jeszcze dziś wieczorem. – Marco przemaszerował obok mnie i wyszedł na korytarz.

– Dziś wieczorem nie mogę. Mam inne plany! – zawołałem za nim, starając się nie roześmiać, kiedy wpadł w jeszcze większą furję.

– Mało mnie obchodzi, czy możesz, czy nie możesz. Zabieraj. Dupę. W troki. Wychodzimy – obwieścił Marco i wychodząc, trzasnął drzwiami wejściowymi.

Powinienem zadzwonić do Aubrey. Powinienem jej wyjaśnić, że dziś wieczorem nie będzie mnie w domu.

Ale nie zrobiłem tego.

Narkotyki sprawiały, że wszystko, co nie działo się tu i teraz, stawało się jedynie mglistą, niewyraźną impresją.

Sprawały, że wierzyłem, iż zdołam sobie z tym wszystkim poradzić później.

* * *

Kilka godzin później Marco zaparkował samochód przed niczym niewyróżniającym się biurowcem. Minęła ósma i właśnie wróciliśmy z wyprawy do opuszczonej szkoły średniej. Przeszliśmy się po całym budynku i chociaż wydawało się, że nakaz jego rozbiórki jest już tylko kwestią czasu, to wciąż nadawał się na klub.

Marco zatrzymał się po drodze w taniej restauracji, po czym wepchnął we mnie tonę jedzenia i wlał wiadro kawy, próbując mnie otrzeźwić. Zaczynałem już zaliczać zjazd, czemu oczywiście towarzyszyły dreszcze i mdłości.

Zjedzony przeze mnie burger właśnie zagroził powrotem. Chwyciłem Marka za ramię, zanim skierowaliśmy się do środka.

– Człowieku, masz coś? Poważnie, naprawdę potrzebuję – zapytałem, starając się nie płaszczyć.

Marco burknął coś i spojrzał na mnie z obrzydzeniem.

– Naprawdę musisz wziąć się w garść, stary – mruknął, po czym sięgnął do kieszeni po malutką torebkę.

Wytrząsnął z niej jedną maleńką, białą tabletkę i przytrzymał ją między kciukiem

a palcem wskazującym.

Chciałem mu ją wyrwać z ręki, ale się cofnął.

– Czy ty nie powinienes chodzić na jakąś grupę wsparcia czy coś? Bo jeśli tak właśnie działa ten system dwunastu kroków, to trochę słabo – zauważył.

Spiorunowałem go wzrokiem, nie próbując nawet skorygować jego uwagi na temat dwunastu kroków. Byłem zbyt zajęty przełykaniem żółci, która podchodziła mi już do gardła.

– Po prostu daj mi to, a kazanie zachowaj dla kogoś, kogo to, kurwa, obchodzi – powiedziałem, próbując się nie wyrzygać mojemu kumplowi na buty.

Serce zaczęło mi walić jak młotem i wiedziałem, że nie ma siły, żebym stanął przed Gashem bez czegoś, co pozwoliłoby mi się uspokoić.

Marco wcisnął mi pigułkę do ręki. Pospiesznie wrzuciłem ją do ust i zgryzłem.

– Daj mi chwilę – powiedziałem, opierając się o bok zdezelowanego volvo Marca.

Dziesięć minut później przestały mną telepać dreszcze i prawie ustąpiły mdłości. Nadal byłem przymulony, ale nie na tyle, by nie móc wejść do środka.

Wchodzeniu do biurowca Gasha zawsze towarzyszyło dziwne uczucie rozczarowania. Co robi w takim miejscu facet, który prowadzi odnoszący największe sukcesy undergroundowy klub na Wschodnim Wybrzeżu? Kiedy pierwszy raz tutaj przyszedłem, spodziewałem się ultrafioletu i nastrojowych lamp. Albo przynajmniej ze dwóch muskularnych goryli.

Panowała tu kompletna pustka, co nie było zaskakujące, biorąc pod uwagę, że minęła już ósma. Gash pracował... w nietypowych godzinach.

Biuro było sterylne i kompletnie bezosobowe. Takie, w którym spodziewałbyś się hordy księgowych. Do tych kremowych ścian i kiepskich reprodukcji dzieł sztuki Marco i ja pasowaliśmy jak kwiatek do kożucha.

W swoim alternatywnym wcieleniu Gash nazywał się Trevor McMillan i pracował jako analityk IT w małej firmie zajmującej się bezpieczeństwem.

Jak więc Trevor stał się Gashem? Pytanie dekady. Krążyło mnóstwo plotek o tym, jak założył Compulsion. Podobnie jak krążyło milion historii o tym, jak dopracował się pseudonimu, pod którym był znany. Poważnie wątpiłem, by którakolwiek z nich miało coś wspólnego z prawdą.

Kto to mógł, kurwa, wiedzieć? I czy w sumie miało to jakieś znaczenie? Nie zmieniało to faktu, że był naprawdę przerażającym skurwielem. Jak na grubawego gościa od komputerów, który odgrywał po godzinach rolę zbirowatego menedżera klubu.

Marco zapukał do drzwi i wszedł do środka, nie czekając na odpowiedź. Gash siedział za prostym, drewnianym biurkiem, łysiejącą głowę pochylił nad klawiaturą. Mógłby robić za wujka pedofila. Albo sprzedawcę używanych samochodów. Nie był szczególnie onieśmielający, sprawiał raczej wrażenie wazeliniarza... dopóki na ciebie nie spojrział.

Jego zimne, martwe spojrzenie co bardziej strachliwych przeszywało dreszczem. Nie byłem aż takim macho, żeby nie przyznać, że raz czy dwa sam prawie się posikałem w jego obecności.

Marco zamknął drzwi i usiadł na jednym z dwóch tapicerowanych krzeseł stojących pod ścianą. Poszedłem za jego przykładem, wsuwając ręce do kieszeni i obronnym gestem kuląc ramiona. Nigdy nie wiedziałeś, czego się spodziewać podczas spotkania z Gashem.

Czasami był w porządku, wręcz uprzejmy. Choć prawie nigdy się nie uśmiechał.

Ale były też takie dni, kiedy czekałeś, aż wyciągnie nóż z kieszeni płaszcz a i poderżnie ci gardło. Był nieprzewidywalny, co i mnie, i Markowi powinno mocno dać do myślenia, zanim zaczęliśmy go okradać. Powinniśmy być na tyle mądrzy, żeby nie zadzierać z kimś takim jak Gash. Ale pieniądze i narkotyki stanowiły pokusę, której my, żalosne, chore dranie, nie potrafilimy się oprzeć.

Marco wręczył Gashowi kawałek papieru, na którym zapisał adres starej szkoły. Nie spojrzawszy na żadnego z nas, Gash odwrócił się do swojego komputera i zaczął coś wpisywać, przyglądając się widocznej na ekranie mapie.

– Czy to jest dzielnica mieszkaniowa? – zapytał, w końcu podnosząc na nas wzrok.

Jego beznamienne spojrzenie spoczęło na mnie.

Pokręciłem głową.

– Kiedyś była, ale teraz tam wszystko niszczeje. Większość budynków to pustostany albo domy przejęte za długi. Niewielu ludzi tam jeszcze mieszka, a ci, którzy zostali, są starzy. Żadnych rodzin, zero dzieci – wyrecytowałem.

Zacisnąłem palce na podłokietnikach. Pociłem się jak mysz. Cholera, potrzebowałem kolejnej tabletki.

– Policja? – zapytał Gash.

– Posterunek policji jest po drugiej stronie miasta. Zwolnili właśnie ze służby trzech oficerów, więc mają teraz spore niedobory kadrowe. Raczej nie widzę tu problemu – wtrącił się Marco, uzupełniając to, co powinienem był wiedzieć.

Normalnie sam przeprowadziłbym takie rozpoznanie. Marco ratował mi tyłek i zdecydowanie byłem mu dłużny.

– Wyślę jednego z chłopaków, żeby tam trochę powęszył, sprawdził, czy jest tam ktoś, kto mógłby dopilnować, żebyśmy w sobotę nie mieli żadnych problemów – powiedział Marco, zerkając na mnie kątem oka. Czy mogło być bardziej oczywiste, że palcem nie ruszyłem w tej sprawie?

Gashowi to nie umknęło. Przyjrzał mi się uważnie, jakbym był gównem na jego bucie.

– A czym ty się, kurwa, zajmowałeś, jak Marco wykonywał twoją robotę? Za co ja ci, do diabła, płacę, X? Machnięcie jakiegoś obrazka tu czy tam nie załatwia sprawy. Usiądź prosto i przestań mi się tu, kurwa, rozwalać! – zażądał stanowczo.

Czułem się jak uczeń w gabinecie dyrektora. Czy za karę zostanę po godzinach, czy dostanę po dupie?

Powoli wyprostowałem się na krześle. Gash budził we mnie mimowolną przekorę. Jak mogłem być takim ciulem?

– Miałem mnóstwo na głowie – bąknąłem, chociaż wiedziałem, że ta wymówka była w najlepszym razie słaba.

Moje żalosne usprawiedliwienie najwyraźniej rozwścieczyło Gasha, i to potężnie.

Pochylił się nad swoim biurkiem, wyszczerzył poźółkłe zęby, a nad jego brwiami zarysowały się pionowe zmarszczki.

– Nie obchodzi mnie, co masz na głowie! Jeśli każę ci wykonać jakąś pracę, to ją wykonaj! Marco nie powinien robić tego, za co płacę tobie!

Gash machnął kciukiem w stronę Marca, który próbował się właśnie wtopić w obicie krzesła. Nieściąganie na siebie uwagi, kiedy Gash robił się coraz bardziej wkurwiony, było kwestią przetrwania, prosta sprawa.

Skinąłem szybko głową.

– Rozumiem, to się nie powtórzy – powiedziałem.

– Vin powiedział, że kilka dni temu podrzucił ci towar na ten tydzień. Chcę dostać pieniądze w niedzielę. Nie w poniedziałek, nie we wtorek, ale w pieprzoną niedzielę! Mam cię na oku, X, i nie uszczęśliwia mnie to, co widzę – ostrzegł Gash, przesuając palcem po bliźnie znaczącej mu skórę na policzku.

Kilka lat wcześniej został ugodzony w twarz przez nagrzanego kokainistę. Ćpun nie żył, Gash siedział przed nami. Przekaz był czytelny.

Znów skinąłem głową.

– Dostaniesz je, nie ma problemu.

Szkoda tylko, że problem był, i to niebagatelny.

– Wyglądasz na nieco roztrzęsionego, X. Wszystko w porządku? – zapytał Gash, wbijając we mnie przenikliwe spojrzenie. Nie był jakimś głupim gówniarzem. Wiedziałem, że on wie, iż mam zjazd... i to ostry. – To te środki uspokajające. Potrzebujesz czegoś, co cię postawi na nogi. Spróbuj tego. I weź się w garść. Nie potrzebuję, żeby mój towar sprzedawał jakiś cholerny ćpun. Taki układ w ogóle mnie nie interesuje – warknął i rzucił mi na kolana torebkę suszonych liści.

Otworzyłem ją i powąchałem. Co to było? Nie pachniało jak trawa. Może to był jakiś zwariowany halucynogen?

– To herbata ziołowa, przygłupie. Miłorząb japoński, trochę żeń-szenia. Poprawia przepływ krwi do mózgu. Wróc do domu i zrób sobie filizankę.

Miałem nieodpartą ochotę skwitować ten sarkazm wybuchem śmiechu. Gash, największy dostawca dragów po tej stronie Nowego Jorku, proponował mi torebkę jakiejś pieprzonej ziołowej herbatki?

Zaryzykowałem szybkie spojrzenie na Marka, który przygryzł od środka policzek, również ze wszystkich sił próbując się nie roześmiać na widok naszego szefa wciskającego nam swoje twarde, ziołowe panaceum.

– Jasne, brzmi świetnie – powiedziałem, upychając torebkę do kieszeni.

Gash wycelował we mnie palec.

– Mówię poważnie, X, w ten weekend chcę zobaczyć, że nadal masz to wszystko pod kontrolą. Bo w przyszłym tygodniu dostaję z Meksyku transport towaru, na którym wszyscy możemy zarobić masę forsy. I muszę wiedzieć, że jesteś w stanie zrobić to, czego od ciebie oczekuję.

Marco i ja podnieśliśmy się z krzeseł.

– Załatwione, Gash – obiecałem.

– I wypij trochę tej herbaty – rozkazał nasz szef, kiedy wychodziliśmy. Porozumiewawczo poklepałem się po kieszeni.

Już na parkingu otarłem pot z czoła. Musiałem wrócić do domu. Musiałem się postawić na nogi. Pieprzyć herbatkę.

– Łatwo się wywinąłeś, Maxx. Musisz posłuchać tego, co ci mówił Gash – perorował Marco.

Przewróciłem oczami. Miałem już do wyrzygania wysłuchiwanie ciągle tych samych bzdetów.

Dopiero kiedy wróciłem do domu i wziąłem kilka kolejnych tabletek, przypomniałem

sobie o Aubrey. Zanim odpłynąłem, zastanowiłem się przelotnie, czy tu wpadła. Może powinienem do niej zadzwonić? Wyjaśnić, co się stało?

Ale zacząłem już odlatywać i myśli o Aubrey wyszły mi z głowy.

Zapomniałem o wszystkim.

Byłam wkurzona.

Nie, byłam wściekła.

Poprzedniego wieczoru przyszedłam do mieszkania Maxxa. Waliłam do drzwi, ale nie odpowiedział. Czekałam na zewnątrz. Na przenikliwym mrozie. Przez kilka godzin!

A on się nawet nie pokazał.

Spróbowałam się do niego dodzwonić, ale przełączyło mnie od razu na pocztę głosową. Kusiło mnie, żeby dzwonić raz po raz, ale się opanowałam.

Teraz więc byłam nie tylko wściekła i zraniona, lecz także gotowa zrobić mu fizyczną krzywdę, jak go tylko zobaczę.

Nasz związek trwał zaledwie od kilka tygodni, a już ponosiliśmy sromotną klęskę. Jakie mieliśmy szanse, skoro już teraz byłam nieufna i ostrożna? Wiedziałam, że kiedy nie jest ze mną, prawdopodobnie robi coś, co złamałoby mi serce.

Wiedziałam, że był niewierny.

Ale to nie z kobietą mnie zdradzał. Cały swój czas spędzał z malutkimi, białymi prozkami, które wydawał się tak uwielbiać.

Wyszłam z budynku psychologii i naciągnęłam kaptur na głowę. Śnieg zaczął padać jeszcze w trakcie zajęć i pożałowałam, że nie potrafię docenić białej ciszy, która nagle zaległa. Ale nie potrafiłam. Byłam zbyt wkurzona.

- Aubrey!

Serce załomotało mi w piersiach na widok Maxxa idącego pospiesznie przez dziedziniec z torbą na książki przerzuconą przez ramię. Włosy, mokre od padającego śniegu, lepiły mu się w strąkach do czoła. Zmierzając spiesznie w moją stronę, błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

Kiedy się tak na niego patrzyło, wyglądał jak każdy inny student college'u. Wiedziałam jednak, co drzemało pod powierzchnią. Szpetna ciemność ukryta pod śliczną buzią.

Pomyślałam przez chwilę, żeby go zignorować i odejść, ale wiedziałam, że pójdzie za mną, a nie miałam zamiaru ganiać się z nim po kampusie.

Poczekaliśmy więc, aż się ze mną zrównał.

Wyciągnął dłoń, żeby mnie wziąć za rękę, ale odsunęłam się, zanim zdążył mnie dotknąć. Skrzywił się.

- No jasne, zapomniałem, gdzie jesteśmy. Przepraszam - powiedział, ale znów się uśmiechnął, jeszcze bardziej olśniewająco. - Skończyłaś już zajęcia na dziś? - zapytał, dostosowując do mnie tempo marszu.

Nie odpowiedziałam. Przy tym poziomie mojej frustracji i irytacji komunikacja stała się niemożliwa.

Kiedy cisza zaczęła się przedłużać, uśmiech Maxxa zgasł. Ściągnął brwi, chwycił mnie za ramię i zatrzymał.

- Co jest? - zapytał skonsternowany.

– Czekałam na ciebie wczoraj wieczorem – odpowiedziałam zimno, mrużąc oczy.

Maxx zwiesił głowę.

– No tak. Wiedziałem, że masz wpaść. Przepraszam – powiedział.

Podniósł wzrok i spojrzał na mnie z błagalnym wyrazem twarzy, prosząc o wybaczenie.

– Gdzie byłeś? – zapytałam, dając ujście swojej irytacji.

– Wpadł Marco. Musieliśmy na chwilę wyjść – odpowiedział wymijająco.

Mogłabym zapytać, co robili, ale prawdopodobnie wcale nie chciałam tego wiedzieć.

A i tak wątpiłam, czyby mi powiedział prawdę. Compulsion i związana z nim część życia Maxxa były czymś, o czym nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy. Czymś, co dzieliło nas murem.

– To dlaczego w takim razie do mnie nie zadzwoniłeś? Żeby przynajmniej mi powiedzieć, że nie będzie cię w domu? – zapytałam, próbując ze wszystkich sił nie dać się tak z miejsca udobruchać, co było o tyle trudne, że Maxx sprawiał wrażenie naprawdę skruszonego.

Przygryzł dolną wargę, kiedy krople topniejącego śniegu zaczęły mu spływać po twarzy.

– Powiniennem do ciebie zadzwonić. Nie zrobiłem tego. Nie mam żadnej dobrej wymówki. Żadnej, dzięki której poczułabyś się lepiej. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała, że jest mi przykro i że naprawdę wolałbym być z tobą, niż gdziekolwiek indziej na świecie – powiedział i z jakiegoś powodu ten brak wyjaśnień w dużej mierze uśmierzył mój gniew.

Nie starał się usprawiedliwić. Nie próbował się wykręcić. Rozumiał, że zabagnił sprawę, i przepraszał. A ja to dziwnie doceniłam.

Westchnęłam głęboko i opuściłam ramiona.

– Następnym razem spróbuj pamiętać, dobrze? – powiedziałam.

Może za łatwo pozwalałam mu się wywinąć. Może powinnam wzbudzić w nim jeszcze większe wyrzuty sumienia za to, że mnie wystawił. Ale co to by zmieniło? Dlaczego miałabym przedłużać stan, w którym żadne z nas nie czuło się szczęśliwe?

– Obiecuję – przyrzekł, a mnie aż skreśliło. „Obiecuję”. Dlaczego miałam poczucie, że wypowiadając to słowo, sam ustawia się w sytuacji, w której skazany jest na porażkę?

Maxx poprawił sobie torbę z książkami na ramieniu i na powrót się uśmiechnął.

– Mogę cię gdzieś zabrać? – zapytał, a oczy mu rozblęły z podniecenia.

Potarłam dłonie o siebie, próbując je rozgrzać.

– Chcesz mnie gdzieś zabrać? – zapytałam go, unosząc brwi.

Maxx zachichotał. Rozejrzał się ukradkiem, po czym dotknął mojego policzka.

– W wyjątkowe miejsce. W porządku? – zapytał, gładząc mnie kciukiem po policzku.

Zamknęłam na chwilę oczy, wiedząc, że ustąpię.

– Dobrze.

Uśmiech Maxxa był zaraźliwy i mimowolnie sama się uśmiechnęłam.

– No to chodźmy – powiedział, opuszczając dłoń i chwytając mnie za rękę, nie troszcząc się już zupełnie o to, że ktoś może nas zobaczyć razem.

Ruszyliśmy w stronę parkingu. Otworzył drzwi swojego samochodu po stronie pasażera i wpuścił mnie do środka. Miałam motyle w brzuchu za każdym razem, kiedy to robił.

Kiedy już wsiadł do środka, zapalił silnik i podkreślił ogrzewanie. Ujął moje ręce w swoje dłonie i zaczął je ogrzewać ciepłym oddechem. Uśmiech nie schodził mu z twarzy, kiedy całował moje palce, jeden po drugim.

Śnieg padał coraz gęściejszy, osiadał coraz grubszą warstwą na trawie. Na razie drogi

były przejezdne, ale w tych warunkach martwiłam się o bezpieczeństwo.

– Wygląda na to, że na dworze robi się dość paskudnie. Może powinniśmy zrobić to któregoś innego dnia? – zasugerowałam, wyglądając przez okno.

Maxx pokręcił głową.

– Mowy nie ma. To idealna pogoda na to, co mam na myśli – powiedział z zachwytem, po czym ujął mnie za rękę i zaczął wyjeżdżać z parkingu.

– To dlaczego się z tego powodu denerwuję? – zakpiłam, kiedy Maxx włączył się do ruchu.

– Nie denerwuj się. Z troszcę się o ciebie – stwierdził absolutnie szczerze.

Naprawdę chciałam mu wierzyć. Kiedy był taki jak teraz, zrelaksowany i beztroski, łatwo pozwalałam sobie na to, by mu zaufać.

Maxx kierował, nie przejmując się szczególnie pogarszającą się pogodą. Śnieg padał teraz ciężkimi płatami.

– Może powinienesz zwolnić – zasugerowałam, z trudem tłumiąc okrzyk, kiedy Maxx wziął zakręt nieco szybciej, niżbym chciała.

Maxx prychnął.

– Widać, że jesteś z Południa. Aubrey, to naprawdę nic. Jeździłem w znacznie gorszych warunkach – uspokajał.

– Ze mną nie jeździłeś – burknęłam i Maxx się roześmiał.

Chociaż faktycznie, ku mojej wielkiej uldze, znacznie zwolnił.

Kilka minut później zaparkował przy zupełnie nijakiej ulicy w dzielnicy mieszkaniowej.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam zaskoczona, kiedy Maxx wyszedł z samochodu. Obszedł go i przytrzymał mi drzwi, żebym mogła wysiąść. Uniósł mi brodę i miękko pocałował w usta. Mokry, zimny śnieg zlał się w jedno z ciepłem jego warg.

– Zobaczysz. – Oczy mu załśniły. Podszedł do bagażnika i otworzył go. – Włóż je – polecił, wręczając mi parę ciężkich, czarnych śniegowców.

– Nie ma szans, żeby na mnie pasowały – powiedziałam kpiąco, unosząc je za sznurówki.

– Po prostu dociągnij paski po bokach i będą pasować – zapewnił mnie Maxx, pochylając się, by naciągnąć własną parę butów.

Zrobiłam to, o co prosił. Zdjęłam trampki i wręczyłam Maxxowi, który wrzucił je do bagażnika. Wsunęłam stopy w śniegowce o dobrych pięć numerów za duże. Zaciągnęłam sznurówki i sprzączki po bokach tak mocno, jak to było możliwe, chociaż wiedziałam, że nadal wyglądam groteskowo.

Położyłam ręce na biodrach i spojrzałam na Maxxa spode łba.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego każesz mi się ubrać tak, jakbym miała robić za klauna? – zapytałam.

Maxx wręczył mi termos, a sam wyjął z samochodu dwie ostatnie rzeczy.

– Sanki? – zapytałam z niedowierzaniem.

Wcisnął sobie pod pachę dwie pary czerwonych, plastikowych sanek i uśmiechnął się słodko.

– Tak, to są sanki – zakpił. Zatrzasnął bagażnik i machnął głową w kierunku okolonej drzewami ścieżki biegnącej pomiędzy dwoma domami. – No chodź!

Poczłapałam za Maxxem w śniegu, który sięgał mi już do kostek. Chodzenie w śniegowcach mojego współtowarzysza znacznie mnie spowalniało, więc musiał się co

jakiś czas zatrzymywać, żebym mogła go dogonić. Poprowadził mnie wąską alejką, która przecinała cienistą kępę drzew.

Z oddali dobiegły mnie śmiechy i nawoływania. Przedarliśmy się przez drzewa i znaleźliśmy się na tyłach podzielonych na działki terenów pod zabudowę. Za szeregiem domków schodziła w dół stroma skarpa, pod którą znajdowało się boisko do piłki nożnej.

Na placu roilo się od dzieci. Najwyraźniej lekcje skończyły się dziś wcześniej z powodu śniegu i większość miejscowych dzieci zgromadziła się pod najwspanialszym stokiem do jazdy na sankach, jaki kiedykolwiek widziałam.

– I tu właśnie chciałeś mnie zabrać? – zapytałam Maxxa, patrząc na niego ze zdumieniem.

Powinnam już doprawdy przestać dziwić się czemukolwiek, co robił Maxx. Nie potrafiłam jednak dojrzeć w człowieku, którego poznałam, osoby, która stała teraz obok mnie, trzymając dwie pary dziecięcych sanek i wyglądając na równie podnieconą jak tutejsze dzieci.

Wsunął ręce do kieszeni i chłonał wzrokiem roztaczającą się przed jego oczami scenę. Miał nieobecne spojrzenie i łagodny uśmiech na ustach.

– Moja mama przyprowadzała mnie tutaj zawsze, kiedy padał śnieg. To było coś wyjątkowego, co dotyczyło tylko nas. Pozwalała mi zjeżdżać z tej góry, aż zaczynałem padać z nóg, a wtedy dawała mi gorącą czekoladę i zanosila mnie z powrotem do samochodu.

Nie odzywałam się, nie chcąc zakłócić tej rzadkiej chwili szczerości.

Maxx wskazał na kamienne wypiętrzenie u podnóża góry.

– Jak uderzyłem w tamtą skałkę, to złamałem rękę. – Roześmiał się, ale w tym śmiechu były smutek i samotność. – Mama kompletnie spanikowała. Odwieźli mnie karetką, co dla dziewięciolatka było megafajne, więc nie bardzo się przejąłem tym, że kość mi wyszła przez skórę.

Mój uśmiech przygasł, ustępując miejsca skrzywieniu warg.

– Nie byłem tu od ukończenia dziesiątego roku życia – wymamrotał, patrząc przed siebie, zatopiony we własnych wspomnieniach.

Poczułam, jak ściska mnie w gardle, zapiekły mnie oczy. Wiedziałam, co robi, choćby on sam sobie tego nie uzmysławiał. Przekazywał mi jakąś część siebie. Część, która należała do czasów przed narkotykami. Przed klubem. Przed tym, jak jego życie się wykoleiło.

Wzięłam głęboki, urywany oddech, próbując uspokoić nierówne bicie serca. Jak mogłam nie stracić głowy dla mężczyzny, który stał teraz przede mną, dzieląc się ze mną najcenniejszą rzeczą, jaką miał? Swoimi wspomnieniami. Swoim szczęściem. Tymi fragmentami swojego życia, które pozostały niezbrukane.

Zamrugał kilkakrotnie, jakby sobie przypominał, gdzie jest. Odwrócił się z powrotem do mnie, lekko unosząc kąciki ust. Wyjął mi termos z rąk, postawił go pod drzewem i wręczył mi sanki.

– Będiesz się dobrze bawiła. Obiecuję – powiedział, wyciągając wełnianą czapeczkę z tylnej kieszeni i naciągając ją na głowę.

I znów te słowa. Obiecuję.

Ale tym razem, kiedy oczy rozbłysły mu figlarnie, naprawdę mu uwierzyłam.

Przewróciłam oczami.

– Jasne. Jeśli wcześniej nie złamię karku – powiedziałam z kamienną twarzą i Maxx pocałował mnie w czubek nosa.

– Przestań być taką pesymistką – skarcił mnie, po czym wziął za rękę i ruszył w stronę grzbietu wzgórza.

Przygryzłam dolną wargę, patrząc na małe dzieci zjeżdżające z górki i przez całą drogę drące się wniebogłosy. Przyznawałam bez bicia, że byłam tchórzem podszyta, a do tego stok był naprawdę stromy, a poza tym na własne oczy widziałam już kilka wywrotek.

– Nie no, po prostu nie jestem pewna, czy... – zawahałam się, kiedy Maxx usadowił się na swoich sankach. Stojące w pobliżu dzieci patrzyły na nas dziwnie. Mogłam się założyć, że widok pary dorosłych bawiących się na śniegu razem z nimi był dla nich raczej niecodzienny.

Maxx spojrział na mnie ze swoich sanek.

– Nigdy wcześniej nie zjeżdżałaś, co? – wydedukował wreszcie.

Pokręciłam głową. Czułam się jak idiotka. Ale w Karolinie Północnej rzadko padał śnieg. Wystarczyło kilka płatków i świat zamierał, szkoły zamykano już przy kilku centymetrach. I nigdy nie napadało tyle, żeby można było zjeżdżać na sankach.

Maxx odsunął się do tyłu na swoich sankach i poklepał miejsce przed sobą.

– Zjedziemy razem – powiedział.

– Będziemy za ciężcy. Nie ma siły, to się nie sprawdzi – przekonywałam.

– Tak naprawdę im jesteś cięższy, tym szybciej jedziesz – wtrącił jakiś mały chłopiec stojący obok.

Spojrzałam na niego i zmarszczyłam brwi.

– To mi nie pomaga – odparłam.

Chłopiec, który mógł mieć najwyżej siedem lat i od stóp do głów opatulony był w zimowy kombinezon, przewrócił oczami.

– Nie bądź takim mięczakiem – powiedział.

Maxx prychnął, a mnie dosłownie szczeka opadła. Czy ten dzieciak się ze mnie nabijał?

– Słyszałaś młodego. Nie bądź takim mięczakiem – przynaglił mnie Maxx.

Nie chcąc wyjść na sierotę w oczach pierwszoklasisty, usiadłam na sankach przed Maxxem i podkuliłam nogi na płozach.

Maxx docisnął nogami moje nogi i otoczył mnie ramionami w talii, mocno przyciągając mnie do piersi. Nawet przez warstwę ubrania czułam ciepło jego ciała.

Oparł mi brodę na ramieniu i pocałował mnie w szyję.

– No to jedziemy. Trzymaj się mocno – wyszeptał cicho, a jego oddech poruszył mi włosy przy uchu. Chłopiec uśmiechnął się pogardliwie, a ja pokazałam mu język. Wybałuszył oczy i odbiegł do innych dzieci.

– No, to było bardzo dojrzałe, Aubrey – zaśmiał się Maxx.

Wzruszyłam ramionami.

– Zasłużył sobie na to – zażartowałam, czując przyjemne, ciepłe mrowienie, kiedy plecy zawibrowały mi od śmiechu Maxxa.

A potem, nie dając mi sposobności przygotowania się, Maxx popchnął sanki w dół stoku. Pęd wiatru odrzucił mi włosy do tyłu, zimny podmuch uderzył prosto w twarz. Przez całą drogę na dół wrzeszczałam jak opętana.

Kiedy dojechalismy na dół, wpadliśmy w zaspę i wylecieliśmy w powietrze, spadając

z sanek. Wylądowałam z łomotem na plecach, a mokry śnieg spłynął mi po twarzy. Leżałam przez chwilę, patrząc w niebo i próbując złapać oddech.

Nagle Maxx pochylił się nade mną, szczerząc się jak szaleniec.

– No i co? Nie było super?

Pomógł mi podnieść się na nogi i otrzepał mi dzinsy ze śniegu. Poklepałam się po rękach i nogach w poszukiwaniu połamanych kości.

Maxx chwycił mnie za rękę i zaczął maszerować z powrotem pod górkę.

– Chodź, zjemy jeszcze raz! – krzyknął, ciągnąc mnie za sobą.

Potknęłam się i upadłam, pociągając Maxxa za sobą. Zaśmiałam się, chwyciłam garść śniegu i wrzuciłam mu ją za koszulkę. Krzyknął i zaczął go sobie wytrząsać.

Zwinęłam się w ataku histerycznego śmiechu, patrząc na mojego chłopaka podskakującego jak wariat i próbującego wytrząsnąć sobie śnieg z pazuchy.

Zatrzymał się, a ja natychmiast zrozumiałam, że łobuzerski błysk w jego niebieskich oczach nie zwiastuje nic dobrego. Bezlitośnie wolno pochylił się i zaczął zgarniać wielką porcję śniegu.

– To tak chcesz się bawić, hm? – zapytał, ubijając śnieg w małą, twardą kulkę.

Uniosłam ręce i zaczęłam się cofać.

– Nawet nie próbuj, Maxx! Przysięgam na Boga...

Nie kończąc, rzuciłam się do ucieczki, a Maxx puścił się w pogoń za mną. Poczułam, jak śnieżka uderza mnie w sam środek pleców.

– Za nią! – usłyszałam krzyk tego samego, małego chłopca i chwilę później uciekałam już nie tylko przed Maxxem, lecz także przed czwórką dzieciaków ciskających w zapamiętaniu śniegiem.

Maxx przewrócił mnie w śnieg i osłonił własnym ciałem, podczas gdy dzieci nieprzerwanie bombardowały nas śnieżkami.

– Sugerowałbym, abyśmy połączyli siły – powiedział mi do ucha.

Skinęłam głową, poderwaliśmy się na nogi i popędziliśmy za naszymi niedoszłymi napastnikami, którzy zaczęli piszczeć i krzyczeć, gdy rozpętaliśmy wspaniałą bitwę na śnieżki.

W chwili ogłoszenia rozejmu brzuch i policzki bolały mnie już ze śmiechu. Dzieciaki uwielbiały Maxxa. Chichotałam, kiedy wdrapał się pod górkę z trzema chłopcami uwieszonymi na nim jak małpy. Miał wrodzony talent do postępowania z dziećmi i kiedy patrzyłam, jak naturalnie wchodzi z nimi w interakcje, serce boleśnie ścisnęło mi się w piersi.

Nigdy nie sądziłam, że mogę się tak świetnie bawić, odmrażając sobie tyłek. Ale kiedy już zaczęliśmy zbierać się z powrotem, czułam się tak wyczerpana i szczęśliwa, jak nie byłam już od bardzo dawna.

W drodze do samochodu Maxx podał mi termos. Odkręciłam nakrętkę i wzięłam łyk wciąż jeszcze ciepłej gorącej czekolady. Zerknęłam na niego z ukosa i się uśmiechnęłam.

– Czekolada? – zapytałam.

Maxx uśmiechnął się z wyższością.

– Pamiętam jeszcze, jak ci się podlizać.

Stałam na środku tonącej już w mroku ścieżki i odwróciłam się do niego. Zarzuciłam mu ręce na szyję i pochyliłam jego głowę ku sobie, by móc dotknąć wargami jego ust.

Otworzyłam usta i wsunęłam język obok jego języka. Jęknął głucho i przygarnął mnie mocniej do siebie. Śnieg nadal padał i miałam kompletnie przemoczone ubranie, ale mało mnie to obchodziło.

Jedyną rzeczą, która mnie obchodziła, jedyną, która miała znaczenie, był mężczyzna w moich ramionach.

Odsunęłam się i Maxx oparł się czołem o moje czoło.

– To było za co? – zapytał cicho.

Przeczesałam palcami jego mokre włosy, nie zwracając uwagi na odrętwienie własnych palców.

– Za to, że mnie zaskoczyłeś – odpowiedziałam równie cicho, szeroko się do niego uśmiechając.

Maxx wbił mi palce w plecy.

– Przypominaj mi, żebym cię częściej zaskakiwał – mruknął, skubiąc moją dolną wargę.

Zachichotałam i uniosłam głowę, żeby znów go pocałować, ale Maxx mnie powstrzymał.

Pytająco przechyliłam głowę, patrząc na jego spoważniałą nagle twarz.

– O co chodzi, Maxx? – zapytałam.

Zamknął oczy i przełknął ślinę.

– Kocham cię, Aubrey – powiedział niemal bolesnym szeptem, jakbym siłą wydarła z niego to wyznanie. Jakby wypowiedzenie tych słów sprawiało mi ból.

Zmarszczyłam brwi i dotknęłam jego twarzy grzbietem mojej zimnej dłoni. Otworzył oczy, które zalśniły w rosnących ciemnościach. Rozchyliłam wargi, chcąc mu coś odpowiedzieć.

Chciałam mu powiedzieć, że też go kocham.

Bo tak było.

Stopniowo narastało uczucie, które natychmiast rozpoznałam, choć nigdy wcześniej go nie doświadczyłam.

To była miłość. Czysta i wszechogarniająca.

Ale z jakiegoś powodu słowa uwięzły mi w gardle. Stałam tam, chwytając powietrze otwartymi ustami jak ryba, a Maxx patrzył na mnie proszącym wzrokiem, bezgłośnie błagając, bym odwzajemniła jego uczucie.

Odwzajemniałam je.

Więc dlaczego nie potrafiłam wypowiedzieć słów, które tak bardzo chciał usłyszeć? Słów, które chciałam wypowiedzieć?

Cisza przeciągała się, przedłużała nieznośnie, a ja nadal milczałam.

W końcu Maxx roześmiał się niepewnie i odwrócił wzrok.

Czułam się koszmarnie. Odmówiłam mu tego, czego tak rozpaczliwie potrzebował. Nie potrafiłam mu tego dać.

Dlaczego?

Nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego tak opornie szło mi werbalizowanie emocji. Może była to kwestia uporczywej nieufności lub narastającej obawy przed porażką.

Byłam wściekła na siebie, że moja własna niepewność zrujnowała tak perfekcyjny dzień.

Maxx uniósł moją dłoń do ust i ucałował jej kostki. Uśmiechał się, ale w jego oczach, które jeszcze przed chwilą jaśniały szczęściem i radością, malował się teraz smutek.

– Wróćmy do mnie. Chyba nadal jestem ci winny fettuccine Alfredo – powiedział,

splatając swoje palce z moimi, kiedy ruszyliśmy z powrotem do samochodu.

– Maxx... – zaczęłam, ale potrząsnął głową, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

– Nic nie mów, Aubrey. Chodźmy do domu, a ja ci zrobię najlepsze, kurczę blade, Alfredo, jakie kiedykolwiek jadłaś – oznajmił twardo.

Próbowałam zachowywać się, jakby nic się nie stało.

Zamrugałam oczami, odpędziłam wzbierające w nich łzy i obdarzyłam go niepewnym uśmiechem.

– Brzmi świetnie.

Sądziłam, że po dniu spędzonym na śniegu doszliśmy do punktu zwrotnego w naszej relacji. Mimo mojej niezdolności do werbalizowania uczuć udało nam się spędzić cudowny wieczór.

Wróciliśmy do mieszkania Maxxa, który zrobił mi kolację. Najwyraźniej poświęcił nieco czasu na to, by uporządkować swoje małe mieszkanko i nawet odkurzył dywan.

Włożył dużo wysiłku w to, by uczynić ten wieczór naprawdę wyjątkowym. Pomagałam mu wymieszać sos i zrobić sałatę, a potem jedliśmy jego nieco rozgotowany makaron i lekko przypalone grzanki czosnkowe przy świetle tuzina świec.

Kiedy posprzątałismy, Maxx zaproponował, żebyśmy obejrzel film. Dokonał starannego wyboru, wybierając *Stracone pokolenie* jako rodzaj hołdu dla naszej pierwszej randki. Jego romantyzm mnie wzruszył.

Nie siląc się na oglądanie filmu, zaciągnęłam go z powrotem do jego pokoju i rozebrałam bez zbędnych ceregieli. Kochaliśmy się aż do świtu.

Wszystko było takie piękne w swojej naturalności i prostocie. Chciwie łapałam te chwile, przerażona, że przeciekną mi przez palce.

Bo w naturze naszej relacji nie leżało spokojne szczęście. A tygodnie, które nastąpiły po naszym cudownym, razem spędzonym dniu, pokazały mi, że pisane jest nam coś znacznie mroczniejszego.

Maxx bez przerwy znikał. Wymykał się niepostrzeżenie, a ja zostawałam sama, zamęczając się myślami o tym, co robi, kiedy go nie ma. Co bierze i w jaki sposób się wykańcza.

Kiedy byliśmy razem, kiedy mnie dotykał, próbowałam ignorować dręczącą świadomość, że to minie. Że kiedy nasze oddechy odzyskają miarowość, a pot obeschnie, Maxx znów mnie zostawi. A jednak wracałam po więcej.

Maxx mną zawładnął.

Przytłoczył mnie.

Tonęłam.

Chwile wspólnego szczęścia miały słodko-gorzki posmak. I nigdy nie trwały długo.

Nie byłam głupia – wiedziałam, dokąd chodzi. Ale kiedy zadawałam pytania, Maxx zrećnie się wykręcał, a ja nigdy nie drażyłam. Nigdy nie stawiałam go pod ścianą.

Bo gdybym chciała być ze sobą całkowicie szczerą, musiałabym przyznać, że po prostu nie chcę uzyskać potwierdzenia, że nadal diluje. I nadal ćpa. Nadal rozpieprza sobie życie w najgorszy możliwy sposób. Przerażała mnie myśl, że gdyby moje podejrzenia zostały bezdyskusyjnie potwierdzone, zostałabym zmuszona do podjęcia decyzji dotyczącej przyszłości naszego związku. I obawiałam się, że wybór, którego bym dokonała, kazałby mi znienawidzić samą siebie.

Poszłabym za nim, dokądkolwiek chciałby mnie zaprowadzić.

Silna część mnie nadal chciała wracać do Compulsion, bo chociaż wiedziałam już, czym jest tak naprawdę to miejsce i jaką rolę odgrywa w świecie Maxxa, wciąż pamiętałam

ekscytację, którą czułam, będąc w środku. Pokusa była obłędna.

Wsadziłam więc głowę w piasek i próbowałam zachowywać się tak, jakby ciemna dziura w jego życiu w ogóle nie istniała.

Niekiedy Maxx bywał idealnym chłopakiem. Romantycznym, zapatrzonym we mnie jak w obrazek i kochającym mnie z całego serca. Śmiałyśmy się, rozmawialiśmy i żyliśmy w skradzionych chwilach czystej radości. Tak bardzo starał się dać mi wszystko, czego potrzebowałam.

Z wyjątkiem jednej rzeczy. Jedynej, na której mi zależało.

Żeby przestał. Skończył z dragami, z klubem, ze wszystkim. Wiedziałam, że tego nie zrobi, więc nigdy go o to nie prosiłam. Wiedziałam, że jego odpowiedź złamałaby mi serce. W chwilach przytomności miał błękitne, czyste spojrzenie. Nie trząsał się, nie pocił, nie targały nim mdłości narkotykowego głodu. W takich chwilach potrafiłam przekonać samą siebie, że potwór został zgładzony. Że problemu nie ma.

A jednak był, głęboko zakorzeniony w bolesnej rzeczywistości znajdującej się tuż poza granicami bańki, w której próbowaliśmy przeżyć.

Maxx nie rozmawiał ze mną o klubie ani o niczym, co miało jakikolwiek związek z tym aspektem jego życia. Nienawidziłam tego. Nie chciałam, by cokolwiek przede mną ukrywał. Nawet najkoszmarniejszej prawdy, choć pragnęłam, by okazała się tylko złym snem.

Chociaż tak wiele zachowywał w sekrecie, wiedziałam, że mnie kocha. I chociaż jeszcze nigdy nie wyznałam mu wzajemności, on sam przy każdej okazji mówił mi, co czuje.

„Kocham cię”. Miałam to na końcu języka. Ale kiedy już byłam gotowa to wyznać, Maxx znowu zniknął, zostawiając mnie z mrocznymi, pokręconymi lękami, do których zaczynałam się już niestety przyzwyczajać.

* * *

– Czyżby to była moja współlokatorka? Zaczynałam się już zastanawiać, czy nie zgłosić zaginięcia na policji! – zakpiła Renee, kiedy weszłam do mieszkania po czwartkowych zajęciach. W ciągu kilku ostatnich tygodni nieczęsto ją widywałam, a bardzo za nią tęskniłam. Żyłam na wiecznej huśtawce i bardzo chciałam jej się zwierzyć tak jak kiedyś. Chociaż powolutku odzyskiwałyśmy w naszej przyjaźni wcześniejszą swobodę, nie byłam pewna, czy jestem gotowa opowiedzieć jej o mojej nieznośnej sytuacji.

Wyglądała na szczęśliwszą. Siniaki od pięści Devona już dawno znikły i zauważyłam, że Renee wreszcie zaczęła lekko przybierać na wadze, a jej cera promienieje zdrowiem. Zaczęła też ubierać się w niektóre ze swoich starych ubrań.

Już samo to stanowiło dowód, że Devon zniknął z pola widzenia.

– Ha, ha, ha. – Przewróciłam oczami i rzuciłam torbę z książkami na podłogę.

Przed chwilą wpadłam do mieszkania Maxxa, mając nadzieję, że zobaczę się z nim przed zajęciami, ale oczywiście go nie zastałam. Czekałam przez dwadzieścia minut, ale się nie pokazał. Poszłam sobie dopiero wtedy, kiedy zaczęło padać.

– Kiedy ostatni raz tutaj nocowałaś? Zaczęłam już sądzić, że mieszkam sama – powiedziała Renee, zamykając czytana książkę i kładąc ją na kanapie obok siebie. Kiedy nie odpowiedziałam, uśmiechnęła się smutno. – No to kim jest ten chłopak i dlaczego go jeszcze nie spotkałam? – zapytała, idąc za mną do kuchni.

Otworzyłam lodówkę i wyciągnęłam z niej napój gazowany. Otworzyłam puszkę i pociągnęłam długi łyk, zastanawiając się, co jej odpowiedzieć.

Nadal żyłam w ciągłej paranoi, że nas nakryją. Zadręczałam się myślą, co się stanie, kiedy ktoś nieodpowiedni zobaczy mnie razem z Maxxem. Wymyślałam przerażające scenariusze chwili, w której mój cały świat imploduje, a moje marzenia roztrzaskają się w drobny mak.

Odstawiłam puszkę na blat i westchnęłam. Renee założyła ręce na piersi i przyjrzała mi się bacznie. Mimo że nasza przyjaźń w ciągu ostatniego roku bardzo się zmieniła, Renee nadal znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

– Co jest? Chodzi o tego chłopaka? – zapytała z niepokojem w głosie.

Westchnęłam jeszcze raz.

Renee zmarszczyła brwi.

– Powiem ci z własnego doświadczenia, że żaden facet nie jest wart tego, żeby się przez niego dołować – powiedziała stanowczo.

Oparłam się plecami o szafki i zapałam rękoma o blat.

– Chyba go kocham – powiedziałam szybko ku własnemu zaskoczeniu.

Słowa wymknęły mi się mimowolnie, bez zwykłego u mnie wahania, które mogłoby je powstrzymać. Zakryłam usta dłonią, jakbym mogłam wcisnąć je z powrotem tam, gdzie były bezpieczne. Bo teraz, kiedy je wypowiedziałam, nie było już sposobu, żeby je cofnąć.

Renee zamrugała zaskoczona.

– Co? Kochasz faceta, którego nigdy nie spotkałam? O którym nigdy dotąd nie wspomniałaś? Przepraszam, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć – zadrwiła, z niedowierzaniem unosząc brew.

– Nie mogę o nim rozmawiać, Renee – powiedziałam błagalnie, mając nadzieję, że odpuści.

Ale teraz już nie miałam jak uciec.

– O nie, już dawno powinnyśmy były sobie urządzić wieczór babskich pogaduszek. Bierz lody, ja biorę chipsy, kanapa jest tam – poleciała Renee, a ja mimowolnie się uśmiechnęłam. W gruncie rzeczy po tak długim czasie utrzymywania wszystkiego w sekrecie nie mogłam się już doczekać, żeby nie podzielić się z nią przynajmniej częścią swoich tajemnic.

Wyciągnęłam z zamrażarki dwa półlitrowe kubeczki lodów Ben & Jerry's i przysiadłam się do Renee siedzącej już w salonie.

– Musisz zacząć od samego początku. Dlaczego utrzymujesz ten związek w takiej tajemnicy? To do ciebie zupełnie niepodobne – powiedziała Renee, kiedy już umościliśmy się wygodnie.

Wpakowałam do ust czubatą łyżkę lodów, mając nadzieję, że po takiej ochłodzie zdołam wykrzesać z siebie jakieś resztki zdrowego rozsądku.

– Należy do grupy wsparcia, którą pomagam prowadzić – wyznałam szybko swój grzech.

Przypominało to zrywanie plastra. Lepiej się przy tym nie certolić.

Renee wybałuszyła oczy.

– To chyba niezbyt dobrze... – zauważyła.

– No nie, szczerze mówiąc, to fatalnie – wymamrotałam, pakując sobie do ust kolejną łyżkę.

– Nareszcie zaczynam rozumieć wszystkie te tajemnice.

Renee się zamyśliła, odstawiając na bok lody i zabierając się za paczkę czipsów o smaku kwaśnej śmietany i cebulki.

– Zaczęło się, zanim w ogóle uzmysłowiłam się, że cokolwiek się dzieje. Spadło na mnie znieńcka, a potem wszystko wybuchło jak bomba atomowa. Czy to, co mówię, ma jakiś sens? – zapytałam.

Dopiero kiedy zaczęłam opowiadać o swoim związku z Maxxem, dotarło do mnie, jaką lekkomyślnością było wpakowanie się w cały ten układ.

– Absolutnie – odpowiedziała Renee, krzywiąc się bezwiednie.

Wiedziałam, że myśli o Devonie, i nie po raz pierwszy poczułam wyrzuty sumienia, że byłam tak krytyczna i bezlitosna, gdy chodziło o jej uczucia względem jej eks. Teraz rozumiałam, jak trudno porzucić kogoś, kto cię obchodzi – nawet jeśli wiesz, że to fatalny wybór.

– Brooks wie – powiedziałam.

Ku mojemu zaskoczeniu Renee przewróciła oczami.

– I dobrze. Może to go wreszcie otrzeźwi.

– Co?

Renee podała mi czipsy.

– Już zdecydowanie za długo się do ciebie ślini. Samo obserwowanie tego jest żenujące.

Pokręciłam głową.

– Coś ci się pomieszało. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Zaliczyliśmy ten etap i sprawa zamknięta – przekonywałam.

Renee znów przewróciła oczami, a ja poczułam się tak, jakbym przegapiła coś rażąco oczywistego.

– To w takim razie jesteś ślepa. Ten chłopak marzy o bilecie powrotnym na pociąg pospieszny prosto w majtki Aubrey Duncan. Spaliście ze sobą i nie ma siły: jak próbujesz przejść od czegoś takiego do przyjaźni, to pod powierzchnią zostaje ci grząskie bagno. Brooks Hamlin cię pragnie... i to bardzo. Dlatego mówię, że to dobrze! Potrzebował kopa, żeby wreszcie, do cholery, dać sobie spokój – zauważyła Renee bez zgryźliwości.

Jej grubiańska uwaga skomplikowała do reszty i tak już zawiłe równanie. Czy Renee miała rację? Oczywiście, że tak. W głębi ducha podejrzewałam to już od dawna.

– Ale on wie. I jeśli się nie mylisz i faktycznie żywi do mnie te nieodwzajemnione uczucia, to co go powstrzyma przed tym, żeby nas zdekonspirować? – jęknęłam.

Renee nie odpowiedziała. Nie było potrzeby zwracania mi uwagi, że jeśli tak się przejmuję reperkusjami, to przede wszystkim nie powinnam się w to pakować. Gdyby naprawdę zależało mi na mojej przyszłości, to powinnam zakończyć związek z Maxxem i zapomnieć o nim raz na zawsze.

Ale to by było za proste. A moje serce najwyraźniej nie lubiło prostoty.

Renee wyciągnęła rękę i pogładziła mnie po głowie.

– Naprawdę nie sądzę, żeby Brooks mógł ci to zrobić. Jest twoim przyjacielem, Aubrey. Nigdy byś się do niego nie zbliżyła, gdybyś uznała, że jest zdolny do takich kurewskich zagrywek.

I znów moja tak nieoczekiwanie mądra współlokatorka miała rację. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by Brooks mógł okazać się tak podły.

A jednak nie potrafiłam zapomnieć wyrazu wściekłości i urazy, jaki odmalował się na

jego twarzy, gdy zdał sobie sprawę, co się dzieje pomiędzy mną i Maxxem. Prawdę mówiąc, straciłam już rozeznanie, komu i w jakiej mierze mogę zaufać.

– Żałuję, że nie potrafię ci doradzić, jak powinnaś postąpić, ale jakbyś nie zauważyła, nie jestem najlepszą osobą do udzielania porad sercowych. Mogę ci tylko zasugerować ostrożność. Wolałabym nie patrzeć, jak zostajesz skrzywdzona – ciągnęła Renee, patrząc na mnie ze współczuciem.

Ależ się wszystko pozmieniało. Jeszcze niedawno to ja obrzucałam ją tym szczególnym spojrzeniem. Jak nisko upadłam.

Zanim zdążyłam rozpląnąć się na podłodze w kałuży litości nad samą sobą, zaćwierkał telefon Renee, informując ją, że dostała wiadomość. Podniosła go ze stolika do kawy i odczytała treść esemesa. Jej twarz wykrzywiła mieszanina złości i strachu.

– Co jest? – zapytałam, obserwując, jak pospiesznie kasuje wiadomość.

Renee zmusiła się do uśmiechu i wcisnęła sobie telefon do kieszeni.

– Nic – skłamała.

Zmrużyłam oczy i Renee bezradnie wzruszyła ramionami.

– To Devon.

– Devon? Myślałam, że między wami wszystko skończone? – zapytałam z nadzieją, że zaabsorbowana Maxxem nie przegapiłam jakiegoś nagłego zwrotu w życiu uczuciowym mojej współlokatorki.

– No bo skończone, tylko jemu z trudem przychodzi przyjęcie tego do wiadomości – wymamrotała.

– I co ci napisał? – zapytałam, chociaż biorąc pod uwagę fantastyczną osobowość Devona Keetona, mogłam sobie wyobrazić treść tego esemesa.

– Niewiele. Ale najwyraźniej ma upodobanie do niezbyt przyjemnych słów. – Wzruszyła znów ramionami.

Miałam na końcu języka jakąś wyjątkowo niemiłą uwagę na temat jej eks, ale się powstrzymałam. Renee trzymała się dzielnie, choć obawiałam się, jak długo jeszcze wytrzyma. Wiedziałam, że moje zgryźliwe uwagi w niczym tu nie pomogą, nawet jeśli ja sama poczuję się dzięki nim lepiej. Patrząc na Renee, nie mogłam nie zauważyć, jak odbił się na niej związek z Devonem. A jednak wciąż go kochała. To było jasne jak słońce. I ta miłość wyrządzała jej krzywdę.

Mimowolnie zastanowiłam się, czy jestem w tej samej sytuacji. Moje uczucia do Maxxa skłaniały mnie do podejmowania decyzji, których wcześniej bym nie podjęła. Zapominałam o wszystkim, co miało dla mnie znaczenie, i nie zawahałabym się z tego zrezygnować, by ocalić chłopaka, który – byłam tego prawie pewna – wcale nie chciał zostać ocalony.

Miłość ogłupia.

Zaślepia.

Potrafi obezwładnić i uczynić nas zupełnie bezbronnymi.

Ale może też wszystko naprawić.

Nie dopuszczałam do siebie innej myśli.

A jednak miłość Renee nieomal ją zniszczyła. I niczego nie naprawiła. W oczach mojej przyjaciółki malowała się świadomość, której tam wcześniej nie było.

Wyciągnęłam rękę i ucisnęłam jej dłoń, oferując wsparcie, które ostatecznie jest wszystkim, czego pragniemy. Starła się uśmiechnąć, ale tylko skrzywiła usta w jakimś

nieokreślonym grymasie.

– Muszę iść do biblioteki. Będiesz tu dziś wieczorem? – zapytała Renee.

– Nie wiem – odpowiedziałam uczciwie.

Bo wiedziałam, że jeśli uda mi się znaleźć Maxxa, to nie wrócę do domu. Już teraz byłam niespokojna i rozdrażniona, nie mogąc się z nim natychmiast zobaczyć. Rozstaliśmy się zaledwie dziś rano, a ja już wierciłam się niespokojnie jak ćpun marzący o kolejnej działce.

Byłam uzależniona od Maxxa.

Kąciki ust Renee uniosły się w smutnym uśmiechu.

– Tylko nie daj się wciągnąć w jakieś bagno, Aubrey. Wyciągnij wnioski z moich błędów – ostrzegła.

Chciałam zbyć jej uwagę lekceważeniem, ale nie mogłam. Miała rację.

Kiedy już wyszła, poddałam się i spróbowałam jeszcze raz zadzwonić do Maxxa. I znów nie odebrał. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zostawić wiadomości, ale dałam spokój. Zobaczy, że dzwoniłam. Mogłam mieć tylko nadzieję, że oddzwoni.

Nie mogłam siedzieć w mieszkaniu i czekać na telefon. To było smutne i żałosne. Miałam mnóstwo zaległej roboty. W ciągu ostatnich tygodni zaniedbywałam szkołę i musiałam teraz solidnie przysiąc fałdów, żeby wszystko nadrobić.

Pozbierałam książki do torby, starając się nie myśleć o tym, w jakim stanie jest moja sypialnia, którą przez obsesję na punkcie Maxxa też nieco zapuściłam. Ilość kurzu skłoniła mnie do pospiesznej ucieczki.

Znalazszy się na terenie uniwersytetu, ruszyłam w stronę tylnego wejścia do budynku psychologii. Zapomniałam sprawdzić harmonogram sympozjum doktor Lowell na ten tydzień, a nie chciałam dodatkowo pogarszać swojej sytuacji, nie pokazując się na zajęciach.

Miałam nadzieję, że nie wpadnę na moją opiekunkę naukową, ale powinnam była wiedzieć, że szczęście mi nie dopisze. Ostatnio wyglądało na to, że wszechświat z upodobaniem pokazuje mi środkowy palec.

– Aubrey! Wejdz, proszę, chciałabym z tobą przez chwilę porozmawiać! – zawołała doktor Lowell, kiedy próbowałam chyłkiem wślizgnąć się do poczekalni przed jej gabinetem.

Najwyraźniej ukradkowe manewry nie leżały w mojej naturze.

Stanie przed moją panią profesor, dla której przecież miałam tyle szacunku, ze świadomością, że zdradzam jej zaufanie, było nowym rodzajem tortury. Obawiałam się, że wystarczy jej na mnie spojrzeć, by poznać wszystkie moje sekrety.

Miłość do Maxxa sprawiała, że wciąż musiałam się wstydzić i walczyć z poczuciem winy. Nienawidziłam tego. Dlaczego nie mogłam go spotkać w jakichś innych okolicznościach?

W głębi duszy wiedziałam jednak, że tym, co mnie w głębi duszy pociągało w Maksie, był w dużej mierze kotłujący się w nim chaos. Ten sam, który doprowadził go na spotkania grupy.

Boże, jakie w ten sposób wystawiałam sobie świadectwo? Może to nie Maxx był w tym układzie rzeczywiście popieprzony? Przecież to jasne, że moje własne problemy niszczyły mnie w tym samym stopniu.

Weszłam do gabinetu doktor Lowell i stanęłam niepewnie w drzwiach. Moja profesor podniosła wzrok i gestem wskazała mi krzesło. Przyjrzałam się badawczo jej twarzy,

szukając w niej złości lub niezadowolenia. Wykańczałam się własną podejrzliwością.

– Daj mi tylko chwilę, żebym mogła to skończyć – powiedziała doktor Lowell, przerzucając stertę papierów.

Czekając, rozejrzałam się po gabinecie, w którym spędziłam tyle czasu. Pamiętałam pierwsze zajęcia z doktor Lowell, które mieliśmy na pierwszym roku. Podstawy psychologii nie były szczególnie pasjonujące, ale uwielbiałam styl nauczania swojej profesor. Zachwycała tym, w jaki sposób potrafiła wzbudzić w swoich studentach zamiłowanie do wykładanego przedmiotu.

Tego pierwszego roku po utracie Jayme byłam zagubiona i zrozpaczona. Relacje z rodzicami pozostawały bardzo napięte. Od domu dzieliły mnie setki kilometrów i byłam zupełnie sama. Zerwałam stosunki ze wszystkimi przyjaciółmi ze szkoły średniej i nie starałam się nawiązać nowych znajomości.

A jednak jakimś cudem doktor Lowell dostrzegła we mnie potencjał i szybko wzięła mnie pod swoje skrzydła. Szanowałam jej niezgodę na stosowanie taryfy ulgowej wobec siebie czy kogokolwiek innego. Pociągała mnie jej szorstka, a jednocześnie ujmująca osobowość i to, że oczekiwała ode mnie wzięcia za siebie odpowiedzialności, a jednocześnie zawsze miała na względzie mój żal po stracie Jayme.

Utwierdzała mnie w chęci zostania terapeutką. Prowadziła mnie drogą, którą wybrałam. Była moją mentorką. Moim doradcą. Moją ulubioną wykładowczynią. Na myśl o tym, że sprawiam jej zawód, robiło mi się niedobrze. Z przerażeniem myślałam o tym, że pewnego dnia spojrzę jej w oczy i zobaczę w nich rozczarowanie.

Gdy w końcu doktor Lowell oderwała się od papierów i obdarzyła mnie uwagą, prawie zemdlałam z ulgi na widok jej uśmiechu. To nie był ktoś, komu mój widok nie sprawiał radości. Przeciwnie, wydawała się zadowolona.

– Nie chcę cię długo zatrzymywać, Aubrey. Wiem, że pewnie jesteś zajęta. Chciałam tylko poświęcić chwilę na to, by ci powiedzieć, że dostaję od Kristie znakomite raporty na temat grupy – powiedziała doktor Lowell.

Doznałam szoku.

– Naprawdę? Sądziłam, że po tej nieszczęsnej historii zostałam spisana na straty – powiedziałam, co bardzo rozśmieszyło doktor Lowell.

– Myślę, że Kristie to przepracowała. Potrafi być trudna we współżyciu. Sprawia wrażenie osoby sympatycznej, ale w wielu kwestiach pozostaje dość mało elastyczna. Więc to, że zmieniła zdanie, możesz uznać za ogromny komplement.

Pochwała nie napełniła mnie zwykłą, radosną dumą. Nie. Tak naprawdę poczułam się jeszcze gorzej. Co by powiedziały doktor Lowell i Kristie, gdyby zdały sobie sprawę, jak niewłaściwie tak naprawdę postępuję? Zadrzałam na samą myśl o wyrazie ich twarzy, gdyby prawda kiedykolwiek wyszła na jaw.

Jednak to nie wystarczało, bym zdecydowała się odejść od Maxxa.

Bo cierpiałam na własne uzależnienie, które odbierało mi wszelką zdolność logicznego myślenia.

– Dziękuję. – Tylko tyle udało mi się wydukać.

Doktor Lowell uśmiechnęła się promiennie, a mnie opanowała chęć rzucenia się do ucieczki. Wybiegnięcia z gabinetu. Natychmiast.

– Sprawdź mój harmonogram zajęć i konsultacji wywieszony na drzwiach i zapisz się na

indywidualne spotkanie po zakończeniu prac grupy. Będziemy mogły porozmawiać o tym, jak poszło, i przyjrzeć się możliwościom przypisania cię jako ochotniczki do kolejnej grupy – poleciła moja pani profesor, kończąc w ten sposób naszą rozmowę.

Wstałam bez słowa. Pospiesznie wyszłam z gabinetu i zrobiłam to, co mi poleciła. Już się bałam tego spotkania.

Miałam górę zaległości. Powinnam pójść do biblioteki, ale w tym momencie chciałam już tylko wydostać się z terenu uniwersytetu. Pójść do mieszkania Maxxa i zatonać w uczuciach, które wzbudzał we mnie tylko jego dotyk.

Pchnęłam drzwi prowadzące na dziedziniec. Pospiesznie ruszyłam chodnikiem i nagle stanęłam jak wryta. Moją uwagę przykuły kolory ścielące się u moich stóp. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że całą długość chodnika pokrywał rysunek.

Cofnęłam się, żeby mieć lepszy widok. To był skomplikowany kalejdoskop obrazów. W samym środku znajdowały się dwie postaci, które wyglądały jak marionetki na sznurkach. Stawy miały powykręcane, krwawe, poszarpane połączenia poskręcane na śruby i bolce. Podtrzymujące je sznurki znikwały w gęstych, szalejących nad ich głowami płomieniach.

Marionetki obejmowały się kurczowo, ściskając niezgrabnie za bezwładne ręce. Ziemia usuwała się im spod nóg, kruszyła, znikła. W długie blond włosy żeńskiej marionetki wplecione były kwiaty, które zasłaniały jej twarz. Kwiaty splatające się w zawile ikisy.

Kiedy tam stałam, wpatrując się jak zahipnotyzowana w dziwny, a jednak niewiarygodnie piękny rysunek, na czubek mojego nosa spadła kropla wody, a kolejne spłynęły mi po policzkach. Podniosłam wzrok i zobaczyłam gromadzące się nad głową deszczowe chmury, a potem obserwowałam ze smutkiem, jak woda zalewa namalowany na chodniku obraz i powoli go zamazuje.

Jaka szkoda, że coś tak niezwykłego, coś, czego stworzeniu ktoś poświęcił najwyraźniej mnóstwo czasu, padało ofiarą zwykłego deszczu.

Nie spodziewałam się nagłej zmiany pogody, więc stałam w strugach wody i mokłam. A jednak nie potrafiłam przestać z niezdrową fascynacją patrzeć, jak jaskrawe kolory mieszają się ze sobą i spływają chodnikiem. Dwie marionetki, złączone w namiętym, lecz niewygodnym uścisku, rozpływały się, aż w końcu nic z nich nie zostało.

– Dlaczego on nie może po prostu rysować na papierze jak normalny człowiek? – zapytał jakiś złośliwy głos za moimi plecami.

Brooks stanął obok mnie, unosząc parasol w taki sposób, by osłonić mnie przed deszczem. Od tygodni z nim nie rozmawiałam. Od czasu naszej konfrontacji po grupie wsparcia. Przychodził na spotkania tydzień po tygodniu, ale od tamtej historii ani razu nie próbował nawiązać ze mną rozmowy, chociaż czułam, że uważnie mnie obserwuje. Nie on jeden. Wiedziałam, że inni również mi się przyglądali, co nie pomagało mi pozbyć się paranoi sięgającej niemal punktu kulminacyjnego.

Marionetki były już prawie niewidoczne.

– Sądziłam, że podobają ci się rysunki, których autorem jest X – zauważyłam, nadal nie odrywając wzroku od zalewanego deszczem chodnika.

Brooks prychnął.

– To jak ten klub. Zwykła ułuda. Strata czasu. Jasne, że ślicznie wygląda, ale wszystko pod spodem jest do cna przegniłe – wypalił.

I wiedziałam, że nie mówi o rysunku.

– Skąd ta gorycz, Brooks? Stworzenie czegoś takiego wymaga wiele talentu – zaoponowałam, trzęsąc się z zimna i czując, jak przemoknięte ubranie przylepia mi się do skóry.

Wielkie krople bębniły o parasol, a z nieba lały się strugi wody, które rozpryskując się na ziemi, obryzgiwały mi buty i dzinsy.

Brooks pokręcił głową.

– Rozumiem to, Aubrey. Dla czegoś takiego łatwo jest stracić głowę. Ale nie zapomnij o brzydocie, która kryje się pod spodem. Miło jest na to popatrzeć, ale to tylko powłoka, która w końcu blednie i znika.

Porozumiewanie się takimi metaforami przyprawiało mnie o ból głowy. Przesłanie Brooksa było jednak jasne jak słońce. Gdybym miała jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do stanu naszej przyjaźni, natychmiast bym się ich wyzbyła. Jego niechęć była niemal namacalna.

Wysunęłam się spod chroniącego mnie parasola, spojrzałam mojemu byłemu przyjacielowi w oczy i nie dostrzegłam w nich spojrzenia życzliwego, empatycznego człowieka, którym kiedyś był.

– Przykro mi ze względu na ciebie, Brooks. Łatwo jest krytykować coś, czego nawet nie próbuje się zrozumieć. Ferować wyroki bez uważnego przyjrzenia się sprawie. Przykro mi, jeśli nie spełniłam oczekiwań, które we mnie pokładałeś. Że cię rozczarowałam. Ale w końcu musiałam zejść z tego piedestału.

Brooks otworzył usta, sprawiając wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową.

– Mnie również jest przykro, Aubrey – powiedział smutno.

Spuściłam wzrok na rozmazany rysunek. Wszystkim, co z niego zostało, była kałuża koloru w trawie.

– Przegapisz niejedno w życiu, jeśli nie zdobędziesz się na to, by spojrzeć dalej niż czubek własnego nosa i dostrzec piękne rzeczy w najmniej spodziewanych miejscach. To, co złożone, nie musi być złe czy brzydkie. To właśnie skomplikowanie nadaje rzeczom wartość – powiedziałam cicho, po czym odwróciłam się i odeszłam.

Wyciągnęłam telefon i spróbowałam znów zadzwonić do Maxxa. Nie odebrał. Przemarzałam do szpiku kości, opuszki palców zaczęły mi drętwieć, ale nie mogłam teraz wrócić do swojego mieszkania. Nie mogłam też zostać na uniwersytecie.

Było tylko jedno miejsce, w którym czułam się bezpiecznie. Tylko jedna osoba, której potrzebowałam.

Przeszłam więc cztery i pół przecznicy, żeby go znaleźć.

A kiedy go nie zastałam, postanowiłam zaczekać.

Gotowa byłam zawsze na niego czekać.

– Dlaczego nie mogę z tobą pójść? – zapytałam Maxxa, leżąc nago w jego łóżku, ciasno wokół niego opleciona. Prężyłam się pod dotykiem jego palców przesuwających się w górę i w dół po moim kręgosłupie.

Nie wypuszczaliśmy się z objęć przez większą część dnia. Minął już prawie tydzień, odkąd widzieliśmy się po ostatni raz, lecz kiedy go wreszcie znów zobaczyłam, ani słowem nie wyjaśnił swojego zniknięcia. Nigdy nic nie wyjaśniał.

Chciałam się na niego rozgniewać, chciałam być zła i smutna, ale nie potrafiłam. Nie wtedy, gdy mnie dotykał i trzymał tak, jakby od tego zależało jego życie. Nie wtedy, gdy czułam się tak rozbita i znękana po nagłym wybuchu samoświadomości.

Kochałam Maxxa Demelo. Świadomość tego faktu przenikała mnie do szpiku kości.

Rozsadzała mnie chęć wyznania mu tego. Złożenia mu serca u stóp z taką łatwością, z jaką on sam to zrobił. Wyobrażałam sobie, jak rozbłyszczą mu oczy, kiedy mu wreszcie powiem. Fantazjowałam, jak zareaguje. Pocałuje mnie, będzie się ze mną kochał, będzie mnie wielbił cudownymi słowami.

Potrzeba zachowania tej odrobiny kontroli, jaką miałam jeszcze nad własnym sercem, odebrała mi zdolność wysławiania się. Słowa pozostały więc niewypowiedziane, nawet jeśli trwale odciskały swoją obecność w moim sercu.

Ale kwestia miłosnego wyznania została szybko odsunięta na dalszy plan zupełnie innymi problemami. Przede wszystkim życiem, które wiódł z dala ode mnie. Życiem, którego nienawidziłam równie bezdyskusyjnie, jak kochałam człowieka, który je prowadził.

– Nie zabawię tam długo, najwyżej kilka godzin. Dlaczego po prostu nie zostaniesz tutaj? Żeby po powrocie do domu mógł zrobić to... – odpowiedział Maxx ochryple, przewracając mnie na plecy i moszcząc się między moimi udami.

Będąc z Maxxem, nauczyłam się już, że używał seksu jako metody zamknięcia mi ust. Kiedy zaczynałam go wypytywać albo dzieliłam się swoimi obawami, przewracał mnie na plecy i pieprzył tak długo, dopóki nie zamilkłam.

I chociaż mimowolnie czerpałam przyjemność z metod, którymi się posługiwał do sterowania przebiegiem naszych rozmów, czułam się sfrustrowana.

Więc kiedy zaczął się wsuwać się w moją mokrą, ciepłą dziurkę, całując mnie, żeby zakończyć naszą rozmowę, stawiałam opór.

Cofnęłam biodra, choć moje ciało błagało, by się z nim połączyć. Oderwałam od niego usta i odwróciłam głowę na bok. Odepchnęłam go od siebie.

– Chcę iść do Compulsion, Maxx. Proszę, zabierz mnie ze sobą – powiedziałam błagalnie.

Nie byłam pewna, dlaczego tak się upieram przy wyjściu z nim do klubu w sobotę. Może chodziło o to, że zmęczyły mnie już weekendy spędzone na zastanawianiu się, co robi, kiedy tam jest? Choć nie musiałam się zastanawiać zbyt intensywnie, by to sobie wyobrazić.

I chociaż naprawdę bardzo się starał trzymać mnie z dala od narkotyków, wiedziałam, że nadal tam są. Miały nienasycony apetyt na jego czas. Mimo że wypierał swoje uzależnienie,

w naszym związku było ono stale obecne. Poświęcał prochom więcej uwagi niż mnie.

Byłam zazdrosna.

I przestraszona.

Maxx zmieniał mnie w kłębek emocji – dobrych i złych. Nie wiedziałam, co robić. Nie wiedziałam, jak mu pomóc. Studiowałam, by uzyskać prawo do wykonywania zawodu terapeuty uzależnień, a nie potrafiłam zrobić nic dla człowieka, w którym się zakochałam.

Za każdym razem gdy próbowałam poruszyć kwestię jego nałogu, Maxx twierdził, że nie ma żadnego problemu. Że muszę przestać się o niego martwić. Nie widział siebie samego tak, jak ja go widziałam. Nie widział smutnego, zdesperowanego człowieka, który nie miał pojęcia o zniszczeniach, jakie sam sobie fundował. Sądził, że to kontroluje. Że sam wszystkim steruje. Że może ukryć przede mną najgorsze. Że nigdy się nie dowiem.

Tak bardzo się mylił.

Dostrzegałam różnicę między Maxxem na haju unoszącym go wysoko jak latawiec i Maxxem na głodzie, który zaczynał się pojawiać coraz częściej i był coraz bardziej dotkliwy, a także Maxxem plasującym się gdzieś pomiędzy tymi stanami.

Dwa ekstrema szybko stawały się jego jedynymi stanami istnienia. Maxx żyjący pomiędzy nimi niepostrzeżenie zniknął. Wiedziałam, że walczy, cierpi, pragnie. I chociaż nie brał w mojej obecności – nie po tym, jak pojechaliśmy zobaczyć się z jego bratem – wiedziałam, że nadal większość czasu jest naćpany.

Chciałam go przycisnąć, zażądać, by powiedział mi prawdę, ale się bałam. Wiedziałam, że gdybym to zrobiła, odciąłby się ode mnie i już nigdy nie zyskałabym szansy, by mu pomóc. Pozwoliłam zamknąć sobie usta, myśląc z nienawiścią o własnej bezwolności – a jednocześnie szalejąc za nim. Pozwalałam mu wykorzystywać jego ciało do tego, byśmy mogli oboje zapomnieć o prawdzie.

Moja rozmyślna ignorancja zaczynała mnie jednak coraz bardziej nużyć. Frustrowało mnie, w jakim stopniu wypierałam prawdę. Miałam powyżej uszu przemykania oczu na to, że Maxx niszczy życie nas obojga.

Chciałam pójść z nim do klubu.

Uznałam, że to o niebo lepsze niż zadręczanie się w samotności. W tych mrocznych godzinach przed jego powrotem potrafiłam myśleć tylko o tym, że być może to właśnie tym razem w ogóle nie wróci. Że może właśnie tym razem granice przestaną mieć znaczenie i Maxx rzuci się w przepaść.

Teraz z irytacją wypuścił powietrze i opadł na mnie, opierając czoło na moim obojczyku.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – zapytał z irytacją w głosie. – Byłaś tam i przecież widziałem, że to nie twoje klimaty.

Odepchnęłam go lekko i przetoczyłam się na bok. Złożyłam dłonie pod policzkiem i przyjrzałam mu się uważnie.

– Bo chcę z tobą być. Nienawidzę wyczekiwania, aż wrócisz do domu, i zastanawiania się, co robisz – wyjaśniłam.

Maxx oparł głowę na zgiętym ramieniu, podniósł na mnie spojrzenie i zmarszczył brwi.

– Wiesz, co robię, Aubrey – powiedział cicho.

Tak. Wiedziałam, co robił w Compulsion. Zarabiał pieniądze, sprzedając narkotyki nieszczęśliwym i zrozpaczonym. Jak mogłabym kiedykolwiek to zaakceptować?

– Nie chcesz tego widzieć – dokończył, przesuwając opuszką kciuka po mojej dolnej

wardze.

Ucałowałam jego palec, po czym odpowiedziałam:

– Ale chcę z tobą być.

– Jak mógłbym ci kiedykolwiek odmówić? – zapytał mnie z uśmiechem.

Na to stwierdzenie aż ścisnęło mnie w żołądku.

Bo to było kłamstwo.

Nie miałam władzy pozwalającej mi skłonić go do zaprzestania zażywania narkotyków. Odmówiłby mi, gdybym poprosiła, żeby nigdy więcej nie handlował. Wiedziałam, co by mi odpowiedział, gdybym zaczęła się upierać, by trzymał się z daleka od Compulsion i wszystkich pokus, które w sobie kryło.

I chociaż Maxx mnie pragnął, chociaż mnie kochał, mój wpływ na niego miał swoje granice. Nie było dnia, by czegoś mi nie odmawiał.

– Podjadę po ciebie jutro wieczorem o dziewiątej. Mam wcześniej parę rzeczy do zrobienia – powiedział Maxx, otaczając mnie ramieniem w talii i przyciągając do siebie. – A teraz czy możemy wrócić do tego? – zapytał, unosząc moją nogę i zakładając ją sobie na biodro. Wsunął dłoń między nasze ciała.

– Tak – wyszeptalam i jęknęłam gardłowo, kiedy wepchnął we mnie dwa palce. Jego dłoń poruszała się we mnie, jego usta zawładnęły moimi wargami i raz jeszcze pozwoliłam sobie na zapomnienie.

* * *

– A więc w końcu poznam tego tajemniczego mężczyznę? – zapytała Renee w piątkowy wieczór.

Ubierałam się na wyjście do klubu z Maxxem i byłam kłębkim nerwów. To oznaczało dla nas wielki krok. Wprowadzał mnie do swojego świata, w którym będzie oczywiste, kim dla siebie jesteśmy.

W początkowym etapie naszego związku nie opuszczaliśmy jego mieszkania. Budowaliśmy naszą relację w sekrecie. Pomijając dzień spędzony na sankach, bardzo rzadko pokazywaliśmy się razem publicznie. Kilkakrotnie poszliśmy razem na kolację, dwukrotnie na film. Ale większość czasu spędzaliśmy w bezpiecznej przystani jego domu.

Teraz ujawnialiśmy nasz związek. Obwieszczaliśmy wszem wobec, że Maxx należy do mnie. Było to jednocześnie podniecające i przerażające.

Bo przecież wiedziałam, z kim wejdę do klubu. To nie był mój Maxx. To był Maxx, który należał do wszystkich innych.

Zmuszałam te dwa światy, by się ze sobą zderzyły.

Byłam zdenerwowana i zaniepokojona możliwościami, które mogła otworzyć ta noc. I chociaż Renee cieszyła się, że w końcu pozna faceta, który kompletnie mnie przeinaczył, ja sama żałowałam, że moje odczucia nie są tak nieskomplikowane.

– Chyba tak – odpowiedziałam, naciągając przez głowę krótką czerwoną sukienkę.

Pożyczyłam ją od Renee, która tym razem się uparła. Kiecka była tak krótka, że ledwie zakrywała mi tyłek. Czułam zdecydowanie zbyt duży przewiew tam, gdzie nie powinnam.

– Wyglądasz zachwycająco. Co robicie dziś wieczorem? – zapytała, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, telefon zawibrował jej w dłoni. Wyłączyła go, nie spojrzawszy nawet na

ekran.

– Czy to znów Devon? – zapytałam.

– Taa... – powiedziała Renee, obdarzając mnie jednym z tych swoich zbyt często wymuszonych uśmiechów.

– Nadal jest tym samym czarującym sobą? – zapytałam mimowolnie.

Renee spojrzała na mnie z ukosa i prychnęła.

– Oczywiście – odpowiedziała, po czym podeszła do mojego pudełka z biżuterią i zaczęła w nim grzebać. Rozważnie nie ciągnęłam tematu. Wiedziałam, że nie chce o tym mówić, i bałam się drażnić mocniej, nie chcąc jej spłoszyć. – Wiedziałam, że nadal je masz! – wykrzyknęła oskarżycielsko, wyciągając parę długich, wiszących kolczyków z wielkimi połyskującymi kamieniami. Oczy jej się śmiały.

– Nie założę ich – oznajmiłam.

Za dobrze pamiętałam, jak zmieniała się Renee, kiedy nachodziła ją ochota do zabawy w przebieranki. Odkąd się zaprzyjaźniłyśmy, postawiła sobie za punkt honoru przeobrażenie mojej szafy i doskonale się bawiła, wprowadzając mnie w świat obłędnie wysokich szpilek i kolczyków wielkości młyńskich kół.

Od dłuższego czasu nie byłam przedmiotem jej zabiegów, ale w ułamku sekundy przypominałam sobie, jak bardzo ich nienawidziłam.

– Ależ owszem. I... – zawahała się, przeglądając pospiesznie moje buty i wyłaniając się zza wielkiej sterty z parą wysoko sznurowanych czarnych sandałów na niebotycznych obcasach.

– Złamię sobie kark! – zaprotestowałam, ale Renee postawiła je przede mną, a ja z najwyższą ostrożnością się w nie wślizgnęłam.

Z trudem złapałam równowagę na dziesięciocentymetrowych obcasach, w które uparcie próbowała mnie wcisnąć Renee, po czym wysunęłam stopę do przodu i przyjrzałam się przywiązanemu do niej współczesnemu narzędziu tortur.

– Renee, serio? Dlaczego po prostu nie wbijesz mi kolców w podeszwy? Już mnie palce bolą! Do świtu trzeba mi będzie kilka amputować! – jęknęłam, patrząc z nienawiścią na przyszczypujące mi skórę paseczki.

Renee przewróciła oczami i zaśmiała się na widok cierpiętniczego wyrazu mojej twarzy.

– Zawsze zachowujesz się tak, jakby strojenie się było przykrym obowiązkiem. Po prostu mi zaufaj. Twój facet będzie się ślinił na twój widok, zobaczysz – powiedziała, uśmiechając się do mojego odbicia w lustrze.

Napotkałam jej wzrok i przez moment sądziłam, że wszystko będzie w porządku.

I wtedy usłyszałam pukanie do drzwi.

– Przybył tajemniczy mężczyzna! – obwieściła Renee, unosząc brwi.

Ostatni raz przeciągnęłam szciotką po włosach i obrzuciłam się uważnym spojrzeniem w lustrze. Wyglądałam dobrze. Naprawdę dobrze. Minęło mnóstwo czasu, odkąd po raz ostatni dałam sobie przyzwolenie, by tak się wystroić i czerpać z tego przyjemność. Miałam nadzieję, że Maxxowi się spodoba.

– Mogę? – zapytała Renee.

Skinęłam głową i odsunęłam się, by mogła otworzyć drzwi. Kiedy to zrobiła, ujrzałam w nich Maxxa, którego widywałam tylko w jednym miejscu... w Compulsion. Przede mną stał mężczyzna, który tak mnie wówczas urzekł.

Emanował zmysłowością i pewnością siebie. Miał na sobie wytarte dżinsy, które zwisały luźno na szczupłych biodrach, dopasowaną niebieską koszulkę pod kolor oczu i znoszone brązowe martensy. Blond loki spadały mu na osłonięte kapturem oczy. Pełne wargi wygiął w leniwym, aroganckim uśmiechu, kciuki zatknął za szlufki paska.

Maxx był mężczyzną, przed którym matki ostrzegały swoje córki. Uosabiał seks, zagrożenia i tajemnice. Był najgorszym rodzajem pokusy i najlepszym rodzajem rozrywki.

I chociaż na sam jego widok hormony we mnie zagrały, w jego oczach było coś, co mnie zaniepokoiło. Coś drapieżnego i niebezpiecznego. Przerzątał mnie. Przyciągał jak magnes. Miałam ochotę pobiec i oddać mu się bez reszty.

Kompletnie się rozsypałam.

– Mam na imię Renee – powiedziała moja współlokatorka, wyciągając rękę i przyglądając mu się uważnie.

Maxx oderwał się od ściany i ujął jej wyciągniętą dłoń.

– Miło cię w końcu poznać, Renee. Nazywam się Maxx Demelo.

Nakrył ich złączone dłonie drugą ręką i to dotknięcie miało rozwiać wszystkie obawy. Spojrzał na mnie i odrobinę szerzej otworzył oczy. Pierwszy autentyczny wyraz, jaki dostrzegłam na jego twarzy, odkąd Renee otworzyła drzwi.

Zaskoczyłam go. Może odrobinę wytrąciłam z równowagi. Było to oszałamiające, uderzające do głowy uczucie.

– Jestem chłopakiem Aubrey – dokończył, odrobinę przeciągając słowo chłopak.

Jakby mogło to adekwatnie opisać, czym dla mnie był.

Obsesją. Fiksacją. Właścicielem mojego serca i duszy. Taki opis byłby zdecydowanie stosowniejszy.

Renee obejrzała się przez ramię, kiedy podeszłam bliżej. Jej usta się uśmiechały, ale w oczach tlił się niepokój.

Maxx puścił rękę Renee i odwrócił się w moją stronę.

– Boże, jesteś piękna – powiedział cicho z błyszczącymi oczami.

I tak po prostu znów stał się moim Maxxem. Nachylił się i pocałował mnie miękko. Smakował miętą i papierosami.

– Dzięki – powiedziałam, wygładzając na sobie obcisłą sukienkę. Nie czułam się do końca komfortowo w tej kreacji, ale pod rozplómiętym spojrzeniem Maxxa ucieszyłam się, że ją włożyłam.

Maxx, najwyraźniej nie przejmując się, że nie jesteśmy sami, chwycił mnie za kark, przywarł ustami do moich warg i zanurkował między nie językiem, całując mnie nieprzytomnie. Wydał z siebie głęboki, gardłowy jęk i odebrał mi zdolność odczuwania i smakowania czegokolwiek poza nim.

– Hm – odchrząknęła Renee za naszymi plecami, a ja wyrwałam się z objęć Maxxa.

– Chyba powinniśmy już iść – powiedziałam drżącym głosem. Renee przeniosła wzrok ze mnie na Maxxa i wiedziałam, że widzi coś, co wcale jej nie uszczęśliwia, lecz mimo to przylepiła sobie uśmiech na twarz.

Ile razy robiłam to samo, kiedy wychodziła z Devonem? Jak bardzo role się odwróciły...

Maxx w ogóle nie przypomina Devona, nigdy by mnie nie skrzywdził – przekonywałam sama sobie z nadzieją, że uda mi się w to uwierzyć. I to była prawda. Devon stosował przemoc. Czerpał przyjemność z ranienia innych. Maxx to zupełnie inna bajka.

Sprawił mi ból nieumyślnie, sam zwykle stając się jego główną ofiarą.

Ale czy to jakoś szczególnie poprawiało sytuację?

– Wrócę jakoś jutro – powiedziałam Renee, która tylko skinęła głową.

Maxx pocałował mnie w skroń, tuląc się do moich włosów.

– Nie licz na to, że będziesz jutro gdziekolwiek indziej niż w moim łóżku – wyszeptał, a mnie pokryła gęsia skórka.

Pozwoliłam mu wyprowadzić się do samochodu. Przytrzymał drzwi po stronie pasażera, żeby wpuścić mnie do środka. Zabawne, jak rozpływałam się przez coś tak prostego jak przytrzymanie mi otwartych drzwi. Dzięki temu łatwiej było zignorować rzeczy, które mroziły mi serce.

– Domyślam się, że nie musimy szukać rysunku? – zapytałam, kiedy Maxx włączył się do ruchu.

Maxx uśmiechnął się z wyższością, jakby rozbawiony własnym żartem.

– Wiem, dokąd jadę.

– A więc wiesz, kim jest X? – zapytałam.

Bardzo chciałam rozwiązać tę zagadkę. Zdecydowanie stałam się jego wielbicielką.

– Taa... – odpowiedział Maxx krótko, nie udzielając mi żadnych dalszych informacji.

– Więc kto to jest? – drążyłam.

– A co myślisz o jego pracach? – zapytał, wykręcając się od odpowiedzi.

– Są... dziwne i piękne, mroczne i szalone. Słyszałam, że zwracały się do niego galerie zainteresowane jego pracami. Czy to prawda?

Maxx się uśmiechnął.

– Tak, to prawda.

– Więc dlaczego nie sprzedaje przynajmniej części swoich prac? Nieźle by się obłowił!

Maxx wbił wzrok w drogę przed sobą.

– Bo jego sztuka nie ma nic wspólnego z pieniędzmi! To coś więcej. Nie chce jej zbrukać chęcią zarobienia szybkiej kasy. To prawdopodobnie jedna z niewielu nieskalanych rzeczy, jakie mu w życiu zostały.

Maxx sprawiał wrażenie, jakby posiadał sporą wiedzę na temat tego artysty. Mówił tak, jakby na bardzo osobistym poziomie rozumiał, co motywowało niezidentyfikowanego malarza. Zaczęły we mnie pączkować podejrzenia.

– Skąd to wszystko wiesz? Sprawiasz wrażenie, jakbyś doskonale znał tego X – powiedziałam ostrożnie.

Maxx zacisnął szczęki i tak mocno zwarł dłonie na kierownicy, że aż zbieleły mu kostki.

– W ogóle go nie znam – warknął.

No dobrze. Najwyraźniej X był drażliwym tematem. Ale burkliwa reakcja Maxxa rozpałała we mnie przeczucie, którego nie potrafiłam zlekceważyć.

– A zatem dokąd zmierzamy? – zapytałam, kiedy milczenie stało się niezręczne.

– Do magazynu w centrum miasta. Całkiem blisko tego, w którym ulokowaliśmy się już wcześniej. To dobra lokalizacja – powiedział Maxx po chwili.

– Jak znajdujesz miejsca na klub? – zadałam pytanie, które intrygowało mnie od pierwszej wizyty w Compulsion. Miejsca wybierano bardzo troskliwie i uważnie.

Maxxowi uśmiech powrócił na twarz.

– Szukam miejsc na uboczu, które mogą pomieścić dużo ludzi, gdzie możemy podłączyć

kilka transformatorów do lokalnej sieci energetycznej, a przede wszystkim znajdujących się możliwie daleko od posterunku policji.

– To ma sens – odpowiedziałam.

Starłam się wymyślić jeszcze coś, o co mogłabym go zapytać, bo wyglądało na to, że jest w nastroju do rozmowy, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Maxx się nie rwał, żeby wypełnić czymś ciszę, więc odpuściłam, starając się lekceważyć napięcie towarzyszące temu milczeniu.

Kiedy zajechaliśmy pod klub, dudniła już w nim muzyka, a kolejka przed drzwiami wejściowymi sięgała aż za róg. Tym razem nie musiałam jednak czekać jak cała reszta.

Maxx wziął mnie za rękę i poprowadził do drzwi na tyłach budynku. Zanim weszliśmy do środka, Maxx odwrócił się do mnie i przybrał poważny wyraz. Ujął moją twarz w dłonie i mocno mnie pocałował.

– Z nikim nie rozmawiaj. O ile mnie przy tobie nie będzie – ostrzegł.

Uśmiechnęłam się pogardliwie.

– Wiesz, ja tu już byłam – powiedziałam, próbując rozluźnić atmosferę.

Maxx zmienił się w jednej sekundzie, momentalnie napelniając mnie niepokojem.

Zmrużył oczy i spojrzał na mnie, po czym wyciągnął z tylnej kieszeni czapeczkę bejsbolową i nacisnął ją sobie na głowę.

– Aha. Za pierwszym razem prawie cię stratowali, za drugim doprawili ci drinka. I nie zapomnij, że ostatecznie wylądowałaś z takim facetem jak ja. Myślę, że to sporo mówi o twojej zdolności oceny sytuacji.

Jego słowa zabrzmiały jak zarzut.

Chwycił mnie za rękę i wciągnął przez tylne drzwi. Panowała za nimi atramentowa ciemność. Na pół metra przed sobą nic nie widziałam. Powietrze drżało od dudnienia basów, które wibrowało mi w kościach i buzowało w głowie. Maxx lekko pociągnął mnie za rękę, a ja potknęłam się i przytrzymując ściany, wylądowałam mu na plecach.

– W porządku?! – wrzasnął mi do ucha.

Skinęłam głową, chociaż wiedziałam, że nie może mnie zobaczyć, i ruszyłam za nim w głąb budynku. Poszliśmy ciemnym korytarzem i zobaczyłam przed sobą znajome pulsowanie ultrafioletu. Korytarz otworzył się na ogromną halę, bardzo podobną do tej, którą zapamiętałam z pierwszej nocy, gdy przyszłam odszukać Renee.

Pociłam się jak mysz. Pot spływał mi strumieniami po karku i musiałam unieść włosy, żeby poczuć odrobinę ulgi. Maxx nie wypuszczał mojej dłoni z żelaznego uścisku i sterował nami w tłumie.

Ramiona miał napięte, szczękę wysuniętą do przodu. Zmrużonymi oczyma prześlizgiwał się po zbitej masie ludzi. Oceniał, notował. Gdybym nadal nie czuła uścisku jego palców, pomyślałabym, że zapomniał o mojej obecności.

Kiedy przechodziliśmy, ludzie wyciągali ręce, żeby go zaczepić.

– X! Przyszedełś! – powiedział jakiś mężczyzna, stając nam na drodze.

Nazwał Maxxa X. A zatem moje przypuszczenie doczekało się potwierdzenia. Tajemniczy artysta i mój chłopak okazali się jedną i tą samą osobą. Wróciłam myślami do rysunków. Kobiety, która pojawiała się na każdym z nich, odkąd go poznałam. Dziewczyny z długimi blond włosami, która zawsze wydawała się kroczyć ku zagładzie.

Zadrzałam mimo gorąca.

Maxx zeszywniał, po czym odepchnął faceta na bok i poszedł dalej. Byłam wstrząśnięta tą nagłą demonstracją agresji, ale pozwoliłam się wlec za nim.

Dziewczyny próbowały zwrócić na siebie jego uwagę, odsłaniając ponętne kawałki ciała. Faceci zagadywali go, błagając o sekundę jego czasu. Wszyscy go pragnęli, a ja widziałam, jak się w tym pławi.

Zmienił się i zdecydowanie nie był już moim Maxxem. Był tym innym Maxxem.

Teraz nazywał się X.

Nikt nawet na mnie nie spojrzał. Cała ich uwaga, całe ich pożądanie przeznaczone były wyłącznie dla niego.

Kiedy tak przeciskaliśmy się przez tłum – Maxx nadal mocno ścisnął mnie za rękę, a ja przywierałam piersiami do jego pleców – wydało mi się, że dostrzegłam dwie znajome twarze. Utkwiłam spojrzenie w mroku, ale czerwone światło nie ułatwiało dostrzeżenia czegokolwiek.

Wydawało mi się, że zobaczyłam Evana i April. Boże, miałam nadzieję, że się mylę. Odsunęłam się odrobinię od Maxxa, próbując dojrzeć coś więcej.

Maxx przystanął i odwrócił się, żeby zobaczyć, dlaczego stanęłam. Wskazałam w kierunku przeciwległej ściany.

– Chyba zobaczyłam Evana i April! – wrzasnęłam, przekrzykując hałas.

Maxx potrząsnął głową, chwycił mnie za brodę i odchylił mi głowę.

– Przestań się zamartwiać, kotku – powiedział, po czym nachylił się i pocałował mnie tak gwałtownie, że zupełnie wytrącił mnie z równowagi. Odsunął się, obdarzył mnie tym swoim charakterystycznym, aroganckim uśmiechem i znów zaczął się przepychać między ludźmi.

Kierował się prosto do baru, nie odpowiadając nikomu, kto próbował nawiązać z nim rozmowę. Gestem przywołał barmana. Mężczyzna podszedł, pozdrawiając Maxxa skinieniem głowy. Miał na głowie kolorowego irokeza i niebanalne kolczyki w nosie i wardze.

– Eric, to jest Aubrey, moja dziewczyna. Dopilnuj, żeby dostała, co tylko będzie chciała – polecił.

– Jasna sprawa, stary – powiedział Eric, uśmiechając się w sposób, który można było uznać za niemal atrakcyjny. Obrócił się w moją stronę. – Co mogę ci podać?

– Wystarczy piwo, dzięki – odpowiedziałam, starając się przekrzyknąć muzykę. Jak tylko dostałam swoją butelkę, przytuliłam ją do piersi, wywołując szyderczy uśmiech Maxxa.

– Widzę, że dostałaś nauczkę – powiedział, wskazując na napój, którym trzymałam tuż przy sobie.

– Nie należy popełniać dwa razy tego samego błędu – odpowiedziałam, wznosząc ku niemu toast.

Nachylił się tak, że dotknął ustami mojego ucha.

– Nikt nie będzie cię tu zaczepiał, dopóki jesteś ze mną. Nie są tacy głupi. A gdyby jednak byli, to dopilnuję, żeby zmądrzeli.

Jego słowa były twarde i zimne i nie miałam wątpliwości, że mówi serio. Odsunęłam się lekko od niego, przyłożyłam usta do butelki i pociągnęłam łyk. Jego drażliwy nastrój udzielał się i mnie. Czułam się niespokojna i wytrącona z równowagi.

Maxx otoczył mnie mocno ramieniem w talii, a drugą rękę wcisnął do kieszeni. Uważnie przyglądał się stłoczonym ludziom. Kołysał się lekko do rytmu, a ja tkwiłam obok niego,

nieporuszona jak gład.

– Dlaczego ten facet nazwał cię X? – zapytałam, dosłownie wrzeszcząc mu do ucha.

Maxxowi, który do tej pory uśmiechał się leniwie i pogardliwie, odrobinę zrzęda mina. Chociaż nadal mnie mocno przytulał, poczułam, jak odrobinę się ode mnie odsuwa.

– Tak mnie nazywają – odpowiedział krótko.

– Nie, X to człowiek, który maluje te wszystkie rysunki. Człowiek, o którego ledwie przed chwilą cię pytałam – zauważyłam z wyraźnym wyrzutem.

Był wobec mnie nieszczerzy. Znowu.

Maxx wzruszył ramionami, nadal na mnie nie patrząc, nadal poruszając się w rytm muzyki.

– No i co z tego? Maluje jakieś tam rysunki na cholernych budynkach. I o co tyle hałasu?

– wyszczeżał wściekle.

I o co tyle hałasu? Czy on mówił poważnie?

Te rysunki były pierwszym prowadzącym mnie do niego ogniwem. Pociągało mnie ich surowe piękno. A kiedy już połączyłam człowieka, którego kochałam, z tajemniczą postacią, która je wymalowała, poczułam wściekłość – i zachwyty.

Bo dostrzegłam w nich coś, co dawało mi nadzieję, że gdzieś w głębi serca Maxx nadal pielęgnował przekonanie, że może być kimś więcej.

Ale nie był wobec mnie szczerzy. Kiedy dałam mu sposobność ujawnienia się, zrobił unik i się wycofał.

Kręciliśmy się w kółko, nieustannie powtarzając te same tragiczne błędy.

– Okłamałeś mnie! – krzyknęłam, czując, jak rozpala mnie gniew, że tak łatwo mnie zbył.

Maxx opuścił rękę, którą obejmował mnie w talii, i obrócił mnie, przyciągając mocno do swojej piersi. Chwycił mnie za brodę i trzymał ją teraz mocno palcami.

– Nie okłamałem cię! Pomiąłem prawdę. To nie to samo – stwierdził, ukrywając oczy pod daszkiem czapki.

Miałam ochotę się roześmiać z absurdalności tego stwierdzenia. Nie zrobiłam tego jednak, bo widziałam, że mówi to z absolutnym przekonaniem. W jego oczach pominięcie kilku kluczowych faktów nie oznaczało czystego oszustwa. Zrozumiałam natychmiast, że tylko w ten sposób mógł usprawiedliwić swoje działania i swoją ciągłą nieuczciwość wobec Calluma i mnie. Swoje ciągle mijanie się z prawdą.

Tylko w ten sposób mógł patrzeć na siebie w lustrze bez nienawiści. Tylko w ten sposób mógł w mgnieniu oka przywdziać maskę i grać rolę X.

Dopiero wówczas dostrzegłam, jak całkowicie odzegnował się od samego siebie. I dlaczego celowo oddzielał od siebie te dwa światy.

Poczułam smutek. Rozpacz na myśl o jego sytuacji.

I, Boże, miej mnie w opiece, jeszcze większą miłość do niego.

Otworzyłam usta, by wymówić słowa, których mu odmawiałam. W tym szalonym, popieprzonym świecie chciałam mu powiedzieć, że go kocham i że akceptuję go razem ze wszystkimi jego prawdami. Jakiegokolwiek by były.

Nie wymówiłam jeszcze pierwszej sylaby, kiedy podeszła dziewczyna i przytuliła się do Maxxa z drugiej strony. Albo się nie zorientowała, albo mało ją obchodziło, że to mnie Maxx otacza ramieniem. Uniosła dłoń i powiodła palcem po jego szyi. Wzdrygnął się na jej dotyk.

– Nie rób tego – ostrzegł.

Była albo głupia, albo nieprzytomnie napalona, bo w ogóle go nie słuchała. Zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, przycisnęła krocze do biodra Maxxa i zaczęła się o niego ocierać, przyciskając piersi do jego ramienia. A ja mogłam tylko stać i gapić się z rozdziawionymi ustami na tę niewyobrażalną bezczelność.

– Wiem, że to masz. Dam ci, co tylko chcesz! – zawołała, przekrzykując muzykę.

Czy ta laska mówiła poważnie? I czy właśnie w ten sposób mój chłopak, mężczyzna, któremu właśnie miałam wyznać uczucia, prowadził swoje „interesy”?

Maxx strząsnął ją z siebie, a ona zachwiała się i wreszcie spojrzała na mnie. Skrzywiła się, ale miała na tyle przyzwoitości, by sprawiać wrażenie zażenowanej własnym zachowaniem.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że przyszedłeś z kimś. Sądziłam po prostu... – zaczęła, a Maxx spiorunował ją wzrokiem, zamykając jej usta.

– To źle sądziłaś. A teraz spadaj! – powiedział zdecydowanie.

Dziewczyna nagle spotulniała i zrobiło mi się jej żal. Była śliczna, miała na sobie ubrania, które na pewno nie były tanie, i zaczęłam się mimowolnie zastanawiać, co ją tutaj przywiodło. Dlaczego pragnęła tego, o czym sądziła, że tylko Maxx może jej dać? Wszyscy ci ludzie byli tacy sami. Od czegoś uciekali. Włącznie z Maxxem.

Włącznie ze mną.

Dziewczyna czmychnęła, a ja spojrzałam na Maxxa, który przeniósł wzrok na otaczających go ludzi. Czy mój chłopak sprzedawał prochy za seks? Miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Do czego by doszło, gdyby mnie tu nie było? Wyszedłby z nią? Dałby jej narkotyki, gdyby rozłożyła dla niego nogi?

Próbowałam się odsunąć od Maxxa, zdegustowana samą myślą. Jak szybko moje uczucia się zmieniły. Zaledwie chwilę wcześniej przepelniała mnie wszechogarniająca miłość do tego człowieka. Teraz chciałam już tylko możliwie szybko od niego uciec.

Przycisnął mnie mocno do siebie, nie pozwalając mi się ruszyć.

– To nie jest tak, jak myślisz, Aubrey – powiedział, wtulając głowę w mój obojczyk.

Próbowałam mu się wyrwać, wiedząc, że dotykiem swoich dłoni spróbuje mnie ujarzmić. Podporządkować. Nie tym razem, do cholery!

Maxx wziął mnie za ramiona i przyciągnął do siebie, zmuszając do spojrzenia mu w twarz.

– Nie wywijam takich numerów. Już nie. A zdecydowanie nie, odkąd cię poznałem – zarzekał się, patrząc na mnie błagalnie.

– Ale kiedyś to robiłeś. Dawałeś dziewczynom narkotyki, jeśli co? Jeśli ci obciągnęły? Dały się przelecieć? – rzuciłam oskarżycielsko, z odrazą krzywiąc wargi.

Maxx pokręcił głową.

– Nie oceniaj mnie za to, kim byłem, zanim cię poznałem! Robiłem wstrętne rzeczy, za które się serdecznie nienawidzę! Nigdy więcej bym tego nie zrobił! Nigdy nie zrobiłbym tego tobie! – Kciukami gładził mnie po policzkach i trzymając mnie w mocnym uścisku, wplatał mi palce we włosy. – Kocham cię, Aubrey! Nigdy więcej nie dotknę innej kobiety. Nigdy nawet nie spojrzę na inną kobietę. Nigdy w moim życiu nie będzie nikogo poza tobą. Nie będę cię zdradzał. Nie będę cię oszukiwał. Jesteś dla mnie tą jedyną. Na zawsze – przysiągł, wpatrując się w moją twarz.

Przełknęłam ślinę, czując nagłą suchość w ustach.

– Ale nadal sprzedajesz prochy i nadal bierzesz, Maxx. Jak możesz mówić, że mnie kochasz, kiedy próbujesz to przede mną ukryć? Nie jestem głupia. Wiem, jak często zażywasz te tabletki. Wiem, dlaczego znikasz i przestajesz odbierać telefony. Widziałam to. Widziałam, co robisz. Jak możesz mówisz, że mnie kochasz, skoro nie chcesz tego rzucić? – zapytałam oskarżycielsko, próbując się nie krzywić, chociaż palce Maxxa boleśnie wbijały mi się w skórę.

Spojrzenie mu pociemniało na te oskarżenia. Niczemu nie zaprzeczył. Stał tam i chociaż zewsząd napierały na nas ciała innych ludzi, nie poruszał się, utkwivszy we mnie wzrok. Widziałam, że toczy ze sobą walkę. Widziałam, jak walczą ze sobą dwie strony jego osobowości. I wiedziałam bez cienia wątpliwości, że ten zagubiony i głęboko zaburzony mężczyzna mnie kocha. Ale czy kochał mnie wystarczająco mocno?

Opuścił ręce i odwrócił wzrok. Serce mi pękło i w milionie drobnych odłamków roztrzaskało mi się u stóp. Dostałam odpowiedź.

– Nie będę o tym tutaj rozmawiał, Aubrey! – syknął.

– No cóż, nie wygląda na to, żebyśmy mieli o tym rozmawiać gdziekolwiek indziej – odgryzłam się.

– Zastanawiasz się, dlaczego nie rozmawiam z tobą o wszystkim, co dzieje się w moim życiu? Pytasz mnie, dlaczego różne rzeczy przed tobą ukrywam? – Gwałtownie odwrócił głowę w moją stronę i zobaczyłam, że jest wściekły. Ten człowiek do tego stopnia wszystko wypierał, że nie dostrzegał otaczającego go zniszczenia. Nie widział, że ten świat kradnie mu duszę. – Bo wygłaszasz te swoje pieprzone kazania, nie mając bladego pojęcia, jak to jest być mną. Łatwo jest oceniać, prawda, Aubrey? – wypalił z nienawiścią.

– Ja cię nie oceniam! – zaprotestowałam, ale mnie nie słuchał.

Chwycił mnie za ramiona i przycisnął plecami do baru.

– Mam tu kilka spraw. A ty tu zostajesz. I nie ruszasz się! – rozkazał, a spojrzenie miał takie, że nie ulegało wątpliwości, iż mam się podporządkować.

Nigdy nie widziałam go tak wściekłego, w każdym razie nie na mnie. Nie wiedziałam, co zrobić, więc nie zrobiłam nic.

Nie spojrzawszy już w moją stronę, Maxx rozplynał się w tłumie. Gdy tylko zniknął, za moimi plecami pojawił się barman Eric.

– Podać ci kolejne piwo? – zapytał.

Spojrzałam na pustą butelkę i skinęłam głową.

Więc wypijałam kolejne piwo. I następne. I jeszcze jedno. A potem pomyślałam: do diabła z Maxxem i jego żądaniami. Odepchnęłam się od baru i ruszyłam prosto na parkiet.

Byłam lekko wstawiona i czułam miłe otępienie. Głuchy ból w piersiach wywołany wcześniejszym zachowaniem Maxxa nieco przygasał i teraz chciałam już tylko tańczyć i zapomnieć.

Znalazłam sobie kawałek wolnej przestrzeni między tańczącymi. Zaczęłam podrygiwać w rytm szybkiej muzyki. Rzucałam głową w tył i w przód, a krótka spódniczka podjechała mi do góry. Groziło mi prawdopodobnie świecenie tyłkiem, ale nieszczęśliwie mnie to obchodziło.

Stopy mnie rozboleły od niebotycznych obcasów, więc dwoma energicznymi kopnięciami rzuciłam buty na ziemię i stanęłam boso na brudnej podłodze. Nie zastanawiałam się nad

tym, po czym chodzę. Tutaj zupełnie mnie to nie obchodziło. Miałam ochotę zapomnieć się jak wówczas, gdy byłam tu po raz ostatni. To było wyzwalające.

Rozkoszne uczucie wyzwolenia trwało jeszcze przez kilka kawałków. Tańczyłam z całkowicie mi nieznanymi ludźmi, nie odsuwając się, kiedy mnie dotykali. Wpisywałam się w to niesamowite doświadczenie wspólnoty. Ktoś podał mi neonowy patyczek. Wsunęłam go sobie za dekolt, nie przerywając tańca.

Lepiłam się od potu, bose stopy miałam brudne i obolałe, w głowie szumiało mi od alkoholu i czułam się, kurwa, zajebiście.

Dopóki tańcząc, nie otworzyłam oczu i nie zobaczyłam Maxxa, mojego chłopaka, opartego o przeciwległą ścianę i dwóch stojących przed nim dziewczyn z cyckami na wierzchu.

Nie wiem, o czym rozmawiali. Z postawy Maxxa wnioskowałam, że nie patrzy w pożądanym przez nie kierunku. Ich bezceremonialna próba tandetnego uwiedzenia go była już wystarczająco niepokojąca, ale zastanowił mnie dopiero widok pieniędzy przechodzących z rąk do rąk i wciskanych w wyciągniętą dłoń Maxxa.

Wyciągnął plastikową torebkę z kieszeni i rzucił ją jednej z dziewczyn. Otworzyła ją, wcisnęła palec do środka i wyciągnęła coś, co – jak mogłam sobie tylko wyobrażać – było jakąś tabletką. Jedną wręczyła swojej koleżance, a drugą wsunęła sobie pod język. A potem jedną podała Maxxowi. Trzymał ją na dłoni, stojąc w bezruchu. Powoli podniósł głowę i zobaczyłam, jak omiata spojrzeniem tłum. Lustrował go spojrzeniem. Szukał.

Mnie.

Przyczaiłam się za najbliższymi tańczącymi, nie chcąc się rzucać w oczy.

Chwilę później Maxx uniósł dłoń i wrzucił sobie narkotyk do ust.

Patrzyłam z niedowierzaniem, jak wyciąga kolejną torebkę i wytrząsa z niej kilka kolejnych tabletek na wyczekującą dłoń. One również, podobnie jak pierwsza, wylądowały na jego języku. Nie zaszczyciwszy już cypaty bliźniaczkę kolejnym spojrzeniem, odwrócił się i ruszył z powrotem przez klub.

X był w swoim żywiole.

Nie po raz pierwszy widziałam, jak to robi. Więc dlaczego miałam wrażenie, jakby tym razem przywaliła mnie tona cegieł?

Bo teraz go kochałam, a przez to jeszcze trudniej przychodziło mi przełknąć prawdę o tym, czym się faktycznie zajmuje.

Czy jednak nie wykazałam się najgorszym rodzajem hipokryzji, wchodząc w relację z nim z absolutną świadomością, czym się zajmuje i kim jest, a następnie wzdrygając się z obrzydzenia? Jak mogłam od niego oczekiwać, że zmieni się w tak krótkim czasie? To nie było uczciwe w stosunku do niego. To nie było uczciwe w stosunku do związku, który ledwie co zaczęliśmy budować.

Kiedy jednak zobaczyłam, jak sprzedaje prochy dziewczynom tak chciwie wyciągającym po nie ręce, gotowym zrobić po prostu wszystko, by je dostać, nagle stanęło mi przed oczami wspomnienie, które chciałam na wieki pogrzebać w pamięci.

Miałam tylko trzydzieści minut, żeby wrócić do domu i przebrać się przed spotkaniem z grupą przyjaciół, z którymi umówiłam się na kolację w centrum miasta. Tego wieczoru miałam jeszcze do napisania referat i już powoli układałam go sobie w głowie.

Przerwałam rozmowę, którą toczyłam z kilkorgiem znajomych w oczekiwaniu, aż rozładuje się korek samochodów wyjeżdżających z parkingu, i ruszyłam do samochodu.

Wyszłam ze szkoły bocznym wyjściem prowadzącym obok boiska piłkarskiego. Był jasny, słoneczny dzień, więc zsunęłam na oczy okulary przeciwsłoneczne.

Ruszyłam pospiesznie pod trybunami, pod którymi chodziło się skrótem na parking.

Usłyszałam kaszel, a potem śmiech, który aż za dobrze znałam.

Zawróciłam tam, skąd przyszłam, i kręciłam się przez chwilę, aż wreszcie podeszłam do trybun przylegających do ściany budynku. Panował pod nimi półmrok i właśnie tutaj lubiły się gromadzić w przerwach między zajęciami popalające trawkę dzieciaki. Tutaj można było zapalić jointa albo wciągnąć kreskę bez ryzyka, że się zostanie nakrytym. Można by sądzić, że nauczyciele szybko zwietrzą tę narkomańską melinę, ale jakimś cudem nadal można było bezpiecznie pozwalać sobie tutaj na dowolne ekscesy.

– Chcę jeszcze jedną – usłyszałam stanowcze żądanie mojej młodszej siostry, a po nim gardłowy śmiech faceta, który był z siebie najwyraźniej bardzo zadowolony.

– Wiesz, czego chcę najpierw, Jay.

Wytknęłam głowę zza stalowej belki i zobaczyłam niewielką grupkę dzieciaków siedzących na ziemi pod trybunami. Kiloro paliło papierosy. Jeden chłopak miał firkę i zapalniczkę. Dziewczyna leżąca z głową na jego kolanach wyglądała tak, jakby już odleciała.

Ale nie to przyciągnęło moją uwagę. Blake, poroniony chłopak mojej siostry, zamajtał jej przed oczami plastikową torebeczką. Roześmiała się i spróbowała mu ją wyrwać. Cofnął ją w ostatniej chwili, bawiąc się z nią w kotka i myszkę.

Przez chwilę wyglądali jak każda inna wyglupiająca się para. Jak bardzo pragnęłam, żeby nią byli! Ale obserwując ich, widziałam, że ta gra toczy się o coś zupełnie innego.

– Nie zrobię tego tutaj. Na oczach wszystkich – powiedziała Jayme, rzucając nerwowe spojrzenie na swoich przyjaciół.

Była taką śliczną dziewczyną. W końcu zaczęła przybierać kobiece kształty, przestał ją dręczyć trądzik i zrzuciła dziecięcy tłuszcz, który tak długo podkopywał jej poczucie pewności siebie.

– Mam to gdzieś, Jay-Jay. Wiesz, co musisz zrobić, jeśli chcesz więcej. A żartoczna z ciebie dziewczynka – zadrwił Blake, a w tonie jego głosu było coś, od czego aż się wzdrygnęłam.

Nienawidziłam tego faceta. Nienawidziłam, jak traktował Jayme. Nienawidziłam, jak go broniła nawet wtedy, kiedy było oczywiste, jakim jest dupkiem. A przede wszystkim nienawidziłam tego, że wprowadził moją naiwną siostrę w świat, którego nigdy nie powinna była poznać. Świat, który – czego jeszcze wtedy nie wiedziałam – ostatecznie ją zabije.

Blake odpiął pasek i wskazał na swoje krocze.

– Nikt mi nie obciąża tak jak ty, kociaku – powiedział łagodnie, jakby to miał być komplement.

Niemożliwe, żeby Jayme tyknęła ten obrzydliwy kit. Widziałam, że jest zażenowana.

Byłam więc kompletnie zszokowana, kiedy uklękła przed nim w sukience uwalanej ziemią, na co w ogóle nie zwracała uwagi. Odchyliła głowę i otworzyła usta. Blake zaśmiał się, wiedząc już, że postawił na swoim. Otworzył torebeczkę i położył dwie tabletki na języku Jayme.

A potem Jayme rozpięła mu rozporek, a Blake chwycił ją za tył głowy i przyciągnął do siebie.

Odwróciłam wzrok, czując, że zbiera mi się na wymioty. Odeszłam, potykając się o własne nogi, nie próbując im przeszkodzić. Nie zrobiłam nic, by zapobiec kompromitacji mojej siostry. Odeszłam, pragnąc zapomnieć, że w ogóle cokolwiek widziałam.

Nigdy o tym z Jayme nie rozmawiałam. Nigdy nie udzieliłam jej żadnej siostrzanej rady, nie wyjaśniłam jej, że żaden chłopak nie będzie jej szanował, jeśli ona nie będzie szanowała samej siebie. Powinnam była jej to powiedzieć.

Ale nie przyszło mi to do głowy, dopóki nie było już za późno na mówienie czegokolwiek.

Pozostawiłam niepokojącą scenę za sobą i ruszyłam spiesźnie do domu, po czym wzięłam prysznic i wyszłam ze swoimi przyjaciółmi na miasto. Próbowałam udawać, że nie widziałam, jak moja młodsza siostra robi laskę za narkotyki, które dostaje od swojego pojebanego chłopaka.

Wiele lat poświęciłam na to, by zapomnieć, że nic nie zrobiłam, kiedy to miało jeszcze jakieś znaczenie.

Patrząc na Maxxa, widziałam jedynie Jayme i Blake'a, i chorą, pokręconą radość malującą się na twarzach ich obojga, kiedy dostawali dokładnie to, czego chcieli – w najgorszy możliwy sposób.

Poczułam ukłucie nienawiści tak silne, że aż zaparło mi dech w piersiach. Ta nienawiść toczyła wojnę z równie silną miłością do popieprzonego człowieka zarabiającego na życie sprzedawaniem tego samego gówna, które zabiło moją siostrę.

Jak mogłam kochać kogoś takiego? Jak mogłam się tak zakochać, by przeoczyć fakt, że uosabia wszystko, od czego powinnam uciekać bardzo, bardzo daleko?

To mnie przerastało.

Nie mogłam tego znieść.

Wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam po taksówkę.

Nie powiedziałam Maxxowi ani słowa, wyszłam.

Nie chciałam go widzieć. Budził we mnie odrazę i przerażenie. A jednak bardzo go kochałam. I miłość zwyciężyła. Moje serce znów mnie zdradziło.

Kazałam więc kierowcy taksówki zabrać się z powrotem do mieszkania Maxxa.

Jak mogłam być taką idiotką?

Uczucia były do bani.

Aubrey wyszła. Nawaliłem się jak messerschmitt, ale w jednej chwili spanikowałem jak dziecko. Zacząłem się rozglądać za nią w tłumie, ale nie mogłem jej znaleźć. Szukałem jej czerwonej sukienki i blond włosów. Powinno być ją łatwo namierzyć. Była przecież najpiękniejszym stworzeniem w tej sali.

Zacząłem się serio niepokoić.

Bo nigdzie jej nie było.

– Gdzie jest Aubrey? – warknąłem na Erica, chwytając go ponad barem za ramię.

Eric wzdrygnął się i próbował się wyrwać.

– Kto? – zapytał, rozglądając się nerwowo.

W głowie coraz bardziej mi huczało, a buzujący mi w żyłach narkotyk sprawiał, że miałem ochotę roznieść całą tę budę.

Ścisnąłem Erica za ramię na tyle mocno, że jeszcze chwila, a pogruchotałbym mu kości.

– Moja pieprzona dziewczyna! Gdzie ona jest? – ryknąłem, a im bardziej się wściekałem, tym bardziej pole widzenia zachodziło mi czerwoną mgłą.

– Nie wiem, stary. Od jakiegoś czasu jej nie widziałem. Przysięgam! – wyjąkał Eric.

Rzuciłem się przez bar i chwyciłem go za koszulę, przyciągając go tak blisko siebie, żebym mógł napluć mu w twarz.

– Jak, kurwa, kłamiesz, to ci kark skrećę! – zapieniłem się, ostrzegawczo odsłaniając zęby.

Eric zwinął się w moim uścisku.

– Nie kłamię, X! Przysięgam! Nie widziałem jej!

Wpuściłem z rąk koszulę Erica i się odsunąłem. Zdjąłem czapkę i przecesałem włosy palcami. Ożeż, kurwa! Wyszła.

Mój zaćpany mózg zaczynał tracić łączność ze światem i nie potrafiłem racjonalnie ocenić sytuacji. Nie powinienem brać, kiedy tu była i mogła wszystko zobaczyć. A teraz jej nie było, a ja musiałem ją znaleźć, zanim kompletnie odleczę.

Przestałem nad sobą panować. Tłukłem butelki piwa, rzucałem stołkami barowymi i ciskałem się na prawo i lewo.

– Aubrey! – wrzeszczałem co sił w płucach.

Ludzie obchodzili mnie szerokim łukiem, a ja rozwaląłem wszystko, co mi się nawinęło pod ręce.

A potem ktoś chwycił mnie za głowę, wsadził ją sobie pod ramię i wywlekl mnie z klubu.

Bezskutecznie próbowałem się wywinąć z bolesnego uścisku.

Znalazłem się nagle na zewnątrz i zostałem powalony na ziemię. Marco wymierzył mi cios prosto w szczękę, a ja upadłem na plecy w żwir.

– Otrząśnij się, Maxx! Zanim Gash dowie się o twoich wybrykach! – warknął Marco, rozmasowując dłoń, której właśnie użył, żeby rozłożyć mnie na łopatki.

Potarłem twarz i poruszyłem szczęką, żeby się upewnić, że nic mi nie złamał.

– Nie mogę znaleźć Aubrey – wyjaśniłem, nie zastanawiając się w ogóle, jak żałośnie to brzmi.

– I to cię tak rozwścieczyło?

Marco przewrócił oczami, wyciągnął swój telefon i podał mi go. Spojrzałem na niego, nie rozumiejąc, co próbuje mi powiedzieć.

Rzucił mi go na kolana.

– Zadzwoń do niej, przygłupie.

Uniosłem telefon w drżących palcach. Dlaczego o tym nie pomyślałem?

Trząsałem się tak bardzo, że ledwie zdołałem wybrać jej numer. Kiedy w końcu przyłożyłem telefon do ucha i zacząłem wsłuchiwać się w sygnał, nie byłem pewien, czy zdołam znieść oczekiwanie na to, aż odbierze. A jeśli mnie zostawiła na dobre? Co miałem, do diabła, zrobić, jeśli naprawdę ze mną skończyła? Nie przeżyłbym tego, gdyby mnie porzuciła.

– Halo?

Na dźwięk jej głosu całe moje ciało zalała fala ulgi.

– Aubrey! – krzyknąłem pospiesznie.

– Maxx – odpowiedziała.

Brzmiała dziwnie. Nie była zdenerwowana, ale... inna. W tym momencie mnie to jednak nie interesowało, chciałem tylko wiedzieć, dlaczego mnie zostawiła.

– Gdzie jesteś? – zapytałem, czując, jak w panice serce podchodzi mi do gardła.

Westchnęła głośno.

– W twoim mieszkaniu.

– Ale dlaczego tam?

– Zrobiło mi się niedobrze. A nie chciałam ci zepsuć wieczoru.

Znów ten ton. Ton, któremu prawdopodobnie powinienem poświęcić większą uwagę.

– Wracam do domu. Zatrąszczę się o ciebie – obiecałem.

– Dobrze – powiedziała Aubrey cicho.

Rozłączyliśmy się i oddałem Marcowi jego telefon. Podniosłem się na nogi z uśmiechem na twarzy.

Marco uniósł brwi i prychnął.

– Już lepiej? – zadrwił.

Walnąłem go w ramię na tyle mocno, żeby zabolalo. Drobna odpłata.

– O, tak – powiedziałem, kierując się na powrót do klubu.

Powiedziałem Aubrey, że wrócę do domu. Ale nie wróciłem. Nie od razu. Miałem kieszeń pełną prochów, które zostały mi do sprzedania, o czym Marco nie omieszkał mi przypomnieć.

Więc dalej wciskałem prochy i zarabiałem forszę, nawet sprzedając je za podwójną cenę. Te dzieciaki z klubu były takie, kurwa, głupie. Za dużo kasy mamusi i tatusia, a za mało szarych komórek. Tym lepiej dla mnie.

Wielu klientów chętnie dzieliło się ze mną towarem i mogłem sobie zafundować całkiem niezły odlot, nie nadwężając zapasów. Teraz, kiedy już wiedziałem, że Aubrey jest bezpieczna, mogłem się przez resztę wieczoru naprawdę zabawić.

Kompletnie zapomniałem o swojej obietnicy szybkiego powrotu do domu.

Dopóki się w nim nie znalazłem i nie natknąłem się na nią. Czekala na mnie. Ale ja

byłem zmęczony i nawalony i chciałem już tylko zasnąć.

Widziałem, że była na mnie wściekła, ale w moim stanie kompletnie mnie to nie obeszło. Próbowwała ze mną rozmawiać, ale minąłem ją i poszedłem do sypialni, gdzie momentalnie urwał mi się film.

* * *

Obudziłem się dziesięć godzin później. Czułem się wypruty, wszystko mnie bolało i zaczynała mną już telepać dotkliwy narkotykowy głód, a Aubrey nie było przy mnie. Znow wyszła. Ale tym razem zostawiła wiadomość. Podniosłem karteczkę, która leżała na poduszce obok i zerknąłem na nią w sączącym się przez okno świetle późnego popołudnia. Obrzuciłem wzrokiem treść, próbując pojąć, co czytam.

Aubrey wróciła do siebie i dziś wieczorem nie zamierzała już wracać. Zobaczy się ze mną w przyszłym tygodniu.

Cholera. Tym razem naprawdę zabagniłem sprawę.

Wiedziałem, że jest na mnie zdenerwowana. W bezlitosnym świetle trzeźwości, kiedy całe moje ciało się trzęsło, a żołądek gotów był w każdej chwili zwrócić zawartość, po prostu nie potrafiłem tego znieść. Potrzebowałem jej. Potrzebowałem mojej dziewczyny, która potrafiła wszystko naprawić.

Nie myśląc o tym, co robię, podniosłem telefon i zadzwoniłem do niej. Odebrała chwilę przed tym, zanim przerzuciłoby mnie na pocztę głosową, jakby się dłuższą chwilę zastanawiała, czy odebrać, czy nie.

– Wróć, proszę! – krzyknąłem i głos mi się załamał, przechodząc w szloch.

Nie pozwoliłem jej nic powiedzieć. Płakałem tylko w telefon i błagałem, żeby do mnie wróciła. Tak cholernie jej potrzebowałem. Wszystko mnie bolało. Cierpiałem. Potrzebowałem kolejnych tabletek. Ale pierwszy raz w życiu miałem pewność, że jej potrzebuję bardziej.

– Nie mogę, Maxx – powiedziała z żalem.

Nie zamierzałem przyjmować tego do wiadomości.

– Aubrey, proszę! Chcę cię przytulić. Naprawdę potrzebuję być teraz z tobą. Jak będę musiał, to sam do ciebie przyjdę – zadeklarowałem desperacko.

Byłem gotów zrobić, co tylko chciała, byle tylko jej dotknąć. Po prostu dotknąć jej. Pragnąłem tego.

Aubrey westchnęła i wiedziałem, że wygrałem.

– Będę za pięć minut – powiedziała w końcu, dając mi dokładnie to, czego potrzebowałem.

Przyszła do mnie piętnaście minut później, wyglądając jak odpowiedź na wszystkie moje modlitwy, gdybym był akurat takim facetem, który się modli. Pociągnąłem ją na kanapę i zanurzyłem się w niej. A ona mi się oddała, jak to robiła zawsze.

Byłem w zbyt dużym emocjonalnym chaosie, by dostrzec, że pojawił się między nami dystans. Że odsuwała się ode mnie.

Zanadto byłem wdzięczny za jej nagie ciało pode mną, za jej usta przywierające do moich. Zignorowałem całą resztę.

Dopiero gdy skończyliśmy i zaczęła się wymawiać, że musi już iść, uzmysłowiłem sobie,

czego brakowało.

Jej.

Na jakiś czas dostałem jej ciało, ale nie oddała mi serca. I to mnie rozwścieczyło.

Kiedy później tego wieczoru wziąłem kilka tabletek, żeby się uspokoić, i czułem, że mam nad sobą większą kontrolę, postanowiłem się z nią skonfrontować. Chwilę wcześniej weszła do mojego mieszkania i patrzyłem teraz, jak kładzie torebkę na stole i podchodzi do kanapy, na której siedziałem.

Uśmiechnęła się do mnie, ale jej uśmiech wydał mi się nieszczerzy. Nie wyciągnęła ręki, żeby mnie dotknąć, jak to normalnie robiła. Nie pochyliła się, żeby mnie pocałować. Usiadła obok mnie w starannie odmierzonej odległości. Jej odmienne zachowanie wytrącało mnie z równowagi.

– Co się z tobą dzieje, Aubrey? Mam wrażenie, jakbyś celowo się ode mnie odsuwała – powiedziałem, starając się, by nie brzmiało to tak żałośnie, jak się czułem.

Obserwowałem, jak po jej twarzy przemykają rozmaite emocje. Wziąłem ją za rękę i podniosłem ją do ust, niezdolny ani chwili dłużej powstrzymać się od dotknięcia jej.

Wyrwała mi dłoń i patrzyłem, jak jej rysy zastygają w wyrazie gniewu. Obrzuciła mnie swoim najchłodniejszym spojrzeniem.

– Dlaczego miałabym dać ci wszystko, kiedy ty nie dajesz mi nic? Jak będziesz miał ochotę skończyć z tym gównem, którym się zajmujesz, to może będę mogła całkowicie ci się oddać.

Rozdziawiłem usta, kompletnie zszokowany. Aubrey nigdy tak do mnie nie mówiła. Nigdy się nie gniewała ani nie irytowała.

– Co? – zapytałem, kiedy wstała.

I wtedy zobaczyłem w jej oczach łzy, które kompletnie zbiły mnie z tropu.

Pochyliła się i pocałowała mnie w usta.

– Bardzo mi na tobie zależy, Maxx – powiedziała, a serce boleśnie ścisnęło mi się w piersi.

Nigdy nie powiedziała: Kocham cię. Oddałem jej serce, więc dlaczego nie mogła mi oddać swojego? Dlaczego nie potrafiła mi powiedzieć tego, co tak bardzo potrzebowałem usłyszeć? Że mnie kocha? Czułem się zupełnie osamotniony w tych emocjonalnych katuszach. Jej milczenie, jej odmowa wypowiedzenia tych dwóch krótkich słów odbierały mi poczucie pewności siebie. Sprawiały, że zaczynałem w nią wątpić.

Że zaczynałem wątpić w nas.

– Nie zostawiaj mnie – powiedziałem błagalnie. – Kocham cię! – Grałem nieczysto.

Wiedziałem, że używam tych słów jako broni, ale mało mnie to obchodziło. Byłem gotów wykorzystać wszystkie możliwości, byle tylko została. Potrzebowałem jej. Bardziej niż kiedykolwiek.

Zacząłem płakać. Przez łzy spływające mi po policzkach patrzyłem, jak twarz Aubrey łagodnieje. Może łzy wszystko załatwią. Może sprawią, że zostanie. Otarła mi je z twarzy i odwróciła się do mnie plecami. Załkałem głośniej, kiedy wzięła torebkę ze stołu i otworzyła drzwi.

Nie odwróciła się, by na mnie spojrzeć. Odmówiła patrzenia na łzy, które były wyłącznie jej winą.

– Weź się w garść. Proszę... – I wyszła.

Zostawiła mnie moim własnym cierpieniom.

* * *

Nie mogłem spać. Wziąłem wcześniej kilka tabletek i wiedziałem, że zjazd jest tylko kwestią czasu.

Kilkanaście razy próbowałem dodzwonić się do Aubrey, odkąd wyszła ode mnie tego wieczoru, ale ani razu nie odebrała.

Zaczynałem popadać w desperację.

Traciłem panowanie nad sobą.

Traciłem ją.

To był pat. Nie widziałem drogi wyjścia.

Nie będąc w stanie dłużej się tak miotać, narzuciłem na siebie jakieś ciuchy, zasznurowałem buty, chwyciłem farby i pędzle i wrzuciłem je do dużego płóciennego worka.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem.

Biorąc pod uwagę, co zaprzętało mi myśli, czy mogło być zaskoczeniem, że o trzeciej w nocy znalazłem się pod kamienicą, w której mieszkała Aubrey?

Ulica była pusta, noc chłodna i bezwietrzna. Przed twarzą kłębiły mi się obłoczki wydychanego powietrza.

Dragi powinny mnie uspokoić i odprężyć, ale cała ta sprawa z Aubrey budziła we mnie zdenerwowanie i niepokój.

Musiałem to jakoś z siebie wyrzucić.

Postawiłem puszki z farbą na chodniku i chwyciłem za największy pędzel. Płaskim śrubokrętem podważyłem wieczko niebieskiej farby i zanurzyłem w niej włosie. Farba pokryła mi marznące palce, kiedy przesuwałem pędzel długimi, równymi pociągnięciami po chodniku.

Praca kompletnie mnie pochłaniała. Byłem skoncentrowany. Owładnięty nią.

Nie wiem, jak długo to trwało. Nie obchodziło mnie, czy ktoś mnie nakryje.

Musiałem malować.

Musiałem jej przekazać, co czuję.

Jak bardzo ją kocham.

Jak bardzo mnie niszczy.

Kiedy skończyłem, rzuciłem pędzel na ziemię i cofnąłem się o krok.

Dlaczego nie mogłem choć raz namalować czegoś, co nie byłoby takie popieprzone?

Upadłem na kolana przed portretem mojej rozpaczy.

Namalowałem potłuczone odłamki własnej twarzy. Otwarte, krzyczące usta. Było oczywiste, że to ja w rozbitym szkłe.

I była też Aubrey ze swoimi długimi blond włosami, zmiatająca mnie do kosza na śmieci. Zbierała kawałki mnie, gotowa wrzucić je do śmietnika.

To był Maxx.

I to był X.

To byliśmy my obaj, stopieni na chodniku w jedno, by Aubrey mogła nas zobaczyć.

Może w końcu zrozumie, jak bardzo chciałem jej dać całego siebie. Pragnąłem tego cały

czas, nawet gdy z tym pragnieniem walczyłem. Nie chciałem, by mnie wyrzuciła. Potrzebowałem tego, by nie spisywała mnie na straty.

Może wtedy pewnego dnia będę mógł dać jej wszystko, czego chciała.

* * *

Po powrocie do domu z nocnej wyprawy malarskiej szybko zapadłem w sen. Obudziłem się kilka godzin później, obolały i wstrząsany mdłościami, ale z jasnością umysłu, której nie doświadczałem już od dłuższego czasu.

Aubrey miała rację. Wszystko rozłaziło mi się w rękach. Klub, Gash i narkotyki zaczynały brać górę. Niewiele miejsca pozostawało na cokolwiek innego. Nie wspominając o niej.

A jednak nie potrafiłem zrezygnować z prochów. Z odjazdów. Za dobrze się czułem. Za bardzo się przywiązałem. Jak mogłem się pożegnać z jedyną rzeczą, która utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach?

Nienawidziłem tego, że tak ich potrzebuję. Nienawidziłem sięgania po nie, jak tylko sprawy nieco się komplikowały. Patrzyłem w oczy Aubrey i widziałem siebie takiego, jakim widziała mnie ona: smutną, żalostną imitację człowieka.

Ale nie mogłem zrezygnować z nałogu, który był moją najprawdziwszą miłością. Taką, bez której nie potrafiłem żyć.

Czy mogłem zrezygnować z Aubrey?

Nie.

Moje obsesyjne malowanie poprzedniej nocy powinno tego dowieść.

Byłem w potrzasku. Nie potrafiłem się obejść bez żadnej z rzeczy, które rywalizowały o moją miłość, moją uwagę, moją duszę.

Co gorsza, mój związek z Aubrey nie był jedyną rzeczą, która się rozpadała.

To była równia pochyła. Zjeżdżałem po niej szybciej niż kiedykolwiek. Traciłem kontrolę, którą wcześniej, jak mi się wydawało, tak silnie sprawowałem. Czułem na karku oddech kuratora. Wydawałem majątek na suplementy ziołowe potrzebne do uzyskania pozytywnych wyników badań moczu, które zmuszony byłem robić raz w tygodniu.

Tego popołudnia zostałem wezwany do biura mojego opiekuna naukowego. Doktor Ramsey był nadętym gościem z bulwiastym, czerwonym nochem alkoholika. Mogłem sobie świetnie wyobrazić, co tam trzyma w zamkniętej szufladzie biurka.

Kazał mi usiąść i spojrzeć na mnie znad okularów.

– Wszystko zawalasz – zadudnił nosowo.

Wiedziałem, że niezbyt dobrze sobie radzę, ale że bym od razu zawalał?

– No cóż, zdarza się – powiedziałem, wybijając stopą rytm o podłogę, już w tym momencie zniecierpliwiony i podenerwowany.

Musiałem wrócić do domu. Tabletki, które wzięłem przed przyjściem na uniwersytet, przestawały działać. Próbowałem nie myśleć o tym, że potrzebuję coraz więcej dragów, żeby zachować wewnętrzną równowagę.

– Można i tak to ująć – powiedział doktor Ramsey łagodnie, marszcząc z dezaprobatą brwi.

Wiedziałem, że mnie nienawidzi. Podobnie jak ja nienawidziłem jego. Zdecydowanie nie byliśmy dla siebie stworzeni.

Przeleciałem się wzrokiem po dyplomach i certyfikatach zawieszonych na ścianach. Ramsey lubił się popisywać. Prawdopodobnie dlatego, że w jego życiu niewiele więcej się działo, jeśli nie liczyć tych kilku sukcesów akademickich. Przy takich koleśkach robiłem się chory.

Doktor Ramsey skrzyżował ręce na blacie i zacisnął wargi.

– Maxx, czy jesteś świadomy, że musiałbyś dostać najwyższą ocenę dosłownie z każdego kolejnego egzaminu, by w ogóle prześlizgnąć się na kolejny semestr? – zapytał w ten protekcyjny sposób, dzięki któremu ktoś kiedyś niechybnie skręci mu kark.

– No, teraz już jestem – powiedziałem sucho.

– I nie budzi to twojego niepokoju? Że skończysz na warunku bez szans na uzyskanie dyplomu? Po egzaminach śródsemestralnych będziesz miał szczęście, jak nie wylecisz z Longwood – zauważył doktor Ramsey, pogardliwie wykrzywiając wargi.

W życiu miałem rozczarowań po dziurki w nosie. I nie potrzebowałem, kurwa, żeby się nade mną rozwodził jakiś półmózg z przydługą listą dyplomów i przykrótkim fiutem. Wstałem, wsuwając ręce do kieszeni.

– Wyraził się pan, doktorze Ramsey, jasno i wyraźnie. Dzięki za kazanko – zadrwiłem i nie czekając na ripostę, wypadłem z jego biura, trzasnąwszy drzwiami.

Gotowałem się ze złości. Jasne, w ciągu tego ostatniego semestru nie koncentrowałem się na zajęciach tak, jak powinienem. Klub pochłaniał mnóstwo czasu.

Moje pogarszające się stopnie nie miały absolutnie nic wspólnego z maleńkimi białymi tabletkami, które stały się moją obsesją. Narkotykami, do których powrotu nie mogłem się już doczekać.

Całkowicie wypierałem to, że jestem bliski utraty wszystkiego.

Kiedy wchodziłem w drzwi mieszkania, zadzwonił telefon. Jakbym nie miał już wystarczająco skopanego dnia. Odebrałem, po czym usłyszałem po drugiej stronie entuzjastyczny głos mojego brata.

– Złożyłem papiery do szkoły plastycznej w Filadelfii! – powiedział podniecony Callum.

Słuchałem go jednym uchem, szukając w szufladzie torebeczki, którą włożyłem tam poprzedniej nocy. W końcu ją znalazłem i wytrząsałem na rękę upragnione tabletki.

Zanim zdążyłem je łyknąć, uzmysłowiłem sobie, co powiedział mój brat.

– Co zrobiłeś? – zapytałem ze świadomością, że mój głos nie brzmi zachęcająco.

Że powinienem się ucieszyć – ze względu na niego. Ale ja usłyszałem tylko tyle, że szykują się nowe koszty. Potrzebuję więcej kasy, żebym mógł się o niego zatroszczyć.

Stryczek na mojej szyi się zaciskał.

– No tak. Mój doradca zawodowy powiedział, że mam spore szanse się dostać. Napisał mi list polecający. Mam naprawdę niezłe wyniki w testach SAT i ACT, Maxx – trajkotał Callum.

– Ile kosztuje szkoła? – zapytałem, przebijając bańkę Calluma.

Callum na chwilę zamilkł, po czym odpowiedział:

– Mogę dostać stypendium, Maxx. Mogę znaleźć pracę. Jakoś to zorganizuję. Nie musisz mi pomagać – powiedział, a w jego głosie usłyszałem większą niż kiedykolwiek gotowość do obrony swojego pomysłu.

– Wiesz, że zawsze ci pomogę, Callum. Chciałem po prostu wiedzieć – wyjaśniłem – i to była prawda.

Nawet gdybym musiał sprzedać cholerną nerkę na eBayu, Callum pójdzie do szkoły.

Nawet gdybym sam miał wylecieć ze studiów i zasłużyć na miano największego dilera na Wschodnim Wybrzeżu, mój młodszy brat dostanie swoją szansę na lepszą przyszłość.

– Nie chcę, żebyś myślał, że cokolwiek musisz dla mnie robić, Maxx. Wiem, że wbiłeś sobie do głowy, że musisz się o mnie troszczyć, ale jestem już prawie dorosły. Nie jestem całkiem bezradny. Mogę sam się zakręcić wokół własnych spraw, rozumiesz – powiedział zdecydowanie.

Nigdy w gruncie rzeczy nie uznałem, że mój brat staje się mężczyzną. A przecież potrafił o siebie zawalczyć. Potrafił przetrwać. Jak ja.

– Martwienie się o pieniądze zostaw mnie. Ty się martw o to, żeby cię przyjęli, łebku – rzuciłem lekko, nie dając po sobie poznać, jakie przerażenie wzbudził we mnie ten pomysł.

A potem zakończyliśmy rozmowę i połknąłem tabletki.

A kiedy już rozluźniłem się na tyle, by sprostać nowej perspektywie, zrobiłem jedyną rzecz, która przyszła mi do głowy.

Zadzwoiłem do Gasha.

* * *

– Cieszę się, że zadzwoniłeś, X – powiedział Gash ze swojego miejsca za biurkiem.

Oparłem kostkę na kolanie i odchyliłem się na krześle, jakby kompletnie mnie to wszystko nie obchodziło. Niestety, obchodziło mnie aż za bardzo. Moje życie było jedną wielką, nieskończoną piramidą zmartwień.

– Kilka tygodni temu mówiłem ci, że czekam na przesyłkę z Meksyku. Właśnie przyszła. To jest towar pierwszej klasy, X. Zbijemy na nim fortunę.

Gash wyciągnął z szuflady trzy woreczki do zamrażania żywności i rzucił je na biurko.

Podniosłem jeden z nich, otworzyłem go i stwierdziłem, że w środku znajdują się mniejsze woreczki zawierające drobny, brązowo-biały proszek.

Podniosłem wzrok na mojego szefa.

– Co to jest? – zapytałem, choć zabrzmiało to bardzo głupio.

Wiedziałem, co to jest, chciałem tylko uzyskać potwierdzenie.

Gash uśmiechnął się szeroko.

– Jedna z najlepszych Czarnych Pereł, jakie kiedykolwiek widziałem.

O jasna cholera, teraz Gash zaczynał wprowadzać na rynek heroinę.

No dobra, byłem potężnym hipokrytą, ale miałem swoje zasady. Sprzedawanie prochów to jedno, ale dilowanie pieprzoną herą to coś kompletnie innego. Czy zdołałbym sobie kiedykolwiek wybaczyć, gdybym zdecydował się na ten przeskok?

Nie bez znaczenia było to, jak się ją brało... Wciągało albo wstrzykiwało. Igły mnie przerażały, a wciąganie czegośkolwiek przez nos wydawało się zwyczajnie głupie.

– No nie wiem, stary – powiedziałem powoli, próbując wymyślić jakąś wymówkę, żeby nie musieć sprzedawać tego towaru.

Gash zmarszczył brwi, najwyraźniej niezadowolony z mojej mało entuzjastycznej reakcji.

– Czy ty rozumiesz, ile można dzięki temu zarobić? Ile ty możesz zarobić? Zdurniałeś czy jak? – zapytał z niedowierzaniem, patrząc na mnie, jakbym odrzucał zaproponowanego mi Świętego Graala.

– To heroina, Gash. Trochę za twardy towar jak dla mnie – powiedziałem bez

przekonania, za to ze świadomością, że kryguję się jak jakaś ciota.

Gash odchylił się na krześle i wybuchnął głośnym śmiechem. Trzymał się za piwne brzuszysko, jakby się bał, że się rozpęknie.

– Ty chyba sobie żartujesz? Diler dręczony wyrzutami sumienia? Daj spokój! – wysapał między kolejnymi napadami śmiechu.

Żeby go pojebało!

Podniosłem się.

– Słuchaj, nie będę sprzedawał tego gówna. Znajdź kogoś innego – powiedziałem, kierując się do drzwi.

– Przemyślałbym to na twoim miejscu! – zawołał Gash, zanim zdążyłem wyjść.

Zamarłem, słysząc w jego słowach groźbę.

– Wiem, co kombinowaliście razem z Markiem. Myślisz, że nie zauważyłbym za niskich przychodów z wejściówek niemal co weekend? Zacząłem działać w tym biznesie, jeszcze zanim się urodziłeś, X.

Zamknąłem drzwi i usiadłem z powrotem. Ten kutas ustawiał mnie, jak chciał.

– I wiem, że masz lepkie palce, jeśli chodzi o moje dragi. Ale zarabiałeś kasę, póki co, więc nie żałowałem ci twojej działki. Nie mam z tym problemu, o ile nie wpływa to na moje interesy. Ale nie bierz mojego milczenia za niewiedzę. Jesteś przydatny, X. Podobnie jak Marco. I będziesz sprzedawał mój towar. Sprzedasz go do ostatka.

Gash nie był skłonny do dyskusji. I nie przyjmował do wiadomości odmowy.

Byłem w pułapce.

Potrzebowałem pieniędzy.

Potrzebowałem dragów.

Każdej z tych rzeczy potrzebowałem bardziej niż szacunku do samego siebie.

I to Gash pociągał za wszystkie sznurki.

Wziąłem ze stołu trzy torebki i włożyłem je do swojej torby na podręczniki.

– Ile mam czasu? – zapytałem, a Gash na widok mojej potulności uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Dwa tygodnie. I ani dnia więcej. Dostajesz dziesięć procent, jak zawsze. Do dzieła, X – powiedział, odprawiając mnie.

Wyszedłem z jego biura, niosąc w torbie kilogramy nielegalnych narkotyków – i moją duszę do wzięcia dla tego, kto da więcej.

* * *

– Przyjdź, proszę. – Znów ją błagałem. Nie widziałem Aubrey od kilku dni. Skąpiła mi swojej obecności. Zabijało mnie to.

Heroina spoczywała jak kamienna bryła w szafie w mojej sypialni. Tabletki szybko przestawały mi wystarczać i coraz trudniej było odsuwać od siebie pokusę spróbowania. Tylko odrobinę.

Potrzebowałem Aubrey.

– Nie mogę, Maxx. Mam mnóstwo pracy – powiedziała, wymawiając się po raz setny w tym tygodniu.

– Widziałaś rysunek? Ten, który zrobiłem przed twoją kamienicą? – zapytałem.

Nie wspomniała o nim. Doprowadzało mnie do szaleństwa, że nie skomentowała ani słowem mojej duszy rozchlapanej w smugach farby u jej drzwi. Naprawdę sądziłem, że się połapie. Że zrozumie.

Ale wyglądało na to, że głównie ją to obchodzi.

Usłyszałem, jak bierze głęboki wdech.

– Tak, widziałam – powiedziała cicho.

– Podobał ci się? – drążyłem, próbując zmusić ją do jakiejś reakcji. Jakiegokolwiek.

Potrzebowałem czegokolwiek.

– Był piękny, Maxx. Wszystkie są piękne. Ale...

– Ale? – zapytałem ostrzej. Nie podobał jej się. Nienawidziła go.

Nienawidziła mnie.

– To nic nie zmienia – powiedziała po chwili.

Zabolało mnie to. Bardzo.

– Dlaczego nie chcesz się ze mną zobaczyć? – zapytałem, z odrazą słuchając własnego głosu. Miłość do tej kobiety mnie uskrzydlała. I dołowała. A kiedy byłem w dole, miałem poczucie, że nie potrafię znaleźć drogi wyjścia z otchłani, w której się znalazłem.

Sądziła, że potrafi mnie zmienić. Weszła w ten związek, widząc we mnie pokreconego narkomana, którego trzeba ocalić. I nagle poczułem mimowolnie, że nie obchodzę jej ja jako ja, ale wyłącznie ja jako projekt dobroczynny, za który mnie uważała. I to mnie wkurzyło, a ten gniew powitałem niemal z ulgą. Łatwiej było sobie z nim radzić niż ze strachem, że kompletnie ją zawodzę. Pomysł, że dziewczynie takiej jak Aubrey mogłoby zależeć na mnie takim, jakim byłem, wydawał się niemal bluźnierczy, bo przecież zasługiwała na coś lepszego. Nawet jeśli przerażało mnie to, że nadszedł dzień, w którym wreszcie to zrozumiała.

Ręce mi się trzęsły i pociłem się jak mysz. Gdzieś w głębi żołądka poczułem znajome mdłości. Sięgnąłem do stojącego przy łóżku stolika i otworzyłem szufladę, szukając brązowej butelki.

– Naprawdę chciałabym się z tobą zobaczyć, Maxx – powiedziała Aubrey.

Słyszałem, że kłamie.

– To przyjdź, chociaż na chwilę – powiedziałem błagalnie po raz ostatni.

Usłyszałem, jak wzdycha w chwili, w której namacałem butelkę, której szukałem.

Potrząsnąłem nią. Była pusta.

Kurwa, była pusta.

Z nadzieją odkręciłem nakrętkę, ale nie, w środku nic nie było.

Rzuciłem butelkę przez pokój. Aubrey coś mówiła po drugiej stronie telefonu, ale już nie słuchałem.

– Maxx? – powiedziała, kiedy się nie odzywałem.

Byłem zbyt zajęty przetrząsaniem swojego pokoju i szukaniem czegokolwiek, co mogłoby mi przynieść ulgę. Gdzieś tutaj musiałem mieć jakąś tabletkę.

– Muszę już iść – powiedziałem zduszonym szeptem.

– Co się dzieje? Wszystko w porządku? – zapytała, a w jej głosie usłyszałem niepokój.

Ach tak, więc teraz chciała odegrać rolę zaniepokojonej dziewczyny? Gdyby jej zależało, byłaby teraz obok mnie, pomagając mi, kiedy jej potrzebowałem.

Była jedyną istotą, która mogła mi pomóc.

Ale nie zamierzała przyjść. Umyślnie trzymała się z dala ode mnie.

– W porządku, Aubrey. Trzymaj się, kurwa, z daleka. I zobaczymy, czy mnie to obejdzie – warknąłem wyzywająco.

Wiedziałem, że zachowuję się jak ostatni dupek, ale nie dawała mi wyboru. Musiałem się rozłączyć. Musiałem przestać o niej myśleć.

W tej chwili mogłem skoncentrować się tylko na jednym.

Na szukaniu moich dragów.

– Maxx, nie bądź taki. Potrzebuję po prostu trochę czasu...

– Możesz się nie spieszyć. Dla mnie to koniec – wypaliłem, rozłączając się.

Rzuciłem telefon na łóżko i poczołgałem się na czworakach ku stercie leżących na podłodze ubrań. Przewaliłem cały pokój do góry nogami, ale nic nie znalazłem.

– Aaagh! – wrzasnąłem, zwijając się w kłębek. Wstrząsały mną dreszcze i czułem, jak żółć podchodzi mi do gardła.

Zadzwoił telefon. Wiedziałem, kto dzwoni.

Aubrey.

Wyciągnąłem rękę, próbując go chwycić. Nie powinienem na nią krzyczeć. Powinienem jej powiedzieć, co się dzieje. Wtedy by przyszła, żeby mi pomóc.

Tak bardzo jej potrzebowałem.

Telefon ucichł i już nie zadzwonił.

Zrezygnowała. Nie będzie już dzwonić.

Spojrzałem na szafę, wiedząc, co jest w środku.

Może tylko ten jeden raz.

Nie. Jeśli pójde tą drogą, nigdy nie będę już mógł wrócić.

„Daj spokój. Wiesz, że tego chcesz”.

Kusiło mnie. Wiedziało, jaki jestem słaby.

„Tylko jedna mała, malutka kreseczka. Wcale nieduża. A poczujesz się znacznie lepiej”.

Kurwa, zaczynałem słyszeć głosy.

Zasłoniłem uszy dłońmi, próbując zagłuszyć kuszący szept rozbrzmiewający mi w głowie.

– Nie! – krzyknąłem, jakby torebki narkotyków ukryte w czeluściach mojej szafy mogły mnie usłyszeć.

Rozprostowałem zeszywniałe ciało i dowlokłem się do łóżka. Wyciągnąłem rękę, namacałem telefon i podniosłem go do ucha.

Chciałem zadzwonić do Aubrey. Musiałem usłyszeć jej głos. Ona mnie z tego wyciągnie. Tylko jej potrzebowałem. Kochała mnie. I jej miłość mi wystarczała.

Ale zamiast tego zadzwoniłem do kogoś innego.

Telefon dzwonił i w końcu uzyskałem połączenie.

Krok bliżej do mojego wyzwolenia.

– Marco. Potrzebuję, żebyś mi coś przyniósł.

Próbowałam skończyć pracę domową. Dosłownie cały poprzedni tydzień spędziłam na nadrabianiu zaległości.

Po katastrofalnym wieczorze z Maxxem w klubie i nieprzespaniu całej nocy tylko po to, by zobaczyć, jak pojawia się w mieszkaniu o piątej nad ranem na kompletnym haju, podjęłam ciężką decyzję. Siedziałam jeszcze przez dłuższy czas po tym, jak odpłynął. Nie odezwał się do mnie ani słowem. Ani słowem. To tak koszmarnie zabolalo. Bardzo długo po tym płakałam. Kompletnie się załamalam.

Nasz związek był jednym wielkim chaosem. Nic się nie poprawiało. Czekal mnie przy nim szybki i bolesny upadek na dno.

Musialam się od niego odsunac.

Nie potrafilabym zmierzyc się następnego ranka z jego zamglonym wzrokiem, więc wyszlam, zanim się obudzil.

Ale zadzwonil do mnie kilka godzin później i w jego głosie uslyszalam panike. Byl na potężnym głodzie.

Błagal mnie, zebym przyszla, i zrobilam to. Nie potrafilam mu odmowic, nawet jeśli to wlasnie byloby dla mnie najlepsze.

On mial swoje dragi, ja mialam swoje.

Moim narkotykiem byl Maxx Demelo.

Kiedy przyszlam do jego mieszkania, wygladal lepiej i natychmiast się zorientowalam, zebral, zanim się pojawilam. Chcialam plakac, krzyczec, tuc go do upadlego za to, ze nie zalezy mu na sobie na tyle, zeby przestac.

Ale wtedy mnie dotknal i chociaz chcialam go odepchnac, nie zrobilam tego. Nie potrafilam. Moje ciało go pragnelo.

Pozwolilam mu się rozebrać i rzucic mnie na kanape, gdzie pozarl mnie żywcem.

I kiedy wbijal się we mnie, moje ciało owinelo się wokół niego, a moje serce peklo.

Byl więzniem niekończącego się cyklu – a ja razem z nim.

Wiedzialam, ze to mnie zniszczy.

Ta opowieść nie miala szczęśliwego zakończenia. Maxxa i mnie nie czekało idealne życie w domku za płotkiem z białych sztachetek.

Jedynе życie, które mogliśmy wieść razem, było paskudne, chaotyczne i destrukcyjne.

I nie miałam cienia wątpliwości, że to zabije nas oboje.

Nie mogłam go ocalić.

Nie mogłam zmienić biegu ścieżki, którą podążał. Nie pozwalał mi na to. W jego życiu działały moce silniejsze od mojej miłości do niego. Intensywność jego uczuć do mnie i moich do niego po prostu nie wystarczała. I nie miałam pewności, czy kiedykolwiek wystarczy.

Kroczył tuż nad bardzo stromą przepaścią i gdybym się nie cofnęła, pociągnąłby mnie za sobą.

Nie zamierzałam sobie tego robić.

I chociaż bardzo go kochałam, nie potrafiłam przemykać oczu na to, jak się wyniszczał. Przysięgłam, że nie odejdę, że będę przy nim trwać niezależnie od wszystkiego. Ale ta obietnica została złożona przez naiwną idiotkę.

Głupio sądziłam, że pomagając Maxxowi, zrekompensuję jakoś to, że nie pomogłam Jayme. Jakby jedno życie mogło zastąpić inne.

Absurd.

Maxx nie był Jayme. Był popieprzony na swój własny sposób i tak głęboko tkwił w swoim prywatnym bagnie, że aby mu towarzyszyć, mogłam jedynie pograć się w grzędawisku razem z nim. Nie chciał walczyć, by się z niego wydostać. I nie chciał, bym walczyła za niego.

Wyrzuty sumienia dręczące mnie po śmierci siostry były tylko i wyłącznie moim problemem, i to ja musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby sobie wybaczyć i móc żyć dalej.

Nie mogłam tego osiągnąć, obserwując, jak rozpada się człowiek, którego kocham.

Ale Maxx nie zamierzał pozwolić mi odejść. Był uparty, dzwonił do mnie raz po raz, a nasze rozmowy zawsze wyglądały tak samo.

Potrzebował mnie. Nie mógł beze mnie żyć. Kochał mnie. Boże, jak mnie kochał. Zapowiadał, że umrze, jeśli nie będzie mógł być ze mną.

Płakał. Błagał. Krzyczał. Wrzeszczał. Stał się moim osobistym demonem i zaczęłam się go bać. I bać się o niego.

Wielokrotnie niemal się poddałam. Prawie pobiegłam do jego mieszkania, żeby mógł się do mnie przytulić. Może... może tym razem by do niego dotarło? Uzmysłowiłby sobie, że nie potrzebuje narkotyków. Że razem możemy przejść przez wszystko.

Prawie przekonywałam samą siebie i wtedy do gry wchodził ten drugi Maxx. Zaczynał się wściekać, robił się nieprzyjemny i łatwo było zdławić w sobie pierwotny odruch każący mi biec i go ratować.

Więc się opierałam, chociaż to bolało. Pragnęłam go. Serce się we mnie ścisnęło, gdy byłam tak daleko od niego. W tym krótkim czasie, który upłynął od naszego poznania, Maxx stał mi się niezbędny.

Ale robiłam to dla siebie. Musiałam.

Wreszcie przestał dzwonić. Nie pokazywał się też na grupie wsparcia. Kristie mówiła, że będzie musiała to zgłosić jego kuratorowi. Nie widywałam go na terenie uczelni.

Jakby nagle zapadł się pod ziemię.

Próbowałam do niego dzwonić, ale nie odbierał. Nigdy nie odbierał. Zniknął. Tym razem na dobre.

– Masz ochotę na towarzystwo w bibliotece? – zapytała Renee, wtykając głowę do mojej sypialni.

Pakowałam książki i zestaw długopisów z zamiarem wyruszenia na uczelnię, żeby spróbować nie rozmyślać o Maxxie i o tym, co prawdopodobnie robi.

Chociaż wiedziałam, że trzymanie się od niego z daleka to najlepsze, co mogę dla siebie zrobić, kompletna niewiedza irytowała mnie, doprowadzała do szaleństwa.

Renee wiedziała przynajmniej o części tego, co działo się między Maxxem a mną. Komuś musiałam się zwierzyć. Nie byłam jednak w stanie powiedzieć jej wszystkiego. Przyznała, że nie czuje się szczególnie komfortowo w jego towarzystwie.

– Jest seksowny jak cholera, Aubrey, i szaleje za tobą, ślepy by zauważył.

– Ale... – przynagliłam ją.

– Ale jest coś w jego spojrzeniu. Jest takie smutne. I obłąkańcze. Widziałam już wcześniej takie spojrzenie. Budzi we mnie lęk – powiedziała Renee, a ja nie mogłam zaprzeczyć.

Maxx rzeczywiście miał smutny wzrok i rzeczywiście było w nim coś niepokojącego. Przekonałam się o tym na własne oczy więcej razy, niż gotowa byłam przyznać.

I chociaż bardzo sobie ceniłam świeżo odbudowane w naszej relacji zaufanie, nadal nie potrafiłam wyznać jej wszystkiego. Nie mogłam jej zdradzić, że widziałam, jak Maxx sprzedaje narkotyki. Że wiem o tym, że ćpa, gdy tylko nie jesteśmy razem.

To były obrzydliwości, którymi nie należało się dzielić. Miały zostać pogrzebane głęboko w otchłani mojego serca.

Renee wiedziała jednak, że mój związek z Maxxem jest w fatalnym punkcie i że cierpię. I jeśli moja najlepsza przyjaciółka rozumiała cokolwiek, to z pewnością ból, którego przyczyną mógł być tylko ukochany mężczyzna.

Czułam, że łączy mnie z Renee nowa więź. Łączyła nas miłość do mężczyzn, którzy mogli nas unicestwić.

– Jasne, jeśli tylko masz chęć – powiedziałam z uśmiechem.

– Daj mi tylko pozbierać rzeczy, spotkamy się w salonie – powiedziała Renee, idąc korytarzykiem do swojego pokoju.

Dzwonek zadzwonił w chwili, w której kończyłam pakować własne rzeczy.

– Otworzę! – zawołałam do Renee.

Serce zabiło mi przyspieszonym rytmem. Może to Maxx. Boże, miałam nadzieję, że to Maxx.

Byłam żalosna.

Dzwonek zadzwonił ponownie, a potem jeszcze raz. Ktokolwiek to był, nie grzeszył cierpliwością.

– Idę! – zawołałam, ruszając pospiesznie ku drzwiom.

Proszę, niech to będzie Maxx.

To nie był Maxx.

To był ktoś znacznie gorszy.

– Co ty tu robisz, do cholery? – zapytałam wściekle.

– Proszę, po prostu potrzebuję z nią porozmawiać – powiedział Devon błagalnie.

Jego ciemnobrązowe oczy były mocno podkrążone. Jego zwykle idealnie ułożone włosy wyglądały tak, jakby od tygodnia ich nie mył.

Ze wszystkich sił starał się sprawiać wrażenie skruszonego i zrozpaczonego, ale nie dawałam się zwieść. Devon Keeton był oślizgłym manipulantem.

– Wynoś się stąd, zanim zadzwonię po policję! – zagroziłam, po czym dodałam wściekłym szeptem: – Widziałam, co jej zrobiłeś, ty gnojku. Jeśli sądzisz, że jeszcze kiedykolwiek jej dotkniesz, to jesteś głupszy, niż sądziłam.

Devon wykrzywił twarz i zapłakał wielkimi, krokodylimi łzami.

– Nie chciałem jej uderzyć.

– Więc co, po prostu upadła na twoją pięść, tak? – zapytałam głosem, który ociekał sarkazmem.

Devon pokręcił głową.

– Zmienię się. Przysięgam, Aubrey. Tylko pozwól mi się z nią zobaczyć. Ona nie odbiera

ode mnie telefonów. Nie odpowiada na esemesy. A ja ją kocham! – Podniósł głos, a ja próbowałam go wypchnąć za drzwi, żebym mogła mu je zamknąć przed tą kłamliwą gębą.

Nie chciałam, żeby Renee go zobaczyła. Ale było już za późno.

– Devon? – powiedziała zza moich pleców.

Devon przepchnął się obok mnie i wszedł do mieszkania. Renee aż się skuliła, a ja miałam ochotę kopnąć jej byłego chłopaka w tyłek za to, że wzbudził w niej taki lęk.

Chwyciłam Devona za ramię.

– Kazałam ci się wynosić! – krzyknęłam, szarpiąc go.

Spojrzał na mnie z góry. W jego oczach nie było już łez. Był wściekły. Naprawdę wściekły.

– Zabieraj te swoje cholerne łapy albo połamię ci palce – ostrzegł cichym, grobowym głosem.

No cóż, niech zatem spróbuje.

– Wynoś się! – krzyknęłam z nadzieją, że usłyszą nas sąsiedzi i zejdą zobaczyć, skąd te hałasy.

Renee oparła się plecami o ścianę, ale jej twarz złagodniała. Nie mogłam w to uwierzyć!

Po wszystkim, co jej zrobił, nadal patrzyła na niego tak, jakby za nim tęskniła!

Devon coś mówił, wciskając jej cały ten romantyczny kit, który chciała usłyszeć, o czym doskonale wiedział. Miałam wrażenie, że z jego poruszających się niestrudzenie ust wychodzą same kłamstwa, jednak Renee, sądząc z wyrazu jej twarzy, wierzyła mu. A przynajmniej chciała.

Wiedziałam, że wciąż go kocha. Dlaczego oddała serce komuś, kto tak źle ją traktował? To wszystko malowało się na jej twarzy, jasne jak słońce. Miłość. Mrożąca krew w żyłach, powoli zabijająca miłość.

Obserwowałam ich z łomoczącym sercem. Widok, który miałam przed sobą, wydawał się tak znajomy, że aż zaparł mi dech.

Mówił Devon, lecz ja słyszałam słowa Maxxa. I to nie Renee zobaczyłam, spijającą z jego ust błagalne przysięgi... lecz siebie.

Nasze miłości nie różniły się tak bardzo, choć ze wszystkich sił próbowałam przekonać samą siebie, że jest inaczej. Były równie niszczące. Równie wyczerpujące. I równie chore.

– Proszę, Renee. Daj mi jeszcze jedną szansę – błagał Devon, a w oczach Renee zaczęły wzbierać łzy. Cholera, ona zamierzała mu ustąpić.

Nie mogła się ugiąć! Jeśli się podda, to co mnie powstrzyma od tego, by zrobić to samo? Musiałyśmy być silne. Musiałyśmy zrobić to razem.

Zrobiłam więc jedyne, co mogłam. Krzyknęłam, ile sił w płucach.

Devon odwrócił się do mnie i jego twarz paskudnie wykrzywiła się w gniewie.

– Zamknij się, ty głupia dziwko! – ryknął i popchnął mnie w tył.

Uderzył mnie w ramię tak, że upadłam na podłogę.

I wtedy Renee wreszcie otrzeźwiała. Trzęsącymi się dłońmi wyciągnęła komórkę i podniosła ją do góry.

– Wynoś się, Devon. I nigdy tu nie wracaj! Między nami wszystko skończone! Zerwaliśmy już dawno temu! I nigdy więcej nie chcę już widzieć twojej chorej, żalostnej twarzy! Jeśli nie wyjdiesz stąd w ciągu trzydziestu sekund, zadzwonię po policję! Dostanę sądowy zakaz zbliżania się ciebie do mnie. A ty, do jasnej cholery, narobisz sobie takich kłopotów,

o jakich ci się nie śniło! I co na to powiedzą tatuś i mamusia? – zapytała, a jej usta wykrzywiły się w pogardliwym grymasie, którego nigdy u niej nie widziałam.

Stała wyprostowana, z uniesioną głową. Wiedziałam, że Devon ją przeraża, ale trzymała się dzielnie. Nigdy nie byłam z niej bardziej dumna.

Devon spochmurniał, jakby niepewny, czy dobrze ją usłyszał.

– Kochanie, przecież nie mówisz poważnie. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Kocham cię – spróbował jeszcze raz.

Renee zaczęła wybierać numer.

– Tak, jestem prześladowana i mój prześladowca jest teraz tutaj. Nazywa się Devon Keeton i jest moim byłym chłopakiem. Obawiam się o własne bezpieczeństwo – powiedziała do telefonu.

Devon wpadł w furję. Wyglądał, jakby zaraz miał zionąć ogniem. Renee jeszcze składała doniesienie, kiedy szybko wybiegł za drzwi.

Pospiesznie zatrzasnęłam je za nim i zamknęłam na zamek.

– Właśnie wyszedł – powiedziała Renee do telefonu. Osunęła się po ścianie i usiadła na podłodze. – Nie sądzę, żeby wrócił. Nie musicie nikogo tu wysyłać. Dobrze. Oczywiście. Dziękuję.

Rozłączyła się i ukryła twarz w dłoniach. Otoczyłam ją ramieniem.

– Muszę pójść do biura sędziego pokoju i złożyć wniosek o wstępny zakaz zbliżania się Devona do mnie. Choć może już nic nie zrobi. Może teraz mnie wreszcie zostawi w spokoju – wymamrotała Renee.

Sprawiła wrażenie wyczerpanej, ale ożywionej nikłą nadzieją.

– No nie wiem. Myślę, że powinnaś załatwić zakaz. Dla własnego spokoju – powiedziałam.

Renee skinęła głową i przez chwilę milczałyśmy. Potem spojrzała na mnie. Na jej twarzy malowało się znużenie.

– Dlaczego my to sobie robimy, Aubrey? Dlaczego oddajemy nasze serca mężczyznom, którzy je łamią? Sądziłam, że Devon jest moim księciem. Boże, myślałam, że mnie kocha. Jaką ja jestem idiotką.

Rozszlochała się, a ja razem z nią. Z żalu nad nią. I nad sobą. Nad każdą gównianą relacją, która kończyła się potokiem łez.

– Miłość nie powinna doprowadzać ludzi do takiego stanu – powiedziała Renee, pociągając nosem.

I miała rację. Ten palący, przeszywający ból, który czułam w głębi piersi... Nie tak powinno się odczuwać miłość. To było niezdrowe. Niedobre. I niestety nieuniknione.

Byłam kobietą w potrzasku.

– Chodź, pójde razem z tobą do biura sędziego pokoju. A potem kupimy sobie w Caketopii to czekoladowe ciasto, które tak uwielbiasz – zaproponowałam łagodnie.

Renee otarła łzy z policzków i uśmiechnęła się do mnie dzielnie.

Przynajmniej ona potrafiła się uczyć na błędach, zanim było za późno.

* * *

Renee spałaszowała już dwa kawałki ciasta, dając upust nagłemu zapotrzebowaniu na

cukier, a ja przesuwałam tylko bezmyślnie po stojącym przede mną talerzu lukrowane ciasteczka. Nie miałam apetytu.

Czekając z Renee na spotkanie z sędzią pokoju, wyszłam na zewnątrz i w chwili słabości próbowałam się znów dodzwonić do Maxxa.

I to tyle, jeśli chodzi o moje stanowcze postanowienia.

Nie potrafiłam się opanować. Lęk narastał we mnie tym bardziej, im dłużej nie miałam żadnych wieści o Maxxie.

Oczywiście nie odbierał.

Wetknęłam telefon do kieszeni i kiedy Renee wreszcie wszystko załatwiła, udawałam, że nic się nie stało. Potem zabrałam ją do jej ulubionej piekarni tuż obok kampusu i zaczęłam w nią wpychać pieczone smakowitości.

Renee nie płakała. Nie zawahała się w swoim postanowieniu uzyskania zakazu zbliżania się do niej.

Była po prostu niesamowita.

– Nie zamierzasz ich jeść? – zapytała Renee, wypiwszy do ostatniej kropli swoją gorącą czekoladę.

Przesunęłam talerz w jej stronę.

– Nie żałuj sobie – powiedziałam z najbardziej przekonującym uśmiechem, na jaki potrafiłam się zdobyć.

W kieszeni rozdzwonił mi się telefon i jak za każdym razem moje serce zadrżało nadzieją, że na wyświetlaczu zobaczę numer Maxxa.

I jak za każdym razem w ciągu ostatniego tygodnia czekał mnie zawód.

Dzwoniła Kristie Hinkle, współprowadząca mojej grupy wsparcia. Hm, ciekawe.

– Kto to? – zapytała Renee, widząc wyraz mojej twarzy.

– Współprowadząca mojej grupy – odpowiedziałam.

Telefon nadal dzwonił.

– Czy nie powinnaś odebrać? – przynagliła mnie Renee.

Zaśmiałam się odrobinę nerwowo i odebrałam.

– Halo?

– Cześć, Aubrey. Krótka sprawa. Muszę się z tobą spotkać. Jeśli to możliwe, jeszcze dziś – powiedziała ostrym tonem.

Spotkałyśmy się już w tym tygodniu na grupie wsparcia, więc nie przychodził mi do głowy żaden powód, dla którego musiałyby się ze mną tak szybko zobaczyć.

– Jasne – wyjąkałam.

– Dobrze. Jestem w swoim biurze w centrum. Wiesz, gdzie to jest? – zapytała.

Ton głosu miała tak chłodny, że usłyszałam dzwoniący mi gdzieś z tyłu głowy dzwonek alarmowy.

– Tak. Chyba tak – odpowiedziałam.

– Zdasz w ciągu godziny? Po południu mam spotkanie, ale najpierw muszę porozmawiać z tobą.

– Zdam.

– Więc do zobaczenia – powiedziała Kristie i się rozłączyła.

Przez chwilę gapiłam się na swój telefon.

– Wszystko w porządku? – zapytała Renee, wycierając palce w serwetkę.

Posłałam jej kolejny uśmiech, tym razem fałszywy jak cholera.

– Kristie chce ze mną porozmawiać w swoim biurze w centrum. Dasz radę wrócić sama do mieszkania? – zapytałam, nienawidząc tego, że muszę ją zostawić tak szybko po konfrontacji z Devonem.

Renee przyzwalająco machnęła ręką.

– Dam sobie radę. Pójdę na trochę do biblioteki, żeby oderwać myśli.

Przykryłam jej ręce dłonią.

– Mogę oddzwonić do Kristie i przełożyć spotkanie, jeśli nie chcesz zostać sama – zaproponowałam z nadzieją, że podchwyci moją propozycję.

Miałam przeczucie, że nie spodoba mi się to, co Kristie chciała ze mną przedyskutować.

Renee próbowała dyskretnie otrzeć łzy, które pociekły jej po policzkach, ale ja je dostrzegłam. Widziałam, że się szamocze i zostawiając ją, czułam się jak najbardziej beznadziejna przyjaciółka na ziemi.

– Zobaczymy się później w domu.

Renee odchrząknęła i pochyliła głowę, żebym nie zobaczyła jej poczerwieniałych nagle oczu.

– Nie ma nic złego w tym, że po nim płaczesz. Kochałaś go. To naturalne – powiedziałam łagodnie.

Renee podniosła na mnie załzawione oczy i uśmiechnęła się smutno.

– On nie zasługuje na moje łzy... A i tak nie potrafię po nim nie płakać.

Pociągnęła nosem, a ja podniosłam się z krzesła, żeby ją przytulić.

– Postaram się szybko wrócić – obiecałam.

* * *

W biurze Kristie było miło i przytulnie. Pracowała w miejscowym ośrodku terapii uzależnień, który między innymi pomagał narkomanom i chorym psychicznie normalnie funkcjonować w społeczeństwie. Czekałam zaledwie kilka minut, kiedy otworzyła drzwi swojego gabinetu i gestem zaprosiła mnie do środka.

Ściany wymalowano na złotawą żółć, a jedyne okno zasłaniała przejrzysta biała firanka. Na lustrze wisiało kilka kryształków i kolorowych szklanych paciorków rzucających na ściany pokoju tęcze odbłyśki.

Regał zastawiony był książkami i oprawionymi w ramki fotografiami. Zamiast bezosobowych krzeseł Kristie ustawiła pod ścianą pluszową czerwoną kanapę, na której poukładała niewielkie poduszki.

W każdych innych okolicznościach w biurze Kristie poczułabym się odprężona. Ale po sposobie, w jaki Kristie na mnie patrzyła, natychmiast się zorientowałam, że coś jest nie tak.

– Siadaj, Aubrey – powiedziała Kristie, wskazując na kanapę. Usiadłam, a Kristie, zamiast wrócić za biurko, usiadła obok mnie.

Wiedziałam, że za mną nie przepada. Po mojej gwałtownej przemowie na początku semestru założyłam, że spisała mnie już na straty i po prostu nie może się doczekać zakończenia spotkań grupy, żeby się mnie wreszcie pozbyć.

Byłam więc zaskoczona, widząc współczucie na jej twarzy. Patrzyła na mnie, jakby było

jej mnie żal. Co tu się działo, do cholery?

Kristie odwróciła się i wzięła do ręki stojącą na biurku oprawioną w ramkę fotografię. Zdjęcie przedstawiało ją w towarzystwie grupki kobiet. Łatwo było zorientować się po ich strojach, że fotografia ma co najmniej dziesięć albo i dwadzieścia lat. Kristie była na niej znacznie młodsza i prawdę powiedziawszy, bardzo ładna.

– To zdjęcie zostało zrobione w mojej pierwszej pracy po college’u. Pracowałam jako koordynator usług dla ofiar przemocy domowej przebywających w schronisku w Ohio. Uwielbiałam tę pracę. Kobiety i dzieci, z którymi pracowałam, były niewiarygodne. – Kristie odstawiła zdjęcie z powrotem na biurko, po czym odwróciła się do mnie. – Zupełnie nie radziłam sobie wówczas z pełnioną przez siebie funkcją. Pracowałam w otoczeniu, które tym ludziom służyło za dom. Wierzyli, że zaspokoję ich podstawowe potrzeby: bezpieczeństwa, jedzenia, schronienia. Czasami łatwo było pomylić pracę z przyjaźnią.

Nie do końca rozumiałam, dlaczego Kristie czuje potrzebę zabrania akurat mnie na przechadzkę po swoich wspomnieniach, ale po jej następnych słowach stało się aż nadto oczywiste, co tutaj robię.

– Granice się zamazują. Powstają relacje, które nie powinny być powstać. Łatwo jest stracić orientację. Zajmujemy się tą dziedziną, bo nam zależy. Chcemy pomóc. Czasami dochodzimy do punktu, w którym nie powinniśmy się znaleźć.

Chodziło o Maxxa.

Wiedziała.

Przełknęłam gulę w gardle i z trudem chwyciłam powietrze. Czułam, jak mój świat zaczyna implodować.

Kristie odwróciła się znów w stronę zdjęcia.

– Zaczęłam uważać te kobiety za swoje przyjaciółki. Ale nimi nie były. Były moimi klientkami. Znalazły się w ośrodku, ponieważ doświadczyły niewyobrażalnych urazów. Nie rozumiały idei stawiania granic. A moim zadaniem, jako ich terapeutki, było pokazanie im ich na własnym przykładzie. I przychodziło mi to z trudem. Jak można zaznaczyć swój autorytet wobec kobiety, która uważa cię za swoją przyjaciółkę? – Kristie spojrzała na mnie, a oczy jej zapłoneły. – Musiałam poprosić jedną z kobiet, by opuściła schronisko z powodu nieprzestrzegania zasad. Oczywiście się rozzłościła. Najgorsze było jednak to, kiedy na mnie spojrzała i powiedziała: „Sądziłam, że jesteś moją przyjaciółką”. I wtedy zrozumiałam, że schrzaniłam sprawę. Że pozwoliłam, żeby moje własne sentymenty przeszkodziły mi w wykonywaniu pracy. – Przyjrzała mi się uważnie. – Rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć? – zapytała.

Przełknęłam znów ślinę, czując, jak zasycha mi w ustach.

– Nie... nie jestem pewna – wyjąkałam.

Kristie westchnęła głęboko, wstała i usiadła za biurkiem. Było oczywiste, że chce stworzyć między nami dystans, zanim zada mi ostateczny cios.

– Doniesiono mi o czymś bardzo niepokojącym. Powiedziano mi, że zaangażowałaś się w niewłaściwą relację z kimś z grupy wsparcia.

Topór spadł.

Kristie ciągnęła dalej:

– Wszelkie tego rodzaju zarzuty muszę traktować bardzo poważnie. Podrażyłam więc trochę i stało się dla mnie jasne, że spotykasz się z Maxxem Demelo.

Przerwała i spojrzała na mnie, jakby czekała, że zaprzeczę.

Co miałam powiedzieć? Zostałam nakryta. Dokładnie tak, jak się obawiałam. Choć nie sądziłam, że nastąpi to tak szybko.

– No cóż, Aubrey, co masz do powiedzenia na ten temat?

Teraz brzmiała jak nauczycielka z podstawówki, która złapała jednego z uczniów na zuciu gumy podczas lekcji.

Nienawidziłam czuć się głupio, a Kristie Hinkle sprawiała, że czułam się bardzo, bardzo głupio.

Nawaliłam. Podejmowałam olbrzymie ryzyko, wchodząc w związek z Maxxem. Naraziłam na szwank swoją przyszłość – i po co?

Wystarczyło spojrzeć, co stało się z naszym związkiem. Właściwie już nie istniał, bo Maxx wyżej cenił narkotyki niż mnie.

Nie potrafiłam jednak zapomnieć, jak bardzo go kochałam. Jak idealne były te chwile, gdy byliśmy naprawdę razem. Gdy nie dzieliło nas nic poza skórą i oddechem. Kiedy widziałam go z jego bratem, kiedy odkrywałam, kim był, zanim w jego życie wkroczyły prochy. Jak zjeżdżałam z nim na sankach w miejscu dla niego wyjątkowym. Jak patrzyłam na niego, gdy przygotowywał dla mnie fatalnie przypaloną kolację. W tych chwilach widziałam przed sobą skomplikowanego, namiętnego człowieka. Mężczyznę, który wart był starań.

Nie zamierzałam przeproszać za to, że pierwszy raz w swoim życiu poszłam za głosem serca. Że pozbyłam się obsesyjnej potrzeby kontroli i dałam pierwszeństwo uczuciom.

Mimo bólu, mimo wszystkiego, przez co przeszłam z powodu Maxxa, nie zamierzałam kiedykolwiek żałować, że się przed nim otworzyłam. Tak długo byłam zamknięta w sobie, że zaczęłam powoli obumierać w środku. Dopóki Maxx nie zmusił mnie, żebym stała się kimś, kim zapomniałam już, że mogę być.

Uniosłam głowę i spojrzałam Kristie prosto w oczy.

– Co mogę powiedzieć? Że popełniłam błąd? Myślę, że to oczywiste. Że żałuję? Tego chyba nie mogę powiedzieć. Nie jest mi przykro. Nie oddałabym ani jednej chwili spędzonej z Maxxem. Niezależnie od konsekwencji. – Głos miałam silny i opanowany, i byłam z siebie dumna, chociaż stawałam właśnie w obliczu nieprzyjemnych następstw własnych wyborów.

Nozdrza Kristie zadrgały, przez chwilę wyglądała na zbitą z tropu. Widać było, że nie spodziewała się tak buntowniczej reakcji.

Zaczęła przekładać jakieś papiery na biurku, najwyraźniej skonsternowana.

– Będę musiała poinformować o tym doktor Lowell. Rozumiesz, że oznacza to możliwość zawieszenia cię w prawach studenta? Albo wyrzucenia cię z programu szkoleń terapeutycznych? – zapytała Kristie, patrząc na mnie tak, jakbym straciła rozum.

Bo czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach odrzuciłby wszystko dla jakiegoś niezrównoważonego chłopaka? Zwłaszcza że był on ostatnią osobą, od której powinnam uzależniać swoją przyszłość?

Miłość była najpiękniejszym rodzajem obłędu. Szaleństwem desperacji i pożądania, które sprawiało, że najbardziej nieprawdopodobne wybory stawały się możliwe.

– Rozumiem – odpowiedziałam spokojnie.

Kristie wpatrywała się we mnie przez chwilę, a potem jakby odzyskała panowanie nad sobą.

– No cóż... – Odchrząknęła i zaczęła jeszcze raz. – No cóż, zapewne doktor Lowell wkrótce się z tobą skontaktuje.

Skinęłam głowę i wstałam.

– Dziękuję za to, że stworzyłaś mi sposobność uczenia się od ciebie, Kristie. Doceniam to, choćby wcale na to nie wyglądało – powiedziałam, znów ją zaskakując.

Pokręciła głowę.

– Ogromna szkoda, Aubrey. Masz taki potencjał. Mam nadzieję, że było warto.

Wyszłam z gabinetu z ostatnimi słowami Kristie dźwięczącymi mi w uszach.

Czy było warto?

Po wyjściu z biura Kristie nie spieszyłam się z powrotem na uniwersytet. Bez dwóch zdań, byłam w szoku. W przeciągu ostatnich trzydziestu minut cały mój plan na życie został skutecznie zaprzepaszczony.

Wszystko, na co tak ciężko pracowałam, spuściłam do kanalizacji.

I to dla mężczyzny, któremu nie chciało się odebrać cholernego telefonu.

Milion razy próbowałam dodzwonić się do Maxxa i znów przełączyło mnie na pocztę głosową.

Naprawdę zaczynałam się martwić.

Minął tydzień, odkąd ostatni raz z nim rozmawiałam. Odkąd po raz ostatni powiedział mi, że mnie kocha i potrzebuje.

Tęskniłam za nim.

Ze spuszczoną głową, powłócząc nogami, przeszłam dwie przecznice w kierunku Uniwersytetu Longwood.

Powinnam być załamana, lecz zamiast tego byłam wkurzona. Fatalnie ulokowałam swoje uczucia, ale gniew ułatwiał przeanalizowanie tego, co stało się z moim życiem.

Ktoś mnie zakapował. I raczej nie miałam wątpliwości kto.

Na nieszczęście tej osoby, kiedy dotarłam na teren uniwersytetu i dostrzegłam ją w oddali, gotowałam się już ze złości.

– Brooks! – zawołałam.

Szedł ścieżką z Charlotte, dziewczyną, z którą przyszedł do Compulsion. Widziałam ich razem na uniwerku i zastanawiałam się, czy wciąż ze sobą chodzą.

Jego życie miłosne mało mnie w tym momencie obchodziło. Czułam się zraniona, zdradzona i gotowa mu to wszystko wyrzyczyć.

Podniósł wzrok i z wahaniem do mnie pomachał. Charlotte coś powiedziała i Brooks skinął głową. Wiedziałam, że to ja byłam przedmiotem tej krótkiej wymiany zdań.

Nienawidziłam myśli o tym, że mój niegdyś dobry przyjaciel miał w sobie tyle jadu, żeby za moimi plecami donosić na mnie Kristie. Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że nasza przyjaźń do tego stopnia się rozpadła. Ale był jedyną osobą świadomą mojego związku z Maxxem, która tak radykalnie go nie aprobowała. Renee nigdy by mi tego nie zrobiła. A zatem zostawał tylko Brooks.

Brooks przystanął i poczekał, aż się z nim zrównam. Powiedział coś do Charlotte, która obrzuciła mnie zatroskanym spojrzeniem, po czym pospiesznie odeszła.

Wydawał się niepewny – i nie bez powodu. Spojrzał mi w oczy i wiedział już, że jestem wściekła. Nie zdawał sobie tylko sprawy, jak bardzo.

– Jak mogłeś? – wypaliłam.

Brooks zmarszczył brwi.

– Jak mogłem co? – zapytał, bezbłędnie strugając wariata.

– Nie mam pojęcia, jak mogłeś być tak bezduszny. Tak okrutny. Stoję przed tobą, Brooks,

nie ma potrzeby wbijania mi noża w plecy, kiedy się odwrócę. Zrób to, kiedy cię widzę.

Wyglądał na zmieszanego i odrobinę zaniepokojonego.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Aubrey.

Zaśmiałam się z nienawiścią.

– Boże, jaką ja byłam kretynką, żeby sądzić, że nasza przyjaźń powstrzyma cię od zdradzenia mnie. Powinnam była wiedzieć, że próba zaprzyjaźnienia się z kolesiem, z którym uprawiałam naprawdę kiepski seks, może się skończyć jedynie katastrofą.

Brooks drgnął.

– Dlaczego taka jesteś? – zapytał, a ja próbowałam nie zwracać uwagi na wyrzuty sumienia, które poczułam, widząc ból w jego oczach.

Ale ja również cierpiałam. Bo nie potrafił trzymać języka za zębami.

– Wiem, że to ty powiedziałaś Kristie. Nie próbuj zaprzeczać.

Brooks uniósł ręce.

– Poczekaj chwilę. Wróc. Powiedziałem Kristie o czym?

Wymierzyłam palec oskarżycielsko w jego pierś.

– Powiedziałaś jej o mnie i Maxxie. No dalej, skłam mi w żywe oczy i powiedz, że to nie ty! Czy jesteś tak cholernie zazdrosny, że musiałeś mi spieprzyć życie?! – krzyknęłam, nie przejmując się zupełnie tym, że moja tyrada ściąga na nas uwagę przechodzących.

Brooks jednak rozejrzał się z zażenowaniem i spróbował mnie uciszyć.

– Nie tak głośno, Aubrey. Boże, może rozgłoś od razu po całym kampusie swoje prywatne sprawy? – wymamrotał.

– Ach, więc teraz przejmujesz się moją prywatnością? Daruj sobie, nie traktuj mnie jak idiotki. Nie po tym, co mi zrobiłeś!

Pieniłam się ze złości, lecz w głębi ducha zaczęłam powątpiewać w sensowność tego całego wybuchu. Czy to naprawdę była wina Brooksa, że wszystko straciłam?

Nie.

Nawet jeśli poszedł do Kristie i opowiedział jej o moim związku z Maxxem, to przecież ja dokonałam wyboru, by z nim być.

Brooks się roześmiał.

– Mówisz poważnie? – zapytał z niedowierzaniem.

Spiorunowałam go wzrokiem.

– Cieszy mnie, że uznajesz to za zabawne! – warknęłam.

Brooks założył ręce na piersi.

– Po pierwsze, nic nikomu nie mówiłem, choć biorąc pod uwagę, jak bardzo spieprzyłaś sobie życie, prawdopodobnie powinienem. Właśnie od tego są przyjaciele – powiedział ostro.

Otworzyłam usta, by wykrzyknąć jakieś obelgi, ale Brooks ciągnął:

– A po drugie, jak śmiesz obwiniać kogokolwiek, że na własne życzenie wpakowałaś się w takie bagno? To ty – wskazał na mnie palcem – postanowiłaś prowadzić się z ćpunem. Ty – jeszcze raz wymierzył we mnie palec – postanowiłaś nie przejmować się konsekwencjami. – Wziął głęboki oddech i spojrzał na mnie smutno. – To ty odrzuciłaś naszą przyjaźń. To ty zrezygnowałaś z siebie. – Obszedł mnie, a ja stałam tam, zupełnie zdezorientowana obrotem naszej kłótni. Brooks odwrócił się jeszcze raz przed odejściem. – Warto było? – zapytał.

Nie on pierwszy zadawał mi to pytanie.

Warto było?

Obserwując, jak mężczyzna będący niegdyś jednym z moim najbliższych przyjaciół oddala się ode mnie i znika z mojego życia, zaczęłam się zastanawiać.

* * *

Piątkowy wieczór spędziłam z Renee. Oglądałyśmy filmy i zajadałyśmy się śmieciowym żarciem. Nie potrafiłam się zdobyć na to, by jej powiedzieć, co się wydarzyło u Kristie. I tak miała wystarczająco dużo na głowie, nie było sensu dokładać jej zmartwień.

Większą część soboty spędziłam w bibliotece, mając nadzieję, że rozmaite prace zaliczeniowe skutecznie mnie zaabsorbują. I po raz pierwszy w moim życiu to nie zadziałało. Nie byłam w stanie się skoncentrować, myśli kłębiły się chaotycznie i bezwładnie.

W końcu się poddałam i wróciłam do domu. Kiedy weszłam do mieszkania, Renee już spała, więc pomyślałam, że sama spróbuję się zdrzemnąć. Ale rozgorączkowany umysł nie chciał się wyłączyć. Raz po raz odtwarzałam w głowie zdarzenia ostatniej doby.

Jak to wszystko mogło się tak szybko pochrzanić?

Wreszcie, nie mogąc już wyleżeć w łóżku, wstałam. Zajrzałam do Renee, ale wciąż spała, najwyraźniej wyczerpana własnym dramatem.

Weszłam do kuchni i możliwie cicho zrobiłam sobie makaron. Była sobota wieczór i zastanawiałam się, czy Maxx jest w Compulsion. Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby się ubrać i pójść go poszukać. Szybko z niej zrezygnowałam.

Umościłam się na kanapie i włączyłam telewizję z nadzieją, że odmózzdzająca reality TV da chwilę wytchnienia.

I wtedy, koło wpół do jedenastej, zadzwonił telefon. Wzdrygnęłam się na jego dźwięk, całkowicie pochłonięta uzalaniem się nad sobą.

Zerknęłam na ekran i serce podskoczyło mi do gardła.

Maxx.

– Halo? – powiedziałam, odebrawszy połączenie.

– Jesteś – wybełkotał Maxx, a głoski zwały mu się w jedno tak, że ledwo go rozumiałam. Słyszałam dudnienie muzyki w tle i wiedziałam, że jest w Compulsion. – Dlaczego mnie zostawiłaś? – załkał Maxx do słuchawki, chociaż ledwie go słyszałam.

Sprawa miała wrażenie kompletnie zaćpanego.

– Maxx, wszystko u ciebie w porządku?

Co za głupie pytanie. Zdecydowanie nie wszystko było u niego w porządku.

– Kocham cię! – wykrzyknął zniekształcone słowa i wtedy poprzez dudnienie muzyki usłyszałam głośne uderzenie.

– Maxx! – krzyknęłam do telefonu, ale nie odpowiedział. Muzyka nadal dudniła mi w uchu, ale Maxxa już nie było. – Maxx! – krzyknęłam jeszcze raz, ale przerwał mi sygnał rozłączania się. – Ty cholerny, egoistyczny sukinsynu! – krzyknęłam, natychmiast wybierając jego numer.

Dzwoniłam i dzwoniłam, i dzwoniłam.

Kiedy odezwała się jego poczta głosowa, rozłączyłam się i spróbowałam jeszcze raz.

Próbowałam się dodzwonić jeszcze przynajmniej z sześć razy, po czym wreszcie się poddałam.

Coś było nie tak. Rozpoznawałam w tonie głosu Maxxa, kiedy był na haju, ale to było coś innego. Coś więcej. Nie potrafiłam przestać myśleć o tym, jak bardzo sprawiał wrażenie zrozpaczonego. Zagubionego.

Cholera!

Napisałam krótki liścik do Renee z wiadomością, że niedługo wrócę. Chwyciłam płaszcz i klucze, mając w głowie tylko jeden kierunek.

Compulsion.

Pomijając fakt, że nie wiedziałam, gdzie go szukać.

Coraz lepiej.

Musiałam możliwie szybko znaleźć rysunek Maxxa.

Jeździłam wokół kampusu, z nadzieją, że gdzieś tam się na niego natknę. Bez skutku. Robiłam się coraz bardziej niespokojna. Pojechałam do miasta, sprawdzając wszystkie zwyczajowe miejsca. Próbowałam wymyślić, gdzie Maxx mógłby go namalować, ale nie potrafiłam wczuć się w jego tok rozumowania.

Dosłownie jeden atak paniki dzielił mnie od telefonu na policję z prośbą o zabranie go z klubu. W tym momencie nie obchodziło mnie już, że skończy za kratkami za posiadanie. Przynajmniej będzie żył. I wtedy zobaczyłam grupkę ludzi kręcącą się w zaułku obok kina.

Zjechałam na parking i wyskoczyłam z samochodu. Przebiegłam przez ulicę i przepchnęłam się przez tłumek.

To tu.

Powinłam była wiedzieć.

Powinłam była się zorientować, że zostawi to w miejscu, które miało jakieś znaczenie dla nas kiedyś razem.

Naiwnych, opętanych złudzeniami ludzi, których już nie było.

Na ścianie budynku kina namalowany był mężczyzna spadający z urwiska na postawione na sztorc noże. Kobieta, w której rozpoznałam siebie, stała nad nim. Jej twarz była kręgiem czerni, jej blond włosy zamieniały się w palce zakończone zakrwawionymi pazurami.

Nigdy nie widziałam, by Maxx stworzył coś równie depresyjnego. Miałam ochotę się rozpłakać.

Przerażała mnie myśl o tym, co musiało przychodzić mu do głowy, by mógł to stworzyć.

Zamalował moją twarz na czarno. Nie umknęło mi głębsze, psychologiczne znaczenie tego zabiegu.

Sprawiało to wrażenie, jakby próbował mnie wymazać ze swojego serca, tak jak wymazał moją twarz z obrazu.

Wzięłam się w garść, otarłam łzy, które skapnęły mi na policzki, i poszukałam na rysunku potrzebnego mi adresu.

U podstawy urwiska znajdowały się słowa „Wilby Street”. Cyfry stapały się z chmurami. Wyciągnęłam długopis i zapisałam wszystko na grzbiecie dłoni.

Kiedy już znalazłam się w samochodzie, pomajstrowałam chwilę w telefonie, włączyłam nawigację i wpisałam adres. Piętnaście minut drogi. Aby jak najszybciej znaleźć się w klubie, złamałam kilka przepisów drogowych.

W końcu znalazłam aktualną miejscówkę klubu, stary kompleks biurowy na obrzeżach

miasta znajdujący się w zdewastowanym parku przemysłowym. Nie zadając sobie trudu ustawiania się w kolejce, ruszyłam do przodu, gdzie stał Marco z Randym, przerażającym bramkarzem, z którym miałam okazję się zetknąć kilkakrotnie przy swoich pierwszych odwiedzinach w klubie.

– Muszę wejść do środka – powiedziałam, starając się nie sprawiać wrażenia pomyłonej. Randy ledwie na mnie spojrzał.

– To ustaw się w kolejce jak cała reszta – burknął.

– Nie rozumiesz. Szukam Maxxa – wyjaśniłam, mając nadzieję, że wtrącenie jego imienia załatwi sprawę.

Randy spojrzał na mnie, ale najwyraźniej to imię niewiele mu mówiło.

– Mało mnie obchodzi, kogo szukasz. Tak czy siak, musisz stanąć na końcu kolejki.

Spojrzałam na Marca, ale nie zwracał na nas uwagi. Był zbyt zajęty flirtowaniem z parą nastolatek w obcisłych spódniczkach.

– Marco! – zawołałam.

– Słuchaj, laska, zabieraj się stąd, i to już – ostrzegł Randy.

– Znam go! – powiedziałam, wskazując na Marca.

Randy przewrócił oczami.

– Nie ty pierwsza, skarbie. A teraz spierdalaj stąd!

Rzuciłam się obok Randy'ego, który próbował mnie chwycić.

– Marco! – krzyknęłam jeszcze raz.

Randy chwycił mnie za ramię mięsistą dłonią i szarpnął mnie w tył.

Marco się odwrócił, słysząc zamieszanie, i w końcu mnie dostrzegł. Serce we mnie zamarło na widok jego tępego spojrzenia. Nie poznał mnie.

– Marco, to ja, Aubrey! – zawołałam.

– Zabieraj się stąd, nie wchodzisz! – warknął Randy, szarpiąc mnie mocno za ramię. Auć! Siniaki murowane.

– Poczekaj, stary. Ja chyba znam tę foczkę – powiedział Marco.

– Człowieku, znasz mnóstwo foczek – skwitował Randy i nie było to miłe.

– Poważnie, poczekaj chwilę. – Marco przyjrzał mi się uważnie.

– Jestem dziewczyną Maxxa – wyjaśniłam i z ulgą zobaczyłam, jak na jego nabijaną metalem twarz wypływa zrozumienie.

– No jasne! Wiedziałem, że wyglądasz znajomo. Puść ją, Randy. Ona jest dziewczyną X – powiedział Marco, chwytając mnie za wolną dłoń i przybijając na jej grzbiecie pieczętkę.

Powinnam była pomyśleć o tym, by użyć jego drugiego imienia. Ale nie znałam człowieka, który nosił imię X. I nie sądziłam, bym miała go kiedykolwiek poznać.

Randy rozluźnił uścisk na moim ramieniu i poczułam, jak zaczyna mnie mrowić w palcach, kiedy na powrót napłynęła do nich krew.

– Sorry, nie wiedziałem – wymamrotał Randy, lekko popychając mnie naprzód.

Roztarłam ramię, za które mnie chwycił, krzywiąc się z bólu.

– Nie miałem pojęcia, że dziś przyjdiesz, Maxx nic nie mówił – powiedział Marco, porzucając swoje stanowisko i wprowadzając mnie do środka. – Rozciągnął wargi w uśmiechu, odsłaniając kolczyk w języku, którego nie zauważyłam przy naszym ostatnim spotkaniu. – A na przyszłość: tutaj nikt nie mówi do niego Maxx. Dlatego Randy nie wiedział, o kim mówisz – wyjaśnił Marco.

– Wiesz, gdzie on jest? – zapytałam, a zęby już mi zaczęły wibrować od ogłuszającej muzyki, która z nową siłą buchnęła właśnie za drzwiami.

Marco pokręcił głową.

– Przez cały wieczór nie było mnie w środku. Zazwyczaj widuję go dopiero tuż przed zamknięciem.

Cholera.

– Dzięki, Marco. Doceniam, że mi pomogłeś – powiedziałam szczerze.

Może Marco nie był wcale takim złym facetem, nawet jeśli wyglądał jak ofiara nawalonego tatuażysty.

– Nie ma sprawy, Aubrey – powiedział Marco, poklepał mnie po ramieniu i wrócił na swoje miejsce przy wejściu.

Wzięłam głęboki wdech i weszłam do klubu. W środku panował kompletny chaos. Zazwyczaj ten obłęd wydawał mi się urzekający.

Nie dziś.

Dziś go nienawidziłam. W moich oczach stał się ohydny, obrzydliwy. Ciemność skrywała upadek i brudne sekrety. Chciałam wyjść.

Ale nie bez Maxxa.

Zaczęłam się przepychać przez tłum ludzi tańczących w gorączkowym rytmie, wspinając się na palce w poszukiwaniu Maxxa.

Nie, nie Maxxa. Tutaj, w tym świecie, nazywał się X.

Popychano mnie i potrącono, muzyka osiągnęła punkt kulminacyjny. Tańczący rzucili się w pogo i gdybym się nie cofnęła, na pewno straciłabym kilka zębów.

Dostrzegłam bar pod przeciwległą ścianą i ruszyłam w jego stronę. Rozpoznałam barmana, którego Maxx nazwał Erikiem.

Przywołałam go gestem i natychmiast zrozumiałam, że rozpoznał we mnie dziewczynę przyprowadzoną wtedy przez Maxxa. Kiedy doszedł do mojego końca baru, zapytałam go, czy wie, gdzie jest X. Dziwnie się czułam, tak go nazywając. Nie byłam przyzwyczajona do wymawiania tego imienia. Imię nieznanego. Szukałam osoby, której w ogóle nie znałam.

– Widziałem go tam jakiś czas temu. Ale jestem pewien, że gdzieś tu się kręci. Nigdy nie odchodzi daleko, więc po prostu poczekaj tutaj, a sam cię znajdzie. – Eric szeroko się uśmiechnął, puszczając do mnie oko.

Ruszyłam w kierunku wskazanym przez Erika. Po przeciwległej stronie sali znalazłam wąski korytarzyk prowadzący do toalet. Nawet jeśli ktokolwiek w nim stał, nie potrafiłam go dostrzec. Było zbyt ciemno.

– Maxx, gdzie jesteś? – mruknęłam do siebie.

Drzwi do męskiej łazienki otworzyły się i zamknęły za moimi plecami i usłyszałam, jak para przechodzących obok mnie kolesiów wybucha śmiechem.

– Pieprzone ćpuny – powiedział jeden z nich.

W nagłym przebłysku intuicji zrozumiałam, o kim mówią.

Pospiesznie weszłam do męskiej łazienki. Znajdował się w niej rząd czterech kabin, wszystkie były zamknięte, ale drzwi ostatniej z nich zablokowała postać, którą rozpoznałabym na krańcu świata.

– Maxx! – krzyknęłam, biegnąc w jego stronę. Padłam na kolana obok niego, nie przejmując się szczykami i brudem na podłodze. W łazience tak śmierdziało, że miałam

wrażenie, iż zaraz zwymiotuję. Ale to było nic w porównaniu z mdłościami, które poczułam, kiedy przyjrzałam się uważnie Maxxowi zwalonemu bezwładnie na kafelki.

Leżał na boku, przywierając policzkiem do podłogi. Odślonięte lewe ramię miał wyciągnięte wzdłuż ciała i obwiązane ciasno zaciągniętym tuż powyżej łokcia cienkim kawałkiem białej gumy, który pozwalał uwydatnić żyłę.

Wiedziałam dokładnie, co zrobił Maxx. Każdy, kto kiedykolwiek oglądał HBO albo dowolny filmik pogładowy o zagrożeniu uzależnieniem w szkole średniej, by się zorientował. Tak długo macałam po posadzce wokół bezwładnego ciała Maxxa, aż znalazłam igłę i pustą strzykawkę.

Rzuciłam się do działania. Natychmiast rozluźniłam gumową rurkę wokół jego ramienia i rzuciłam ją na podłogę. Potem nachyliłam się tuż nad nim, by się upewnić, że nadal oddycha. Oddech miał płytki i powolny, a puls, który w końcu udało mi się wyczuć, bardzo słaby. Nie wiedziałam, ile wzięt.

Wiedziałam, że ryzyko przedawkowania heroiny wiąże się głównie z zatrzymaniem czynności oddechowej. Płuca kogoś, kto wzięt za dużo, przestawały w końcu pracować i delikwent się dusił.

– Co u diabła, Maxx? – zapytałam, wiedząc, że w tym stanie na pewno mi nie odpowie. Spróbowałam go unieść, ale był zbyt ciężki, żeby w ogóle go ruszyć. Przewróciłam go tak, żeby leżał płasko na plecach.

Nie wydał żadnego dźwięku. Przyłożyłam ucho do jego piersi, nasłuchując wysiłonego bicia serca. Moje łzy zostawiły mokre ślady na jego koszulce. Przywarłam do niej czołem, krzycząc do człowieka, który mnie nie słyszał. Drzwi do łazienki otworzyły się z impetem i do środka weszło kilku chłopaków. Zauważyli mnie na podłodze z Maxxem i zachichotali.

– Przepraszamy, że przerywamy – powiedzieli i niezrażeni, odwrócili się do pisuarów i zaczęli sikać.

Nie widzieli, co się naprawdę dzieje. Najprawdopodobniej w Compulsion nie był to taki znów niezwykle widok.

Kiedy wyszli, próbowałam przywrócić Maxxa do przytomności. Wrzeszczałam mu do ucha. Kilkakrotnie uderzyłam go w twarz. Potrząsnęłam nim tak mocno, że uderzył głową o podłogę. Nic nie działało. Nie mogłam go otrzeźwić. Kiedy oddech zaczął mu zamierać, a wargi przybrały niebieski odcień, zrozumiałam, że muszę go zabrać do szpitala.

Rzuciłam się do drzwi łazienki i zamknęłam je na zamek, nie chcąc, by ktokolwiek wchodził do środka. Wyciągnęłam telefon i wybrałam dziewięćset jedenaście.

A potem patrzyłam, jak oddech Maxxa zamiera i jego klatka piersiowa przestaje się unosić.

Czekając na sanitariuszy, robiłam Maxxowi sztuczne oddychanie na przemian z masażem serca. Naciskałam gorączkowo na jego pierś, a jego skóra stawała się coraz zimniejsza. Wdmuchiwałam mu powietrze do ust, modląc się w duchu, by wreszcie zaczął samodzielnie oddychać.

Oddychał przez chwilę sam, po czym znów przestawał, a ja na powrót brałam się do resuscytacji.

Karetka zjawiła się w asyście policji, która natychmiast zamknęła klub. Słyszałam krzyki i nawoływania, ale byłam zbyt zajęta utrzymaniem Maxxa przy życiu.

Kiedy wreszcie sanitariusze wpadli do łazienki i przejęli ode mnie Maxxa, byłam już kompletnie wyczerpana. Jeden z nich zapytał mnie, czy chcę jechać z Maxxem w karetce do szpitala, ale odmówiłam. Powiedziałam, że pojedę własnym samochodem.

I tak zrobiłam. Weszłam i czekałam na oddziale ratunkowym. Czekałam tak długo, aż pojawili się Callum i David, których natychmiast poproszono do środka. Nikt sobie nawet nie uzmysławiał, że tam jestem.

Czekałam po tym, jak drzwi do pokoju, w którym dokonywano wstępnej selekcji chorych, otworzyły się szeroko i usłyszałam rozlewający się po oddziale ratunkowym piskliwy dźwięk dzwonka alarmowego oznaczającego, że doszło do zatrzymania akcji serca. W tym momencie poznałam prawdziwy lęk. Poznałam paniczny strach. Poznałam, co to znaczy poczuć, że twoje serce umiera.

Czekałam dalej, kiedy życie Maxxa wisiało na włosku.

Patrzyłam, jak kilka godzin później David, wujek Maxxa, opuszcza szpital razem ze szlochającym Callumem. Sądziłam, że to już koniec. Że Maxx nie żyje.

Niezdolna siedzieć tam ani chwili dłużej, zapytałam pielęgniarkę o Maxxa. Kiedy zapytała, kim dla niego jestem, skłamałam, że siostrą.

Pielęgniarka obrzuciła mnie sceptycznym spojrzeniem, ale nie wnikała dalej, choć było oczywiste, że wciskam jej kit. Poklikała chwilę w komputerze i udzieliła mi informacji, której potrzebowałam.

– Został oznaczony jako pacjent w stanie krytycznym. Ale jest stabilny. Rozpoczęli procedurę odtruwania – wyjaśniła. – Będziesz się chciała z nim zobaczyć? – zapytała.

Cofnęłam się od kontuaru.

– Nie – odpowiedziałam, po czym odwróciłam się i wyszłam z oddziału ratunkowego.

Pojechałam do domu. Renee już na mnie czekała.

I nie była sama.

– Mamy towarzystwo – powiedziała Renee, patrząc gniewnie na Brooksa.

Brooks podniósł się z kanapy.

– Cześć.

Tylko tyle zdążył powiedzieć, zanim straciłam panowanie nad sobą.

Kompletnie się rozsypałam.

Podbiegłam do niego, objęłam go ramionami w pasie, ukryłam twarz w jego czyściutkiej, wyprasowanej bluzie i rozryczałam się w głos.

Brooks zeszywniał, kiedy go dotknęłam, ale kiedy rozszlochałam się spazmatycznie, przytulił mnie powoli, uspokajająco gładząc po plecach.

– Co się dzieje, Aubrey? Co się stało? – pytał raz po raz, ale nie potrafiłam wykszusić ani słowa.

Podeszła Renee i oto dwójka moich najlepszych przyjaciół przytulała mnie, a ja nie potrafiłam odzyskać panowania nad sobą.

Kiedy skończyłam płakać nad Maxxem, nad sobą, nad nami, których nigdy nie będzie, padłam na łóżko i zasnęłam. Bo myślenie o tym, co stałoby się z Maxxem, gdybym w porę nie przyjechała, sprawiało mi ból, którego nie potrafiłam znieść.

* * *

Poszłam do szpitala następnego dnia, nadal utrzymując, że jestem siostrą Maxxa. Pełniąca dyżur pielęgniarka nie zadała mi żadnych pytań i trudno było powstrzymać się od skrytykowania w myślach ich braku środków bezpieczeństwa.

Kazano mi skierować się na oddział intensywnej terapii, Maxx leżał w pokoju numer trzysta dwa. Poszłam zgodnie ze wskazówkami i przystanąłam w korytarzu, nie mogąc się zmusić, by wejść do środka.

Maxx spał, otoczony ze wszystkich stron rurkami i monitorami. Był biały jak prześcieradło, blond loki całkiem mu oklapły. Powoli weszłam do środka i usiadłam przy jego łóżku.

Nie wzięłam go za rękę, nie płakałam, po prostu patrzyłam bez słowa na człowieka, którego kochałam całym sercem. Tak ochoczo odrzucił wszystko, co mieliśmy. W imię czego? Tego?

Pospiesznie weszła pielęgniarka, posyłając mi roztargniony uśmiech. Sprawdziła wskazania monitorów i zerknęła na jego kroplówkę.

– Wyjdzie z tego? – zapytałam, gdy kierowała się już ku drzwiom.

– Ma niełatwą drogę przed sobą. W nocy dostał naloxone w kroplówce, który powoduje między innymi głód narkotykowy. Kiedy już będzie na tyle stabilny, żeby go przenieść, zostanie przewieziony na oddział detoksykacyjny. Lekarze zaproponują mu później leczenie odwykowe, ale to od niego zależy, czy zdecyduje się je podjąć, czy nie – wyrecytowała pielęgniarka beznamiętnie.

– Rozumiem, dziękuję.

Tylko tyle zdołałam z siebie wykrztusić.

– Domyślam się, że jest pani członkiem rodziny? – zapytała pielęgniarka, patrząc na mnie w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że doskonale wie, iż nim nie jestem.

– Oczywiście – odparłam, a moje spojrzenie prześlizgnęło się na Maxxa, który do tej pory nie odzyskał przytomności.

– Odwyk jest jedyną szansą tego młodego człowieka. Po jego przywiezieniu tutaj dwukrotnie doszło do zatrzymania akcji serca. Jego organizm jest w bardzo złym stanie. Niewiele brakowało, by główne organy przestały pracować. Gdyby był członkiem mojej rodziny, zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, żeby skłonić go do podjęcia leczenia.

Skinęłam głową, czując ucisk w gardle.

Pielęgniarka spojrzała ostro na Maxxa.

– Nie każdy dostaje drugą szansę. Miejmy nadzieję, że ją wykorzysta – powiedziała, dobitnie akcentując słowa, po czym uśmiechnęła się chłodno i wyszła.

Usiadłam z powrotem na krześle, nie spuszczać wzroku ze śpiącego Maxxa. Żałowałam, że nie mogę dopilnować, by dokonał właściwego wyboru. Żeby poszedł na odwyk i wykaraskał się z tego. Ale po prostu nie wiedziałam jak.

Bo Maxx miał dwa wcielenia, które nie miały ze sobą nic wspólnego. Pierwsze pragnęło normalnego życia. Chciało chodzić do szkoły, troszczyć się o brata, kochać mnie i być szczęśliwe. To wcielenie Maxxa bez wątpienia podjęłoby właściwą decyzję.

Istniało jednak mroczniejsze, autodestrukcyjne wcielenie, samolubne, cierpiące i potrzebujące ucieczki, które tylko narkotyki potrafiły mu dać. I to wcielenie Maxxa nigdy nie zrobiłoby nic, co mogłoby utrzymać je z dala od rzeczy, którą kochało najbardziej na świecie. Następnego odlotu.

Nagle zapragnęłam go dotknąć, wyciągnęłam rękę i ujęłam jego bezwładną dłoń. Chciałam płakać, ale zabrakło mi już łez.

Siedziałam więc, trzymając go za rękę, wiedząc, że którąkolwiek drogę wybierze, będzie musiał podążyć nią sam.

* * *

– Aubrey, usiądź, proszę – powiedziała doktor Lowell, zamykając za mną drzwi do swojego gabinetu. Po tym jak Maxx przedawkował, na krótko zapomniałam o czekającym mnie rozrachunku.

Nie pamiętałam, żeby doktor Lowell kiedykolwiek wyglądała równie staro.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek będziemy odbywać tę rozmowę, Aubrey. Stwierdzenie, że jestem smutna i rozczarowana, nawet w części nie oddaje mojego stanu ducha – zaczęła. – Wiesz, że rozmawiałam z Kristie Hinkle, i wiem, że masz świadomość, jakie wysunięto przeciw tobie zarzuty. Kristie powiedziała mi, że rozmawiała już z tobą i że przyznałaś się do zaangażowania się w niewłaściwą relację z uczestnikiem grupy wsparcia, której byłaś współprowadzącą. Zgadza się? – zapytała znużonym głosem.

Skinęłam głową.

– Tak, to prawda, pani doktor.

Nie zamierzałam zaprzeczać. Najwyższy czas, by ponieść konsekwencje własnych wybór.

Moje myśli pobiegły ku Maxxowi, który teraz już najprawdopodobniej odzyskał przytomność, leżąc na szpitalnych oddziale detoksykacyjnym i prawdopodobnie zastanawiając się, dlaczego nie przyszedł się z nim zobaczyć. Nie wiedział, że nie ruszałam się od jego łóżka przez cały czas, gdy był nieprzytomny, i dopiero wtedy, kiedy już wiedziałam, że z tego wyjdzie, zdobyłam się na to, by odejść. Wiedząc, że sam musi dokonać wyborów, które zdecydują o jego przyszłości.

Wyborów, które nie mogły mieć nic wspólnego ze mną.

Doktor Lowell zdjęła okulary i potarła oczy.

– Nie muszę ci mówić, jak poważne zarzuty zostały ci postawione. Pogwałciłaś nasz kodeks etyczny. Nadużyłaś swojego stanowiska współprowadzącej i wykorzystałaś kogoś

znajdującego się na słabszej wobec ciebie pozycji. To najbardziej karygodne naruszenie etyki zawodowej, Aubrey – oznajmiła doktor Lowell, a jej niezadowolony głos przybrał ostrzejsze tony.

– Rozumiem. – Nic więcej nie zdołałam z siebie wykrztusić.

– Będę musiała wszcząć w ramach wydziału dochodzenie w sprawie twojego postępowania. Podczas rozprawy będziesz mogła wystąpić w swojej obronie. Jeśli okaże się, że rzeczywiście doszło z twojej strony do naruszenia zasad etycznych, co zapewne zostanie potwierdzone przyznaniem się przez ciebie do winy, zostaniesz zawieszona dyscyplinarnie. I to już od komisji dyscyplinarnej będzie zależało, czy zdecyduje się na usunięcie cię z programu szkolenia terapeutycznego – wyjaśniła.

Mogłam tylko kiwnąć głową.

– Otrzymasz pocztą informację dotyczącą przesłuchania w ramach prowadzonego dochodzenia oraz terminu rozprawy. Podczas przesłuchania otrzymasz więcej informacji na temat całej procedury. Czy masz jakieś pytania? – zapytała, świdrując mnie wzrokiem.

– Nie mam żadnych pytań – odpowiedziałam pogodzona z losem.

– Możesz zatem odejść. Wiedz tylko, że nigdy tak się nie zawiodłam na żadnym studencie. Twoje zachowanie jest szokujące i stawia w fatalnym świetle nie tylko ciebie, lecz także cały wydział.

Zostałam odprawiona.

Zabrałam swoją torebkę i wyszłam z gabinetu doktor Lowell z nisko zwieszoną głową.

Z głębi torebki zadzwonił mój telefon. Wyłowiłam go i spojrzałam na ekran, nie rozpoznając numeru.

– Aubrey – wyszeptał głos po drugiej stronie, kiedy odebrałam.

– Maxx. – Natychmiast rozpoznałam jego ochryply głos.

Ciężko usiadłam na ławce pod biblioteką, wsunęłam się we wnękę i ukryłam przed wzrokiem przypadkowych przechodniów. Z trudem utrzymywałam w drżących dłoniach przyciskany do ucha telefon.

Przewidywałam ten moment i jednocześnie obawiałam się go. Miałam nadzieję, że Maxx wykorzysta spędzony w szpitalu czas, żeby dostrzec, dokąd zmierza jego życie. Wnioskując z tego, jak oschle wypowiedział moje imię, wcale tak nie było.

Był wściekły. I zraniony. Czuł się zdradzony i porzucony. Dręczyła mnie myśl, że to ja jestem przyczyną tych uczuć, ale naprawdę był to jedyny sposób, jaki przyszedł mi do głowy, by mu pomóc. I pomóc sobie.

– A zatem wyszedłeś ze szpitala? – zapytałam po dłuższej chwili niezręcznej ciszy.

– Nie. Nadal tu jestem. Byłem na oddziale detoksykacyjnym przez ostatnie trzy doby, tak w każdym razie twierdzą. Powiedzieli, że jutro będę mógł wyjść do domu.

Serce ścisnęło mi się w piersi.

– Nie idziesz na odwyk? – zapytałam, znając już odpowiedź.

– Nie muszę iść na odwyk, żeby wydobrzeć – powiedział Maxx wyzywająco.

– Maxx... – zaczęłam, ale przerwał mi.

– Potrzebuję tylko ciebie – powiedział z takim przekonaniem, że wiedziałam, iż sam w stu procentach wierzy w te słowa.

– Prawie umarłeś, Maxx! Wziąłeś heroinę. Władowałeś ją sobie w cholerną żyłę! Wiedziałaś, że znalazłam cię na podłodze łazienki? Ledwo oddychałeś, miałeś zatrzymanie

akcji serca! Musiałam ci robić sztuczne oddychanie! Nigdy, w całym swoim życiu, nie byłam tak przerażona! – krzyczałam do słuchawki.

Musiałam się uspokoić, ale byłam do głębi sfrustrowana jego postawą. Jego całkowitym, kompletnym wyparciem.

Maxx przez jakiś czas milczał i miałam nadzieję, że może posłucha.

– Przepraszam, Aubrey. Nie chciałem, żeby to zaszło tak daleko. Wziąłem to gównem tylko ten jeden raz. Nie wiedziałem, co robię. To się już nie zdarzy.

Z jaką łatwością usprawiedliwił swoje zachowanie. Nadal nie dostrzegał schematu, w którym żył.

– Maxx, następnym razem możesz się nie obudzić. Następnym razem może być za późno. Bo mnie tam nie będzie.

Powiedziałam to. Wiedziałam, że muszę mu powiedzieć, choć marzyłam, żebym nie musiała.

– Nie mów tak, Aubrey! Proszę!

Słyszałam, że płacze. Na dźwięk jego łamiącego się głosu łzy zaczęły mi płynąć po twarzy.

– Nie zdołam tego zrobić bez ciebie – powiedział błagalnie.

Płakaliśmy razem po dwóch stronach telefonu. Wcisnęłam głowę w kurtkę, próbując odzyskać miarowy oddech.

– Aubrey, kocham cię – wyszeptał, a słowa uwięzły mu w gardle.

– Ja też cię kocham, Maxx – wykrztusiłam, czując, z jakim trudem wypowiadam wybuchające we mnie słowa.

Usłyszałam, jak Maxx ze świstem wciąga powietrze.

Nie mogłam wybrać gorszego momentu. Oto proszę, w końcu mówiłam mu to, co tak bardzo chciał usłyszeć, i robiłam to w chwili, w której planowałam od niego odejść.

– Kochasz mnie – wymamrotał i usłyszałam ulgę w jego głosie.

Wiedziałam, co myśli. Że dzięki temu wszystko się samo naprawi. Że się poddałam.

– Tak długo czekałem, żebyś to wreszcie powiedziała. – W tym stwierdzeniu wyczułam pułapkę. – Tak długo... – urwał i głos mu się załamał.

Łzy, o których sądziłam, że dawno już wyschły, polały się wartko po moich policzkach.

– Chciałam to powiedzieć. Naprawdę chciałam.

– To dlaczego nie powiedziałaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi czegoś tak ważnego? – szlochał.

Otarłam łzy. Czułam, jak utwierdzam się w swoim postanowieniu, przygotowując się do powiedzenia mu tego, co należało powiedzieć, a co budziło mój lęk. Ale nie było wyjścia.

– Bo wiedziałam, że dojdzie do czegoś w tym rodzaju – wypaliłam wściekle.

– Nie obwiniaj mnie o swoją niezdolność komunikowania się z innymi! Nie powiedziałaś mi tego, bo lubisz się bawić moimi uczuciami! Bo lubisz mnie dręczyć! – wrzasnął mi do ucha. A potem znów zaczął płakać. – Nie chciałem tego powiedzieć, Aubrey. Naprawdę nie chciałem – bełkotał.

– Nie mogę ci powierzyć mojej miłości, Maxx. Te słowa są cenne. Chciałam wiedzieć, że kiedy ci je dam, zatroszczysz się o nie. Będiesz je pielęgnował. Odwzajemnisz moje uczucia jako zdrowa, poukładana osoba – powiedziałałam uczciwie.

Maxx kilkakrotnie urywanie zaczerpnął oddechu.

– To dlaczego mówisz mi to teraz? Dlaczego mówisz mi, że mnie kochasz, kiedy tak uparcie starasz się trzymać ode mnie z daleka? Bo z mojej perspektywy sprawiasz wrażenie kogoś wyjątkowo bezdusznego – powiedział drżącym głosem, a ja na próżno próbowałam powstrzymać kolejny szloch.

– Bo chcę, żebyś wiedział, z czego rezygnujesz, nie idąc na odwyk. Chcę, żebyś zobaczył, co jestem gotowa ci dać. I mam nadzieję... naprawdę mam nadzieję, że będziesz chciał o to zawalczyć. Zawalczyć o siebie! – Z trudem przełknęłam ślinę i przygotowałam się na zadanie ostatecznego ciosu. – Tak bardzo cię Kocham, Maxx. Naprawdę. I dlatego nie mogę patrzeć, jak się zabijasz. I nie będę. I właśnie dlatego, że cię Kocham, zdecydowałam się odejść – powiedziałam ochryplym z emocji głosem.

Maxx milczał przez długą chwilę. Tak długą, że sądziłam, że się rozłączył.

– To są brednie, Aubrey! Gdybyś mnie kochała, nie porzuciłaśbyś mnie, kiedy cię potrzebuję! Bo ja wyjdę z tego. Potrafię to zrobić. Ale tylko z twoją pomocą!

Stosował szantaż emocjonalny. Osuwał się na dno, z którego zapewne nie potrafilibyśmy się wygramolić. Nasza relacja była toksyczna. Chora. Zabijała w człowieku duszę.

Boże, co ja sobie fundowałam?

I mimo wszystko, mimo że rozum podpowiadał mi, jak fatalnym wyborem był dla mnie Maxx, nadal chciałam do niego biec. Chciałam, by jego kłamstwa stały się moją prawdą. Chciałam wierzyć w jego fałszywe obietnice. Chciałam udawać, że nie jest chory i że jego zapieranie się nie zniszczy nas obojga.

– To nieuczciwe – powiedziałam wreszcie, dumna z tego, że brzmię tak stanowczo.

– Nieuczciwe jest to, że mnie porzucasz, kiedy cię potrzebuję! Co z ciebie za egoistka? A więc według ciebie to ma rację bytu tylko tak długo, jak długo masz z tego coś dla siebie? Bo jakoś nie słyszałam o żadnych problemach, dopóki leżałaś, kurwa, płasko na plecach z rozłożonymi nogami – powiedział Maxx złośliwie.

Wiedziałam, że cierpi, że się odgrywa, ale miałam dość.

Poważnie. Miałam dość.

– Weź się w garść, Maxx. Jeśli nie dla nikogo innego, to zrób to chociaż dla siebie. A wtedy może nauczę się znowu ci ufać. I ufać samej sobie, że potrafię być z tobą. Bo to – urwałam na chwilę – jest złe. Chore. I jeśli naprawdę mnie kochasz, dostrzeżesz to.

No dobrze, powiedziałam swoją kwestię. To, co postanowi zrobić z moimi słowami, zależało już tylko od niego.

Maxx musiał wyczuć moje zdecydowanie, bo usłyszałam, że znów zaczyna płakać.

– Nie opuszczaj mnie – wyszeptał.

Nie mogłam tego dłużej znieść. Gdybym choć chwilę dłużej słuchała jego błagań i zaklęć, całe moje przekonanie, cała moja siła wyparowałyby, a ja poczołgałabym się z powrotem do niego, złamana i poraniona.

– Muszę już iść. Mam nadzieję, że wyjdiesz na prostą. Naprawdę – powiedziałam przez zaciśnięte gardło.

I zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, rozłączyłam się. Na wszelki wypadek wyłączyłam telefon i wrzuciłam go głęboko do torby.

Moje serce było złamane, ale nie zostało zniszczone. W końcu się z tego otrząsnę. I naprawdę miałam nadzieję, że przyjdzie taki dzień, kiedy Maxx do mnie wróci, zdrowy i poukładany.

Nie mogłam jednak uzależniać od tego własnego życia. Musiałam iść dalej.

Wierzyłam, że mimo emocjonalnego tornada, które Maxx wywołał w moim życiu, nigdy nie będę żałować, że tak się zaangażowałam. Miałam nadzieję, że kiedy w przyszłości spojrzę z perspektywy na nasz wspólnie spędzony czas, zdołam dostrzec nieprzyprawiające o mdłości, ściskające za serce zgliszcza, lecz wszystko to, co dzięki Maxxowi zyskałam.

Dzięki niemu znów dostrzegłam w sobie coś, z czym już dawno się pożegnałam.

Dzięki niemu nauczyłam się kochać całym sercem.

Dzięki niemu stałam się silniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

Wiedziałam, że w ciągu kilku kolejnych tygodni, kiedy będę musiała zmierzyć się z następstwami swoich wyborów, zyskam pewność, że ścieżka, którą obrałam, była jedyną możliwą.

Ostatecznie warto było pokochać Maxxa Demelo, nie mimo wszystko, lecz właśnie dlatego.

Czując, że kamień spadł mi z serca, którego obecności nawet sobie nie uzmysławiałam, ruszyłam do domu. A kiedy otworzyłam drzwi i zobaczyłam Renee zwiniętą na kanapie i oglądającą telewizję, nie miałam już cienia wątpliwości, że wyjdę na prostą.

Powstanę jak Feniks z popiołów jako lepszy człowiek.

I znajdę siłę, by pójść, dokądkolwiek powiedzie mnie przeznaczenie.

Gapiłem się w telefon długo po tym, jak Aubrey się rozłączyła. Długo po tym, jak nie zostało nic z wyjątkiem ciszy.

„A co kochałem – sam kochałem”⁵.

Poe miał rację. Kochanie było samotnym przedsięwzięciem.

Tym razem naprawdę wszystko spieprzyłem.

Rzuciła mnie.

Powiniennem był wiedzieć, że to tylko kwestia czasu.

Aubrey Duncan była zdecydowanie zbyt dobra dla takiego popaprańca jak ja.

Ale kochała mnie.

W końcu wypowiedziała słowa, które od tak dawna pragnąłem usłyszeć.

Chociaż wyznając mi je, złamała mi serce, i tak byłem szczęśliwy, że je usłyszałem.

Później przypomniałem sobie jednak resztę jej słów i zrozumiałem, że z nami koniec.

Ostateczność tej konstatacji kompletnie mnie przytłoczyła.

A teraz tkwiłem w gównie, które nazywałem życiem.

Aubrey dała mi przedsmak czegoś lepszego. Czegoś dobrego. Czegoś czystego. A ja pożałowałem tego tak mocno, że ostatecznie to unicestwiłem.

Leżałem teraz na szpitalnym łóżku, mając szczęście, że w ogóle żyję.

Kiedy przyszedł lekarz i wyjaśnił mi procedurę detoksykacji, zachęcił mnie jednocześnie do tego, by kontynuować leczenie, idąc na odwyk.

Z miejsca odrzuciłem ten pomysł. Nie potrzebowałem odwyku. Odwyki były dla ćpunów i nieudaczników.

Dam sobie radę. I zrobię to sam.

Potrzebowałem tylko Aubrey.

Pomogłaby mi. Wyprowadziłaby mnie ze wszystkiego.

Była moim zbawieniem.

Ale nie miałem Aubrey.

Stwierdziła jasno, że jej przy mnie nie będzie. Że nie może mi pomóc.

Że muszę pomóc sobie sam.

Kurwa. No i co miałem teraz zrobić?

Callum wpadł wcześniej, razem z wujkiem. Żaden z nich nie był szczególnie rozmowny. Podejrzewałem, że David zachowa się jak kutas, kompletnie mnie nie zaskoczył. Nie spodziewałem się jednak kamiennego milczenia mojego młodszego brata.

Nigdy nie sądziłem, że zobaczę na jego twarzy ten wyraz.

Rozczarowanie.

Po wyjściu Calluma złapałem niezłego doła. Chyba już nie mogłem się bardziej pogрузić.

Popełniłem błąd.

Bo postanowiłem zadzwonić do Aubrey.

Zadręczałem się przypuszczeniami, dlaczego nie przysłała do szpitala, żeby się ze mną

zobaczyć. Nie miałem pojęcia, że to ona znalazła mnie w klubie i w gruncie rzeczy ocaliła mi życie.

A teraz odeszła.

Serce ścisnęło mi się z bólu, który znałem aż za dobrze.

Z żalu po stracie ukochanej osoby.

Po rozmowie z Aubrey nie potrafiłem w nocy zasnąć. Przewracałem się z boku na bok i myślałem o tym, co mogłem zrobić inaczej. Co mogłem powiedzieć, by została.

Nad ranem doznałem olśnienia, które pojawia się tylko wówczas, gdy człowiek sięgnie dna.

Kiedy się rozjaśniło, ubrałem się w te same ciuchy, w których zostałem przyjęty. Wisiały mi luźno na biodrach. W ciągu tygodniowego pobytu w szpitalu sporo straciłem na wadze. Patrząc w lustrze na swoje zapadnięte policzki i ziemistą cerę, z trudem rozpoznawałem gapiącego się na mnie człowieka.

Nienawidziłem go.

– Mam tutaj twój wypis ze szpitala. Musisz go tylko przeczytać i podpisać na dole – powiedział lekarz, który wszedł do mojego pokoju niedługo później.

Wyciągnął papiery, czekając, aż je od niego wezmę.

To była chwila, w której mogłem zmienić wszystko.

– W sumie to chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej na temat odwyku.

Czasem najtrudniej jest napisać właśnie podziękowania. Tym razem to jednak najłatwiejsza część pracy.

Ta książka została napisana dla ludzi, których wsparcie czułam niezależnie od wszystkiego. Dla mojej matki, której już przy mnie nie ma, lecz której wpływ na wszystkie aspekty mojego życia jest nadal odczuwalny. Zawsze mi powtarzała, bym nie wahała się sięgać do gwiazd i nie poddawała się, dopóki ich nie dotknę. Nie poddałam się, mamo. Nigdy się nie poddam.

Dla mojego ojca i dziadków, którzy są moimi zagorzałymi wielbicielami. Bardzo was wszystkich kocham i mam nadzieję, że zawsze będziecie ze mnie dumni.

Dla Iana. Pomogłeś mi dopracować niesamowitą koncepcję tej historii. Coś o clubbingu, street arcie i uzależnieniu (upierając się przy tym, żebym obejrzała dokument o Banksym). Gdzieś w naszym szalonym, rozgadany strumieniu świadomości narodziła się książka *Twoim śladem*. Słuchałeś mnie, kiedy składałam to wszystko do kupy, i nie zrzędziłeś (za bardzo), kiedy ukrywałam się w swojej pisarskiej jaskini i wykrwawiałam się z tej historii. Dziękuję ci za Twoją nieskończoną cierpliwość. Napisałam to w swojej pierwszej książce i powtórzę to raz jeszcze. Wszystkie te książki są dla Ciebie.

Dla mojej córki, która jest już na tyle duża, by czuć podniecenie, kiedy mama pisze nową książkę, choć nie rozumie, dlaczego nie może jej przeczytać (kiedy będziesz starsza, kochanie). Dziękuję ci za to, że jesteś taka różowa, pełna życia i po prostu fantastyczna!

Dla mojej niesamowitej agentki, Michelle, która wielokrotnie wysłuchiwała, jak panikuję, wybucham i tracę panowanie nad sobą. Dziękuję Ci za to, że zawsze potrafiłaś przemówić mi do rozsądku. Pokochałaś Aubrey i Maxxa od samego początku i jestem ci ogromnie wdzięczna za niestrudzone podtrzymywanie mnie na duchu!

Dziękuję Alex Lewis, mojej cudownej redaktorce w Gallery, która pomogła mi nadać tej książce ostateczny kształt. Wierzyłaś w tę szaloną, mroczną historię i jestem ci nieskończenie wdzięczna, że podjęłaś ryzyko pracy ze mną. I dziękuję całemu zespołowi Gallery, że uwierzył w Maxxa i Aubrey!

Specjalne, ogromniaste podziękowania przekazuję Kristy Garbutt, mojej znakomitej asystentce i przyjaciółce. Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo pomogły mi nasze pogawędki i Twoje zachęty! Jesteś w moim życiu prawdziwym błogosławieństwem!

Dziękuję moim kochanym, zwariowanym koleżankom po fachu. Tonya, Brittainy, Stacey, Amy, Claire i Kelsie – jesteście super. Cudownie jest mieć sześć innych autorek, które tak bardzo się szanuje i podziwia, i przed którymi można się wygadać albo po prostu dać się im rozśmieszyć. Uwielbiam was, dziewczyny!

Dziękuję wszystkim bloggerom, którzy recenzowali moje książki, reklamowali je i służyli mi największym wsparciem, jakie mogłam sobie wyobrazić! Jest was tak wielu i śmiertelnie przeraża mnie myśl, że mogłabym kogoś pominąć, ale wam wszystkim, którzy publikowaliście moje okładki, mówiliście o mnie na Facebooku i Twitterze i zachęcaliście swoich fanów do wybierania moich książek, chciałabym powiedzieć jedno: jesteście SUPER!

Dziękuję mojej fantastycznej drużynie Meredith's Maniacs! Jestem taką szczęściarą, że

Was mam! Wasz niesłabnący entuzjazm dla moich książek jest tym, co mnie napędza!

I wreszcie dziękuję wszystkim moim czytelnikom! Słowa nie potrafią wyrazić, ile znaczy dla mnie każdy z Was. Budzę się codziennie, nie potrafiąc uwierzyć, że oto spełnia się moje marzenie. I to dzięki Wam!

-
- ¹ Emily Dickinson, wiersz 79, przekład własny (przyp. tłum.).
 - ² George Gordon Byron, *Idzie w piękności*, tłum. Stanisław Egbert Koźmian.
 - ³ Emily Dickinson, wiersz 314, tłum. Stanisław Barańczak.
 - ⁴ Edmond Rostand, *Cyrano de Bergerac*, tłum. M. Konopnicka i W. Zagórski.
 - ⁵ Edgar Allan Poe, *W samotności*, tłum. Wojciech Usakiewicz.

Przekład: Dorota Konowrocka-Sawa
Redakcja: Magdalena Adamska
Korekta: Ilona Siwak, Bogusława Jędrasik
Projekt okładki: Tomasz Majewski
Zdjęcia wykorzystane na okładce: © Marcin Klepacki/Arcangel Images
Projekt logo imprintu: Julia Karwan-Jastrzębska

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3278-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo